

BARRACUDA

945



**PATRICK
ROBINSON**

NEW YORK TIMES BESTSELLING AUTHOR OF USS SEAWOLF

ROBINSON PATRICK

Arnold Morgan #6 Barracuda

945

PATRICK ROBINSON

Dom Wydawniczy REBIS poleca m.in.

thrillery:

Keith Ablów

PRZYMUS

David Baldacci TEN, KTÓRY PRZEŻYŁ

Stephen Coonts

USS AMERICA

HONGKONG

KUBA WOLNOŚĆ

Krzysztof Kotowski

ZYGZAK JAPOŃSKIE CIĘCIE

Graham Masterton

KATIE MAGUIRE

KONDOR

WYBUCH

Don Passman

WIZJONERKA

Patrick Robinson

HMS UNSEEN

USS SEAWOLF

BUNTNAUSSSHARK

Scott Turów BŁĘDY ODWRACALNE

Marcus Wynne

BEZ WYBORU WOJOWNIK W MROKU

Patrick Robinson

BARRACUDA 945

Przełożył Janusz Szczepański

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 2004

Tytuł oryginału Barracuda 945

Copyright © Patrick Robinson 2003 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2004

Redaktor Małgorzata Chałek

Opracowanie graficzne okładki Jacek Pietrzyński

Fotografia na okładce Paul Hanna/REUTERS/FORUM

Wydanie I

ISBN 83-7301-552-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. (0-61) 867-47-08, 867-81-40; fax (0-61) 867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl Druk i oprawa: ABEDIK Poznań

PODZIĘKOWANIA

Przy pisaniu tego – szóstego już w moim dorobku – tech-nothrillera sporo korzystałem z doświadczeń i lekcji z przeszłości. Niemniej znów nie mogłem się obyć bez obszernych i precyzyjnych wskazówek mojego stałego mentora, admirała sir Sandy'ego Woodwarda.

Kiedy się usiłuje „prowadzić” duży atomowy okręt podwodny poprzez niebezpieczne i strzeżone przez elektroniczne systemy nasłuchowe wody Arktyki, dobrze jest mieć obok siebie człowieka, który robił to naprawdę. Admirał nie tylko był dowódcą takiego okrętu, ale pełnił też funkcję dowódcy floty podwodnej Royal Navy oraz głównodowodzącego zespołu, który pokonał Argentynę w wojnie o Falklandy. Muszę ponadto przyznać, że to właśnie on stwierdził, iż następnym poważnym problemem świata związanym z terroryzmem może być sytuacja, kiedy któreś z bliskowschodnich ugrupowań dostanie w swoje ręce atomowy okręt podwodny.

Admirał traktuje wszystkie moje książki jako ostrzeżenie dla Zachodu, jako przesłanie mówiące: „Bądźcie czujni, bądźcie najlepsi i zawsze na przedzie... ktoś może już was dogania”.

Jestem też dłużnikiem przynajmniej trzech oficerów sił specjalnych, którzy poświęcili mi swój czas i dzielili się wiedzą. Barracuda 945 zawdzięcza szczególnie dużo informacji jednemu z nich, ekspertowi od materiałów wybuchowych, który przez kilka tygodni zmagał się z moim skomplikowanym problemem dywersyjnym, zanim znalazł odpowiednie rozwiązanie.

Na podziękowania zasłużył też mój przyjaciel Hitesh Shah, który na wesoło wtajemniczył mnie w pewne niuanse wiary muzułmańskiej.

Patrick Robinson

WAŻNIEJSZE OSOBY

Naczelne dowództwo amerykańskie

prezydent Stanów Zjednoczonych (naczelnym dowódcą sił zbrojnych USA)

wiceadmirał Arnold Morgan (doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego)

Robert MacPherson (sekretarz obrony)

Harcourt Travis (sekretarz stanu)

General Tim Scannell (przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów)

Jack Smith (sekretarz ds. energetyki)

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Agency, NSA)

kontradmiral George R. Morris (dyrektor)

komandor podporucznik Jimmy Ramshawe (asystent dyrektora)

kapitan Scott Wade (Wydział Wywiadu Wojskowego)

Dowództwo US Navy

admirał Alan Dickson (szef operacji morskich) kontradmiral John Bergstrom (dowódca Sił Specjalnych –

SPECWARCOM)

kontradmiral Freddie Curran (dowódca Floty Podwodnej

Pacyfiku – COMSUBPAC)

Brytyjskie siły specjalne – SAS

podpułkownik Russell Makin (dowódca 22. pułku SAS) major Ray Kerman (dowódca garnizonu w Izraelu) sierżanci Fred O'Hara i Charlie Morgan (doradcy p Siłach Obronnych Izraela – Israeli Defence Force, IDF)

Terroryści z Hamasu

general Ravi Raszud (naczelnym dowódcą wydziału operacji wojskowych)

komandor podporucznik Szakira Raszud (oficer nawigacyjny i kierowania ogniem, Barracuda 945)

kapitan Ben Badr (dowódca Barracudy 945)

komandor podporucznik Ali Akbar Mohtadż (dowódca Barracudy ID)

komandor podporucznik Abbas Szafii (wyższy oficer irańskiej floty podwodnej)

starszy bosman Ali Zahedi (specjalista mechanik, silniki główne)

starszy bosman Ardeszir Tikku (specjalista mechanik, generatory)

major Ahmed Sabath (bojownik palestyński)

Strategowie z różnych państw

admirał Zhang Yushu (wiceprzewodniczący Rady Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej – Chiny)

admirał Witalij Ranków (naczelný dowódca marynarki rosyjskiej)

admirał Mohammed Badr (marynarka Iranu)

ajatollahowie i hodżowie (wyższe kręgi islamskiego duchowieństwa irańskiego)

US Navy SEALs

komandor porucznik Bili Peavey (główna grupa szturmowa, dowódca zespołu operacyjnego)

porucznik Patrick Hogan Rougeau (zastępca dowódcy zespołu operacyjnego, dowódca zwiadu)

porucznik Brantley Jordan (dowódca zespołu minerskiego)

porucznik Zane Green (grupa dowodzenia)

porucznik Brian Slocum (grupa dowodzenia)

st. bosman Chris CRiordan (nurek)

bosman Brian Ingram (strażnik przyboczny por. Rougeau)

mat Mich Stetter (specjalista saper, asystent kmdra Peaveya)

mat Joe Little i mat Tony McQuade (zabezpieczenie rejonu lądowania i składu wyposażenia)

Lotnictwo morskie

komandor podporucznik Steve Ghutzman (starszy pilot transportowy)

Osoby bliskie

Kathy O'Brien (narzeczona i osobista sekretarka admirała Morgana)

**państwo Kermanowie (rodzice majora Raya Kermana) Rupert Studley-Bryce
(parlamentarzysta brytyjski, szkolny przyjaciel majora Kermana)**

PROLOG

Niedziela, 19 lutego 1995 r.

Kapitan Ray Kerman drżał z zimna. Na wpół zamarznięty leżał na lodowatej betonowej posadzce celi. Tak przynajmniej myślał, w rzeczywistości jednak przybrał pozycję embrionalną; ciasno zwinięty w kłębek bezwiednie starał się chronić własne ciepło, zanurzony plecami w kilkucentymetrową warstwę zimnej wody... lub czegoś gorszego.

Zdjęto mu worek z głowy, ale nie oddano butów; pozostawiono go tylko w podartych, zakrwawionych skarpetkach. Spodnie i koszula pokryte były błotem, a ciepłą kurtkę mundurową zabrano mu na samym wstępie. Teraz halucynacje się nasilały; Kerman dryfował na psychicznym bezdrożu, zawieszony pomiędzy rzeczywistością a ułudą. W ponurej, mroźnej ciemności nie był nawet pewien, czy ma otwarte, czy zamknięte oczy. Gdzieś tam był dzbanek z wodą, ale nie chciał go szukać w obawie, że macając na oślep, może go przewrócić. Leżał więc tak zwinięty, ze splekanymi wargami, szarpany tak okrutnym, bolesnym chłodem, że omal serce mu od niego nie stanęło.

Przyszli po niego o drugiej nad ranem. Wywlekli z celi, popychając i szturchając, poprowadzili korytarzem i wrzucili do jakiegoś pomieszczenia. Obaj oprawcy mieli na sobie mundury którejs z wschodnioeuropejskich armii, choć teraz prawie nie widział ani ich, ani niczego innego, oślepiiony skierowanym na niego jarzeniowym reflektorkiem. Po chwili do pokoju weszło dwóch młodych oficerów w podobnych mundurach; jeden z nich wziął Raya pod brodę i powiedział po angielsku z ciężkim obcym akcentem:

–Powiesz nam, jakie miałeś zadanie, to oszczędzisz sobie

bicia do nieprzytomności... to moja specjalność – dodał. – Uwielbiam łać wścibskich szpiegów. Co robiłeś na bagnach?

–Nazywam się Ray Kerman, kapitan, numer pięć trzy osiem sześć dwa cztery.

Oficer podszedł do ściany i wrócił z drewnianą pałką.

–Widzisz to? Zaraz dowalę ci prosto w nos. Już nigdy nie będziesz wyglądał tak, jak przedtem. – Uniósł pałkę wysoko nad głowę i wrzasnął: – Gadaj albo ci przefasonuję buźkę!

–Nazywam się Ray Kerman, kapitan, numer pięć trzy osiem sześć dwa cztery.

Trzymali go tam przez trzy godziny, na przemian grożąc i przekonując. Straszili, że rozstrzelają jego kolegów, że dostanie dwadzieścia lat więzienia, namawiali, by zdradził, co wie o Opactwie. W końcu zawlekli go z powrotem do celi, związali i zarzucili worek na głowę. Była północ, kiedy dobiegł go tupot podkutych butów, a potem charakterystyczny, nie do pomylenia odgłos bicia. Ktoś gdzieś niedaleko obrywał solidne lanie: najpierw pięściami, później nogami,

najpewniej w tych podkutyh buciorach. Rozległy się jęki, coraz głośniejsze, przechodzące w krzyk. Czyjś błagalny głos wołał: „Nie, nie! Proszę, nieee!!!”

Nagle ktoś otworzył z hałasem drzwi jego celi. Został brutalnie poderwany na nogi. Zerwano mu worek z głowy i jeden z przybyłych złapał go mocno za włosy.

–Dobra, spróbujemy teraz innej metody.

Krzyki na korytarzu były coraz głośniejsze. Nieznany mężczyzna zebrał o litość.

–Nazywam się Ray Kerman, kapitan, numer pięć trzy osiem sześć dwa cztery.

Przez całą noc nie dali mu zasnąć. Zarzucali pytaniami, domagali się informacji i bez przerwy grozili. Ten sam oficer wymachiwał mu przed nosem pałką, drugi ciął powietrze szpicrutą. Dali mu trochę wody, ale nic poza tym. Zagrozili, że jeśli nie będzie współpracował, zaczną torturować Andy'ego. Potem dodali, że jego upór i tak nie ma już znaczenia, ponieważ Charlie się załamał i wszystko wyśpiewał. Od niego potrzebują już tylko potwierdzenia, ponieważ jest oficerem. Niech im po prostu opowie o szczegółach operacji na bagnach.

–Nazywam się Ray Kerman, kapitan, numer pięć trzy osiem sześć dwa cztery.

Wrócił do celi o siódmej. Na śniadanie dostał stęchły chleb. Potem budzili go co pół godziny przez cały dzień i następny wieczór, aż do północy, w sumie trzydzieści cztery razy wpadając do celi. Od północy zaczęli puszczać ogłuszającą muzykę, kiepskiego rocka. Ray musiał zatykać uszy z całej siły, by choć trochę uciec od hałasu. Po jakimś czasie zmienili mu celę na inną, gdzie kałuże lodowatej wody na podłodze były jeszcze głębsze, i zostawili w spokoju na parę godzin, dając mu pospać. Obudzili go, wylewając nań całe wiadro zimnej wody, i znów zaciągnęli do pokoju przesłuchań. Teraz już Rayem wstrząsały potężne dreszcze.

W oczy świeciły mu aż cztery silne lampy. Przesłuchiwało go dwóch nowych ludzi; jeden sympatyczny, rozsądny, skłonny do targów, drugi – nie ogolony osiłek, grożący torturami i biciem – tarosił go, obrzucał obelgami i wrzeszczał. A Ray powtarzał tylko jak automat swoje:

–Nazywam się Ray Kerman, kapitan, numer...

Nie wiedział już, czy to noc, czy dzień. Zupełnie stracił poczucie czasu. Nie miał pojęcia, jaka jest data, gdzie się znajduje i czy w ogóle istnieje. Odarty z godności, pozbawiony większości odzienia, piekielnie głodny, dygoczący z zimna, nie panujący nad słowami ani czynami wiedział, że lada chwila się załamie. Został mu już tylko bunt. Twardy, zacięty upór. Tego nie mogli mu zabrać. Ale niestrudzenie próbowali i przyprowadzali do celi przesłuchań, wrzeszczeli, odprowadzali, wrzucali do wody, która za każdym razem wydawała mu się głębsza. Nie miał ani kawałka suchego miejsca do siedzenia; leżał tylko na betonie i drżał, starając się zasnąć, nie zwracać uwagi na krzyki torturowanych ludzi, które już słyszał i na jawie, i we śnie.

Zdawało mu się, że musi być noc, kiedy na schodach znów zadudniły kroki jego dwóch prześladowców i drzwi celi gwałtownie się otworzyły. Szarpnięciem postawili go na nogi, poprowadzili na górę i ściągnęli z głowy worek. Ray znalazł się oko w oko z oficerem wyższego stopnia, w innym mundurze niż pozostali. Halucynacje mieszały mu się z rzeczywistością. Instynktownie, automatycznie wyszeptał:

–Nazywam się Ray Kerman, kapitan, numer...

Ku jego niezmiernemu zdumieniu oficer wyciągnął do niego rękę.

–Cześć, Ray – powiedział. – Witamy w SAS. I niech ktoś wreszcie wyłączy te cholerne taśmy! A więc, Ray... Przejdźmy do mesy oficerskiej. Jest piąta rano. Możesz się wykapać, zjeść jakieś śniadanie, a potem spać, choćby cały dzień. Czeka na ciebie czysty mundur. Myślę, że mógłbyś lecieć z powrotem do Hereford około szesnastej trzydzieści. Poszło ci bardzo dobrze... naprawdę bardzo dobrze... choć z żalem przyznaję, że nie był to dobry nabór. Z osiemdziesięciu kandydatów tylko pięciu zdało egzamin.

–Ktoś znajomy? – wykrztusił Ray.

–Tak. Ten młody porucznik James z desantowej przeszedł, kapral Charlie Rider, z którym byłeś na bagnach, także... Wielu chłopaków tam odpadło podczas ciągnięcia za jeepem. Twój inny kumpel, sierżant Bob, pękł chyba ze dwie godziny temu na przesłuchaniu.

–Chryste, wy to wiecie, jak przepuścić człowieka przez piekło...

–Wiemy też, czego szukamy. I nikt nie udaje, że odwaga na taką skalę jest czymś powszechnym.

–Nie, sir... Chyba nie jest.

Poniedziałek, 20 lutego 1995 r., godzina 10.00. Biuro dowódcy 22. pułku SAS w Stirling Lines, Hereford

Kapitan Ray Kerman stał przed podpułkownikiem Russellem Makinem na baczność.

–Z największą przyjemnością witam pana w pułku, kapitanie Kerman. Wiem z pańskiego dossier, że w Sandhurst* zdobył pan „Miecz”, a więc nie po raz pierwszy się pan wyróżnił. Jestem przekonany, że tu, w Special Air Service, znajdzie pan niejedno zastosowanie dla pańskich niewątpliwych talentów.

* Siedziba brytyjskiej Królewskiej Akademii Wojskowej. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

–Dziękuję, sir.

–Podczas szkolenia i indoktrynacji zorientował się pan, czego wymagamy. Mam nadzieję, że doda panu ducha wiadomość, iż absolutnie każdy, kto tutaj służy, przeszedł te same kursy i

egzamin, które pan właśnie zakończył. Nie jesteśmy podobni do innych pułków, ale kiedy przyjdzie czas na bój

naszym stylu, przekona się pan, że znalazł się wśród najlepszych praktyków naszej profesji.

–Tak jest, sir. Z pewnością tak będzie.

Dowódca podszedł do Raya i wręczył mu charakterystyczny, upragniony beżowy beret SAS z emblematem pułku, pionowo ustawionym skrzydlatym sztyletem, pod którym wyhaftowane było motto jednostki: Who dares, wins. Śmiały wygrywa.

I tak cztery minuty po dziesiątej w ten poniedziałkowy rano kapitan Raymond Kerman został przyjęty w szeregi jednej z dwóch najlepszych na świecie jednostek bojowych; drugą jest amerykańska formacja US Navy SEALs, której czterech przedstawicieli rezydowało w Hereford, kiedy Ray po raz pierwszy nałożył beżowy beret. Zsalutował dowódcy, wykonał w tył zwrot i opuścił biuro. Przy tej skromnej ceremonii nie było nikogo innego i tylko ci, którzy kiedykolwiek służyli w SAS, pojęliby jej znaczenie. Lecz żołnierska dusza to żelazny przełożony... Na twarzy Raya Kermana lśnił szeroki uśmiech.

ROZDZIAŁ 1

Środa, 12 maja 2004 r., godzina 19.00. Obóz szkoleniowy SAS (antyterrorystyczny), Płd. Izrael (Lokalizacja: tajna)

Major Ray Kerman, obecnie odbywający drugi okres służby* w pułku, stał zapatrzony ku zachodowi, w stronę pustynnego miasta Beer Szewa. Mimo że słońce stało już nisko nad horyzontem i wiał nieustający wiatr, u podnóża gór Dimo-na powietrze wciąż jeszcze drżało, unosząc się znad rozgrzanej ziemi. Zaledwie o sto metrów od „fortecy” SAS przez piaszczyste bezdroża sunęła bezgłośnie długa beduińska karawana. Długie cienie wielbłądów sięgały niemal do miejsca, w którym stał Ray. Patrzył na zakapturzonych mężczyzn, kołyszących się zgodnie z niestrudzonym rytmem wielbłądziego chodu. Wydawało się, że nomadzi z pustyni Negew nie zwracają na nic uwagi, a już najmniej na smagłego i barczystego oficera w izraelskim mundurze. Major czuł jednak na sobie ich spojrzenia i rozumiał, że dla Beduinów z Zachodniego Brzegu zawsze będzie intruzem.

Na ogół widywał ludzi z pustynnych plemion w innej roli. Na beduińskim targu w Beer Szewie do potencjalnego klienta często się wyciągała przyjazna dłoń, ale jak trafnie zauważył jego podkomendny, sierżant Fred O'Hara, „ci face-

* W armiach m.in. Wielkiej Brytanii i USA zawodowa służba wojskowa dzieli się na tzw. okresy służby (tour of duty), podczas których żołnierz czy oficer jest przydzielony do danej jednostki i funkcji. Polskim odpowiednikiem mogłoby być pojęcie „odkomenderowania na czas określony” lub „przydziału służbowego” czy też – według najnowszej terminologii z ery „natowskiej” – „kontraktu służbowego” (zwłaszcza w odniesieniu do początkujących oficerów).

14

ci rzuciliby się obciągnąć Mosze Dajanowi, gdyby mieli nadzieję sprzedać mu choćby używaną marchewkę”. Ray jednak postrzegał ich inaczej. Zanim rozpoczął ten pierwszy okres służby na Bliskim Wschodzie, przeczytał prace dobrego arabisty, Wilfreda Thesigera. Przybył do Izraela pełen podziwu dla szlachetnych tubylców z bezkresnej, gorącej i niemal pozbawionej życia pustyni Negew, którzy w razie konieczności mogą przez tydzień obywać się bez wody i jedzenia; których nie pali bezlitosne słońce i nie ziębią ostre zimowe noce; którzy mogą znosić najokrutniej sze wyrzeczenia i nie ugiąć się przed nikim i niczym. Ci ludzie godzą się z nieuchronną śmiercią tylko w jednym wypadku: kiedy padną ich wielbłądy.

Angielski oficer dobrze pamiętał pierwszego Beduina, którego mu przedstawiono w Beer Szewie: wysokiego nomadę w długiej szacie, handlującego na targu kozami i owcami. Mężczyzna długo i niewzruszenie patrzył mu w oczy; jest to tradycyjny na pustyni znak nawiązania kontaktu. W końcu dotknął czoła i z gracją, płynnym ruchem przesunął dłoń w dół w muzułmańskim geście pozdrowienia.

–As salam aleikum, majorze – powiedział cicho. – Pokój z tobą. Nazywam się Raszid. Jestem Beduinem.

W mgnieniu oka Ray Kerman zrozumiał, co miał na myśli Wilfred Thesiger, pisząc o beduińskiej uprzejmości, odwadze i odporności, o ich cierpliwości i niewymuszonej galanterii. „Nie ma na świecie innego ludu, wśród którego czułbym się tak małym człowiekiem” - brzmiało jedno z zapadających w pamięć zdań arabisty. Ray wiedział, że to wiele znacząca pochwała. Thesiger był nie tylko jednym z zaledwie dwóch białych ludzi, którzy przebyli morderczą trasę poprzez „Pusty kraj” w południowo-wschodniej części Półwyspu Arabskiego, ale też czempionem boksterskim w Oksfordzie i żołnierzem SAS podczas wojny. Co więcej, twardy jak dąb Thesiger był wychowankiem Eton. Murów tej szkoły dla angielskiej elity przez ponad pięćset lat istnienia nie opuścił ani jeden uczeń, który mógłby czuć się mały wobec kogokolwiek, a cóż dopiero wobec poganiacza wielbłądów. Ray wiedział co nieco o etoń-czykach; ukończył rywalizującą z Eton „parweniuszowską” szkołę publiczną Harrow, Alma Mater sir Winstona Chur-

m

chilla, uczelnię protestancką założoną „dopiero” w 1571 roku, za panowania Elżbiety I.

Teraz Ray stał wpatrzony w ciągnącą na zachód, znikającą wśród wydm karawanę. Wiedział, że zatrzyma się na noc w oazie, zanim o świtaniu stanie na targu. W opuszczonej luźno ręce trzymał pistolet maszynowy HecklerKoch. Po raz kolejny rozmyślał o czekającej go dzisiaj akcji.

–Naprawdę nie chciałbym, żeby skończyło się na strzelaniu do tych ludzi – szepnął do siebie. – Czy w ogóle powinienem był przyjąć to dowództwo?

Major Kerman, mimo nienagannego przebiegu służby w SAS i niezaprzeczenie żydowskiego nazwiska, nie był tym, kim się wydawał. Jego rodzice, Irańczycy wychowani w wierze mahometańskiej, wywodzili się z arabskiego plemienia nomadów, z okolic miasta Kerman w południowej części kraju, na obrzeżach rozległej Pustyni Lota, Dasht-e Lut. Kiedy we wczesnych latach siedemdziesiątych XX wieku stało się jasne, że szach musi upaść, zamożne małżeństwo wraz z malutkim synkiem Rawim wyemigrowało do Londynu. Zajęli się importem dywanów z rodzinnej fabryki w Ker-manie. Kwitnąca brytyjska gospodarka z czasów Margaret Thatcher stwarzała dla nich świetne perspektywy. Pan Reza Raszud stał się Richardem Kermanem, przybierając nowe nazwisko od starego miejsca zamieszkania, zgodnie z praktyką wielu bliskowschodnich rodzin imigranckich. W górzystym regionie na północ od Bandar Abbas dziesiątki plemiennych rzemieślników tkalo piękne dywany, a Richard Kerman otwierał sieć hurtowni w południowej Anglii. Zainwestował w niewielkie przedsiębiorstwo żeglugowe i wkrótce kosztowne wełniane i jedwabne produkty płynęły już przez Kanał Sueski i Morze Śródziemne do Southampton jego własnymi statkami. Z drobnicowców przerzucił się na zbiornikowce i zaczął zgarniać krociowe zyski, powszechne w tym biznesie w latach osiemdziesiątych. Oprócz perskich dywanów importował też nieprzerwanie to, na czym znał się najlepiej: doskonale irańskie daktylę z okolic innego prastarego miasta w tej samej prowincji, XII-wiecznej twierdzy Bam. Większość tych owoców, wysyłanych do Anglii setkami ton, pochodziła z plantacji należących do rodziny Raszudów.

Nie minęło wiele lat, a państwo Kermanowie mogli już zamieszkać w drogim domu na słynnej ulicy milionerów w północnej części Londynu, Bishop's Avenue, po sąsiedzku z daw-

lą ambasadą kambodżańską. W garażu stanęły dwa bliźniacze rolls-royce'y silver ghost, a o godzinę drogi na zachód

autostradą M4, w wiosce Lambourn w hrabstwie Berkshire, trenowało sześć szlachetnej krwi koni wyścigowych, które sezonie letnim walczyły na torach w czarno-szkarłatnych

)arwach rodziny.

Mały Rawi Raszud, przyzwyczajony do gorących, pylis-tych ulic pustynnego miasta, stał się Raymondem Ker-manem. Po sześciu latach edukacji w jednej z najdroższych szkół podstawowych w Londynie miał już paszport brytyjski i jako trzynastolatek wstąpił w mury Harrow, „drugiej najlepszej płatnej szkoły w kraju”, jak mówią o niej nawet ci z Eton, od dawna będącej przystanią dla bliskowschodnich elit.

Na kwestionariuszu osobowym chłopca, w rubryce „wyznanie”, Richard Kerman napisał: „anglikańskie”, jako miejsce urodzenia zaś podał londyńską dzielnicę Hampstead. Nie wymagano od niego okazania metryki ani żadnego innego dokumentu, który by ujawnił, że Raymond Kerman to w istocie Rawi Raszud, urodzony gdzieś na południu Iranu. Papa Kerman wyznawał pogląd, że w Anglii nie jest rozsądnie odróżniać się od większości społeczeństwa, ponieważ dla kręgów londyńskiej socjety jest to niepokojące.

Kiedy młody Ray rozpoczynał naukę w Harrow, przyjęto, że zapomniał prawie wszystko, co wiedział o islamie. I tak też było. Prawie. Jego matka jednak, do niedawna jeszcze Naz Allam Raszud, była znacznie bardziej religijna od swego męża. Gdy Ray skończył siedem lat, posłała go na cykl prywatnych lekcji do starszego imama meczetu w północnym Londynie. Siedziała z boku w milczeniu, słuchając, jak synek poznaje uproszczoną, podstawową wersję Koranu, księgi boskich objawień spisanych w stu czternastu surach. Na tych lekcjach zakończyła się jego edukacja religijna. Było to na krótko przed rozpoczęciem przez Raya nauki w szkole podstawowej w Knightsbridge. Richard Kerman dobrze tego dopilnował, postarał się też, by jego syn uczestniczył wraz

z przeważającą większością uczniów Harrow we wszystkich mszach w kościele anglikańskim. Ani razu się nie zdarzyło, aby dołączył do którejs z separatystycznych grupek czy to katolickich, żydowskich czy muzułmańskich, których rodzice upierali się przy przynależności do własnych religii.

Powszechnie przyjmowano, że Ray Kerman musiał mieć żydowskiego dziadka albo coś w tym rodzaju. Harrow jest jednak bastionem tolerancji i nikt nigdy go w tej kwestii nie indagował. Zresztą Ray okazał się jednym z najsprawniejszych chłopców w historii szkoły, czołowym zawodnikiem w drużynie krykieta i brutalnie silnym napastnikiem w zespole rugby, któremu kapitanował. Tacy chłopcy nigdy nie muszą odpowiadać na głupie pytania.

Wniosek o stypendium i przyjęcie do Sandhurst przygotował za niego dyrektor szkoły, korzystając ze szkolnej bazy danych. Ray Kerman wstąpił do armii brytyjskiej bez najmniejszego śladu swojego poprzedniego wcielenia w aktach. Jego świadectwo, także wypełnione i podpisane osobiście przez dyrektora Harrow, zrobiło takie wrażenie, że nikomu nie przyszło do głowy żądać od Raya metryki urodzenia. I tak dawny Rawi Raszud, reprezentacyjny sportowiec Harrow, syn zamożnych i znanych w towarzystwie rodziców z północnego Londynu, spadkobierca firmy armatorskiej, anglikanin, został podporucznikiem Raymondem Kermanem, prymusem Królewskiej Akademii Wojskowej.

Pierwszy przydział służowy otrzymał do pułku piechoty Devon Dorsets, jednostki, do której tradycyjnie kierowano żołnierzy z południowo-wschodniej Anglii. Stamtąd właśnie trafił do SAS, przechodząc brutalny, bezlitośnie obnażający słabości proces rekrutacyjny. Potem przez cztery lata służył w kampanii kosowskiej, a następnie brał udział w akcji ratunkowej w Sierra Leone, za co otrzymał cenione odznaczenie bojowe – królewski medal za odwagę.

Wrócił do pułku w Hereford w stopniu kapitana, jako uznany w SAS „twardziel”, ekspert w walce wręcz, wykwalifikowany saper i sprawny operator radiowy. Odbył przeszkolenie w zakresie rakiet krótkiego zasięgu, nawigacji, strategii i specjalnych środków transportu na wszelkich rodzajach terenu. Jego specjalnością stały się akcje polega-

jące na penetracji obiektów nieprzyjaciela. Pułk wysłał go też do tajnej wojskowej szkoły językowej w Buckinghamshire, gdzie opanował arabski. Miał teraz trzydzieści cztery lata i wciąż pozostawał kawalerem.

Po ponownym powołaniu na drugi okres służby w SAS w roku 2002 Ray Kerman został mianowany dowódcą niewielkiego, ale wysoko wykwalifikowanego zespołu specjalistów, mających szkolić żołnierzy IDF w taktyce antyterrorystycznej. Ta ściśle tajna operacja była w całości opłacana przez rząd Izraela. Zespół Raya składał się z sześciu podoficerów o dużym doświadczeniu we wszystkich dziedzinach sztuki wojennej.

Na tydzień przed wyjazdem z Hereford do bazy na pustyni Negew kapitan Kerman został wezwany do dowódcy pułku. Dowiedział się tam, że ministerstwo obrony zatwierdziło jego awans na majora.

– Mogę powiedzieć, że ku naszemu powszechnemu zadowoleniu – dodał dowódca. – Zasłużyłeś na to, Ray.

Major Kerman już wtedy był nieprzeciętnym żołnierzem nieprzeciętnego pułku. Teraz od kilku tygodni tkwił na pustyni, przeważnie na terenie otoczonego zasiekami i zakamuflowanego ośrodka SAS z makietą zabudowy miejskiej wzniesioną dla celów szkolenia Izraelczyków w walkach ulicznych. SAS cieszy się olbrzymim szacunkiem w armii izraelskiej, a major Kerman, surowy i nie uznający kompromisów oficer, traktował swoje obowiązki śmiertelnie poważnie. Nie był szczególnie lubiany, ale szybko zdobył sobie uznanie i respekt. Podobnie jak jego ojciec, Ray nie grzeszył humorem, za to miał tę samą dozę twardości w wybranym zawodzie, jaką teraz niestrudzenie starał się zaszczepić swoim izraelskim podopiecznym. Doprowadzał ich do kresu wytrzymałości, dopingując, zmuszając do maksymalnego wysiłku, na przemian mieszając z błotem i chwaląc, by osiągnęli najwyższą sprawność. Przez cały czas wbijał im do głów credo SAS: „Trenuj ostro, walcz lekko”.

Z rzadka tylko wypuszczał się z obozu do pobliskich miasteczek: Beer Szewy na wschodzie i Hebronu na północy, "ebron, miejsce wiecznego spoczynku Abrahama, Izaaka i Jakuba, święte i dla chrześcijan, i dla Żydów, i dla maho-

metan, było punktem zapalnym wielu morderczych starć. Już w 1929 roku doszło tam do masakry: ekstremiści islamscy wymordowali całą mniejszość żydowską w miasteczku. Od tamtej pory trwały tam nie kończące się rzezie, wszczynane to przez jedną, to przez drugą stronę. W roku 1994 żydowski fanatyk wystrzelał trzydziestu modlących się muzułmanów. Niewiele się zmieniło na lepsze, kiedy w roku 1997 zachodnia część miasta znalazła się w granicach palestyńskiej strefy autonomicznej. Rozruchy i bezwzględne represje ze strony wojska nadal są na porządku dziennym wokół grobu Abrahama.

Pierwsza wizyta Raya w Hebronie była zarazem jego pierwszym zetknięciem z ludnością arabską. W towarzystwie swojego przybocznego, rudowłosego sierżanta Freda O'Hary z Irlandii, wędrował po labiryncie wąskich uliczek kasby, przyglądając się palestyńskim kupcom, artystom rzeźbiącym w drewnie oliwnym, rzemieślnikom wyrabiającym słynne barwne szkło, straganiarzom sprzedającym owoce i warzywa. Obaj mieli na sobie cywilne ubrania, starając się udawać turystów. Jedli słodkie, blade hebrońskie brzoskwinie, uznawane za najlepsze na świecie.

Wycieczka była właściwie służbowa. Obaj komandosi zapoznawali się z topografią miasta, ponieważ znów zaczęły krążyć pogłoski o gromadzeniu przez Palestyńczyków broni i materiałów wybuchowych. Major miał kieszonkowe wydanie przewodnika turystycznego i przez całe popołudnie robił w nim notatki. Ray dobrze wiedział, że sam się urodził w podobnym mieście, może mniejszym i nie tak znaczącym, ale też położonym na skraju wielkiej pustyni, zamieszkanym przez ludzi w długich szatach i wyznających islam. Jak ci Arabowie z Hebronu, jego ziomkowie musieli w znoju i trudzie pracować na utrzymanie na tak samo gorącym i pylistym rynku. Ray zastanawiał się, czy gdzieś głęboko w jego podświadomości wciąż żyje pamięć tamtego miejsca, gdzie jako mały Rawi Raszud spacerował u boku okrytej czadorem matki, zajadając brzoskwinie. Ale długie lata spędzone w Londynie, w angielskich szkołach, w kasynach oficerskich, pod wpływem wyłącznie zachodniej cywilizacji zepchnęły wszelkie wspomnienia z dzieciństwa gdzieś w mroki niepamięci.

Jest majorem Raymondem Kermanem, a ci Arabowie są mu obcy, choć tak bliskie z nimi obcowanie przypomniło mu niektóre historie zasłyszane ćwierć wieku wcześniej od brodatego saudyjskiego imama w meczecie w północnym Londynie. Część z nich pamiętał wyraźnie, ale zwłaszcza jedna tkwiła mu żywo w pamięci – cytat z Koranu, którego wyuczył się na prośbę nauczyciela:

Każdy z was i wszyscy razem

Trzymajcie się liny Bożej wiary

I nie rozdzielajcie się nigdy.

Pamiętajcie o Bożych błogosławieństwach,

Albowiem byliście nieprzyjaciółmi,

On zaś zjednoczył wasze serca

I teraz jesteście braćmi.

Jak przypuszczał, wszyscy ci zarośnięci mężczyźni w długich dżellabach znali te same słowa. Dziwnie się czuł z tą świadomością. Ponadto chodziło jeszcze o coś innego: spacerując tak pośród zabudowań Hebronu, miał nieodparte poczucie *deja vu*. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział takie domy o symetrycznych płaskich dachach i z łukami czy takie wąskie uliczki, a przecież wydawały się mu nieobce; skądś znał nawet ich żółtawe cegły, tu i ówdzie wystające spod wykruszonego tynku.

To dziwne uczucie nie było zbyt silne i Ray odepchnął je gdzieś w zakamarki umysłu. Obaj z Fredem porównywali swoje spostrzeżenia co do możliwych pozycji snajperów, którzy bez wątpienia się pojawiają, gdy tylko Izraelczycy rozpoczną jakąkolwiek akcję przeszukiwania miasta. Gawędzili z Arabami i Ray zagadał się zwłaszcza z jednym z nich, młodym mężczyzną przed trzydziestką, sprzedającym kozy. Było oczywiste, że jest Beduinem, i Ray czuł do niego sym-Patię. Podobał mu się jego miękki głos, uprzejmość i naturalne pogodzenie się z faktem, że wkrótce musi wrócić ze swymi wielbłędami i stadem rogacizny na pustynię, gdzie powietrze już drżało w narastającym skwarze dnia. Pomyślał nawet, że młody Beduin mógłby być nie najgorszym żołnierzem SAS.

Późnym popołudniem Ray i Fred przeszli z dużego sektora palestyńskiego (oznaczonego oficjalnym kryptonimem H-1) ulicą Al-Shuhada do izraelskiej części Hebronu (H-2). Przebrnęli przez targ nieopodal niewielkiego żydowskiego osiedla na skraju starego miasta i skierowali się

do monumentalnego Grobu Patriarchów, miejsca wiecznego spoczynku Abrahama i jego rodziny. Autorzy przewodnika napisali, że w tym właśnie miejscu Bóg powierzył Abrahamowi rolę ojca narodu żydowskiego. I kto wie, czy grobowiec oprócz szczątków jego samego, Izaaka i Jakuba nie kryje także kości wszystkich dwunastu synów tego ostatniego, a może nawet samych Adama i Ewy. Stojąc na nierównym, piaszczystym placu przed tą uświęconą budowlą, Ray znowu doznał tego dziwnego uczucia. Obok niego znalazła się grupka odzianych na czarno Arabów, jak on wpatrzonych w masywne ściany grobowca. Miał przedziwną pewność, że już to kiedyś widział, a w każdym razie coś bardzo podobnego. Serce zabiło mu żywiej, kiedy usiłował wydobyć to z pamięci. Wiedział bowiem dobrze, że nigdy przedtem nie był nawet w promieniu tysiąca mil od Hebronu, a jednak gdzieś w nim kryły się odległe obrazy, które teraz starał się przywołać. Był tam długi pasaż krytego, ludnego bazaru, gdzieś w dalekim kraju. Był też wielki budynek z żółtawego kamienia. Widywał go właśnie z tego pasażu, co dobrze pamiętał. Nie mógł jednak sobie przypomnieć żadnych szczegółów. W jego pamięci nie zachowały się wyraźniej widoki z dzielnicy Bazar-e Vakil, gdzie spędził najwcześniejsze lata życia, nawet podziemnej, sklepionej herbaciarni, gdzie tak często rodzice kupowali mu słodycze. Grób Patriarchów budził niejasne skojarzenia z wyniosłym meczetem Jame, ale ta największa budowla widziana w dzieciństwie pozostawała mglistym, niewyraźnym wspomnieniem. Mijał ją wielokrotnie z matką, idąc ulicą, na której wtedy mieszkali, ale i ona, jak jego nazwisko i cała tamta przeszłość, zniknęły z jego pamięci.

–O czym pan tak дума, sir? – spytał sierżant O'Hara. – Chce pan wejść do środka?

–Raczej nie, Fred. – Major potrząsnął głową. – Na nas już pora. Ściągnij tu kierowcę, dobra? Powiedz mu, że jesteśmy po południowej stronie grobu przy głównym wejściu.

Sierżant natychmiast wybrał numer, po czym wydał izraelskiemu kapralowi zwięzłe polecenie. Major Kerman znowu znalazł się sam na sam z własnymi myślami i sekretami. I dobrze się złożyło, w tej bowiem chwili zadawał sobie pytania, które nie wzbudziłyby zachwyty nie tylko wśród jego kolegów z SAS, ale i w eleganckiej willi na Bishop's Avenue 86 w dalekim Londynie. „Dlaczego tak lubię i podziwiam tych ludzi? Czy to tylko wpływ Wilfreda Thesigera? Czy może jest w mojej krwi coś, czego nie mogę pojąć? Dlaczego czuję się na tej pustyni jak w domu?”

Po raz pierwszy w życiu pomyślał też, kim właściwie, u diabła, jest? Czyżby tu, ramię w ramię z ostatnimi prawdziwymi Beduinami z Negew, był właśnie wśród swoich?

Tego wieczoru o dwudziestej drugiej major Kerman stał przed frontem zespołu SAS, który wkrótce miał się załadować do izraelskiego śmigłowca i odlecieć w kilka różnych miejsc. Jak zwykle rzeczowym tonem wydawał ostatnie instrukcje.

– Jak wiecie, sytuacja w Izraelu nadal jest bardzo napięta. USA, ONZ i Unia Europejska naciskają na rząd, aby wznowił negocjacje pokojowe z przywódcami palestyńskimi i wszedł na drogę trwałego rozejmu ze światem arabskim. Wszyscy wiemy też, że to cholernie trudne. Myślę, że Izraelczycy i tak starali się działać powściągliwie pomimo częstych aktów terroru ze strony takich grup jak Hamas i Dżihad. Ostatnie przypadki agresji i samobójczych ataków na ludność cywilną w Jerozolimie i Tel Awiwie były dziełem organizacji, których strategicznym celem jest całkowite zniszczenie państwa izraelskiego. I tu się zaczyna nasza rola. Dlatego tu jesteśmy. – Ray przerwał i zaczął chodzić wzdłuż zawieszanej na ścianie dużej mapy okolic Hebronu. – Dziś w nocy na wyraźne życzenie rządu Izraela wojsko dokona skoordynowanej akcji militarnej na dużą skalę. Chodzi o przeczesanie kilku palestyńskich miast na Zachodnim Brzegu i w rejonie Gazy... terytoria „A”, o których wcześniej mówiliśmy. Zadania są proste: wykurzyć z nor przywódców terrorystów i przechwycić ich arsenały i sprzęt minerski. Nie będziemy udawać, że operacja jest łatwa, bo nie jest. Prawie

na pewno będzie wyjątkowo brudna. Niemniej mamy przewagę, powinna więc zakończyć się sukcesem. Co więcej, rząd izraelski jest przekonany, że żadne inne siły arabskie nie przyjdą Palestyńczykom z pomocą, zwłaszcza że operacja jest zaplanowana na tak krótki czas. Musicie pamiętać, że nasza rola jest tu bardzo jasno określona: mamy pomagać i doradzać Izraelczykom. Większość ich dowódców została przez nas przeszkolona, więc raczej wiedzą, co robią. Musimy jednak zachować czujność i być gotowi do udzielania im porad na bieżąco, w zależności od sytuacji. Wszyscy ludzie z SAS będą mieli na sobie izraelskie mundury i hełmy, ale bez odznak. Każdy ma swoją osobistą broń, pistolety maszynowe HecklerKoch MP-5, ściśle do obrony własnej. Możecie ich użyć tylko w ostateczności.

Ray Kerman doskonale zdawał sobie sprawę, że ta operacja będzie przebiegała w warunkach silnego stresu i nie można wykluczyć ewentualnych nerwowych reakcji. Hebron był teraz wrzącym kotłem. Najdrobniejszy incydent może stać się zarzewiem poważnego starcia. Nie chciał stracić swoich najlepszych ludzi w bezsensownej strzelaninie na zakurzonych uliczkach Zachodniego Brzegu, powtarzał więc ostrzeżenie za ostrzeżeniem.

–Jeśli uda się nam przez to przejść bez jakiegoś szaleństwa, będzie to pieprzonym cudem. Ale to nie może być nasze szaleństwo. Każdy z nas będzie przydzielony do któregoś z izraelskich oddziałów szturmowych, ale postarajcie się zachować zimną krew. Udzielajcie rad ostrożnie, ale uważajcie, żeby ktoś nie zrobił jakiegoś naprawdę piramidalnego głupstwa.

Przedstawił potem strategię Izraelczyków; wyjaśnił, że tej nocy wojsko zaatakuje kilka rejonów w Gazie i główne enklawy palestyńskie na Zachodnim Brzegu, jak Dżenin, Nablus, Ramalla, Betlejem i Hebron. Zebrali już masę informacji wywiadowczych, przeprowadzili też zwiad i wybrali odpowiednie punkty wejścia na wyznaczone tereny. Rezerwiści zostali zmobilizowani i znajdują się już w macierzystych jednostkach.

–Ja sam dołączę do jednostki atakującej Hebron -powiedział Ray. – Będą ze mną sierżanci O'Hara i Charlie

IZRAEL – KRAJ PODZIAŁÓW

WEWNĘTRZNYCH

Morgan. Będziemy postępować tak jak wy wszyscy. Pamiętajcie też, że ta wojenka raczej nie potrwa do jutrzejszego wieczoru, więc postarajcie się jak najlepiej wykorzystać tę możliwość bezpośredniego podglądania Izraelczyków w tak niebezpiecznej akcji.

Pół godziny później izraelski śmigłowiec z ludźmi z SAS wzbił się w powietrze i ruszył w stronę pierwszego wyznaczonego miejsca, ponurego budynku Sztabu Północnego, gdzie Ray Kerman, Fred O'Hara i Charlie Morgan mieli wysiąść, zanim dołączą do brygady Golan, jednostki, którą przydzielono do ataku na Hebron. Ray dobrze znał plan działania; sam go opracował. „Golańczycy” będą wspierani przez pluton czołgów, a pierwsi ruszą zwiadowcy z sił specjalnych, zaznajomieni z mapą miasta. Dodatkowe wsparcie zapewni batalion powietrznodesantowy. Saperzy i technicy uzbrojenia wyszkoleni w przeszukiwaniu zajmą się wykrywaniem palestyńskich arsenałów. Ray wielokrotnie podkreślał w rozmowach z przedstawicielami wszystkich izraelskich szczebli dowodzenia, że sukces operacji zależy w pełni od zdolności przedniej straży do otoczenia celu ścisłym kordonem tak, by nieprzyjaciel jej przedwcześnie nie wykrył. Skrytość działania i zachowanie tajemnicy są najważniejszymi elementami. Ostatecznie mieli to sobie wbić do głów na dwunastogodzinnej odprawie w Sztabie Północnym następnego dnia.

Major Kerman miał być oficjalnym obserwatorem działań bojowych przy połowym stanowisku dowodzenia brygady Golan w zachodnim Hebronie.

Piątek, 14 maja. Godzina 0100

Bataliony izraelskie zajmowały pozycje wyjściowe na całym Zachodnim Brzegu. Golańczycy zbliżali się do Hebronu z trzech stron z godną uznania sprawnością. Batalion „Barak”, posuwający się wzdłuż drogi numer 60 z kierunku Beer Szewy, już się zatrzymał o trzy i pół kilometra od rogatek miasta, na południe od maleńkiej wioski Beit Hagal. Żołnierze wysiedli z transporterów i dalej maszerowali w ciemnościach niemal bezszelestnie, z bronią gotową do strzału

i z najwyższą czujnością. Od zachodu, na drodze numer 35, batalion „Gedeon” uczynił to samo w okolicy wsi Beit Kahil. Major Kerman znajdował się przy trzecim batalionie, zwanym „Pączkami” z uwagi na to, że służą w nim najmniej doświadczeni poborowi. Do akcji szli z nimi ludzie z jednostki zwiadu „Egoz”. Transportery z przyćmionymi reflektorami okrążyły z daleka przedmieścia Betlejem, jadąc pośledniejszymi lokalnymi szosami, aby w końcu wynurzyć się na drogę numer 60 i zbliżyć do celu od północy, w okolicach El-Arub.

Dowódca sił izraelskich stacjonujących na stałe w żydowskiej części Hebronu już wcześniej potroił patrole zwiadowcze w pobliżu linii demarkacyjnej i w całym starym mieście; teraz jego koledzy z brygady Golan z wolna wkraczali na jego teren. O czwartej trzydzieści nad ranem gros sił znalazło się już w granicach miasta. Batalion „Barak” niezwłocznie zajął pozycje w okolicy Dżabal Abu Sneina, rozwijając kordon tuż na południe od Starówki, wzdłuż granicy między H-1 i H-2. „Gedeończycy” doszli do drogi Bir Al-Saba, a potem na północ ku obwodnicy Hebronu. Trzeci batalion stanął kordonem na całym północnym skraju miasta, zwiadowcy z „Egoz” zaś ruszyli na południe, ku linii demarkacyjnej, i potem wzdłuż ulicy Al-Qarantina.

W sztabie polowym brygady, znajdującym się na zachód od miasta, żołnierze wzniesli płot z drutu kolczastego, wyznaczając w ten sposób tymczasowy areszt dla Palestyńczyków. Ustawiono też namioty do przesłuchiwań, a także polowe ambulatorium. Człogi stanęły na obwodnicy, osłaniając podejścia do miasta od zachodu i północy. Inna jednostka trzymała straż od południa.

O piątej trzydzieści Hebron był zabezpieczony i zespoły specjalistów mogły ruszać do akcji. W sztabie major Kerman uważnie obserwował rozwój wydarzeń. Z pierwszym brzaskiem tego piątkowego dnia, kiedy horyzont na wschodzie już się jarzył czerwienią, dowódca brygady rzucił swoich ludzi na Pograżone jeszcze we śnie miasto. Weszli najpierw od północy- Zespoły poszukiwawcze przeczesywały cały teren, wchodziły do magazynów, warsztatów, a także do domów, w któ-

h zamieszkiwali znani ekstremiści. Z początku bardzo

niewiele osób aresztowano, nie napotymano też znacznego oporu mieszkańców. Kordon był zaciśnięty; nikt postronny nie miał dostępu do miasta, zresztą niewielu z przejezdnych miałooby ochotę wieść spory na ten temat z uzbrojonymi po zęby żołnierzami, zagradzającymi im drogę.

Dzielnica Ras al Dżura, zamieszкана tylko przez Palestyńczyków, została przeczesana w niespełna dwie godziny. Aresztowano kilku Arabów i znaleziono zaledwie kilka sztuk broni. Specjaliści ruszyli stamtąd na południe, po obu stronach ulicy Jerusalem, waląc pięściami w drzwi, wyłamując zamki, od czasu do czasu uruchamiając systemy alarmowe, które uciszali krótkimi seriami z pistoletów maszynowych. Metodycznie posuwali się ku centrum miasta, gdzie natrafiali na coraz więcej sklepów i magazynów z opuszczonymi żaluzjami, nie wahając się przed forsowaniem każdych drzwi. Nie było mowy o grabieży; chodziło wyłącznie o przeszukanie i Izraelczycy pracowali z żelazną dyscypliną, na którą major Kerman kładł silny nacisk podczas szkoleń. W już przeszukanych dzielnicach panował spokój, ponieważ nikt z Arabów, ani terrorystów, ani rzemieślników czy pasterzy, nie kwapił się ruszać w ślad za legendarnymi spadochroniarzami. Na przedzie jednak, począwszy od dziewiątej trzydzieści, pojawiły się problemy. Grupki arabskiej młodzieży zaczęły się gromadzić na wschód od ulicy Jerusalem, pomiędzy szeroką główną aleją handlową a linią demarkacyjną. Palestyńczycy zajmowali pozycje na drodze zespołów przeszukujących w rejonie Haarat Al-Szejk, na samym skraju Starego Miasta. Z początku rzucali w stronę żołnierzy tylko kpiny i obelgi, ale wkrótce w ślad za nimi poleciały i kamienie. Około dziesiątej fruwały już gęsto w powietrzu; z każdą minutą większe, aż do odłamków betonu ze zburzonych budynków. Chłopcy z wolna zbierali się w jeden wielki tłum, za wszelką cenę pragnący upokorzyć izraelskich żołnierzy. Nie mogli oczywiście wiedzieć, jak duże siły armia skierowała do Hebronu; nie ustawali w obelgach i miotaniu kamieni, stając wprost na drodze nadciągających patroli. Spadochroniarze natychmiast rzucili się naprzód i zaczęli strzelać w tłum gumowymi pociskami, po czym rzucili granaty z gazem łzawiącym. Pierwsza linia przeciwników ucierpiała najbardziej i zaczęła się wyco-

fywać, ale napięcie wyraźnie wzrosło, a na miejsce poszkodowanych wybiegli inni.

Żołnierze nie przestawali strzelać, a po stronie palestyńskiej do młodzieży dołączali dorośli. Cały scenariusz nabierał coraz bardziej szalonego tempa i zaciętości. I nagle oprócz kamieni pojawiły się butelki z benzyną, wybuchające płomieniami tuż pod nogami Izraelczyków. Przeszukiwanie miasta trwało jednak dalej; żołnierze wyłamywali drzwi, wpadali do magazynów i warsztatów, szukając wszędzie ukrytej broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Oślaniał ich ogień i – w równej mierze – sława spadochroniarzy, ale konflikt zaczynał przybierać poważne rozmiary. O dziesiątej piętnaście padły trzy kolejne salwy gumowych pocisków i kilku chłopaków padło na ziemię. Ich koledzy, nie wiedząc, czy są zabici, czy tylko ogłuszeni, pochylili się, by ich podnieść. Natychmiast poleciały w ich stronę granaty z gazem. Nastąpiła krótka przerwa, ale akurat w tej chwili jeden z zespołów przeszukujących włamał się do starego warsztatu w okolicy skrzyżowania Bab Al-Zawije. Mijały sekundy; w tłumie wciąż panowało zamieszanie wywołane zmasowanym atakiem, gdy Izraelczycy wypadli z warsztatu, wzywając transport do wywiezienia jednego z największych składów broni i trotylu, jaki w życiu widzieli. Kilku spadochroniarzy, widząc wyłaniającą się z budynku dużą grupę Arabów z podniesionymi rękami, rzuciło się aresztować i odprowadzić podejrzanych do przygotowanego więzienia polowego. Jak dotąd, nawet przy tak silnym oporze, żołnierze zachowywali żelazną dyscyplinę.

Więźniów ładowano już na ciężarówki, kiedy padły pierwsze strzały. Nie ze strony Izraelczyków; do akcji wkroczyli palestyńscy snajperzy, kryjący się w ruinach domów w Haarat Al-Szejk. Mieli dobre pole ostrzału, a słońce za plecami dawało im dodatkową osłonę. Izraelscy komandosi zareagowali błyskawicznie; przygięci ruszyli do kontrataku, ciskając w ruiny granaty gazowe i otwierając zmasowany ogień maszynowy. Żołnierze z grupy przeszukującej, którzy odkryli skład broni, rzucili się z powrotem do warsztatu, jedyne Jego budynku w okolicy. Spadochroniarze po chwilowym ściszeniu snajperów pobiegli, by się również tam schronić;

w jednej chwili budynek wypełnił się izraelskimi żołnierzami. Stłoczeni na klatce schodowej, chcieli się przedostać na dwa najwyższe piętra, by zająć dobre pozycje do ostrzału. Na miejsce ciągnęły też inne pododdziały spadochroniarzy; powietrze przecinały gęste serie pocisków, w stronę ruin poleciały też pierwsze granaty bojowe.

Nikt nie zauważył przywódcy miejscowej komórki Hama-su, który dotąd starał się koordynować opór wobec metodycznego przeszukiwania tej dzielnicy. Młody, nie więcej niż dwudziestopięcioletni bojownik w dżinsowym ubraniu i tradycyjnej palestyńskiej chuście w białą-czarną szachownicę na głowie odbezpieczył przenośną wyrzutnię rakiet przeciwpancernych i ze stu metrów wpakował pojedynczy pocisk prosto w parterowe okno warsztatu. W zamkniętym pomieszczeniu eksplozja miała zwielokrotnioną siłę niszczącą. Rozniosła dwa kolejne stropy i w efekcie spowodowała zawalenie się całego budynku w duszącą, ognistą chmurę pyłu, piasku i gruzu.

Czternastu Izraelczyków zginęło na miejscu, siedemnastu odniosło rany. Tylko dwunastce udało się wyczołgać z rumowiska; wszyscy mieli popękane bębunki, mundury w strzępach, twarze i ciała pokryte krwią i sadzą. Niektórzy zostali zmasakrowani, nie mogli się utrzymać na nogach. Czterech straciło rękę lub nogi.

W ciągu kilku sekund o tragedii zostało powiadomione dowództwo kompanii desantowej. Do Haarat Al-Szejk natychmiast skierowano posiłki. Izraelczycy za wszelką cenę chcieli znaleźć winnych. Pragnęli zemsty; skończyło się postępowanie według regulaminu, w kąt poszły rady majora Kermana.

Sześć ambulansów z włączonymi syrenami pomknęło drogą numer 35 w ślad za konwojem rozjuszonych spadochroniarzy. Od wybuchu nie upłynęło jeszcze dziesięć minut, gdy pierwsze drużyny wysypywały się z transporterów, oszołomione widokiem, jaki zastały na miejscu zdarzenia. Wokoło leżeli zabici i ranni, a na dodatek snajperzy wznowili ostrzał. Rzadko kiedy izraelska brygada reagowała z taką szybkością i zajadłością. Spadochroniarze błyskawicznie sformowali szyk bojowy i zaatakowali rejon ruin z obu skrzydeł, zarzucając

pozycje Palestyńczyków granatami i strzelając w biegu z biodra. Snajperzy usiłowali się wycofać, ale wszędzie dosięgały ich pociski i odłamki. Ofiary były nawet wśród kobiet i dzieci kryjących się w bocznych uliczkach.

Aktywiści Hamasu odpowiadali ogniem z trzech karabinów maszynowych, ale i ich wkrótce uciszyły izraelskie granaty. Operacja przeradzała się w prawdziwą bitwę i nikt nie mógł już nic na to poradzić. Wojsko zdecydowało się zgnieść opór fedainów i udawało mu się to. Dziesiątki Arabów, wielu z nich rannych, umykało z powrotem na drugą stronę ulicy Jerusalem.

Major Kerman ze swymi dwoma podkomendnymi zmierzał do miasta izraelskim transporterem opancerzonym. Jechali ulicą Al-Qarantina na miejsce starcia w Haarat Al-Szejk. Słyszeli już odgłosy bitwy. Kerman zdawał sobie sprawę, że już się nie da cofnąć katastrofy, ale można próbować coś osiągnąć w kwestii samej bitwy. Kiedy w końcu dotarli na miejsce, widok, jaki ujrzał, przeraził go nie na żarty. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zdyscyplinowani, wyszkoleni żołnierze wpadli w szal, szli do ataku zaślepieni furją, strzelając do wszystkich i wszystkiego. Natychmiast zrozumiał, co się stało: brygada niespodziewanie trafiła na główną kryjówkę Hamasu, której Palestyńczycy będą bronić do ostatniej kropli krwi. W radiotelefonie słyszał już, jak dowódcy oddziałów wzywają dodatkowe ambulansy. Jeden Bóg zaś wie, co się dzieje po stronie arabskiej. Teraz był już obserwatorem w sensie dosłownym. Izraelczycy wkraczali na ulice H-2 wciąż rozjuszeni masakrą w warsztacie, zasypując dzielnicę gradem pocisków i granatów. Ray spostrzegł trzech żołnierzy, przygotowujących przenośne wyrzutnie rakiet podobne do tej, która zabiła ich kolegów. Pierwszy pocisk spowodował straszne zniszczenia: zburzeniu uległy aż trzy budynki. Nie obyło się bez „pewnych ofiar wśród ludności cywilnej”.

Po raz pierwszy w życiu major Kerman był bliski szoku. Trzeba to powstrzymać, pomyślał. Nikt już nie panuje nad sytuacją, a może być jeszcze gorzej. Zawsze też trzeba się liczyć z niebezpieczeństwem włączenia się do konfliktu które-ś z innych państw arabskich. Palestyńczycy zaś bez wą-

pienia podniosą krzyk, że armia izraelska napadła na nich, niewinnych, szanujących prawo arabskich obywateli, i to nad ranem w świąteczny dzień. Ray spostrzegł dowódcę komandosów, chroniącego się w bramie po drugiej stronie pasa pustej ziemi. Kilka metrów dalej dwóch jego ludzi rzucało granat za granatem przez mur oddzielający ich od dzielnicy arabskiej. Nikt się nie starał zapobiec eskalacji konfliktu. Ray błyskawicznie ocenił sytuację: tu nie może być zwycięzcy. Oddziały izraelskie były już zbyt rozproszone i rozjuszone, aby zaniechać bezpośredniego pościgu za Arabami, którzy zabili ich kolegów. Z pewnością w wąskich zaułkach za murem kryje się wiele kobiet i dzieci; wszyscy zginą, jeżeli nie da się położyć kresu tej wymianie ognia. Major wiedział, że może za to zostać osobiście obwiniony. W końcu główną częścią jego zadania było zapobieganie właśnie takim wydarzeniom. Chaos potrafi wywołać byle głupiec; misją SAS na pustyni Negew jest wniesienie do działań IDF elementu klinicznej sprawności. To, co działo się na jego oczach, to był istny koszmar. Kerman nałożył hełm, ścisnął swój MP-5 i rzucił się przez pusty pas do stanowiska oficera dowodzącego oddziałem desantowym. W powietrzu niósł się już ciężki warkot czołgów zdążających na linię frontu tego nagłego, niespodziewanego starcia.

Izraelski dowódca wzruszył ramionami i powiedział, że nie może nic zrobić.

–Można by zacząć od zaprzestania ognia z przenośnych wyrzutni i rzucania granatów – zasugerował Ray. – Potem możemy powoli się wycofywać na wschód od linii demarkacyjnej. Tylko my możemy to przerwać. Nikt nas nie będzie ścigał. Nikt też nas nie pochwali za kontynuowanie działań. Knesset wpadnie w furję.

–Za późno – skwitował ten wywód dowódca komandosów. – Nie mam zamiaru pchać się za mur. Zostaw to chłopakom.

–No, to ja tam pójdę – odparł zimno Anglik. – Co innego strzelać do wroga, a co innego wysadzać w powietrze cywilów w ich własnych domach.

Ray ruszył wzdłuż muru, doszedł do jego końca i przebiegł na drugą stronę ulicy, chroniąc się pod ścianami budynków.

Tam, gdzie w zwartej zabudowie ziała wyrwa po dwóch zburzonych domach, przemknął się przygięty do ziemi. Następny budynek wydał mu się idealny. Ostatnie piętro miał zniszczone, ale dawał schronienie na parterze, gdzie można się znaleźć w zasięgu głosu spadochroniarzy z pierwszej linii z raketami i granatnikami. Ray wyłamał drzwi i wpadł do środka. Wewnątrz leżało pełno gruzu, a z dziury w suficie zwisało do połowy ciało zabitego mężczyzny. Strzelanina na zewnątrz narastała; zapach prochu był wszechobecny. Od czasu do czasu całą ulicą wstrząsała eksplozja. Major posuwał się naprzód z ostrożnością, jaka staje się drugą naturą ludzi z SAS. Kopnięciem otworzył drzwi do następnego pomieszczenia; było puste, ale prawie nie naruszone. Dostrzegł jeszcze jedno wyjście i potraktował je w ten sam sposób, znalazł się na szczycie kamiennych schodów. W tej chwili budynek zatrzęsł się od pobliskiego wybuchu, a z sufitu posypał się tynk. Grzmot szybko przebrzmiał i znów słychać było tylko grzechot broni maszynowej i gdzieś bardzo blisko trzask płonącego drewna. Ray się domyślił, że Palestyńczycy też zaczęli używać granatów.

Zaraz jednak usłyszał inny dźwięk, dobiegający z piwnicy, od podnóża schodów. Wystrzelił w tamtym kierunku krótką serię, po czym krzyknął po arabsku:

–Wychodzić z rękami do góry... albo was poślę do piekła! Cisza. Wszystkie instynkty wojownika podpowiadały mu,

że będą kłopoty. Mogło tam być kilku dobrze uzbrojonych Arabów i Ray nie zamierzał sprawdzać tego empirycznie. Znów wezwał nieznanego wroga do poddania się i znów odpowiedziało mu milczenie. Budynek zadrżał w posadach od kolejnej piekielnej eksplozji, ale kiedy jej echo ucichło, na chwilę urwała się też strzelanina. Kerman wyraźnie usłyszał kobiecy szloch.

–Jezu... – mruknął. – Tylko tego mi było potrzeba. Ruszył jednak schodami w dół, przyciskając się do ściany

P° lewej. Kiedy dotarł do ich podnóża, szloch stał się tfośniejszy, jakby płakało też dziecko. Ray poszukał po acku wyłącznika i – o dziwo – znalazł. Pomieszczenie 'ietliła pojedyncza, nie osłonięta żarówka wisząca pod ki sufitem. Wciąż jeszcze nie wszedł do piwnicy;

posuwał się centymetr po centymetrze z bronią gotową do strzału. Wroga jednak nie było; zastał tam tylko trzy skulone, przerażone postacie. Dwoje dzieci, sześć- lub siedmioletnich, i ich matkę, Palestynkę w czarnym czadorze, ale ze zsuniętym kapturem. Stała z odkrytą głową i twarzą mokrą od łez, drżąc i usiłując jeszcze mocniej tulić syna i córkę do siebie. Chłopiec był starszy od siostry. Czoło miał zakrwawione.

Palestynka była piękną dwudziestoparoletnią dziewczyną. Patrzyła na majora szeroko otwartymi, brązowymi oczami i powtarzała szeptem:

–Nie zabijaj nas, błagam... nie zabijaj nas...

Ray nie miał zamiaru nikogo zabijać, dopóki jego życiu nic nie zagrażało. Przemówił do niej po arabsku:

–Jestem brytyjskim oficerem, obserwatorem i doradcą wojskowym przy armii izraelskiej. Nie musisz się bać, przynajmniej nie mnie. Możecie wstać. Postaram się wydostać was stąd i odprowadzić w bezpieczne miejsce.

Łatwiej by mu było powstrzymać szalejącą bitwę niż jej łzy. Szlochała już na całego, nie wypuszczając dzieci z objęć.

–Ale Izraelczycy nas zabijają... mój mąż nie żyje... nie mamy dokąd iść...

–Najpierw musimy wyjść z tej piwnicy, zanim cały dom się zawali. Chodźcie za mną. Schodami w górę.

Cała trójka była jednak jak sparaliżowana ze strachu. Następny wybuch zatrzęsł budynkiem; dziewczyna usiłowała zapanować nad sobą, ale wciąż drżała. Głos się jej łamał, gdy mówiła:

–Nie chcemy tam iść. Oni nas zabijają. Chcemy zostać tutaj.

–Jak masz na imię? – spytał Ray.

–Szakira.

–Posłuchaj, Szakiro. Jeśli tu zostaniemy, możemy zostać żywcem pogrzebani.

–Dobrze, ale... Może nie zostało nam już wiele życia. Zanim stąd wyjdziemy, muszę się pomodlić z dziećmi... jest już prawie południe. Musimy się pomodlić za mojego męża. – Popatrzyła na jego ciemne włosy i sniadą karnację, po czym spytała: – Jesteś muzułmaninem?

–Nie – odrzekł, ale niespodziewanie wyrzucił z siebie: -Ale moi rodzice byli.

Nigdy dotąd nikomu tego nie mówił.

–Powinieneś zatem pomodlić się z nami. Allah jest wielki.

Ray Kerman patrzył na nią jak urzeczony. Była szczupła i wydawała mu się jeszcze piękniejsza niż przed chwilą, gdy siedziała skulona w kącie piwnicy. Miała długie, czarne włosy i niemal idealnie owalną twarz z pełnymi ustami, jak u wielu arabskich kobiet. Malec ścisnął ją za rękę, dziewczynka usiłowała się schować w fałdy jej czadoru. Ray się uśmiechnął. f – Jak się nazywają?

–To jest Irena, a syn ma na imię Rawi.

Miał wrażenie, że serce mu stanęło na kilka sekund. Wszechobecna i ogłuszająca strzelanina cieszyła go teraz, bo dawała mu czas na zebranie myśli.

–Dobra. Szakiro, zostańcie tu jeszcze chwilę i odprawcie swoje modły. Ja pójdę na górę i rozejrzę się, jak nas stąd wydostać.

Major Kerman ruszył biegiem z piwnicy, przeskakując po parę stopni. Przez otwarte drzwi wejściowe zobaczył biegnących żołnierzy. Izraelczycy wracali w stronę linii demarkacyjnej. Kilkadziesiąt metrów w głąb sektora palestyńskiego rozległa się kolejna potężna eksplozja.

–Chryste, te zwariowane sukinsyny rozwalą całe miasto, jeśli czegoś nie zrobimy!

Wrócił pod drzwi piwnicy i wrzasnął:

–Szakira! Wychodźcie na górę! Musicie wyjść! W każdej chwili ten dom może znowu oberwać!

Usłyszał ich kroki na schodach. Dzieci płakały mimo wysiłków matki, która starała się je uspokoić. Zwłoki ich ojca, wciąż ściskającego w dłoni pistolet maszynowy, zwisały groteskowo z sufitu, patrząc niewidzącymi oczyma w górę. Ray popchnął ich delikatnie w róg pomieszczenia, skąd nie było tego widać. Wiedział, że Izraelczycy przeczesują teraz metodycznie dom po domu, wrzucając najpierw do środka granaty.

–Czy ten budynek ma tylne wyjście?

–Tak, na małe podwórko, z którego można przejść na nową ulicę. Tamtędy można się przedostać do miasta, gdzie na pewno jest teraz spokojniej. Z tej ulicy nie ma dojścia do ruin.

Ray skinął głową.

–Dokąd pójdziesz? – zapytał.

–Nie wiem. Moi rodzice są w Arabii Saudyjskiej, ale rodzina Mohammeda mieszka w Betlejem. Może uda się nam tam dotrzeć. Nasz samochód stoi niedaleko.

–Brzmi to nieźle... Ale chciałbym, żebyście do końca dnia ukryli się gdzieś z dala od bitwy. I Hebron, i Betlejem są otoczone kordonem wojskowym.

Zanim dziewczyna zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, na zewnątrz wybuchła gwałtowna kanonada. Dwa męskie głosy coś krzyczały, a po chwili do pomieszczenia wpadli obaj podoficerowie z SAS. Na widok Kermana stanęli jak wryci.

–Jezu, sir! – wykrztusił Fred O'Hara. – Szukaliśmy pana wszędzie. Już zaczynałem myśleć, że jakiś pieprzony turba-niarz pana ustrzelił.

–Mnie, Fred? W końcu to ja mam tu rządzić, nie?

–Jasne, jasne. Tu już nikt nie rządzi, sir. Te sukinsyny chcą się po prostu nawzajem pozabijać. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Oficerowie, szeregowcy, wszyscy dostali kota. Bomby, granaty, armaty, Bóg wie co jeszcze. Jak się stąd nie wyniesiemy, gotowi podciągnąć haubice. To nie miejsce dla nas, sir. Musimy spieprzać z tego wariatkowa, i to szybko.

Rozumowanie Freda było bezbłędne. Ray miał teraz jednak nowe zadanie; czuł się odpowiedzialny za Szakirę i jej dzieci. Oczywiście nie było powodu, by przyjąć na siebie to brzemie. Mógł po prostu odejść wraz ze swymi ludźmi i nikt by się nigdy o niczym nie dowiedział. Są jednak chwile w życiu prawie każdego żołnierza, kiedy musi posłuchać rozkazu własnego serca, a nie mózgu, zareagować niezgodnie z wyszkoleniem i doświadczeniem. Dla majora Raymonda Kermana taki moment właśnie nadszedł.

Ruchem ręki wskazał kryjącą się w rogu arabską rodzinę-Sierżant O'Hara odwrócił się błyskawicznie w odruchowej reakcji. Mały Rawi podniósł trzymaną w rękę zabawkę,

pojazd kosmiczny, i zrobił krok naprzód. Barczysty komandos, do którego w ciągu ostatniej godziny strzelano o wiele za często, odskoczył na ten niespodziewany ruch i nacisnął spust swego MP-5. W mniej więcej jedną setną sekundy na czółku arabskiego imiennika majora Kermana wykwitło pięć okrągłych krwawych otworów.

Irena krzyknęła przeraźliwie i podbiegła do braciszka. W ręku trzymała pluszowego misia.

Charlie Morgan mógł w tej chwili myśleć tylko o granatach. Zastrzelił dziewczynkę z zimną krwią, aby uprzędzić atak.

Przez sekundę w pokoju panowała grobowa cisza. Szakira wrzasnęła i rzuciła się na sierżanta O'Hare z wyciągniętymi na kształt szponów palcami. Morgan zakręcił się na pięcie i błyskawicznym ruchem wymierzył w nią lufę pistoletu maszynowego. W tej samej chwili major Kerman zmasakrował mu twarz długą serią pocisków. Komandosa z SAS może tak zaskoczyć i zabić tylko... jego kolega.

Pistolet Morgana zdążył wystrzelić dwa razy. O szybkości ataku majora może świadczyć fakt, że oba pociski pomknęły w dół; sierżant nie zdążył w chwili śmierci podnieść broni wyżej. Jeden z nich przeorał Rayowi zewnętrzną część lewego uda. Z rany natychmiast obficie pociekła krew.

Przez parę sekund czas jakby stanął w miejscu. Sierżant O'Hara odwrócił się do przełożonego z twarzą zastygłą w wyrazie krańcowego zdumienia.

–Sir... Pan właśnie zastrzelił Charliego?

Myśli Raya pędziły w szalonym tempie. Było w nich słowo...morderstwo", był „sąd wojskowy", „więzienie" ... i „pluton egzekucyjny".

Popatrzył znowu na dwa martwe ciała na podłodze. Szakira łkała, tuląc do łona główkę Rawiego, którego krew Plamiła jej ubranie. Drugą ręką szukała małej Ireny, ale dziewczynki nie było.

Pred O'Hara podszedł bliżej, chcąc się upewnić, że Arabka Qie ma broni.

–Wstawaj! – krzyknął.

To jedno szorstkie, bezduszne słowo przypieczętowało jego '°s. Ray Kerman obrócił się w lewo, podnosząc płynnym

ruchem kawałek betonu. Rąbnął nim sierżanta prosto między oczy, łamiąc czaszkę jak skorupkę orzecha. W następnej sekundzie nasadą prawej dłoni uderzył go z całej siły w nozdrza. Siła ciosu wbiła kość nosową głęboko w mózg; Fred nie żył już, padając na wznak, zabity klasycznym uderzeniem, będącym niejako znakiem firmowym SAS.

Dwoje martwych dzieci. Dwóch zabitych żołnierzy. Biblijna kulminacja ostatnich paru szalonych minut: oko za oko, ząb za ząb. Ray odwrócił się do Szakiry, która była w szoku. Łzy przestały płynąć z jej oczu, jakby nie zostało jej już nic poza złamanym sercem.

–Czy uratował mi pan życie? – spytała cicho.

–Tak myślę.

–To szkoda.

Szakira umiała jednak ocenić sytuację z niemal wojskową precyzją. Jej rodzina nie żyje, dom legł w gruzach, a jej własna sytuacja stała się rozpaczliwa, zwłaszcza że u jej stóp leżały zwłoki dwóch żołnierzy SAS w izraelskich mundurach. Sama była o włos od śmierci, ale mimo przeżytego dramatu wiedziała, że musi się jakoś ratować. Musi się stąd wydostać, a przy okazji tego brytyjskiego oficera, z kilku oczywistych powodów.

Najpierw jednak podeszła do ocalałej szafki i wyciągniętym z niej miękkim kilimem nakryła ciała obojga dzieci.

–Żal za zmarłymi to dobra rzecz, ale nie trzeba się martwić. Oni są już w objęciach Allaha.

Ku swemu zaskoczeniu Ray wypowiedział te słowa zupełnie naturalnie, choć brzmiały jak cudze. Nauki mułły z północnego Londynu wróciły nagłą falą; przypomniał sobie powieści o raju i jego obietnicę dla męczenników ginących w imię Allaha.

Szakira w końcu się podniosła.

–Dokąd pójdziesz? – Teraz ona zadała to pytanie, rozumiejąc beznadziejność jego położenia.

–No cóż... Dziesięć minut temu odprowadziłbym cię przez tylne drzwi, potem wróciłbym i wyszedł sam przez frontowe, skręcił w lewo i przedarł się do swoich kolegów. – Zerknął na trupy Freda i Charliego, zanim dodał: – Nie wiem, co mam dalej robić. Na pewno jednak nie mogę wrócić

do Izraelczyków, skoro właśnie zabiłem swoich dwóch przybocznych.

–Dowiedzą się, że to ty zrobiłeś?

–Nie wiem. Mogą się dowiedzieć. Mój problem jest jednak większy. Widzisz, odkąd tu przyjechałem, współczuję Palestyńczykom. Nie podoba mi się, jak jesteście traktowani. Tak myśli wielu ludzi, ale ja pochodzę z Bliskiego Wschodu, kiedy ujrzałem, jak Rawi i Irenka giną od kul mojego kolegi... takie małe dzieci... coś we mnie pękło. Nie mogę dłużej być w armii, która morduje bezbronnych, niewinnych ludzi. To wy, cała wasza trójka, nagle staliście się mi bliscy. Dzielę z tobą rozpacz. Wiem, że to brzmi mało prawdopodobnie... sam tego nie rozumiem. Ale wiem też, że nie mogę dłużej tego robić. Nie w tym kraju, nie przeciwko wam.

Szakira ujrzała łzy płynące po twarzy obcego człowieka, który ocalił ją od śmierci. Podeszła do niego, objęła obiema rękami za szyję i przytuliła mocno do siebie. Krew Rawiego zwilżyła izraelski mundur Raya, tak jak jego krew z rany na udzie rozlała się plamą na jej czadorze. Łzy obojga zmieszały się na ich policzkach. Na zewnątrz wciąż huczały eksplozje. Ray się zorientował, że to czołgi izraelskie wstrzeliwują się w ulicę. Szakira znalazła dlań w innej szafce białą, długą do kostek szatę zwaną thobe, chustę na głowę gutra w biało-czarną szachownicę i podwójny czarny sznur agal do jej przytrzymywania. Ray ściągnął kurtkę mundurową i włożył podane mu cywilne ubranie. Dziewczyna ułożyła mu na głowie chustę w taki sposób, by w razie potrzeby mógł zasłonić nią dolną część twarzy. Potem poszukała czystego czadom dla siebie, a na koniec zabandażowała mu ranę.

–Musimy wyjść teraz, zanim nadciągną żołnierze – powiedziała cicho.

Wzięła go za rękę, mruknęła pod nosem: Insz Allah, „wola toska”, i pociągnęła za sobą na podwórko na tyłach domu.

"rzebiegli chyłkiem przez alejkę łączącą je z ulicą. Za nimi kosiła się chmura dymu i pyłu, ale przed sobą mieli czystą drogę.

–Bierzemy samochód? – spytał Ray.

–Raczej nie. Musimy się przedostać do sztabu Hamasu. d tam mój brat Ahmed. Oni się tobą zajmą.

–Jesteś pewna, że mnie nie zabiją? – Ray ścisnął mocniej swój MP-5 i utykając na lewą nogę, ruszył szybciej, aby nadążyć za nadającą ostre tempo Szakirą.

–Tak, jestem pewna.

–Dlaczego?

–Dlatego, że ja nie chcę, abyś zginął. To wystarczy.

Wtorek, 18 maja

Stalowy kordon izraelskich czołgów otaczał teraz cały rejon, w którym toczył się piątkowy bój o ulicę Jerusalem. Oddziały IDF z niewzruszoną sprawnością ewakuowały całą dzielnicę, przemieszczając ludność arabską bardziej na zachód, podczas gdy w świeżych ruinach trwały poszukiwania zabitych i rannych. Sprowadzono dźwigi i buldożery. Dowództwo izraelskie uniknęło ponownej erupcji przemocy, ogłaszając, że ratownicy będą szukać także zasypianych Palestyńczyków i że każdemu ocalonemu zostanie udzielona pomoc medyczna. Oczywiście dało to Izraelczykom wspaniałe możliwości nieskrępowanego dalszego poszukiwania ukrytej broni i warsztatów do produkcji bomb. W trzy dni cała dzielnica miała zostać tak „oczyszczona” jak nigdy dotąd, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że sprytni Arabowie już od sobotniego świtu przenosili swoje zapasy militarne do kryjówek na obrzeżach miasta.

Dom Szakiry runął w piątek po zmroku, grzebiąc pod tonami gruzu wszystkie pięć trupów. Odkryto je dopiero we wtorek po południu i przewieziono do kostnicy w żydowskiej części miasta, gdzie leżało już trzydzieści osiem ciał żołnierzy IDF. Zwłoki zabitych Palestyńczyków, ponad sześćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci, przeniesiono później do naprędcy przystosowanego budynku pobliskiej szkoły przy ulicy Bir Al-Saba. Sierżanci O'Hara i Morgan byli jedynymi znanymi ofiarami po stronie SAS, choć major Kerman wciąż był „zaginiony w akcji”. Ponieważ chodziło o dowódcę brytyjskiego garnizonu sił specjalnych na pustyni Negew, sprawa była bardzo poważna, nie mniej niż śmierć dwóch wyróżniających się podoficerów. Sztab pułku w Hereford został na-

tychmiast powiadomiony o wydarzeniach, a jego reakcja była błyskawiczna:

Przetransportować ciała sierż. O'Hary i Morgana do sztabu armii izraelskiej w Jerozolimie na wstępną sekcję. Natychmiast informować o jakichkolwiek żądaniach okupu za majora Kermana.

Druga część rozkazu była właściwie tylko pro forma; żołnierze SAS rzadko kiedy, jeśli w ogóle, trafiają do niewoli.

Dwa dni później wciąż nie było śladu po Rayu Kermanie. Nowy dowódca przysłany na jego miejsce, major Roger Hill, czytał raport izraelskiego patologa z niedowierzaniem.

Sierżant Charles Morgan zginął od pięciu ran postrzałowych, zadanych z bliska w prawą część głowy. Rany biegną w linii prostej od skroni do żuchwy, która uległa strzaskaniu. Wszystkie pięć pocisków przebiło mózg; cztery górne na wylot z wyjściem po lewej stronie czaszki. Najniższy pocisk utkwiał w kości lewej części żuchwy. Odpowiada amunicji do pistoletu maszynowego HecklerKoch MP-5. Został wysłany do ekspertyzy w laboratorium wojskowym w Tel Awiwie.

Major Hill wiedział, że jest mało prawdopodobne, aby arabski partyzant mógł tak precyzyjnie i celnie strzelać z broni maszynowej. Jednak jeszcze bardziej zaniepokoiła go część raportu dotycząca sierżanta O'Hary. „Duży Fred” nie został zastrzelony; jego śmierci nie dało się też przypisać zawałeni się domu, pod którego ruinami go znaleziono. Zginął od silnego ciosu zadanego przedmiotem o nieregularnym kształcie w czołową część czaszki między oczami. Kość nosowa wbiła się w mózg na głębokość trzech cali, co odpowiadało na przykład upadkowi na krawędź mebla... albo spotkaniu z ekspertem od walki wręcz z amerykańskich lub brytyjskich sił specjalnych. Wersja z upadkiem była mocno wątpliwa, ponieważ na twarzy sierżanta SAS nie stwierdzono żadnych innych obrażeń.

Hill bardzo szybko zdał sobie sprawę, że obaj podoficerowie mogli zostać zabici przez żołnierza, albo byłego żołnierza, jednej z formacji specjalnych. W dzisiejszych cza-

sach takich ludzi jest wielu. Może nikt z nich nie dorównuje sprawnością członkom SAS czy amerykańskich Navy SEALs. Ale Izraelczycy też są nieźli, podobnie jak Irakijczycy. W każdym razie wszystko wskazywało na to, że jeden lub więcej takich wyszkolonych komandosów załatwiło Charliego i Fre-da... choć obu znaleziono pod gruzami z bronią w ręku.

Tymczasem poszukiwania zaginionego majora SAS trwały bez ustanku. Przeczesywano ruiny, na miejsce przybyli też izraelscy oficerowie śledczy, którzy przesłuchiwali znanych członków Hamasu. Nikt jednak niczego nie wiedział, nikt nawet nie widział Raymonda Kermana, a tym bardziej go nie zabił ani nie wziął do niewoli. Najlepsza informacja pochodziła od izraelskiego oficera, dowodzącego na pierwszej linii, który potwierdził, że rozmawiał z majorem w ogniu bitwy i widział, jak Brytyjczyk dotarł do muru i zniknął po drugiej stronie. Przelotnie spostrzegł go jeszcze raz, jak skulony biegnie prawą stroną ulicy, pod kilkoma domami, które teraz są zburzone. Ciało majora Kermana nigdzie jednak nie znaleziono.

Dwa tygodnie później sytuacja nie uległa zmianie. Raymond Kerman, oficer, który w powszechnej opinii mógł mieć przed sobą najwyższe stanowisko w sztabie pułku SAS, zniknął z powierzchni ziemi, jakby rozpląnął się w gorącym, zapyłonym powietrzu nad Negew.

ROZDZIAŁ 2

Osiem miesięcy później. Poniedziałek, 14 lutego 2005 r.

Podpułkownik Russell Makin, dowódca 22. pułku SAS, szedł w zimnym deszczu do swojego biura, dźwigając pod pachą ciężką plastikową teczkę z setkami stron tajnych dokumentów. Trafiało mu się, jak na przykład podczas kampanii falklandzkiej, nosić wyrzutnie rakiet przeciwczołgo-wych, które ważyły znacznie mniej. Założona latem teczka pęczniała z tygodnia na tydzień. Na wierzchu była oznaczona tylko jednym słowem: „Tajne”. Wewnątrz na pierwszej stronie widniał napis: „Major Raymond Kerman”. Dalsze pięćset arkuszy zawierało szczegółowy raport o fiasku jednego z najszerzej zakrojonych i najbardziej utajnionych śledztw, jakie prowadzono w ostatnich latach. Po zaginionym w akcji oficerze nie pozostał choćby najmniejszy ślad.

Podpułkownik Makin dotarł do biura, zsunął z ramion płaszcz przeciwdeszczowy, poprosił o kawę i położył teczkę na stole. Był na nogach od piątej rano; minione cztery godziny spędził w większości na rozmowie z oficerem śledczym z su-Pertajnego centrum izraelskiego kontrwywiadu Szin Bet w dalekim, słonecznym Tel Awiwie, o dwie strefy czasowe i wiele, wiele mil na południowy wschód od zalanego deszczem, mglistego Herefordu. Ostatnio często rozmawiali; łączyła ich nie wyjaśniona tajemnica zniknięcia dowódcy tajnej bazy SAS, który

wybiegł w ogniu bitwy na ulicę w Hebronie i więcej nikt go nie zobaczył. Podpułkownik M jedno wiedział na pewno: zespół dochodzeniowy Szin bezlitosnej służby odpowiadającej brytyjskiej MI5 1 amerykańskiemu FBI, bardzo starannie i dokładnie prze-

szukał cały rejon na zachód od ulicy Jerusałem. Wykorzystali wszelkie dostępne środki, od buldożerów i koparek po mikroskopy i sprzęt laboratoryjny, ale niczego nie znaleźli. Owszem, odkryto istotne dowody, ale żaden z nich nie prowadził do pożądanego rozwiązania zagadki. Najważniejszym stwierdzonym faktem była śmierć sierżanta O'Hary z ręki członka niewiadomych sił specjalnych, zadana celowo i profesjonalnie. Sierżant Morgan zginął od serii pocisków z pistoletu maszynowego MP-5, takiego samego, jakim posługiwał się major Kerman... i każdy żołnierz IDF, a do tego Bóg wie ilu Palestyńczyków.

W tym samym domu znaleziono ciała dwojga dzieci, chłopca i dziewczynki, również zabitych taką bronią, ale nie tą samą, co w wypadku Morgana. Cała czwórka zginęła mniej więcej w tym samym czasie. Były tam też zwłoki piątej osoby, ofiary wybuchu pocisku artyleryjskiego, który trafił w piętro domu. Był to, jak stwierdzono, ojciec obojga dzieci. Jego żona, Szakira Sabah, odnalazła się o kilometr od domu, głęboko na terytorium H-I, u jej brata, podejrzanego o przynależność do Hamasu, czego mu jednak nigdy nie udowodniono. W chwili wybuchu pocisku była u sąsiadki. Nie mogła już dostać się do zburzonego domu. Nie widziała żadnego brytyjskiego oficera, o nikim takim nie słyszała, nie wiedziała i nic ją to nie obchodzi. Jest zbyt wstrząśnięta po stracie rodziny. Ludzie z Szin Bet jej nie uwierzyli, co może było obiecujące, ale ani trochę nie posunęło śledztwa naprzód. Los i miejsce pobytu majora Kermana pozostawały tajemnicą. Izraelczycy znaleźli co prawda pod gruzami zniszczoną kurtkę mundurową, która mogła należeć do zaginionego, ale nieoznakowaną, z pustymi kieszeniami i, oczywiście, izraelską. Jej wartość jako dowodu była podobna do innych odkrytych poszlak. Major mógł zabić obu kolegów, mógł zastrzelić dzieci, porzucić lub zgubić kurtkę i uciec. Ale przed czym? I dokąd?

To nie jest sprawa zwykłego komandosa z SAS. Tu chodzi o majora Raya Kermana, doskonale wyszkolonego, odznaczonego oficera o nieposzlakowanym charakterze i nie budzącym zastrzeżeń życiorysie. Jeżeli zginął podczas starcia w Hebronie, gdzie są jego zwłoki? Gdyby stał się więźniem lub zakładnikiem Hamasu, dlaczego Palestyńczycy z nikim

się nie skontaktowali w sprawie okupu albo wymiany jeńców? Zawsze to robią w takich razach. Nie było odpowiedzi, nie było majora. Russ Makin, trzydziestoosmioletni oficer w czynnej służbie od ukończenia Sandhurst, z niczym podobnym się jeszcze nie spotkał. Przez dwadzieścia lat służby nie słyszał, żeby ktokolwiek z SAS zaginął bez wieści. A nie ulegało wątpliwości, że chodzi o ważną osobę. Major Kerman był w posiadaniu wielu sekretów najtajniejszej z brytyjskich formacji bojowych.

Ministerstwo obrony po cichu, w irytujący sposób od miesięcy wywierało na Makina presję. Musiał się tłumaczyć w wydziale prawnym, u rzecznika prasowego, a nawet w sekcji emerytur. Nie kończące się pytania nadchodziły z wydziału rodzinnego i sekcji odszkodowań: czy nie uważa, że należy zamknąć sprawę i oficjalnie uznać majora Kermana za zaginionego w akcji?

Czy tak jednak było? A przede wszystkim, czy jest coś w życiu majora, o czym nikt nie wie? Na to pytanie odpowiedź mogła nadejść w ciągu paru godzin. O dziesiątej trzydzięci miał wylądować specjalny kurier z Whitehall z poufnym raportem o wynikach wyczerpującego śledztwa przeprowadzonego wspólnie przez ministerstwo i MI5. Makin wiedział, że jeśli nie wykryto niczego ciekawego, kurier po prostu nie przybędzie. Kiedy więc dostał w końcu do ręki tę czarną teczkę, czytał jej zawartość z uczuciem prawdziwego niepokoju.

Rodzice Raya Kermana wyjawili bez specjalnych nacis-sów ze strony przesłuchujących, że wcześniej nazywali się Reza i Naz Allam Raszud, pochodzą z miasteczka Kerman w południowym Iranie, gdzie też urodził się ich syn, Rawi Raszud.

–Rawi Raszud! Jasna cholera! – Podpułkownik Makin zdębiał. – Nie miałem zielonego pojęcia!

Oczywiście nie było w tym nic nielegalnego. Tysiące bliskowschodnich rodzin, które wyemigrowały do Anglii, Zmieniły nazwiska, aby lepiej wtopić się w nowe środowisko. * Państwo Kermanowie z pewnością nie mieli nic do ukrycia, "okazali metrykę Raya, dokumenty imigracyjne całej rodziny, w tym oficjalne orzeczenie o zmianie nazwiska

wydane tuż przed czwartymi urodzinami Raya-Rawiego, a także świadectwo przyznania chłopcu obywatelstwa Wielkiej Brytanii, kiedy skończył pięć lat. Wyciągnęli też jego świadectwa szkolne, a nawet załatwili u dyrektora Harrow zgodę na wizytę śledczych w szkole i przeprowadzenie dodatkowego dochodzenia na miejscu. Wyniki tych badań zebrane były w osobnym raporcie, dobitnie świadczącym, jakie zaniepokojenie budziła w Whitehall sprawa zaginięcia majora SAS. Dochodzeniowcy odszukali dwóch absolwentów Harrow, którzy studiowali razem z Rayem. Jeden z nich, obecnie praktykujący adwokat londyński, nie powiedział nic istotnego. Drugi, cienko przędący poeta z północnej Walii, przypomniał sobie, że widział na półce u Raya egzemplarz Koranu. Na jego pytanie kolega wyjaśnił, że należał on do jego matki i że można w nim znaleźć bardzo piękne teksty. Poetę, Reggiego Carringtona, to zaciekało i kiedy kilka lat później natrafił w antykwariacie na podobne wydanie, natychmiast je kupił. Z przyjemnością pokazał swój egzemplarz człowiekowi z MI5.

Podobnie jak dyrektor Harrow, kapelan Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst potwierdził, że o ile mu wiadomo, podchorąży Raymond Kerman ani razu nie wziął udziału we mszy czy innej uroczystości religijnej poza kościołem anglikańskim.

Zaginiony oficer przyszedł na świat w rodzinie muzułmańskiej, a teraz zniknął w muzułmańskim kraju. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Nie ma też jednak najmniejszego powodu, by wątpić, że Ray jeszcze jako dziecko przeszedł na chrześcijaństwo i całkowicie się z europeizował, zanim rozpoczął karierę w armii brytyjskiej, by mężnie walczyć za Boga, królową i ojczyznę.

Ministerstwo obrony przedsięwzięło wszelkie możliwe kroki dla zapewnienia poufności śledztwa, ale sieci trzeba było zarzucać szeroko. Z natury rzeczy w sprawę musieli być zaangażowani Izraelczycy, którzy też zajęli się przetransportowaniem ciał obu zabitych podoficerów do Anglii-Również ambasada brytyjska w Tel Awiwie prowadziła własne dochodzenie, nie uzyskując jednak wyników lepszych od Szin Bet. Także CIA swoimi kanałami dowiedziała się, że

„ci cholerni Angole posiali gdzieś wysokiego oficera SAS", co zostało uznane za naprawdę złą wiadomość. Wykorzystując swe rozliczne arabskie kontakty, Amerykanie robili, co mogli, by pomóc w śledztwie, ale jedynym ich sukcesem było dotarcie do członka Hamasu, który zarzekał się, że major Kerman z całą pewnością nie żyje. Ponieważ nigdzie nie było ciała, nie dało się zweryfikować tej informacji.

Podpułkownik Makin spędził ten deszczowy ranek na samotnej lekturze raportu. Jak wszyscy wyżsi oficerowie zaangażowani w tę sprawę, czuł, że coś w niej śmierdzi. Nic się nie zgadzało. Jeśli Kerman zginął, musiano by go znaleźć. Jeśli dostał się do niewoli i jest zakładnikiem Hamasu, jakaś wieść o tym musiałaby wypłynąć. Nawet gdyby po prostu zadekował się gdzieś w Hebronie z jakąś dziewczyną czy zrobił coś równie idiotycznego, do tej pory ktoś na pewno albo by go załatwił, albo sypnął, albo chociaż widział. Przez ostatnie miesiące Makin z uporem odrzucał wszelkie myśli o tym, że Ray Kerman mógł przejść na stronę wroga. Ale Rawi Raszud? To zupełnie inna sprawa. Teraz już cały dotychczasowy wzorowy przebieg służby majora nie mógł zatrzeć w umyśle dowódcy pułku ponurego podejrzenia, że po raz pierwszy w swej historii SAS mogła wyhodować na swym łonie zdrajcę. I że nie kto inny, tylko on sam go przyjął do jednostki i hołubił.

–Jasna cholera! – burknął po raz drugi tego dnia, sącząc kawę i bez entuzjazmu czekając na nieunikniony telefon z MI5 z pytaniem, co sądzi o najnowszych informacjach.

Tymczasem do kwatery głównej SAS w Hereford wpłynęły już dwa czy trzy zapytania od dziennikarzy na ten temat. Jak zwykle zbyto je milczeniem, odsyłając pytających do ministerstwa. Wydział prasowy Whitehall natychmiast oświadczył, że o niczym nie wie. Kordon tajemnicy, jaki otaczał całą sprawę, był równie skuteczny jak pierścień izraelskich czoł-3^ow wokół Hebronu. Kiedy jednak śledztwo trwa tak długo zatacza tak szerokie kręgi, jest tylko kwestią czasu, by

udziło ciekawość jakiegoś reportera albo raczej któregoś

1 "Ważniejszych korespondentów zajmujących się sprawami

v°]ska i posiadających kontakty w Whitehall. Tym razem

iarzyło się to podczas koktajlu w ambasadzie indyjskiej,

w wielkim szarym gmachu z kamienia w południowej części Aldwych, dzielnicy teatrów i sądów. Anton Zilber, Francuz z pochodzenia i długoletni redaktor magazynu korpusu dyplomatycznego „Court Circular”, gawędził sobie z lekko wstawionym gościem, szyczą w Whitehall, z którym znali się od lat.

–Ciężki tydzień, co, Colin?

–A żebyś wiedział, Anton. Jak cholera. Te cholerne siły specjalne zgubiły jednego z dowódców. Gapy z nich, nie?

Zilber nie był łowcą sensacji. „Court Circular” pieczołowicie odnotowywał wszelkie wydarzenia w kręgach dyplomatycznych Londynu, to znaczy: kto był na jakim przyjęciu (ze zdjęciami i krótkimi notkami), kto awansował, a kto z ambasadorów kończy misję i kto przybywa na jego miejsce. Krótko mówiąc, był to dyplomatyczny odpowiednik kroniki towarzyskiej w kolorowych czasopismach. Już sam tytuł nawiązywał do splendoru dworu angielskiego, przy którym oficjalnie akredytowani są wszyscy ambasadorowie w Wielkiej Brytanii. W „Court Circular” nigdy nie ukazał się artykuł, który mógłby kogokolwiek wprawić w zakłopotanie, a co dopiero wywołać choćby cień skandalu. Anton Zilber otrzymywał sowitą pensję i miał tylko jedno zadanie: bywać na wszystkich dyplomatycznych przyjęciach, rautach, koktajlach i wystawnych kolacjach. Drukowane na lśniącym papierze egzemplarze jego periodyku były wysyłane przez wszystkie ambasady do swoich krajów jako dowód dla ministrów, że ich placówki nie próżnują.

Nikt nie wiedział, że Anton prowadzi na boku bardzo lukratywną działalność. Sam nigdy nie publikował sensacji, ale miał całą siatkę kontaktów w brytyjskich magazynach, zwłaszcza tych z kolumnami towarzyskimi. Dziennikarze bez takich koneksji niecierpliwie wyczekiwali jego relacji o jakimś wybryku członka rodziny królewskiej czy kogoś ze sfer rządowych. Antona konspiracyjne „Cześć, Geoff, ani słówka o mnie, ale w ambasadzie belgijskiej zdarzyło się coś, co mogłoby cię ubawić...” mogło zamienić w słuch nawet najbardziej zajętego reportera. Przy stawce trzystu dolarów za „sztukę” interes był rzeczywiście opłacalny.

–Tak... – odpowiedział ostrożnie człowiekowi z Whitehall

na tę jowialnie przekazaną, ale niesamowitą informację. – Można powiedzieć, że się nie popisali. O kogo chodzi? Pewnie go nie znam?

–Ja też go nie znam, stary – prychnął rozmówca. – Jakiś cholerny kozak z SAS, jak się zdaje. Zwykły major, nic wielkiego. Ale to się stało w Hebronie podczas tej paskudnej wiosennej bitwy. Masa ludzi biega koło tej sprawy... Co powiesz na jeszcze trochę tego świetnego szampana? Trzeba Hindusom przyznać, że w tych sprawach stają na głowie, co?

To wystarczyło. Następnego ranka Anton Zilber zadzwonił do jednego z bardzo poważnych korespondentów wojskowych londyńskiej „Daily Telegraph”, byłego oficera, który daje sobie radę bez wydziału prasowego ministerstwa obrony. Dziennikarz z kolei zwrócił się do swego najstarszego przyjaciela z Whitehall, generała brygady, który przez lata pomagał mu w różnych trudnych artykułach. Tego dnia było jednak inaczej. John Dwyer, były dowódca pułku Gloucester-shire, przez dziesięć minut rozmowy telefonicznej nie mógł się przedrzeć przez mur milczenia swego rozmówcy. Generał z uporem twierdził, że nic mu nie wiadomo o żadnym zaginionym majorze SAS. Dopiero na sam koniec rzucił drobny okruch informacji.

–Wiesz co, Johnny? Wspominałeś o Hebronie i o bitwie na ulicy Jerusalem. Otóż słyszałem, że straciliśmy tam dwóch naszych ludzi. Spodziewam się, że chodzi o SAS. Powinno to być w publicznych archiwach, rozejrzyj się tam.

Było to typowy przykład krycia własnego tyłka przez wysokie szarże. John Dwyer w zamyśleniu odłożył słuchawkę.

–Nie wiem, jak miałbym to, cholera, zrobić – mruknął do łebie. – Nie znam nawet ich nazwisk, a od nikogo się tego

Qie dowiem.

Uznał, że sprawa niezbyt się nadaje do takiego dzien-ukarskiego węszenia. Przekazał jednak te skąpe informacje swojemu szefowi. Redaktor naczelny też się nie znał na takiej b reporterskiej robocie, dał więc cynk Tomowi Ho-

, zadziornemu byłemu korespondentowi policyjne-Ilu. a obecnie kierownikowi działu wiadomości. Tom pogodził z Liverpoolu i powinien raczej sam zostać policjan-e Powierzył teraz sprawę sześciu swoim ludziom. Dwóch

posłał do archiwum publicznego, aby sprawdzili świadectwa zgonu wszystkich wojskowych, jacy zeszli z tego świata pomiędzy majem a lipcem ubiegłego roku; jeden z takim samym zadaniem wyruszył do Hereford; inny miał się postarać zmusić wydział prasowy Whitehall do ujawnienia wszystkiego w imię, oczywiście, dobra ogółu... Ostatni szperacz został skierowany na rajd po pubach, sklepach i warsztatach w Hereford w celu wyniuchania plotek o ostatnio zabitych w akcji komandosach z SAS.

Wysłannikom nie udało się odkryć tajemnicy, ale znaleźli kilka okruchów informacji i wysmażyli artykułek nieco na wyrost, ale i tak intrygujący dla tych, którzy interesują się takimi sprawami:

BRYTYJSCY ŻOŁNIERZE Z SAS MOGLI WALCZYĆ W HEBRONIE

Ministerstwo obrony odmówiło wczoraj potwierdzenia, że podczas majowego boju o ulicę Jerusalem w Hebronie obok sił izraelskich mógł tam się oficjalnie znaleźć oddział SAS. Rzecznik prasowy ministerstwa powiedział: „Od lat mamy ścisłe powiązania z armią izraelską. Pomagaliśmy im w szkoleniu od samego powstania Izraela w 1948 roku. Niemniej ministerstwo nigdy nie ujawnia szczegółów dotyczących operacji SAS, obawiam się więc, że nie będę mógł panom pomóc”.

Tę bitwę otacza głęboka tajemnica. Wszystko wskazuje na to, że zginęło w niej dwóch podoficerów SAS: sierżanci Frederick O'Hara i Charles Morgan. Obaj figurują na oficjalnej państwowej liście zgonów. Miejsce śmierci: miasto Hebron w Izraelu. Data: 14 maja 2004 r. Oba ciała zostały poddane kremacji, chociaż wojsko nie chce powiedzieć kiedy i gdzie, potwierdzając jedynie, że odbyło się to w Anglii. Jeszcze większa tajemnica dotyczy nieznanego z nazwiska dowódcy oddziału SAS, biorącego udział w tej bitwie, która pochłonęła ponad sto ofiar. Wszyscy komandosi stacjonujący w tamtej okolicy zostali odwołani do kraju, ale nie ma żadnych zapisów o obecności wśród nich oficera wyższej rangi. Rzecznik Whitehall ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, że chodzi o majora Raymonda Kermana. Nie wypowiedział się także, czy major Kerman jest oficjalnie uznany za zaginionego w akcji. Nasze źródła w Hereford twierdzą jednak, że nie wrócił on z Ziemi Świętej. Attache

wojskowy przy ambasadzie izraelskiej w Londynie powiedział tylko: „Od czasu do czasu jesteśmy proszeni o udostępnienie informacji na temat żołnierzy zaginionych na Bliskim Wschodzie. Nie posiadam danych o żadnym majorze Kermanie”.

Cztery dni później idący tropem artykułu w „Telegraph” zespół reporterów „Daily Mail” dotarł do rozwiązania zagadki. Wypisany „wołami” tytuł brzmiał:

TAJEMNICA ZAGINIĘCIA MAJORA

SAS

ZNANY ARMATOR Z PÓŁNOCNEGO

LONDYNU

OSKARŻA MINISTERSTWO OBRONY

O „KŁAMSTWA O MOIM SYNU”

Dalej następował szczegółowy wywiad z „załamanym” Richardem Kermanem i jego żoną Naz. Ojciec majora bez skrępowań przedstawił każde najdrobniejsze pytanie, jakie zadawali mu ludzie ze sztabu jednostki, w której służył jego syn, a także śledczy z ministerstwa. „Nasz syn zaginął” - powiedział. „Nie mamy od niego żadnych wieści, odkąd wyjechał z Anglii w lutym ubiegłego roku. Misja była oczywiście tajna i nawet nie powiedzieli nam, że był w Izraelu. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero w sierpniu, trzy miesiące po jego zaginięciu”. Pan Kerman podkreślił, że jego żona jest pogrążona w rozpacz i że jest dla niego jasne, iż o wielu rzeczach nie mówi się ani im, ani nikomu innemu. „Nie wiemy, czy Ray żyje, czy nie. To straszne brzemię dla każdego rodzica. Żyjemy teraz z dnia na dzień tylko nadzieją na jakieś wiadomości”.

Państwo Kermanowie nie byli w tym osamotnieni. Brytyjski wywiad wojskowy też nie wierzył, że Ray Kerman zginął, i też bardzo chciałby się dowiedzieć, gdzie obecnie przebywa... ale raczej z odmiennych powodów. Major wiedzia o Wiele za dużo o brytyjskich siłach specjalnych w Ziemi Świętej; dość, by wywołać erupcję publicznego oburzenia, gdyby Prawda kiedykolwiek wyszła na jaw. Poza tym był także Prawdziwym wojskowym skarbem dla każdego obcego rządu, a zwłaszcza dla grupy wywrotowców czy terrorystów. Ekspert w walce wręcz, doświadczony we wszelkich formach

działań militarnych, jednym słowem człowiek, który potrafiłby zamienić nieorganizowaną bandę uzbrojonych zbirów w zgraną i sprawną siłę przeciwko Zachodowi. Ray Kerman, absolwent Harrow i prymus z Sandhurst, to jedno, ale Rawi Raszud, czytelnik Koranu,

zaginiony gdzieś w środku Hebro-nu, to zupełnie inna sprawa. Z natury podejrzliwe ministerstwo obrony rozumiało problem aż za dobrze.

Nikt w Whitehall ani w Hereford nigdy nie posunąłby się do komentowania dziennikarskich stories, ale i tak w krótkim czasie obieżyły one cały świat. W dwie godziny po ukazaniu się tego wydania „Daily Mail” tajemnica zaginionego majora SAS trafiła do Internetu. Zaraz po dwudziestej drugiej godzinie czasu nowojorskiego wydział Bliskiego Wschodu CIA w Langley elektronicznie rzucił artykuł z londyńskiego dziennika na biurko oficera dyżurnego w sekcji wywiadu wojskowego Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade. Szybkość, z jaką CIA zabrała się do tej historii, wiele mówiła o tym, jaką wagę przykładła do problemu. Wszystkie zachodnie służby wywiadowcze oraz ich naturalni sprzymierzeńcy, czyli siły specjalne, są skłonne żywiołowo i ze zgrozą reagować na możliwe przejście jednego z ich ludzi na stronę przeciwnika. CIA śledziła wydarzenia wokół sprawy majora Kermana już od kilku tygodni, ale ten artykuł, ujawniający muzułmańską przeszłość zaginionego oficera, podniósł napięcie o wiele, wiele wolto w. Nocny sygnał z Langley do Fort Meade wyraźnie świadczył o tym, że wywiad chce zaprząć do pracy największą, najpotężniejszą i najtajniejszą agencję na świecie.

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego zatrudnia niemal trzydzieści dziewięć tysięcy ludzi. To bardziej miasto niż instytucja rządowa; rozległy kompleks nowoczesnych, przeszklonych budynków, chroniony przez płoty z ostrego jak brzytwa drutu, patrolowany przez setki uzbrojonych policjantów z psami tresowanymi do wykrywania materiałów wybuchowych. Mówiąc obrazowo, dawne Zakazane Miasto w Pekinie wyglądałoby przy Fort Meade na dom otwarty. NSA jest znane jako „Krypto-City”.

Za lśniącościami ścianami z kuloodpornego szkła stoją bataliony superkomputerów, obsługiwanych przez świetnych ma-

ternatyków, poprzez ich klawiatury kontrolujących bazy danych kwadrylionów (jedynka z dwudziestoma czterema zerami, bilion bilionów) operacji na sekundę – istne wariactwo militarnego zarządzania. Fort Meade siedzi jak wielki pajak w środku połączonej z satelitami gigantycznej światowej sieci nasłuchu, przechwytyjącej wszelkie możliwe informacje, które nie wydostają się już z zakazanego terenu kompleksu. Dla zabawy operatorzy NSA puszcza sobie nawzajem nagrania rozmów telefonicznych Osamy bin Ladena z jego matką, prowadzonych przez morską sieć satelitarną INMARSAT. Agencja zapewnia pracownikom szkolenie w dziewięćdziesięciu pięciu językach, plus we wszelkich dialektach arabskich, w tym irackim, libijskim, syryjskim, saudyjskim, jordańskim i tzw. standardowym współczesnym. Tłumaczenie słów bin Ladena to w NSA praca na parę chwil. W tym świecie jakakolwiek łączność międzynarodowa między dwiema organizacjami militarnymi jest dosłownie niemożliwa bez jej elektronicznego przechwycenia w doskonałej jakości i ze zrozumieniem treści przez Fort Meade.

Cały kompleks zajmuje powierzchnię ponad stu trzydziestu hektarów, pociętych siatką pięćdziesięciu kilometrów dróg. W Krypto-City jest zarejestrowanych ponad trzydzieści siedem tysięcy samochodów. Kompleks ma własną pocztę, doręczającą dziennie siedemdziesiąt tysięcy przesyłek. Jego roczny budżet sięga miliardów dolarów, co czyni z niego największy organizm miejski w stanie Maryland, choć jako miasto nie figuruje na żadnej mapie. NSA posiada działające całodobowo centrum dowodzenia i łączności oraz własne siły policyjne, liczące siedemset osób. Na najmniejszy sygnał zagrożenia stawiany jest do akcji oddział szybkiego reagowania z bronią maszynową, obsadzający wszystkie bramy wjazdowe. Osoba postronna ma jedną szansę na milion, by przedostać się niepostrzeżenie na teren kompleksu, ale jeszcze mniej Prawdopodobne jest, aby kiedykolwiek stamtąd wróciła.

Na ósmym piętrze budynku OPS-2B dyrektor NSA admirał George Morris wciąż jeszcze siedział za biurkiem, kiedy oficer dyżurny z sekcji wywiadu wojskowego, kapitan Scott Wade, kiwnąwszy przyjaźnie głową dwóm policjantom z ochrony, zapukał dyskretnie do drzwi i wszedł do gabinetu.

–Dobry wieczór, sir. Właśnie otrzymaliśmy sygnał z Lang-ley. O tym oficerze SAS, który zaginął w Izraelu. Pomyślałem sobie, że zechce pan się z tym niezwłocznie zapoznać.

Obaj mężczyźni dobrze się znali. Admirał podniósł głowę znad papierów i rzekł:

–Cześć, Scotty. I co, znaleźli go?

–Nie znaleźli. Nie było też żadnego żądania okupu. Zdaje się, że tę ewentualność już wykluczono.

–Hmm... – mruknął Morris, czytając artykuł z „Daily Mail”. – No jasne, że nie znaleźli. Chryste, ten facet jest muzułmaninem!

–W każdym razie był nim kiedyś, sir. Nie znam się na tych niuansach ze zmianami religii. Zawsze myślałem, że jak się raz było wyznawcą Allaha, to pozostaje się nim na zawsze.

–Takie chyba były intencje Proroka. – Admirał się uśmiechnął. – Ale pozwól, że cię o coś zapytam. Spędziłeś większość życia na obserwowaniu takich właśnie sytuacji. Myślę, że można podejrzewać, iż major Kerman przeszedł na drugą stronę, chociaż Anglicy niczego nie potwierdzają. Czy jednak natrafiłeś na jakikolwiek dowód, choćby najdrobniejszą poszlakę, że tak się właśnie stało? Że Kerman jest teraz na usługach jakiegoś ugrupowania islamskich fundamentalistów?

–Nie, sir. Nikt nigdy czegoś podobnego nie twierdził. Były tylko różne spekulacje.

–Taak, wiem. Ale popatrz tylko, jak potraktował tę historię jeden z największych londyńskich dzienników. Wstęp na pierwszej stronie, a w środku cały wielki raban. Sążniste tytuły, zdjęcia... Ray w Harrow, jego rodzice, ta irańska dziura, w której się urodził... Rzucili do tego chyba z pięciu reporterów! Mówię ci, Scotty, ktoś w Anglii uważa tę sprawę za naprawdę ważną. Nie jakiś tam dziennikarz; oni po prostu zgadują i mają nadzieję, że trafnie. Ale ktoś w Whitehall ich zaalarmował, dał do zrozumienia, że ministerstwo jest poważnie zaniepokojone. Spójrz na formę tego artykułu. Wyraźnie implikuje, że ten cały Kerman zastrzelił dwóch swoich kolegów, profesjonalistów z SAS. To oznacza, że jest naprawdę niebezpieczny.

–Tu się z panem zgadzam, sir. Zastanawiam się tylko, która z organizacji mogła go zwerbować. Kurczę, z tego artykułu wynika, że facet miał poważne szansę awansować na dowódcę całej formacji. Wszyscy mieli o nim jak najlepsze zdanie, obce mu były kłopoty finansowe... Wygląda na to, że po odejściu z armii dostałby od tatusia z tuzin frachtowców.

–Ludzie czasami robią różne dziwne rzeczy, Scotty – rzekł Morris w zamyśleniu. – Cholernie

dziwne rzeczy...

Powierzchność i manieri George'a Morrisa mogły wprowadzać w błąd. Był masywnym mężczyzną o nieco melancholijnym usposobieniu, świadomie powolnym w reakcjach i skłonny do zastanawiania się, ale przy tym niewzruszonym w osądach; ta zdolność do udawania przy ciężkiego w myśleniu nieodmiennie go bawiła. W rzeczywistości wiceadmirał Morris był niezwykle bystrym człowiekiem. W US Navy jako dowódca zespołu lotniskowca John C. Stennis miał pod komendą flotyllę dwunastu okrętów, osiemdziesiąt cztery myśliwce bombardujące i tysiące ludzi, rządząc całością ze spokojem i pewnością siebie podziwianą w całej marynarce. Nie powierza się dowództwa strategicznego zespołu komuś, kto intelektem odbiegałby zbyt od poziomu geniusza.

Pod koniec morskiej kariery został osobiście wybrany przez samego Wielkiego Człowieka do pracy w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Potem, rok temu, admirał Arnold Morgan ogłosił, że właśnie George Morris zastąpi go na stanowisku dyrektora, gdy on sam przejdzie do Białego Domu. Kolejni doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego zazwyczaj wydawali zalecenia; Arnold Morgan Wydawał polecenia i kiedy to robił, ludzie podskakiwali, czasami nawet na wszystkich kontynentach. Tak więc Morris zasiadał teraz wygodnie w najważniejszym fotelu w Fort Meade, wszyscy zaś wiedzieli, że pozostanie tu, dopóki będzie a to miał ochotę. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, dni, kiedy Wielki Człowiek z Waszyngtonu wpadał z wizytą i odruchowo zajmował miejsce za swym dawnym biurkiem. Morgan zdawał się sądzić, że piastuje oba najwyższe stanowiska w bezpieczeństwie.

–Wiesz, co ci powiem, Scotty? To cholernie ciekawa dzien-

nikarska robota. Pełno tu faktów i niektóre z nich mogą nawet być prawdziwe.

–Też tak pomyślałem, sir.

–Uważam jednak, że w tym artykule jest dostatecznie dużo prawdy, żeby się pokusić o nadzwyczaj prostą wersję najgorszej ewentualności.

–A mianowicie?

–Według mnie mamy tam pieprzonego tygrysa na wolności. I nie jest po naszej stronie. Ten skurwiel Kerman przeskoczył na drugą stronę muru, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

–Mhmm... właściwie to on obszedł mur dookoła, panie admirale.

„Wielki George” zamilkł z uśmiechem na ustach.

–Ano, dookoła, Scotty. W samym środku pieprzonego Hebronu. Na razie to tylko taka bardzo niemiła ewentualność, ale prywatnie uważam, że tak się właśnie stało. I dlatego trzeba coś z tym zrobić... na wypadek, gdybym miał rację. Załatw nam trochę kawy, Scotty. Muszę pomyśleć, a znacznie lepiej mi to wychodzi, gdy nie śpię... i gdy mam z kim pogadać. Ile ci zostało?

–Kończę służbę o czwartej, sir.

–W porządku. Pomaleńku dojdziemy do jakichś wniosków. Dziesięć minut później obaj mężczyźni siedzieli nad

czarną kawą, na poważnie zagłębiając się w problem, który Whitehall do tej pory wzdragało się nazwać po imieniu.

–Jeżeli ten gość żyje, to jaki jest najgorszy z naszego punktu widzenia wariant wydarzeń? – zapytał Morris.

–Pewnie taki, że zajęłby się wyszkoleniem grupy arabskich terrorystów, umożliwiając im atakowanie Izraela z taką samą sprawnością, jaka cechuje SAS.

–Otóż to. Zadajmy więc sobie pytanie, dla kogo przede wszystkim mógłby pracować.

–Myślę, że niemal na pewno może chodzić o Hamas, czyli Islamski Ruch Oporu. Do tej pory jest to główna siła wśród palestyńskich fundamentalistów, wykształcona z dawniejszego Bractwa Muzułmańskiego w strefie Gazy. Ilekroć pracujemy nad jakąś akcją terrorystów w Izraelu, ślady zawsze wiodą do Hamasu.

–Przypomnij mi, Scotty, kto nimi rządzi?

–Trudno powiedzieć. Głównym przywódcą był stary szejik Ahmed Jassin, ale Izraelczycy zapuszkowali go z dziesięć lat temu*. Od tego czasu organizacja patronowała budowie wielu palestyńskich szkół i szpitali, ale od czasu do czasu zrzuca maskę i porywa się na coś diabolicznego. Mój wydział jest zdania, że wraz z załamaniem się kolejnych inicjatyw pokojowych Hamas wyrastał na coraz poważniejszego gracza, rzucając wyzwanie OWP. Prawie każde wielkie bum w śródmieściu Jerozolimy czy Tel Awiwu przypisywane było bezpośrednio temu ugrupowaniu.

–Kto ich finansuje?

–Nie wiemy, sir. Zdaje się, że sami są nieźli w zdobywaniu funduszy. I tak być powinno, skoro ich celem nadrzędnym jest całkowite wyzwolenie Palestyny, czyli terytorium całego Izraela, a potem utworzenie tam państwa islamskiego.

Admirał Morris zamyślił się na dłuższą chwilę, po czym rzekł, ważąc słowa:

–Jeśli ten major Kerman przeszedł w Hebronie na drugą stronę, musiał po części działać pod wpływem impulsu. Przecież nie Palestyńczycy zaczęli tę awanturę, nawet jej nie sprowokowali. To Izraelczycy byli stroną atakującą. Arabowie się tylko bronili, niczego nie planowali.

–To prawda, sir. Ale raporty wojskowe mówią wyraźnie, że gdy tylko doszło do starcia, Palestyńczycy zorganizowali się bardzo szybko. Użyli rakiet, granatów i kilku cekaemów. To wizytówka Hamasu, może mi pan wierzyć. Nikt inny nie dałby sobie rady z takim numerem.

–Mieli w Hebronie jakieś poważniejsze siły?

–Jasne, sir. Nie tylko w Hebronie, ale na całej Negew, w każdej miejscinie pomiędzy Beer Szewą a Betlejem i Jerozolimą. Cały region to jedna wielka enklawa Hamasu i skład broni. Strefa Gazy jest jeszcze gorsza. Mówię panu, nasi hebrajscy koledzy mają tam pełne ręce roboty.

–Scotty, od zniknięcia majora Kermana upłynęło już

* Książka powstała w 2003 r. Szejik Jassin został zwolniony z więzienia w 1997 r. Zginął 22 marca 2004 r. podczas wymierzonej w niego akcji izraelskiej.

kilka miesięcy. Czy w tym czasie zdarzyło się coś, co by świadczyło, że Hamas zyskał nowego, bardziej pomysłowego przywódcę?

–Nie, sir. Bez zmian, tu i ówdzie bomba i tak dalej. Żadnych konkretnych dowodów na taką ewentualność.

–Wiesz, co ci powiem? Ktoś zapewnia tym ludziom poważne pieniądze. Mógłbyś poszperać w raportach i sprawdzić, czy gdziekolwiek w Izraelu nie było ostatnio jakichś większych napadów rabunkowych. Kto wie, może nikt nie podejrzewał Hamasu o coś takiego. Ale takie ugrupowania terrorystyczne dla zdobycia funduszy często uciekają się do normalnych przestępstw kryminalnych... a speców z SAS można uznać za jednych z najlepszych włamywaczy na świecie.

–Będę musiał skonsultować się z wydziałem operacyjnym, sir. Jest tam bardzo bystry młody człowiek z marynarki, Jimmy Ramshawe. To nowy nabytek i ma dzisiaj służbę. Rzucę mu ten temat. W Izraelu nieczęsto się trafiają napady na banki, ale jeśli coś się tam działo, Jimmy to wyłapie.

–No to ruszaj i zamelduj się za pół godziny.

–Zrobi się, sir.

Minęła jednak jeszcze godzina w oczekiwaniu na pojawienie się porucznika Ramshawe'a. Wreszcie dyżurny zapukał do gabinetu dyrektora i przekazał, że porucznik prosi kapitana Wade'a do swojego biura.

–No, chyba łyknę jeszcze jedną kawę, Scotty, skoro mam być jeszcze na chodzie.

–To nie potrwa długo, sir. Będę za kwadrans. Admirał Morris wiedział wszystko o poruczniku. Znał

zresztą osobiście jego ojca, admirała z Nowej Południowej Walii, który wylądował na stanowisku attache wojskowego przy ambasadzie australijskiej na Massachusetts Avenue. Jimmy przyszedł na świat w Ameryce, ale spędził dzieciństwo w otoczeniu swych krajan i jego angielski miał wyraźny akcent z antypodów. Poza tym był jednak najprawdziwszym Amerykaninem; skończył szkołę w Connecticut, był jednym z lepszych zawodników w drużynie bejsbola, a potem wstąpił do Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, idąc za przykładem ojca na morze. W akademii szybko się wykazał

niezwykłą inteligencją, pamięcią do najdrobniejszych szczegółów i zdolnością ich kojarzenia.

Był wysoki, szczupły i wysportowany, miał też wiele cech predestynujących do dowodzenia okrętem, jak bystrość, twardość i nieustępliwość w dążeniu do celu. Jednak to właśnie nieprzeciętny umysł wyróżnił go spośród kolegów i... uwiązał go na lądzie. Jeden z jego instruktorów wykrzyknął kiedyś: „Ramshawe? Ten facet wyrośnie na drugiego kapitana Queega*, będzie siedział i liczył pieprzone truskawki sztuka po sztuce, podczas gdy dookoła niego wali się i pali!”

Trzeba jednak przyznać, że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych potrafi pokierować utalentowanymi ludźmi. Dociekliwy i skrupulatny Ramshawe został szybko spostrzeżony i zaklasyfikowany jako dobry materiał na oficera wywiadu, co zresztą go unieszczęśliwiło („Jezu, chcecie powiedzieć, że te wszystkie cholerne dupki z mojego roku pójdą sobie na okręty, a ja wyląduję za biurkiem w tym pieprzonym Kremlu w środku Marylandu? Odwalcie się ode mnie!”). Marynarka jednak nie żartowała i dopięła swego. Porucznik Ramshawe otrzymał wyjątkową ofertę trzyletniej tury służby w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, okraszona słodką obietnicą, że gdyby rzeczywiście się tam nie odnalazł, jego sprawa zostanie rozpatrzona na nowo pod kątem wysłania go na morze. Za namową ojca przyjął tę propozycję i zameldował się w Fort Meade, gdzie od razu zrobił wrażenie zdolnością do szybkiego opanowania licznych funkcji, z których każda normalnie wymagała wielotygodniowej nauki. Był w wydziale operacyjnym zaledwie kilkanaście dni, ale już został zauważony przez oficerów w rodzaju kapitana Wade'a, którzy podziwiali go za umiejętność wychwytywania najbardziej mglistych informacji i doszukiwania się w nich sensu.

Po kwadransie Wade wrócił do gabinetu admirała. Było już dobrze po północy, Morris był więc zaskoczony, słysząc w głosie kapitana nową, ostrzejszą nutę.

–Ramshawe coś wytropił, sir. Nie da się nawet otworzyć drzwi do jego biura, bo pracuje zawalony ze czterema tonami

* Psychotyczny dowódca okrętu ze sztuki Hermana Wouka Bunt na Caine, chorobliwy pedant dręczący załogę.

papierów. Dokopał się jednak do informacji o paru napadach na banki w Izraelu, zupełnie się różniących. Nie związane ze sobą daty, inne miasta, odmienne metody działania i okoliczności. Mówi, że są takie same, i będzie tu za dziesięć minut z wyjaśnieniami.

Admirał Morris uśmiechnął się i skinął powoli głową.

–Zobaczył więc coś, czego my nie widzimy, co? Jestem tego bardzo ciekaw. Mówiłeś mu, czego szukamy?

–Nie, sir. I właśnie dlatego to takie interesujące, prawda?

–Tak jest. Powiedz mu, żeby się pospieszył.

Jak na zawołanie drzwi się otworzyły i dyżurny wprowadził porucznika Ramshawe'a.

–Dzień dobry, panie admirale – powiedział przybyły z australijska i opuścił na stół ciężki stos map i innych papierów.

–Witam, poruczniku. – George Morris zachichotał. – Tak was zaprzęgli do roboty, że dzień się wam myli z nocą?

–Może i tak, sir. Ale przecież nie mogłem tu wejść i powiedzieć „Dobranoc, panie admirale”, nie?

–No, nie. Ale może by tak „Dobry wieczór?”

–Niee... Wyszedłbym na jakiegoś cholernego jajogłowca.

Roześmiali się wszyscy. George Morris stwierdził, że taka bezpośredniość rodem z buszu i „rozzucenie politycznej poprawności na cztery wiatry”, według słynnego powiedzenia admirała Morgana, mogą być całkiem urocze.

–No więc do rzeczy, sir. Scotty pewnie panu powiedział, że znalazłem dwa napady na banki izraelskie, do jakich doszło w ostatnim tygodniu minionego roku. Opowiem o nich po kolei, to będziecie mogli zorientować się w podobieństwach, kiedy przejdę do następnego.

Morris skinął tylko głową. Jimmy rozłożył przed nim plan Jerozolimy, na którym zaznaczył na czerwono ulicę Jaffa, położoną o niespełna kilometr na północny wschód od bramy starego miasta.

–W tym miejscu stoi wieżowiec, w którym mieści się największy amerykański bank w Izraelu, New York Beirut Savings. Pełni on rolę dolarowej izby rozrachunkowej. Nie jestem pewien, jak to działa, ale każdego dnia turyści przywożą do Izraela miliony dolarów, które jakimś cudem trafia-

ją do New York Beirut Savings. Myślę, że całe te sumy są przelewane telegraficznie do ich centrali na Manhattanie, a na miejscu niszczy się masę starych banknotów. Tak czy owak kilka razy w miesiącu przy ulicy Jaffa bywa cholernie dużo gotówki.

Morris i Wadę słuchali w milczeniu.

I – No więc mamy Boże Narodzenie, święto obchodzone przez wielu, choć nie przez wszystkich. Wypadło ono jednak w sobotę, a nawet w Ziemi Świętej, gdzie w Jezusie widzą tylko proroka, w szabas nie jest otwarty żaden interes. I co się dzieje? Około wpół do czwartej po południu ni stąd, ni zowąd wybuchają zamieszki z powodu jakiejś kraksy samochodowej. Długo nie trwało, zanim na miejsce ściągnęło ze dwadzieścia radiowozów, a do tego i wojsko, żeby opanować sytuację. W ruch zdążyły pójść butelki z benzyną i Bóg wie co jeszcze. O szóstej było już po wszystkim. Jednak dopiero w poniedziałek odkryto, że podczas weekendu jakiś gang zrobił skok na bank i zrabował wszystkie zielone, przeważnie w starych, nieoznakowanych banknotach. Kurczę! To wymagało poważnego śledztwa. W jego wyniku ustalono, co następuje. – Ramshawe zaczął czytać z odręcznych notatek. – Po pierwsze, gang dostał się do banku przez dach, rozwaliwszy zamek do wyjścia awaryjnego. Po drugie, rabusie wiedzieli, gdzie szukać centralki systemu alarmowego, i „wylączyli” ją serią z automatu MP-5. Po trzecie, wiedzieli, jak trafić do skarbcza, bo dalej szli już jak po swoje. Znaleźli i unieszkodliwili zabezpieczenie, które nie było ustawione na czas, po czym wysadzili w powietrze kasę i zabrali cały szmal. Wniosek? Robota kogoś z wewnątrz. Po czwarte, uciekli przez dach, bo żadne drzwi ani okna na dole nie zostały otwarte. Po piąte, kilku świadków zauważyło duży wojskowy śmigłowiec, przypuszczalnie sikorsky, startujący z dachu podczas zamieszek, ale wszyscy uznali, że ma to związek właśnie z zamieszkami. A tu guzik! Musiało jednak upłynąć pięć dni, zanim ktoś na to wpadł. Myślę, że wszyscy się zgodzimy, iż cała historia ma cechy błyskotliwie zaplanowanego skoku, przypominającego niemal operację wojskową.

–Skąd pan to wszystko wygrzebał, poruczniku? – spytał admirał.

–No, trochę pisała o tym izraelska prasa. Ale dużo się dowiedziałem od faceta z Szin Bet. Mamy z nimi dobre układy. Musi pan jednak wiedzieć, panie admirale, że ta historia nie zyskała dużego rozgłosu, pewnie dlatego, że sam bank nie pisał słówka na temat wysokości zrabowanej sumy. Zbagatelizowali sprawę, twierdząc, że i tak banknoty miały być zniszczone, więc strata nie była duża. Ale, niech mnie cholera, na pewno przydałyby się facetowi, który planuje poważne wydatki, nie?

–Pewnie, że tak – zgodził się Morris. – A ile w końcu zginęło?

–Nie wiemy dokładnie. Policja wspomniała coś o liczbie sześciocyfrowej, co nie byłoby spektakularnym łupem. Jednak gość z Szin Bet jest zdania, że mogło raczej chodzić

o jakieś pięćdziesiąt milionów dolarów.

–Niech mnie cholera! – Scott Wade użył zwrotu Jim-my'ego.

–Notatka o napadzie pojawiła się w porannym wydaniu „Jerusalem Post” we wtorek dwudziestego ósmego grudnia. Mała rzecz na drugiej stronie, wszystkiego z sześć akapitów

1 bez zdjęcia banku. Ani słowa o pięćdziesięciu bankach czy

o śmigłowcu. Uznałem za interesujące, że propalestyński „Jerusalem Times” nie zamieścił o tym choćby najmniejszej wzmianki... Przejdźmy teraz do skoku numer dwa, sześćdziesiąt kilometrów od ulicy Jaffa, czyli w śródmieściu Tel Awiwu.

Jimmy położył przed admirałem kolejny plan miasta

1 wskazał rejon skrzyżowania ulic króla Saula i Weitzmanna, gdzie z piaszczystego podłoża wyrastają najbardziej olśniewające nowoczesne biurowce.

–Tu właśnie mamy New York Beirut Bank. To główny oddział na zachodnim wybrzeżu, większy od jerozolimskiego, i kolejne miejsce, gdzie lądują dolary turystów, zanim trafią na ulicę Jaffa. Według policji został on obrabowany w sobotę dwudziestego szóstego grudnia, zaledwie kilka godzin po napadzie w Jerozolimie. Wykrył to w niedzielę personel sprzątający. Ta sprawa też została wyciszona. Informacja o niej ukazała się w „Jerusalem Post” w poniedziałek rano, czyli o całą dobę przed publikacją notatki o pierwszym napadzie.

Wypisałem sobie kilka punktów, które teraz odczytam z kartki, bo to bazgroły, a potem wszystko wydrukuję. I Jimmy zaczął czytać:

- 1) Ta operacja zajęła sporo czasu. Cztery miesiące wcześniej rabusie wynajęli o wiele mniejszy budynek po sąsiedzku i zaczęli drążyć tunel do nie używanej drugiej kondygnacji piwnic banku. Musieli nawet przeciąć kilka stalowych słupów, żeby się tam dostać.
- 2) Za pomocą drabin i rusztowań wleźli pod sufit i przebili się przez betonowy strop, podobno używając młotów i wiertarek.
- 3) Gdy już się znaleźli w środku, pomaszzerowali prosto do centralki alarmu i unieszkodliwili go pociskiem z MP-5. Strzelili w boczną ściankę, przez co trudno było nawet zauważyć dziurę po kuli. Dało im to godzinę, ponieważ ten bank miał zabezpieczenia czasowe i tyle trwałoby, zanim włączyłby się alarm. A to im wystarczyło aż nadto.
- 4) Dostali się do skarbcza, takiego samego jak ten z oddziału w Jerozolimie. Wysadzili drzwi, a potem sejf, używając do tego znacznie mniej materiału wybuchowego niż poprzednio.
- 5) Zamknęli sejf i skarbiec, zrzucili worki z banknotami przez dziurę do piwnicy, zakryli ją kawałkiem sklejki i w jakiś sposób położyli dywan na miejsce, po czym spokojnie dali dyla.
- 6) Kiedy po godzinie zjawiał się patrol ochrony, żeby sprawdzić przyczynę awarii alarmu, nawet nie zauważył włamania. Wezwali po prostu fachowca od systemu. Dopiero kiedy w niedzielę po południu jakiś biedak z wiadrem i mopem stanął na tym dywanie, sprawa wyszła na jaw.

–Ilu ludzi z ochrony utrzymało się na posadzce? – spytał admirał.

–Pewnie żaden – odrzekł Ramshawe. – Tak czy siak, mamy tu dwa bardzo profesjonalne napady na bank, włamania do świetnie zabezpieczonych, nowoczesnych budynków. Jest oczywiste, że sprawcy dysponowali informacjami o umiejscowieniu i działaniu systemów alarmowych. Jeden skok się odbył podczas wyraźnie ukartowanych krwawych rozruchów ulicznych, z efektowną ucieczką śmigłowcem z dachu. Drugi wymagał wielomiesięcznego planowania, a potem dyskrét-

nego przeprowadzenia w środku nocy, choć z wykorzystaniem ciężkiego sprzętu. I był on wykonany znacznie sprawniej, jeśli chodzi o czas i użyte środki. Według mnie musiało w tym brać udział wielu facetów, ale to była jedna siła. Używali tej samej broni, tych samych materiałów wybuchowych, mieli ten sam cel... dolary... i zaatakowali tę samą korporację. W dodatku w jeden weekend.

–Jedno pytanie, poruczniku. – Admirał Morris podniósł wzrok znad swojego notatnika. – Rozumiem, że w Tel Awiwie zamknęli sejf z powrotem. Jak to się jednak stało, że personel banku nie zauważył, że złodzieje wysadzili w powietrze również drzwi do skarbcza?

–Sir, według raportu policyjnego użyli wiertarki o dużej mocy, najpewniej akumulatorowej, do przewiercenia stalowego rygla, w otwór włożyli ładunek i rozwalili rygiel w drobiazgi, ale żeliwna konstrukcja bramy nie została naruszona. Po zgarnięciu forsy po prostu przymknęli ją tak, że wyglądała na zaryglowaną, ale w rzeczywistości była otwarta. Policja twierdzi, że ładunek założył prawdziwy ekspert.

–Powiem wam coś naprawdę mądrego. – Kapitan Scott odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. – Oni wiedzieli, że nikt nie odkryje rabunku w Jerozolimie aż do poniedziałku, system alarmowy nie był tam bowiem wyposażony w zabezpieczenie czasowe. Musieli jednak zdawać sobie sprawę, że w Tel Awiwie ktoś się zorientuje już w czasie weekendu. W ten sposób w oczach mediów oba napady przypisane byłyby do różnych dni. Żaden z dziennikarzy nie mógłby ich ze sobą połączyć.

–Cholernie sprytne – przytaknął admirał. – A jeszcze sprytniejsze z ich strony było założenie, że New York Beirut Savings nie zechce ogłosić, jaka suma została zrabowana.

–To zaś oznacza jedno – wtrącił Jimmy Ramshawe, odgarniając kosmyk czarnych włosów z czoła. – Mamy do czynienia z jednym z większych rabunków w historii. Może chodzić nawet o sto milionów doków, świśniętych z niebywałą precyzją. I te sukinsyny załatwiły to niemal w tajemnicy; nikt nie ma zielonego pojęcia, kto to mógł zrobić. Niech mnie cholera, to była niezła akcja.

George Morris wstał i podszedł do porucznika.

–Dzięki, Jimmy. Dobra robota. A teraz czas już do domu i do łóżka.

Odprowadził młodego oficera do drzwi, po czym zwrócił się do Wade'a:

–No, Scotty, myślę, że właśnie natrafiliśmy na zmianę w karierze majora Raymonda Kermana, co?

–Na to wygląda, sir. To nie była robota zwykłych terrorystów. Widać tu klasyczne cechy działania sił specjalnych. Wie pan, długie tygodnie planowania, kompletne utajnienie przed i po fakcie, bezbłędne wykonanie. Nie ma wpadek, nie ma niespodzianek. Nawet te zamieszki uliczne dla odwrócenia uwagi...

–Absolutnie. Tego nie zrobiła jakaś arabska hołota. Te napady zostały zaplanowane i przeprowadzone przez prawdziwego zawodowca. Myślę, że na razie zachowamy te rewelacje dla siebie. Postaraj się pogrzebać w szczegółach kariery wojskowej naszego majora. Pogadamy rano. O tej sprawie powinny wiedzieć tylko te osoby, które muszą, czyli my trzej.

–Tak jest, sir. Zaczę od razu. W Londynie jest już prawie ósma rano.

Następnego dnia rano. Gabinet dyrektora NSA, Port Meade

Kapitan Wade stanął przed admirałem z pękiem dokumentów i dwiema mapami. Pierwsza z nich przedstawiała Sierra Leone, afrykańską republikę na wybrzeżu Atlantyku,

i północy i wschodu graniczącą z Gwineą, od południa 1 Liberią. Jest to niewielki kraj, ale rewolucje bywają w nim gwałtowne; ostatnią i najdłuższą trwającą wszczął przeciwko ^zdującemu prezydentowi Kabbahowi Zjednoczony Front ^ewolucyjny. Ta iście upiorna afrykańska wojna kosztowała

ycie pięćdziesięciu tysięcy ludzi, głównie z ręki rebeliantów dowodzonych przez krwiożerczego Fodaya Sankoha, którzy

rzez lata terroryzowali ludność cywilną, gwałcąc, rabując

torturując. W 2000 roku brutalnym hordom Sankoha udało

się nawet osaczyć i wziąć do niewoli pięciuset żołnierzy ONZ w miasteczkach Makeni i Kailahun. Ich broń i pojazdy trafiły do i tak już groźnego arsenału ZFR, zakupionego za dochód z kopalni diamentów w głębi kraju.

Tego już było za wiele dla Brytyjczyków, dawnych panów tej ziemi. Posłali do Sierra Leone batalion desantowy w sile siedmiuset żołnierzy z zadaniem ewakuowania Europejczyków. Spadochroniarze opanowali sporą część stolicy kraju, Freetown, w tym lotnisko. Walki jednak toczyły się zajądło. Brytyjczycy odbili większość zakładników i wyparli rebe-liantów z miasta, wykorzystując śmigłowce szturmowe.

Sankoh jednak nie dawał za wygraną. Zaatakował znowu; niespodziewanie wpadło mu w ręce sześciu żołnierzy z pułku Royal Irish Rangers, których wywieziono gdzieś w busz i trzymano jako zakładników w dobrze umocnionej pozycji na brzegach rzeczki Rokel. W Whitehall zdawano sobie sprawę, że mogą zostać zamordowani albo i zamęczeni na śmierć, jeśli armia nie zareaguje naprawdę szybko. Mapa, którą kapitan Wade pokazywał teraz admirałowi Morrisowi, przedstawiała szczegółowy plan tego groteskowego „teatryku” wojny: okolice wiosek Gberi Bana i Forodugu, leżących po obu stronach rzeczki.

–Angole od razu posłali tam SAS, sir. Kompanię D. Weszli w rejon tutaj, powyżej rzeki, obsadzili pięć posterunków obserwacyjnych idealnie zakamuflowanych w buszu i spokojnie ocenili sytuację. Całą operację opracował ich dowódca. Naprowadził pięć śmigłowców ze spadochroniarzami, które wylądowały w dole rzeczki i zaatakowały pozycje przeciwnika na obu brzegach, likwidując gniazda cekaemów. – Kapitan Wade obrócił nieco mapę i wskazał kierunek ataku. – Atakujący ściągnęli na siebie ogień rebeliantów... i we właściwym momencie dowódca SAS wydał rozkaz, poderwał śmigłowce i poprowadził swoich ludzi do szturm. Było to o brzasku. Komandosi wpadli do wioski, strzelając do wszystkiego na drodze, i uwolnili zakładników. Przebili się z powrotem do czekających śmigłowców, zostawiając za sobą trupy dwudziestu pięciu ludzi Sankoha i raniąc osiemnastu. W akcji zginął tylko jeden Brytyjczyk. Panie admirale, naprawdę dobrze się temu przyjrzałem. To była klasyczna

operacja sił specjalnych. Nie muszę chyba dodawać, że dowódcą był Raymond Kerman.

–Niech mnie... – mruknął George Morris.

Bez słowa podniósł słuchawkę i wykręcił numer Białego Domu, z którym Krypto-City było połączone bezpośrednio, bezpieczną linią. Poprosił o połączenie z admirałem Morganem.

Kathy O'Brien, urodziwa rudowłosa sekretarka doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, odebrała telefon i usłyszała znajomy głos dyrektora NSA, jedyne go człowieka w kraju, dla którego Arnold Morgan zawsze miał czas. Akurat stała pomiędzy swym biurkiem a dużymi drzwiami z litego drewna, za którymi urzędował jej szef. Wiedząc, że jest sam, podeszła i bezceremonialnie je pchnęła.

–Dzwoni George – oznajmiła. – Mam przełączyć do ciebie?

–Jaki George? – burknął admirał z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od rozłożonych przed sobą dokumentów. – Washington? Patton?

–Dobrze wiesz, kogo mam na myśli. Wiceadmirala George'a Morrisa, dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, mieszczącej się w Fort Meade, stan Maryland, pięć mil na północ od obwodnicy Beltway, szerokość geograficzna trzydzieści dziewięć kropka dziesięć.

–Za mało dokładnie. – Admirał Morgan zerwał się zza biurka, ze śmiechem podszedł do Kathy, objął ją i powiedział, prawie nie robiąc pauzy między jednym zdaniem a następnym: – Kocham cię. Daj zaraz mi tego starego skunksa. Mogę dostać trochę kawy? Gdzie, do diabła, jest mój „Washington Post”? Powiedz temu kretynowi z Kremla, żeby ruszył tyłek i przysłał odpowiedzi na nasze pytania w ciągu godziny. Cholerne atomowe okręty podwodne na Bałtyku...

–Nie mogę mu tego powiedzieć – odparła przyszła pani Morgan. – Nie jestem nawet komunistką – dodała nieco bez sensu. Nie wdała się jednak w dalszą dyskusję na ten temat; °yłaby to woda na młyn dla jej narzeczonego, który miał Przesadnie wysokie mniemanie o własnym poczuciu humoru.

Kathy ruszyła z powrotem, zdecydowana skontaktować

się z Moskwą pocztą elektroniczną, przekazać Rosjanom, że sprawa jest dla admirała Morgana pilna i szybka odpowiedź będzie mile widziana. Szybko połączyła George'a Morrisa z gabinetem szefa.

–Cześć, George – przywitał go Morgan, wiedząc, że jego stary przyjaciel nie niepokoiłby go

czymś mało ważnym.

–Witam, sir – odrzekł Morris z szacunkiem należnym prawej ręce prezydenta, zanim przeszedł na mniej formalny ton, do jakiego upoważniała go ich trzydziestoletnia zażyłość. – Mogę wpaść z wizytą?

–Jasne. To coś pilnego?

–Nie, ale moi chłopcy wpadli na trop sytuacji, która mi się niezbyt podoba. Ciebie też to nie ucieszy.

–No to zapraszam cię na lunch, George. U mnie, około trzynastej.

–Doskonale. Będę na pewno.

Z wybiciem trzynastej pod Zachodnie Skrzydło podjechał służbowy samochód z Fort Meade. Agenci Secret Service zaprowadzili dyrektora NSA prosto do oczekującego go admi- I rała Morgana. Przyjaciele pogawędzili przez kilka minut, po czym przeszli do małej prywatnej jadalni, gdzie czekał zastawiony stół. Morgan nalał im po szklance gazowanej wody mineralnej i zadzwonił na kelnera.

–Dobra, George. Wykładaj kawę na ławę.

–Zacznę od pytania. Wiedziałeś, że Angole stracili ważnego oficera SAS w tej bitwie w Hebronie?

–Nie wiedziałem. Zginął?

–Jeszcze parę dni temu tak sądziłem, choć nie ma żadnych dowodów jego śmierci. Facet po prostu zniknął jak kamfora, a nie było żadnych żądań okupu. Teraz jednak jestem zdania, że on żyje i po pierwsze zdezerterował, a po drugie przyłączył się do Hamasu.

–Co takiego? Oficer SAS został terrorystą? To fatalnie! Ale przynajmniej Hamas ogranicza się do działań na Bliskim Wschodzie, więc zagrożenie nie jest śmiertelne.

–Nie jest... na razie. Ale to nietypowy gość. Nazywa się Ray Kerman, nie jest jednak Żydem. Urodził się w Iranie, i jego rodzice byli muzułmanami, a on sam czytywał Koran- I

–Jaki miał stopień?

–Major. To on dowodził tą akcją ratunkową w Sierra Leone trzy czy cztery lata temu.

–Tak? Pamiętam ją. Kapitalna operacja. Angole dopadli czarnych przez rzekę i nie zostawili kamienia na kamieniu.

–Zgadza się. Zaatakowali niespodziewanie przed świtem, wydostali wszystkich, zabili lub zranili ponad czterdzieści osób i uciekli, tracąc tylko jednego żołnierza. Podręcznikowa akcja sił specjalnych.

–Tak, całkowite zaskoczenie i przywalić z grubej rury. Tak to powinno się odbywać. – Morgan pokiwał głową z aprobatą.

W tej chwili zjawił się kelner i postawił przed obu admirałami talerze zupy z homara.

–Pamiętałeś, by wlać na dno po łyżce wytrawnego sherry? – spytał doradca prezydenta.

–Tak jest, sir.

–To dobrze. Nie chciałbym, aby mój gość pomyślał, że obniżam poziom. – Odprawił kelnera i zwrócił się do Morri-sa: – Pozwól, George, że zadam ci pytanie za sto punktów. Dlaczego uważasz, że ten Kerman żyje?

–Przede wszystkim dlatego, że nikt nie znalazł jego ciała. Ani Angole, ani Żydzi. I Mossad, i Szin Bet niczego nie wygrzebały. W dodatku jest jedna bardzo niezwykła poszlaka. Dwóch innych ludzi z SAS, sierżantów, znaleziono martwych dokładnie tam, gdzie po raz ostatni widziano Kermana żywego. Jeden z nich zginął od serii z MP-5, drugi od typowej sztuczki sił specjalnych, podwójnego ciosu w nos. Wygląda na to, że Angole podejrzewają majora Kermana o ich zamordowanie i ucieczkę.

–Ale dlaczego on miałby to zrobić?

–Dobre pytanie. Był zawodowcem, skończył Sandhurst 8 wyróżnieniem i kto wie, czy nie dochrapałby się dowództwa całej formacji SAS. Poza tym ma bardzo dobrze sytuowanych "odciców, stać ich było na jego edukację w Harrow. To Prawdziwa zagadka.

–George, znamy się od wielu lat. To, co mi tu opowiedziałeś, jest cholernie ciekawe, ale nie aż tak, żebyś chciał towić o tym ze mną w cztery oczy. Angole zgubili w Izraelu

ludnego waźniaka. Ale to nie jest naprawdę nasz problem, co?

–Nie. Ale dalej będzie lepiej, to znaczy gorzej. Admirał Morris zrelacjonował Morganowi całą

historię

dwa napadów na banki w Jerozolimie i Tel Awiwie. Na koniec Wielki Człowiek z Białego Domu rzekł tylko:

–Jasna cholera! Ci faceci zwiali ze stoma milionami w używanych banknotach i nikt o tym publicznie nawet słówkiem się nie zająknął? To zadziwiające. Ale jeszcze dziwniejsze jest to, że dwa tak genialne skoki musiały być zaplanowane i przeprowadzone przez zawodowców. Ktoś tam wykazał się nie byle jakim wyszkoleniem wojskowym. To musiał być naprawdę utalentowany oficer.

–To samo pomyślałem. Tygrys na wolności, dowodzący dobrze zorganizowaną grupą. I z całą pewnością nie możemy odrzucić prawdopodobieństwa, że w wyborze wrogów nie ograniczy się tylko do Izraela.

Kelner wsunął się do jadalni, by sprzątnąć talerze po zupie.

–Wszystko w porządku, sir?

–Smakowała jak nektar – zapewnił go Morgan. Befszyki z polędwicy, które podano po chwili, były równie

doskonale. Podczas posiłku admirał rozważał na głos zasłyszane rewelacje, starając się w pierwszym rzędzie ocenić, czy Ray Kerman może być najgorszym rodzajem szpiega, który jakimś cudem przeniknął do armii brytyjskiej. Z uwagi na zamożność rodziny Kermanów, wciąż mieszkającej w Londynie i cieszącej się szacunkiem, uważał to jednak za mało prawdopodobne.

–Już raczej nasz Ray doznał nagłych wyrzutów sumienia – zasugerował. – Były jakieś domysły w tym kierunku?

–Nie bardzo. Ale dom, w którym znaleziono obu martwych sierżantów, znajdował się w samym środku strefy bitwy i był wtedy zamieszkały przez rodzinę. Izraelczycy znaleźli tam ciała dwojga zastrzelonych dzieci. Ich ojciec też zginął, tylko matce udało się uciec. Odszukano ją później; twierdzi, że nic nie wie o żadnym oficerze SAS. Brytyjczycy nie chcą jej wierzyć.

–Wiadomo, jakiego major Kerman był wyznania?

–Anglikańskiego. I w szkole, i w wojsku nie dał najmniejszych powodów do przypuszczeń, że może być inaczej-

–Cóż, jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że w Rayu Kermanie obudziło się sumienie i w ogniu bitwy, zaszokowany bezwzględnością ataku IDF na Arabów, zdecydował się przejść na ich stronę.

–Arnie, wiem, że to jest możliwe. Przyszedłem do ciebie, aby przedyskutować, co powinniśmy zrobić na wypadek, gdyby Kermanowi nie wystarczyła walka w szeregach Hamasu w Ziemi Świętej i postanowiłby wziąć na cel resztę zachodniego świata.

–Jezu... Chyba powinniśmy go znaleźć, zanim zajdzie tak daleko. Ale te wszystkie grupy od jakiegoś czasu zachowywały się dość spokojnie. Nie sądzę też, aby po roku 2001 ktoś planował jeszcze masowe mordy na ludności cywilnej. Nie ma wątpliwości, że nasze wojsko napędziło porządnego stracha całemu światu muzułmańskiemu, unicestwiając siły bin Ladena. Musimy jednak zachować czujność. Ten cały Kerman jest w mojej opinii dziesięć razy groźniejszy od al-Kaidy. Na razie tylko nabiera wprawy i zdaje się, że zdążył już zwędzić nam sto milionów.

–Też tak myślimy. Nie wiemy jednak, co zrobił z forszą ani gdzie się podziewa. Wygląda na to, że na razie możemy tylko bacznie przyglądać się poważniejszym przestępstwom i sabotażom w Izraelu.

–Sądzę, George, że trzeba powiadomić Mossad i Szin Bet o naszych podejrzeniach i obawach. Oni są nieźli w tropieniu ludzi. Jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że te napady na banki są dziełem zawodowego wojskowego kalibru majora Kermana. A skoro już mowa o kalibrze, nie zdziwiłbym się, gdyby pociski, od których zginął sierżant SAS, zostały wystrzelone z tej samej broni, którą unieszkodliwiono system alarmowy w Tel Awiwie. Może by to sprawdzili?

–Zajmę się tym jeszcze dzisiaj, Arnie. Czy damy znać Brytyjczykom o naszych pomysłach?

–Czemu nie? Ale oni i tak są pewnie o krok przed nami. Angole tylko głupio gadają, to wynika z ich dziwaczного Wychowania. Zawsze jednak wiedzą o wiele więcej, niż ci się wydaje.

Przez chwilę obaj admirałowie siedzieli w milczeniu, po czym Morris zapytał:

–Jak to się mogło stać, że taki nowo zwerbowany rekrut jak major Kerman dostał się z hebrońskiego zaułka do szeregów Hamasu, a potem na sam front bliskowschodniej polityki, i to wśród fundamentalistów?

–No, na pewno od początku traktowali go bardzo podejrzliwie. Jest teraz pewnie na okresie próbnym, ale tymi rabunkami musiał szybko trafić im do przekonania. Kerman pewnie nawiązał już kontakt z palestyńskim Dżihadem z Gazy. Ta organizacja dzieli się na cztery główne

frakcje, z których jedna działa przy granicy libańskiej wspólnie z Hez-bollahem. Kluczem do tej sprawy może być niejaki szejk Biud Altmimi. Pochodzi z Hebronu i wiemy, że dostaje wsparcie z Iranu, czyli z ojczyzny Kermana. Nic nie jest jednak proste. Masa tych fanatycznych przywódców siedzi już w więzieniach rozmaitych krajów, zwłaszcza w Egipcie, ale przede wszystkim w Izraelu. Ktoś taki jak major Kerman byłby darem z niebios dla tego typu terrorystów. Nie twierdzą, że zaczną mordować na dużą skalę. Te czasy chyba już minęły. Ale mając takiego człowieka na czele, mogą przypuszczać bardzo niszczycielskie ataki na Zachód nawet bez zabijania.

–W tej chwili i tak nie możemy zrobić nic poza bacznią obserwacją wydarzeń w Izraelu – skwitował George Morris.

–Taak... I przygotować się na niespodzianki. Wątpię, aby sto milionów majora Kermana leżało gdzieś bezużytecznie.

ROZDZIAŁ 3

Środa, 27 kwietnia 2005 r. Wzgórze Golan (8 km za syryjską linią demarkacyjną)

Napięcie panuje tu zawsze. Czuje się je nawet w naj-zaciszniejszych dolinkach. Choć do syryjskiej linii demarkacyjnej jest osiem kilometrów, w powietrzu wokół górującej nad okolicą naturalnej fortecy Wzgórze Golan wisi nieustająca gorycz Arabów. Tu właśnie, podczas wojny Jom Kippur w roku 1973, rozegrała się największa bitwa czołgów od czasu batalii pod Kurskiem. Wygrał ją Izrael, pozostawiając w polu tysiąc dwieście dymiących syryjskich wraków, a za granicą dyszący gniewem prastary kraj, którego stolica, Damaszek, jest jednym z najstarszych nieprzerwanie zamieszkałych miast na naszej planecie; istnieją dowody jego istnienia już przed pięcioma tysiącami lat.

Golan to ciemny i budzący respekt granitowy masyw, gdzieniegdzie pokryty zielenią i nakrapiany czarnymi blokami bazaltu, rozsypanymi na tej ziemi odwiecznych religijnych waśni chyba ręką samego diabła. Gołębie zmieniają się w jastrzębie. Za ledwie o kilka kilometrów na zachód leży linia demarkacyjna, a dalej, za szerokim na kolejne kilka kilometrów pasie ziemi niczyjej, wykuta w skale druga linia, a której z nienawidzeni izraelscy zdobywcy strzegą swoich łupów: rozległych terenów, niegdyś tak samo arabskich jak wyniosła cytadela Damaszku.

Tego dnia zebrało się tu w opuszczonym syryjskim obozie wojskowym prawie stu uzbrojonych bojowników. W odosobionej dolinie między dwoma skalnymi grzbietami, z której rozpościerał się widok na ośnieżony szczyt góry Hermon, pod wiotkimi sieciami maskującymi pokrytymi gałęziami

s

stanął równie nowy piętnastometrowy namiot

73

z otwartymi bokami. Obóz był otoczony starym wałem z worków z piaskiem, wysokim na metr dwadzieścia. Cztery karabiny maszynowe stały w przygotowanych gniazdach na otaczających wzgórzach wystawione były posterunki. Każdy z wartowników miał telefon komórkowy i pistolet maszynowy MP-5. Oddział był najwyraźniej na wojennej ścieżce, co doskonale pasowało do starej tradycji Wzgórze Golan. Za wałem czekały trzy nieoznakowane wojskowe ciężarówki. Nieco dalej widniał niezgrabny drewniany budynek z metalowym kominem sterczącym z dachu. Przy tylnym wejściu stał wrak cysterny, w której mieszkańcy domu trzymali zapas wody. Nie było jednak wątpliwości, że dzisiaj przebywa tu znacznie więcej ludzi niż zazwyczaj.

W namiocie stał długi stół na krzyżakach, a u jego szczytu na dwóch stojakach oparta była wielka korkowa tablica, prawie w całości zakryta przez przypięte do niej trzy mapy i dwa arkusze papieru. Zebrani siedzieli na skrzynkach z amunicją, słuchając, jak dwaj syryjscy

oficerowie opisują najlepsze, to znaczy najmniej widoczne punkty wejścia na ziemię niczyją i dalej, na terytorium Izraela.

Pomiędzy dwoma instruktorami siedział dowódca 1. ba-1 talionu szturmowego Hamasu, generał Rawi Raszud, dawniej oficer SAS, absolwent Sandhurst i Harrow. Najlepszy zachodni oficer, jaki kiedykolwiek zaoferował swe usługi ugrupowaniu terrorystycznemu, awansował błyskawicznie. Major Ray Kerman już nie istniał. Raszud miał dziś na sobie mundur polowy, głowę zaś nakrył czarno-białą gutrą, przytrzymywaną przez dwa czarne sznury. Tak właśnie powinien wyglądać człowiek, którym się stał: ogorzały, doświadczony pustynny wojownik, potomek Beduinów, działający na rzecz narodu islamskiego. W kieszeni na piersi trzymał kartkę z napisanym po arabsku liścikiem: „Najdroższy Rawi, opiekuj się Ahmedem. Mam już tylko was dwóch. Allah niech będzie z wami. Kocham cię. Szakira”. Dziewczyna, która uratowała mu życie na ostrzeliwanych ulicach Hebronu, była i teraz jedyną bliską mu osobą. Razem z bratem ukrywali g^o a potem przeszmyglowali na północ do zapadłej druzyjskiej wioski Masada, zaledwie o kilka kilometrów od obozu Ha-masu. Kilka tygodni później, kiedy już Ray Kerman zosta*

przyjęty do kręgu kierownictwa terrorystów, to właśnie Sza-Jcira zaprzyjaźniła się z wyższym urzędnikiem banku w Jerozolimie i sporządziła szkice rozkładu pomieszczeń oraz systemu alarmowego. Ona też przeniknęła jakimś cudem do firmy mechaniki precyzyjnej A. M. Shwartz National Lock-smiths w Hebronie i skopiowała rysunki produkowanych tam najlepszych zabezpieczeń, zamków, bram i drzwi pancernych.

Krótko potem Ray jasno postawił sprawę: albo obejmie absolutne dowództwo nad akcją, albo po prostu się ona nie odbędzie. Choć z oporami i dozą podejrzliwości, przywódcy Hamasu uznali, że nie mają nic do stracenia, i wyrazili zgodę. W końcu zawsze mogli go zastrzelić. Jednak wieczorem dwudziestego szóstego grudnia wiedzieli już, że zyskali nowego i doskonałego dowódcę. W zakurzonej piwnicznej kryjówce na przedmieściach Betlejem Ray został mianowany generałem i otrzymał komendę nad 1. batalionem szturmowym.

Szakira też tam była. Przesiedzieli resztę nocy oparci

o kamienną ścianę, przytuleni pod jednym kocem, rozmawiając z wciąż rozgorączkowanymi szesnastoma innymi bojownikami, którzy dopiero co zrabowali sto milionów dolarów z dwóch banków. Ray stwierdził, że ta rozmowa sprawia mu dużą przyjemność. Lubił swych towarzyszy i zaczął kochać piękną Szakirę, z którą uratowali sobie nawzajem życie.

1 kiedy potem modlił się razem ze wszystkimi, czuł się w tej zapiaszczonej norze jak u siebie. Przypomnił sobie słowa zasłyszane dawno temu od imania z północnego Londynu:

...Albowiem byliście nieprzyjaciółmi, On zaś zjednoczył wasze serca I teraz jesteście braćmi.

Aby zająć myśli po stracie dzieci i męża, choć niekochanego, a zarazem zemścić się na winnych ich śmierci,)zakira cały swój czas poświęciła planowaniu ataków f^ttiasu na Izrael. Wciąż ubierała się tradycyjnie po arabsku Pozostała gorliwą mahometanką, jednak z czasem zaczęła? pojawiać wśród kolegów w dżinsach, wysokich butach

i polowej kurtce mundurowej. Cieszyła się taką reputacją i uznaniem, że nikt nigdy nie zakwestionował tego rozłamu z tradycją. Szakira z Pustyni stworzyła własne prawo. Bezgranicznie oddana była też generałowi Raszudowi, którego słowo stało się teraz prawem dla wszystkich. Podczas paru mniej niebezpiecznych misji uparła się, by iść na pierwszą linię, i raz nawet udało się jej zniszczyć izraelski czołg. Uważała potem, że może brać udział w każdej akcji, w jakiej zechce. Generał najczęściej wzruszał tylko ramionami i się zgadzał. Nie pozwolił jej jednak uczestniczyć w tym tajnym zebraniu na Wzgórzach Golan i teraz siedziała naburmu-szona w Damaszku, podczas gdy były major Kerman prowadził odprawę przed

mającym na_stąpić tej nocy przejściem do Izraela.

On sam niedawno wrócił z trzeciej już w ciągu półtora miesiąca operacji na terytorium wroga. Każda z nich trwała siedem dni i nocy; za każdym razem Eawi brał ze sobą tylko czterech ludzi i obsadzał punkt obserwacyjny założony na stoku góry, na której szczycie wznosiły się ruiny zamku Nimrod. Ta trzynastowieczna syryjska forteca, niegdyś opierająca się atakom krzyżowców, zajmuje osobne miejsce w miejscowym folklorze. Kiedy w wyniku wojny Jom Kippur dostała się w izraelskie ręce, było to dotkliwym ciosem dla każdego Syryjczyka. Granica przesunęła się na wschód, za Wzgórza Golan, forteca zaś została w otoczeniu złomu z tysiąca czołgów i setek duchów syryjskich żołnierzy. Z jej murów rozciągał się jeden z najrozleglejszych widoków na całym Bliskim Wschodzie, spektakular-ne panoramy żyznych ziem północnej Galilei. To z niej właśnie mszały w 1967 roku ataki sił Syrii na broniących się w dole Izraelczyków, stąd ostrzeliwano kibuce w Dan, Aszmurze i Szi-ar Jaszuw. Armia izraelska oskrzydliła wówczas agresorów, kontratakując na tyłach ich linii, i wymusiła bezwarunkową kapitulację wszystkich syryjskich jednostek w rejonie Golan. Jeszcze gorzej było w 1973 roku, kiedy Izraelczycy -wdarli się na szczyty pomimo niekorzystnej proporcji sił i z niebywałą odwagą, wyparli przeciwnika ze Wzgórz;, depcząc mu po piętach i prąc ku Damazkowi, dopóki ostatecznie nie posłuchali wezwania ONZ do zawarcia pokoju. Dziś żaden. Syryjczyk nie może

pomyśleć o Wzgórzach Golan i utracie prastarej twierdzy Nimrod bez rosnącego gniewu, frustracji i – zgodnie z arabską tradycją i etyką – uporczywej, nie ustępującej żądzy zemsty.

Te uczucia były przemożne już wtedy, w 1973 roku, ale dwadzieścia jeden lat później przerodziły się w obsesję, w ostatnich miesiącach roku 2004 bowiem Izraelczycy zrobili coś nie do pomyślenia. Wyburzyli całe wnętrze zabytkowej fortecy i zamienili ją w nowoczesne, silnie strzeżone więzienie, zbudowane z granitowych bloków wewnątrz średniowiecznych murów obronnych. Za jego półtorametrowymi ścianami osadzono pięćdziesięciu najważniejszych więźniów politycznych, jakich kiedykolwiek schwytano w Izraelu. Wśród nich było wielu członków Hamasu i siostrzanej organizacji Hezbollah, a także wpływowych ludzi spod znaku Dżihadu. Więzienie Nimrod stało się zatem strasznym symbolem żydowskiej potęgi, stworzonym zapewne na fali gniewu wywołanego gwałtownym nasileniem ataków terrorystycznych pod koniec 2001 roku, ale równie drażliwym jak – toutes proportions gardees – sam podział Jerozolimy.

Podczas poprzedniej misji Rawi Raszud i jego zespół znowu przez cały tydzień nieustannie obserwowali fortecę, notując spostrzeżenia o sposobie pełnienia straży i jej zmianach, mierząc czas obchodu murów przez patrole, sprawdzając odległość od głównej bramy do najniższego poziomu wykutych w skale fundamentów i czas, jakiego potrzebują strażnicy na jej pokonanie, a potem obliczając, ile go będzie trzeba innym ludziom, z których część może być osłabionych, a nawet chorych.

Niemożliwe okazało się zaobserwowanie dokładnego systemu pracy reflektorów – szperaczy. Kryjówka zwiadowców Hamasu znajdowała się niedaleko szczytu wzgórza, ale 0 poziomu dziedzińca więzienia brakowało im parunastu letrów. Po kilku dniach generał oznajmił wreszcie, posługuje się nienagannym już teraz arabskim:

–Jeśli nie da się tego zbadać dokładnie, to damy sobie "adę inaczej. Zaatakujemy za dnia.

Ta uwaga wywołała dreszcz zaniepokojenia w całym czte-°osobowym zespole. Jak to? Próbować ataku na tę twierdzę

w pełnym świetle, bez osłony ciemności? Bez elementu zaskoczenia? Ryzykować, że zostaną spostrzeżeni i zlikwidowani na stromych stokach Nimrodu?

Widzieli nad sobą namacalne dowody siły izraelskiej obrony. Na okalającym mury skalnym grzbiecie widać było stanowiska artylerii, gniazda ciężkich karabinów maszynowych i wyrzutnie rakiet. Cokolwiek by mówić o Żydach, nie są oni głupcami i wiedzą, że jakaś „zwariowana grupka terrorystów” może się porwać nawet na tak dobrze bronione więzienie. Zabezpieczyli je więc tak, że żaden atakujący batalion nie miałby szans przeżycia.

General Raszud zamyślił się. Za pomocą małego mikrofonu rejestrował na dysku komputera swoje spostrzeżenia: pozycje i kaliber dział, pole ostrzału, wyliczenia czasu potrzebnego Izraelczykom, których zaskoczenie nie potrwa zbyt długo, do obrócenia całej tej potęgi ognia na nieprzyjaciela. Przez godzinę nie odezwał się ani słowem, cierpliwie słuchając wypowiedzanych na głos obaw swych podkomendnych. Przez cały czas nie przestawał jednak robić notatek, liczyć na kalkulatorze, dyktować uwag. W końcu powiedział cicho:

–Zaatakujemy w dzień. Nie zdecydowałem jeszcze, kiedy i o jakiej porze.

Teraz, po trzecim powrocie z jaskini Iwa do obozu, wstał, by przemówić do swych żołnierzy. W namiocie panowała absolutna cisza, kiedy uniósł długi, wypolerowany wskaźnik i stuknął w pierwszą mapę, pokazując granicę syryjską na wschód od maleńkiej wioski Hadar.

–Opuścimy terytorium Syrii w tym miejscu, na południe od wsi. Pas ziemi niczyjej ma osiem kilometrów szerokości, możemy więc bezpiecznie podjechać ciężarówką co najmniej na dwa kilometry, być może dalej, nie zwracając uwagi Izraelczyków. Zależać to będzie od pogody. Zaznaczyłem punkt wejścia do Izraela tutaj. Podaję współrzędne: trzydzieści trzy stopnie i osiemnaście minut szerokości, trzydzieści pięć i czterdzieści długości. Do najbliższego posterunku wroga jest stamtąd prawie kilometr. Spodziewamy się patroli. Co trzydzieści dwie minuty przejeżdżają w kierunku północnym i po ośmiu minutach wracają na południe. Daje

nam to czyste okienko dwudziestu czterech minut. Przekroczymy granicę pod osłoną ciemności, w czteroosobowych grupach. Jest nas trzydziestu sześciu, co oznacza dziewięć szybkich skoków na drugą stronę, w odstępach dwuminutowych. Przegrupujemy się tutaj, półtora kilometra od granicy, na północny wschód od Masady. Wszyscy będziemy w ciemnych kombinezonach polowych z kapturami. Każdy będzie miał ze sobą rację wody, MP-5 i nóż bojowy. Dowódcy zespołów dodatkowo dostaną kompas, telefon komórkowy, odbiornik GPS i dwa granaty. Możecie ich użyć tylko w absolutnej ostateczności. Pytania?

–Czy znamy topografię rejonu oczekiwania na przejście?

–Tak. Izraelska linia demarkacyjna biegnie pomiędzy stokami dwóch wzgórz, ale na dnie po ich stronie jest z pięćdziesiąt metrów płaskiego gruntu. Po naszej stronie teren jest pochyły, trochę wklęsły jak wielka łyżka. Pełno tam skałek i głazów, gdzie możemy się dobrze ukryć, zanim patrol przejedzie na południe. Mam nadzieję, że nie będzie zbyt ciemno, bo podczas rekonesansu stwierdziłem, że teren jest bardzo niedogodny. Jeśli nie będzie księżycy, pójdziecie tak szybko, jak się da, żeby nie wpaść na skały. Za to gdy tylko dotrzecie do linii izraelskiej, zrobi się tak płasko, że będziecie mogli gnać jak cholera prosto na zachód, do punktu zbornego.

–A jak tam wygląda teren?

–Byłem tam z drugim zespołem zwiadu. Czterech z nas poznało więc go bezpośrednio. Ja pójdę z pierwszą grupą, i trzej pozostali poprowadzą trzecią, szóstą i dziewiątą. W ten sposób każdy zespół będzie o dwie minuty od źródła wiedzy lokalnej. Sam punkt zborny znajduje się pod szczytem wzniesienia, daleko od jakiegokolwiek drogi czy ścieżki. Nikt tam nie mieszka, zwierząt hodowlanych tyle co nic. Nie spodziewam się nikogo spotkać. Gdyby jednak ktoś się napatoczył, czy to mężczyzna, kobieta czy dziecko, załatwicie

3 natychmiast i po cichu, najlepiej nożem. Ciało dobrze ukryć. – Rawi przerwał, czekając na reakcję, ale nie było żadnej. Wyszkolił ich dobrze i każdy z obecnych rozumiał, co do Qiego należy, a przede wszystkim, o jaką stawkę toczy się ta ^a. – Gdy dotrzemy do punktu zbornego, będziemy dziewięć kilometrów od niższych wzgórz otaczających fortecę. Jeśli

przekroczymy linię izraelską około dwudziestej trzeciej, powinniśmy ruszać dalej o pierwszej, w tych samych grupach, na przełaj przez tereny uprawne i w najciemniejszą część nocy. Pokonałem tę trasę osobiście już trzykrotnie. Nie starałem się bić rekordów, po prostu szedłem zwykłym tempem. Zajęło mi to dwie godziny, trzeba jednak przebyć niewielką rzeczkę. – Generał wskazał cienką niebieską linię na mapie. – Czasami to tylko błotnista kałuża, ale teraz to prawdziwa rzeka, głęboka po uda. Trzymajcie ręce w górze, żeby nie zamoczyć broni. Jasne?

Wszyscy kiwnęli głowami. Rawi wypił łyk wody i znów uniósł wskaźnik.

–Tu jest droga prowadząca do fortecy. Biegnie zakosami po stoku, ale ma tylko jeden ciasny wiraż o sto osiemdziesiąt stopni. Reszta jest dość stroma, ale zakręty są łagodne. Zamek sterczy ze sto metrów ponad okolicę. Zaznaczyłem na mapie krzyżykiem punkt, o, tutaj. Popatrzcie teraz na drugą, dokładniejszą mapę, pokazującą trzykilometrowy odcinek szosy od doliny do bramy więzienia. Krzyżyk jest tutaj... macie?

Słuchacze pochylili się naprzód, patrząc na wskaźnik generała. Każdy z nich miał dla porównania własną mapę.

–W tym miejscu, piętnaście metrów poniżej drogi, jest skalny nawis, długi na około dziewięćdziesiąt metrów, pod którym rośnie sporo krzaków. Jest to mniej więcej w jednej trzeciej drogi na szczyt, jakieś półtora kilometra od zamku i trochę mniej od miejsca, gdzie droga zaczyna się wznosić. Ten nawis daje pełną osłonę od strony szosy. Dotrzemy tani około trzeciej, będzie więc dość czasu na zamaskowanie się naciętymi gałęziami. Sam poniosę dwa ogrodnicze sekatory właśnie do tego celu. Czekają też już na nas dwa szpadle. Do szóstej będziemy gotowi z łącznością, a świt zastanie nas dobrze ukrytych, praktycznie niewidocznych. Ktokolwiek by się zabłąkał do naszej kryjówki, musi zginąć. Jasne?

Brat Szakiry, Ahmed Sabah, któremu Ray Kerman zawdzięczał życie, wtrącił cicho:

–Generale, może coś mi umknęło, ale do tej pory nie mam pojęcia, co właściwie mamy robić w tym więzieniu...

–Nic ci nie umknęło, bo jeszcze o tym nie powiedziałem-Dochodzę właśnie do tego.

–Myślę, że moi towarzysze czuliby się lepiej, gdybyś mógł to powiedzieć już teraz – nalegał młody Palestyńczyk. –

wrażenie, że wszyscy błądzimy w ciemności...

Rawi Raszud się uśmiechnął.

f – No, dobrze. Skoro jutrzejszej nocy wyruszamy, a do tego czasu nikt nie opuści obozu, możecie się dowiedzieć dzisiaj... jeśli chcecie. – Odłożył wskaźnik i usiadł między dwoma syryjskimi oficerami. Zajrzał do notatnika, po czym powiedział: – W Nimrodzie jest pięćdziesięciu więźniów i około trzydziestu sześciu strażników. Raz na tydzień dowożą im żywność. W każdy piątek rano wielka ciężarówka z garnizonu przy drodze numer dziewięćdziesiąt, dwadzieścia dwa kilometry na północ od Jeziora Galilejskiego, podjeżdża pod główną bramę punktualnie o jedenastej. Zapisaliśmy to trzykrotnie i ani razu się nie spóźniła. Dostawa w ten piątek będzie jednak nieco inna. Na ciężarówce nie będzie chleba, mąki, mrożonego mięsa, jajek, mleka i tak dalej. Będzie trzydziestu sześciu bojowników Hamasu. My.

Zebranych jakby zamurowało. Przypominali kibiców na meczu piłkarskim, którzy właśnie ujrzeni, jak gwiazda ich drużyny wbija samobójczego gola. Nikt się nie odezwał; każdy usilnie starał się nie okazać strachu ani nawet zaskoczenia. Z kilku gardeł wyrwało się jednak ciche sapnięcie. Żaden z Palestyńczyków nie chciał pierwszy zarzucić dowódcy tysiącem pytań, jakie natychmiast zaczęły się im kłębić w głowach. Czekali po prostu, aż ich nowy wódz sam udzieli wyjaśnień. Generał Raszud był nadzwyczaj poważny. Przez chwilę wpatrywał się bez słowa w swoich ludzi, po czym powiedział.

–W ciężarówce będzie dwóch żołnierzy IDF, kierowca jego pomocnik. Droga jest pusta. Zwraçałem uwagę na ruch ojazdów na godzinę przed przyjazdem dostawy i potem;now przez godzinę po odjeździe o trzynastej. Z obserwacji

i^ika, że przed ciężarówką na górę nie wjechał żaden dochód. Jedynym zaś pojazdem, który zjeżdżał po jej od-'zdzie, była więzienna furgonetka, odwożąca zmianę straż-ków do ich odległej o dziewięć kilometrów kwatery. Odkąd raelczycy zamknęli tę szosę dla cywilów i turystów, jest raktycznie opustoszała.

–Ale jak my się znajdziemy w ciężarówce zamiast żywności?

Nagle każdy chciał to wiedzieć. Raszud odpowiedział, starannie odmierzając słowa:

–O dziesiątej pięćdziesiąt nadjedzie samochód z dwoma Arabami w tradycyjnym stroju i zatrzyma się o trzydzieści metrów od naszej kryjówki, na samym środku szosy. Obaj wyjdą z wozu i podniosą maskę. Wtedy my dwaj z Ahmedem zajmiemy pozycje na obu poboczach. Kiedy dziesięć minut później ciężarówka się zatrzyma przed tym niby zepsutym samochodem blokującym jej drogę, obaj żołnierze niemal na pewno wysiądą, a my ich zabijemy, oczywiście nożami. Nie wolno dopuścić do wystrzału tak blisko więzienia. Od tej chwili szosa będzie pusta. Odcinek, na którym będziemy, jest niewidoczny z fortecy. Wy wszyscy wypadacie z kryjówki i rozładowujecie ciężarówkę, wyrzucając skrzynki poza nawis. Pojazd jest ogromny, to właściwie ciągnik siodłowy z kontenerem, i wiezie tony żarcia. Być może także dla innych placówek. Ale nas jest trzydziestu sześciu, nie będzie więc kłopotu z jego opróżnieniem. Tymczasem zepsuty samochód zawróci i u podnóża góry znów się zepsuje, blokując drogę. Gdyby, co mało prawdopodobne, pojawił się jakikolwiek inny pojazd, jego pasażerowie zostaną zabici na miejscu. Po skończonym rozładunku zajmiecie miejsca w kontenerze, który zostawimy otwarty, drzwi zakryjemy tylko plandeką. Ahmed i ja włożymy izraelskie mundury i pojedziemy w szoferce. Ja poprowadzę.

–1 co dalej, panie generale? Jak się dostaniemy do więzienia? A jeśli potrzebne jest hasło? Co będzie, gdy zechcą przeszukać ciężarówkę, zanim ją wpuszczą do środka?

Raszud przekazał im swoje obserwacje z ubiegłego piątku, kiedy czekał w ukryciu na przybycie dostawy, wypatrując i nasłuchując wszystkiego, co się działo przy bramie.

–Nie ma żadnego hasła. Najwyraźniej czekali na ciężarówkę. Kierowca zatrałił dwa razy. Wartownicy z linii zewnętrznej, ci, którzy obsadzają działa, nawet nie zeszli ze swoich stanowisk. Brama się otworzyła i samochód wjechał do środka. Za dwa dni ten właśnie moment będzie naszą godziną H. Ja dam po hamulcach, a wy, chłopaki, wypad-

gięcie na zewnątrz. – General Rawi Raszud, wciąż w każdym calu wyższy oficer SAS, wstał i podszedł do trzeciej mapy. – panowie, oto plan więzienia, sporządzony na podstawie zdjęć satelitarnych, opracowanych i dostarczonych przez nasz personel w Damaszku. Następne trzy godziny poświęcimy na omówienie szczegółów ataku. Każdy z was zgłosi się do mnie osobiście po konkretne instrukcje dla siebie. Jak przystało na dobrze przygotowany oddział sił specjalnych, nie życzymy sobie żadnych niespodzianek, żadnego zamieszania i oporu.

General wiedział, że jego żołnierze przechodzą przyspieszony kurs przygotowawczy, absolutnie niewystarczający według norm SAS. Tylko dwunastu najbardziej zaufanych ludzi – tych, którzy towarzyszyli mu na wyprawach zwiadowczych – znało najdrobniejsze szczegóły. Rawi był rozdarty pomiędzy potrzebą utrzymania całej operacji w ścisłej tajemnicy a wypraktykowaną przez lata metodą SAS: planowaniem, wyjaśnianiem i wielokrotnie powtarzanym ćwiczeniem. Mógłby zorganizować ćwiczebną akcję gdzieś w Syrii, ale nie miał pewności, czy informacje o tym nie wydostaną się na zewnątrz, umożliwiając Izraelczykom wykrycie przygotowań. Uznał, że lepiej będzie trzymać karty zakryte.

– Jest teraz godzina szesnasta – powiedział. – Skończymy o dziewiętnastej. Zjemy potem kolację i pójdziemy spać najdłużej, jak się da. Jutro w południe będzie dwugodzinna odprawa, potem odpoczynek. Szybka kolacja, ostateczne omówienie akcji o dwudziestej drugiej, a godzinę później ruszamy.

Czwartek, 28 kwietnia, godzina 23.00. Obóz Hamasu rejonie Golan

Dwie nieoznakowane wojskowe ciężarówki jechały na za-ó na niskich obrotach. Kierowcy starali się używać wyż- biegów i omijać przeszkody w mdłym świetle samych pozycyjnych, posuwając się jak najprostszą linią ku j linii demarkacyjnej. General Raszud, który w towarzystwie Ahmeda przebył tę trasę dziesiątki razy, siedział 3" ok kierowcy pierwszego wozu, obserwując kompas i wpa-

trując się przez okulary noktowizyjne w teren przed nimi. Porównywanie nieco upiornych, zielonkawo fosforyzujących widoków z zapamiętanymi za dnia, w pełnym słońcu, charakterystycznymi punktami-drogowskazami nie było łatwe. Ciężarówki podskakiwały i kołysały się na nierównym terenie. Czasami z wyboistych, pofałdowanych bezdroży trafiali na bardziej płaskie równiny; spokojniejsza jazda przynosiła ulgę, ale Rawi jak najszybciej chciał się znaleźć pod osłoną pagórków. Lepiej w niewygodzie, ale bezpiecznie, niż wygodnie, za to wystawieni na widok izraelskich satelitów.

Do linii syryjskiej dotarli o czasie i Rawi zasygnalizował do czekającego na nich patrolu, że wszystko w porządku. Nie zatrzymując się, wjechali na pas ziemi niczyjej. Teren zaczynał tu opadać; przed sobą mieli teraz łagodne zbocze o niemal stałym nachyleniu. Z chwilą

przekroczenia linii demarkacyjnej Rawi nakazał zgaszenie reflektorów i teraz ich mały konwój musiał polegać tylko na jego obserwacji terenu przez okulary noktowizyjne. Pokonali tak niemal dwa i pół kilometra, zanim dowódca spostrzegł w dali, może o pięć kilometrów, światła samochodów. Zdjął okulary, ale bez nich w nieprzeniknionej ciemności nic nie było widać.

–Dobra, chłopaki, koniec jazdy. Ciężarówki wracają do bazy, a my dzielimy się na czwórki. Ja prowadzę, wy trzymajcie się w swoich zespołach i idźcie w minimalnych odstępach. Gdyby coś się działo, nie strzelać, użyć wyłącznie noża. No i, czuj duch!

Palestyńczycy zeskoczyli na wilgotną trawę, dopinając szczelniej kurtki, noc bowiem była zimna. Wszyscy mieli na nogach gumowe pustynne buty, wysokie do pół łydki i ciasno sznurowane. Nawet przy przekraczaniu rzeki nalałoby się do środka tylko odrobinę wody. Posuwali się lekkim truchtem przez jałowe pustkowie strefy buforowej, w ślad za byłym majorem SAS, który już kilkakrotnie przebywał tę drogę. Po dwudziestu minutach ujrzeli światła izraelskiego patrolu zmotoryzowanego, jadącego wzdłuż zachodniej linii demarkacyjnej na północ. Wszyscy natychmiast padli na ziemi?* pamiętając o ostrzeżeniu generała, że silne nocne lornetki mogą wykryć biegnących ludzi na ponad trzy kilometry-Kiedy światła rozplynęły się w mroku, poderwali się do

biegu, by przedostać się jak najdalej, zanim patrol powróci. Po jakimś czasie jeep znów się pojawił, wracając na południe. Niebezpieczeństwo wkrótce minęło, ruszyli więc naprzód, aby jak najszybciej dopaść schronienia pod skałą o kształcie łyżki, tuż przy linii izraelskiej. Pod jej osłoną oddział przegrupował się w czteroosobowe zespoły, jak to nieraz ćwiczyli w obozie. Każdy z Palestyńczyków był w świetnej kondycji, ale po biegu wszyscy ciężko dyszeli, z trudem łapiąc oddech. Choć ich kryjówka była niewidoczna z trasy izraelskiego patrolu, na wszelki wypadek Rawi wystawił czujki po obu stronach i na szczycie skały. Wkrótce znów ujrzeli nadjeżdżającego z niewielką prędkością, niemal bezgłośnie, jeepa. Oczekali, aż powróci; jak poprzednio, trwało to dokładnie osiem minut. Po następnych dwóch minutach generał wydał cichy rozkaz:

–Teraz, chłopaki. Formować się i naprzód. Spotykamy się w punkcie zbornym. Czwórki wyruszają w odstępach dwuminutowych, poruszacie się szybko i cicho. Sprawdzajcie pozycję na GPS.

Nie czekając na odzew, puścił się biegiem wraz z trzema ludźmi ze swojego zespołu, prosto ku granicy. Wciąż miał nałożone okulary noktowizyjne, bez których w tych ciemnościach trudno byłoby poruszać się po bezdrożach. Biegli co sił przez osiem minut, zanim Rawi się zatrzymał, by sprawdzić pozycję na odbiorniku GPS. Stwierdziwszy, że są na właściwym kursie, już wolniej ruszył dalej. Nie minęło wiele czasu, zanim dotarli do bardziej pofałdowanego terenu. Pokonali iskie wzgórze, zaraz potem wspięli się na następne, by po Jiiiej więcej pięćdziesięciu metrach trafić do naturalnej salnej fortecy, zagłębienia o średnicy blisko dwudziestu etrów. Przed dalszym marszem będą musieli się wspiąć na romą ścianę, a potem ześliznąć po trawiastym zboczu! dolinkę, ale podczas wcześniejszych rekonesansów Rawi Iowo wybrał to odludne i dobrze osłonięte miejsce. Ostat-1Jn razem zakopał tu sześć pojemników z wodą i ukrył saperkę, którą teraz odgrzebał i zaczął wydobywać zapas. Po minucie dobiegł następny zespół, potem kolejne. W trzy Wadranse wszyscy byli już na miejscu. Pili łapczywie, iZykując się do blisko dziewięciokilometrowego marszu przez

żyzne, zmyślnie przygotowane przez Izraelczyków tereny uprawne, które właśnie zaczynały wydawać doskonale plony jabłka, gruszki, brzoskwinie, śliwki, czereśnie i migdały. Od obozu dzieliło ich zaledwie kilka kilometrów, ale krajobraz rozciągający się przed ich oczami (co prawda ukryty w czerni nocy) był zupełnie inny od suchych, kamienistych nieużytków po stronie syryjskiej i świadczył o wyższości izraelskiej polityki rolnej.

Punktualnie o pierwszej piętnaście generał Raszud wyruszył z pierwszą dziewiątką. Pokonali ścianę zagłębienia i niemal bezszelestnie zsunęli się zboczem do podnóża skały. Po krótkim postoju w celu sprawdzenia pozycji zespół pomaszerował dalej. Wkrótce cztery dziewięcioosobowe grupy szły w równych odstępach przez sady, kierując się ku autostradzie numer 91, biegnącej z okolic Masady na zachód. Do przekroczenia tej szosy ostrożny i świadomy możliwości wykrycia ich przez patrole, radar lub inne środki obserwacyjne Raszud znów podzielił swój oddział na czwórki. Jego obawy nie były bezpodstawne. Na autostradzie istniało realne niebezpieczeństwo. Podczas jego ostatniej wyprawy pod twierdzę Nimrod izraelski patrol naprawdę wykrył podejrzany ruch. Był to czysty przypadek. Pojazd akurat stał na szczycie wzniesienia i kierowca spoglądał przez nocną lornetkę wzdłuż wąskiej, długiej doliny, którą teraz szli bojownicy Ha-masu. Nie był pewien, co właściwie zobaczył, ale na tej rubieży poziom czujności jest zawsze wysoki. W dowództwie dobrze wiadano, że w okolicy Golan nie ma żadnych dużych zwierząt. Meldunek patrolu wystarczył, by najbliższe osiem kilometrów autostrady objęto dodatkową, wzmocnioną obserwacją. Czteroosobowe drużyny nieustannie patrolowały ten odcinek, posuwając się parami. I właśnie teraz dwóch żołnierzy szło bezszelestnie w absolutnej ciemności na południe, środkiem pustej szosy, zaledwie o dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie Rawi Raszud i jego trzech ludzi szykowało się do skoku na drugą stronę, pod osłonę drzewek owocowych. Podzielili się już na dwójki; z bronią gotową do strzału przykucnęli w sprinterskiej pozycji startowej. Rawi i jego przyboczny mieli w razie konieczności osłaniać pierwszą parę.

–Teraz – syknął generał.

Dwóch Palestyńczyków poderwało się do biegu. Dopadłszy asfaltu, stanęli niemal oko w oko z żołnierzem izraelskim, który mimo zaskoczenia zareagował automatycznie. Błyskawicznie wycelował swój MP-5 w pierwszą z czarnych sylwetek, krzycząc po hebrajsku:

–Stać! Nie ruszać się! Ręce do góry!

Obaj hamasowcy posłusznie unieśli w górę dłonie. Żołnierz był zaledwie cztery metry od nich, ale jego kolega szedł aż o dziesięć metrów z tyłu. Przyboczny Rawiego rzucił się na niego skokiem, który przyprawiłby o zazdrość geparda, w locie wbijając mu w plecy nóż. Izraelczyk zginął na miejscu, nie zdążywszy wydać najmniejszego odgłosu. Jedynym dźwiękiem było szurnięcie butów na asfalcie. Prowadzący patrol żołnierz odruchowo się odwrócił, wykrzykując imię towarzysza. Był to jego ostatni błąd w życiu. Rawi Raszud był już przy nim. Lewą ręką schwycił lufę MP-5, odchylając ją na bok. Niemal równocześnie prawa dłoń, zaciśnięta na rękojeści noża, uderzyła żołnierza w nasadę nosa, łamiąc kość czaszki. W sekundę później kolejny cios wbił jej odłamki w mózg. W ostatnim momencie życia Izraelczyk doświadczył tego samego, co mógł czuć sierżant O'Hara kilka miesięcy wcześniej w palestyńskim domu w Hebronie.

Sytuacja była krytyczna. Generał Raszud i jego trzech ludzie znaleźli się pośrodku dobrze patrolowanej autostrady z trupami dwóch żołnierzy IDF. Noc była jednak ciemna, wokół panowała niezmacona cisza, a bojownicy Hamasu byli wystarczająco dobrze wyszkoleni, aby sobie radzić w podobnych opałach. Na szosie w mig zjawily się dwa następne espoły i po chwili ciała Izraelczyków zostały zaciągnięte na Pole.

–Wszyscy biegiem na drugą stronę! – zakomenderował Rawi. – Kierować się ku rzece. Do każdego trupa po czterech ludzi, nieście ich albo wleczcie, jak wam wygodniej. Nie

atrzymywać się i trzymać się swoich czwórek. Pełna gotowość!

W szybkim tempie dotarli do rzeczki płynącej tu przez iometrowej szerokości moczary. Ukryli zwłoki głęboko} sitowiu. Rawi zakładał nie bez słuszności, że upłyną co

najmniej dwa tygodnie, zanim ktokolwiek je odkryje, a nawet wtedy Izraelczycy nigdy się nie przyznają, że stracili tych dwóch żołnierzy.

Palestyńczycy posuwali się tak sprawnie i szybko, że nie dotarły już do nich dźwięki silników wojskowych jeepów, szukających zaginionego patrolu. Rawi wybrał trasę uczęszczaną głównie przez miłośników przyrody; na tych północnych bagnach znalazło swe siedlisko wiele gatunków ptaków i innych zwierząt. Dokładną mapę tych terenów uzyskał zresztą od Galilejskiego Międzynarodowego Towarzystwa Ornitologicznego, do którego Szakira zapisała się właśnie w tym celu. Kiedy jej to polecił, pomyślała, że oszalał, ale nawet jej nie wyjawiał, po co mu tak szczegółowa znajomość szlaków podglądaczy ptasiego życia w tym spokojnym rezerwacie. Nie wiedziała tego do dzisiaj, za to teraz trzydziestu pięciu podążających za nim podkomendnych nie mogło wyjść z podziwu dla jego umiejętności odnajdowania drogi w absolutnej ciemności (podobnie zresztą jak Szakira, choć z zupełnie innego powodu).

O drugiej trzydziści przekroczyli rzeczkę, na dobre opuszczając rejon Wzgórz Golan. Ray widział już przed sobą czarne zarysy góry Nimrod i zaczął lekko skręcać ku północy. Ziemia była tu bardziej sucha i porośnięta trawą i oddział mógł posuwać się w niezłym tempie prostopadle do autostrady, aby wkrótce zacząć wspinaczkę po łagodnym stoku aż do wybranej wcześniej kryjówki przy drodze prowadzącej do więzienia. Ostatni odcinek płaskiego terenu wiódł przez las, mogli więc iść swobodnie, bez obawy, że zostaną wykryci. Osłona drzew skończyła się trzysta metrów od podnóża góry. Teraz już Rawi się spieszył, była bowiem godzina trzecia i niewiele czasu zostało do pojawienia się pierwszych różowych smug brzasku, mieli zaś jeszcze przed sobą podejście zboczem, a na miejscu musieli się dobrze zamaskować. Nigdy dotąd ludzie z Hamasu nie zetknęli się z tak drobiazgowym planowaniem, staranną organizacją i dokładnym wykonywaniem zadania, jakie pokazał im ich nowy dowódca. Szli teraz za nim zygzakiem pod górę, dziękując w duchu za trzymiesięczny brutalny trening, jaki im narzucił, bezlitośnie odrzucając tych, którzy nie mogli mu podołać. Z sześćdziesie-

ciu ochotników, którzy zaczęli szkolenie, odpadło osiemnastu, po czym wymagania zostały zwiększone, a ludzie zaczęli odczuwać dumę elitarnych wojowników. Dwóch z wyeliminowanych uległo owemu szczególnemu arabskiemu poczuciu wstydu, nieblichalnemu i niebezpiecznemu. Obydwaj grozili, że poderzną nowemu generałowi gardło, ale Ahmed Sabah szczerze im to odradził. Jeden z nich, zadziorny dziewiętnastolatek, do żywego dotknięty usunięciem z oddziału, rzucił się na Rawiego z pięściami, wołając: „Za kogo ty się masz, sukinsynu?” Ahmed był wściekły i wyrzekał gorzko przez całą drogę – prawie osiemdziesiąt kilometrów – do dużego szpitala w Damaszku, gdzie chirurdzy nastavili chłopakowi skomplikowane złamanie ramienia i obojczyka.

–Zabijałem ludzi z błahszych powodów – odwarknął Raszud. – Niech się gnojek uważa za szczęściarza!

Dla absolwentów tego kursu prowadzący ich na górę Nimrod człowiek był teraz czymś w rodzaju anioła, zesłanego im przez samego Allaha. Nie było wśród nich nikogo, kto po dotarciu do kryjówki pod skalnym nawisem nie podziękowałby Bogu za tę misję i takiego dowódcę.

O szóstej byli już zupełnie niewidoczni, ukryci pod warstwą gałęzi. Nie mogli tego wiedzieć, ale ich kryjówka była niemal wierną repliką innej, zbudowanej przez majora Raya Kermana pięć lat wcześniej i o kilka tysięcy kilometrów stąd, w zachodniej Afryce, na brzegu rzeczki Rokel. Dzięki wcześniejszemu zaopatrzeniu punktu zbornego w zapas wody mieli teraz pełne manierki. Racji żywnościowych nie brali, ponieważ były niewygodne i niepotrzebne; to zadanie nie miało zabrać wiele czasu. Pili oszczędnie i czekali. Niektórzy łapali ʾrochę snu pomiędzy wartami, a od dziesiątej trzydzieści już Wszyscy nasłuchiwali warkotu silnika samochodu, który miał si? zepsuć tuż nad nimi.

Rawi Raszud wcześniej go zobaczył, niż usłyszał. Wóz echał ze stałą prędkością autostradą, widoczny z daleka i leżącej pod nimi dolinie. Razem z Ahmedem czekali ukryci n poboczu przy narysowanej kredą na asfalcie linii. Wkrótce stary, zdezelowany ford z wysiłkiem dotoczył się na miejsce i stanął na samym środku szosy. Wiedzieli teraz dokładnie, li zatrzyma się ciężarówka z zaopatrzeniem. Zajęli pozy-

cje bojowe, Ahmed nad kryjówką oddziału, Rawi po przeciwnej stronie drogi.

Ciężarówka nadjechała o czasie. Silnik wył na wysokich obrotach, ciągnąc naczepę, najpewniej ciężko załadowaną. Z sykiem pneumatycznych hamulców zatrzymała się właśnie tam, gdzie Rawi chciał. Kierowca zatrąbił, ale żaden z dwóch zanurzonych pod maskę forda Arabów nawet się nie obejrzał. Po obu stronach szoferki otworzyły się drzwi i dwaj izraelscy żołnierze zeskoczyli na asfalt, ruszając ku przeszkodzie i w ostatnią drogę życia. Stanęli przy Arabach, zagładając im przez ramiona. Zginęli prawie jednocześnie od ciosów nożem w plecy.

W tej samej chwili na szosie zaroilo się od ludzi. Hamasowcy obiegli tył ciężarówki. Opuścili stalową rampę załadunkową, podnieśli plandekę i po chwili podawali już z rąk do rąk kartony i skrzynki z prowiantem, ciskając je ze skarpy w dół. Rawi i Ahmed wyjęli dwa małe pakunki z bagażnika forda i wrzucili je do szoferki ciężarówki. Czterech ludzi zajęło się zabitymi żołnierzami; ściągnęli z nich kurtki mundurowe i czapki, po czym zrzucili ciała w ślad za ładunkiem. Generał wymienił uściski rąk z obu Arabami, którzy wskoczyli do forda, zawrócili i pojechali na dół, aby zablokować drogę u podnóża góry. Praca szła szybko; kartony były ciężkie i niewygodne w noszeniu, ale trzydzieści par ramion łatwo dawało sobie z nimi radę. Cała procedura była zresztą przećwiczona. Czterech ludzi podawało towar z naczepy czwórce innych, którzy z kolei przekazywali je dwunastu krążącym jak taśma tragarzom, noszącym sztuka po sztuce na skraj skarpy, gdzie reszta oddziału zrzucała je za skalny nawis. Tego typu operacja łatwo mogła się pograć w chaosie, ale przebiegała z podziwu godną sprawnością. Typową dla SAS. W sześć minut od jej rozpoczęcia ciężarówka była pusta, a ładunek spoczywał w krzakach obok ciała kierowcy i konwojenta. Trzeba by się dobrze wychylić znad skarpy i spojrzeć we właściwe miejsce, aby zobaczyć brązowe kartony pełne chleba, mięsa, jajek i warzyw.

Rawi i Ahmed zdążyli się przebrać w izraelskie mundury i zajęli miejsca w szoferce. Pozostali szybko wskakiwali do

wnętrza naczepy. Ściągnęli z powrotem plandekę, ale rampę pozostawili otwartą. Rawi zwolnił hamulec, włączył pierwszy bieg i ruszył pod górę. Stopniowo rozpędził pojazd do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i w dwie minuty później podjeżdżał już pod bramę więzienia Nimrod. Dwukrotnie nacisnął klakson.

Dyżurny w wartowni leniwie zerknął na ekran monitora, ujrzał znajomy pojazd i bez zastanowienia nacisnąwszy guzik otwierający główne wrota, wrócił do lektury gazety.

Rawi i Ahmed patrzyli, jak ciężkie, wielkie skrzydła bramy powoli otwierają się do środka. Po chwili ciężarówka ruszyła, centymetr po centymetrze wsuwając się na wewnętrzny dziedziniec. Rawi naliczył sześciu strażników, dwóch po jednej stronie, czterech po drugiej. Dwaj z nich pomachali mu rękami, odwzajemnił więc ich pozdrowienie, zauważając przy okazji, że mają na sobie mundury cywilnej służby więziennej, w odróżnieniu od wojskowych patroli, które tyle razy obserwował na zewnątrz murów twierdzy.

Ciężarówka znalazła się na dziedzińcu... prawie. Generał zatrzymał ją w takiej pozycji, że blokowała bramę, uniemożliwiając jej zamknięcie. Wstrzymał oddech i wyłączył zapłon, wrywając kluczyk ze stacyjki i chowając go do kieszeni. Aby zyskać na czasie, nacisnął starter, udając, że silnik zgasł mu przypadkowo. Wiedział, że pierwsza faza ataku już się rozpoczęła. Ośmiu jego ludzi było już na zewnątrz, poza polem widzenia strażników, biegnąc z powrotem za bramę, gdzie czwórkami skręca w obie strony wzdłuż muru. Pierwsza czwórka znalazła swój cel po trzydziestu metrach. Dwaj żołnierze z patrolu zrobili sobie przerwę na Papierosa. Jedna seria z MP-5 trafiła śmiertelnie ich obu; nawet nie wiedzieli, skąd nadleciały pociski. W parę sekund później kolejna seria obwieściła sukces drugiego zespołu: śmierć dwóch innych żołnierzy izraelskich, gawędzących przy jednym z dział.

Za masywnym murem więzienia strzałów prawie nie było słychać, zwłaszcza że rozrusznik ciężarówki jeszcze hała-sował, bezskutecznie usiłując uruchomić silnik przy wyłączonym zapłonie. Atak się rozwijał zgodnie z planem. Sa-liotny Palestyńczyk kopnięciem wyważył drzwi do wartowni,

zastrelił obu siedzących tam stoażników, po czym długą serią zniszczył panel kontrolny elektronicznego systemu obserwacyjnego. Cała szóstka Izraelczyków na dziedzińcu rzuciła się biegiem w tamtą stronę, ale trzech snajperzy leżący pod ciężarówką zabili ich w pół drogi. Wszystko to trwało niecałą minutę. Teraz sam generał poprowadził następną fazę natarcia. Wrzucił granat przez okno do małego budynku, w którym spało czterech nie będących na służbie strażników. Wybuch zburzył całą konstrukcję, a ogłuszający hałas zaalarmował trzyosobowy personel biura. W gwałtownie otwartych drzwiach ukazał się naczelnik więzienia, ale w sekundę później zginął od kuli snajpera. Rawi spostrzegł przez okno innego oficera ze słuchawką przy uchu; cisnął drugi granat i padł na ziemię.

Ahmed Sabah ruszył prosto do głównego wejścia bloku więziennego, taszcząc pod pachą jeden z kartonów z szoferki. Ku swemu zaskoczeniu zastał drzwi uchylone. Silnym pchnięciem otworzył je szeroko, a jego dwaj przybocznicy, specjalnie wyszkoleni przez generała, wpadli do środka, strzelając na oślep z pistoletów maszynowych. Pociski zabiły dwóch strażników, wychylających się z okna dyżurki, zanim zdążyli dokończyć wybieranie numerów na swych telefonach komórkowych. Na galerii drugiego piętra był jeszcze jeden Izraelczyk; wychylił się przez poręcz, krzyząc nie wiedzieć czemu po angielsku: „Co się tam dzieje, do diabła?” Jeden z Palestyńczyków zlikwidował go natychmiast. W całym więzieniu nie było już ani jednego strażnika na służbie. Twierdza Nimrod znalazła się we władaniu generała Raszuda.

Teraz jego ludzie rozbiegli się na wyznaczone stanowiska. Kluczami zabranymi zabitym strażnikom otwierali drzwi do poszczególnych zespołów cel, w których zamknięci byli najgroźniejsi terroryści w Izraelu. Było tu czterdziestu siedmiu ludzi odpowiedzialnych za zamachy bombowe wykonywane z rozkazu Hamasu, Hezbollahu i Dżihadu przez ostatnie kilka lat. Wśród nich znajdowali się dobrze znani przywódcy palestyńscy, ale nikt z więźniów Nimrodu nie miał już nigdy zobaczyć ulic Jerozolimy, Tel Awiwu czy Hebronu. Izraelczycy nazywali ich więźniami politycznymi, którymi w pewnym sensie byli, ale każdy z nich trafił tu z powodu popełnionych

diabolicznych masowych zabójstw. Władze były pewne, że potrafią zamienić to miejsce na szczycie góry otoczonej rozległą równiną w izraelskie Alcatraz. Odslonięte płaszczyzny pół uprawnych uważano za równie nieprzyjazne dla uciekinierów jak zdradzieckie prądy i wiry zatoki San Francisco. Aż do tej pory to się sprawdzało; zresztą zadanie Rawiego Raszuda jeszcze nie było wykonane. General wiedział, że ma trochę czasu na uwolnienie więźniów, ale też zdawał sobie sprawę, że ostateczne powodzenie zależy od tego, czy wycofają się tak samo sprawnie i bezbłędnie, jak atakowali. Wziął się teraz ostro do pracy, rozdając zawartość drugiego kartonu kolejnym przez siebie wyszkolonym bojownikom. Dwaj dostali akumulatorowe wiertarki o dużej mocy, którymi mieli wywiercić niewielkie otwory w ryglach zamykających kraty cel, pozostali po zwoju tak zwanego detkordu, lontu specjalnego przeznaczenia, cenionego i ukochanego przez SAS oraz amerykańską formację US Navy SEALs. Choć jest to w zasadzie tylko lont („zapal i zwiewaj”, jak o nim mawiają instruktorzy tych jednostek), w niczym nie przypomina innych tego typu detonatorów

0 wolnym spalaniu. Detkord płonie z szybkością ośmiu kilometrów na sekundę. Owiń parę zwojów wokół średniej grubości dębu, a detonacja przetnie pień na pół. Jego rdzeń stanowi kierunkowy materiał wybuchowy zwany PETN. Prędkość eksplozji jest tak duża, że można założyć zwoje detkordu na kilka różnych celów, połączyć je razem i zdetonować wszystkie w tym samym momencie.

Jeden z wiertaczy dotarł właśnie na szczyt otwartej klat-si schodowej. Drugi już pracował na najniższym poziomie cel

1 powietrze przenikał jazgot elektrycznego silnika na wysokich obrotach. Każdy z nich zawieszał na zamku szablon z precyzyjnie obrobionej stali z dwoma otworami, przez które wiertło wgryzało się w niewidoczny z zewnątrz gruby rygiel. Tuż za wiertaczami posuwali się ludzie z detkordem; jeden z nich wsuwał koniec lontu w wywiercony otwór, drugi krzy-^ał do więźniów:

– Hamas! Zabieramy was stąd! Złap lont i p f ze tknij go Przez drugi otwór! Szybko, szybko!

Polecenie wykonywano błyskawicznie. Gdy tylko koniec

detkordu wysuwał się z otworu, następny hamasowiec wycią, gał go, owijał jeszcze dwukrotnie wokół zamka i odcinał odpowiednią długość sekatorem. W ślad za nim podążał inny który podwiązywał luźny koniec do następnego odcinka. Rawi zamierzał wysadzać po cztery zamki naraz. Jego ludzie z wystudiowaną precyzją wykonywali kolejne czynności. Każdy odpowiadał tylko za jedną z nich. Dwaj przyboczni generała chodzili od celi do celi, powtarzając formułkę dalszych instrukcji:

–Kiedy lont będzie gotowy, kłaść się pod przeciwległą ścianą, twarzą do podłogi. Jeśli macie materace, nakryjcie się nimi. Za chwilę nastąpi eksplozja...

Sześć minut po rozpoczęciu wiercenia Rawi wysadził pierwsze cztery zamki. Drzwi czterech cel stanęły otworem, do każdej wpadło po dwóch ludzi, aby pomóc więźniom wstać i uciekać. Na szczęście żaden z nich nie był skuty kajdankami, nikt też nie odniósł ran. Uwolnienie jednej osoby zajmowało w sumie około półtorej minuty, ale na niższym poziomie inny zespół pod dowództwem Ahmeda Sabaha prowadził taką samą operację. Tuż po pierwszej eksplozji i on zdetonował swoje pierwsze cztery ładunki. Szesnastu bojowników zajęło się wyprowadzeniem pierwszych ośmiu uwolnionych na punkt zborny na dziedzińcu za unieruchomioną ciężarówką. Rawi obliczył, że cała akcja zajęła siedem minut, spodziewał się jednak, że potem pójdzie szybciej. To oznaczało, że na wydostanie z cel wszystkich czterdziestu siedmiu więźniów potrzebują maksymalnie czterdziestu dwóch minut. Od rozpoczęcia ataku upłynęło niespełna pół godziny. Rawi nie mógł zapomnieć widoku twarzy oficera, który stał w biurze ze słuchawką przy uchu. Czy zdążył przekazać wiadomość i co powiedział? Mają tu bezpośrednią „gorącą” linię? Jeżeli tak, to sprawa nie wygląda dobrze. Jeśli zaś nie mają, to czasu starczy aż nadto.

Od samego początku zmagał się z zasadniczym dylematem, najślabszym ogniwem operacji: Czy powinien na wstępie przerwać dopływ energii elektrycznej do obiektu? A może spowodowałyby to automatyczny alarm i wykrycie ataku, zanim jeszcze ciężarówka wtoczyłaby się w bramę? Uznał, że ryzyko tej drugiej ewentualności jest zbyt duże, ale

teraz nie wiedział, czy do Nimrodu nie lecą już śmigłowcami izraelscy spadochroniarze. Wystawił na murach dwa posterunki przeciwlotnicze. Ludzie byli na górze już od pięciu minut i nie widzieli niczego podejrzanego. Praktycznie mieli tylko jeden sektor do obserwacji; na wschód od twierdzy eżała granica z Syrią, na północy Liban, zatem Izraelczycy mogą nadlecieć tylko od południa.

Generał wspiął się na najwyższy punkt muru, wyjął telefon i wybrał numer. Stojący nieopodal obserwator usłyszał tylko jedno słowo: „Jazda!”

W piętnaście minut uwolniono szesnastu więźniów. Drugi zastępca Rawiego, specjalista od materiałów wybuchowych, kierował wysadzaniem zamków na górnej galerii, Ahmed zaś kontynuował to samo na dole. Do generała dobiegły odgłosy dwóch szybko po sobie następujących stłumionych eksplozji: kolejnych ośmiu na wolności. Obserwatorzy na murach wciąż nie widzą żadnych nadlatujących maszyn. Rawiego cieszyła precyzja, z jaką jego ludzie posługiwali się detkordem. Tę radość mąciła mu tylko jedna myśl – świadomość, że lada moment zjawią się tu izraelscy spadochroniarze i szturmowe śmigłowce. Nie mógł wiedzieć, że to nie wchodzi w rachubę, człowiek przy telefonie bowiem zdążył tylko krzyknąć: „Więzienie zaata...”

Po drugiej stronie dziesiętnastoletnia telefonistka odpowiedziała:

–Nie zrozumiałam... Kto mówi? Tu sztab Północnego Okręgu Wojskowego...

Telefon zamilkł; w słuchawce słyszała tylko złowrogie uczenie otwartej linii. Spróbowała jeszcze raz, stukając raz po raz w widelki.

–Halo! Halo, kto mówi?

Nie było odzewu. Dziewczyna wezwała przełożonego i zameldowała o dziwnym telefonie.

–Zdawało mi się, że słyszę coś jakby „więzienie sałata”. ^ potem nic, głucho.

~ Jakie więzienie?

~ Nie powiedział. Ale na pewno chodziło o więzienie. Z tą Watą to chyba bez sensu... Zdążył powiedzieć tylko te dwa *°Wa, zanim nas rozłączyło.

–Dobra, zaczekajmy kilka minut, może zadzwoni znowu. Jak nie, to będzie znaczyło, że była to pomyłka. A może to było jakieś inne słowo, nie „więzienie”?

–Mogło być inne, bo ja wiem? Ale jestem prawie pewna, że nie.

–W porządku. Odczekaj kwadrans i jakby się odezwał, zamelduj. Powiedziałaś mu, że się dodzwonił do sztabu okręgu?

–Oczywiście. Na samym początku i jeszcze raz, gdy linia ogłuchła.

–Dobra dziewczynka. Zawiadom mnie, gdybyś jeszcze raz coś takiego odebrała.

Tymczasem w Nimrodzie jeden z obserwatorów spostrzegł pierwszy helikopter. Nadlatywał z północy, od granicy libańskiej, trzymając się nisko nad ziemią i kierując wprost na więzienie.

–Śmigłowiec! Duża prędkość, mała wysokość, azymut trzysta sześćdziesiąt!

General Raszud zbiegł na dół i wypadł na zewnątrz przez główną bramę, mijając grupę oszołomionych więźniów, z których większość nie była zdolna wykrztusić choćby słowa podziękowania. Patrzyli tylko, jak dowódca Hamasu przykłada do oczu zdobyczną lornetkę i wypatruje czegoś na północnym niebie.

Zobaczył go szybko. Potężny sikorski CH-53D mknął ku nim z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Maszyna z daleka wyglądała na wojskową i z pewnością kiedyś była własnością armii. Teraz jednak pomalowano ją na śnieżnobiało, z niebieskimi wykończeniami i wielkim polarnym niedźwiedziem liżącym wielką porcję lodów. Arabski napis na kadłubie głosił: „Frosty cię ochłodzi”.

Na zewnętrznym szanćcu poniżej poziomu dziedzińca więzienia dwóch Palestyńczyków wymachiwało pomarańczowymi flagami, naprowadzając helikopter na wyznaczone lądowisko. Rawi gromkim głosem wydał kolejną komendę:

–Wszyscy na dolny poziom! Prosto do ludzi z flagami! Od razu ładować się do śmigłowca! Naprzód, naprzód!

Dobrze wiedział, że wypożyczony od armii syryjskiej sikorski zaprojektowany był przez amerykańskiego producenta

o transportu trzydziestu ośmiu marines z pełnym rynsztunkiem bojowym. Więźniowie nic nie mieli ze sobą, więc maszyna udźwignie ich więcej, może nawet z pięćdziesięciu. Obliczył swoje potrzeby transportowe na osiemdziesiąt sześć osób i nakazał ludziom mającym kierować załadunkiem, by na pierwszy rzut wyekspediowali trzydziestu dwóch więźniów i szesnastu hamasowców.

Śmigłowiec był już na ziemi i więźniowie jeden za drugim znikali w jego wnętrzu. Obserwator na murze zameldował nagle:

–Śmigłowiec nadlatuje na niskim pułapie, azymut trzysta sześćdziesiąt, prędkość duża... identyczny jak pierwszy... powtarzam, identyczny!

Cała czterdziestoośmioosobowa grupa znalazła się już na pokładzie śmigłowca, który natychmiast uniósł się prawie pionowo w powietrze, potem pochylił się i nabierając prędkości, odleciał na wschód, ku ziemi niczyjej i leżącej za nią Syrii. Drugi sikorsky właśnie podchodził do lądowania. Kolejne grupy uwolnionych zbiegały z dziedzińca ku zewnętrznym szanom. Znow dwa wybuchy oznajmiły otwarcie następnych ośmiu cel. Ludzie generała Raszuda byli w Nimrodzie już czterdzieści pięć minut, ale też w zamknięciu pozostawało jeszcze tylko ośmiu ostatnich więźniów. 1 Helikopter zatoczył krąg, szykując się do wylądowania. Nosił takie same barwy reklamowe jak poprzedni. Tym razem jego manewr wywołał gwałtowne poruszenie w pomieszczeniu operacyjnym sztabu Północnego Okręgu Wojskowego. Dowódca zmiany, młody kapitan, słuchał w napięciu, jak jeden z wpatrzonych w ekrany obserwatorów głośno odczytuje informacje.

–Następny, sir. Nie ma wątpliwości. To nadlatujący śmigłowiec. Namiar trzysta sześćdziesiąt. Prędkość sto teimdziesiąt. Wysokość sto pięćdziesiąt metrów. Maszyna amerykańska, ale nie używa wojskowego radaru. Cel: więzie-

e Nimrod. – Po chwili zameldował znowu: – Pierwszy Śmigłowiec wystartował. Kurs dwieście trzydzieści osiem, Prędkość dwieście czterdzieści. Wysokość poniżej trzydziestu Getrów.

~ Jak długo był na ziemi?

–Najwyżej cztery minuty, sir.

–Są wiadomości z więzienia?

–Próbujemy, panie kapitanie. Nie ma odpowiedzi.

–Czy ktoś mówił o więzieniu? – spytał czyjś głos.

–Tak, o Nimrodzie.

–Jasna cholera!

–Co się stało?

–Jedna z moich telefonistek odebrała dziś rano nieczytelną wiadomość. Według niej ktoś powiedział coś w rodzaju „więzienie sałata”. Natychmiast potem połączenie zostało przerwane i nikt więcej nie zadzwonił. Nie było mowy, o jakie więzienie chodzi.

–Może naprawdę on chciał powiedzieć: „więzienie zaatakowane”, ale nie mógł dokończyć słowa?

–Alarm dla obsad śmigłowców! Cel: więzienie Nimrod. Możliwe, że zostało zaatakowane. Wysłać pierwszą i trzecią grupę szturmową!

Dowódca krzyknął, żeby ktoś go połączył ze stanowiskiem obserwacyjnym na linii demarkacyjnej na wschód od Nim-rodu. Kiedy je uzyskał, w odpowiedzi na swoje pytanie usłyszał:

–Tak jest, widzieliśmy go. Duży jedno wirnikowy śmigłowiec, lecący na wschód do Syrii. To była cywilna maszyna, panie kapitanie, bez wojskowego radaru. Była biała, wyglądała jak... latająca budka z lodami.

–Jak co?

–Budka z lodami. Biała z niebieskimi pasami i wielki niedźwiedź namalowany na burcie.

–Co?!

–Niedźwiedź, panie kapitanie, liżący loda.

–Szlag mnie trafi! – Kapitan cisnął słuchawkę na widełki.

Załadowanie żołnierzy do trzech śmigłowców IDF i poderwanie ich w powietrze zajęło dwanaście minut. Od Nimrodii dzieliło eskadrę ponad trzydzieści kilometrów. W tej samej chwili drugi sikorski Rawiego był już gotów do odlotu-Wirnik huczał, wielkie drzwi do przedziału pasażerskiej0 stały otworem, a generał biegł ku nim co sił, zostawiając z* sobą płonąca ciężarówkę. Rozlane paliwo szybko przeniósł"

Wbiegł na cały fronton więzienia. Rawi z rozbiegu wskoczył, a skini rzutem do śmigłowca i przetoczył się po podłodze do ifodka. Ktoś natychmiast zatrzasnął za nim drzwi i maszyna wystartowała, kierując się z maksymalną prędkością ku granicy Syrii. Mieli dziesięć minut przewagi nad pościgiem, choć nikt na razie o tym nie wiedział. Generał rozsiadł się jod tylną ścianą i rozmawiał ze swoimi podkomendnymi.

–Nie straciliśmy nikogo z naszych i wydostaliśmy wszystkich więźniów. Niezła robota, co?

Akurat w tej sekundzie nawigator krzyknął ze swojego stanowiska:

–Generale, mam na ekranie trzy echa, około dwudziestu czterech kilometrów na godzinie czwartej. Lecą do Nimrodu z dużą prędkością.

Rawi skwitował meldunek skinieniem głowy, po czym dodał:

–Jak mógłby powiedzieć Żelazny Księżę*, cholernie mało brakowało. Jeszcze pięć minut w tym więzieniu, a nie udałoby się nam.

Kiedy sikorski przelatywał nad syryjską linią demarkacyjną, Izraelczycy zbliżali się do Nimrodu. Widzieli już płonąca w głównej bramie ciężarówkę i wyraźne ślady eksplozji i dziesięciu, a także dwie postacie na jednym z dział, sprawiające wrażenie uspijonych. Wkrótce potem odkryli, że więzienie jest zupełnie puste. Nie było strażników ani więźniów, a to naliczyli w sumie dwadzieścia trupów. Zginął cały personel.

–Dobry Boże! – wyszeptał dowódca grupy pościgowej, kiedy się zorientował, że zamki w drzwiach wszystkich cel

ostały umiejętnie, profesjonalnie wysadzone.

Reputację Nimrodu jako najlepiej zabezpieczonego więzienia diabli wzięli. Gdzieś tam, za poszarpanym masywem górskim, czaili się najniebezpieczniejsi wrogowie państwa izraelskiego, ludzie, którzy udowodnili, że gotowi są umrzeć

za sprawę, a tą sprawą jest atakowanie, zabijanie i okalanie ludności żydowskiej w Tel Awiwie i Jerozolimie.

Arthur Wellesley, książę Wellington (1769-1852), zwycięzca spod Waterloo.

Młody oficer, którego oboje rodzice polegli w niepowstrzymanym natarciu izraelskim na Wzgórze Golan w roku 1973, z niechęcią myślał o raporcie, jaki będzie musiał za chwilę złożyć. Kiedy dwadzieścia minut później nadał meldunek przez pokładowe radio jednego ze

śmigłowców, w sztabie okręgu się zagotowało. Jak w ogóle mogło do tego dojść? Akcja musiała być zorganizowana pod egidą jakiegoś państwa, ale którego?

Dowódca okręgu zażądał przestawienia satelity szpiegowskiego na fotografowanie syryjskich baz wojskowych, zwłaszcza tych, gdzie na wyposażeniu są śmigłowce. Przez kolejne dni nadchodziły zdjęcia rządów helikopterów pomalowanych na ochronny piaskowy kolor z emblematami sił zbrojnych. Nikt się nawet nie domyślał, że na dwóch z nich pod świeżą warstwą farby zajadają lody dwa ogromne białe miśki, wcale nie zmartwione tym, że nikt ich już nigdy nie ujrzy.

Dwa dni upłynęły, zanim Izraelczycy zdecydowali się przyznać, że jakimś cudem doszło u nich do jednej z najbardziej spektakularnych ucieczek w historii. Stracili za jednym zamachem czterdziestu siedmiu najgroźniejszych więźniów politycznych, zaprzysięgłych wrogów Izraela, osadzonych w specjalnie zbudowanym więzieniu, zaprojektowanym tak, by ucieczka była niemożliwa. Gdzie oni wszyscy teraz są? Bóg jeden wie; na pewno jednak poza granicami państwa, prawdopodobnie nawet poza zasięgiem Mossadu, pod ochroną wrogiego kraju, od którego nie można się spodziewać pomocy ani choćby informacji.

Komunikat prasowy został sformułowany bardzo ostrożnie. Izraelczykom bardzo zależało, aby nie wyjść na niekompetentnych i nie wystawić się na pośmiewisko. Informacja została puszczona w obieg po cichu. Biuro prasowe rządu przefaksowało komunikat do „Jerusalem Post” około dwudziestej trzydzieści w sobotę 30 marca, podając nazwisko i telefon rzecznika, Abrahama Stillmana, który miał tyle wspólnego z prasą co Arnold Morgan; w rzeczywistości był wysokim oficerem Mossadu i wiedział, jak blokować trudne pytania, umiał też kłamać w żywe oczy i bez zająknięcia-Komunikat brzmiał następująco:

Dwudziestu funkcjonariuszy więziennych poległo podczas palestyńskiego ataku na więzienie o zaostrzonym reżimie Nimrod w północnej Galilei. Wszyscy przebywali na służbie, część z nich poza murami. Terrorysty staranowali bramę więzienia ciężarówką, po czym z zimną krwią dokonali masakry cywilnego personelu. Nie wiadomo jeszcze, które z ugrupowań terrorystycznych jest odpowiedzialne za ten atak, ale izraelskie służby bezpieczeństwa przyjmują, że dokonali go ludzie z Hamasu albo z Hezbollahu. Wiadomo również, że pewni więźniowie uciekli drogą powietrzną, korzystając z dwóch cywilnych śmigłowców. Wszystko wskazuje na to, że skierowali się do Syrii, ale armia syryjska zaprzecza, jakoby cokolwiek wiedziała na temat ucieczki i samego napadu. Nazwiska poległych zostaną podane do publicznej wiadomości w terminie późniejszym, kiedy już powiadomione zostaną ich rodziny.

Niezwykle ważna kwestia tożsamości uciekinierów celowo została pominięta, a cały nacisk położono na tragedię poległych funkcjonariuszy. Ta taktyka nie zwiodła jednak nikogo. Dawid Heyman, młody i utalentowany nocny redaktor „Jerusalem Post”, przeczytał faks z zadziwieniem, natychmiast się zorientował, że ani słowem nie wspomina, którzy to z najniebezpieczniejszych skazańców w Izraelu zwiiali z cel, po czym od razu zadzwonił do Stillmana, znanego pod przydomkiem „Kamienna Twarz”. Człowiek z Mossadu raz jeszcze udowodnił, że zasługuje na ten przydomek.

–Przykro mi, ale nie mamy dalszych informacji na ten temat... W tej chwili mamy tam zespół dochodzeniowy, który tara się ustalić fakty... Byłoby niewłaściwe z mojej strony, Sdybym podał panu niedokładne informacje... Jaki szejtk?... ^estety, nie mogę komentować sytuacji poszczególnych eźniów... Tak, to był atak w stylu militarnym... Nie mogę lokładnie podać danych o ofiarach... Wiadomo mi, że nie-tórzy z nich zginęli od pocisków z broni ręcznej... Telefony? |bawiam się, że system nie działa... Nie wiem dlaczego... iedy będziemy dysponowali nowymi danymi, poinformujemy pana...

Heyman wyczuwał w tym wszystkim gigantyczną akcję Mydlenia oczu. Zadzwonił do szefa nocnej zmiany w dziale Wiadomości i kazał mu „zasuwać do warsztatu”, jak w redak-

cyjnym slangu nazywana jest sala, w której przygotowywano i składano pierwszą stronę. Eddie Laxton, były dziennikarz z Fleet Street, był prawdopodobnie najlepszym łowcą sensacji na całym Bliskim Wschodzie. Wczytał się w treść oficjalnego komunikatu, wysłuchał relacji Heymana z rozmowy ze Stillmanem, po czym bez zwłoki wysłał zespół sześciu reporterów i fotografów w rejon Nimrodu. Zamówił dla nich helikopter, którym mieli polecieć na małe cywilne lotnisko w północnej Galilei, a resztę drogi do twierdzy – trzydzieści parę kilometrów – odbyć dwoma podstawionymi tam samochodami. Laxton wiedział, że cała okolica będzie odcięta kordonem i szansę na uzyskanie dostępu do miejsca ataku są znikome. Jego ludzie byli jednak porządnie wyszkoleni; jeśli będzie trzeba, potrafią się wspiąć na skały, by sfotografować obecny stan więzienia.

Eddie Laxton miał w sobie coś z krzyżowca. Był zdania, że rządy nie powinny tuszować swoich lapsusów, zwłaszcza jeśli chodzi o bezpieczeństwo kraju. Jeżeli ta historia wygląda tak, jak się spodziewa, to zamierzał dobrać się do niej na serio. Krótco po północy jeden z jego wysłanników trafił na dziennikarską żyłę złota. Podczas gdy reszta zespołu usiłowała ominąć blokadę terenu, teraz jaskrawo oświetlonego potężnymi wojskowymi reflektorami, zaledwie dwudziestoletni reporter Ben Lefrak postanowił zająć pozycję w najbliższej, otwartej do późna kafejce w druzyjskiej wiosce Madżdāl e-Szams. Po paru godzinach doczekał się owoców tej decyzji. O drugiej piętnaście do środka weszło trzech pokrytych pustynnym pyłem żołnierzy IDF, zamawiając kawę i ciastka. Gospodarz obsłużył ich z pogodnym uśmiechem spod sumiastego wąsa, oznaki przynależności do swojej sekty islamskiej. W kafejce panował ożywiony ruch i kiedy Ben wracał od lady z czwartą tego wieczoru kawą, usiadł tuż za żołnierzami i zręcznie nawiązał rozmowę.

–Fatalnie to wygląda tam na górze, co?

–Mnie to mówisz? – odezwał się młody szeregowiec. " Boże, ależ jestem wykończony!

–Zburzyli wszystko?

–No nie, ale rozwalili w drobiazgi wartownię i biuro a w bramie wysadzili w powietrze zajebiste wielką ciężarów?-

–Kurczę! I co, któryś z więźniów ucierpiał? No, wiecie, w celi jak w pułapce, nie ma gdzie się kryć przed wybuchem...

–Trudno powiedzieć. O ile mogliśmy się zorientować, nie było tam ani jednego. Wszyscy nawiali. Więzienie jest zupełnie puste, ale może znajdziemy jeszcze jakieś trupy. Po to się przekopujemy przez gruzy.

–Ciężka robota, co? Przecież tam jest sam granit.

–Tak. Żadnemu z nas się nie uśmiecha tam wracać, ale gdzieś za godzinę ma się zjawić sam premier.

Dwadzieścia minut później, kiedy Ben Lefrak wyszedł z lokalu i zadzwonił do redakcji w Jerozolimie, Eddie Laxton miał ochotę go wycalować. Pierwsza strona skomponowana przez Dawida Heymana była majstersztykiem. Na trzech kolumnach widniało panoramiczne zdjęcie twierdzy Nimrod, a pod nim fotografie naczelnika więzienia, szefa straży i dowódcy wojskowego oddziału wartowniczego z czarnym podpisem: „Zginęli od kul napastników”. Poniżej przyciągały uwagę wielkie litery tytułu: „TERRORYŚCI Z HAMASU ZNISZCZYLI WIĘZIENIE NIMROD. WSZYSCY WIĘŹNIOWIE POLITYCZNI NA WOLNOŚCI!” Dalej zamieszczony był blok dwudziestu fotografii podpisanych imieniem i nazwiskiem danej osoby, ukośnie przekreślony przejrzystym pasem z napisem: „WSZYSCY UCIEKLI!” Jak na „Jerusalem Post”, było to niezwykle sensacyjne potraktowanie całej historii. Nawet anglojęzyczny, żarliwie proarabski „Syrian Times” okazał się bardziej powściągliwy, tytułując swój bardzo podobny w treści artykuł: „BOHATERSCY BOJOWNICY Z HAMASU UWOLNILI NASZYCH MĘCZENNIKÓW”.

Oba doniesienia zgodnie podkreślały, że genialnie zaplanowany i błyskawicznie przeprowadzony wypad spoza tery-

rium Izraela doprowadził do odbicia wszystkich najważniejszych więźniów politycznych. Dziennikarze co prawda r°chę się plątali w szczegółach, ale już w pół godziny od

azania się specjalnych niedzielnych wydań popołudnio-

rch w Jerozolimie i Damaszku, za pośrednictwem wszystkich-1 stacji radiowych na Bliskim Wschodzie, jak również -! i „Głosu Ameryki”, wiadomość obiegra świat. Gazety

aerykańskie, budzące się do życia w sześć godzin po izrael-

skich, otrzymały depesze agencyjne około południa, co aż nadto wystarczyło im do przygotowania sensacyjnych artykułów na pierwsze strony. Dalej następowały najrozmaitsze gorzkie żale, wywody wszelkiej maści ekspertów od więziennictwa, przestępczości, psychologii więźniów, polityki bliskowschodniej i Bóg wie czego jeszcze, mocne słowa od żydowskich matek, synów i córek, z kulminacją w postaci nieuchronnego „To się nie może powtórzyć!”

W Londynie jedna z bulwarówek dotarła nawet do paru żyjących uczestników napadu stulecia z 1963 roku i zamieściła ich „fachowy” komentarz pod tytułem „To musieli być profesjonalści”. Ta rewelacja podana była z typową dla Fleet Street gniewną werwą i pewnością siebie, jak gdyby autorzy właśnie odkryli nieznaną głębie antycznej filozofii.

Wczesnym popołudniem tej niedzieli wstępne doniesienia CIA przeczytał porucznik Jimmy Ramshawe. Jak większość jego kolegów po fachu, oszołomiła go wieść, że cała ta akcja była dziełem grupy terrorystycznej. Siedział zamyślony w swoim biurze, obracając w myśli znane sobie fakty. Sama wojskowa precyzja operacji była wielce nietypowa dla zwykłych działań terrorystów. Fanatycy z pustyń Bliskiego Wschodu często są dzielni, zazwyczaj przebiegli i wcale nie rzadziej uderzająco głupi. Tym razem było zupełnie inaczej. Ten atak był drobiazgowo, wręcz pedantycznie opracowany co do najmniejszego szczegółu i zrealizowany z szatańską bezwzględnością i doskonałym zharmonizowaniem w czasie. Jak to ujął w duchu Ramshawe, „bez-kurde-błędnie”. Krótco przed godziną osiemnastą wstał i mruknął pod nosem:

–Niezła robota, majorze Kerman. Naprawdę groźny sukinsyn z ciebie.

O dziewiętnastej trzydzieści był już na naprędce zorganizowanej naradzie z admirałem Morrisem i kapitanem Wade'em. Mniej więcej równocześnie wszyscy trzej doszli do podobnych wniosków. To mogło być dzieło tylko SAS albo US Navy SEALs, a w każdym razie kogoś, kto został w jednej z tych formacji przeszkolony. Oczywiście na tym etapie nie mogło być mowy o żadnych dowodach, ale porucznik Ramshawe oprócz map północnej Galilei i zdjęć więzienia Nimrod przyniósł niewielką teczkę z wynikami dochodzenia

W sprawie napadów na oddziały banku New York Beirut Savings. W obu raportach można było znaleźć niezbity fakt: zamki w drzwiach skarbców zostały wysadzone bardzo silnym materiałem wybuchowym PETN. Oba rygle zostały przecięte w tym samym miejscu. Na ich kikutach widać było wyraźnie, że przewiercono w nich po dwa otwory, a na powierzchniach cięcia eksperci wykryli pokaźne ilości cząstek PETN. Raport nie zagłębiał się w dalsze wyjaśnienia, Jimmy Ramshawe zwrócił się więc do kapitana Wade'a o komentarz. Scotty bez namysłu odrzekł:

–To jasne jak słońce. Użyli detkordu. Jest w nim właśnie PETN, ale stosuje się go niemal wyłącznie w wojsku, i to najczęściej w siłach specjalnych. Bóg jeden wie, skąd go wzięli.

–Raymond Kerman też by wiedział.

–Pewnie. Umiałby go też wykorzystać.

–Jimmy, starszku, musimy się dowiedzieć, czy cele w Nimrodzie rozwalono tą samą metodą. Izraelczycy co prawda nie będą skorzy do ujawniania szczegółów, dopóki cała sprawa nie przycichnie...

Cała trójka nie miała żadnych wątpliwości. Odbicie więźniów musiało być opracowane przez byłego oficera sił specjalnych. Gdziekolwiek by spojrzeć, dowody na to wszędzie rzucały się w oczy.

–Tylko sobie wyobraźcie, jak starannie ktoś przemyślał tę operację – zauważył admirał Morris. – Po pierwsze, musieli się przedostać przez granicę, i to w tak newralgicznym miejscu jak Golan. Było ich pewnie co najmniej trzydziestu. Nocny marsz, a potem kryjówka na górze. Wygląda na to, że zabrali optymalny zestaw: karabiny maszynowe, granaty, detkord, wiertarki... A potem wycofanie się drogą powietrzną, dwoma wielkimi helikopterami. Co mówią Syryjczycy?

–Niewiele, sir. Chwalą tylko dzielność bojowników palestyńskich i dziękują Allahowi za uratowanie męczenników. J samej akcji nic nie wiedzą, ma się rozumieć.

–A w efekcie mamy czterdziestu siedmiu maniaków na Wolności, z których część może trafić i do nas, choć do tej pory działali wyłącznie przeciwko Izraelowi i na jego terytorium.

–Tak jest – przytaknął admirałowi Wade. – I nie możemy

właściwie nic w tej sprawie zrobić, poza wzmożeniem czujności i nasileniem obserwacji w Damaszku, gdzie prawie na pewno trafili odbici więźniowie.

–Dobra, panowie, informujcie mnie na bieżąco. Przekażę to wszystko Wielkiemu Człowiekowi. Do zobaczenia jutro rano.

Telefon w domu Kathy O'Brien w Chevy Chase, na przedmieściach Waszyngtonu, nieczęsto dzwonił w niedzielne wieczory. Razem z Arnoldem Morganem zawsze jadali wtedy kolację i wszystkim było dobrze wiadomo, że to jedyne chwile w tygodniu, kiedy doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego stara się pozostawić na boku troski i problemy związane z pracą. Akurat zamierzał napocząć pierwszą z trzech tuzinów butelek Chateau d'Issan rocznik 1995, które kupił za radą Harcourta Trávisa, sekretarza stanu i nadwornej wyroczni we wszystkim, co wyrafinowane. Morgan nie miał zamiaru zdradzić Kathy źródła tej porady, chyba że wino okaże się okropne. W takim wypadku były profesor Harvardu z całą pewnością zostałby obwiniony, i to w dobitny i gromki sposób.

Admirał zakręcił lekko kieliszkiem, patrząc na ciemną czerwień trunku z Bordeaux, po czym powąchał jego bukiet. Ten drobny rytuał cieszyłby go jeszcze bardziej, gdyby wiedział dokładniej, skąd to wino pochodzi: z przepięknego, otoczonego fosą zameczku położonego na lewym brzegu Żyrondy, daleko w górze rzeki, wśród ogrodzonych murami winnic. Dla Arnolda Morgana francuskie wina butelkowane w chateaux są jak obrazy wielkich mistrzów, które należy mieć, cenić i cieszyć się nimi; niemniej w niedzielne wieczory zawsze wypijali z Kathy jeden z tych skarbów.

Arnold wypił mały łyk i przez chwilę badał smak d'Issan. Harcourt jak zwykle trafił w dziesiątkę.

–Doskonale – mruknął, stawiając butelkę tuż przy kominku, na którym płonęło parę grubych bierwion. – Trochę więcej ciepła, tak z piętnaście minut... Niech to szlag!

Zadzwoił telefon. Po paru sekundach Kathy oznajmiła* że to do niego.

–George Washington, z NSA, Fort Meade, szerokość trzydzieści...

i – Dobrze, dobrze, do diabła, już biorę!

Do Kathy, zajętej w kuchni doglądaniem pieczeni jagnięcej, dochodziły tylko urywki tej rozmowy.

–Ilu? Czterdziestu siedmiu... Jezu Chryste! Ilu złapali?... Żadnego? Niech mnie... Chryste

Panie, wszyscy zginęli?

Kathy polala pieczeń tłuszczem, chichocząc pod nosem z wyraźnego zdumienia swego narzeczonego. Kiedy odłożył słuchawkę i wszedł do kuchni, zapytała słodkim tonem: t – I kto to był? George Morris czy Jan Chrzyciel?

–Jan Chrzyciel. – Arnold się roześmiał. – Pewnie wkrótce zobaczymy to w wiadomościach. Jakieś ugrupowanie terrorystyczne właśnie uwolniło wszystkich najważniejszych więźniów politycznych w Izraelu. Rozwalili więzienie, wybili straż do nogi i uciekli paroma helikopterami.

–Dobry Boże!

–To samo powiedziałem Janowi Chrzycielowi. Wiem, że to brzmi trochę nieprawdopodobne, ale to fakt. Czterdziestu siedmiu zwariowanych fanatyków wydostało się na wolność, a my ich tutaj nie chcemy.

–Jasne, że nie.

–Jest w tej sprawie jeszcze jeden wątek. Ci faceci byli przeszkoleni i dowodzeni przez jakiegoś szcawanego sukinsyna. George i jego chłopcy są zdania, że to ten zaginiony major SAS, o którym rozmawialiśmy w zeszłym roku. Niejaki Ker-man z Londynu. Do tej pory nikt nie wpadł na jego ślad.

–Pamiętam to z gazet. – Kathy kiwnęła głową. – Z zamożnej rodziny, ale okazał się mahometaninem.

–O nim właśnie mowa. I jeśli się nie mylę, zapowiada to poważne kłopoty. George twierdzi, że przed rozbiciem tego więzienia, uważanego za doskonale zabezpieczone, jego gang dokonał dwóch napadów na banki i zrabował sto milionów dolarów.

–Brzmi złowrogo.

–Właśnie. Cała operacja na milę pachnie siłami specjalnymi. Z personelu więzienia nie przeżyła ani jedna osoba, nie ma żadnych świadków, żadnych pozostawionych rannych. Wybili do nogi z kliniczną precyzją. Jak to bywa z więzieniami, twierdza Nimrod była całkowicie nastawiona na to, by nie wypuścić nikogo na zewnątrz. Założę się, że ni-

lat

wifcej szczegółów kochanie. i, mongolski, peruwiański?

– ^ynaroaowego terroryzmu przez ostatnie dwad; " i miejsca urodzenia ^a Raymonda Kermana.

ROZDZIAŁ 4

Jedenaście miesięcy później. Piątek, 5 maja 2006 r. Kerman, południowy Iran

General Rawi Raszud i Szakira Sabah siedzieli w podziemnej, sklepionej herbaciarni na terenie rozległego bazaru e-Vakil, handlowego centrum pustynnego miasteczka Kerman. Dla Rawiego było to jak pielgrzymka; tylko to miejsce pamiętał z odległego dzieciństwa. To znaczy, pamiętał ciastka, przepyszne smakołyki z miodu i migdałów i to, że jadł je na wielkim, zadaszonym bazarze. Dwie godziny zajęło mu odszukanie samej herbaciarni, która w jego pamięci była zaledwie mglistym wspomnieniem. W końcu jednak trafił we właściwe miejsce i teraz, trzymając Szakirę za rękę, opowiadał jej o swojej matce.

Dla dziewczyny ta podróż była odkryciem. Nigdy przedtem nie bywała w Iranie, a i Rawi niewiele wspominał o kraju swego pochodzenia, sam bowiem prawie go nie pamiętał, poza wrywkowymi impresjami. Odwiedzili już wcześniej meczet e-Dżame, największą budowlę w Kermanie. On też tkwił ^ pamięci Rawiego. Wiedział, że gdzieś niedaleko był ich dom, nie mógł jednak w żaden sposób przypomnieć sobie ani adresu, ani jego wyglądu. Przypominał sobie jedynie skryty

1 kamiennym murem dziedziniec, sadzawkę z fontanną

zaczynające go przez cały dzień drzewo. Rawi jednak uznał, * nawet sama wizyta w herbaciarni wiele mu dała i warta Ma tej podróży.

–No i jak? – spytała Szakira z uśmiechem. – Tyle razy mi Powtarzałeś, że wszystko byś lepiej zrozumiał, gdybyś tylko

°gł tu przyjechać. Teraz tu jesteśmy... Podziałało? Rawi zaśmiał się cicho. Szakira zawsze domagała się

°stych, bezpośrednich odpowiedzi. Odcienie prawdy, wie-

loznaczność wrażeń, niuansy i aluzje do niej absolutnie nie trafiały. „Myślisz, że wszyscy muszą zginąć?... Będziemy bezpieczni?... Czy Izraelczycy są najgorszymi z ludzi?... Kochasz

mnie tak mocno, że chciałbyś się ze mną ożenić?" Słowa takie jak „być może”, „ewentualnie”, „kto wie”, „czas pokaże”, „to zależy od punktu widzenia” dla Szakiry Sabah brzmiały jak chińszczyzna. Jej ulubionym zwrotem w konwersacji było „Tak, ale...”, po którym raz jeszcze zadawała to samo pytanie, nie usatysfakcjonowana odpowiedzią. Rawi był nią oczarowany; nie tylko jej urodą i inteligencją, ale i innymi cechami, które przez minione miesiące u niej zaobserwował, jak odwaga, lojalność i determinacja w walce o to, co uważa za słuszne. Szakira była też żarliwą wyznawczynią islamu. Czytała byłemu majorowi SAS Koran, uczyła go słów Proroka tak, jak ją samą uczono, objaśniała mu tajniki drogi do Boga, podkreślała łagodny charakter i moralną słuszność tej często przeinaczanej i źle rozumianej religii. Teraz nawet zniekształcone przez zainstalowane na minaretach megafony głosy muezinów wzywające wiernych do modlitwy miały dla Raya Kermana nowe, głębsze znaczenie. W tych śpiewnych nawoływaniach, takich samych od czasów Proroka, słyszał prawdziwy głos swojej nowej wiary; posępny i bolesny, ale też nabrzmiały nadzieją.

Rawi zastanawiał się nad jej pytaniem. „Jesteśmy tu... Podziałało?” Jego brytyjskie poczucie powściągliwości, wpojone mu w Harrow, podsuwało mu odpowiedź raczej oględną. Wiedział jednak, że w ten sposób się nie wymiga. Szakira po prostu zapyta jeszcze raz.

–Tak – odrzekł. – Podziałało.

–Skąd wiesz?

–Czuję się tu jak u siebie. Jakbym wrócił do domu. Moi rodzice poświęcili wiele czasu na przeobrażenie mnie w Anglika, ale ja nie jestem, nie mogę być Anglikiem. Jestem Irańczykiem, a moi przodkowie byli Beduinami. Ani mój ojciec, ani cała armia brytyjska nie mogą tego zmienić. Człowiek jest tym, kim jest, kochanie.

Szakira patrzyła na niego poważnie.

–Ale gdybyś nie został wysłany do Izraela, gdybyś nie walczył na ulicy Jerusalem i nie zabił tych dwóch ludzi,

aby mnie uratować... też byś w końcu odnalazł drogę do domu?

–Chyba nie. Ciągnąłbym dalej to samo, w końcu dochrapałbym się dowództwa batalionu, a potem przeszedłbym do cywila i zajął się rodzinnym interesem. Dopiero w Hebronie pierwszy raz poczułem tę emocjonalną więź, kiedy rozmawiałem z ludźmi na rynku. To dziwne, ale sama obecność w tym miejscu dawała mi wrażenie przynależności.

–To było, zanim mnie poznałeś? – Tak.

–Więc nie cała odpowiedzialność za twój czyn spoczywa na mnie?

–Oczywiście, że nie. Już wcześniej miałem to dziwne uczucie, ten silny pociąg do Palestyńczyków. Przypomniało mi to opowiadanie jednego z moich żołnierzy w Irlandii Północnej. Miły gość, nazywał się Pat Byrne. Miał wujka w Filadelfii, który wyjechał z kraju jako jedenastolatek i przez pięćdziesiąt sześć lat żył w Pensylwanii. Już jako stary wdowiec postanowił on pojechać na dziesięciodniowy urlop do Derry, gdzie miał jeszcze krewnych, choć przez te wszystkie lata ani razu ich nie odwiedził. I wiesz co? Nigdy już nie wrócił do Stanów. Osiadł u kuzynów w typowej irlandzkiej wiosce nad morzem, agentowi w Filadelfii kazał sprzedać swoje dwa samochody i dom z całym wyposażeniem i do dziś mieszka na wyspie, gdzieś koło Donegal, zadowolony jak bąk. Tu, na Bliskim Wschodzie, czuję to samo, co on musiał czuć w Irlandii. Mało co pamiętam z Kermanu, ale serce mi mówi, że jestem w domu.

–A w Londynie tego nie czułeś?

–Owszem, czułem. Tam byli moi rodzice i wszyscy znajomi- Chyba jednak zawsze mi się wydawało, że się czymś od nich różnię i że ludzie to widzą. Kiedy jest się dzieckiem, odpycha się takie myśli od siebie, ale one gdzieś się tam czają ^a dnie. Przyjechawszy na Negew, zdałem sobie sprawę, że już się nie wyróżniam. A potem spotkałem ciebie...

–Czy to znaczy, że nie wylądujemy w Donegal? Zostajemy tutaj?

General się roześmiał.

–Mamy oboje sporo do zrobienia...

–Tak, ale... czy tu zostajemy?

–W Iranie? – Tak.

–Nie wiem. Ale na pewno trochę tu zabawimy. Jeśli wyjedziemy, to tylko do Damaszku, Jordanii, ewentualnie do Egiptu czy Dubaju... ale na pewno będzie to kraj islamski. Tego

jestem pewien. I tak zresztą nie mógłbym wrócić na Zachód.

–Powiesiliby cię?

–Możliwe.

–No, ja im nie pozwolę. Rozwalilibym ich głupi sąd tak, jak ten izraelski czółg.

–Wtedy oboje moglibyśmy trafić na szubienicę.

–My? Jesteśmy na to za sprytni.

–Sprytni, ale ostrożni. – Rawi objął ją w pól. – Na tym polega cała sztuczka. Pamiętaj, nasz fach obfituje w zagrożenia. Jeden poważniejszy błąd i nie żyjesz.

–Nie myślisz czasem, że dość już zrobiliśmy? – Szakira nagle spoważniała. – Że może powinniśmy skończyć z wojowaniem, osiąść gdzieś i spokojnie żyć?

–Pewnie, że czasem przychodzą mi takie myśli do głowy. Chciałbym jednak doczekać się na Bliskim Wschodzie wielkiego państwa islamskiego, wolnego od wpływów Zachodu i Izraela. I chyba wiem, jak to osiągnąć. Nie trzeba do tego masowych mordów. Nasz przyjaciel bin Laden sprawił, że takie akcje stały się niemodne. Są jednak inne sposoby i dlatego właśnie tu jesteśmy. Wielu ludzi na mnie liczy, a ja nie chcę ich zawieść.

–Zdaje się, że trochę przesadziłeś ze swoją błyskotliwą akcją, kochanie – odrzekła Szakira. – W Nimrodzie pokazałeś taki poziom profesjonalizmu, jakiego nikt z nich dotąd nie widział. Teraz jesteś dla połowy narodu arabskiego czymś w rodzaju Mesjasza.

–Mogę ich tego nauczyć – powiedział cicho Rawi. * Najpierw muszę to jednak pokazać.

Wkrótce potem opuścili herbaciarnię i wrócili taksówką do hotelu Kerman Grand Inn, spakowali się i pojechali na lotnisko, by złapać jedyne w tygodniu połączenie linii Irafl Air do odległego o ponad pięćset kilometrów Bandar AbbaS-

Samolot odleciał zgodnie z rozkładem o osiemnastej i w czterdzieści pięć minut później byli już w tym portowym mieście na południu kraju. Wynajęli pokój w dawnym hotelu Gamerun, niegdyś eleganckim, dziś zapuszczonym i ze zmienioną nazwą „Homa”, przy bulwarze Pasdaran, z widokiem na Morze Arabskie. Wnętrza zachowały resztki dawnego luksusu, a restauracja, niegdyś sławna, miała zaledwie przyzwoity standard. Szef kuchni umiał jednak dobrze przyrządzić podstawowe irańskie danie, czyli pa-lierowane krewetki z ryżem na parze. Rawi i Szakira popili je sokiem z mango, a potem herbatą, po czym poszli do nadmorskiego parku. Noc była ciepła i właśnie wschodził księżyc, oświetlając sylwetki kilkorga innych wieczornych spacerowiczów. Hotel o tej porze roku miał komplet gości, w większości turystów, i o rezerwacji bez odpowiedniego wyprzedzenia nie było mowy, ale irańska marynarka wojenna miała na stałe zamówione kilka pokoi. Dzięki temu generał Raszud z towarzyszką bez problemu trafili na listę gości.

Wiść o rozbiciu więzienia Nimrod miała niebywały wpływ na morale wszystkich Arabów, ale to ajatollahowie zaczęli wywierać presję na Hamas, chcąc się dowiedzieć, kto bezpośrednio kierował akcją. Kierownictwo Hamasu wzdragalo się przed ujawnieniem tożsamości swojego militarne go asa, ale w końcu irańscy przywódcy, którzy mieli powaźny udział w finansowaniu operacji na Bliskim Wschodzie, dopięli swego. Przekazano im nazwisko generała Raszuda wraz z informacją, że jest urodzonym w Iranie muzułmaninem, kn wieczorny spacer w parku mógł się wydawać beztroski romantyczny, jak to bywa między dwojgiem ludzi od pranie dwóch lat związanych uczuciem, ale w rzeczywistości 'tmosfera między nimi była napięta. Nazajutrz z samego na Raszud miał się zameldować w irańskim porcie wojennym w zachodniej części miasta. Wezwano go, aby podyskutować o przyszłości w gronie ludzi z kierownictwa Hezbol-uu, wojskowych sympatyków tej organizacji oraz dwóch nserwatywnych duchownych z Teheranu, którzy od wielu t dostarczali fundusze na przeróżne akty zbrojne przeciwko schodowi. Zebraniu miał przewodniczyć ajatollah – płatnik

zajmujący bardzo wysokie stanowisko w f.-^zie. Marynarka udostępniła na ten cel dobrze zabezpieczona/116 Poi: Hieszczenie w bloku operacyjnym^ strzeżone przez;; uzbrojona^ wartość. Temat i treść dyskusji otoczone były ta j[Jemmcą;- wszystkie poczynione w jej trakcie notatki wnikliwie^ rffie koi^ trolowano, a przez wiele następnich. miesięcy nik tJ nie " ^ia* sie dowiedzieć nie tylko o pojedynczych Wspólnie decyzjach^ ale nawet o tym, co poszczególne osoby miały do powiedzenia^ a- To ściśle tajne zebranie miało zdecydować o najblijszej przyszłości generała Raszuda i jagg0palestyńskiej prjs0sna^ Żony- Żadne z nich nie wiedziało, Co ich czeka następnego dnia, choć głównym celem spotkania było zapoznanie ich z wizją świata prezentowaną przez cieszącego się największym szacunkiem wojskowego szefa Hamasu. Oboje źle spali tej

Y, często się budziła. co im niesie przyszłość i jakie czekają ich zadania. Szakira mimo statusu gościa w Islamskiej Republice Iraaku nie miała wstępu na zebranie i umiała pozostać w spokoju. 46'11' do póki Rawi nie zakończy swoich spraw. Zesłana śniai. Ona zamówiła tradycyjny kwasz z jogurtem i miodem, on uparł się przy płatkach kukurydzy i dwójce sadzonych jajkach na grzecznicę, nie zważając na siłę i na warunki irańskie, cceic. Księgowi hotelu wyznają najwyraźniej zasadę, że każdy, kto ma w swoim plecaku zachodni posiłek, musi być złośliwym turystą z wypchanym portfelem.

Samochód sztabowcy podjechał po gene sfala o ómej czterdzieści pięć. Rawi miał przy sobie dzellab- j z kielichem rozmawiał po arabsku. Ruszyli na zachód przez port handlowy, za którym mieścił się sztab marynarki wojennej. W oczy rzucił się mu duży i Capis n główną bramą: „Sztab Pierwszego Okręgu MW” i nim nieco mniejszy, ale za to nieporównanie wynd11: „Wstęp tylko dla osób upoważnionych. Intruzi s^g^11^ Zastrzeleni bez ostrzeżenia”. Droga do budynku sztabu wzdłuż pirsów. Rawi, jak wszyscy oficerowie SA, znalazł się na okrętach. Przy głównym wejściu cumowała, regata rakietowa Sabalan, jednostka klasy Alvan0 Vospe3T obudowana przed trzydziestu laty w Anglii, obecnie tJ^roi011^ w bardzo

jobre chtińskie rakiety typu cruise, C-802. Mimo wieku ^jiogła stsanowić poważny argument w każdej morskiej kon-grontacji. Rawi zauważył, że wokół niej panuje ożywiony ^-uch; część marynarzy schodziła na ląd, inni wchodzili na gpokład, nie mógł się jednak zorientować, czy okręt właśnie !^yyszedł do portu, czy wkrótce zamierza go opuścić.

Krótko po dziewiątej dotarli do centrum operacyjnego, gaprowacizono generała Raszuda do biura na parterze, gdzie Iprzywitał go wiceadmiral Mohammed Badr, dowódca floty i_ najlepszy irański ekspert od okrętów podwodnych.

jj -Generale, to dla mnie zaszczyt! – wykrzyknął ciepło. – CTyle c pa nu słyszeliśmy!

I – Mar*i nadzieję, że choć trochę dobrego – odrzekł Rawi po srabsku, pozdrawiając gospodarza klasycznym muzułmańskim gestem, płynnym ruchem opuszczając dłoń od czoła.

–Sam_e superlatywy, generale – zapewnił Badr, z szacunkiem traktując stopień gościa, mimo iż nadany został ł-«onspiracyjnie w piwnicznej izbie, a jego posiadacz nigdy nie L3owodził siłą większą niż pięćdziesięciu ludzi, podczas gdy on miał pod sobą czterdzieści tysięcy oficerów i marynarzy oraz 3to osiem dziesiąt okrętów, w tym trzy rosyjskie podwodniaki kdasy Kilo.

Wiceadmiral Badr był szefem floty podwodnej i kierownikiem całego programu klasy Kilo przed czterema laty, kie-ly amerykański oddział dywersyjny zniszczył poprzednie trzy okręty. Te, które obecnie nosiły irańską banderę, przyszły prosto ze stoczni w Rosji i admirał był zdecydowany nie dopuścić, b_y im się cokolwiek stało. Nienawidził Ameryki wszystkiego, co zachodnie. Widywano nawet, jak stojąc na pomoście bojowym fregaty, patrzył z wściekłością, gdy olbrzy-e zbiornikowce pod gwiazdzistą banderą płynęły przez estinę Ormuz jeden za drugim, jakby do nich należała, Jby załadować setki tysięcy ton ropy z Zatoki Perskiej, ropy aależającej do jego kraju i jego narodu.

!Na ścianie za biurkiem wiceadmirała Badra wisiało duże -ujęcie młodego oficera marynarki z czterema złotymi paskami komandora na rękawach.

~1o mój syn – wyjaśnił Rawiemu. – Ben Badr, do-°uca fregaty lakieto-wej Sabalan. Jest dobrym oficerem,

ma trzydzieści pięć lat. Za chwilę się tu zjawi, aby pana po. znać.

–Będę zaszczycony. Czy Sabalan niedawno zacumował? Widziałem, że panuje tam spory ruch.

–Tak, weszli do portu zaraz po północy. Byli w morzu przez trzy tygodnie. Na północy, w głębi Zatoki.

–Czy Ben weźmie udział w naszym spotkaniu?

–Oczywiście. Cieszy się w sztabie dużym poważaniem. Wielu ludzi twierdzi, że trzymam ten stołek dla niego.

–Czy i on pływał na podwodniakach jak pan, admirale?

–W czasie całej swojej kariery – odrzekł Badr. – To jego pierwsze dowództwo we flocie nawodnej.

–Aby zdobyć nowe doświadczenia?

–Tak jest.

–Nie można awansować na dowódcę marynarki człowieka, który całe życie spędził pod wodą, co?

–Nie w dzisiejszych czasach. – Irańczyk zaśmiał się krótko. – Ale trzeba przyznać, że Ben szybko się uczy i jest oddany sprawie i krajowi. W tym roku otrzyma awans na kapitana i znów obejmie dowództwo jednego z Kilo.

–To te rosyjskie okręty spalinowo-elektryczne?

–Tak. Mamy takie trzy. Doskonałe jednostki... niewiarygodnie ciche.

–Dopóki nie dodadzą gazu... – Tym razem Rawi się uśmiechnął.

–Mówiąc ogólnie... nauczyliśmy się, kiedy gazu nie dodawać – odparł admirał. – Ach, a oto i Ben!

W drzwiach ukazał się komandor Badr, mężczyzna o ciemnej karnacji, kruczoczarnych, krótko obciętych włosach oraz budowie i chodzie lekkoatlety. Nie był tak wysoki jak ojciec, który mierzył sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, ale za to przystojniejszy. Prezentował klasyczny typ perskiej urody z wąskim, lekko zgarbionym nosem i wysokim czołem. Była to twarz wyrażająca nieprzeciętną inteligencję.

–Dzień dobry, panie generale – powiedział, nie czekając na wzajemne przedstawienie się. – To dla mnie zaszczyt poznać pana.

–Witam, komandorze. – Rawi się uśmiechnął, podając inu

116

–dłoń- – Niewiele pan o mnie wie, może więc zaczeka pan trochę z tym zaszczytem...

–Już teraz zajmuje pan szczególne miejsce w moim sercu – odrzekł młody oficer z powagą.

–Jeden z męczenników uwolnionych z więzienia Nimrod jest ojcem chrzestnym Bena. Zawsze byli sobie bliscy, a pan zyskał sobie wdzięczność całej naszej rodziny – wyjaśnił wiceadmirał Badr.

Rawi był poniekąd zaskoczony wiadomością, że jego wyczyny są powszechnie znane w sztabie irańskiej marynarki wojennej. Wyczuwając to, Badr dodał cicho:

–Proszę się nie niepokoić. Najwyższe kierownictwo Hezbollahu oczekuje od naszych kolegów z Hamasu, że będą dzielić się z nami wszelkimi ważnymi informacjami. Ale zapewniam, że sekret akcji na Nimrod jest u nas bezpieczny.

General Raszud skinął głową bez uśmiechu.

–Wiemy, że na pewno należy się panu szczególne powitanie – ciągnął Irańczyk. – Rozumiem, że ta wizyta jest dla pana powrotem do ojczyzny po trzydziestu latach spędzonych w Anglii?

–Tak.

–Mam nadzieję, że i pan, i panna Sabah jesteście zadowoleni. Czy w hotelu „Homa” jest państwu wygodnie?

–Jak najbardziej.

–A jak wrażenia ze starej herbaciarni na bazarze w Ker-manie? Było nostalgicznie?

–Owszem, i to bardzo. Okazało się, że pamiętam i ten lokal, i... zwłaszcza... smak ciastek.

Mohammed Badr znów się roześmiał, zauważając, że nawet drgnięciem powieki nie zdradził irytacji tak wyraźnym potwierdzeniem, że był śledzony.

–Generale, pan rozumie, że wszyscy mamy wrogów. Uważamy za właściwe zapewnić panu ochronę podczas pobytu

w Iranie.

–Rozumiem – odrzekł krótko Rawi.

~ A teraz powinniśmy się już udać na górę i dołączyć do ^ych. Mułowie przybyli dziś wcześniej, zaraz po modlitwie, nie wypada, aby na nas czekali. Przed szerokimi drewnianymi drzwiami znajdującej się

na piętrze sali konferencyjnej trzymało straż czterech uzbrojonych marynarzy. Wiceadmirał 335adr pozdrowił ich i sam otworzył drzwi. Podłogę sali pol-trywał wspaniały perski dywan, a wokół wielkiego stołu z polerowanego drewna orzechowego siedziało siedmiu mężczyzn. Czterech miało na sobie mundury polowe i arabskie chusty „arafatki” na głowach. Żaden się nie przedstawił gościowi, ale było widać, że sami się dobrze znają. Rawi przyjął, że reprezentują osławioną organizację terrorystyczną Hezbollah.

U szczytu stołu zasiadał czarno odziany ajatollah, którego nazwisko wymienione niewyraźnie przez Badra brzmiało jak Rafsandżani; mógł nawet być członkiem rodziny byłego prezydenta Iranu. Nie zwracano się do niego „Wasza Świątobliwość”, ale nie ulegało wątpliwości, że piastuje wysokie stanowisko w rządzie islamskiej republiki.

Duchowny wstał na powitanie generała Raszuda i wyciągnął doń obie ręce, mówiąc cichym głosem po arabsku:

–Salam aleikum, mój synu. Jesteśmy wdzięczni za to, czego już dokonałeś, i za wszystko, co robisz.

Także jego bliski i zaufany przyjaciel był więźniem Nimrodu. Po obu stronach ajatolla_ha siedzieli dwaj brodac hodźowie, duchowni o najwyższej po ajatollahach randze. Jeden z nich pochodził z prastarego miasta Isfahan, drugi z Teheranu. I oni powstali na widok Raszuda, kolejno wyrażając swoje podziękowania za jego czyny. Rawi i obaj oficerowie zajęli miejsca przy stole i ajatollah rozpoczął zebranie, mówiąc:

–Nie muszę chyba nikomu z obecnych przypominać o konieczności zachowania najściślejszej tajemnicy. Będziemy rozmawiać o sprawach wielkiej wagi i nikt nie może poznać naszych planów. Nasza dziesiątka stanowi jedną z najważniejszych rad na Bliskim Wschodzie. Wiem, że jesteśmy jednej myśli. Musimy też przemawiać jednym głosem, a kiedy zakończymy nasze rozważania, ten głos musi zamilknąć. – Wszyscy skinęli głowami, a ajatollah ciągnął: – Mamy dzisiaj wśród nas wielce zasłużonego i niezwyklego kolegę-Generał Rawi Raszud przybywa do nas nie dlatego, że został zwerbowany, ale dlatego, że podążył za głosem serca i powrócił do swych korzeni. I chociaż truźnio nam zgłębić ten proces

myślowy, który doprowadził go do porzucenia rodziny, domu, kraju i kariery, jesteście mu wdzięczni za tę decyzję. Chwała Allahowi, że natchnął go i przywiódł spośród niewiernych w objęcia islamu. Generał Raszud w swoim poprzednim życiu był jednym z najlepszych dowódców liniowych armii brytyjskiej. Jestem jednak przekonany, że zdawał sobie sprawę, jak okrutna się okazała, na rozkaz kolejnych rządów tego kraju walcząc ze słuszną sprawą islamu. W końcu, kiedy mu polecono wziąć udział w strasznej i bezdusznej akcji Izraelczyków, jak zawsze wspieranych przez Amerykanów, przeciwko bezbronnym, kochającym pokój Palestyńczykom, wyrzekł się agresorów i oddał swe mocarne, zbrojne ramię uciemienionym. Lud muzułmański będzie sławił tę jego przemianę przez wiele, wiele lat. – Duchowny przerwał, a wszyscy słuchacze zaczęli energicznie kiwać głowami z aprobatą. Rawi patrzył przed siebie, nie zdradzając żadnych uczuć. Po chwili ajatollah powiedział: – Dowiedziałem się też, że w chwili największego zagrożenia i zarazem podjęcia tej ważkiej decyzji przez generała Allah zesłał mu błogosławieństwo miłości, która, mam nadzieję, będzie trwać dla nich obojga przez całe życie doczesne, a potem wieczne. Nie wyliczam tu wspaniałych zwycięstw naszego gościa w służbie Hamasu na użytek tu zebranych, bo wszyscy je znają, ale żeby generał Raszud zrozumiał, jak go podziwiamy. Nadszedł jednak czas, abyśmy podjęli dyskusję o sprawach większych i o ważniejszych zadaniach. Przez ostatnie dwa lata byliśmy niezdecydowani, ponieważ nie było wśród nas iowódcy odpowiedniego kalibru, żeby podjął te jakże trudne

zwania, które stoją przed nami. Teraz jednak wierzę, że Allah nam zsyła takiego człowieka w osobie generała. Bóg jest wielki. Musimy być wdzięczni naszym bra-łom z Hamasu za to, że to pojęli i że przysłali generała na to spotkanie na szczycie bliskowschodniej potęgi.

Ajatollah skinieniem głowy dał znak wiceadmiralowi Badrowi, który wstał i rzekł:

~ Panowie, z uwagi na brak czasu uważam, że nie powin-się zajmować konkretnymi zadaniami, ale raczej

ncentrować na znacznie szerszej pojmowanej strategii.

sko

Jeste

na przykład zdania, że w dzisiejszym świecie nie ma

już miejsca na masowe mordy na ludności cywilnej. Bi^ Laden próbował tego ze skutkami katastrofalnymi dla nas wszystkich. Zabijał niewinnych ludzi na taką skalę, że zasmuciło to serca wszystkich prawdziwych muzułmanów. Tylko najbardziej wojowniczo nastawieni głupcy mogą apróbować wydarzenia z roku 2001. To nie było według sztuki wojennej i nie miało usprawiedliwienia. No i obróciło przeciw nam mocarny gniew Wielkiego Szatana. Ten bezduszny akt o mało nie doprowadził do rozłamu w wielkim braterstwie islamu. Zgadzam się, że nie można było przewidzieć tak gwałtownej reakcji Stanów. Ameryka jest jednak potężna, chciwa i kierują nią mściwi, źli ludzie, którzy mają teraz za sobą wolę całego narodu. Sądzę, że wszyscy obecni rozumieją, iż każdy podobny atak na Amerykę przyniesie skutek w postaci kolejnego niszczącego uderzenia odwetowego. Nie wiem, czy moglibyśmy je przetrzymać. Stracilibyśmy poparcie na świecie w niewyobrażalnej skali, że już nie wspomnę o wylanej krwi, łzach i cierpieniu. Stany Zjednoczone wierzą, że teraz i w dającej się przewidzieć przyszłości mogą bezkarnie zadać cios każdemu państwu i każdej organizacji, które staną im na drodze. Dopóki były śpiącym olbrzymem, sfrustrowanym z powodu nadszarpniętej opinii w świecie, wszyscy muzułmanie głośno chwalili nasze działania. Tak już nie jest. Amerykanie nie zawahają się uderzyć na Irak, Iran, Jordanię czy Libię, a nawet na Egipt lub Syrię, jeśli będą przekonani, że te kraje podniosły na nich rękę. Widzieliśmy, do czego są zdolni. W tym pokoju jest dwóch ludzi, którzy byli świadkami bezlitosnego bombardowania naszych bliskich, choć błędzących braci z Al-Kaidy. Na celność i skuteczność amerykańskich siedmiotonowych bomb nikt nie miał żadnej rady, włącznie z naszymi przyjaciółmi z Pekinu. Nie, panowie, nasz marsz naprzód musi się odbywać subtelniej szynu metodami. I dlatego właśnie mamy takie szczęście, że znalazł się wśród nas były dowódca liniowy z zachodniej armii! którego słów musimy z uwagą wysłuchać.

Wyższy z dwóch hodźów wstał, dając znak dłonią, że chce coś powiedzieć. Wiceadmirał Badr skinął głową i usiadł.

–Panowie, cokolwiek zrobimy, będzie się to wiązało ze strasznym ryzykiem. Możemy ściągnąć na siebie całą potęgę?

jjlilitarną USA. Pamiętajmy, że nie tak dawno zniszczy-lj naszą eskadrę podwodną, chociaż my im nic nie zrobiliśmy.

Nie wstając, Mohammed Badr wtrącił:

–A zupełnie niedawno wysadzili w powietrze dwie największe tamy w Iraku z innych powodów...

Wszyscy uśmiechnęli się na wspomnienie tej udanej intrygi*, ale hodża nie przerwał wypowiedzi.

–Czy nie powinniśmy wziąć pod uwagę, że obecny rząd imerykański może być zbyt twardy dla jakiegokolwiek państwa Trzeciego Świata, które chciałoby z nim zadrzeć? Uderzamy w nich, a oni to przyjmują, aż nagle ruszają do kontrataku, rozwścieczeni i żądni zemsty, stosując broń, jakiej nigdy nie będziemy mieli. Może należałoby na jakieś pięć, dziesięć lat wyhamować? Kto wie, czy wkrótce władzy w Waszyngtonie nie obejmie jakiś miękki, lewicujący prezydent. Oni zawsze wybierają w końcu jakiegoś Clintona albo Cartera.

I – Twoje słowa są mądre – powiedział ajatollah. – Nie

możemy jednak zapominać o naszym świętym obowiązku

stworzenia wielkiego islamskiego państwa na Bliskim

Vschodzie, bez powiązań i zależności od Zachodu, wolnego

na zawsze od Wielkiego Szatana. Popierają nas w tym

Chińczycy, którzy chcieliby kupować całą naszą ropę i są dla

aas naprawdę niekłopotliwymi partnerami. Niczego nie

żądadają, poza handlem i współpracą. Jeden z największych

rurociągów świata, prowadzący z Kazachstanu do cieśniny

Ormuz, został zbudowany za ich pieniądze. Biegnie przez

asze terytorium i przynosi nam korzyści. Nie, ja uważam, że

e możemy zaprzestać walki. Przyszłe pokolenia będą nam

riękować. Allah obdarzy nas łaską za uwolnienie tych ziem

°d bezbożników zza morza.

–1 te słowa są mądre – wtrącił stary hodźa z Teheranu. – ktoś może mi jednak wyjaśnić, jak mamy uniknąć stra-j zemsty Amerykanów? Może już zbyt długo żyję, ale ć napatrzyłem się na cierpienie i ból. Nie wiem, czy

bi

Historia opisana w jednej z poprzednich powieści Patricka Rojona, HMS Unseen, REBIS, Poznań 2001.

121

zniósłbym więcej. Zwłaszcza że tym razem sami byśmy je na siebie ściągnęli.

Ajatollah położył dłoń na ramieniu sędziwego duchownego.

–Słusznie nas ostrzegasz przed konsekwencjami. I ja mam wiele wątpliwości co do przyszłych ataków na Zachód. Od dawna też zdaję sobie sprawę z daremności masowego zabijania. To nie skutkuje, tylko rozpala gniew. Jest jeszcze inna sprawa. Obserwuje się ostatnio, że Stany Zjednoczone same zaczynają się wycofywać z Zatoki Perskiej, przynajmniej częściowo.

Wiceadmiral Badr podniósł wzrok na ajatollaha, który skinął mu głową.

–Wasza Świątobliwość mówi zapewne o decyzji Białego Domu, by skończyć z uzależnieniem od ropy arabskiej i wykorzystać własne zasoby na północy Alaski.

–Właśnie. Zwróciliście zapewne uwagę, że Amerykanie nie odnowili kilku starych kontraktów z Arabami. Niektóre nawet przejęli Chińczycy. Tak, Stany już nie chcą polegać na ropie z Zatoki Perskiej. Jego świątobliwość wielki ajatollah uważa, że za sto lat cała Ameryka, oba kontynenty, stanie się jednym organizmem, izolacjonistycznym i absolutnie samowystarczalnym, jeśli chodzi o bogactwa naturalne.

–Po wyeliminowaniu państwa izraelskiego cały Bliski Wschód, północna Afryka i być może muzułmańska Azja Środkowa zostaną w naszym ręku – zauważył admirał. – Oczywiście przy współpracy Chin. Może powstanie coś na wzór dawnego imperium otomańskiego? Wreszcie ziściłoby się to wielkie marzenie o potężnym, zjednoczonym państwie muzułmańskim...

Komandor Ben Badr spojrzeniem poprosił ajatollaha o głos, a kiedy ów skinął z przyzwoleniem głową, powiedział:

–Sądzę, że Amerykanom nie będzie tak łatwo przestawić się na złoża alaskańskie. Obecny prezydent jest silny i przewidujący, ale w Stanach głośni są radykalni ekolodzy, nazywani tam „drzewolubami”. Trzeba wam wiedzieć, panowie, że główne roponośne tereny w okolicy Prudhoe Bay, na północnym wybrzeżu Alaski, zahaczają o tak zwany Arktyczny Rezerwat

Przyrody, chroniony prawem. Istnieje on od jakichś

[wudziestu lat. Projekt intensywnej eksploatacji złóż ma wielu przeciwników i nie wiadomo, czy prezydent postawi na

swoim.

–Mimo to zbudowano już duży podmorski rurociąg 5 Alaski, z rejonu Zatoki Księcia Williama wprost do stanu Waszyngton – zareplikował jego ojciec.

Jak wszyscy oficerowie marynarki, obaj Badrowie mówili o odległych zakątkach Ziemi tak, jak gdyby wszyscy na świecie spędzali tyle czasu nad mapami co oni. Nie przeszkadzało to jednak nikomu, a zasadniczy nurt dyskusji pozostawał ten sam: czy należy aktywnie zniechęcać amerykańskich armatorów do żeglugi na Bliskim Wschodzie, czy powstrzymać się od działania i pozwolić im stopniowo się wycofać z własnej inicjatywy.

–Tylko że oni nigdy się sami nie wycofają – wyraził swą opinię wiceadmirał Badr. – USA to olbrzym z globalną strategią. W każdym zakamarku świata widzą własny interes. W roku 1991 celowo zostawili Saddama Husajna u władzy, wiedzieli bowiem, że jego usunięcie może spowodować wybuch wojny domowej w Iraku, a wtedy my moglibyśmy to wykorzystać, podbić kraj i zdominować całą Zatokę. I prawie na pewno tak byśmy zrobili. Amerykanie wszędzie szukają dla siebie korzyści. Chcą pilnować Rosji, Chin i Indii. Uważają za stosowne trzymać na naszych morzach zespoły lotniskowców. Nie, oni nigdy sobie po prostu nie odejdą.

–A my z kolei nigdy ich do tego nie zmusimy – odparł aja-tollah. – Ich armia i flota są zbyt silne. I to chyba byłby odpowiedni moment, by wysłuchać naszego gościa z Hamasu, który uprzejmie odpowiedział na nasze wezwanie o pomoc i radę.

General Raszud wstał z miną człowieka, który ma wiele do przekazania swojemu audytorium.

–Z uwagą słuchałem wszystkich dzisiejszych wypowiedzi, tak ważkich i przemyślanych – zaczął. – Nie mogę z żadną z nich polemizować. Zachód jest od nas silniejszy, a przy tym zdolny do bezlitosnych działań na taką skalę, jakiej nie możemy dorównać. Nie ma co się jednak nad tym rozwodzić. Jeżeli •adanie przekracza możliwości, byłoby głupotą się przy nim Opierać. Jak powiedziałby Amerykanin, trzeba sobie znaleźć Zupełnie nowy zestaw celów. Prostackie, ale logiczne. Oni

wyraźnie dali do zrozumienia, że nie podobają się im ataki na ludność cywilną, i każdy, kto tego próbuje, może zostać unicestwiony. Wniosek? Nie robić tego więcej. Proste. Zysku z tego niewiele, można tylko rozsierdzić przeciwnika, a wynik zawsze będzie żaloszny. Nie, panowie. To trzeba dobrze przemyśleć. Moim zdaniem tylko dwie rzeczy nieuchronnie prowadzą do ugięcia się wroga. Pierwsza to czysta irytacja. Nie gniew, wściekłość, żadne tam „dopadniemy was, gnoje”, ale wystudiowana, chłodna irytacja. Taka, jaką się wykazał Gorbaczow, kiedy Reagan butnie zagroził mu, że zmiecie jego kraj z powierzchni ziemi, choćby miał tego dokonać z kosmosu. Michaił nie wpadł w gniew, a nawet się nie przeraził. Był po prostu u kresu wytrzymałości, sfrustrowany i pozbawiony wyboru. W końcu machnął ręką, powiedział „pieprzyć to” i zwinął żagle. Nie wiem, czy liczył się ze zburzeniem muru berlińskiego i ostatecznym upadkiem sowieckiego imperium, ale tak się właściwie stało, więc pozostało mu tylko doradzić swoim krajanom, aby robili swoje i żyli dalej. I miał rację. Uważam, panowie, że powinniśmy zrobić coś podobnego Wielkiemu Szatanowi. Mamy przy tym większą przewagę niż Reagan nad Gorbim. Ameryka ma swoją piętę Achillesa. To dolar. Żaden inny kraj w historii nie był bardziej wyczulony na koszty, zyski i bogactwo. Dzięki temu nasze zadanie jest podwójnie łatwe. Musimy doprowadzić USA do absolutnej frustracji, znużenia kłopotami, koniecznością nieustannego odbudowywania, a nade wszystko kosztami. Nie zamachy, masowe mordy, tylko precyzyjne ataki, jeden po drugim, na ich instalacje, urzędniki i instytucje. Nie przeciwko ludziom, bo to ich rozwściecza i stają się niebezpieczni-Przeciwko przedmiotom, panowie, rzeczom martwym, i to tak, aby nie można było tego komukolwiek przypisać. To jedyna metoda. Rozciągnąć ich siły tak szeroko i daleko, aż pękną. Sprawić, by myśleli, że muszą chronić to, pilnować tamtego, wysłać lotniskowce tam, okręty podwodne gdzie indziej, żołnierzy w jeszcze inne miejsca. Niech żyją w przeświadczeniu, że dla utrzymania swojego globalnego impe' rium i szlaków handlowych muszą strzec całego cholernego świata przed atakiem. W ten sposób szybko będą mieli dosyć. Wszyscy ci czwartorzędni demokratyczni kongresmaO1

zaczną jęczeć nad kosztami, wyrzekać, jaki to ma wpływ na amerykański styl życia i krytykować politykę rządu, ale tylko wtedy, gdy nie będzie ofiar w ludziach. Jeśli będą trupy, znów rozwalą w drobiazgi jakiś kraj. Amerykanów można się pozbyć, trzeba tylko działać sprytniej niż dotychczas, bo inaczej skończymy jak Afganistan.

Słowa Rawiego Raszuda dosłownie były w zebranych, ponieważ potępiał w czambuł całą ich strategię. Gorzej, bo stawiał wszystko na głowie, chciał zmieniać wypracowaną przez dziesiątki lat zasadę terroryzmu, sprawiał, że wszystko, co działo się do tej pory, wydało się im nagle nieaktualne, staromodne, nieprzemyślane. Dwaj z reprezentantów Hez-bollahu zaczęli z ożywieniem szeptać; było oczywiste, że nie zgadzają się z nim. I rzeczywiście, jeden z nich wstał i powiedział po arabsku:

–Generale, zjawia się pan tutaj nie wiadomo skąd i kwestionuje wszystko, co dotąd robiliśmy, za co ryzykowaliśmy życie. Uważamy, że nie ma pan do tego prawa.

Rawi nawet nie drgnął, powiedział tylko cicho:

–Nie po to mnie tu proszono, abym wydawał sądy o przeszłości. Jestem tu, by rozmawiać o przyszłości. To, co było, nie ma dla mnie znaczenia poza lekcjami, jakie z tego wypływa-

I Na pewno nie miałem zamiaru krytykować waszych osiągnięć, nie znam ich zresztą. Wiem tylko, że to, co było odpowiednie kilka lat temu, dzisiaj już nie wystarcza. Jeśli się nie zmienicie, niemal na pewno przegracie.

Przerwał na chwilę, po czym zapytał, którzy z nich byli świadkami amerykańskich bombardowań w górach wokół Kabulu. Podniosły się dwie ręce.

–Jak daleko byliście od eksplozji?

–Chyba z piętnaście kilometrów.

–Aha... Kilka lat temu dowodziłem patrolem w Irlandii Północnej i widziałem... z bardzo bliska... co potrafi zrobić

ulicą siedmiokilogramowy kawałek semteksu. Rozwala ^kszość domów. Te amerykańskie bomby zawierają siedem

II materiału wybuchowego. Kiedyś zapytałem ich pułkow-ał*a, jak precyzyjne są teraz systemy naprowadzania. Od-

'Wiedział zwięźle: „Przez które okno ma wpaść?” W sali zapanowała cisza.

–Orti nie tylko mają niezliczone zapasy takiej i podobnej broni, ale mogą trafić nią, kiedy i gdzie tylko chcą i wtedy gdy chcą – dodał generał. – Nikt tego nie przetrzyma, może! cie mi wierzyć. Uderzając w nich, możemy ich wkurzyć i da się z tym żyć. Ale nie wtedy, kiedy wkurzą się naprawdę.

–Uważa pan więc, że jednak możemy i powinniśmy uderzyć? – spytał ajatollah.

–Tak, jeśli chcemy ich wykopać z Bliskiego Wschodu na dobre. Gdyby na przykład udało się nam zniszczyć ich instalacje naftowe na Alasce, a oni by się domyślili, że to nasza robota, bardziej by się postarali być samowystarczalni, żeby trzymać się od nas jak najdalej. Tego właśnie chcę... wykopać Szatana z Bliskiego Wschodu.

–Myślę, że to idealna pora na krótką przerwę – powiedział duchowny. – Napijemy się herbaty, a potem może generał zechce przedstawić nam zarys przedsięwzięcia w aspekcie militarnym?

~ Po to właśnie tu jestem – odrzekł Rawi. – I na pewno zrobię ta najlepiej jak umiem.

Wszyscy wstali, a komandor Badr jako najmłodszy oficer podszedł do telefonu i zamówił „Herbatę dla dziesięciu, natychmiast!” Ktokolwiek odebrał telefon, zadziałał rzeczywiście szybko, bo już po czterech minutach do sali konferencyjnej Weszło trzech stewardów w białych mundurach, niosących łącznie srebrne dzbanki, tacę szklanek w srebrnych uchwytach, cukiernice, mleko i cytryny. Herbata jest bezsprzecznie narodowym napojem Irańczyków. Podaje się ją o każdej porze, gorącą, mocną i najczęściej z cytryną. Jest tak gorzka, że prawie wszyscy ją słodzą. Dzbanuszek z mlekiem stanowił ukłon w stronę Rawiego, ponieważ wszyscy wiedzieli, że jest – w pewnym sensie – Anglikiem. Następny kwadrans upłynął na swobodnych rozmowach, ale ajatollah słuchał tylko generała Raszuda.

T Czy byłby pan gotów pojechać do Teheranu, gdyby takie było życzenie Jego Świątobliwości? – zapytał go w pewnej chwili. – 3VIam przeczucie, że zamierza pan zaproponować coś niezwykłego.

Rawi cię uśmiechnął, spoglądając na ostre, ale nacecn" wane niepospolitą inteligencją rysy duchownego: wysokie cz^o

0 pod czarnym turbanem, spokojne, ale przenikliwe spojrzenie z lekka cyniczny wyraz wygiętych ust. Z tym człowiekiem lepiej nie zadzierać, pomyślał. Z kimś takim nie można sobie pozwalać na poufałości, a broń Boże go nie doceniać.

–Spodziewam się, że zostaniemy towarzyszami broni -odrzekł. – Nie okazałbym braku szacunku dla naszego przywódcy. Oczywiście spełnię jego życzenie, jeśli zechce mnie odwiedzić w Teheranie. Zwłaszcza jeżeli zdecydujemy się podjąć wspólnie wielkie wyzwanie.

Ajatollah odwzajemnił uśmiech.

–Generale, dla zachodnich oczu może wyglądać na to, że w tym kraju mamy poważne kłopoty z ludźmi niewierzącymi o umiarkowanych poglądach. Ostatecznie jednak to konserwatywni duchowni grają tu pierwsze skrzypce. Uczniowie wielkiego ajatollaha Chomeiniego wciąż panują nad Iranem. Owszem, udajemy, że się zgadzamy z Zachodem, kiedy nam to pasuje. Ale zawsze kierujemy się naukami Koranu i pragnieniem utworzenia islamskiego państwa od północnej Afryki przez Bliski Wschód aż po Azję. Pewnego dnia to osiągniemy i ani Wielki Szatan, ani jego zajadłe marionetki z Izraela nam w tym nie przeszkodzą.

–Chyba mogę wam pomóc w osiągnięciu tych celów -powiedział Rawi. – Jestem przekonany, że się nam powiedzie.

–Usiądziemy zatem do stołu i poproszę pana o wyłożenie nam swojej strategii. – Ajatollah wyciągnął ku rozmówcy obie dłonie. – Niech Allah będzie z tobą i z nami wszystkimi.

Dwie minuty później Rawi stał już na swoim miejscu i zaczął swą przemowę od oszałamiającego wprost zdania.

–Panowie, uważam, że powinniśmy dążyć do rozpoczęcia działań za dwa lata, na początek biorąc na cel system energetyczny całego Zachodniego Wybrzeża USA.

Nawet doświadczony w boju wiceadmirał Badr, który zaciął więcej konfrontacji z US Navy niż znakomita większość ficerów marynarki wszystkich państw znad Zatoki Perskiej, oderwał zaskoczony głowę.

~W Kalifornii bywały już poważne niedobory energii ktrycznej – kontynuował generał. – Za dwa lata miliony uryłek ropy naftowej popłyną nowym rurociągiem z Alaski, nowe rafinerie, elektrownie, a prawdopodobnie

– także nowa sieć łącząca dwa największe miasta, Los Angeles i San Francisco, z tym samym źródłem zasilania.

–Co pan proponuje, samobójczy nalot bombowy? – To pytanie było na ustach wszystkich, nieważne więc, kto je naprawdę zadał.

–Nie, naturalnie, że nie. Proponuję podjąć pracę nad planem zemsty za wszystko, co oni nam zrobili. Zaczniemy od sparaliżowania systemu energetycznego Zachodniego Wybrzeża w jego punkcie wyjścia, czyli w wielkiej rafinerii nad Zatoką Księcia Williama. Zniszczymy zbiorniki składowe, samą rafinerię, potem rurociąg, ten na lądzie i ten podmorski wzdłuż brzegów stanu Waszyngton, na koniec nową rafinerię, którą budują w Grays Harbor, i główną elektrownię pracującą na potrzeby obu miast.

–Wszystko naraz?

–Niezupełnie naraz, ale w ciągu paru dni. Będziemy się starać, żeby nie dało się powiązać ze sobą tych kilku wypadków.

–Kilku wypadków? To brzmi raczej jak trzecia wojna światowa razem z czwartą!

–Wcale nie. W głównym składzie paliwa i stacji pomp z niewiadomych przyczyn wybuchną pożary. Uszkodzenia odcinków podwodnego rurociągu wprowadzą kompletne zamieszanie. Winą za kolejny pożar w rafinerii Grays Harbor też nie da się nikogo obciążyć, a już na pewno nie nas, siedzących spokojnie na drugim końcu świata.

–Mówi pan o celach na lądzie i pod wodą. Jak możemy je zaatakować?

–Panowie, potrzebny nam będzie okręt podwodny. Właściwie to nawet dwa.

–Generale, my już mamy trzy – wtrącił dowódca floty -Doskonałe okręty o napędzie spalinowo-elektrycznym, poniżej pięciu węzłów praktycznie niesłyszalne. Idealne do atakowania celów na brzegu. Ale ja sobie po prostu nie wyobrażam, jak miałyby się podkraść bez wykrycia pod Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych, o piętnaście tysięcy mil od domu. US Navy z pewnością by je przechwyciła. A ryzyko zupełnie się nie opłaci, bo przecież oni bez problemu mogą naprawić swój głupi system naftowy. My zaś nie będziemy

już mogli zastąpić straconych okrętów nowymi, podobnie jak specjalistów, którzy nimi kierują.

–Panie admirale, pańskie Kilo byłyby bezużyteczne w ta-jaej akcji – odparł Rawi. – Potrzebujemy dużego, szybkiego okrętu atomowego, który byłby nie do wykrycia i nie do

przechwycenia.

–Atomowy! – Mohammed Badr nie mógł powstrzymać okrzyku zaskoczenia. – Chodzi panu chyba o napęd atomowy,

ie o strategiczny okręt z raketami jądrowymi?

–Tak jest.

–Zanim zapytam, skąd mielibyśmy go wziąć, może wyjaśni nam pan dlaczego?

–Przede wszystkim dlatego, że okręt atomowy nie musi uzupełniać paliwa. Może praktycznie w nieskończoność używać swojego reaktora, pływać dookoła świata, jeśli będzie trzeba, nie spotykając się ze zbiornikowcami zaopatrzeniowymi. Duży okręt tego typu może dokonać ataku na Pacyfiku i zwać z dużą prędkością na Indyjski, na Atlantyk albo choć-

y pod Antarktydę. I nikt nie będzie miał pojęcia, gdzie on jest. Ma tak wielki zasięg, że dosłownie ginie na milionach mil kwadratowych oceanu, płynąc szybko, bezszelestnie i na dużej głębokości, niewidzialny dla ścigających.

–Tyle to ja wiem. Nasze Kilo nie mogłyby dotrzeć pod wybrzeża Kalifornii i z powrotem bez co najmniej pięciu lub

teściu tankowań, no i oczywiście musiałyby często płynąć na chrapach, by doładować akumulatory.

–Otóż to. – Rawi skinął głową. – Kilo musi płynąć powoli, żeby nie być słyszonym. Ma wiele słabych punktów, a w mott fachu słabe punkty to kiepska wiadomość. Według mnie

imowy okręt podwodny to najdoskonalsza broń. Żadna jed-•stka nie dorównuje mu pod względem prędkości i mobil-sci. Jego reaktor zapewnia mu wszystko: ogrzewanie, latło, napęd, słodką wodę, powietrze, a przede wszystkim ożliwość niemal nieograniczonego przebywania na dużych!bokościach. Dobry okręt może wystrzeliwać rakiety kie-*ane spod wody, niszczyć cele odległe o setki mil pociska-Hadlatującymi jak gdyby znikąd. Skoro zaś mowa o ce-c«» to wróćę do zasadniczego tematu: atomowy okręt podany potrafi zaatakować i zniszczyć na przykład zbiorniki

składowe nad Zatoką Księcia Williama w absolutnie niewy. krywalny sposób. Nikt nie będzie wiedział, dlaczego wylg. ciała w powietrze ani też, czy to był wypadek, czy wrogie działanie. Będą coś podejrzewać, ale to wszystko. Nawet jeśli odgadną, że zostali zaatakowani, nigdy się nie dowiedzą przez kogo. My zaś nie będziemy na liście podejrzanych, bo... nie mamy dostępu do atomowych okrętów podwodnych.

Rawi potoczył wzrokiem po obecnych, sprawdzając ich reakcje. Czterej terroryści z Hezbollahu siedzieli zafascynowani. Twarze duchownych nic nie wyrażały, ale ajatoUah pochylił się do przodu, oparty na łokciach, czego przedtem nie robił. Siedzący obok generała komandor Badr miał na ustach lekki uśmiech.

–Wniosek jest dla mnie oczywisty – podjął Rawi. – Musimy zdobyć taki okręt. Bez niego będziemy niemal bezsilni. Nie możemy atakować niczego z powierzchni, bo zostalibyśmy natychmiast rozpoznani. Nie możemy użyć sił specjalnych poza obszarem Zatoki Perskiej, nie dysponujemy bowiem środkami do ich przemieszczenia i wycofania po zakończonej misji. A już na pewno nie możemy zaatakować z powietrza, bo też równałoby się to natychmiastowemu wykryciu i identyfikacji. Można się pokusić o zastosowanie metody bin Ladena, czyli infiltracji różnych krajów Zachodu, ale to toporne działanie, a gdyby nasi wysłannicy zostali schwytani, Amerykanie nie zawahaliby się przed solidnym wygrzmoceniem państwa, które uważaliby za sprawcę-Nawet by się nie zastanawiali, czy mają rację. Natomiast pozyskanie atomowego okrętu podwodnego, panowie, zmienia sytuację diametralnie. Moglibyśmy uderzyć milcząco, niewidzialni i nie rozpoznani. Jeśli będziemy szybcy i zdecydowani, szansa na schwytanie nas będzie bliska zeru. Żaden współczesny kraj z planami podobnymi do naszych nigdy nie miał takiej jednostki. Dlatego też uważam, że musimy dołożyć wszelkich starań, aby albo ją kupić, albo wydzierżawić, posługując się wszelkimi wybiegami i podstępami.

–Rozumiem, że wiadomość o nabyciu przez nas atomowego okrętu podwodnego raczej nie powinna trafić ^ pierwsze strony gazet...

–Zgadza się, admirale. Nie chciałbym nawet, aby l°e

dykolwiek zawiął on do portu irańskiego czy do jakiegokolwiek innego państwa muzułmańskiego.

_ Domyślam się więc, że zaleca pan znalezienie współnika do tej operacji, kraju, którego port moglibyśmy wykorzystać.

–Naturalnie. I jest oczywiste, że mogą to być tylko Chiny.

–Proponuje pan, abyśmy kupili od nich okręt?

–Nie. Oni nie dysponują odpowiednio dobrą jednostką.

–Czy zatem przeprowadził pan analizę możliwości?

–Tak. Ma się rozumieć. Wielkiego wyboru nie mamy. Jasne, że nie możemy takiego zakupu dokonać na Zachodzie, bo po prostu nam odmówią. Chińczycy nie mają jeszcze dostatecznie zaawansowanej technologii. Indie i Pakistan za bardzo się nawzajem boją, żeby pozbywać się tak ważnej jednostki jak nuklearny okręt podwodny. I tak drogą eliminacji dochodzimy do jedyne go źródła: Rosji, która z radością sprzedałaby każdemu wszystko.

–Być może – zareplikował wiceadmirał Badr. – Ale Rosja jest też sygnatariuszem traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej i traktuje to bardzo zasadniczo. Rosjanie byli wśród pierwszych, którzy go podpisali w 1968 roku. Nie aprobują dokonywania próbných wybuchów jądrowych i zawsze głosowali za ograniczaniem dostępu do militarnych technologii nuklearnych. Nigdy od tego nie odstępowali. Po rozpadzie Związku Radzieckiego dopilnowali nawet, żeby Białoruś, Ukraina i Kazachstan podpisały ten traktat. Z całą

«Wnością nigdy nikomu nie sprzedali atomowego okrętu podwodnego. Nie zrobiło tego żadne z mocarstw, ani USA, ani Wielka Brytania czy Francja. Gdyby nagle Rosja się zdecydowała zrealizować takie zamówienie ze strony Iranu, byłby to nie lada wstrząs.

–To by już zależało od sposobu, w jaki byśmy to przeprowadzili – odparł Rawi. – Myślę, że trzeba to potraktować

delikatnie. Tak, żeby nic nie wskazywało na nasze zaangażowanie.

–To może być trudne.

~ Zależy, jak się przyłożymy do wyszukania pięty Achille'owej z każdej ze stron. Z Rosją to łatwe. Desperacko potrzebują towary i, jak powiedziałem, gotowi są sprzedać wszystko.

Ich zdecydowanie największym klientem są Chiny. Możecie śmiało przyjąć, że czegokolwiek sobie zażyczą, z ich wielką książeczką czekową i uśmiechniętą twarzą, to dostaną. Ich marynarka już posiada okręty o napędzie nuklearnym, co przyczyni się do uspokojenia rosyjskich sumień. Panowie, jeżeli chcemy zdobyć nasz okręt, muszą go dla nas zakupić właśnie Chiny.

–A dlaczego miałyby się na to zgodzić?

–Cóż, myślę, że ich piętą Achillesa... jesteśmy my. – Rawi zrobił efektowną pauzę. – Trudno im będzie nam odmówić, i to z kilku powodów. Po pierwsze, Chińczycy rozumieją, jakie korzyści płyną z pełnej chińsko-irańskiej współpracy, która już istnieje dzięki rurociągowi z Kazachstanu do cieśniny Ormuz. Po drugie, Chiny nie chcą wystawiać tej przyjaźni na szwank, bo przecież to my kontrolujemy wejście na Zatokę Perską. Bez naszej pomocy nie mogliby efektywnie wykorzystywać swojej nowej rafinerii nad Ormuzem. Po trzecie, partnerstwo z Iranem pozwala ich marynarce wojennej swobodnie operować na Morzu Arabskim i w samej Zatoce. Po czwarte, przez następne dwa lata w całym rejonie Zatoki będzie do zawarcia wiele nowych kontraktów na ropę i gaz, a Pekin dobrze wie, że z naszym poparciem ma duże szanse na ich złapanie. No i po piąte, Chińczycy pod presją USA wycofali się z umowy na dostawę do Iranu rakiet C-802. Modlą się gorąco, żeby zostało to zapomniane. Uważam, że to dobra okazja do przypomnienia im, że Iran nie zapomniał. Chiny są wam winne dużą przysługę.

Ajatollah zamyślił się na wzmiankę o wciąż żywej urazie do Chińczyków z powodu tego unieważnionego kontraktu. C-802, czarna, smukła rakietka typu cruise, osiągająca prędkość bliską naddźwiękowej, została skonstruowana w Chińskiej Ludowej Korporacji Importu i Eksportu Mechaniki Precyzyjnej, ale swój blisko stutrzydziestokilometrowy zasięg zawdzięcza doskonałemu francuskiemu silnikowi produkcji zakładów Microturbo w Tuluzie. Cała historia ciągnęła się miesiącami, ale Iran naprawdę liczył na tę podobną do rakiet Exocet broń, aby móc zagrozić żegludze przez cieśninę Ormuz. C-802 jest przystosowana do przenoszenia wszelkich typów głowic bojowych i Amerykanie od początku wywierają!

silny nacisk na Pekin, aby nie realizował irańskiego za-mówienia. Teheran jednak miał w kieszeni podpisaną umowę i wpłacił słoną zaliczkę, nic więc dziwnego, że zareagował gniewem. Chiński ambasador i każdy, kto w jakiś sposób mógł się przyczynić do usunięcia zatoru, byli zaciekle atakowani przez rozjuszonych Irańczyków. Krążące między Teheranem, Pekinem, Hongkongiem, Tuluzą i Waszyngtonem depesze w szczycie sporu niemal blokowały łącza. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade podsłuchiwała zaś wszystkich. Jedynie ludzie admirała George'a Morrisa dokładnie wiedzieli, co się dzieje w tej sprawie.

Chińczycy jednak dostrzegali, że niebezpiecznie jest drażnić Amerykanów. Po kilku miesiącach misternych manewrów stwierdzili, że nie panują nad sytuacją, i zdecydowali się nie sprzedawać Iranowi tej broni.

Odpowiedzią Irańczyków był... technologiczny plagiat. Rozebrali na części jedną z już dostarczonych C-802 i skopiowali do najdrobniejszego elementu, po czym podjęli własną produkcję. Teheran nabrał potem wody w usta i wszyscy zainteresowani przyjęli, że doszedł do własnej konstrukcji i nie potrzebuje już współpracy z Chińską Ludową Korporacją Importu i Eksportu Mechaniki Precyzyjnej. Między obiema stronami pozostała jednak nieufność. Od tamtej pory Chińczycy szukali sposobności do naprawienia sytuacji, a generał Raszud wytypował obszar, na którym mogliby ją znaleźć, na przykład przez zdobycie dla ajatollahów nuklearnego okrętu podwodnego...

Wiceadmirał Badr był jednak zdania, że traktat o nie-rozprzestrzenianiu broni jądrowej może się okazać przeszkodą nie do ominięcia.

I – Wiem, że traktat dotyczy broni, a nie energii jądrowej – Powiedział. – Wiadomo też jednak, że państwa dysponujące taką bronią są bardzo uwrażliwione na ewentualność dostania się jej w czyjekolwiek inne ręce. Okrętowy reaktor zażera poważną ilość uranu, a produktem ubocznym reakcji jest jego izotop U235, z którego robi się bomby. Między innymi dlatego posiadacz atomowego okrętu nigdy nawet nie pomyśli o jego sprzedaży innemu krajowi. Nikomu spoza mocarstw nuklearnych nie udało się kupić takiego

okrętu, zwłaszcza podwodnego. Wszyscy, którzy je mają sami je zbudowali.

General Raszud skinął głową ze zrozumieniem, ale odrzekł stanowczo:

–Jeżeli uda się nam nakłonić Chiny do złożenia Rosjanom oferty zakupu dwóch okrętów, nigdy bym nie oczekiwał że wejdą one do jakiegokolwiek chińskiego portu, a już na pewno nie do irańskiego. Odbyłyby podróż z Bałtyku albo z bazy Floty Północnej do jednej z rosyjskich baz na wybrzeżu Syberii, na przykład Pietropawłowska. Nikt nie musi wiedzieć, że zostały sprzedane. Wątpię, by przejście okrętów podwodnych wodami arktycznymi z Europy na Daleki Wschód w ogóle zwróciło czyjąś uwagę. Pomyślą, że to zwykłe przemieszczenie z floty do floty. Rosjanie często to robią.

–Chce pan powiedzieć, że nasza misja rozpoczęłaby się w porcie rosyjskim?

–Tak jest. I nawet oni nie będą wiedzieli, dokąd płyniemy.

–No cóż... To wszystko brzmi intrygująco – rzekł ajatollah. – Na razie nie widzę powodu do sprzeciwu wobec tych... postępowych pomysłów. Jedyne pytanie, jakie przychodzi mi na myśl, to czy dysponujemy załogą, która potrafiłaby poprowadzić taki okręt?

–Mamy trzech dowódców, którzy odbyli kilkumiesięczne szkolenia w Rosji – pospieszył z odpowiedzią wiceadmiral Badr. – O ile mi wiadomo, część kursu dotyczyła pracy na okręcie nuklearnym... Ben?

–Tak było – przyświadczył zapytany. – Przekonaliśmy się, że jest wiele podobieństw między okrętem atomowym a spalinowo-elektrycznym. Zasadnicza różnica dotyczy oczywiście budowy samej siłowni. Przekazano nam podstawową wiedzę o zasadzie jej działania, poznaliśmy też bliżej różnice w prowadzeniu tych znacznie większych jednostek. Ale oczywiście cały kurs zorientowany był na doskonalenie umiejętności dowodzenia okrętami klasy Kilo.

–Ile czasu zajęłoby dowódcy okrętu spalinowo-elektrycznego przygotowanie do oceanicznego nawigowania okrętem atomowym? – zapytał ajatollah.

–Chyba z dziewięć miesięcy intensywnego szkolenia odparł Ben Badr. – Dla najlepszych może sześć.

–Takich jak ty, Ben? – Ajatollah się uśmiechnął.

–Dziękuję za uznanie, Wasza Świątobliwość – odrzekł poważnie młody komandor. – Tak, sześć miesięcy mogłoby wystarczyć. Jestem przekonany, że grupa oficerów naszej joty podwodnej dość szybko nabrałaby wprawy w prowadzeniu takiego okrętu. Procedury

zanurzania, torpedy, rakiety, nawigacja, hydrologia, zasady oczyszczania powietrza... to wszystko praktycznie się nie zmienia. Tu chodzi o reaktor jądrowy. Najtrudniejsze zadanie ma inżynier nukleonik. Musi zresztą mieć wokół siebie kilku ludzi, którzy też się dobrze znają na tej robocie. Do takiego projektu być może trzeba by na jakiś czas wypożyczyć paru specjalistów rosyjskich.

–Albo chociaż chińskich – dodał ajatollah. – Oni też mają ludzi wyszkolonych do obsługi okrętów nuklearnych. Mogą też być bardziej przychylni naszej sprawie.

–Nie zamierzam nikogo informować, jaka jest nasza sprawa – wtrącił generał Raszud. – A już na pewno nie Chiń-

zyków. Oni już raz zdradzili Iran dla własnych interesów i mogą tak samo postąpić i tym razem.

–Oczywiście, generale. Proszę mi wybaczyć. Nie mogę się ybko przestawić na tryb rozumowania prawdziwego pro-

ssjonalisty na skalę międzynarodową, ale muszę przyznać, że podoba mi się to doświadczenie.

Wiceadmirał Badr przytaknął ajatollahowi szerokim uśmiechem i dodał, że jego syn będzie się przygotowywał do objęcia dowództwa takiej misji.

–Nie sędzę, abym okazał stronniczość, zapewniając szystkich zebranych, że jest on bez wątpienia najbardziej awansowanym z naszych oficerów floty podwodnej. No

lż raz pracował z Rosjanami.

Jeden z hodźów skinął głową na znak zgody i zwrócił się °° admirała po imieniu:

"! Mohammedzie, wychowałeś syna na dobrego podwod-

o wojownika dla naszego kraju. Wszyscy dobrze to wiemy, icialbym jednak zapytać, czy generał Raszud zamierza osobie towarzyszyć naszemu zespołowi w tym bardzo niebez-

cznym zadaniu, czy tylko zajmie się jego szczegółowym filowaniem?

–Zamierzam objąć dowodzenie całą operacją – odpar} Rawi. – Rozumiem, oczywiście, że okręt musi mieć dowódcę i że to on będzie odpowiadał za jego i załogi bezpieczeństwo. Ja jednak będę numerem jeden. Gwoli wyjaśnienia dodam, że byłbym zaszczycony, mając komandora Badra u boku. Ale takie misje muszą mieć tylko jednego głównodowodzącego. Jeżeli miałby nim być ktoś inny, to nie wezmę w niej udziału.

Wszystkie oczy zwróciły się na Bena Badra.

–Służba pod rozkazami wielkiego Rawiego Raszuda, zdobywcy Nimrodu, będzie dla mnie zaszczytem – powiedział uroczyście komandor i dodał: – Myślę, że obaj możemy wiele skorzystać na takim partnerstwie.

–Aby sprawy załatwić formalnie, muszę wrócić do Teheranu i przedstawić ten projekt Jego Świątobliwości -powiedział ajatollah. – Wygląda to na kosztowne i niebezpieczne przedsięwzięcie, ale doceniam jego mądrość. Albo zmienimy metody działania i przejdziemy na poziom okrętu nuklearnego, albo składamy broń w oczekiwaniu na słabszy, lewicujący rząd w Stanach. Nieoficjalnie mogę zapewnić, że Wielki Ajatollah nie wybierze tego drugiego rozwiązania. On zawsze pamięta o wielkim etosie islamu, sięgającym w przeszłość aż do podróży Proroka z Mekki do Medyny w 622 roku, do hidżry. – Widząc pytające spojrzenie generała Raszuda, duchowny dodał, zwracając się wprost do niego: – Etos hidżry może się wydawać trudnym pojęciem dla studenta, ale chodzi w nim o wyraźny nakaz Koranu, aby nasi ludzie nie musieli żyć w ucisku ze strony innowierców. Muszą przenieść się w inne miejsce, gdzie islam wiezie prym, do dar-ul-Islam. Jeśli trzeba, muszą walczyć, by przekształcić kraj niemuzuł-mański... dar-ul-Harb... w dar-ul-Islam. Kompromisów być jednak nie może. Wielki Ajatollah nie zgodzi się na porzucenie walki i bezczynne siedzenie, ponieważ Koran tego zakazuje.

Było już prawie południe i admirał zaproponował przerwę na modlitwę, a potem obiad w kasynie na dole. Zasugerował też, aby generał Raszud i Ben Badr przespacerowali się P° porcie dla zaczerpnięcia gorącego, ale świeżego powietrza.-i lepszego wzajemnego poznania się. Obaj oficerowie by*1 w zbliżonym wieku i chętnie skorzystali z szansy, jak to uj3.ł

Ben, „wyrwania się z pokoju pełnego mułłów i zbójów”. Usłyszawszy to, Rawi uznał, że chyba ma do czynienia z właściwym człowiekiem.

Zeszli na dół i po chwili owionął ich południowy żar. Obydwaj mieli na sobie białe mundury z krótkimi spodniami, [e Rawi nie nosił żadnych oznak swej rangi. Pierwsze słowa komandora Badra nieco go zaskoczyły.

–Wiesz, Rawi, bardzo mi kogoś przypominasz.

–Tak? Myślałem, że jestem jedyny w swoim rodzaju.

–Bo prawie tak jest. Mieliliśmy tu jednak parę lat temu oficera podwodniaka, który pomagał nam w przygotowaniu pewnej operacji. Był taki jak ty. Co prawda bardziej mary-

larz niż żołnierz... twardy, dziwny, błyskotliwie inteligentny facet. Nazywał się Ben Adnam... komandor Ben Adnam.

–Irańczyk?

–Nie. Był Irakijczykiem, ale jakimś cudem służył w marynarce izraelskiej. Tam uzyskał swój stopień. W rzeczywistości był jednak muzułmaninem, zdecydowanie po naszej stronie.

–Tak... dostrzegam podobieństwa.

–Och, nie mówię tylko o waszej historii, Rawi. Chodzi

o sposób działania. Obaj dokładnie wiecie, o czym mówicie

iszczyć zanim otworzycie usta. Obaj dostrzegacie słabe punk-

f innych krajów. I cechuje was ta sama pewność siebie,

jakieś wewnętrzne przekonanie, że wasze opinie są słuszne,

a podjęcie jakiegokolwiek odmiennego kierunku działania

byłoby głupotą. Ale przede wszystkim i ty, i on jesteście

strożni, co trochę równoważy waszą oczywistą odwagę,

zekłbym nawet, brawurę.

–Pewnie dlatego obaj jeszcze oddychamy. – Rawi się uśmiechnął.

–Co do Bena Adnama, nie jestem tego pewien. Jego zadanie było bardzo niebezpieczne, a po jego zakończeniu nie "\$ już nam potrzebny. Osiągnął wszystko, co pragnęliśmy

s*ągnąć, ale potem zniknął, czego się zresztą spodziewaliśmy.

–Pracowałeś razem z nim?

~ O, tak! Byłem jakby jego uczniem. Przebywał tu, w Ban-lar Abbas, przez kilka miesięcy, a mój ojciec przydzielił mnie

137

Z]eg0

jeg0

się znał nflnt? Z]eg0 wiedzy- Nie znam mkoS0'

Mnama wLe si!th/°dWOdlfCh ^

ię Wtedy nauczyłem.

–I teraz jesteś róVnie dobry jak on?

rawie. kpędziliśmy razem sporo czasu, a on był Uro dzonym nauczyciele^. Jakiś czas szkolił się w Anglii. Ma,a tam chyba najtrud^. kurs doWÓdców na świecie. Powi dział mi, że ukofW^i. i i • •

R, "^^"czył go z pierwszą lokatą, i ja w to wierzę -Brał udział w akcjach przeciwko Zachodowi czy był tl

ko oficerem izraelska- i-o

–N' H TT. KleJ marynarki?

lf -^ Z- n lm Hie rozmawiał o szczegółach swojej kariery. Moj ojciec są(iz.

wiedzialny za ziuazc8 /nas Jefferson.

–Jezu! – wyrwał,™

–Wł ' • T" ° S1C Rawiemu.

właśnie, lo był gość; ten Adnam. Powiedział kiedyś coś, co do dziś mam w p^amięci: Na każdej tajnej misji okrętu podwodnego musisz ^akładać że wszyscy są przedw tobie.

Mt chmi° f62682 nieprzyjaciela na morzu lub w powietrzu,

Ben Adnam jes(. amerykańskiego lotniskowca

t chmi

, że i on ciebie zauważył i że zacznie

. v\ ^ ^^Tijesz, że i on ciebie zauważył i że zacznie cię scigać. Zawsze od t-azu rób unik; niezależnie od tego, czym akurat się zajmowałeś"

gz^U?Zna °Pinia- Zaczynam lubić tego Adnama.

z ej w strofę zacumowanych okrętów, ale w tym upale posuwali się w limaczym tempie i po dziesięciu rminu-tacn zawrócili, spragnieni komfortu klimatyzowanego budynku sztabu.

–Naprawdę myśli pan, że uda się nam zdobyć atomowy okręt podwodny? – sp^ał ^n Badr.

uwsem. Hosjanie zawsze są gotowi handlować z Chinami, a Chińczycy chcą współpracy z Iranem. Tak, myślę, że mamy duże szansę, jeżeli wykombinujemy plan działania, który zapewni Chińcz^kom ż*lazne aiibi.

–I będziemy mo^i przeprowadzić atak na instalacje naftowe i energetyczny Zachodniego Wybrzeża USA?

–Absolutnie. Jest^m tego pewien. Co więcej, myślę, że ujdzie nam to na sUcih d warunkiem że nie będzie zabijać luda. To ich p,odr/wa do działania: śmierć ili 138**

gterujemy z dala od tego, a będziemy mogli bezkarnie ich nękać i drażnić... jednak nie do tego stopnia, aby zdecydowali się rzucić z pazurami na kolejny kraj.

–Ale wystarczająco, Rawi, aby wzmogli obronę przed takimi atakami.

–O to chodzi. Trzeba rozciągnąć ich siły tak dalece, że sarni uznają, że nie warto dłużej grać roli globalnego żandarma.

–Albo że trzeba wziąć na kimś odwet.

–Wtedy nie chciałbym być w niewłaściwym miejscu, komandorze. Gdy Wielki Szatan rozeźli się naprawdę, leć do najbliższego schronu... to moja jedyna rada.

Wracali dalej w milczeniu, pogrążeni w rozmyślaniach. V kasynie sztabowym podano obiad – jak się można było spodziewać, smażone krewetki z pysznie przyprawionym ryżem. Konwersacja była ożywiona: grono największych jastrzębi islamskiego fundamentalizmu miało sobie wiele do wwiedzenia, komentując nowatorskie poglądy byłego oficera SAS.

Po przerwie ajatollah wznowił zebranie.

–Myślę, że wszyscy zgadzamy się z przemyśleniami generała Raszuda. Zamierzam je przedłożyć Jego Świątobliwości. Jeżeli uzyskamy jego wstępną zgodę, wyznaczę delegację, która uda się do Pekinu, aby omówić sprawę z naszymi chińskimi kolegami. Tymczasem może generał zechciałby gaśnic, czy ma na myśli jakiś konkretny okręt rosyjski? A może admirał Badr podejmie się dokonania odpowiedniej

I i przekaże nam swoje zalecenia, zanim ktokolwiek

do Chin? i sięgnął po swoje notatki i odpowiedział od razu:

–Mówiąc najogólniej, potrzebujemy dużej jednostki, jako załoga spędzi na niej wiele czasu. Mam na myśli okręt

Tvyporności około ośmiu tysięcy ton i długości około stu

etrów. Powinien rozwijać prędkość trzydziestu pięciu węzłów w zanurzeniu. Wystarczy jednośrubowiec. Oczywiście musi być uzbrojony w rakiety kierowane. Okręt, o który mi

Jaki, ma doskonale rosyjskie pociski SS-N-21 „Raduga”, j* Woda-ziemia, wystrzeliwane spod wody. Mają one zasięg

I około tysiąca sześciuset kilometrów i mogą przenosić duże

głowice bojowe. Ich prędkość wynosi 0,7 macha, a pułap operacyjny około pięćdziesięciu metrów. Mój wybrany okręt ma również na uzbrojeniu czterdzieści torped.

–Czy to stara jednostka?

–Średnio. Zwodowana dwadzieścia dwa lata temu. Kosztowała wtedy sporo z powodu nowatorskiego kadłuba z tytanu. Jest bardzo ciekła i dobrze utrzymana.

–Czy nie wspominał pan, generale, że potrzebne nam będą dwa okręty?

–Tak jest. Ten, o którym mówię, ma bliźniaka, nie wiadomo dlaczego wycofanego ze służby kilka lat temu. Oba zbudowano według najlepszych norm w stoczni w Gorkim. Myślę, że stały się dla Rosjan za drogie w eksploatacji i niewykluczone, że chętnie się ich pozbędą.

–Gdzie są teraz?

–Ten w czynnej służbie stacjonuje w Aragubie, bazie podwodnej Floty Północnej. Drugi też tam może być.

–To SSN*, prawda? – wtrącił wiceadmiral Badr. – Jakiej klasy?

–Model oparty na Sierra 1, która zastąpiła starszą klasę Akula. Jednak te dwa to odrębny typ.

–Jak się nazywa?

–Barracuda 945.

* Według terminologii amerykańskiej: myśliwski okręt podwodny o napędzie nuklearnym.

ROZDZIAŁ 5

Środa, 16 maja 2006 r., godzina 09.30. Sztab Marynarki Wojennej Iranu, Bandar Abbas

General Raszud i komandor Ben Badr czekali na przybycie wiceadmirala. Od prawie dwóch tygodni pozostawali w zawieszeniu, podczas gdy najwyżsi duchowni w Teheranie dyskutowali nad możliwością zakupu atomowego okrętu podwodnego od Rosjan za pośrednictwem Chińczyków. Rawi spędzał wspaniałe relaksujące chwile w hotelu z Szakirą, próbując nauczyć ją gry w tenisa; po tygodniu stwierdził jednak, że dziewczyna znacznie lepiej radzi sobie z rzucaniem granatów niż z bekhendem. Ben Badr zajęty był swoimi sprawami na Sabalanie, gdzie wymieniała się część załogi i trwały prace przy regulacji systemu naprowadzania rakiet. Tego ranka powiedziano im obu, że nadszedł komunikat od ttjatollaha „wyjaśniający sytuację w odniesieniu do Chin”. Ponieważ zaś cały projekt zasadzał się na nabyciu strategicznie ważnej jednostki, automatycznie podlegał samemu Wiceadmiralowi Badrowi. Dwaj młodzi oficerowie

popijali Wspólnie herbatę, nerwowo zastanawiając się, jaką decyzję Podjęli ajatollahowie.

Wkrótce nadjechała sztabowa limuzyna wioząca dowódcę floty. Wiceadmirał, ubrany tylko w białe szorty i koszulę Mundurową z krótkimi rękawami, niósł czarny skórzany neseser. Wkroczył sprężysto do swego biura, pozdrawiając Wesóło syna i swego nowego wojskowego sojusznika. I – Chyba obydwaj już wiecie, że mamy wieści z Tehera-n1 – powiedział. – I to dobre wieści, choć ostatecznej decyzji te nie podjęto. Ajatollahowie postanowili poprosić przyjaciół z Pekinu o zakupienie dla nas dwóch

rosyjskich okrętów podwodnych klasy Barracuda. Od naszego ostatniego spotkania upewniłem się, gdzie stacjonują. Oba są w bazie Araguba nad Morzem Barentsa, przy granicy z Finlandią i Norwegią. Jeden z nich stoi na sznurku prawie od dziesięciu lat, drugi, kiedyś pod nazwą Karp, obecnie Tula, pozostawał w czynnej służbie jeszcze rok temu, ale od tamtej pory nie opuszczał już portu ani razu. Tak czy owak, panowie, sądzę, że każdy z nich mógłby bardzo dobrze posłużyć naszej sprawie. Pytanie tylko, czy Rosjanie zgodzą się je sprzedać.

–Na ocenę chyba jeszcze za wcześnie? – spytał Ben Badr.

–Trochę tak. Ale nasze biuro na Ukrainie zadało kilka dyskretnych pytań tu i tam i stwierdzono, że Rosjanie nie bardzo się przejmują ewentualnymi reperkusjami sprzedaży jednostki o napędzie nuklearnym obcej marynarce. Większość z nich od miesięcy nie widziała pensji; gotowi będą poprzeć każdy plan gwarantujący ściągnięcie grubych milionów dolarów na rachunek floty. Wszyscy indagowani oficerowie podkreślali, że okręty są własnością rosyjskiej marynarki wojennej, więc forsa przypadnie jej.

–Czy ktoś napomknął cokolwiek na temat ceny?

–Nie. Ale budowa nowej jednostki klasy Barrakuda musiałaby kosztować około sześciuset pięćdziesięciu milionów. Te dwie mają ponad dwadzieścia lat, ale są mało używane i dobrze utrzymane, co oznacza, że mogą kosztować po jakieś trzysta milionów dolarów. Jednak potencjalnych nabywców praktycznie nie ma, dzięki czemu Chińczycy mogą sporo utargować. Pekin jest dla Rosjan zbyt poważnym źródłem gotówki, żeby się za bardzo stawiali. Powiedziałbym, że oferta pięciuset milionów za oba okręty może załatwić sprawę.

–A co z remontem? – Komandor Badr zrobił sceptyczną minę. – Gdzie chciałbyś go przeprowadzić, ojczu?

–Myślę, że trzeba nalegać, aby wszystkie niezbędne prace zostały wykonane w Rosji – odparł wiceadmirał. – I tak trzeba to zrobić, a takie zlecenie dodatkowo osłodziłoby Rosjanom całą transakcję. Mogliby utrzymać w ruchu którąś ze stocznii i zarobić na opłacenie ludzi.

–Czy nie odczuł pan, że ajatollahowie martwią się kosztami? – spytał Raszud.

!- Nie, nie odniosłem takiego wrażenia. Jasno jednak posiedzieli, że chociaż nabycie dwóch dobrych okrętów atomowych dla naszej floty uważają za bardzo pożądane, to na tym etapie nie chcą zatwierdzać żadnych planów operacyjnych. !- I według pana, co powinienem teraz zrobić? I – Chyba wrócić do swojego wygodnego domu w Damaszku – odrzekł admirał. – W rzeczy samej mam polecenie odesłać tam pana i pannę Sabah samolotem wojskowym sszce dziś wieczorem. Tymczasem ja dostałem rozkaz do-łączenia do delegacji rządowej, która przed końcem miesiąca uda się do Pekinu. Zamierzamy zwrócić się do Chińczyków o zakupienie dla nas tych okrętów, oczywiście w najściślejszej tajemnicy. I – A czy są dla mnie jakieś dalsze instrukcje?

–Jak najbardziej – odrzekł admirał z uśmiechem. – Jego Świątobliwość życzy sobie, aby pan opracował w najdrobniejszych szczegółach plan ataku na Wielkiego Szatana... w ciągu najbliższych dwóch lat.

!- Czy mam to robić na własny koszt?

–Nie. Otrzyma pan irańską pensję admirała, a oprócz tego na pańskim rachunku w Damaszku zostanie zdeponowana kwota dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów na niezbędne wydatki.

Rawi skwitował to poważnym skinieniem głowy, odezwał i? za to komandor Badr, zwracając się do ojca oficjalnym tonem:

–Panie admirale, czy ktokolwiek zgłosił jakieś obiekcje albo czy wystąpił jakiś inny czynnik blokujący nasz plan ogólny?

–Nic konkretnego – odparł zapytany. – Ale bardzo ^ciekawiała mnie wypowiedź jednego z hodźów.

–Tego starszego, który był na spotkaniu?

–Właśnie. Wyraził się bardzo ostrożnie, że obawia się «owieka z Białego Domu. Nie prezydenta ani żadnego z jego prawicowych kolegów w rządzie. Obawy naszego hodźy budzi ac«nirał Arnold Morgan, doradca do spraw bezpieczeństwa

'odowego. Hodźa uważa, że jest on groźniejszy od ustę-Puiącego wkrótce prezydenta, a przy tym zdolny do działania a Własną rękę.

r A co niby czyni go bardziej straszniejszym od reszty tej ^tiblikańskiej bandy, która zarządza sprawami Wielkiego

Prawie wszystko. Ma mentalność Izraelczyka. Zaatakuj a odpowie ci tym samym. Jest

zajadły, wybuchowy i bardzo Przebieg#y- Hodża twierdzi, że każdy cios, jaki na nas ił przez ostatnie kilka lat, był spowodowany albo jego...pośrednimi rozkazami, albo użytymi wpływami. Uważa też ^e Jei^* wykonamy jakikolwiek ruch na Zachodnim irf przeżu USA, admirał Morgan nakaże bezlitosny odwet ^ciwko nam, zapewne także Irakowi, a być może i samym się

Nawet jeśli nie będzie miał pojęcia, kto co zrobił? Zwłaszcza wtedy. Już tak reagował w przeszłości, a ak-lin Ladena najwyraźniej spowodowały, że ma jeszcze j cierpliwości.

Hmm... Może powinniśmy pomyśleć o pozbyciu się tego io#ieka – zaproponował Rawi. – Oczywiście bez wysadzania ^ Powietrze Waszyngtonu czy Białego Domu.

yTo się może okazać ponad nasze możliwości – odparł • ^admirał Badr. – Arnold Morgan jest silnie chroniony a całą dobę. Nie da się przedostać do niego odpowiednio, j- w), zachowując głowę na karku. A który zabójca chciałby ijąć takiego zadania? Do diabła, gdybyśmy spudłowali, unicestwiłby całe Bandar Abbas!

rzekł w zamyśleniu:

Chyba nieco łatwiej byłoby go wyeliminować podczas T>obf*u w *nnym państwie, nie uważa pan?

^Być może. Sowieci specjalizowali się kiedyś w takich operach. Mogę tylko powiedzieć, że admirał Morgan przed-sta^ Dai" dzo poważne zagrożenie dla wszelkich naszych eJsięwzięć, ma bowiem skłonność do uzurpowania sobie i- #dziego, ławy przysięgłych i kata w jednej osobie. Jest bez ^tpienia naszym największym wrogiem. Hodża jest ja))ja, że to człowiek bezlitosny i w swoich działaniach j^eniu Stanów wykazuje niemal religijny fanatyzm. Jirótko mówiąc, człowiek-intifada – mruknął Rawi. _ Jeśli coś go rozdrażni? To chyba dobre określenie -" mł się admirał. – Tak w każdym razie twierdzi hodża,

a wszyscy wiemy, że nie jest on człowiekiem skłonny do przesady.

–Czy według niego powinniśmy w ogóle powstrzymać się od działania, dopóki ten cały Morgan panuje nad amerykańskimi siłami zbrojnymi?

–Nie, aż tak daleko się nie posunął. Ostrzegł nas po prostu, że nasze szanse na pełen sukces będą do tego czasu mocno zmniejszone.

–A co z prezydentem, wiceprezydentem, sekretarzem obrony, przewodniczącym Połączonego Komitetu Szefów Sztabów? – spytał Ben Badr. – Czyżby ich zdanie się nie liczyło?

–Wygląda na to, że nie, kiedy Lew z Zachodniego Skrzydła ryknie. To były dowódca atomowego okrętu podwodnego i dyrektor NSA. Prezydent nie chce słyszeć ani słowa przeciwko niemu, bez niego nie wykona żadnego ruchu, a wszyscy inni się go po prostu boją.

–No, ja się go nie obawiam – rzekł cicho Rawi. – Myślę, że trzeba coś zrobić, aby się go pozbyć.

–Generale Raszud, dzisiaj odlatuje pan do domu, żeby pracować nad szczegółami naszych przyszłych akcji. Mogę panu obiecać, że jeśli w najbliższej przyszłości Arnold Morgan wybierze się za granicę, poinformuję pana o tym. Może wtedy spróbujemy coś wymyślić, a na razie nie zaprzatajmy sobie nim głowy.

–W porządku, admirale. Ale też nie zapominajmy o nim.

Damaszek, dwa tygodnie później

Rawi i Szakira, oboje w tradycyjnych ubiorach arabskich, szli spacerkiem wzdłuż arterii Szaria Majsulun w stronę otelu „Chan Pałace”. Wracali z obiadu w znakomitej restauracji „Elissar”, położonej w sąsiedztwie bramy Tuma w ścianach z czasów rzymskich, w zachodniej części miasta, słynny meczet Umajjadów, przebudowany w VIII z bazyliki św. Jana Chrzciciela, średniowieczną cytadelę i współczesny Plac Męczenników. Zmierzali do najbardziej znanej księgarni w mieście, Librairie Avicenne, od-

ległej od hotelu o jedną przecznicę, gdzie Rawi chciał kupić parę angielskich gazet. Nigdzie indziej w całym Damaszku nie można było ich znaleźć, a tam zawsze można na nie liczyć, choć z parodniowym opóźnieniem, i były major SAS odwiedzał to miejsce dwa lub trzy razy w tygodniu. Tym razem ledwo zdążyli: został już tylko jeden egzemplarz poniedziałkowego „Daily Telegraph”. Spędzili w księgarni przyjemne pół godziny, poszukując pozycji na temat głównych miast amerykańskiego Zachodniego Wybrzeża, jak San Francisco, Los Angeles,

Seattle i San Diego. Wyboru nie było, ale Szakira znalazła kwietniowe francuskie wydanie „Vogue” i dwa magazyny filmowe z Hollywood. Uwielbiała amerykańskie filmy.

Dochodziła szesnasta, wrócili więc na Plac Męczenników, by przysiąść w barze „Karnak” na parę drinków. Lubili ten wesoły lokal, zawsze pełen mieszanego towarzystwa; zachodzili tu na zimne piwo lub anyżówkę raki zarówno Arabowie, jak i przybysze z Zachodu. W Damaszku nie ma powszechnej w wielu państwach muzułmańskich prohibicji. Rawi i Szakira znaleźli wolny stolik przy oknie wychodzącym na plac i zamówili po piwie. Zagłębili się w lekturze, ale Rawi szybko miał dosyć; ostatnie kilka stron „Daily Telegraph” przerzucił bez zainteresowania, i nagle zniemochomiał, widząc w dziale sportowym tytuł: „PERSKA DAMA STARTUJE W ROYAL ASCOT”, a pod nim drobniejszym drukiem: „Nowy cel przed klaczą Kermana”. Złożył gazetę tak, by mieć przed oczyma tylko ten artykuł, i przeczytał go jednym tchem.

Piękne zwycięstwo Perskiej Damy w wyścigu im. Henryka II w Sandown uważa się teraz za najlepszy występ sezonu. Na szybkim, twardym gruncie córka irlandzkiego ogiera z Saddlers Hali pokonała dwumilowy dystans w czasie dłuższym od rekordu toru zaledwie o dwie sekundy, przyspieszywszy na ostatnim odcinku pod górę i wyprzedziwszy faworyta z Newmarket, Homeward Bounda, o osiem długości.

Nowy treser Perskiej Damy, Charlie McCalmont, nie p0' siadał się z radości i obwieścił, że klacz wyszła z wyścigu bez zadrapania. Wczoraj wieczorem stwierdził, że z całą pewnością zostanie teraz zakwalifikowana do Złotego Pucharu Ascot a Mityngu Królewskim, który odbędzie się w czwartek 22

Właściciel konia, londyński armator Richard Kerman, przyznał, | że zawsze marzył o wystawieniu wierzchowca na tych prestiżowych zawodach, ale nigdy się nie spodziewał, że zacznie od; pozycji drugiego faworyta. „Nigdy nie było pewności, czy Perska Dama wytrzyma więcej niż dwanaście furlongów*”, powiedział, „ale jej finisz w Sandown był elektryzujący. Charlie jest przekonany, że da sobie radę z dodatkową połową mili w Ascot. Dla mnie i mojej żony to wydarzenie życia”.

Wczoraj wieczorem firma bukmacherska Ladbrokes obstawiała sześć do jednego przeciwko krępej, gniadej Perskiej Damie. Zdecydowanym faworytem w stosunku trzy do jednego pozostawał ostry pięcioletni siwek High Five księcia Abdulla Salmana.

Gazeta nie nawiązała do tajemnicy zaginięcia syna Richarda Kermana, majora SAS, która przed paroma laty nie schodziła z pierwszych stron. Dziennikarzy interesował tylko Złoty Puchar Ascot, święty Graal długodystansowych wyścigów konnych. Hebron? A gdzież to, u diabła, jest? Działy sportowe z reguły nie grzeszą otwarciem na inne dziedziny. Tymczasem o trzy tysiące mil od Fleet Street Ravi Raszud siedział wpatrzony w leżący przed nim artykuł. Sukces ojca sprawił mu wielką przyjemność. Po chwili podał gazetę Szakirze, wskazując na tytuł.

–To koń mojego ojca – wyjaśnił. – Pamiętam ją jako dwulatkę. Córka podstarzałej już klaczy i ogiera High Line'a. Tato zawsze chciał mieć długodystansowca... ale chyba się nie spodziewał aż tak dobrego.

Szakira przeczytała te kilka akapitów, niewiele rozu- "liejąc z koniarskiego żargonu. Niespodziewanie spytała:

–Tęsknisz za rodzicami? j – Czasami...

–Nigdy się z nimi nie skontaktowałeś, prawda?

–Nie. Nie mogłem. Ściągnęłoby to na nich wielkie kłopoty. Czuli by się w obowiązku poinformować władze, że żyję,

a Potem zaczęłoby się desperackie śledztwo. Podszuchy tele-°niczne, sprawdzanie poczty i Bóg wie co jeszcze. Nie chcia-ei, żeby przez to przechodzili.

Amerykańska miara długości, stosowana m.in. w jeździectwie, owna 1/8 mili (220 jardów, czyli 201 metrów).

Szakira sączyła piwo w zamyśleniu.

–Możesz się z nimi zobaczyć chyba tylko, spotykając się gdzieś w neutralnym miejscu.

–Musiałbym się wcześniej z nimi skontaktować, a nie mogę zakładać, że nikt się o tym nie dowie. W końcu pewnie i tak byrti się nie zdecydował przyjść na spotkanie.

–A gdybyś mógł się z nimi spotkać bez umawiania się? – Szakira swoim zwyczajem nie dawała łatwo za wygraną.

–Wtedy ani oni nie wiedzieliby, gdzie mnie szukać, ani ja ich.

–Ja za to wiem, jak mógłbyś ich znaleźć, nie mówiąc o tym nikomu ani słówka.

–No to wyłóż mi to.

–Royal Ascot, czy jak to się tam zwie. Czwartek, 22 czerwca. Oni tam będą i nietrudno ich będzie odszukać. Zwłaszcza jeżeli Perska Dama wygra.

–Jeżeli Perska Dama wygra, będą pewnie na herbatce u królowej albo coś w tym rodzaju. Trudniej byłoby się do nich przebić niż do admirała Morgana.

–Więc musisz się z nimi zobaczyć, zanim wygra. Na pewno będą przyglądać się koniom przed wyścigiem.

–Szakiro, byłaś kiedyś na Royal Ascot? – spytał Rawi z uśmiechem.

–Jasne, że nie.

–No, to opowiem ci o tym. Po pierwsze, będzie tam z milion ludzi. Każdy w łoży królewskiej nosi małą, barwną plakietkę z nazwiskiem. Mężczyźni muszą być w stroju porannym...

–Czy ten wyścig się nie odbywa po południu?

Rawi wiedział, że jego ukochana po prostu go podpuszcza, ale z powagą wyjaśnił:

–Strój poranny to tylko takie angielskie wyrażenie-Chodzi o cylinder i frak...

–Jak Fred Astaire?

–Właśnie. On by tam idealnie pasował, zwłaszcza że się ożenił z dżokejem.

–Z dżokejem?

–Rodzaju żeńskiego, głuptasie. Doskonała i bardzo piękna kobieta. Amerykanka.

148

–Nie wiedziałam. Ale pan Astaire i tak już nie żyje.

–A ja nie wbiłbym się w jego strój poranny. Musiałbym ę skombinować sobie własny. Próbuje tylko wytłuma-

zyć... brnąc przez ten ocean nieistotnych skojarzeń... że w Ascot roi się od ochroniarzy, wyniosłych facetów w cylindrach i zielonych mundurach, o ile dobrze pamiętam, którzy sprawdzają, czy osoby z plakietkami są tymi, których nazwiska na nich widnieją.

–Skąd mogą to wiedzieć?

–Nie wiedzą, ale potrafią niezłe zgadywać. Zawsze złapią kogoś, kto paraduje z cudzą. Traktują takie wykroczenia bardzo poważnie. Plakietki z łoży królewskiej są cenne i nieebywalne. Naprawdę sugerujesz, abym zorganizował sobie jakąś na lewo i ruszył na poszukiwanie właścicieli jednego z najważniejszych koni w gonitwie? Złapaliby mnie i przypuszczalnie wylądowałbym w Tower w oczekiwaniu na proces

0 morderstwo.

–Czy miejsce, gdzie konie czekają na wyścig, znajduje się na terenie łoży królewskiej?

–Nie. To jest na zewnątrz, na murawie, gdzie wszyscy mogą je obejrzeć. Wcześniej treserzy mają do dyspozycji padok z boksami, gdzie mogą zakładać swoim koniom uprząż

1 siodła.

–On też jest poza łożą? – Też.

–Więc nawet nie musiałbyś mieć tej plakietki?

–Pewnie nie. Ale figuruję na liście stałych gości od cza-iów Harrow. Musiałbym ją nosić... i przez nią wpaść.

–Rawi, kochanie, spotkasz się ze swoimi rodzicami... odtrzymasz ich na duchu... Tylko przez chwilę, żeby ich

uspokoić. Dać im znać, że nie zginąłeś. Nic innego się nie lczy. Zresztą ja też chciałabym pojechać tam z tobą...

–Szakiro, nie pojedę tam. Ty tym bardziej. Kocham cię fcie zabiorę cię do Anglii. To byłoby zbyt niebezpieczne.

**–Niech sobie będzie. Uważam, że akurat w wielkim tł-3 może dojść do spotkania...
spędziłbyś z pół godziny**

i ojcem... a potem znów zniknąłbyś z ich życia... być już na zawsze

" Być może – odparł Rawi. – Nie mogę jednak podjąć

takiego ryzyka. Dla uspokojenia matki nie oddam życia, bo właśnie tak by się to skończyło. Niemal na pewno postawili. by mnie przed sądem za zdradę i zamordowanie dwóch poj. oficerów SAS. Ocalenie palestyńskiej dziewczyny nie byłoby okolicznością łagodzącą.

Palestyńska dziewczyna objęła go ramieniem, mówiąc:

–Dobrze chociaż wiedzieć, że tu jesteśmy bezpieczni od tych strasznych Anglików. Kocham cię, Rawi.

Zmienili temat, zajmując się ważniejszymi sprawami, jak przyszłe ataki Hamasu na Izrael i długofalowa strategia rozciągania amerykańskich sił tak długo, aż sami Amerykanie nie znużą się nieustannym i bezcelowym konfliktem.

Dni w Syrii były długie i coraz gorętsze. Rawiemu i Sza-kirze przydzielono duży, przestronny osiemnastowieczny dom nieopodal restauracji „Elissar” we wschodniej części starego miasta. Po zainstalowaniu klimatyzacji zamieszkali w nim i zanurzyli się w przyjemną codzienność życia w nowej ojczyźnie. Codziennie spacerowali po krytym bazarze. Każdego tygodnia odbywało się u nich przynajmniej jedno zebranie kierownictwa Hamasu. Szakira zajmowała się kuchnią, czasami jadali u nich przyjaciele, mieli też stale zarezerwowany prywatny stolik w „Elissarze”, gdzie serwowano najlepsze jedzenie w mieście. Brat Szakiry pracował u nich jako człowiek do wszystkiego: asystent, szofer, kurier.

Rawi nie miał problemów finansowych. Po udanych napadach na banki w Izraelu przyznano mu nagrodę w wysokości dwóch milionów dolarów, Irańczycy przelali na jego konto obiecane ćwierć miliona, a admirałska pensja stu tysięcy rocznie regularnie wpływała na rachunek w Szwajcarii-Oczywiście nie było mowy o żadnych podatkach. Dom przy Szaria Bab Tuma szybko wypełniał się wydawnictwami turystycznymi z informacjami o wszystkich amerykańskich ambasadach, konsulatach i bazach wojskowych na całym świecie, włącznie z odległymi placówkami w Nowej Zelandii; Oceanii i Afryce. Ponieważ żadne z nich nie brało udziału w żadnych operacjach bojowych, czerwiec upływał im spokojnie na pracy nad głównym zadaniem, a także na rozmowach o ich bliskim ślubie. W połowie miesiąca, rankiem 1*› czerwca, Rawi pocztą elektroniczną odebrał zaszyfrowaną

respondencję ze sztabu marynarki irańskiej, co natych-niast przyspieszyło mu puls.

Gen. Raszud. Do pańskiej wiadomości: admirał Morgan ma się udać do Londynu w czwartek 22.06. o godz. 18.00 z bazy Andrews do Northolt, Air Force One, ETA 0500 w piątek 23.06. Zatrzyma się w rezydencji ambasadora USA w Regents Park. Fundusze, jeśli potrzebne, przez ambasadę Iranu, Prince's Gate 27. Wolelibyśmy, aby zlecenie wykonał ktoś przez pana zatrudniony. Adm. B.

Kiedy Rawi to czytał, była piąta rano. Szakira jeszcze spała, a jemu w głowie kłębiły się dziesiątki myśli. Rodzice. Ascot. Ten sam dzień. Złoty Puchar. Zabójstwo. Anglia. Wielkie niebezpieczeństwo. Czy warto? Dlaczego. Czas? Osiem dni od dzisiaj. Planowanie. Pomoc. Nie ma czasu. A jednak... Może przed nim najpiękniejsze dni?... Nóż w samo serce Wielkiego Szatana?

Nagle Rawi znieruchomiał. Przed oczyma stanęła mu scena pożegnania z matką. Ból był tak ostry, jakby to było wczoraj. Wątpił, czy choćby jeden dzień minął jej bez myśli) synu. Ojciec pewnie cierpiał jeszcze bardziej. Oboje zawsze chcieli dla niego jak najlepiej; czy Bóg kiedykolwiek wybaczy mu takie bezduszne zniszczenie ich nadziei i zaufania?

General Raszud zapamiętał treść e-maila, po czym usunął 50 z dysku komputera i wstał, by zaparzyć herbatę. Wciąż był pochłonięty myślami, gdy dołączyła doń Szakira. W białym szlafroku do kostek i z burzą nie uczesanych włosów wyglądała oszalamiająco. Od razu wyczuła jego nastrój. †- Co się stało? – spytała.

–Nic takiego. Po prostu zachciało mi się herbaty.

–Tak, ale... co się stało?

–Naprawdę nic takiego. Dostałem e-maila z Bandar Ab-Is i od nowa zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem

sPróbować odszukać moich rodziców w Ascot.

–Cóż takiego było w tym e-mailu, że przyszło ci to do

głowy?

–Po prostu wzmianka, że pewien amerykański dyploma-1 może się zjawić w Londynie pod koniec czerwca.

p Na pewno nikt, z kim chciałbyś się spotkać.

–Jasne, że nie. Ktoś, kogo chciałbym zabić.

–Nie mów! Z powodów osobistych czy w interesie rządu?

–Dla dobra narodu muzułmańskiego.

–Załatwisz go przed wyścigami czy po? – spytała Szakira z absolutną powagą, aż Rawi się roześmiał.

–Nie, ja sam nie brałbym się do tego. Ale zdaje się, że Iran chce, abym kogoś wynajął do tej roboty.

–To dobrze. Mogę jechać z tobą?

–Nie. Ale możesz się ze mną zabrać po drodze.

–To znaczy?

–Moglibyśmy pojechać razem do Paryża. Zostawiłbym cię tam samą na dwa, trzy dni.

–I pojedziesz do Londynu na wyścigi i na robotę beze mnie?

–Mniej więcej.

–To znaczy tak czy nie?

–Tak. Muszę cię zostawić, bo moja misja może się okazać niebezpieczna, a ja nie chcę, żebyś wylądowała w brytyjskim więzieniu, nawet jeśli sam tam trafię.

–Mhm...

–I nie mamy za wiele czasu na zorganizowanie wszystkiego. Muszę dziś zadzwonić do admirała Badra i do ambasady syryjskiej w Londynie. Potrzebna mi będzie plakietka identyfikacyjna na wyścigi, a u Brytyjczyków dyplomaci syryjscy są lepiej widziani od irańskich.

–Mówiłeś chyba, że nie jest ci potrzebna do odwiedzenia boksów koni przed wyścigiem?

–To ty tak mówiłaś. Ja jednak muszę mieć właściwą plakietkę. Royal Ascot jest jak klub dla pewnej grupy ludzi, angielskich wyższych klas. Bez tego kolorowego znaczka czułbym się jak półnagi. Gdybym zaś musiał z kimś rozmawiać, posłuży mi za wyznacznik statusu. Potwierdzi niejako moją legalność, jak gdybym wciąż był w swoim pułku. Co prawda to niezupełnie miejsce dla wojskowych i mało kto z oficerów tam bywa. Za drogo.

–A co z przebraniem za Freda Astaire'a?

–Tak, będę musiał załatwić sobie odpowiednie ubrania Wtedy mogę być spokojny. Właściwy wygląd, właściwa tożsamość, nic podejrzanego. Będę po prostu eleganckim ofi*

cerem po dobrej szkole, cieszącym się chwilą wytchnienia na wyścigach.

–A co będzie napisane na plakietce?

–Jak najmniej. Zwyczajne „R- Kerman, Esq.” Nic rzucającego się w oczy. Poza tym nie zamierzam zapuszczać się do

łóży królewskiej i przedzierać przez bramkarzy.

Sześć dni później. Poniedziałek, 19 czerwca

Boeing Air France z Damaszku wylądował o szesnastej na lotnisku Roissy-Charles de Gaulle, położonym o trzydzieści kilometrów na północny wschód od Paryża, z ponaddwugodzinnym opóźnieniem. Rawi i Szakira spiesznie opuścili terminal i złapali taksówkę, każąc się zawieźć na rue du Bac w dzielnicy Saint Germain, na lewym brzegu Sekwany. Ruch na ulicach był umiarkowany i dotarcie do hotelu „Bac Saint Germain” zajęło im tylko czterdzieści minut. Szakira miała wrażenie, że znalazła się w Mieście Światła z najbardziej wyrafinowanym mężczyzną na świecie, ale Rawi kierował się bardziej zawężonymi kryteriami, niż się jej wydawało. W Pa-

yzu zatrzymywał się wyłącznie w tym jednym miejscu, ulubionym hotelu rodziców. Był to czarujący, umiarkowanie drogi przybytek o dwudziestu jeden pokojach, gdzie latem śniadanie podawano na tarasie na dachu, pośrodku którego tryskała fontanna. Richard Kerman cenił sobie właśnie ten

aras i dyskretny, nie ostentacyjnie luksusowy charakter hotelu. Młody Ray nigdy nie zapominał oszałamiającej panoramy miasta, roztaczającej się przed nim, gdy brał się do

uerwszego w życiu croissanta i nalewał sobie parującą

zekoladę ze specjalnego dzbanka z dwoma uchwyty. Po

achodniej stronie ponad wspaniałymi budynkami ministerialnymi strzelała w niebo sylwetka wieży Eiffla. O paręset

letrów w przeciwnym kierunku, na Ile de la Cite, pyszniła e katedra Notre Dame. Dwunastoletniemu chłopcu nic 3zcznie nie smakowało tak wybornie jak ta chocolat chaud.

L° jest życie w sam raz dla mnie”, mruknął wtedy do siebie.

az, dwadzieścia cztery lata później, wrócił tu, choć w jakżt

imiennych okolicznościach; niektóre z nich były znacznie

lepsze, jak towarzystwo pięknej Arabki, z którą pójdzie wkrótce do łóżka, a rano zje śniadanie. Inne z kolei były wy. raźnie gorsze, jak potrzeba ukrywania się, fałszywe nazwisko i paszport, czujność i konieczność stronienia od pozostałych gości. W sumie jednak Rawi był zadowolony z tej przelotnej wizyty w Paryżu, Szakirę zaś oszołomiła wielkość i uroda miasta.

Zameldowali się w „Bacu”, jak zwą hotel Francuzi, bez żadnych przeszkód ani zbyt wielu pytań ze strony recepcjonisty. Rawi dołożył starań, aby się nie ujawnić jako syn jednego z najlepszych i najwierniejszych klientów. Zdawało mu się, że rozpoznaje dyrektora z tamtego pierwszego pobytu, ale nie zdradził się z tym nawet mrugnięciem powieki. W duchu był ciekaw, czy wciąż ta sama pani przyrządza chocolat chaud; miał nadzieję, że tak.

Szakira była podekscytowana liczbą dostępnych kanałów telewizji satelitarnej i Rawi musiał prawie siłą wyciągnąć ją na kolację. Padał lekki deszczyk, a oni byli zmęczeni podróżą, więc ochoczo przyjęli sugestię portiera, aby spróbować znajdującej się niemal po sąsiedzku restauracji „Gaya Rive Gauche”, lewobrzeżnej filii słynnego lokalu z rue Duphot, specjalizującego się w owocach morza. Zamówili na przystawkę miniaturowe małże z tymiankiem, na główne danie Rawi wybrał doskonale upieczoną solę, Szakira zaś turбота w sosie holenderskim. Za radą maitre d'hôtel na stole stanęła butelka chablis z dobrej winnicy Tonnerre pana Jeana Marie Raveneau, rocznik 1998. Pod koniec kolacji młoda bojowniczk-a Hamasu niespodziewanie dla siebie samej powtórzyła dawne westchnienie małego Raya Kermana: „To chyba jest życie w sam raz dla mnie”.

I pewnie miała rację, ale nie dane jej było kosztować go długo. We wtorek rano mieli niewiele czasu dla siebie. Deszcz ustał w nocy i pogoda była piękna, zjedli więc lekkie śniadanie na tarasie. Rawi był niemal pewien, że gorącą czekoladę przygotowała ta sama dystyngowana starsza pani, którą pamiętał z dzieciństwa. Musiał jednak szybko wyjechać-Spakował się błyskawicznie, zostawił Szakirze tysiąc euro w gotówce na przeżycie w Paryżu do piątkowego wieczoru, kiedy miał nadzieję wrócić po serdecznym spotkaniu z rodzi-

caii i z likwidacją Arnolda Morgana na liście swoich sukcesów. W recepcji uregulował z góry rachunek za cały pobyt, płacąc również gotówką. Na pożegnanie wręczył dziewczynie kartkę z kontaktem do ambasady syryjskiej na wypadek jakiegokolwiek sytuacji podbramkowej, pocałował ją z uczuciem i odjechał taksówką bulwarem Sewastopskim na dworzec, Gare du Nord. Odebrał w kasie bilet zarezerwowany na ekspres „Eurostar” o jedenastej. Przespał większość z trzygodzinnej podróży przez Eurotunel na londyńską Waterloo Station. O piętnastej był już w ambasadzie Syrii przy Belgrave Square, jego kwaterze do piątku. Było to dowodem silnych więzi w nieoficjalnym świecie islamskiego fundamentalizmu. Syria czy Irak, Palestyna czy Iran – wszyscy są braćmi w dżihadzie, świętej wojnie przeciwko Izraelowi

1 całemu Zachodowi. Tego wieczoru Rawi spożył kolację w towarzystwie dwóch attache wojskowych i funkcjonariusza syryjskiej służby bezpieczeństwa. Żaden z nich nie miał wiele do dodania na temat spodziewanego przybycia Arnolda Morgana; potwierdzili tylko datę i czas, a także brak jakichkolwiek informacji o jego planach. Nie dawało to zbyt nadziei na powodzenie, ale następnego dnia od rana wybrali się samochodem z dyplomatyczną rejestracją na objazd Re-gentfs Park, sprawdzając, skąd mieliby najlepszy widok na prywatną rezydencję amerykańskiego ambasadora. Nie wyglądało to obiecująco. Główny doradca prezydenta USA przyjedzie wojskowym samochodem w otoczeniu agentów Secret Service. Trzeba by niewiarygodnego łutu szczęścia, aby snajper trafił na chwilę uśpionej czujności ochrony, strzelił do Morgana i zdołał uciec. Znaleźli parę potencjalnych stanowisk do strzału; jedno w pobliżu stawu z łódkami, inne w kryjówce w Queen Mary's Gardens, ale tam na pewno "Cdzie zbyt wielu ludzi. Uznali jednak, że należy rozważyć możliwość ataku w chwili przyjazdu „obiekta”, korzystając

2 Wczesnej pory. Zabójca powinien czekać od piątej rano w po-użu Centralnego Meczetu, po zachodniej stronie stawu. il przyjmować rozkazy wyłącznie od generała Raszuda.

razie najmniejszego ryzyka zatrzymania któregoś z nich j miała zostać odwołana; to zaś zależy będzie od liczebności eskorty policyjnej i amerykańskiej ochrony.

Rawi nie był optymistycznie nastawiony, ale wiedział, że czasem szczęście bywa niespodziewanym sprzymierzeńcem atakujących. Kto wie, może admirał Morgan przybędzie w towarzystwie zaledwie paru ludzi właśnie z powodu wczesnej godziny? Na wszelki wypadek aż trzy samochody miały zostać podstawione na Outer Circle, by umożliwić ucieczkę: przy Hannover Terrace, przy Clarence Gate i naprzeciwko Królewskiej Akademii Muzycznej. Jeśli syryjskiemu snajperowi udałoby się oddać parę strzałów, pora wyjątkowo sprzyjała ucieczce. Puste ulice, ruch znikomy i niewielu stróżów prawa. Rawi postanowił podjąć decyzję o ataku w ostatniej chwili, w piątek o świcie, po przybyciu amerykańskiego dyplomaty do Londynu. Gdyby operacja się powiodła, przez weekend miał się zaszyć w ambasadzie Syrii, po czym wyjechać do Paryża pociągiem ze stacji Ashford w Kent, posługując się brytyjskim paszportem na nazwisko Johna Farmera, właściciela ziemskiego z pobliskiego Bethersden.

Tymczasem miał przed sobą jeszcze jedno zadanie: wizytę w domu przy Bishop's Avenue 86, który, był tego pewien, jest zupełnie pusty. Na czas mityngu w Ascot rodzice zawsze wynajmowali dom w Winkfield Row i ponieważ przez pierwsze trzy dni wydawali dość wystawne przyjęcia, zabierali ze sobą całą stałą służbę, czyli Joego i Ednę Wallace'ów. Joe pełnił rolę kamerdynera i szofera, Edna prowadziła kuchnię i sprzątała. Na co dzień pani Kerman zatrudniała też sprzątaczkę do pomocy, a co drugi dzień zjawiał się ogrodnik, ale żadne z nich nie będzie w domu podczas Royal Ascot.

Rawi zdecydował, że pojedzie taksówką, pewien, że bez problemu będzie mógł wjechać na podjazd skryty przed wzrokiem sąsiadów za wysokim murem. Tak się też stało. Wkrótce stał już na tyłach domu, gdzie, jak wiedział, pod trzecią od lewej wielką doniczką z terakoty znajdzie zapasowy klucz. Otwierając tylne drzwi, modlił się w duchu, aby kod alarmu pozostał nie zmieniony. Miał szczęście – wybrana kombinacja cyfr 180570, jego data urodzenia, wciąż wyłączała centralkę. Rawi biegiem ruszył ku schodom i na górę, do swego dawnego pokoju. Tak, jak się spodziewał, zastał wszystko w takim samym stanie jak w dniu swojego wyjazdu do Izraela. Otworzył szafę; jego poranne ubranie

wisiał, jak zawsze, obok trzech ciemnopopielatych garniturów. Zdjął je razem z wieszakiem, sięgnął na półkę po kamizelkę i granatowy jedwabny krawat, po czym zaczął grzebać w szufladzie, szukając odpowiedniej koszuli. Czarne półbuty i skarpetki miał ze sobą.

Ściskając rzeczy pod pachą, zbiegł schodami do holu, uzbroił alarm, odczekał, aż na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu pojawi się napis „Wyjść teraz”, i wysliznąwszy się na zewnątrz, zamknął za sobą drzwi na klucz. Zostawił go w zwykłym miejscu pod donicą i wrócił do czekającej na podjeździe taksówki, która przez ten czas zawróciła i stała przodem do ulicy, gotowa zawieźć go z powrotem do ambasady. Ryzykowna, sentymentalna misja zakończyła się powodzeniem.

Rawi polecił taksówkarzowi pojechać do Regens Park i zrobić powolną rundkę po Inner Circle, potem po Outer Circle, zanim w końcu wrócił przez Marylebone Road, Marble Arch i Park Lane pod ambasadę syryjską. Kierowca zażądał czterdziestu funtów za cały kurs, dostał pięćdziesiąt i odjechał zadowolony. Rawi spędził wieczór ze swymi kolegami z ambasady, studiując dokładny plan okolic Regens Park i sprawdzając klasycznie piękny austriacki karabin wyborowy SSG-69, którego snajper, jeśli Allah pozwoli, użyje w piątek o świcie.

Scharfschutzen Gewehr wzór 1969 jest jednym z najgroźniejszych karabinów dalekiego zasięgu na świecie. Doskonale zaprojektowany i precyzyjnie wykonany, we właściwych rękach może osiągnąć skupienie trafień rzędu czterdziestu centymetrów przy sześciu pociskach wystrzelonych * maksymalnej odległości ośmiuset metrów. Taką celność zapewnia mu luneta ZFM o powiększeniu 6x24. Zamek śliz-gowo-obrotowy współpracuje z wewnętrznym rotacyjnym Magazyńkiem na pięć naboń kalibru 7,62 mm o prędkości Początkowej 860 m/s. Egzemplarz spoczywający w rękach generała Raszuda był przerobiony przez austriackiego jubi-*era z pomocą rusznikarza na wersję rozkładaną na trzy części, przeznaczone do przenoszenia w specjalnym skórzanym neseserze z wyprofilowaną miękką, grubą wyściółką. Ł go i przygotowanie do strzału zajmowało dwanaście

sekund, ponowne rozłożenie i schowanie nawet mniej. Snajper, na tę okazję ubrany w typowy miejski garnitur biznesmena czy urzędnika, dokładnie wytrze lufę z nadmiaru oleju, aby nie dopuścić do powstania zdradliwego kłęбка dymu przy wystrzale. Generał Raszud uwielbiał tę broń i miał nadzieję, że człowiek, który się nią za dwa dni posłuży, zna się na swoim fachu i trafi admirała Arnolda Morgana w głowę z kryjówki za starannie wybranym, już przekwitłym, ale dużym i gęsto ulistnionym krzakiem forsycji po wschodniej stronie stawu, o czterysta metrów od celu. Nie będzie słyhać żadnego dźwięku poza świstem pocisku i trzaskiem pękającej pod jego uderzeniem czaszki. Snajper odejdzie potem spokojnie przez teren Regenfs College i opuści je bramą Cla-rence, jak uosobienie niewinności, nie różniąc się od dziesiątek londyńczyków spieszących wcześniej do pracy.

Może tak, a może nie, rozmyślał Rawi. Silna ochrona wokół rezydencji ambasadora uniemożliwi całą akcję. Policja w mig otoczyłaby cały rejon. Nie lubię niespodzianek i niepotrzebnego ryzyka. Spróbuję, ale nic ponadto.

Tego wieczoru cały zespół zjadł kolację razem z samym ambasadorem i szefem ochrony. Kucharz podał rybę z ryżem na sposób arabski, która, jak Rawi stwierdził w duchu, ani się umywała do soli z „Gaya Rive Gauche”. Przy kolacji wyszedł za to na jaw pewien ciekawy fakt: szef ochrony ambasady, sprężysty, śniady damasceńczyk i były dowódca czołgu, okazał się właśnie strzelcem wyborowym, który miał wykonać piątkowe zadanie. Sam niewiele mówił, ale ambasador potwierdził, że jest dobrym żołnierzem i prawdopodobnie najlepszym snajperem na Bliskim Wschodzie.

Rawi spał niespokojnie. Myślał o rodzicach, zastanawiał się, czy ich odnajdzie i jak go przywitają. Nie dziwiłby się, gdyby okazali gniew; matka może nawet zemdleć na widok syna, którego w myślach już pochowała, paradującego po Ascot w pełnym „rynsztunku” jak gdyby nigdy nic. To byłaby dopiero atrakcja, pomyślał, matka leży bez życia pośrodku padoku na oczach królowej i Bóg wie kogo jeszcze... Może być nawet gorzej: zostanie uznany za winnego kardynalnego grzechu w oczach angielskiej socjety, a mianowicie przestra' szenia koni...

O pierwszym brzasku generał Raszud wyszedł z ambasady i służbowym samochodem z szoferem pojechał w stronę Hyde Park Corner. Ulice były niemal puste i szybko znaleźli się na Portland Place, kierując się ku Regens Park na ostatni zwiad. Nie było widać żadnego policjanta na służbie, a ruch uliczny o tej porze z pewnością stanowił okoliczność sprzyjającą. Jeśli tylko Syryjczykowi uda się nazajutrz oddać celny strzał, z wycofaniem się nie będzie problemu. Rawi polecił kierowcy objechać jeszcze Outer Circle, po czym zawrócić na Belgrave Square. Przed południem był już w drodze do Ascot, nienagannie ubrany według obowiązującego kanonu. W kłapie marynarki miał małą różową plakietkę, z łatwością uzyskaną przez ambasadora. Identyfikowała go jako „R. Kerman, Esq.” i uprawniała do wejścia na teren łoży królewskiej w czwartek 22 czerwca. Następnego dnia musiałby mieć plakietkę w kolorze zielonym.

Zdecydował się na podróż taksówką. Po ostatnim wyścigu zamierzał przejść się do stacji kolejowej i tam złapać następną. Był dzisiaj anonimowy, nie do odróżnienia od pięciu tysięcy innych widzów. Celowo jednak przez całą drogę nie odezwał się do taksówkarza, zasłaniając się płachtą „Racing Post”. Próbował wyłowić informacje o co groźniejszych przeciwnikach ojcowskiej pupilki w Złotym Pucharze. Z zadowoleniem przeczytał, że wcześniejszy faworyt, High Five, został wycofany z gonitw z powodu kontuzji. Teraz stawiano na zwycięstwo ogiera Homeward Bounda, którego Perska Dania pokonała wprawdzie w Sandown, ale jej wytrzymałość tym maratońskim wyścigu będzie poddana ciężkiej próbie. Po zjechaniu z autostrady M4 ugrzęźli w korku, posuwając się wolno w długiej kolejce aut zmierzających w stronę Windsoru. Rawi wyruszył jednak dostatecznie wcześnie dojechali na miejsce jeszcze przed wpół do drugiej. Wysiadł 1 głównym skrzyżowaniu i ruszył przez parking numer fen, by wejść na tor od mniej zatłoczonej strony, „Bożego Półetka”, gdzie angielskie rodziny od pokoleń zajmowały te ^e miejsca piknikowe. Wszędzie lał się szampan; małe 'fcladane stoliki ustawione obok wielkich mercedesów i rolls-°yce'ów ugięły się pod ciężarem półmisków szkockiego łosia zalanego majonezem i podanego z młodymi ziemniaka-

mi na zimno: standardowe racje żywnościowe brytyjskiego establishmentu, bynajmniej nie pochłaniane z apetytem dalekim od brytyjskiej powściągliwości.

Rawi szedł niespiesznie wśród ludzi w porannych strojach, nie rozglądając się na boki. Nie zatrzymując się, minął bramkę wejściową; kontroler nie mógł nie zauważyć jego różowej plakietki. W kiosku kupił program gonitw i przystanął pod wielkim dębem, aby się zorientować w otoczeniu. W bezładnym, zdawałoby się, tłumie wokół siebie wyczuł wyraźny nurt, kierujący się ku łożu królewskiej. Spojrzał na zegarek; była trzynasta czterdzieści. W tej samej chwili odległe głośniki obwieściły przybycie monarszego orszaku.

Dziewiętnastoletnia królowa Wiktorja odbyła tę samą procesję w pierwszym roku panowania; dziś wyglądało to zupełnie tak samo. Monarchini jechała ciągniętą przez cztery windsorskie siwki kareta na czele, za nią podążały powozy książąt i księżnych krwi. Sam Złoty Puchar ma równie szacowną historię, sięgającą 1807 roku. Rawi Raszud, terrorysta, zabójca i wróg publiczny, z nową siłą odczuł, że nic go nie łączy z angielskimi tradycjami i ceremoniałem.

Przyjrzał się padokowi, gdzie treserzy przygotowywali konie do wyścigu, po czym przeszedł się na główną arenę pokazową. Wiedział, że Perska Dama musi się tam pojawić około piętnastej dziesiątej, po raz pierwszy stąpając szerokim, trawiastym i ogrodzonym białym płotem traktem z górnego padoku, śladami kopyt najsłynniejszych wierzchowców Ascot. Rawi rozważał przez chwilę, czy nie powinien sam się tam znaleźć, może nawet pójść wraz z rodzicami za ich wspaniałą klaczą. Uznał jednak, że zobaczy się z nimi później, gdy Charlie McCalmont będzie siodłał ją przed wyścigiem, a państwo Kermanowie będą przyglądać się temu z boku. Całe szczęście, że nie miał wcześniej okazji poznać Charliego. Ułożywszy sobie plan działania, Rawi usiadł na jednym z małych, okrągłych stołków, jakich pełno stało przy płocie, obserwując pierwsze konie przybywające na gonitwę Ribbles-dale Stakes, prestiżowy wyścig na dwanaście furlongów przeznaczony dla młodych klaczy. Kiedy przestrzeń wokół areny pokazowej zaczęła się wypełniać widzami, wstał i ruszył do wyjścia. Wtedy właśnie los zadał mu niemal śmiertel-

ny cios. Poczł nagle klepnięcie w ramię i usłyszał czyjś bardzo dystyngowany i bardzo angielski głos.

–Ray! Ray Kerman... Jezu, stary, myślałem, że nie żyjesz! Rawi odwrócił się przez ramię i znalazł się oko w oko

5 uśmiechniętym, zaróżowionym, krągłolicym Rupertem Studleyem-Bryce'em, w nieskazitelnym popielatym porannym fraku i czarnym jedwabnym cylindrze na głowie. Jego plakietka z nazwiskiem prawie ginęła pod wielkim, czerwonym goździkiem w butonierce. W Harrow dzielił z Rupertem apartament przez całe dwa lata. Uśmiechnął się ostrożnie, zadowolony, że kazał sobie załatwić plakietkę na własne nazwisko.

–Cześć, Rupe – powiedział. – Co za niespodzianka! Nie wiedziałem, że pasjonują cię konie.

–No, to może za dużo powiedziane. Ale zazwyczaj spędzam w Ascot przynajmniej jeden dzień. A niech to! Nie widzieliśmy się od Harrow, co? Chyba z dwadzieścia lat. Kiedy ostatnio slyszalem o tobie, szukano cię po całym świecie. O co chodziło? Zaginiony w akcji gdzieś w Jerozolimie? Wszyscy myśleli, że zginąłeś.

–No, to na pewno za dużo powiedziane. Ale niewiele brakowało. Brałem udział w ściśle tajnej misji pułkowej na Bliskim Wschodzie... Jestem w kraju od pół roku.

–Słuchaj, dajmy sobie spokój z tą gonitwą klaczy, co? Chodź, napijemy się czegoś w namiocie White's.

Rupert był postawnym mężczyzną i tak zdecydowanie

pokierował Rawim, że były major SAS sam nie wiedział,

tiedy znalazł się u wejścia do ekskluzywnej oazy, jaką jest

w Ascot ta „polowa” placówka jednego z najwytworniejszych

najstarszych męskich klubów na świecie. Główna siedziba

White's mieści się w nie rzucającym się w oczy budynku u wy-

°tu St. James's Street w Londynie, tuż za rogiem „Ritza”.

Oub powstał w 1693 roku i od tamtej pory jest przystanią

a brytyjskiej arystokracji, członków rządu i tuzów wielkie-

5 biznesu, jednym słowem ludzi, którzy preferują towarzystwo

°bie podobnych. Jego drzwi są zamknięte dla wszelkiego

Autoramentu gwiazd estrady i filmu, zawodowych sportow-

c°w, bukmacherów, bufonów i innych osobników niskiego

chodzenia i ogłady. Komitet klubu ustawia prywatny na-

miot przy arenie pokazowej w Ascot od kilkadziesiąt lat. Serwuje się w nim doskonały lunch i spore ilości alkoholu. Dla tych gości, którzy nie mają ochoty na śledzenie wyścigów z trybun, ustawiono telewizory. White's stanowi bezwstydną bastion uprzywilejowania i elitarności, dostępny wyłącznie dla stałych członków; nawet oni muszą przy tym uprzedzać

o zamiarze odwiedzenia tego swoistego sanktuarium. Są tacy wśród nawet najbardziej zamożnych, którzy gotowi byliby zabić dla uzyskania członkostwa w White's. Generał Rawi Raszud był chyba pierwszym w historii klubu zaproszonym gościem, dla którego perspektywa wkroczenia na to uświęcone terytorium była absolutnie niepożądana. Nie było jednak odwrotu.

–Dwa szampany! – krzyknął Rupert do barmana. –

1 to duże! Może być Krug. – Zwracając się zaś do Rawiego, rzekł: – To naprawdę miłe spotkanie, stary. Dobrze pamiętam, jak się zmartwiłem, gdy przeczytałem o twoim zaginięciu. Na pewno wszystko u ciebie w porządku?

–W najlepszym, Rupe – zapewnił Rawi, bez trudu wpadając w charakterystyczną manierę ucznia dobrej szkoły publicznej, doskonałą przez cały pobyt w Harrow i przez niektórych pieczołowicie kultywowaną przez całe życie. – Wiesz, jak to ze mną jest. Nudny wojskowy, uganiający się po pustyni za terrorystami. A co u ciebie?

–No, pewnie wiesz, że jestem w parlamencie? Skoro wróciłeś przed kilkoma miesiącami... Wygrałem ostatnie wybory, mam bezpieczny mandacik z Buckinghamshire.

–Tak, oczywiście – potwierdził spieszenie Rawi. – Absolutnie. Pytałem tylko, co u ciebie ostatnio? Dzieje się coś ciekawego? My, w Hereford, mamy czasami tendencję do zamykania się w swoim światku... zajmujemy się sprawami wojskowymi i myślimy, że są takie ważne, podczas gdy nikogo innego to nic nie obchodzi.

–Na pewno jesteś tu już sześć miesięcy? Bo widzisz, zdawało mi się, że moja inauguracyjna przemowa w Izbie Gmin odbiła się głośnym echem w całym kraju – rzucił Rupert, po czym pociągnął spory łyk magicznego napoju z Reims.

–No, trochę wyjeżdżałem tu i tam... Mam do czynienia ze ściśle tajnymi działaniami, o których nic nie mogę mówić.

–Zmienili cię w cholernego szpiega, co? W każdym razie na pewno przypominasz sobie ten fragment, w którym powiedziałem, że rząd laburzystów jest najmniej kompetentną, najgorszą grupą niedoszłych asów gospodarki, jaka kiedykolwiek brała się do zarządzania czymkolwiek? Musisz to pamiętać... Walnąłem, że przez dziewięć lat nie podjęli ani jednej prawidłowej decyzji i że wahałbym się przed powierzeniem im prowadzenia wiejskiego pubu, a cóż dopiero mówić

0 państwie. Huczała o tym cała prasa i telewizja.

–Och, jasne, Rupe. Pamiętam, tylko wyleciało mi z głowy, że to byłeś ty. Przypominam sobie ten numer z wiejskim pubem.

–Ale chyba nie wyleciało ci z głowy, że trzy ogólnokrajowe dzienniki zgodziły się co do tego, że „oto mamy wreszcie bojowego konserwatystę, który pewnego dnia może stanąć na czele partii torysów. I co ty na to? Twój stary kumpel z internatu premierem!

–Trudno powiedzieć, abym pamiętał ten fragment -odrzekł Rawi ostrożnie, ale z uśmiechem.

–A zresztą, co tam... Cholernie się cieszę, że cię widzę, stary, i że tak sobie popijamy szampana po tych wszystkich latach. Przypominają się człowiekowi dawne czasy... Pamiętasz tę małą salkę „Pod Psem i Lisem”? I jak się wymykaliśmy do tego pubu po ciszy nocnej, co?

–Jezu, miałbym nie pamiętać? To było życie, stary. Z dala od trosk tego świata... Wiesz co? Może poszlibyśmy gdzieś na kolacyjkę w przyszłym tygodniu? Siedzę w ministerstwie obrony jeszcze do połowy lipca.

–Byłoby wspaniale. W tygodniu jestem praktycznie wolny, mieszkam w moim londyńskim apartamenciku. Żona

1 dzieci w rodowej siedzibie w Bedfordshire, ja się tam zjawiam na weekendy. Co powiesz na wtorek?

–Myślę, że da się zrobić. Daj i swój numer do biura, dobra? Potwierdzę jutro twojej sekretarce.

–Nie ma sprawy. Kierunkowy zero dwieście siedem, nu-^er sześćset dziewięćdziesiąt jeden, czwórka, dwie trójki 1 siódemka. Poproś Lizzie, zresztą pewnie sama odbierze. Może wpadłbyś na jednego do Annie's Bar w Izbie Gmin? ^ zjedlibyśmy kolację w klubie.

–Rupe, to wszystko brzmi zachęcająco, ale... muszę już uciekać. Chcę się spotkać z rodzicami przed drugą gonitwą. Miło było cię zobaczyć, stary. Zadzwoń jutro rano.

–Hej, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że żyjesz... Za trzy tygodnie jest spotkanie absolwentów Harrow w klubie golfowym w Sunningdale. Kupa ludzi będzie uradowana* słysząc, że wciąż jesteś wśród nas... To na razie, Ray.

Rawi włożył cylinder i podszedł do opustoszałego już ogrodu przy padoku do siodłania. Wyjął telefon komórkowy i wystukał na klawiaturze numer podany mu przez Studleya-Bryce'a.

–Halo, Lizzie?... Tu John Farmer, stary przyjaciel pana Studleya-Bryce'a... byliśmy razem w Harrow... Tak, wiem, dopiero co pożegnałem się z nim w namiocie White's.

–W czym mogę pomóc, panie Farmer?

–Pani szef napisał mi swój adres, żebym mógł mu wysłać zaproszenie na lunch w Oksfordzie, ale musiałem go wyrzucić razem z garścią kuponów totalizatora... przegranych, oczywiście... Powiedział, żebym wysłał zaproszenie na jego londyński adres. Tu są takie tłumy, że nie ma szans, bym S° odszukał. Całe szczęście, że zachowałem ten numer do biura. Jest pani moją ostatnią deską ratunku!

Lizzie się roześmiała.

–Może pan je wysłać po prostu do mnie. Dopilnuję- a°y szef je otrzymał.

–Mnie tam jest wszystko jedno – Rawi też zachichotał w słuchawkę. – Ale Rupert wyraźnie powiedział: „Na domowy adres”.

–W porządku, panie Farmer. To Prior's Court, apartament 9 B, Marsham Street 72, Londyn, kod pocztowy SW1 2SA-

–Wielkie dzięki, Lizzie. Zaraz jutro wrzucam je d° skrzynki.

Z głośników słyhać było głos komentatora relacjonującego drugą gonitwę, Norfolk Stakes dla dwulatków na dys-tansie pięciu furlongów. Potrwa tylko minutę, a nawet mniej), jeżeli któryś z wierzchowców pokaże prawdziwą klasę- ^a* wi spostrzegł, że stajenni wyprowadzają już konie bi°r^ce udział w wyścigu o Złoty Puchar. Podszedł dyskretnie do Pa' doku, wiedząc, że lada chwila pojawi się treser z siodlein

i numerem startowym Perskiej Damy, która stąpała już dziarsko ku niemu. Klacz przeszła tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Poznał ją po tabliczce z imieniem, niesionej przez prowadzącą ją

dziewczynę. Domyślił się, że rodzice będą towarzyszyć Charliemu McCalmontowi w drodze z odległego pawilonu, gdzie dżokeje są ważeni przed zawodami. Wkrótce też ukazali się oboje na trawiastej drodze prowadzącej od pustej już areny pokazowej do padoku; Rawiemu zdawało się, że serce stanęło mu na moment, kiedy ujrzał matkę i ojca kroczących dumnie po prawdopodobne zwycięstwo. Oboje wyglądali doskonale; Richard Kerman miał na sobie szyte na miarę czarną poranną marynarkę z szarą kamizelką i szare spodnie w prążki, granatową koszulę i bordowy krawat. Matka ubrała się w elegancką ciemnozieloną suknię, podkreślającą jej smukłą figurę. Jej lśniące, czarne włosy były prawie zupełnie schowane pod szykownym, szerokim czarnym kapeluszem, bez wątpienia rodem z Paryża. Postarzała się jednak w widoczny sposób, a w jej postawie było coś sztucznego, jakby zdawała sobie sprawę, że oczy całego tłumu widzów skierowane są na nich jako szczęśliwych właścicieli jednego z faworytów Złotego Pucharu. Naz Kerman szła o krok z tyłu za mężem i treserem, uśmiechnięta i wyraźnie zadowolona, czego nie skrywała jej skromna mina. Rawi zgadywał, że serce musi jej mocno kołatać w piersi, ale na pewno nie tak silnie jak za chwilę, gdy go zobaczy.

Mały orszak z Perską Damą minął go o dwadzieścia parę metrów, kierując się prosto do pierwszego boksu po lewej. Na znak Charliego dziewczyna wprowadziła konia tyłem do środka. Klacz łagodnie pochyliła łeb w drzwiach i spokojnie stanęła na miejscu, zwrócona w stronę wyjścia. Dziewczyna rzymała ją krótko za wodze, podczas gdy treser zajął się zakładaniem siodła.

Rawi przeszedł pod żerdzią ogrodzenia i ruszył przez trawnik, szybko doganiając matkę. Stanął tuż za nią, pochylił się i szepnął jej do ucha:

–Spokojnie, mamó. Nie krzyknij ani nie mdlej. Jestem Przy tobie i nic mi nie jest.

Naz Kerman o mało nie umarła na miejscu, słysząc znajomy głos. Błyskawicznie odwróciła się, odruchowo zakrywa-

jąc dłonią usta. Wyszeptała tylko: „O mój Boże!”, a z oczu pociekły jej łzy. W następnej chwili upuściła program gonitw torebkę i lornetkę, rzucając się synowi na szyję z gwałtownym, niepoahamowanym szlochem, nie zważając na to, kto ją może w tej chwili widzieć i co sobie myśleć. Oboje stali za boksem, niewidoczni dla Charliego McCalmonta, ale Richard Kerman odwrócił się i zamarł, ujrzawszy swego jedynaka w objęciach matki. To wszystko trwało nie więcej jak trzydzieści sekund, ale jemu zdawało się, że Ziemia zaczęła się obracać w zwolnionym tempie. Patrzył znieruchomiały, jak Naz stara się opanować, jak Ray podchodzi i obejmuje go. Poczul na ramionach uścisk stalowych mięśni syna... jak przez mgłę dotarło doń tylko jedno wypowiedziane przez niego zdanie:

–Słuchaj, tato, ze mną wszystko w porządku. Wy jesteście zajęci. Nic teraz nie mów, tylko przyjdź za godzinę pod tamto wysokie drzewo. Mam wam wiele do opowiedzenia. I nie martw się!

To powiedziawszy, Raymond Kerman zawrócił na pięcie i po chwili rozplnął się w tłumie widzów, którzy zdążyli się znów zebrać przy padoku. Skierował się do zatłoczonej areny pokazowej, gdzie tysiące ludzi oczekiwało na przybycie dwojga faworytów, potężnego siwka Homeward Bounda i bardzo już znanej Perskiej Damy.

Państwo Kermanowie byli wciąż oszołomieni, ale Naz śmiała się do całego świata. Długie miesiące najpierw niepewności, potem ponurej akceptacji najgorszego w jednej chwili się ulotniły, zastąpione wezbraną euforią.

–Kochanie, on żyje – szeptała zupełnie niepotrzebnie do męża.

Richard Kerman tylko potrząsał głową, krzywiąc się w dziwnym grymasie. Popołudniowe słońce opromieniało ceglana ścianę boksu, gdzie Charlie McCalmont nasączoną zimną wodą gąbką przemywał nozdrza i chrapy Perskiej Da' my, szykując ją do boju. Delikatnie pociągnął ją za uch" i pogładził po czole, po czym powiedział do trzymającej wodze dziewczyny: „Okay, Julio, idziemy”. Stajenna, wyprowadzi jąc klacz z boksu, ruszyła przez trawę niemal po d1

majora Kermana sprzed pięciu minut.

Tymczasem generał Raszud usilnie się starał unikać jakiegokolwiek kontaktu z otaczającymi go ludźmi, co nie jest łatwe w ponad siedemdziesięciotysięcznym tłumie. Ze spuszczoną głową przeszedł przez lożę królewską i opuścił ją tunelem po drugiej stronie. Tam, na ogólnodostępnej trybunie miał większe szansę nie natknąć się na kogoś z dawnych znajomych. Stał przy ogrodzeniu i przez dobry kwadrans patrzył w ziemię, dopóki nie usłyszał tętentu koni zmierzających na linię startu. Jak dotąd nie zdradził się z niczym. Nie wspomniał ani słowem Rupertowi Studleyowi-Bryce'owi o udziale wierzchowca swoich rodziców w wyścigu, nie postawił ani pensa na Perską Damę, aby nie ryzykować rozpoznania przez bukmachera, który mógł go nawet pamiętać. Żadnych kontaktów, żadnego lunchu czy herbaty. Tylko jedno rozdzierające serce spotkanie z matką i ojcem.

Rawi patrzył na mijające go konie, piętnaście wspaniałych rumaków w zwartym szyku, gotowych do współzawodnictwa. Odczekał jeszcze kilka minut, dopóki z głośników nie padło: „Czekają na sygnał startera... i poszły!” Zdawał sobie sprawę z wagi tej gonitwy, wiedział, jaką klasę reprezentuje ta końska arystokracja pełnej krwi, stająca do walki o Złoty Puchar. Większość narodowych organizacji jeździeckich uważa dystans półtorej mili za granicę, powyżej której koń wyścigowy nie ma ochoty biec. Rozgrywa się na świecie raptem kilka prestiżowych zawodów na torach dwumilowych: Puchar Goodwood i australijski Puchar Melbourne. Dystans wyścigu Ascot przekracza dwie i pół mili, a zwycięzca zgarnia łącznie tysiące dolarów. To istna arena dla gladiatorów, żagania tytanów toru przy ogłuszającym dopingu, ściskane gardła wszystkich prawdziwych koniarzy już choćby Tzez samą czystą moc, szybkość i nieopisaną dzielność ścisających się zwierząt.

Rawi miał za plecami wielki ekran telewizyjny, ale nie mógł oderwać oczu od pustego pasa zielonej trawy, na którym krotce miały pojawić się konie. Patrzył jak urzeczony, kiedy widać go w pędzie, mając za sobą już pięć furlongów; szkarłatny czaprak Perskiej Damy mignął mu gdzieś w środku wyścigu. Biegła bez wysiłku, Charlie trzymał pozycję bliżej wewnętrznej części toru. W następnym mgnieniu

oka były już daleko, cwałując w stronę Swinley Bottom na lekkie wzniesienie, by wnet zniknąć mu z pola widzenia. Po następnych pięciu furlongach megafony obwieściły: „...i Perska Dama wyszła na prowadzenie... zostawiła rywali o sześć długości w tyle... biegną ku ostatniemu wirażowi...”

Pół minuty później Rawi usłyszał uderzenie dzwonu, tradycyjnie ogłaszające wejście lidera wyścigu na ostatnią prostą, dwa i pół furlonga do mety. Teraz już większość koni była wyczerpana; Perska Dama naprawdę dała rywalom do wiwatu... Homeward Bound biegł o trzy długości za nią, desperacko ponaglany przez dżokeja usiłującego oderwać się od depreczającego mu po piętach fuksa Madrygała, który miał właśnie najlepszy występ w życiu.

Do mety brakowało jeszcze ćwierć mili, kiedy faworyt dogonił klacz Kermanów. Cwałując po zewnętrznej stronie, wyprzedził ją wkrótce o pół długości. Madrygał też nie dawał za wygraną i po chwili cała trójka znalazła się na wysokości trybun, biegnąc ku ósmemu słupkowi, dwieście metrów od miejsca, gdzie stał Rawi Raszud, niemal łeb w łeb przy akompaniamencie krzyku tysięcy podekscytowanych widzów.

W tym momencie Madrygał miał już dość. Perska Dama została sam na sam z Homeward Boundem, wciąż lekko w tyle. Dziewiętnastoletni dżokej Jack Carson smagnął ją parę razy pejczem po zadzie, ale klacz już nie miała żadnych rezerw, biegnąc ostatkiem sił. Kolejne uderzenie pejczy wyraźnie nie było jej w smak; wzdrygnęła się i machnęła kilkakrotnie silnie ogonem, ale nie zwolniła biegu, starając się dorównać rywalowi. Główna trybuna dosłownie zatrzęsała się od ryku tłumu, kiedy oba konie, dobywając resztek energii, przemknęły przez linię mety. Głos komentatora załamywał się z podniecenia. Rawi tak samo jak on nie potrafił powiedzieć, który z nich był pierwszy. Usłyszał tylko urywane zdania: „Przeszły razem... Fotografia...”

Czekali więc na oficjalne wyniki, Richard i Naz Kernia-nowie na trybunie właścicieli i treserów, Rawi wśród zwykłych widzów, ekipa Homeward Bounda przy łożu zwycięż' ców. Upłynęło sześć minut...

–Wyniki gonitwy według fotografii... Pierwsze miejsce, numer drugi, Homeward Bound. Drugie miejsce, numer ós-

jny, Perska Dama. Trzecie miejsce, numer czternasty, Ma-Jrygał. Odległości: o pół lba i o dziewięć długości.

Trudno o bardziej udany debiut w Ascot. Przegrana w takim stylu nie przyniosła ujmy dzielnej klaczy, choć nagroda przeszła jej koło nosa. Kiedy jej właściciele w końcu przyszli na wyznaczone przez syna miejsce spotkania, zastali go wciąż jeszcze pod wrażeniem dramatycznego finiszu gonitwy. Rawi pokręcił głową i rzekł:

–Wybrałem naprawdę dobry dzień, żeby się z wami zobaczyć.

Zasypali go lawiną pytań. Gdzie byłeś? Co złego zrobiłeś? Jak długo zostaniesz? Czy wojsko wie, że tu jesteś? Oddałeś się w ich ręce? Na większość z nich nie mógł odpowiedzieć. Wytłumaczył im jednak, że nie wolno im nikomu powiedzieć o jego pobycie w Anglii i że prawdopodobnie już nigdy tu nie wróci, a w każdym razie na pewno nie może się z nimi kontaktować. Powiedział, że osiedlił się na Bliskim Wschodzie, choć nie w dawnej ojczyźnie; że ma nadzieję wkrótce się ożenić i ma przed sobą obiecującą karierę. Ojciec chciałby oczywiście wiedzieć, co naprawdę zdarzyło się w Hebronie, ale o tym nie mogli rozmawiać. Rawi miał wiele do wyjaśnienia, rodzice jednak dobrze rozumieli, o jaką stawkę toczy się gra: gdyby komukolwiek choć napomknęli o synu, mogłoby go to kosztować życie.

Rozstali się w wielkim smutku po godzinie. Rawi zapewnił ich, że będzie się z nimi widywał, choć zawsze bez zapowiedzi. Być może w Paryżu. Pewny, że ich tajemnica jest dobrze strzeżona, polecił rodzicom wracać do łoży królewskiej. Sam stał pod dębem, patrząc, jak odchodzą. W bramce Wejściowej matka się odwróciła na moment i niezdecydowanie uniosła dłoń w geście pożegnania. Rawi chciał jej odpowiedzieć, ale rękę miał jak z ołowiu i tylko oczy wezbrały niu łzami. Stał jeszcze przez chwilę bez ruchu, ale właśnie rozpoczynała się ostatnia gonitwa, postanowił więc ruszyć w drogę powrotną, zanim wszyscy zaczną się zbierać do °djazdu. Wyszedł z toru tą samą drogą, którą przybył. Przy stacji kolejowej bez trudu znalazł taksówkę i za kwadrans siódma był już pod ambasadą Syrii.

O ósmej zasiadł do kolacji z szefem ochrony, z którym miał

współpracować następnego ranka w Regenfs Park. Po dwóch godzinach wyszedł znowu do miasta i pojechał na Marsham Street. Jazda zajęła zaledwie kilka minut, ale kiedy dotarł na miejsce, zrobiło się już ciemno. Rawi zapłacił taksówkarzowi i wolno ruszył w głąb ponuro wyglądającej uliczki po stronie numerów parzystych. Prior's Court znajdował się mniej więcej w jej połowie. Pchnął wahadłowe drzwi i podszedł do portiera.

–Dobry wieczór. Mam się spotkać z panem Studleyem-Bryce'em. Jeżeli go jeszcze nie ma, na pewno wkrótce się zjawi. Dał mi klucz do mieszkania.

Portier popatrzył na nienagannie ubranego dżentelmena i najwidoczniej uznał go za godnego zaufania.

–Sir, jestem pewien, że pan Studley-Bryce jeszcze nie wrócił do domu. Ale skoro ma pan klucz, proszę iść na górę. Zna pan numer?

–Dziewięć B.

–To na dziewiątym piętrze. Winda jest naprzeciwko. Rawi podziękował w duchu opatrności za ten dziwny

autorytet, jaki nadawało mu w oczach portiera jego ubranie. Wsiadł do windy i pojechał na wskazane piętro. Drzwi do apartamentu 9B otworzył, odsuwając zamek zapadkowy kartą kredytową. Gdyby Rupert przekręcił klucz, wychodząc z domu, nie dałoby się tak łatwo dostać do środka, ale oczywiście gospodarz nie zadał sobie tego trudu. Rawi wszedł do mieszkania i rozsiadł się w dużym, wygodnym fotelu, oczekując powrotu swego szkolnego przyjaciela. Nie zapalił światła, ale włączył telewizor na wiadomości BBC. Kiedy kamera pokazała finisz Złotego Pucharu, chciało mu się krzyczeć z radości na widok Perskiej Damy, z zacięciem starającej się odrobić stratę do Homeward Bounda. Minęło jeszcze pół godziny, zanim od drzwi dobiegł chrobot klucza w zamku i do pokoju wtoczył się lekko pijany Rupert Studley-Bryce, głośno pytając od progu, czy ktoś jest w mieszkaniu, czy też ten cholerny portier oszalał.

Rawi był przy nim w mgnieniu oka. Rupert zdążył tylko wykrzyknąć: „Ray, co u diabła...”, kiedy cios popielniczką z onyksu między oczy rozłupał mu kość czołową, a w następnej chwili Rawi nasadą prawej dłoni uderzył go z całej siły w nos, klasyczną metodą SAS pozbawiając życia.

i – Przykro mi, stary – mruknął, opuszczając zwłoki na podłogę.

W kuchni znalazł długi, wąski nóż do mięsa i trzymając go przez ścierkę, wyszedł z mieszkania, chowając broń pod marynarką. Hol na parterze był pusty, portier siedział w swoim pomieszczeniu za szklanymi drzwiami i oglądał telewizję. Rawi przystanął i kiedy tamten podniósł ku niemu wzrok, kiwnął na niego dłonią. Mężczyzna natychmiast wyszedł, jakby na rozkaz dowódcy. Rawi zabił go ciosem prosto w serce, wbijając ponaddwudziestocentymetrowe ostrze aż po rękojeść. Popchnął stojące jeszcze na nogach ciało przed sobą z powrotem do pokoiku służbowego, wyłączył telewizor i zgasił światło, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nóż pozostał w piersi zabitego, niewidocznego teraz dla nikogo, kto przechodziłby korytarzem.

Na taksówkę poczekał na bulwarze nad Tamizą. Wrócił prosto do ambasady, teraz już uśpionej i zamkniętej. Wszedł bocznym wejściem, korzystając z klucza wręzonego mu przez snajpera. Dochodziła północ, kiedy wreszcie mógł się rzucić na łóżko. Nie zapomniał przedtem podłączyć telefonu do ładowarki.

Obudzono go punktualnie o czwartej. Rawi spakował walizkę i zostawił pisemne polecenie dla personelu, aby doręczono mu ją osobiście na dworzec Waterloo, przy wagonie numer pięć ekspresu „Eurostar” odchodzącego o ósmej rano do Paryża. Do świtu była jeszcze godzina, kiedy generał Raszud po raz ostatni opuszczał budynek przy Belgrave Square. Wiedząc, że nie da się go namierzyć, zadzwonił z komórki na lotnisko RAF-u w Northolt i z amerykańskim akcentem oświadczył operatorowi, że jest attache wojskowym w Londynie, po czym poprosił o podanie spodziewanego czasu Przylotu „Air Force One”.

–Dziś rano, sir. Nie wolno mi nikomu podawać szczegółów.

–Dzięki, koleś – odparł wesoło Rawi.

To znaczy, że jeszcze nie wylądował, pomyślał. Ale... dziś rano? Co to niby znaczy, o piątej czy o jedenastej?

Dwadzieścia minut później był już na skraju Regens i patrzył wzdłuż ulicy na rezydencję amerykańskiego Ambasadora. Była już piąta; niebo na wschodzie jaśniało, ale

P

rogach t,2ymab stfaż czterech ^ den_c^hPflę S1^szystkie możliwe światła

WłączvTminia?rUknął RaWi" ~ T° nie y^ jąco.

Włączył mmiatUrowy radiotelefon na częstotliwosc ^ *

nioną ze snajperem w^,, k i • | •• i,

miedzy krzewami Y Y]UZ na P°ZyCJ1' ukryty gdzieś

f T ' ' Zapewne sP°sobił sie do

odbiorcy: „Wstrzymać akcję”.

neseserem w, _____ zachód, w szarym garniturze

™LZZZ*ęk* Y^adając jak niewinny urzędnik Hcy się do pracy. Dotarł do Clarence Gate

v | +™, n obecność kolejnych sześciu uzbrojonych policjantów. Co go,sza, gdzieś zz budynków dobiegał odJłos pracującego na wolnych obrotach ^^ Lmilo*ca ^

urlMz kr, Yachdch 3iak mu się

obserwującą park i^r^^

f l SvI°K dzieci- Na^le w Perspektywie prostej jak

7l 'dŁ n" R°ad Ukazał ^ nadjeżdżający z dużą prędkość^ konwo,,łożony, dwóch cza ^^ ^

rykanskimiflagam, trzepoczącyrni na błotnikach; oLczonych

PrZf S;VeSfOrtC W sile dwóch ^diowozów i czterech motocyklistów. Całą kawalkada skręciła w lewo przez szeroki wjazd do parku j zatrzymała si zed bramąP rezydencji ambasadora. Pierwszy radiowóz ± ^y

blokując ją od północy; drugi zrobił tQ samo ^ P Rawi Raszud, stojący 0 pięcdziesi t metrów 0Q ujrzał, jak otwierają się ty]ne drzwi obu H

z nich Wlagentów ochrony. W ślad za nimi pojawiło się dwoje ludzi. W mdłym świetle brzasku Raw- ^ ^

Wyfk^ ^rCZy ą SylW6tk? ^żczyzny, któremu towarzyszyła uderzającej urody radowłosa

oboje w ciasnym kofe, dołaCzyła do nich czwórka żołnierzy i cała grupa ruszyły szparko w budynku; gdzie na

schodach czekał m sam ambasador ko/ej mf dwoma mannes u boku. ' J

172

Rawi pięciokrotnie nacisnął przycisk nadawania w swoim radiotelefonie, dając syryjskiemu zabójcy sygnał odwołujący akcję i jednocześnie polecenie natychmiastowego wycofania się. Było pewne, że przez tak szczelną osłonę nie da się celnie trafić admirała, a ktokolwiek by tego spróbował, mógł zginąć od kilkunastu kul, zanim zdążyłby pomyśleć o ucieczce. Ci faceci nie żartowali i byli gotowi na wszystko, a Rawi potrafił ocenić niebezpieczeństwo. i – Pieprzyć to – mruknął pod nosem. – Spadam stąd.

Zatrzymał pierwszą przejeżdżającą taksówkę i trochę gniewnie rzucił kierowcy: f – Dworzec Waterloo, spiesz mi się.

Poweselał dopiero na myśl o czekającym go wkrótce obiedzie z jego palestyńską boginią, potem o relaksującym popołudniu w łóżku, a wreszcie cudownej kolacji. Swą wyprawę do Anglii podsumował w myślach jako katastrofę. Rodzice we łzach, Perska Dama pokonana, dwaj zupełnie niewinni ludzie zabici, a admirał Morgan bezpieczny jak za pancierzem. Teraz Rawi miał przed sobą długą podróż... ale nie tak długą, jak Rupert Studley-Bryce. Na myśl o tym główny terrorysta Hamasu lekko się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ 6

Czwartek, 29 czerwca 2006 r. Damaszek

Tytuł na pierwszej stronie sobotniej „Daily Mail” przykuwał uwagę:

RUPERT STUDLEY-BRYCE

ZAMORDOWANY

ZWŁOKI POSŁA TORYSÓW ODKRYTE

W JEGO

LONDYŃSKIM MIESZKANIU

General Raszud przez dłuższą chwilę wpatrywał się w duże czarne litery, zanim zabrał się do czytania artykułu. Dopiero co kupił kilka gazet w Librairie Avicenne. Chociaż spodziewał się informacji o śmierci dawnego kolegi, nie wyobrażał sobie, że dzienniki potraktują to tak priorytetowo. Spod tytułu patrzył na niego Rupert w pełnej gali z Ascot. Fotoreporterzy zawsze kręcą się przy głównym wejściu na tor w nadziei na ciekawe zdjęcia. Podpis pod fotografią głosił: **DZIEŃ NA WYŚCIGACH BOJOWEGO TORYSA- ZGINAŁ WE FRAKU I CYLINDRZE**. Artykuł podawał, że zwłoki znaleziono w piątkowe południe, ostatniego dnia mityngu w Ascot. Sekretarka jego biura poselskiego nie mogła go odszukać, zadzwoniła więc do jego żony Susan w Bedfordshire, która jednak też nie wiedziała, gdzie on może być. O piętnastej zaniepokojona przedłużającą się nieobecnością szefa sekretarka zjawiła się w Prior's Court z dwoma policjantami. Na miejscu zastali cały zespół detektywów pracujących nad zagadkowym morderstwem sześćdziesięcioletniego portiera, Alfa Rowana. Dziennikarz zakończył artykuł akapitem:

174

Policja jest zdania, że obu zbrodni dokonał ten sam człowiek. Portier zginął być może dlatego, że nie chciał go wpuścić do kamienicy w ten czwartkowy wieczór, kiedy mało kto z lokatorów przebywał u siebie. Sąsiadów zabitego posła przesłuchiowano wczoraj, ale nikt z nich nie widział nic i nikogo podejrzanego w budynku. Rzecznik prasowy Scotland Yardu ujawnił, że przyczyny śmierci obu mężczyzn były różne. Pan Studley-Bryce (36 lat) nie został zasztyletowany, ale zmarł wskutek obrażeń głowy spowodowanych przez nieznaną osobę lub osoby. Niewiele wiadomo o tym, jak poseł partii konserwatywnej spędził ostatni dzień życia. Ustalono jedynie, że był na wyścigach w Ascot i widziano go tam w prywatnym namiocie klubu White's w towarzystwie przyjaciół. Przypuszcza się, że przed powrotem do mieszkania pan Studley-Bryce zjadł kolację gdzieś na West Endzie, ale nikt nie potwierdził jego obecności w klubie. Policja kontynuuje czynności śledcze.

Gazeta zamieściła na dwóch następujących stronach obszerną biografię posła z South Bedford, opisującą jego naukę w Har-row, trzy lata w Oksfordzie, a zwłaszcza jego buńczuczny start w polityce. O panu Alfie Rowanie, który był równie martwy, ale o wiele mniej ważny, ukazała się tylko krótka jednokolumnowa notatka i wywiad ze zrozpaczoną wdową.

Rawi odłożył gazetę i nalał sobie herbaty. Przerzucił potem strony sportowe „Sunday Telegraph”. Zwrócił uwagę na informację o sprzedaniu zwycięskiego Homeward Bounda za okrągłą sumkę trzystu tysięcy funtów; nowi właściciele (John Magnier, szef największej na świecie stadniny ogierów w Coolmore, i jego przyjaciel J. P. McManus, bogaty irlandzki sportsmen i hazardzista) zamierzali wystawiać go w biegach z przeszkodami. Homeward Bound miał być szkolony przez Aidana O'Briena w Tipperary.

Szakira tymczasem sięgnęła po „Daily Mail” i niemal natychmiast zapytała:

I – Znałeś tego posła, którego zamordowano w Londynie? (“Chodził do twojej szkoły i był twoim rówieśnikiem. t -Tak, znałem. Nawet dość dobrze... ale nie byliśmy Przyjaciółmi. Ktoś musiał mieć do niego pretensje. Ci parlamentarzyści bywają ostatnio zamieszani w różne ciemne sprawy.

A^ tak' Jeg° Żona ma doPiero dwadzieścia dziewięć

lat. Mieli trójkę małych dzieci. Angole muszą teraz nieźle główkować nad tą sprawą.

Problem z czytaniem gazet sprzed tygodnia tkwi w tym że szybko przestaje się być na bieżąco. O dziesięć tysięcy kilometrów na zachód, w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Marylandzie, porucznik Jimmy Ramshawe twórczo główkował na ten sam temat. We wtorkowym wydaniu londyńskiego „Telegraph” natknął się na akapit, który go mocno zaintrygował:

Policja przyznała wczoraj wieczorem, że pewna część śledztwa w sprawie morderstwa Ruperta Studleya-Bryce'a jest prowadzona przez brygadę antyterrorystyczną Scotland Yardu. Nie podano niestety bliższych szczegółów.

Porucznik Ramshawe wiedział, co się za tym kryje: jakiś reporter odkrył, że antyterrorystyci zajęli się sprawą, i próbował wywęszyć, co się dzieje. Scotland Yard nie chciał kłamać w żywe oczy, więc potwierdził tę informację, a potem go

–No właśnie, co ta specgrupa ma za interes w tym śledztwie? – mruknął do siebie Jimmy. – Jak na całkiem zwyczajne zabójstwo cywila to chyba przesada? Ten cały btudley-Bryce chyba nawet nie służył w wojsku.

Była to akurat taka zagadka, jakie Ramshawe uwielbiał, ale tego dnia nie miał czasu na luksus interesowania się kryminalnymi śledztwami za granicą. Dopiero artykuł w środowym „Daily Mail” naprawdę zwrócił jego uwagę.

Policja nie ukrywa, że zupełną zagadką jest fakt, iż nóż, którym w czwartek zabito portiera Alfa Rowana z Westminsteru, niemal na pewno pochodzi z kuchni zamordowanego posła torysów, Ruperta Studleya-Bryce'a. Parlamentarzysta nie zginął od noża, ale od uderzenia w głowę. Policja uważa teraz, że mogło to nastąpić przed śmiercią portiera i że morderca posła mógł zabić Rowana, gdy już opuszczał budynek.

Jimmy Ramshawe zastanawiał się nad tą informacją długo i intensywnie. Przyszedł z zamiarem załatwienia posła, 176

nie? A potem stuknął jedyne go człowieka, który mógłby go rozpoznać albo nawet go znał. Dlaczego portier go w ogóle wpuścił? Tak musiało być, bo facet poszedł sobie na górę, otworzył drzwi, nie uszkadzając ich, zabił Studleya, świsnął z kuchni majcher i załatwił portiera. Krwawa, ale sprawna robota. Cholernie sprawna. No i za czym węższą tam ci anty-terrorystyci?

Ramshawe spędził na tych rozważaniach jeszcze kwadrans, po czym postanowił zadzwonić do kumpła z CIA, by sprawdzić, co w Langley wiedzą o wydarzeniach w Londynie. Kumpel nic nie

wiedział, ale obiecał się rozejrzeć. Przez następne dwadzieścia cztery godziny się nie odzywał, ale kiedy wreszcie oddzwonił, jego informacje okazały się warte czekania.

–Cześć, Jimmy. Przepraszam, że to tak długo trwało. Nasi ludzie bardzo się tą sprawą zainteresowali z jednego powodu: Studley-Bryce został zabity przez zawodowca, być może byłego członka sił specjalnych. Był to klasyczny cios w czoło, który wbija kość nosową prosto w mózg, powodując natychmiastową śmierć. Angole nie mają pojęcia, kto mógł to zrobić i dlaczego, ale nie ma wielu cywilów, którzy potrafiliby coś podobnego zrobić. Wielu ludziom dało to sporo do myślenia.

–Ogłosili coś z tego publicznie?

–Nie, i nadal nie zamierzają. My o tym wiemy, ponieważ informacje o każdym morderstwie, które mogło zostać popełnione przez kogoś związanego z terroryzmem, są rutynowo wymieniane pomiędzy Scotland Yardem i CIA. Ale niech cię ręka boska broni przed rozgłaszaniem tego kawałka. To ma być ściśle tajne.

–Wiesz, że ze mnie bardzo dyskretny gość – odparł Jimmy. – Dzięki, stary, to cholernie ciekawe.

Porucznik Ramshawe ledwo mógł usiedzieć, tyle mu się zapalało w głowie ostrzegawczych lampek. W swojej krótkiej karierze tylko dwa razy słyszał o śmierci zadanej techniką sił specjalnych: raz przed rokiem z okładem, chodziło wtedy o podoficera SAS, którego zwłoki znaleziono w ruinach domu ^ Hebronie, a drugi raz przed chwilą. Inny trup, inne okoliczności, ta sama metoda.

Było jednak jeszcze coś, co nie dawało mu spokoju... Gdzie, u licha, jest ta biografia Studleya-Bryce'a?... Mani... Absolwent Harrow, wiek trzydzieści sześć lat... Teraz do teczki majora Raymonda Kermana... Jest... O, cholera! Albo też, jak by powiedział ten stary grecki ramol, Eureka!

–Niech mnie, oni obaj chodzili do tej samej szkoły i są rówieśnikami – myślał na głos. – Znali się jak amen w pacierzu. Na pewno to ten skurczybyk go zabił, tak samo jak przedtem swojego sierżanta i tak dalej. Ale niech mnie szlag, jeśli wiem, dlaczego to zrobił. Lepiej powiadomię o tym Scotty'ego i George'a.

Jimmy Ramshawe w bardzo krótkim czasie zdołał zdobyć sobie spore uznanie w NSA. Był drobiazgowo dokładny, a przy tym diabelnie bystry; jednym słowem, był jednym z tych niezwykłych młodych ludzi wprost urodzonych do pracy na najwyższych szczeblach wywiadu wojskowego. Podejrzliwy i cyniczny z natury, miał pamięć godną słonia. Umiał kojarzyć fakty, przywołując z pamięci pozornie nie związane ze sobą wydarzenia. Gdyby trójwymiarowe układanki były dyscypliną olimpijską, Jimmy z pewnością zdobyłby dla USA lub Australii złoty medal.

–Psiakrew, sir, czy kiedykolwiek widział pan taki zestaw faktów? – spytał admirała George'a Morrisa. – Mamy prawie stuprocentową pewność, że zabił swoich dwóch kolegów z SAS, w tym jednego ciosem, jakiego nie umiałby zadać żaden cywil. I oto nagle mamy następnego trupa, wyprawionego na tamten świat w taki sam sposób; w dodatku okazuje się, że to facet, który chodził do szkoły razem z naszym majorem i musiał go dobrze znać.

–Jimmy, mam wielki szacunek dla twojej zdolności dedukcji... – Admirał Morris uśmiechnął się łobuzersko. – Ale mam też parę pytań. Dlaczego myślisz, że ten poszukiwany terrorysta przebywał w Londynie? A jeśli tak było, to niby dlaczego miałby mordować tamtejszych parlamentarzystów-Pomyślałeś o motywie?

–Chwilunia, szefie, dopiero się rozkręcam. – W! napięcia akcent Jimmy'ego Ramshawe'a stawał się bardziej) australijski niż u Banjo Pattersona. – To wielka figura wśród terrorystów, nie? A wielkie figury robią wielkie fale. Sam ^

fto pan powtarzał. Wszystkie moje instynkty mówią: uwaga na tego faceta.

–Trudno mi się z tobą nie zgodzić. Myślę, że mógłbyś spędzić resztę dnia bardzo pożytecznie, starając się rzucić trochę więcej światła na to, co do tej pory wiemy. Scotty?

Kapitan Scott Wade, reprezentujący Wydział Wywiadu Wojskowego, skinął głową.

: – Panie admirale, od pierwszej chwili traktujemy sprawę tego zaginionego majora SAS bardzo poważnie. W tej chwili rozdzwoniły się wszystkie nasze dzwonki alarmowe. Jeżeli on rzeczywiście był w Londynie, to musiał mieć bardzo ważny powód, żeby tak wiele ryzykować. Nie wiem jaki, podobnie jak nie mam pojęcia, dlaczego miałby zabijać posła, ale całym sercem popieram pomysł, żeby Jimmy pogrzebał trochę w tej sprawie. W końcu wiemy, jaki on jest niebezpieczny. Ten gość może się okazać nowym Abu Nidalem.

[- Nawet nie wiemy, jak się teraz nazywa – mruknął admirał.

[- Stawiam dolary przeciw drożdżówkom, że wrócił do swojego pierwotnego imienia i nazwiska – wtrącił Jimmy. – Jak to było? Rawi? Rawi Raszud?

1 – Całkiem prawdopodobne, że używa tego nazwiska wśród swoich bliskowschodnich kumpli – zgodził się admirał. – Ale przecież nie w Londynie?

–Jasne, że nie, sir. Do Anglii wjechał na mur beton jako Pom, w mowie, uczynkach i wyglądzie. Co do tego nie ma wątpliwości – zapewnił Ramshawe. – Ten portier przecież by nie wpuścił do domu obcego faceta w arabskiej sukience bez wyraźnego polecenia kogoś z lokatorów.

–Co to jest Pom? – spytał kapitan Wade.

–Angol po australijsku. Zazwyczaj używa się tego określenia w połączeniu z przymiotnikiem „płaczliwy”, ale nie * tym wypadku. Major Kerman płaczliwy na pewno nie jest.

–Jimmy, lepiej bierz się do roboty – George Morris dobrotliwie przerwał ten improwizowany wykład o postrzeganiu Brytyjczyków na antypodach. – Nie wiem, od czego Powinieneś zacząć, ale na pewno przyjdzie ci do głowy kilka Pomysłów.

–Taa jest, sir!

Młody porucznik marynarki wstał i zabrawszy wypchany skoroszyt, odmaszerował na swoje stanowisko bojowe, d komputera i telefonów. W głowie formowała się mu mi pewna myśl; zastanawiał się nad rolą państwa Richarda i Naz Kermanów. Wszyscy przyjmowali za pewnik, że ich syn nie kontaktował się z nimi od chwili swego zniknięcia W końcu ich telefony były na

podsluchu, dom pod stałą obserwacją, cała poczta kontrolowana, i ani razu nie stwierdzono próby kontaktu. Równie trudno byłoby mu zadzwonić do nich z Londynu, jak z Jordanii. Od razu by go namierzono. Nie wiadomo, jak z e-mailami, ale Angole na pewno mogą je monitorować. Osobista wizyta w domu też została natychmiast zauważona. Czy jednak naprawdę nie doszło do choćby przelotnego spotkania? Jimmy był przekonany, że jeśli major Kerman zjawiał się w Londynie z jakimś zadaniem, które miało związek z morderstwem w Westminsterze, to musiał jakoś się skontaktować z rodzicami. Ramshawe nie wiedział czy Anglicy łączą te dwa zabójstwa ze śmiertelnie skuteczną techniką SAS, ale dla niego było to oczywiste. Trzeba teraz sprawdzić, co państwo Kermanowie porabiali przez cały tamten tydzień i czy istniała możliwość ich spotkania z synem. Włączył komputer i wpisał do wyszukiwarki hasło „Richard Kerman”. Zaskoczyła go liczba stron, które pojawiły się na liście: cały katalog artykułów prasowych o ojcu zaginionego oficera, kolejny zbiór publikacji dotyczących znanego londyńskiego armatora, wzmianki o nim w doniesieniach na temat giełdy, akcji i cen ropy naftowej, a do tego spis artykułów związanych z wyścigami konnymi. Jimmy postanowił zostawić te ostatnie na koniec, ale przebrnięcie przez całą resztę zajęło mu niewiele czasu; większość z tych danych czytał już wcześniej i teraz sprawdzał tylko, czy nic interesującego nie działo się w ciągu ostatniego miesiąca.

Informacje z dziedziny wyścigów były znacznie świeższe. Jimmy natychmiast wyłowił fakt, że drugą faworytką Złotego Pucharu w Ascot była Perska Dama, należąca do londyńskiego armatora Richarda Kermana i jego żony Naz. Widząc to, szeroko otworzył oczy i natychmiast wyszukał w Inter-necie stronę z rezultatami Royal Ascot 2006. Otworzył okno Złotego Pucharu i przeczytał, że ten prestiżowy maraton

odbył się w czwartek 22 czerwca. Przeszedł do komentarza gonitwy, aby sprawdzić, czy Perska Dama rzeczywiście wzięła w niej udział. Zajęła drugie miejsce, pokonana przez siwego wałacha o imieniu Homeward Bound. Dżokejem był Jack Carson, trenerem Charlie McCalmont, właścicielami... Ri-chard i Naz Kerman.

Porucznik przejechał myślą w dół, szukając wywiadu z Kermanem lub innego potwierdzenia, że nie ma tu pomyłki. Niedośzła zwyciężczyni Złotego Pucharu rzeczywiście należała do rodziców majora Raya. Wątpliwości być nie mogło...

Londyński armator Richard Kerman przyjął porażkę z godnością. „Jesteśmy bardzo dumni z Perskiej Damy” – powiedział. – „Trzeba było najlepszego w Europie długodystansowca, żeby odebrać jej zwycięstwo, i to zaledwie o dłoń, po dwudziestu furlon-gach”.

Jimmy przerzucił leżące na biurku wycinki prasowe. „Ciało znaleziono w piątek po południu... zbrodnia została popełniona poprzedniego wieczoru... w czwartek, zaledwie kilka godzin po zakończeniu Złotego Pucharu... I ten cholerny poseł był w Ascot. Jeszcze jeden zbieg okoliczności? To się musi jakoś ze sobą wiązać...” Obrócił się na krześle i sięgnął po słuchawkę, wybierając numer kolegi z CIA.

–Hej, możesz mi wyświadczyć szybką przysługę? Sprawdź, czy Angole rozmawiali w ciągu ostatnich dziesięciu dni z Ri-chardem i Naz Kermanami o ich zaginionym synu, dobra?

–Cholera, Ramshawe, ale z ciebie namolny gość... Daj mi czas do rana, co?

Jimmy odchylił się do tyłu i zaczął rozmyślać, stawiając się w położeniu majora Raymonda Kermana. „Dał nogę 2 armii, zostawiając za sobą karierę, dom i rodzinę, wszystko, co miał, wszelkie koneksje, znajomości... i zaparkował na środku jakiejś cholernej pustyni. Wiedział, co robi. W żaden sposób nie mógł się skontaktować z domem, nawet tylko po to, by upewnić rodziców, że żyje... Przecież to liniowy oficer SAS... Nie ryzykowałby niczego podobnego... Choćby dlatego, żeby nie narażać mamy i taty”. Wstał i zaczął krążyć po swym małym gabinecie.

–Biedny sukinsyn nie mógł sobie pozwolić nawet na przekazanie wiadomości. Jak miał zorganizować spotkanie? – mruzczał pod nosem. – Nie, kto jak kto, ale on na pewno się domyślał, że kontrwywiad pilnuje ich ze wszystkich stron, i wiedział, jak precyzyjni potrafią być ci faceci...

Minęło jeszcze kilka minut, zanim Jimmy ujrzał przysłowiowe światło.

–Mam! – wykrzyknął. – Major Kerman pojechał na spotkanie, wcale nie zawiadamiając o tym

rodziców. Nie musiał! Wiedział doskonale, gdzie będą przebywać około piętnastej w ten czwartek! Na padoku razem z treserem, przyglądając się przygotowaniom do gonitwy. Tymczasem co się dzieje? Ni stąd, ni zowąd wpada na tego cholernego palanta ze szkoły, który łapie go za ramię i zaczyna radosną pogawędkę o starych dobrych czasach... Biedny Ray musiał przeżyć życiowy szok. Nie dość, że stary znajomek, to jeszcze pieprzony poseł do Izby Gmin! I oczywiście nie może się doczekać, żeby wszem i wobec roztrąbić, że właśnie znalazł zaginionego kumpla-majora. Ray miał tylko jedno wyjście... i skorzystał z niego. Dowiedział się, gdzie mieszka Rupert, udał się tam i co? Okazało się, że to nie dom, ale mieszkanie w bloku, z portierem broniącym wejścia. Jakoś ominął tę przeszkodę i zaczął się na Ruperta w jego własnej garso-nierze, zabił go, a na odchodnym pozbył się portiera. W ten sposób jego wypad do Londynu pozostał tajemnicą, a rodzice wreszcie się dowiedzieli, że Ray żyje i ma się dobrze. Co więcej, nikt im nie będzie mógł tego udowodnić i aresztować za umyślne zatajenie informacji o poszukiwanym zdrajcy.

Jimmy zadzwonił do dyrektora, który kazał mu natychmiast stawić się w swoim biurze. Szybko przekonał admirała i kapitana Wade'a do swojej interpretacji tego niezwykłego splotu okoliczności: Złoty Puchar, który o włos ominął rodziców majora Kermana, morderstwo parlamentarzysty, jego kolegi z Harrow, o którym wiadomo, że był tego dnia na wyścigach.

–Gdyby Angole pofatygowali się na Bishop's Avenue i poważnie przycisnęli panią Kerman do muru, przyznałaby w końcu, że jej synalek zjawiał się w Ascot na pogawędkę pod hasłem „Nie martw się, mamusiu”. Oczywiście nic jej nie będzie wiadomo o śmierci Studleya-Bryce'a ani tym bardziej

portiera. Zresztą być może nigdy mu nie udowodnią tych zbrodni. Założę się jednak, że kiedy MI5 skończy z Kerma-nami, będziemy wiedzieli o wiele więcej o naszym majorze.

–Być może uda się nawet choćby z grubsza ustalić, gdzie on teraz mieszka – dorzucił z nadzieją Scott Wade.

–W to akurat wątpię – odparł admirał. – Ale, poruczniku, zrobił pan kawał dobrej detektywistycznej roboty. Nie można nic zarzucić pańskiej logice, to wszystko do siebie pasuje. Nie macie panowie poczucia, że zaczynamy powoli doganiać tego Kermana?

–No, w każdym razie jesteśmy bliscy udowodnienia ponad wszelką wątpliwość, że on żyje. A to już jest coś warte.

–Ale też cała sprawa nabiera przez to bardziej złowrogiego charakteru – powiedział Morris. – Ten facet ma łeb. Ustaliliśmy, że to on może odpowiadać za jeden z największych napadów na bank w historii. A kiedy postanowił zadać cios Izraelowi, nie bawił się w jakieś tam odbijanie paru więźniów politycznych z byle aresztu, tylko za jednym zamachem uwolnił wszystkich, i to z najlepiej strzeżonego więzienia w kraju. Obawiam się, że Kerman może planować jakieś poważne uderzenie przeciwko Zachodowi, coś tak wielkiego, żeby nam dech zaparło. Mam dziwne przeczucie, że ten facet może dokonać wszystkiego, co mu się zamarzy. Trzeba przyznać, że ma klasę. Może nie taką jak nieboszczyk Ben Adnam, ale zawsze. Musimy przyjąć, że jest cholernie niebezpieczny. Wsadźmy Angolom petardę w tyłek, niech się ruszą i sprawdzą, czy nie da się przyskrzynić galopującego majora, zanim znów uderzy. Bo gdy to zrobi, to może być pamiętne wydarzenie w negatywnym znaczeniu.

Poniedziałek, 10 lipca 2006 r., godzina 9.00. Sztab chińskiej Floty Północnej, Tsingtao, prowincja Shan-dong

Sala konferencyjna była duża, ale prosto urządzona. Znajdowała się na jednym z górnych pięter gmachu dowództwa floty, z widokiem na chłodne fale Morza Żółtego. Jej

mlecznobiałe ściany stanowiły kontrastowe tło dla czarnych szat dwóch irańskich ajatollahów. Duchowni siedzieli nieruchomo pod wielkim portretem Jiang Zemina, polityka, którego droga kariery, ukoronowana najwyższą władzą w Pekinie, wiodła przez stanowisko przewodniczącego potężnego Komitetu Spraw Wojskowych w Armii i Marynarce Ludowo-Wyzwoleńczej. To właśnie Jiang tworzył zasady dystrybucji miliardów dolarów chińskiego budżetu obrony, z każdym rokiem osiągającego nowy, rekordowy poziom. Teraz robili to jego następcy, którzy właśnie wysłuchali absolutnie niezwyklej prośby. Dwaj świątobliwi mężowie z gorących i pylistych ziem nad Zatoką Perską przybyli tu, aby przedyskutować możliwość zakupienia przez chińską marynarkę wojenną aż dwóch nuklearnych okrętów podwodnych od

Rosjan, oczywiście w najściślejszej tajemnicy i bez wyjawiania komukolwiek i kiedykolwiek, że prawdziwym nabywcą byłby Iran. Ajatol-lahom towarzyszył naczelny dowódca ich sił morskich, wiceadmirał Mohammed Badr, oraz jego „główny doradca wojskowy”, generał Rawi Raszud. Wraz z nimi do Chin przybyło czternastu ordynansów, którzy czekali teraz na zarezerwowanym dla całej delegacji dwudziestym trzecim piętrze wielkiego hotelu „Huiquan Dynasty”, położonego nieopodal „Plaży nr 1”, o dziesięć minut jazdy od sztabu Floty Północnej. Wewnętrznym kręgom władzy we współczesnych państwach militarystycznych nieobcy jest i handel bronią, i sami handlarze, ale widok dwóch muzułmańskich mułłów w pełnej gali, usiłujących położyć ręce na najgroźniejszej broni świata, atomowym okręcie podwodnym, miał w sobie coś nierealnego. Krzaczaste brwi głównodowodzącego Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej, admirała Zhanga Yushu, sterczały uniesione ze zdziwienia, kiedy słuchał tłumaczenia owej nie z tej ziemi prośby imamów z Teheranu.

–Ależ, panowie, z pewnością wiecie o ograniczeniach narzuconych przez traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej – zaczął. – Nie przewidujecie, że Rosja może zgłaszać najpoważniejsze zastrzeżenia? Oni nie chcą być pierwszym mocarstwem atomowym, które sprzedałoby tego typu okręt obcej flocie.

–Przewidujemy, że ich rozpaczliwe zapotrzebowanie na

Lotówkę może wziąć górę nad ich... nazwijmy to... wyrzutami sumienia po sprzedaniu tego narzędzia wojny. Bądźmy szczerzy, Rosjanie nigdy się nie wahali eksportować broń do jakiegokolwiek kraju, a szczególnie do was. I to jaką broń! Kupiliście od nich duże niszczyciele rakietowe, okręty podwodne klasy Kilo, a nawet, jak mi się zdaje, lotniskowiec. i – Nie my jedni – wpadł mu w słowo Zhang. – Wy sami nabyliście w Rosji co najmniej trzy podwodniaki spalinowo-elektryczne...

–Tak, ale nie atomowe. To co innego.

\ – Panowie, jak się zdaje, nie zamierzacie pozwolić, aby istnienie na okręcie reaktora jądrowego zagroziło wam drogę do postępu...

i – Z pańską pomocą, admirale, mam nadzieję, że nam się to uda.

I –Tak... – wycedził Zhang. – Jednak spełnienie waszej prośby wiąże się z podjęciem przez nas bardzo dużego ryzyka... i z pewnością rozjuszy Waszyngton.

Ł – Szczerze mówiąc, nie widzimy powodu, aby Waszyngton się kiedykolwiek dowiedział, że ją spełniliście...

–Waszyngton ma sposoby, żeby się dowiedzieć wszystkiego, co zechce – przerwał opryskliwie Chińczyk.

–Ale może akurat nie tego – powiedział łagodnym tonem ajatollah. – Widzi pan, prosimy was o zakup okrętów podwodnych, co przecież nie jest niczym szokującym. Chcemy też, żeby dostawa odbyła się szlakiem wzdłuż północnych brzegów Syberii na Morze Barentsa. Okręty zawinęłyby do rosyjskiej bazy w Pietropawłowsku, gdzie byśmy je przejęli i stamtąd wyruszyli na naszą misję. Nie zamierzamy was mieszać w tę sprawę, poza kwestią finansową. My płacimy, wy kupujecie, Rosjanie podstawiają okręty na miejsce, my je w najściślejszej tajemnicy obsadzamy. Jest wielce prawdopodobne, że kiedy wyjdą w morze z Pietropawłowska, Amerykanie nawet się nie zorientują, że zostały komukolwiek sprzedane.

–Widzicie więc nas tylko w roli agenta pośredniczącego * transakcji? Ale to my znajdziemy się na celowniku, gdyby Waszyngton wykrył, kto jest formalnym właścicielem tych jednostek.

–No cóż, prawdziwy nabywca raczej nie może figurować w dokumentach...

–Oczywiście – Zhang znów wszedł rozmówcy w słowo. – Rosjanie prawdopodobnie zgodziliby się nam sprzedać parę okrętów atomowych, ale przecież nie naplują w twarz światowej opinii, przekazując je islamskiej republice z Bliskiego Wschodu. To byłoby za wiele nawet dla nich.

–I właśnie dlatego siedzimy przy tym stole.

Admirał Zhang wstał. Był wysokim mężczyzną, o krępej budowie i wyglądzie twardego faceta. Jego ojciec był kapitanem frachtowca z południa Chin, a on sam dowodził niejednym okrętem Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej.

–Panowie, przyznaję, że wasz plan ma solidne podstawy – powiedział. – Tak, chyba moglibyśmy zakupić potrzebne wam jednostki. Zgadzam się, że nie miałyby to dla nas wielkiego znaczenia, pod warunkiem że to wy za nie zapłacicie. I to prawda, że nie ponosilibyśmy wielkiego ryzyka, o ile rzeczywiście okręty zostałyby dostarczone i odebrane przez was w rosyjskiej bazie i trzymałyby się z dala od Chin. Pytam jednak, co się stanie, kiedy popłyniecie sobie waszym nowym cackiem i dokonacie jakiegoś oszalałego ataku na Wielkiego Szatana, a Rosjanie pod ekstremalną presją Zachodu przyznają, że sprzedali okręty nam i że noszą one banderę Chińskiej Republiki Ludowej? Co wtedy, panowie?

–Pomyślałem o tym – odrzekł ajatollah, spoglądając na notatki przygotowane przez generała Raszuda. – Powiecie wtedy prawdę. Tak, kupiliście te okręty, ale nigdy ich nie odebraliście, a żaden z nich nigdy nie zawiązał do żadnego chińskiego portu, a nawet nie wszedł na wasze wody terytorialne.

–Co, oczywiście, będzie najzupełniej zgodne z prawdą... -podjął w zamyśleniu Zhang.

–Po prostu do niczego się nie przyznacie.

–Ale gdzie wtedy będzie drugi okręt?

–To, panie admirale, pozostaje do uzgodnienia. Miałem jednak nadzieję, że moglibyśmy go przesz muglować do Chin i gdzieś ukryć. Być może wyruszyłyby do was zupełnie inną trasą.

–Pewnie dałoby się to zrobić. – Zhang kiwnął głową. – Ale

wciąż nie bardzo widzę, jakie korzyści miałby z tego wszystkiego mój kraj albo moja marynarka.

–Zakwalifikowałbym to jako „dalsze przyjazne stosunki między Chinami i Iranem” – odparł ajatollah. – Pamięta pan? Wielki chińsko-irański pakt, o którym tylekroć wspominaliśmy. Ten sam, który o mało nie upadł, kiedy wycofaliście się z podpisanego już kontraktu na dostawę rakiet C-802, pozostawiając nas bezbronnych w obliczu amerykańskiej agresji. Macie teraz idealną sposobność, by to naprawić...

Komisarz polityczny floty, wiceadmiral Feng Lu Dong, skrzywił się boleśnie na tę wzmiankę. Doskonale zdawał sobie sprawę, jak ważna dla Chin jest bliskowschodnia ropa i jak dalece muszą polegać na dobrej woli ajatollahów. Były zastępca dowódcy MLW odezwał się po raz pierwszy, podejmując drażliwy temat rakiety, która stała się powodem tak poważnego sporu między obydwoma krajami. Skinął głową przewodniczącemu spotkaniu admirałowi Zhangowi i uzyskawszy jego milczącą zgodę, powiedział:

–Wasza Świątobliwość, rozumiem dobrze wasz głęboki żal z powodu niedojścia do skutku tej umowy, jak z kolei wy musicie rozumieć nasze wielce trudne położenie. Ufam, że wiecie, iż zawsze działaliśmy nie tylko we własnym, ale i w waszym najlepszym interesie. Wiadomo wam przecież, że Amerykanie podjęliby działania militarne i prawdopodobnie zaatakowali Bandar Abbas, gdybyście uzyskali dostęp do C-802. Możliwe zniszczenie głównej bazy waszej marynarki byłoby fatalne i dla was, i dla nas. Jakby tego było mało, wtrącili się jeszcze Francuzi, grożąc, że odmówią nam dostaw silników do tej rakiety... Było tyle okoliczności, na które nie mieliśmy żadnego wpływu...

–Ale wyszło na to, że mniej wam zależy na nas niż na wszystkich innych – rzekł ajatollah z uśmiechem.

–Ależ wprost przeciwnie! – obruszył się wiceadmiral Feng. – Tylko że tamtych mogliśmy traktować jak biznesmenów, was natomiast musieliśmy traktować jak brata.

–I zdecydowaliście się zostać stróżem brata swego?

–Czego innego spodziewalibyście się po najlepszym przy-icielu?

Zarówno Zhang Yushu, jak i Rawi Raszud uśmiechnęli

się, słysząc tę błyskotliwą w swej zwięzłości wymianę zdań.

–I tak dochodzimy do istotnego pytania – rzucił ajatollah. – Czy nadal jesteście naszymi najlepszymi przyjaciółmi? – Tym razem jego twarz straciła wszelki wyraz; nie było na niej nawet cienia niedawnego uśmiechu.

–Oczywiście – odrzekł admirał. – Szanujemy was i ufamy wam...

–A zatem z pewnością pragniecie wyrazić te uczucia tak, aby z kolei zaskarbić sobie naszą wdzięczność.

–Jak najbardziej... ale...

–Obawiam się, że tu nie może być żadnego ale. Kiedy opuścimy tę salę po zakończeniu rozmowy, oczekuję, że będziemy żegnać naszych braci, przyjaciół i pośredników. Spełniając naszą prośbę, zyskacie trwałą przyjaźń najpotężniejszego kraju Bliskiego Wschodu... i, pozwolę sobie z szacunkiem przypomnieć, waszego partnera w tylu przyszłych przedsięwzięciach.

–Dobrze to rozumiemy – rzekł Chińczyk, znowu szukając wsparcia u admirała Yushu.

Zhang pospieszył mu z pomocą.

–Zdaje się, że to, co nas łączy, jest o wiele silniejsze od tego, co nas czasem dzieli. Zasadniczo przyjmuję waszą prośbę o zakup dla was dwóch rosyjskich okrętów podwodnych, ponieważ nie jest ona niczym niezwykłym między przyjaciółmi. Muszę jednak spojrzeć na to także z innego punktu widzenia. Jestem profesjonalnym oficerem marynarki, dowodziłem kiedyś niszczycielem rakietowym klasy Luda i chciałbym usłyszeć wasze odpowiedzi na kilka pytań. – Zhang zaczął odczytywać z małego notesu. – Po pierwsze, kto miałby dowodzić tymi okrętami? Po drugie, jakie doświadczenie ma wasza marynarka wojenna w zakresie jednostek o napędzie nuklearnym? Po trzecie, czy uda się wam zebrać załogi o odpowiednich kompetencjach do prowadzenia sporego podwodniaka w misji długodystansowej? Po czwarte, czy macie co najmniej sześciu oficerów znających się na obsłudze reaktora i systemu napędu? W tym bardzo dobrego dowódcę działu reaktora i nie mniej niż dwóch podoficerów z odpowiednim doświadczeniem? Krótko mówiąc, czy dacie

sobie radę z operowaniem okrętem o wyporności ośmiu tysięcy ton we wszelkich warunkach pływania? No i ostatnie pytanie: do czego właściwie jest wam potrzebny taki okręt? Ajatollah ustąpił pola admirałowi Badrowi, który wstał, skłonił się wszystkim i zaczął mówić, nie korzystając z żadnych notatek.

–Panie admirale – zwrócił się do Zhanga Yushu. – Jak już wcześniej wyjaśniłem, okręty, o które nam chodzi, to Barra-cudy typu 945. Dowództwo pierwszej, która będzie w gotowości operacyjnej, obejmie mój syn, komandor Ben Badr, być może pamięta go pan. Przed czterema laty studiował właśnie tu, w akademii broni podwodnej w Tsingtao, i zrobił dyplom z napędów nuklearnych. Wymaganą sześciomiesięczną praktykę odbył rok później w Szanghaju, niemal wyłącznie na waszych jednostkach atomowych klasy Han, typ 091. Ben pracował na Han 405, tuż po jego przebudowie.

–Przekona się, że Barracuda jest znacznie trudniejsza w obsłudze niż Han – wtrącił Zhang. – Jest o wiele szybsza, większa i bardziej skomplikowana.

–Zasady jednak pozostają takie same – odparł Badr. – Oprócz Bena czterech innych irańskich oficerów uczyło się w Tsingtao. Dwaj z nich dowodzą teraz naszymi Kilo, pozostała dwójka jednostkami nawodnymi. Zresztą nie dalej jak miesiąc temu posłaliśmy ośmiu młodych komandorów na uniwersytet w Teheranie; studiują fizykę jądrową. Nie jesteśmy zupełnymi nowicjuszami, jeśli chodzi o atomowe okręty podwodne.

r – Tak, rozumiem. Macie grupę fachowców, którzy mogą stanowić trzon załogi Barracudy, no i oczywiście obowiązki większości marynarzy będą identyczne na okręcie atomowym i konwencjonalnym. Wszystkie systemy są w końcu rosyjskie.

–Właśnie – przytaknął Irańczyk. – Niemniej będzie nam Potrzebne szkolenie. Mam nadzieję, że Rosjanie zgodzą się je Przeprowadzić na zwykłych warunkach. Może moglibyście Wysłać do nich grupę chińskich oficerów razem z naszymi. Towarzyszyliby im potem w drodze na Pacyfik.

–Czyni pan śmiałe założenia do waszego planu, admira-*e – powiedział Zhang Yushu.

–Tak naprawdę jest jedno założenie – odparł Badr. _ Zakładam, że kiedy zaczniecie otwierać tę waszą ogromną książeczkę czekową, chciwy i wygłodniały rosyjski niedźwiedź może wam odgryźć rękę.

Wszyscy się roześmiali, a irański admirał ciągnął:

–Potrwałoby to sześć do ośmiu miesięcy, ale jestem przekonany, że będziemy mogli zebrać kompetentną załogę, zdolną do poprowadzenia Barracudy.

–Możliwe – zgodził się Zhang. – Pozostaje jednak ostatnie pytanie. Dla nas to warunek dalszej współpracy w tej sprawie. Musimy wiedzieć, oczywiście w najściślejszej tajemnicy, co właściwie zamierzacie zrobić.

–To proste. Chcemy zniszczyć nowy amerykański rurociąg naftowy z Alaski, który wkrótce ma zapewnić energię elektryczną dla wszystkich stanów Zachodniego Wybrzeża od granicy kanadyjskiej po meksykańską.

–Ach, tak... – Zhang Yushu się uśmiechnął. – Czy sądzicie, że was za to obwinia?

–Na pewno nie, jeśli zaatakujemy po cichu, spod wody, z zastosowaniem i rakiet, i torped.

–A jaki jest wasz zasadniczy cel?

–W krótkiej perspektywie chcemy zmusić Amerykanów do ponownego wejścia na światowy rynek ropy i odciąć ich od złóż alaskańskich...

–A w bardziej odległej?

–Zamierzamy w sposób ciągły atakować amerykańskie instytucje i przedsiębiorstwa, zmuszając ich do przyjęcia postawy defensywnej, do rozciągnięcia sił, i będziemy to robić dopóty, dopóki sami nie uznają, że ich globalna rola jest nie do utrzymania, i nie wycofają się w nową odmianę izo-lacjonizmu, może w partnerstwie z Kanadą i Ameryką Południową, ale na pewno znikną z Bliskiego Wschodu.

–Wpływacie na bardzo niebezpieczne wody – wtrącił admirał Feng Lu Dong. – My bardzo powoli przejmujemy duże kontrakty na bliskowschodnią ropę, obserwujemy też, że Stany Zjednoczone stopniowo opuszczają ten rynek. Dlaczego więc atakować ich instalacje na Alasce?

–Dlatego, że Ameryka zawsze pozostanie Ameryką odrzekł Mohammed Badr. – Każdy atak na ich rurociąg

ubodzie ich do żywego; poruszą niebo i ziemię, żeby naprawić szkody, a potem pilnie go strzec. Obecny lokator Białego Domu chce, aby Stany były samowystarczalne pod względem energetycznym. Kiedy oni w końcu się pozbierają po naszych ciosach, skoncentrują się na Alasce i przemieszczą tam poważne siły morskie, żeby bronić swoich interesów. To tylko kolejny krok w naszej strategii zmierzającej do rozciągnięcia ich sił. Ameryka w końcu stanie się biernym klientem, nabywającym ropę od nas i od was, a nie jakimś goliatem usiłującym narzucać swoje rządy na Bliskim Wschodzie i wszędzie indziej.

–Chcecie spowodować, aby porzucili ideę globalnego przewodnictwa, bo uznają ją za niewartą kosztów?

–Chcemy usunąć ich z Bliskiego i Dalekiego Wschodu, stosując politykę irytowania ich do granic wytrzymałości. To będzie droga do zbudowania wielkiego, dominującego w świecie chińsko-irańskiego przymierza handlowego, a bardzo możliwe, że również ogromnego państwa islamskiego, rozciągającego się na cały Bliski Wschód i północną Afrykę, na wzór wspaniałej wizji naszego Proroka.

Admirał Zhang słuchał z melancholijnym wyrazem twarzy. Skinął z powagą głową i zaproponował półtoragodzinną przerwę, jako że zbliżało się południe, a obie strony na pewno zechcą rozważyć efekty dotychczasowej dyskusji we własnym gronie. Ajatollahowie się zgodzili i wkrótce delegacja irańska opuściła rozległe tereny bazy marynarki i powróciła do hotelu miłymi dla oka ulicami tego niegdysiejszego nadmorskiego kurortu i zamorskiego przyczółka Rzeszy Niemieckiej; końca dziewiętnastego wieku. Tsingtao wciąż nosi ślady kolonialnej przeszłości; miejscami wygląda wręcz jak małe bawarskie miasteczko, upstrzone krytymi dachówką domami z muru pruskiego. Strzeliste wieże kościołów protestanckiego i katolickiego wyznaczają drogę do dawnej siedziby gubernatora, do złudzenia przypominającej pruski dworek myśliwski °stawiony na szczycie wzgórza noszącego wówczas imię Bisnaarcka.

Znalazłszy się w hotelu, obaj ajatollahowie oddali się mod-•)ni. podczas gdy wiceadmirał Badr i generał Raszud usiedli a nasłonecznionym tarasie ze szklankami zimnego piwa

Tsingtao, wciąż warzonego w odziedziczonym po kolonialistach browarze Germania i eksportowanego na cały świat.

–1 co o tym myślisz, Mohammedzie? Mamy ich? – Rawi nie zdradzał niepokoju, ale był bardzo skoncentrowany.

–Absolutnie – odrzekł admirał. – Nie mam wątpliwości, że Zhang odegra rolę naszego agenta w zakupie Barracud. Jestem też jednak pewien, że zażąda pięcioprocentowej prowizji, czyli trzydziestu milionów przy cenie sześciuset milionów. Cała reszta bardzo im pasuje. Każde zakłócenie w gospodarce energetycznej Stanów Zjednoczonych sprawi im wielką przyjemność, zwłaszcza że nagle staliby się ważnymi partnerami handlowymi USA, po raz pierwszy jako dostawcy. Tak, to by im się podobało... Równość z takim mocarstwem i w ogóle. Chińskie kontrakty naftowe w Zatoce Perskiej z dnia na dzień nabrałyby nowej wartości.

–Też tak uważam. Nasza operacja wyraźnie przypadła im do gustu. Przypuszczam, że jedynym ich zmartwieniem jest możliwość przechwycenia Barracudy przez Amerykanów, być może jeszcze przed dokonaniem ataku. Chińczycy za nic nie chcieliby, aby na pokładzie znajdowali się wówczas ich ludzie z Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej.

–Na pewno nie. Naszym atutem jest jednak to, że Barracuda nigdy nie wpłynie do chińskiego portu. – Badr dopił piwo, po czym dodał: – Jedyne problemy w tym, co Chińczycy odpowiedzą Rosjanom, kiedy Amerykanie zaczną obwiniać Moskwę.

–Podpowiem im – odrzekł Rawi. – To proste. Do niczego się nie przyznają. Będą udawać całkowite zamieszanie, prowadzić śledztwo, szukać wyjaśnienia, dlaczego okręty nigdy nie dotarły do Szanghaju, zaklinać się na wszystkie świętości, że Rosjanie nic złego nie zrobili, wyrażać absolutne zaskoczenie amerykańskimi problemami na Zachodnim Wybrzeżu i zaprzeczać wszystkiemu. Będą się uśmiechać uprzejmie jak cholera, zaoferują pomoc i będą wielce zatroskani nieszczęściem, jakie spadło na ich wielkich przyjaciół zza oceanu.

Mohammed Badr nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

–Będą też się modlić do wszystkich świętych, żeby Barracuda nie została przyłapana – dorzucił.

–I nie zostanie. Ten okręt może zrobić swoje na wschodnim Pacyfiku, po czym zawrócić i zwiewać non stop, bez uzupełniania paliwa i na dużej głębokości aż na Indyjski, na Atlantyk czy na wody antarktyczne. Gdzie tylko sobie zamierzymy. Obaj wiemy, admirale, że nie ma nic bardziej nieuchwytnego od cicho płynącego atomowego okrętu podwodnego.

Irańczycy zjedli jeszcze lekki lunch złożony ze strzykw, zwanych też „morskimi ogórkami”, krewetek i małży, miejscowych specjalności poławianych w okolicy tego jednego z najstarszych portów rybackich w Chinach, od wieków usadowionego na tym odległym skrawku wybrzeża, o pięćset kilometrów na północ od Szanghaju i tyle samo na południowy wschód od Pekinu. Zebranie wznowiono o czternastej. Admirałowi Zhangowi towarzyszył tym razem jego stary przyjaciel, admirał Zu Jicai, równie mądry, jak przebiegły dowódca Floty Południowej, oraz dowódca Floty Północnej, wiceadmirał Zhu Kashing ze swym zastępcą, wiceadmirałem Zhi-Heng Tanem. Wszyscy czterej usiedli w zwartej grupce u szczytu stołu. Zhang zaczął mówić pierwszy.

–Myślę, panowie, że możecie przyjąć, iż chińska marynarka wojenna uczyni wszystko, aby zakupić dla was dwa okręty podwodne klasy Barracuda. Na pewno jednak rozumiecie, że zajmie to trochę czasu i będzie wymagało co najmniej kilku podróży na północ Rosji. Musimy działać tak, jak gdyby te jednostki miały służyć nam. To sprawa zasadniczej wagi i myślę, że w związku z tym należy się nam drobna rekompensata w formie prowizji... powiedzmy, dziesięć procent od ceny transakcyjnej...

Admirał Badr natychmiast wszedł mu w słowo, mówiąc:

–Braliśmy to pod uwagę, admirale, ale nie chcielibyśmy też tracić z pola widzenia faktu, że to przedsięwzięcie jest naprawdę drobną przysługą, wyświadczaną nam w związku z... nieporozumieniem dotyczącym rakiety C-802. Uważam zatem, że pięć procent prowizji byłoby bardziej do przyjęcia.

Zhang Yushu nachylił się do admirała Zu Jicaia, który jak zawsze siedział po prawicy szefa. Obaj od początku dobrze wiedzieli, że taka będzie ostateczna kwota. Zhang obdarzył zebranych promiennym uśmiechem, zadowolony, że właśnie

zarobił dla Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej ze trzydzieści milionów dolarów, i rzekł:

–Cóż, nie możemy się podjąć takiego zadania za mniej niż dziesięć procent... w każdym razie dla nikogo innego. Z wami jednak to zupełnie inna sprawa... Jesteście naszymi braćmi i pięć procent jest jak najbardziej właściwą sumą.

To powiedziawszy, obszedł stół, by uścisnąć dłonie ajatol-lahom, wiceadmirałowi Badrowi i nieco tajemniczemu generałowi Raszudowi. Chińczycy kłaniali się raz po raz, muzułmanie swoim zwyczajem obejmowali ich. Interes został przypieczętowany wzajemnymi deklaracjami przyjaźni i innych ciepłych uczuć, w tym, oczywiście, zaufania. Dyskusja się jednak na tym nie zakończyła. Zebrani przeszli do tematu wyruszenia pierwszej Barracudy na misję u wybrzeży Alaski.

–Będziemy się oczywiście starali znaleźć dla pierwszego okrętu keję w Pietropawłowsku – zapewnił admirał Zhang. – Ich porty są jednak teraz tak zatłoczone, tyle jednostek stoi w odstawce, że może się to okazać niełatwe. Oni już na dobrą sprawę doszli do sytuacji, kiedy co trzeci okręt jest rozbierany na części zapasowe dla innych, a i tak nie stać ich na wychodzenie w morze. Czytałem gdzieś w ubiegłym tygodniu, że dwie stocznie obsługujące Flotę Północną zagroziły przejęciem jej okrętów i sprzedaniem na złom, jeżeli ich rachunki nie zostaną spłacone.

–Wygląda to na idealną atmosferę do sprzedaży kilku niepotrzebnych podwodniaków – zauważył Raszud.

–Tak się może wydawać. – Zhang Yushu skinął głową. – Za waszym pozwoleniem poinformujemy Rosjan, że zamierzamy wysłać do nich załogę... dwadzieścia kilka, może trzydzieści osób... w celu odbycia wspólnego z nimi rejsu z Ara-guby do Pietropawłowska, gdzie przejmemy okręt, i wyruszymy do domu już we własnym gronie.

–Bardzo dobrze – odrzekł Badr. – Zajmijcie się też przeszkoleniem naszych ludzi, to znaczy nukleoników. Nie powinno być z tym problemu. Do tej pory zawsze chętnie w tej mierze współpracowali z nami, zwłaszcza gdy dobrze im za to płacono.

–Myślał pan już o warunkach płatności? – spytał Zu Jicai.

–Tak. Chcemy spróbować wynegocjować cenę pięciuset milionów za oba okręty, ale może się to nie udać. Jeśli będziemy musieli dojść do sześciuset, wówczas zamierzamy wpłacić zaliczkę w wysokości dwustu milionów przy podpisaniu umowy, potem sto milionów z chwilą przygotowania pierwszej Barracudy do przyjęcia naszej załogi i wyjścia w morze. Kolejne dwieście milionów zapłacimy, gdy okręt zacumuje w Pie-tropawłowsku. Takie są nasze warunki.

–A ostatnie sto milionów?

–Płatne z chwilą wyjścia w morze drugiej Barracudy.

–To chyba do przyjęcia, zwłaszcza gdy druga strona jest bliska bankructwa – zgodził się Zhang.

–A w tym czasie postarajcie się podpisać umowy na przyszłe dostawy – wtrącił starszy z ajatollahów. – Zwłaszcza zaś kontrakty z saudyjskim domem królewskim.

–Tak, to byłoby rozsądne – zgodził się Zhang. – Nigdy jednak do tych negocjacji nie tęsknimy. Trudno się z nimi rozmawia, być może dlatego, że są równie królewscy jak ja. Zwykła grupka nomadów, którzy znaleźli sobie słodkiego tatuśka w Waszyngtonie... który za nich szuka ropy, wierci szyby, układa rurociągi, magazynuje ropę, przetwarza, a potem od nich kupuje.

General Raszud parsknął śmiechem. Opisany przez Chińczyka proces niewiele się różnił od sytuacji, kiedy w 1925 roku Reza Khan Pahlavi przejął władzę w Persji i ogłosił się monarchą. Rawi zauważył też, że ajatollahowie, zaprzysięgli wrogowie Pawiego Tronu, subtelnie dają wyraz akceptacji kpin z Saudyjczyków.

–Naprawdę sądzicie, że Stany Zjednoczone będą musiały kupować ropę od nas? – spytał Zu Jicai.

–Jeżeli ich alaskański rurociąg nagle wyschnie, to będą musieli poszukać jej gdzie indziej, i to w wielkim pośpiechu – Jdrzekł ajatollah. – Dzięki swym dużym kontraktom na Bliskim Wschodzie Chiny będą logicznym wyborem. Możecie Wysyłać im ropę prosto z naszej wspólnej rafinerii. Przewiduję też pewien wzrost cen, co przysporzy nam korzyści.

–O wszystkim pomyśleliście – powiedział Zhang. – Zdaje si?> że przed nami wielka przygoda.

Dwa miesiące później, wrzesień 2006 r. Sztab mary. narki wojennej Iranu w Bandar Abbas

Zaszyfrowana wiadomość z Tsingtao do dowódcy marynarki irańskiej była nader zwięzła: „Brzytwogębny 600 potwierdzone”. Był to zawczasu uzgodniony sygnał, że Rosjanie zgadzają

się sprzedać oba okręty po przystępnej cenie. Mohammed Badr, zapalony wędkarz morski, sam wymyślił kryptonim dla nich, przypomniawszy sobie dawną wyprawę w okolice wyspy Miyake, leżącej na południe od Zatoki Tokijskiej. Był wówczas młodym komandorem porucznikiem; po godzinnej walce udało mu się złowić jedną ze srebrzystych, szybkich jak błyskawica drapieżnych bar-rakud, a wtedy szyper wynajętej łodzi krzyknął: „Uważaj na tego brzytwogębnego drania, bo ci odgryzie ptaka!” Patrzył teraz na leżącą przed nim depeszę, potwierdzającą zakup dwóch atomowych okrętów podwodnych dla Iranu, z bezgraniczną satysfakcją dającą się porównać chyba tylko z zadowoleniem z faktu, że wtedy zastosował się do ostrzeżenia rybaka.

Podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer w Syrii i polecił zgłaszającemu się rozmówcy natychmiast przybyć na spotkanie do Bandar Abbas, informując, że irański samolot wojskowy zabierze go o siódmej rano następnego dnia z lotniska międzynarodowego w Damaszku. Powiedział też generałowi Raszudowi, że obaj polecą później do Tsingtao, aby wraz z prawnikiem przeczytać i podpisać odpowiednie kontrakty w imieniu Islamskiej Republiki Iranu.

Środa, 20 grudnia 2006 r., godzina 8.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Porucznik Ramshawe przeglądał listę szyfrowanych sygnałów przechwyconych z satelity chińskiej marynarki wojennej i odczytanych przez CIA. Samego przechwycenia dokonali oczywiście podsłuchiwalcy z NSA, ale to ludzie z wywiadu sortowali tę masę depesz i e-maili, oddzielając rutynową korespondencję i odsyłając z powrotem do Fort Meade wszyst-

ko, co brzmiało tajemniczo, niezwykle lub złowrogo. „Brzytwo-gębny 600” został zaliczony do tego drugiego zestawu. Wylądował wraz z dwunastoma stronami innych sygnałów w komputerze Jimmy'ego i natychmiast zwrócił jego uwagę.

–Brzytwogębny 600? Co to, u diabła, znaczy? Porucznik obracał w myślach to dziwne słowo z właściwą

sobie czujnością, wspartą typowo australijską niechęcią do niewiadomego. Brzytwa... gęba... ostry język... zęby... cholera wie. To może być nawet jakaś literówka... Kto lub co jest brzytwogębne?

–Dziwaczne słowo – mruknął swoim zwyczajem do siebie. – Nigdy takiego nie słyszałem. To chyba oznacza kogoś ciętego, zdolnego do szybkiej riposty. Pewnie jakiś chiński dowódca wyżywa się na swoim szefie. Mam nadzieję, że „Brzytwogębny” sam nie czyta sygnałów...
biedny matros

(pewnie trafiłby pod mur...

To rzekłszy, Jimmy Ramshawe zapisał sygnał w swoim osobistym folderze, gdzie trzymał wszystkie podobne nie rozwiązane, ale intrygujące zagadki.

Sobota, 20 stycznia 2007 r. Północna Rosja

Szary Tu-22, wielozadaniowy samolot ZOP (zwalczania okrętów podwodnych), znany w NATO pod kryptonimem „Niedźwiedź”, leciał z prędkością ponad dziewięćset kilometrów na godzinę prawie siedemnaście tysięcy metrów ponad białym, mroźnym lądem ku równie białemu, zamrażającemu morzu. Była godzina trzynasta, co zresztą nie miało większego znaczenia, o tej porze roku bowiem, podczas nocy polarnej, słońce ani na chwilę nie wychyla się ponad horyzont. Temperatura przy ziemi wynosiła minus dwadzieścia jeden stopni. Do celu, głównej bazy Floty Północnej w Sie-wieromorsku, odległego od Moskwy o ponad półtora tysiąca kilometrów, pozostała jeszcze godzina lotu prosto na północ.

W tym północno-zachodnim krańcu Rosji niepodobna odróżnić ląd od morza, wszędzie bowiem króluje lód i śnieg. Trasa lotu „Niedźwiedzia” wiodła nad Murmańskiem, naj-

dalej wysuniętym na północ miastem świata, na lotnisko położone nad samym brzegiem Morza Barentsa, nie zamrażającego przez całą zimę dzięki docierającemu aż tutaj ciepłemu Prądowi Północnoatlantyckiemu, będącemu przedłużeniem słynnego Gofsztrumu. Kiedy koła Tu-22 dotkną pasa startowego, pokładowy system nawigacyjny wskaże szerokość geograficzną 69°N, o wiele bliżej bieguna niż Islandia.

–Wygląda na to, że będzie trochę chłodno – zauważył generał Raszud, wpatrując się w mrok za oknem. – Byłeś kiedyś tak daleko na północy, Mohammedzie?

–Nigdy w życiu nie było mi nawet zimno! – Wiceadmirał Badr zachichotał. – Jesteś pewien, że to konieczne?

–No cóż, ja się muszę spotkać z ludźmi, którzy poprowadzą okręt, a ty powinieneś sprawdzić, za co właśnie zapłaciliście dwieście milionów dolarów.

–Żartowałem – odrzekł Badr. – Cieszę się na spotkanie z Benem. Siedzi tu już dwa miesiące.

Dotarli do Siewieromorska krótko przed czternastą. Na zewnątrz panowała absolutna ciemność, rozjaśniona tylko przez światła wyznaczające pas startowy i latarnie wokół budynku lotniska. Samochód sztabowy rosyjskiej marynarki czekał już przy samolocie, natychmiast więc odjechali zaśnieżoną drogą prowadzącą najwyraźniej do portu. Dojazd na nabrzeże zajął dwadzieścia minut. Na miejscu okazało się, że w dalszą drogę wyruszą na pokładzie szybkiego kutra raketowego klasy Miraż. Po półgodzinie mały okręt, płynący po gładkich jak lustro wodach ujścia rzeki Kola z prędkością czterdziestu węzłów, dowiózł swych pasażerów do portu Poliarnyj. Ostatni pięćdziesięciokilometrowy odcinek drogi prowadzącej szczytami klifowych wybrzeży do tajnej bazy floty podwodnej w Aragubie, położonej w absolutnym odosobnieniu u wejścia do skalistego fiordu, pokonali także podstawionym samochodem.

Admirał Badr miał wrażenie, że lada moment przestanie oddychać, bo jego płuca zapadną się od lodowatego powietrza. Stał tylko, oszołomiony ekstremalną temperaturą, kiedy komandor Ben Badr szedł spiesznie na jego powitanie. Uścisnął ojca mocno i podał rękę Raszudowi, sam ledwo rozpoznawalny pod ciężkim rosyjskim płaszczem mundurowym, z grana-

towym wełnianym szalem i w grubej futrzanej czapie wyglądającej, jakby zużyto na nią ze dwa niedźwiedzie.

W tle widniał charakterystyczny kształt rosyjskiej konstrukcji myśliwskiego atomowego okrętu podwodnego. Admirał Badr rozpoznał w niej cechy klasy Sierra I: stosunkowo niski kiosk w kształcie trapezu prostokątnego z nachylnym bokiem od strony rufy. Widać jednak było, że to jednostka droższa i poważniejsza. Na kiosku błyszczał świeżą bielą numer taktyczny K-239. To była ona: Barracuda 945. Z flag-sztoku na rufie powiewała rosyjska bandera wojenna, biała z niebieskim krzyżem św. Andrzeja. Upłynie jeszcze wiele miesięcy, zanim podniesiona zostanie inna, jeżeli w ogóle do tego dojdzie, pomyślał Badr. Na pokładzie czekał na nich dowódca, kapitan Grigorij Wanisłow. Jako rdzenny mieszkaniec Murmańska nawykły do polarnych zim nie miał na sobie płaszcza, jedynie galowy mundur z szerokim złotym paskiem na rękawach. Oddał honory drżącemu z zimna gościowi i powiedział nieco toporną angielszczyzną:

i – Miło mi pana poznać, panie admirale. Ma pan dobrego syna, komandora Bena. On bardzo, bardzo szybko się uczy.

Przywitał się następnie z generałem Raszudem i poprowadził przybyłych do wnętrza okrętu, od listopada miejsca pracy Bena Badra. Czekali tam czterej irańscy oficerowie mechanicy, przeszkoleni w zakresie fizyki jądrowej i obecnie zapoznający się z reaktorem Barracudy: komandor Ali Akbar Mohtadż, komandor porucznik Abbas Szafii oraz bosmani Ali Zahedi i Ardeszir Tikku. Obecnie byli wpisani na listę personelu Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej i nosili chińskie mundury. Towarzyszyło im dziesięciu Chińczyków, oficerów i podoficerów. Jeżeli Rosjanie żywili jakiegokolwiek podejrzenia, to nie napomknęli o nich ani słowem. Nie spytali ani o żadnego ze zgłoszonych na przeszkolenie ludzi, ani też o przybyłych gości, o których z pewnością wiedzieli, że reprezentują marynarkę wojenną Iranu, ich cenionego klienta. Dobrze znali tożsamość wiceadmirała Badra, podobnie jak i jego syna. Co do reszty Irańczyków, gospodarze udawali, że uważają ich za obywateli którejs z środkowoazjatyckich republik islamskich położonych między Rosją i Chinami: Kirgistanu, Turkiestanu, Uzbekistanu czy Bóg-wie-jakiego-

–stanu. Tak czy owak, nikogo to nie obchodziło. Wiadomo było wszystkim, że ajatollahowie od dawna są poważnymi nabywcami wszelkiego rodzaju sprzętu morskiego, a Iran ma nawet swoją placówkę w głównej bazie marynarki Ukrainy, Sewastopolu. Rosjanie wiedzieli też o dość niepokojącym partnerstwie chińsko-irańskim w zakresie handlu ropą naftową i bronią. Sześćset milionów dolarów zrobiło jednak swoje i wydatnie pomogło zaszczepić w byłych właścicielach obu okrętów silne poczucie dyskrecji.

Do grupy dołączyło dwóch rosyjskich podoficerów, którzy służyli gościom za przewodników; oprowadzali Badra i Ra-szuda po okręcie, na każdym kroku podkreślając łamaną angielszczyzną jego zalety: „Ona bardzo szybka, trzydzieści cztery węzły w zanurzeniu... nie ma problemu, dobrze pływa z taką prędkością... Dobry, szeroki okręt... spora odległość między dwoma kadłubami... dobre dla redukcji emisji hałasu... no i w razie awarii... kadłuby całe z tytanu... doskonale... okręt bardzo cichy... dużo kosztował, może nawet za dużo... oni już ich nie budują... to nasz najlepszy, zanurza się do prawie siedemset pięćdziesiąt metry... szkoda, że sprzedany... taki dobry okręt... będziecie na nim bezpieczni”.

Wiceadmirał Badr kiwał tylko głową. Miał już własną opinię: dokonali świetnego zakupu. Barracuda ma prawie dwadzieścia lat, ale została zbudowana w doskonałej stoczni w Niżnym Nowgorodzie (dawniej Górkach), według wielu ekspertów będącej siedzibą najlepszych okrętowców w całej Rosji. Gotowy kadłub został przetransportowany na jednej z wielkich barek typu Tolłacz w górę Wołgi i dalej, przez Kanał Białomorski do wyspecjalizowanych warsztatów nuklearnych w Siewierodwińsku nad Morzem Białym, na zachód od Archangielska. Tam zainstalowano reaktor i uzbrojenie. Historię służby okręt miał nienaganną. Oddany do użytku z wielką pompą w 1987 roku, był pierwszą jednostką w swojej klasie, w założeniu mającej stanowić pierwszoliniową siłę uderzeniową radzieckiej marynarki, i traktowano go isticie po królewsku; każdą część, która zaczynała wykazywać oznaki zużycia czy uszkodzenia, niezwłocznie wymieniano. Teraz Barracuda z numerem taktycznym K-239 była prawdopodobnie w równie dobrym stanie technicznym jak

I na początku i warta każdego centa z trzystu milionów dolarów, które zapłacili za nią Chińczycy. Zawsze „zamieszkiwała” te zimne północne wody. W końcu jednak stała się zbyt droga w eksploatacji dla floty, która miewała trudności z opłaceniem energii elektrycznej do oświetlenia swoich portów. Ocena położenia finansowego Rosjan, jaką w swym wstępnym opracowaniu przedłożył ajatollahom Rawi Raszud, była nadzwyczaj precyzyjna. Rosyjski niedźwiedź rzeczywiście o mało nie odgryzł ręki admirała Zhanga, podającej mu [czek.

O dziewiętnastej gospodarze zarządzili przerwę na kolację. Mohammed i Ben Badrowie oraz generał Raszud byli gośćmi w mesie oficerskiej, gdzie towarzystwa dotrzymywała im grupa wyższych oficerów rosyjskich, choć nie było wśród nich nikogo, kto by dorównywał rangą irańskiemu dowódcy floty. Jego wizyta była traktowana ściśle jako robocza, zwykle zapoznanie się z zakupionym okrętem. Nic nie wskazywało na jej prawdziwy charakter: jawne pogwałcenie traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej przez przekazanie atomowego okrętu podwodnego republice islamskiej znanej z powiązań z najgroźniejszymi organizacjami terrorystycznymi, która znalazłaby wiele różnych zastosowań dla śmiertelnie radioaktywnego uranu U235 z jego reaktora, nie mówiąc już o wykorzystaniu samego okrętu.

Na kolację podano doskonałe bliny z kawiolem i śmietaną. Były major SAS rozbawił Rosjan do łez rzekomo autentyczną historyjką o przebywającym w Londynie bogatym Teksasie z rodziną; jedli oni wykwintną kolację w hotelu „Dorchester” i nigdy wcześniej nie próbowali kawioru.

–Facet pyta kelnera: „A cóż to za danie, warte sto dolców za porcyjkę? Dlaczego to aż tyle kosztuje?” Kelner na to: „Sir, to poniekąd cały rytuał. Kawior podajemy z małymi placuszkami, drobno siekanym jajkiem i cebulką, a do tego szklaneczka dobrze schłodzonego smirnoffa, ulubionej wódki ostatniego cara Rosji”. „No dobra, ale co to jest ten cały kawior? Jak wygląda?” Kelner cierpliwie i obrazowo wyjaśnił: „Sir, kawior to jajka jesiotra”. Teksasie na to: „Ach, tak? Pięknie. No to niech będą dwa, sadzone na jedną stronę”.

Cała mesa ryknęła śmiechem, w górę poszły stakany

stolicznej, której sobie nie żałowano, jako że żaden z obecnych nie spodziewał się wyjścia w morze przez najbliższe parę dni. Konwersacja wkrótce wróciła jednak na poważne tory. Dwóch kapitanów, dowódców atomowych okrętów podwodnych jeszcze za czasów Związku Radzieckiego, otrzymało zadanie sporządzenia notatek dotyczących różnic i podobieństw Barracudy do konwencjonalnych Kilo poza przedziałem reaktora.

Na pokładzie jest system rakiet woda-powietrze, który z pewnością rozpoznacie: stare SA-N-5/8, a do tego przenośne wyrzutnie „Strieła”. Rakiety woda-woda typu „Nowator Alfa” SS-N-27 stosowane na nowych Kilo niewiele różnią się od „A/S Nowator 15”, zwanych też „Rozgwiazdami”, które znajdziecie na Barra-cudzie: kaliber wyrzutni 530 mm, głowice nuklearne albo konwencjonalne typu 40. Najważniejszą bronią na okręcie jest rakietą dalekiego zasięgu „Raduga”, typ SS-N-21 „Sampson Granat”. To inaczej cruise, prędkość 0,7 macha, pułap 200 metrów, zasięg dwa i pół tysiąca kilometrów. System jest tuż po przeglądzie.

Torpedy: praktycznie brak różnic, kaliber 530 mm.

Systemy zakłócające: podobne do tych na Kilo. System nasłuchu elektronicznego typu „Kapelusz/Łysa głowa” z ostrzeganiem o impulsach obcych radarów. Jesteście pewnie przyzwyczajeni do systemu „Głowa kalmara” z Kilo, ale przekonacie się, że wielkich różnic nie ma.

Radary: te same. Powierzchniowy „Szperacz” z podwójną anteną o dwustronnej charakterystyce.

Sonary: Barracuda jest wyposażona w typowy pasywno-aktywny sonar montowany na kadłubie typu „Skrzela rekina” pracujący na częstotliwościach niskich i średnich. Znacząco nowocześniejszy system MGK-400, zwany „Zębami rekina” i „Płetwą rekina”, ale i tu nie znajdziecie dużej różnicy. Poza tym identyczny system aktywnego namierzania „Ryk myszy”, montowany na kadłubie, pracujący na wysokich częstotliwościach.

Zwróćcie uwagę na osłonę w kształcie V po lewej stronie kiosku – kryją się pod nią kapsuły ratunkowe. Gruszkowata „narośl” od strony rufy to komora holowanej pławy łącznościowej... bardzo użyteczne urządzenie...

Pracę zakończono o dwudziestej drugiej, a następnego ranka od piątej wznowiono obchód okrętu. Na wschodnim

horyzoncie widniała jaśniejsza kreska poświaty, ale światła dziennego nie było; pierwszy brzask miał nadejść dopiero za dwa tygodnie.

Admirał Badr i generał Raszud nie omieszkali też obejrzeć drugiej zakupionej Barracudy o numerze taktycznym K-240, która stała w suchym doku, gdzie wymieniano kilka dużych płyt poszycia dennego. Było jasne, że upłynie jeszcze kilka tygodni, zanim okręt będzie znów gotów do wyjścia w morze. Za to pierwszy, K-239, zdążył już być na próbach morskich, które wznowi pod koniec maja, kiedy zakończona zostanie instalacja nowego systemu rakietowego „Raduga”.

Obaj goście opuścili bazę tą samą drogą, przez Poliarnyj i Siewieromorsk, skąd odlecieli samolotem wojskowym do Moskwy. Tam przesiedli się na cywilny lot do Teheranu z przesiadką w Ankarze, ostatni odcinek zaś do Bandar Abbas przebyli na pokładzie samolotu irańskiej marynarki. Rawi Raszud pozostał tam jeszcze przez cztery dni, zanim mógł się udać do domu w Damaszku. Wieści, które przywieźli, były wspaniałe. Pierwsza z Barracud wyjdzie z Ara-guby do dwudziestego czerwca, w samą porę na przejście na wschód między brzegami Syberii a letnią granicą zwartego lodu. Towarzyszyć jej będzie fregata klasy Udałoj-1 oraz gigantyczny lodolamacz Ural klasy Arktika o wyporności 23 500 ton, trzyśrubowe monstrum o napędzie jądrowym ze wzmocnionym dziobem o specjalnej konstrukcji, pozwalającej statkowi wślizgiwać się na lód o grubości do dwóch i pół metra i łamać go swym ciężarem. Co prawda w lipcu ten północny szlak na ogół jest zupełnie wolny od lodu, ale na pewno spotyka się wielkie kry, a Rosjanie nie zamierzali podejmować niepotrzebnego ryzyka przy dostawie pierwszego sprzedanego okrętu, od której zależy wpłata dwustu milionów dolarów. Za taką sumę można opłacić mnóstwo rachunków za prąd...

W drodze powrotnej do Iranu wiceadmirał Badr nie skrywał podniecenia wywołanego nowym nabytkiem. Bez końca tokował na temat prędkości Barracudy, zalet jej rakiet, a przede wszystkim jej zdolności do pływania bez końca przez Wszystkie oceany, bez konieczności wynurzania się po tlen, paliwo czy wodę. Miał też miłą świadomość, że każde zadanie

bojowe, na jakie wyśle nowy okręt, będą potajemnie wspomagać i Rosjanie, i Chińczycy, choćby przez rozsiewanie fałszywych informacji o możliwych miejscach jego pobytu, a w wypadku tych ostatnich także przez udostępnienie kryjówki, jeszcze nie określonej, ale najwyraźniej tak utajnionej i zaskakującej, że Barracuda najprawdopodobniej nigdy nie zostanie wykryta, choćby jej szukano nawet tysiąc lat.

Nawet milkliwy Rawi przyznawał w myślach, że to ostatnie posunięcie jest bardzo sprytne. Nie był tylko pewien, czy Pentagon tak łatwo pogodzi się z przegraną. Miał co do tego spore wątpliwości, ale nie mógł się nie zgodzić, że Chiny są cholernie dobrym sprzymierzeńcem. Tymczasem nie mógł się już doczekać gorących i spokojnych miesięcy, jakie spędzi z Szakirą, z rzadka tylko przerywanych roboczymi wizytami w Bandar Abbas, zanim będzie musiał wrócić za krąg polarny. Pod koniec czerwca czekała go ponowna podróż do Araguby, zaokrętowanie na Barracudę i długi, pracowity rejs przez lodowate wody wzdłuż syberyjskich brzegów na Cieśninę Beringa, wrota na Pacyfik. Stamtąd w głębokim zanurzeniu skierują się do leżącego na Kamczatce Pietro-pawłowska, gdzie dopną na ostatni guzik przemyślny plan ataku na USA, którego Amerykanie nigdy nie zapomną.

–Myślisz o naszym wielkim przedsięwzięciu, Rawi? – Głos Irańczyka wyrwał go z zamyślenia.

–Tak, Mohammedzie. I oby Allah nas prowadził.

ROZDZIAŁ 7

General Raszud wyjechał na północ Rosji w ostatnim tygodniu czerwca 2007 roku. Cena za jego głowę nie wzrosła; śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa Alfa Rowana i Ruperta Studleya-Bryce'a nie doczekało się rozwiązania. Brytyjczycy nigdy nawet nie przyznali, że konserwatywny parlamentarzysta został zgładzony przez zawodowca, w każdym razie nie publicznie. Nie zaprzestali też jednak stałej obserwacji domu przy Bishop's Avenue 86 i nie zdjęli podsłuchu z telefonów państwa Kermanów. Jak zwykł mawiać admirał Arnold Morgan, „Angole śmiesznie gadają, a ich dziwaczne wychowanie nie pozwala im mówić jasno, ale głupi to oni nie są. Nie wolno ich nie doceniać”.

MI5 przesłuchiwało Richarda i Naz Kermanów ośmiokrotnie w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, ale oboje z niczym się nie zdradzili i konsekwentnie twierdzili, że nawet przez moment nie widzieli syna od czasu jego wyjazdu do Izraela przed trzema laty. Przesłuchujący próbowali zaskoczyć ich informacją, że wiedzą ponad wszelką wątpliwość, iż Ray Kerman był na wyścigach Royal Ascot; oboje skwitowali to stwierdzeniem, że jeśli nawet ich syn tam był, to oni go nie zauważyli. MI5 im nie uwierzyło, ale sprawa pozostawała w zawieszeniu. Dwaj żołnierze SAS zabici w Hebronie, dwa monumentalne napady na bank w Jerozolimie i Tel Awiwie, niewiarygodne odbicie wszystkich najważniejszych więźniów politycznych z więzienia Nimrod i brutalne podwójne morderstwo w Londynie... Ten sam człowiek podejrzewany o popełnienie każdego z tych przestępstw, ktoś, kogo wszyscy znali, ale nikt go nie znał

naprawdę.

Porucznik Jimmy Ramshawe praktycznie za każdym razem łączył osobę Raya Kermana z wymienionymi czynami. Wszyscy mu wierzyli, a przynajmniej ci, którzy coś znaczyli

w NSA. Jego dedukcje przekazywano do MI5, gdzie również trafiały do przekonania; sam Ramshawe nie był tam anonimowy dzięki znajomościom zawartym i utrzymywanym przez jego rodziców.

Nie zmieniało to jednak faktu, że major Kerman pozostawał nieuchwytny. Nikt nie znał nawet jego aktualnego nazwiska, nikt nie trafił na choćby najmniejszy jego ślad, od feralnej misji w Hebronie nikt go nie widział – poza dwoma zabitymi londyńczykami. Nie było nawet wiadomo, czy Kerman żyje, a jeśli tak, to w jakim kraju przebywa, ani nawet na której półkuli. Tym bardziej niemożliwe było przewidzenie jego następnych posunięć. Mossad także nie miał żadnych informacji, podobnie jak służby Jordanii. Nic nie uzyskano od Irańczyków, Saudyjczyków ani Libijczyków... co zresztą było do przewidzenia. MI5 zwróciło się nawet do przedstawiciela królowej w Ascot o sprawdzenie w biurach Dworu św. Jakuba, czy nie wpłynęła w tamtym okresie prośba o wydanie plakietki upoważniającej do wejścia do loży królewskiej na nazwisko majora Raymonda Kermana. Oczywiście i ten trop nie przyniósł nowych informacji; znaleziono co prawda podanie z ambasady syryjskiej na rzecz niejakiego „R. Kermana”, ale z najwyższych kręgów rządowych w Damaszku przyszła odpowiedź na wystosowane zapytanie, że chodziło o pewnego profesora poetyki, doktora Raniego Kermana, który tworzy odę na cześć prezydenta Hafeza al-Assada. Syryjczycy załączyli nawet fotografię uczonego, jego adres i telefon na damasceńskim uniwersytecie. MI5 nawet nie próbowało podejmować dalszej weryfikacji, choć nikt Syryjczykom nie uwierzył. Jimmy Ramshawe, otrzymawszy tę informację, skwitował to z australijską szorstką zwięzłością: „Łżą sukinsyny”. Dla niego było jasne, że NSA i MI5 uganiają się za pieprzoną zjawą.

Tymczasem nie pieprzona zjawą, ale Ray Kerman we własnej, odmienionej osobie kroczył właśnie pirsem w super-tajnej bazie pod wodniackiej Araguba, na zamarznętym krańcu świata. Obok niego szli dwaj admirałowie, byli radzieccy dowódcy okrętów, oraz trzech aktualni dowódcy, w tym syn dowódcy marynarki wojennej Iranu. Rawi wpadł na inspek-

cję atomowego okrętu podwodnego uzbrojonego w rakiety cruise, który ktoś dla niego zakupił za trzysta milionów dolarów.

Ben Badr, który tkwił w Aragubie już ósmy miesiąc, powitał Rawiego z radością i niemal drżał z niecierpliwości, by się pochwalić nabytą wiedzą i praktyką. Podczas rejsu do Pietropawłowska okrętem miał dowodzić kapitan Grigorij Wanisłow, a Ben objąć stanowisko jego zastępcy. Sam Rawi nie otrzymał żadnego przydziału na czas podróży, ale po wyjściu w morze z bazy na Kamczatce miał zostać szefem operacyjnym Barracudy.

Po wejściu na pokład cała grupa ruszyła prosto do przedziału siłowni. Ściany tego pomieszczenia wyłożone są dwudziestocentymetrową warstwą ołowiu. Znajduje się tam serce okrętu: reaktor jądrowy, okryty kopułą ze stali nierdzewnej, z rdzeniem z uranu U235, tego samego materiału, który stosuje się w bombach. Reaktor jest główną częścią ciśnieniowego systemu wodnego wytwarzającego parę niezbędną do napędzania turbin; może pracować niemal bez końca, wymagając jedynie wody. Przy panującym w układzie niesamowitym ciśnieniu ponad stu siedemdziesięciu pięciu atmosfer woda zostaje podgrzana do dwustu stopni Celsjusza.

Ben Badr poprowadził ich do pomieszczenia sterowania, gdzie czekał kapitan Wanisłow, stojący w milczeniu za plecami trzech podoficerów wachtowych, obsługujących trzy osobne panele kontrolne z sześcioma monitorami na każdym: panel systemu napędowego, samego reaktora i pomocniczy.

Jeden z monitorów na ostatnim panelu wyświetla wyniki testów określających sprawność wyparownika. Jest to urządzenie zamieniające wodę morską w najczystsza chemicznie wodę słodką, w założeniu oczyszczoną do ostatniej cząsteczki z powodującego szybką korozję chlorku sodu. Dwie części soli na milion to w systemie reaktora o dwie za dużo. Ten właśnie monitor obserwował rosyjski kapitan w chwili wejścia grupy pod przewodnictwem Bena Badra.

–Cześć, Grigorij! – pozdrowił go Irańczyk. – Zawsze pilnujemy czystości, co? Czysta woda... największa troska każdego nukleonika.

Kapitan Wanisłow odwrócił się i uśmiechnął do Rawiego.

–Widzicie? Nauczyłem go najważniejszych spraw całe miesiące temu, a on niczego nie zapomniał... Generale, ma pan tu dobrego oficera. Lubię go. Nie robić błędów, na tym polega cała sztuczka, jeśli chce się przeżyć.

–Tak, sam się o tym nieraz przekonałem – odrzekł Rawi, odwzajemniając uśmiech. – Obawiam się jednak, że ja będę wymagał więcej cierpliwości. Niewiele wiem, a muszę się szybko wszystkiego nauczyć.

–Pomieszczenie, w którym się znajdujemy, to bardzo dobry punkt wyjścia – odparł Rosjanin. – Te monitory pokazują jakość i parametry wody wpływającej do reaktora... Ale myślę, że to Ben powinien być pana profesorem. W ten sposób ja będę mógł go słuchać i upewnić się, że sam się wszystkiego dobrze nauczył.

Komandor Badr skinął głową i przejął pałeczkę.

–A więc, Rawi, zacznę od wyjaśnienia, dlaczego zwykła sól jest tak niebezpieczna. Pełno jej w wodzie morskiej, a my musimy się jej pozbyć, ponieważ nie ma na świecie bardziej korodującej substancji. Pozwolisz, żeby dostała się do twojego systemu, a ona wyszukuje sobie wszelkie mikroszczeliny... w spoinach, na złączach... i się tam gromadzi, osłabia stal, aż wreszcie któregoś dnia ogromne ciśnienie panujące w układzie rozrywa rurę, robi cholernie wielką dziurę, przez którą strumień wrzącej wody wpada do pomieszczenia i w jednej chwili zamienia się w przegrzaną parę o niesamowitej temperaturze. Wiesz, co się dzieje potem?

–Nie bardzo.

–Pamiętaj, że cały układ pracuje na zasadzie stabilności. We wnętrzu reaktora jest rdzeń w postaci sprytnie ukształtowanych i obrobionych elementów z wysoko aktywnego uranu... Mówiąc w skrócie, miliony neutronów ulegają nieustannemu podziałowi i jeżeli pozwoliłoby się im na to bez kontroli, bombardowałyby atomy uranu, rozszczepiając je i powodując zbyt szybką reakcję łańcuchową. Zaledwie w parę minut doszłoby do stopienia rdzenia... Ale my do tego oczywiście nie dopuszczamy. W reaktorze jest układ prętów spowalniających wykonanych z hafnu, które absorbują neutrony i nie pozwalają na niekontrolowaną reakcję. Kiedy więc te pręty są wsunięte głęboko w rdzeń uranowy, aktywność reaktora

jest minimalna. Jest on wówczas tylko milczącym, prawie martwym kawałkiem maszynierii. No, ale kiedyś zechcemy się ruszyć, prawda? Zaczynamy więc wyciągać pręty, zestawami po kilka sztuk. Neutrony mają coraz więcej swobody, rozpoczyna się reakcja łańcuchowa i system się rozgrzewa. Kontrolujemy jednak ten proces w pełni i wytwarzamy tyle ciepła, ile chcemy... coś w rodzaju samoutrzymującej się masy krytycznej.

–Jasne – wtrącił Rawi. – Na razie nadążam.

–Trzeba jednak pamiętać, że to układ zamknięty. Woda pod ciśnieniem jest przepompowywana z reaktora do prostego generatora pary i już w formie lotnej zasuwa rurociągami do turbin. To nic innego jak maszyna parowa. Od nas zależy, ile pary trafi na łopatki turbin i ile zamieni się z powrotem w wodę, aby wrócić do reaktora i zacząć cały proces od nowa. Nazywa się to cyklem Carnota. Czynnikiem sprawczym siły napędzającej okręt jest różnica temperatur wody wypływającej z reaktora i do niego wracającej.

–Czy ta woda styka się z uranem? – spytał Rawi.

–O, tak. Przepływa wprost nad rdzeniem, a jej temperatura ma absolutnie decydujące znaczenie. Jeśli jest odrobinę za zimna, neutrony przyspieszają i robi się goręcej. W reaktorze jądrowym mnie najbardziej przeraża to, że im gorętszy się staje, tym gorętszy chce być.

–Mamy więc przeciek spowodowany korozją – rzekł Rawi. – Ciśnienie spada, woda się schładza i trafia do reaktora ze zbyt niską temperaturą. I mamy problem?

–Przy takim przecieku w obwodzie pierwotnym rdzeń traci przepływ wody i zaczyna się gwałtownie rozgrzewać.

–Macie tu chyba jakieś automatyczne zabezpieczenie przed taką ewentualnością?

–Oczywiście. Pręty spowalniające spadają od razu w głąb rdzenia, wszystkie naraz, co natychmiast redukuje jego aktywność. I w porządku. Ale na okręcie podwodnym mamy od razu nowy problem. Nazywa się to zatrzymaniem reaktora i dokładnie tak to wygląda. Reaktor dosłownie przestaje działać, a razem z nim zamiera cała siłownia. Oznacza to, że wkrótce będziemy pozbawieni napędu, ogrzewania, możliwości wytwarzania słodkiej wody i regeneracji powietrza.

Jeśli akurat jesteśmy trzysta metrów pod powierzchnią wody, to raczej złe wieści.

–Jest chyba jakiś system awaryjny? – spytał Rawi.

–Tak. Jeden służy do chłodzenia nieaktywnego reaktora, do tego mamy silnik spalinowy, który możemy uruchomić natychmiast, gdy tylko wydostaniemy się na powierzchnię albo na głębokość peryskopową.

–Proszę pamiętać, generale, że Ben mówi jako podwodniak, a nie naukowiec – wtrącił kapitan Wanisław. – Nie trzeba być naukowcem, żeby prowadzić atomowy okręt podwodny, ale trzeba rozumieć, jak system działa, i wiedzieć, co mówią poszczególne monitory. Przede wszystkim jednak od dowódcy wymaga się zdolności do rozpoznania problemu i wiedzy, jakie działania należy wtedy podjąć. W tej części okrętu będzie pan miał inżynierów nukleoników o wielkiej wiedzy, którzy dostarczą panu odpowiednich informacji. Pan musi sobie jednak zdawać sprawę z potencjalnych problemów i umieć na nie zareagować.

–Nauczył pan Bena tego wszystkiego podczas prób morskich?

–Ależ nie. Mamy na brzegu doskonały symulator i wszyscy nasi oficerowie uczą się zawodu właśnie tam. Ben spędził w symulatorze długie tygodnie, zupełnie jak pilot samolotów pasażerskich uczący się latania wielkimi jumbo jetami. Przeszedł pełen kurs, od najdrobniejszej awarii aż po stopienie rdzenia.

–Nie bardzo podoba mi się to ostatnie pojęcie – rzekł Rawi.

–I słusznie. To rzeczywiście kiepska sytuacja.

–Kiedy do tego dochodzi?

–Powiedz mu, Ben.

–Najczęściej jest to spowodowane albo przez wyciek w obwodzie pierwotnym, o czym już mówiliśmy, albo przez nagłe wtargnięcie do reaktora bardzo zimnej wody. Z jakiegokolwiek przyczyny. Jeśli na przykład z powodu permanentnej awarii nie dopływa woda powracająca z turbin, otworzy się zawór bezpieczeństwa i do systemu wpadnie woda zaburtowa. To niedobrze, ale lepiej niż zupełny brak wody, ponieważ wtedy rozszczepianie neutronów osiąga bardzo wysoki poziom

w ciągu zaledwie siedmiu sekund. Wtedy właśnie mamy zagrożenie stopieniem rdzenia. To nie jest wybuch, po prostu uran tak się rozgrzewa, że roztopia stalową podstawę reaktora i wypada przez nią, czasami nawet przez pokłady i oba kadłuby na zewnątrz, ale to rzadki przypadek i

prawie się

0 czymś takim nie słyszy. Najczęściej spotykaną sytuacją krytyczną jest właśnie napływ zimnej wody przez zawór bezpieczeństwa, powodujący zwiększenie intensywności rozszczepiania atomów. Dzieje się to jednak trochę wolniej, jest dość czasu, aby pręty opadły do rdzenia i sytuacja zostaje opanowana. Mamy wtedy tak zwany negatywny współczynnik temperaturowy, co oznacza, że reaktor działa samoistnie, podgrzewa wodę tam, gdzie chcemy, i sam się reguluje.

General Raszud wszedł już na odpowiedni tor i skoncentrował swój nieprzeciętny intelekt na wykładzie Bena Badra.!: – Dobra. Mówisz, sam się reguluje? Co się zatem zmieniło? Co podlega tej autoregulacji?

–Za każdym razem, kiedy na podwodniaku dodajemy gazu, czerpiemy dodatkową energię, zużywamy parę i chłodzimy wodę powracającą, wskutek czego do reaktora dociera ona z zaniżonymi parametrami. Pamiętaj zawsze o jednym, Ravi. Populacja neutronów gwałtownie rośnie w takich warunkach, pojawia się więcej reakcji rozszczepienia i tworzy się nadmiar energii. Zostaje ona przeniesiona na pierwotny obieg chłodzenia, a potem na wtórny. To jest właśnie ta woda, z której powstaje para napędzająca turbiny. W ten sposób, kiedy zużywasz więcej energii, reaktor automatycznie zwiększa wydajność, żeby ją uzupełnić. W sytuacji odwrotnej wygląda to analogicznie. Zmniejszasz pobór energii, wzrasta temperatura wody powracającej, maleje populacja neutronów

1 spowalnia się reakcja rozszczepiania. To jednak nie znaczy, że wszyscy dostajemy biegunki z nerwów za każdym razem, kiedy trzeba zwiększyć prędkość. Cały system jest w dużej mierze autonomiczny, nie wymaga ingerencji z zewnątrz. Załoga jedynie obserwuje. Wpatrujemy się w monitory jak Pieprzone arktyczne orły, szukając najdrobniejszego sygnału, ;e dzieje się coś niewłaściwego. Oto zadanie mechaników.

–Ben jest bardzo dobrym uczniem, prawda? – Kapitan Wanisłow się zaśmiał, po czym dodał z udawaną powagą: –

Oczywiście musiałem go na początku trochę ustawić. Jest trochę niecierpliwy, czasami ociupinkę arogancki... wie pan, jego tatuś to sycha... Ale jest bardzo dobry. Gdyby był Rosjaninem, dałbym mu od razu dowództwo okrętu. – Położył Benowi rękę na ramieniu i już ciszej dodał: – W tej chwili mogę powiedzieć, że przez trzydzieści lat, jakie spędziłem w naszej marynarce, nie spotkałem lepszego młodego pod-wodniaka.

–Kamień z serca... – zażartował Rawi. – Ale mam inne pytanie. Jaki jest zakres możliwości przyspieszania? Czy mamy dwie pompy, po jednej na każdą turbinę, ze zmienną wydajnością?

–Nie – odrzekł szybko Ben. – Mamy sześć pomp, i to potężnych. Przy niskich prędkościach używamy dwóch pracujących z małą wydajnością. Ale jeśli trzeba się żwawiej ruszyć, możemy włączyć całą szóstkę. Zakres mocy jest duży. Barracuda wyciąga ponad trzydzieści pięć węzłów w zanurzeniu. Bardzo trudno ją złowić.

General Raszud skinął głową, zerkając na wachtowego nadzorującego czystość wody w obiegu reaktora.

–To ważniak, co? – powiedział. – Dwie części chlorku sodu na milion i on musi ich szukać...

–Nie zapominajmy o samym testowaniu – dodał komandor Badr. – Pobieramy próbki z obiegu bardzo często, a nawet menzurka musi być chemicznie tak czysta jak sala operacyjna w szpitalu pod względem bakteriologicznym.

Rawi bywał już nieraz w towarzystwie najlepszych profesjonalistów swojego fachu, rzadko jednak spotykał się z takim poziomem pewności i sprawności jak na tym okręcie. Kapitan Wanisław zdawał się czytać w jego myślach, powiedział bowiem:

–Nie jesteśmy jakimiś supermenami, generale. Robimy jednak mniej błędów niż większość ludzi. To specyfika zawodu. Błędy tam na dole mogą oznaczać bardzo szybką i ra- I czej nieprzyjemną śmierć. Staramy się więc ich unikać.

Pięć dni nauki, w tym ponad czterdzieści godzin i nego treningu w symulatorze, przekształciło generała R3' szuda w przeciętnie dobrego, przynajmniej w teorii, podwod'

TRASA BARRACUDYZ ARAGUBY DO CIEŚNINY BERINGA

niaka. Teraz już byli gotowi do rejsu. W szerokim fiordzie pomiędzy stałym lądem a polipowatym półwyspem Rybaczij, osłaniającym Aragubę i Poliarnyj od północy i zachodu, oczekiwał na Barracudę niewielki zespół eskorty, mający jej towarzyszyć w ostatniej podróży pod rosyjską banderą. Gepard, jeden z najnowszych okrętów podwodnych klasy Akula II, zbudowany w Siewierodwińsku i oddany do służby w 2004 roku, stał na powierzchni o sześć mil na wschód od przylądka Cypnowołów, mając tuż obok czteroletnią fregatę rakietową

Nieustraszimyj o wyjątkowo dużym jak na ten typ zasięgu czterech i pół tysiąca mil morskich. Należy ona do klasy Jastreb, typ 1154. Jest większa od starych Kriwaków i ma taki sam napęd turbinowy jak klasa Udałoj, ale – podobnie jak Barracuda – jest bardzo droga. Rosjanie zbudowali tylko dwa takie okręty, kadłub trzeciego musieli sprzedać na złom, aby spłacić najpilniejsze długi. Nieustraszimyj wszedł do służby na Bałtyku, ale rok później przerzucono go na północ. Teraz miał iść do Floty Pacyfiku i niemal na pewno już z Pietropawłowska do Europy nie powróci.

O milę na wschód od obu okrętów, na tle jaskrawego, stojącego nisko nad horyzontem słońca, widniał masywny kadłub lodolamacza Ural. Ten barczysty stalowy tytan Arktyki miał torować drogę przez lśniące, lodowate wody wzdłuż nie kończących się, jałowych wybrzeży Syberii, rozbijając lub omijając krę.

Na pirsie w Aragubie zebrał się mały tłumek, żegnający opuszczającą i bazę, i flotę Barracudę, do niedawna noszącą nazwę Tulą. Rawi stał na mostku wraz z kapitanem Waniłowem i rosyjskim oficerem nawigacyjnym. Komandor Badr pozostawał w centrali ze sternikiem, też Rosjaninem. W przedziale siłowni komandor porucznik Ali Akbar Moh-tadż obserwował procedurę wyciągania prętów i podnoszenia parametrów reaktora do odpowiednich wartości, którą wykonywał rosyjski starszy bosman. Bosmani Ali Zahedi i Ar-deszir Tikku zajmowali stanowiska przy dwóch pozostałych panelach kontrolnych, napędowym i pomocniczym. Obaj nabrali już doświadczenia w swoich obszarach działania, a ogólne dowództwo działu sprawował najstarszy stażem spośród irańskich podwodniaków komandor porucznik Ab-

bas Szafii, który spędził w Aragubie ponad dziewięć miesięcy.

Na pokładzie było jeszcze jedenastu innych Irańczyków. Czterem oficerom i czterem podoficerom przydzielono poważne obowiązki w turbinowni i stacji oczyszczania powietrza; dwaj inni podpatrywali sternika głębokości, jedenasty zaś, komandor porucznik z Teheranu z dwoma dobrymi dyplomami z inżynierii elektrycznej i po trzech turach służby na jednym z irańskich Kilo, pracował „w elektronice”. Wszyscy nosili mundury Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej, podobnie jak piętnastu prawdziwych Chińczyków: pięciu oficerów, w tym komandor, który był szefem działu rakiet balistycznych na wielkim i absurdalnie hałaśliwym strategicznym okręcie podwodnym z Szanghaju, a oprócz tego czterech bosmanów i sześciu młodszych podoficerów. Wszyscy oni też byli rozstawieni na całym okręcie, współpracując z Rosjanami. Dodatkowo w skład chińskiej grupy wchodziło dwóch tłumaczy, którzy często pracowali dłużej niż ktokolwiek inny.

Kapitan Wanisław wydał komendę „Pogotowie w maszynie”. Szef okrętu (najstarszy rangą podoficer, pomocnik kapitana) polecił rzucić ostatnią cumę. Turbiny ożyły po długim bezruchu; wielka śruba zabeltała wodę za rufą i czarny jak smoła okręt powoli odbił od nabrzeża, wspomagany w manewrach przez holownik. Wkrótce kapitan mógł rzucić rozkaz „Pół naprzód!”, a sternik położył Barracudę na kurs 000°, celując dziobem wprost w odległy o tysiąc dwieście pięćdziesiąt mil morskich biegun północny. Rawi poczuł na twarzy siekące porywy mroźnego północno-zachodniego wiatru nadlatującego wprost znad ogromnej lodowej czapy o średnicy trzech i pół tysiąca kilometrów, jaka pokrywa szczyt świata.

Tym kursem szli tylko przez milę, zdążając na spotkanie z Gepardem i Nieustraszimym, aby wraz z nimi wsunąć się szykiem torowym za rufę mocarnego lodolamacza. Kapitan Wanisław wydał sternikom nowy rozkaz:

–Trzymać zero czterdzieści dwa, pół naprzód. Prędkość dwanaście węzłów.

Była szósta rano. Mały konwój skierował się na północny Wschód ku zewnętrznej krawędzi Ławicy Skolpena, jednej

◀k.

z przybrzeżnych płycizn Morza Barentsa, gdzie głębokości sięgają tylko sześćdziesięciu metrów. Barracuda zajęła pozy. cję o trzysta metrów za rufą Urala, pozostałe dwa okręty płynęły za nią w szyku czołowym. Gepard również pozostawał w wynurzeniu. Przed nimi rozciągało się osiemset mil głębokiego akwenu aż do północnego przylądka Nowej Ziemi, wąskiej, wygiętej na kształt rogalika, ale długiej na siedemset czterdzieści kilometrów wyspy, stanowiącej jakby przedłużenie Uralu, którym prawie na pewno była przed milionem lat.

Niespieszna żegluga (konwój pokonywał dwieście mil na dobę, co odpowiada prędkości nieco ponad osiem węzłów) przebiegała bez większych wydarzeń, dopóki o sto mil od Nowej Ziemi nie zbliżyli się do szerokiego na dziesięć mil pola lodowego, dryfującego z prądem i wiatrem przez całe miesiące od odłamania się od pokrywy arktycznej. Specjaliści z Urala ocenili grubość lodu na metr do metra dwadzieścia. Z mostku Barracudy Ben i Rawi obserwowali, jak lodola-macz prze prosto na krę, uderza w nią dziobem i wślizguje się na lód prawie na trzydzieści metrów. Nagle w czystym, mroźnym powietrzu rozległ się potężny trzask, po nim drugi i trzeci, i jeszcze trzy, gdy kra pękła i rozsunęła się pod naciskiem dwudziestu trzech i pół tysiąca ton stali. Ural wsunął się na wyłamaną lodową zatokę i po chwili dotarł do jej krańca, gdzie sytuacja się powtórzyła.

–Chryste! – Rawi w zadziwieniu patrzył na tę demonstrację czystej, brutalnej siły lodolamacza, odruchowo użył imienia odrzuconego Boga. – Jeszcze raz i będziemy na zewnątrz.

Podniósł do oczu lornetkę. Do przeciwległej krawędzi pola zostało około stu metrów. Ural zdawał się płynąć bez wysiłku, jak przez fiord wypełniony luźną krą, którą roztrącał na boki, torując drogę Barracudzie i jej towarzyszom na Morze Wschodniosyberyjskie i dalej, ku Cieśninie Beringa.

Dalej morze było już wolne od lodu. Wkrótce okrążyli północny cypel Nowej Ziemi. Na południe od nich znajdowała się długa, lejkowata i szeroka na dwadzieścia mil Zatoka Obska, ujście najdłuższej rzeki Rosji, Obu, który od źródeł w lodowcach Ałtaju, na granicy z Mongolią, zatacza olbrzymi łuk ku zachodowi i północy, po czym po prawie czterech i pół

ysiąca kilometrów wpada do Morza Karskiego. Kraniec ijowej Ziemi wyznacza granicę między Morzem Barentsa jarskim, które rozciąga się przez pięćset mil aż do archipelagu Ziemi Północnej. Nie napotkali już na nim pól lodowych, ale występujące tam pływaczki zmuszały konwój do trzymania się blisko brzegu, trasą pomiędzy Wyspami Kiro-'a i Archipelagiem Nordienschelda, gdzie skręcił na wschód i przez Cieśninę Wilkického wpłynął na Morze Łaptiewów. I tam właśnie po raz pierwszy Barracuda i towarzyszące jej okręty zostały sfotografowane przez „Wielkiego Ptaka”, satelitę amerykańskiego Narodowego Biura Zwiadowczego (National Reconnaissance Office, NRO) Stanów Zjednoczonych.

Czwartek, 9 sierpnia 2007 r., godzina 7.00. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, Fort Meade

Porucznik Ramshawe lubił zdjęcia satelitarne. Mimo ich monotonności i często nie najlepszej jakości zawsze ochoczo łączył się ze swojego komputera z Intelinkiem, bezpieczną i szyfrowaną prywatną siecią kablową NRO, gdzie miał dostęp do fotografii dowolnych miejsc na świecie, wykonanych przez konstelację satelitów Biura, nieustannie krążących wokół globu. Zawsze zaczynał od mórz wokół Chin, potem nieodmiennie spoglądał na Cieśninę Beringa i wody wzdłuż Kamczatki, gdzie operuje silna rosyjska Flota Pacyfiku. Rzadko natrafiał na coś wartego zainteresowania, ale to nigdy nie zniechęcało go do sprawdzania. Nie darmo miał opinię urodzonego oficera wywiadu.

Latem zawsze szukał oznak działań marynarki na wschód od Ziemi Północnej. Ocean Arktyczny do tego miejsca był praktycznie rosyjski: Flota Północna patrolowała ten tysięcymilowy akwen na wschód od Murmańska, prowadziła tam ćwiczenia i próby morskie swoich okrętów. Czasami trafiały się dość interesujące zdjęcia, jak na przykład nowego okrętu Floty, ale najczęściej Jimmy miał przed sobą świadectwa rutynowych działań niemal dogorywającej marynarki wojennej. Jednakże na akwencie na wschód od Ziemi Północnej można było śledzić transfery międzyoceaniczne, a dla USA

dokładne dane o dyslokacji największych jednostek rosyjskich miały wręcz żywotne znaczenie.

Tego dnia Jimmy z uwagą obserwował konwój złożony z czterech okrętów, zdużający na wschód wzdłuż północnego wybrzeża Syberii. Powiększył obraz na ekranie, aby przyjrzeć się sylwetkom, po czym wrócił do poprzedniej skali.

–Cholera, ta Syberia to kawał ziemi – zauważył odkrywczco. – Chyba największy na świecie.

Kliknął myszą na odpowiedni guzik i przeciągnął na okręt podłużną ramkę narzędzia wyszukiwającego, które porównuje zaznaczone sylwetki z bazą danych i w ten sposób je

identyfikuje.

–Mamy je – mruknął, kiedy na ekranie wyskoczyło okienko z polem tekstowym. – Spora fregata, Nieustraszimyj... dziewięć tysięcy ton, rakiety kierowane... Lodołamacz, kawał byka... Atomowy podwodniak klasy Akula II... I drugi, klasy Sierra, prawdopodobnie jedna z dwóch istniejących Barra-cud, typ 945... Idą na powierzchnię, żadnych sekretów... wygląda to na rutynowy letni transfer z Floty Północnej na Pacyfik. Nie ma problemu.

Porucznik znalazł się na Akulach i na Sierrach. Barracudy były jednak spowite mgiełką tajemnicy. Tylko jeden okręt tego typu widziano kiedykolwiek na otwartych wodach; przez ostatnie pięć lat, czyli od samego początku służby Jimmy'ego Ramshawe'a w NSA, Barracuda 945 wychodziła w morze zaledwie kilkakrotnie, tak jest droga w eksploatacji.

Jimmy otworzył jedną ze swych najtajniejszych płyt CD-ROM i poszukał szczegółów. Zwrócił uwagę na dużą prędkość i głębokość maksymalną tej kosztownej jednostki o nazwie Tuła. Przeczytał też, że Rosjanie planują, choć bez przekonania, wyposażyć ją w rakiety cruise o zasięgu dwóch i pół tysiąca kilometrów, ale najwyraźniej jeszcze nie w tym roku. Wrócił do fotografii satelitarnej i powiększył ją tak, by jak najbliżej przyjrzeć się Barracudzie, sunącej przez lodowate, gładkie morze. Wyraźnie widział jej falę dziobową, wbiegającą na krągły pokład i spływającą po obu stronach kiosku dwoma spienionymi wirami.

–Wygląda mi na groźnego sukinsyna – mruknął. – Ciekawe, gdzie trzymają drugiego?

Przesunął stronę do sekcji operacyjnej i stwierdził, że wcale nie jest pewne, czy budowa drugiego okrętu klasy Barra-cuda w ogóle została ukończona. Jeśli nie, to prawdopodobnie gna znajduje się on w Aragubie, być może w krytym doku. W każdym razie nie odnotowano, aby kiedykolwiek był spostrzeżony w trakcie prób morskich.

–Barracuda... dziwna nazwa jak na Ruska – powiedział głośno Ramshawe. – W końcu to drapieżnik z tropików, nigdy nie widziany na północy. Papcio złowił kiedyś taką na Karaibach. Ale tam, na lodowatym zadupiu świata, za kręgiem polarnym? Bez sensu. Zupełnie jakby marynarka wojenna Jamajki nazwała swój okręt „Morsem” albo „Białym Niedźwiedziem”. Albo jakby Nelsona Mandelę wybrano na prezydenta Islandii. Gdzie ich poczucie tożsamości narodowej? Głupie barany. Barrakudy nie uświadczysz o tysiące mil od Rosji! Powinna to być klasa Jesiotr albo Orka, albo Lew Morski... – Odszedł od komputera, by zrobić sobie kawy, ale wątek nazewniczy nie dawał mu spokoju. – Chyba mam rację... Ale lepiej sprawdzę. Nie będę ochrzania! Ruskich bez powodu.

Usiadł znów przed ekranem monitora, postukał w klawisze, wpisując do wyszukiwarki hasło „barrakuda”, tym razem jako ryba, nie atomowy okręt podwodny. Z wyświetlonej listy stron internetowych wybrał Ryby Ameryki Północnej, książkę napisaną przez największego autora historii o wędkarstwie i rybach, A. J. McClane'a, twórcy Encyklopedii światowego rybołówstwa.

I – No i mamy. Strona dwieście czterdziesta. Cały rozdział o barrakudach, zaraz przed cholernymi rekinami.

Przewiął kilka stron i szybko się przekonał, że rzeczywiście miał rację, wytykając Rosjanom niewłaściwe imię ich okrętu. Barrakudy nigdy nie zapuszczają się na chłodne wody. Ilustracje były wspaniałe. Jimmy zaciekawiony postanowił przeczytać nieco więcej. Wśród cech gatunkowych autor szczególnie podkreślał diabelskie uzębienie tych ryb:

...dwa rzędy ostrych jak brzytwa siekaczy... a przy tym charakter wilka, któremu odcięto drogę ucieczki... Niektóre są jadowite... Już sam widok barrakudy może przyprawić o atak serca...

Podobnie jak subtelna proza A. J. McClane'a... Następny akapit na tej samej stronie, mniej więcej w połowie tekstu zawierał zdanie:

...a przecież w płytkiej wodzie ten brzytwogębny drapieżnik śmiga z szybkością rakiety...

Przeczytawszy to, młody oficer omal nie spadł z krzesła. Brzytwogębny! Gdzie on to ostatnio widział? Myśli Jimmy'e-go pognały przed siebie jak stado spłoszonych faworytów Royal Ascot, za to serce, miał wrażenie, stanęło w pół uderzenia. Zawsze doznawał podobnego uczucia, kiedy trafiał na jakiś ciekawy trop. Wypił spory haust mocnej kawy, po czym zamknął okno z Rybami Ameryki Północnej i otworzył swój tajny folder z nie rozwiązanymi zagadkami. Jezu! Prawie rok temu. Wrzesień 2006. Brzytwogębny 600 potwierdzone. Sygnał ściągnięty z chińskiego satelity, źródło: stacja nasłuchowa SIGINT na Hawajach.

Ramshawe przez chwilę rozważał prawdopodobieństwo złowienia przez jakiegoś chińskiego admirała sześciuset bar-rakud. „Potwierdzone” – to słowo implikuje, że obie strony już wcześniej musiały o tym rozmawiać. W przeciwnym razie nadawca sygnału napisałby raczej „Niech mnie, właśnie wyciągnąłem z wody pół światowej populacji barrakudy!” Potwierdzone zaś może być tylko coś, czego się w jakiś sposób spodziewamy. I na pewno nie chodzi tu o sieć pełną ryb. Brzytwogębny, literackie przezwisko barrakudy, w korespondencji służbowej marynarki wojennej musi być kryptonimem najniebezpieczniejszego rosyjskiego okrętu podwodnego. Ale o co chodzi z tymi sześcioma setkami? Przecież Ruski mają tylko jeden taki w czynnej służbie. „Numer może się właściwie odnosić do czegokolwiek... głębokość... godziny pracy jakiegoś urzędnika... częstotliwość radiowa... stan torped...-odległość od bazy... zasięg rakiety... a nawet dolary. Kto wie, czy Chinole nie kupili tego cholernego pudła?”

Porucznik Ramshawe uznał, że ma ważniejsze sprawy na głowie od prób powiązania lakonicznego sygnału chińskiego sprzed roku z najniewinniej w świecie wyglądającym transferem rosyjskich jednostek z Morza Barentsa na Pacyfik.

_ Niemniej będę się czujniej przyglądał tym czterem mały"1 sukinsynom pełznącym poprzez zimne wody na wschód... – mruknął. – A już zwłaszcza „Brzytwogębnemu” ...

Wtorek, 14 sierpnia. Pozycja 73°N, 138°E, na południe od Wysp Nowosyberyjskich

Konwój znajdował się teraz na wschodnich krańcach Morza Łaptiewów, nadal płynąc blisko brzegu. Minał już rozległą deltę Leny, podobnie jak Ob płynącej z gór centralnej Azji w poprzek Syberii. Przed nimi widniała pięćdziesięciodziesięciometrowej szerokości Cieśnina Łaptiewa, oddzielająca archipelag od stałego lądu. Płynący wciąż na czele Ural utrzymywał dobowe przebiegi w granicach dwustu mil. Oba okręty podwodne pozostawały w wynurzeniu. Wachtowi na mostkach wypatrywali growlerów, stosunkowo niewielkich odłamków lodu nie zasługujących na miano góry lodowej, ale wystarczająco niebezpiecznych w razie zderzenia. Na szczęście o tej porze roku mrok zapada tam zaledwie na godzinę w ciągu doby, łatwiej więc unikać podobnych przeszkód.

Rawi Raszud spędzał wiele czasu z dowódcą i komandorem Badrem. Pełnił też regularne, czterogodzinne wachty I centrali nawigacyjnej, pomieszczeniu sonarów i przy radarach. Wraz z dwoma innymi oficerami irańskimi rozmawiał za pośrednictwem tłumacza z rosyjskimi sternikami, zaliczył też pełne dwa dni 'w siłowni pod okiem bosmana Alego Zahediego oraz dzień w pomieszczeniu reaktora, ucząc się jego obsługi od komandora Mohtadza. Zdobył w ten sposób spory zasób wiedzy o różnych aspektach prowadzenia atomowego okrętu podwodnego. Wiedział, które monitory obserwować, na jakie wskaźniki zwracać uwagę, gdzie są rozmieszczone skrzynki bezpieczników i jakie obwody elektroniczne chronią, poznał różne procedury awaryjne. Cały Wolny czas poświęcał na rozmowy z Benem. Wszystko to sprowadzało się do konkluzji, że na tym konkretnym okręcie 11 dwaj wojskowi o tak odmiennych specjalnościach, pochodzący z różnych środowisk kulturowych i inaczej wychowani, Potrafią wspólnie znaleźć właściwe rozwiązanie we wszelkich

DRUGI ETAP REJSU BARRACUDYZ ARAGUBY DO PIETROPAWŁOWSKA

możliwych sytuacjach problemowych. Pozostawało im tylko przejść przyspieszony kurs procedur wystrzeliwania dużych rakiet typu „Raduga”. Komandor Badr dążył je poznać mniej więcej w połowie. Inny z oficerów irańskich niemal całe dziewięć miesięcy spędzonych w Aragubie przepracował przy remoncie systemu raketowego, wyróżniający się zaś podoficer, ziomek Rawiego z prowincji Kerman, ukończył pełny kurs technologii cruise i systemów naprowadzania. Rawi oczywiście wciąż miał sporo zaległości do nadrobienia. Większą część nadchodzącej jesieni miał zamiar poświęcić na szlifowanie umiejętności niezbędnych dla każdego dowódcy okrętu podwodnego.

Konwój płynął przez spokojne wody Cieśniny Laptiewa. Wiatr z wolna skręcił na południe i w

powietrzu czuło się przyjemne, cieplejsze tchnienie. Niewiele zostało ze straszliwej syberyjskiej zimy, choć widoczne na horyzoncie ciemne brzegi wciąż naznaczone były białymi plamami śniegu. Do Morza Czukockiego pozostało tysiąc mil – pięć dni żeglugi, później czekało ich przejście przez Cieśninę Beringa, gdzie trasa wiedzie zaledwie o pół mili od wód terytorialnych USA. Okręty wciąż trzymały się niedaleko brzegu; kapitan Wanisław wkrótce nakazał zmianę kursu na ESE i tak znaleźli się na Morzu Wschodniosyberyjskim. Coraz bardziej oddalali się od wiecznego zalodzenia, kryjącego się za północnym horyzontem, które twardą skorupą pokrywa ogromny rejon wokół bieguna, a w tym miejscu jest odległe od Syberii zaledwie o sto mil morskich. Polarne lato było tego roku łagodne i rejs przebiegał bez przeszkód. Wokoło nie było widać kry, growlerów ani gór lodowych, niemniej konwój utrzymywał bezpieczną prędkość dziewięciu węzłów.

Załoga irańska z każdym dniem nabierała wprawy w obsłudze okrętu. Generał Raszud nie był, oczywiście, gotowy do objęcia dowództwa, nie mając odpowiedniego, wieloletniego doświadczenia morskiego, ale komandor Badr spełniał wszelkie wymagania, tworzył też sobie wysoko kwalifikowaną kadrę. Raszud już dał się poznać jako idealny szef operacji specjalnych, a długie godziny nauki na Barracudzie dały mu pewność, że potrafi wykonać z tą załogą i na tym okręcie każde zadanie, jakie przed sobą postawi. Gdyby ko-

mandora Badra nagle zabrakło, Rawi wraz z resztą załogi umiałby umknąć pułapek i doprowadzić okręt do domu. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten wyszkolony przez SAS oficer jest człowiekiem, za którym mogą iść jak w dym i porwać się na wszystko. Nawet bez Bena Rawi dałby sobie jakoś radę. We dwóch zaś będą stanowić tak kompetentny zespół, jakiego ze świecą szukać.

Pięciodniowa żegluga do Przylądka Dieżniewa, wyznaczającego po stronie rosyjskiej wejście do Cieśniny Beringa, minęła im w samotności. Minęli jego urwiste ściany, widzieli w głębi łądu zabudowania jakiejś małej osady, a przy brzegu kilka rybackich łodzi i jakąś barkę, ale nie napotkali ani jednego większego statku czy okrętu pod jakąkolwiek banderą. Jedyne oczy, jakie śledziły ich rejs, należały do porucznika Jima Ramshawe'a, który co drugi dzień sprawdzał ich pozycję poprzez satelitę NRO, wciąż się zastanawiając, co Chińczyków obchodzi „Brzytwogębny” podwodniak.

Morze Czukockie i krąg polarny pożegnały ich zimnym i porywistym wiatrem, podnoszącym coraz większe fale. Temperatura wyraźnie spadła, a na docierającej tu z Pacyfiku długiej martwej fali Barracuda zaczęła się silnie kołysać, rytmicznie unosząc dziób wysoko w górę i opuszczając go jeszcze szybciej w dół. Kapitan Wanisław zanurzył okręt na peryskopową, co uczyniło żeglugę znośniejszą, ale tylko w niewielkim stopniu. Wolałby zejść co najmniej na trzydzieści metrów i znaleźć się poniżej wpływu falowania, ale wody cieśniny są najeżone płyciznami, a przy tym – jak twierdzi większość podwodniaków – słabo zbadane, a jej mapy niedokładne. Brnęli więc dalej, rzucani falą i jedyną, choć niewielką pociechą była im świadomość, że na górze na dodatek pada śnieg.

Na wysokości Przylądka Ławrentija kapitan Wanisław zmienił kurs na południowo-zachodni, wzdłuż granicy wód terytorialnych Rosji i USA, na zachód od Wyspy Świętego Wawrzyńca i o czterdzieści mil od najdalej na wschód wysuniętego brzegu Syberii. Zegary na Barracudzie wskazywały godzinę drugą nad ranem we wtorek 21 sierpnia. Trzy mile po lewej burcie, po drugiej stronie linii zmiany daty, była ta sama godzina, ale w poniedziałek. W pewnym sensie

Jimmy Ramshawe oglądał fotografie konwoju... zanim zostały zrobione.

Rawi kontynuował naukę, spędzając długie godziny w przedziale reaktora, a także w pomieszczeniu sonarów z mówiącym po angielsku oficerem, który służył wcześniej na chińskich Kilo. Rawi miał naturalną skłonność do ścisłego, a jednocześnie twórczego myślenia, jakiego wymaga obsługa sonaru. To samo można było powiedzieć o Benie Badrze. Dlatego też obaj zawsze mieli wiele do przedyskutowania.

Płynęli teraz w poprzek szerokiego na trzysta mil wejścia do Zatoki Anadyrskiej, otoczonej stromymi szarymi klifami. Teraz, w sierpniu, okoliczne wody spokojnie krążą z letnimi prądami, ale już za parę miesięcy cała ta północna część Morza Beringa stanie skuta lodem na całą długą zimę. Dwa dni później konwój zaczął ostatni etap podróży wzdłuż przybrzeżnego pasma Gór Koriackich, dzikiego, istic syberyjskiego terenu ciągnącego się przez pięćset mil. Z daleka widać jego wielkie, zawsze ośnieżone szczyty i urwiste zbocza opadające pionowymi niemal ścianami prosto w morze. Ponieważ pogoda była wciąż sztormowa, załoga Barracudy oczywiście tego nie widziała. Przez kolejne trzy dni nie wy-ściubili nosa ponad głębokość peryskopową.

Łąd stopniowo tam się zwęża i na wysokości Zatoki Ka-ragińskiej tworzy cienki przesmyk łączący długą na osiemset kilometrów, maczugowatą Kamczatkę z kontynentem. Łańcuch górski ciągnie się dalej, przecinając półwysep wzdłuż przez sam środek; nosi tam zresztą nazwę Gór Środkowych. Ich najbardziej efektownym szczytem jest wulkan Kluczewska Sopka, wznoszący się na niespełna pięć tysięcy metrów, odległy od wybrzeża o osiemdziesiąt kilometrów i o dwieście na północ od Pietropawłowska.

Barracuda nie musiała uzupełniać po drodze paliwa, co dla wychowanego na spalinowo-elektrycznych Kilo komandora Badra graniczyło z cudem. Konwój musiał jednak za-rzemywać się dwukrotnie; raz, kiedy fregata pobierała olej napędowy ze zbiornikowca zaopatrzeniowego w osłoniętej zatoce za przylądkiem Kamczatka, a drugi raz, gdy na Gepardzie wymieniano ciekącą uszczelkę, również pod osłoną łądu. Dałoby się dotrzeć do Pietropawłowska bez tych

I

postojów, ale dowódcy okrętów nie lubią zostawać na morzu z minimalnym zapasem paliwa, a już na pewno każdy pod-wodniak jest uczulony na przedostawanie się wody do kadłuba i jest w stanie tolerować przeciek tylko wtedy, gdy na naprawę nie pozwala na przykład konieczność szybkiej ucieczki z rejonu operacyjnego.

Pierwszego września opuścili wyznaczony dwumilowy pas ruchu dla jednostek zdążających na południe i podeszli na pozycję spotkania z pilotem. Żadnemu statkowi czy okrętowi nie wolno samodzielnie wchodzić na wody Zatoki Awa-czyńskiej, zabronione jest tam też kotwiczenie i poławianie ryb. Wejścia na nią broni rozległe pole minowe, rozciągające się na dziesięć mil od lądu. W głębi zatoki leży bowiem jeden z okrytych najściślejszą tajemnicą portów wojennych świata, nadal żyjący w atmosferze zimnej wojny Pietropawłowsk Kamczacki, wschodnia baza dawnej radzieckiej Floty Pacyfiku.

Okrzyżyli cypel Majacznyj i weszli w cieśninę, kierując się do północnej części zatoki. W krytym doku, niedostępnym dla wścibskich kamer amerykańskich satelitów, czekała już na Barracudę ekipa cumownicza. Porucznik Ramshawe zobaczy jedynie, że okręt wchodzi do bazy; dopóki nie wyjdzie z powrotem na ocean, nikt nie będzie się mógł dowiedzieć, co dzieje się z okrętem i na jego pokładzie.

Irańską załogę czekał obszerny program testowania systemów raketowych, w tym przede wszystkim skomputeryzowanych urządzeń naprowadzających w głowicach poszczególnych pocisków. „Raduga” należy do typu broni określanego zwrotem „wystrzel i zapomnij”; opuszcza wyrzutnię pod wodą i lecąc z prędkością 0,7 macha (ponad osiemset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę), samodzielnie odnajduje drogę do celu, polegając w pełni na wstępnie zaprogramowanych parametrach trasy. Jeśli ktokolwiek ujrzalby ją przelatującą mu nad głową na pułapie kilkudziesięciu metrów, niewiele mógłby zrobić, nawet dysponując jakąś bronią przeciwrakietową-Pokonując ćwierć kilometra w każdej sekundzie, ten stalowy rosyjski „struś pędzi wiatr” potrafi go przechytrzyć i nie da się dogonić większości standardowych pocisków. Chyba że trafi się ją od przodu, na długo przedtem, zanim dotrze do pozycji

obrońcy. To jednak jest prawie niemożliwe w wypadku rakiety wystrzelonej z zanurzonego okrętu podwodnego. Zaskoczenie jest zbyt duże.

General Raszud zszedł z Barracudy z nowym, sporym bagażem wiedzy podwodniackiej. Miał spędzić w bazie jeszcze dwa dni, a potem odlecieć wraz z komandorem Badrem z wojskowego lotniska położonego w głębi lądu do Szanghaju, by tam przesiąść się na liniowy rejs cywilny do Teheranu, do czekającej nań Szakiry. Najbliższe miesiące zamierzał spędzić w domu w Damaszku, pracując nad swoim planem. Od czasu do czasu miał go odwiedzać Ben Badr. Razem będą studiować najbardziej szczegółowe mapy Alaski, określać najbezpieczniejsze trasy, rozpracowywać nowy amerykański rurociąg naftowy z niedawno wybudowanej rafinerii alaskańskiej, biegnący w przeważającej części po dnie Pacyfiku aż na południowe krańce Zachodniego Wybrzeża, jak również układ sieci energetycznej i elektrowni w Kalifornii, zwłaszcza tych położonych nad oceanem. Nie ulegało wątpliwości, że obaj uśmieją się przy tym złośliwie... W dawnych czasach, kiedy Amerykanie byli w pełni zależni od dostaw bliskowschodniej ropy, takie uderzenie byłoby niemożliwe, ponieważ zbyt mocno ucierpiałyby na tym interesy arabskie. Teraz jednak, kiedy USA zaczynały wykorzystywać własne zasoby, a jednocześnie do gry weszły Chiny, stając się pod wieloma względami zbawcą arabskiej gospodarki, dla wrogów Wielkiego Szatana otworzyły się nowe, interesujące możliwości.

Rawi i Ben nie zamierzali trafić na listę najzacieklej ściganych terrorystów w rodzaju Osamy bin Ladena. Nie chcieli zabijać i ranić amerykańskich cywilów. Ich cel był prosty: wywołać chaos, upokorzyć wielkie mocarstwo jak bananową republikę na oczach całego świata. Komandora Badra i jego ojca ta myśl wręcz uszczęśliwiała. Szakira uważała ją za świetny pomysł, podobnie jak i sam Rawi. Tylko jedna nie wypowiedziana myśl kładła się cieniem na to samozadowolenie niczym czarna, złowroga chmura; miała ona związek z tamtym piątkowym świtem w Londynie, prawie rok temu, kiedy syryjski snajper nie mógł wpakować kuli w głowę Arnolda Morgana. Poza tym Rawi był przekonany, że Barracudy nic nie może powstrzymać przed wypełnieniem

przewidzianego dla niej zadania, a także o tym, że nikt się nigdy nie dowie, kto popełnił ten akt zniszczenia na tak wielką skalę. Często uśmiechał się do siebie na myśl o osłupieniu Białego Domu i bezradności Pentagonu, choć jednocześnie nie mógł się pozbyć obawy przed strasznym admirałem siedzącym po prawicy amerykańskiego prezydenta.

Tydzień później, ósmego września, kapitan Wanisław wraz z trzonem załogi Barracudy, w tym ze wszystkimi Irańczykami i Chińczykami, odleciał z powrotem do Siewieromorska, gdzie zajęli się drugą, naprawdę tajną częścią całego przedsięwzięcia: próbami morskimi drugiej Barracudy, K-240, prowadzonymi na głębokim na sto osiemdziesiąt metrów akwenie ćwiczebnym dla okrętów podwodnych na północ od Zatoki Kolskiej, za Ławicą Skolpen. Rozkład dnia wymagał wyjścia z krytego doku przed przelotem amerykańskiego satelity o jedenastej rano. O tej godzinie Barracuda musiała być już w zanurzeniu, wykonując zaplanowane manewry. Budowa tego okrętu o konstrukcji identycznej jak dawna Tula, ukryta teraz w pietropawłowskim doku, została ukończona dopiero pod koniec czerwca i wciąż potrzebne były poprawki, zwłaszcza w dziale sonarów. Najważniejsza część okrętu – reaktor wyprodukowany i wyposażony w świetnych zakładach nuklearnych w Siewierodwińsku – spisywała się bez zarzutu. Najtrudniejszym zadaniem, jakie stało przed Rosjanami i ich partnerami, było jednak zapewnienie, aby nikt się nie dowiedział, że Barracuda o numerze taktycznym K-240 w ogóle istnieje. Każdego dnia dwa holowniki wyciągały ją spod ukrycia i pomagały manewrować w porcie, dopóki nie wyszła za falochron. Musiało to nastąpić przynajmniej na godzinę przed pojawieniem się nad horyzontem milczącego obserwatora, „Wielkiego ptaka” NRO, przelatującego trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad Aragubą i fotografującego co się da, aby nic na Ziemi nie mogło ujść uwagi, zmienić pozycji lub kierunku ruchu bez wiedzy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w stanie Maryland.

Wydostawszy się poza przybrzeżne płycizny, Barracuda II od razu dawała nurka. Kapitan Wanisław znów był dowódcą i miał ze sobą praktycznie ten sam zespół, z którym przeprowadził Barracudę I przez arktyczną trasę na Pacyfik-

1} Pietropawłowski pozostała tylko irańska obsada wyrzutni torped i rakiet, reszta tych synów pustyni przekształconych w morskie wilki była zajęta na dalekiej, zimnej północy Rosji.

Wprowadzenie okrętu do doku po dwóch czy trzech dniach prób morskich odbywało się w prostszy sposób. Program zwiadowczy Stanów Zjednoczonych zakładał dla rejonu Morza Barentsa tylko jedną obserwację dziennie, ruchy rosyjskich okrętów podwodnych były bowiem ostatnio bardzo nieregularne z powodu monstualnych deficytów finansowych. Dla Barracudy II istotne było tylko to, że wieczorem mogła bezpiecznie wracać do bazy, natomiast rano musiała być z dala od lądu i w zanurzeniu przed dziesiątą trzydzieści.

Rawi i Ben opracowali plan przeszkolenia większej liczby irańskich oficerów i marynarzy w obsłudze atomowego okrętu podwodnego. Nowi ludzie przylatywali po dwunastu z Bandar Abbas do Pietropawłowska na wstępny kurs. Po czterech tygodniach nauki przerzucano ich do Siewieromorska, aby mogli wziąć udział w próbach morskich drugiej Barracudy. Poprzednia dwunastka wracała wtedy do Pietropawłowska i w ten sposób Iran powoli tworzył dwie załogi, które przy pewnej pomocy mogły prowadzić każdy z nowo nabytych okrętów. Był to organizacyjny majstersztyk, dokonywany z optymalną szybkością i dokładnością. W ciągu niewielu miesięcy Iran wyrósł na groźną siłę morską, gotową do odzyskania nie jednego, lecz dwóch poważnych rejsów, które miały wprawić cały Zachód w oszłomienie, i nikt nawet nie wiedział, że ajatollahowie dysponują takimi jednostkami jak Barracudy.

Pod koniec stycznia 2008 roku Barracuda II była gotowa do podjęcia pierwszej z tych podróży, dziewiczej dla niej, z Araguby na zachód i dalej, na otwarty Atlantyk. Trzy tygodnie później Barracuda I miała opuścić Pietropawłowsk i zniknąć na bezmiarze Pacyfiku. Tylko jej wyjście mieli zauważyć Amerykanie, bo tak chciał generał Raszud. „Dwójka” popłynie wolno i w największej tajemnicy, dowodzona przez świeżo awansowanego kapitana Alego Akbara Mohtadza. „Jedynka” pod dowództwem wojskowego przywódcy Hamasu Podąży do celu żwawiej.

Z punktu widzenia Jimmy'ego Ramshawe'a najbardziej mylące było to, że wiedział on o istnieniu tylko jednego z dwóch okrętów. Oba zresztą przebywały w portach rosyjskich, czyli tam, gdzie należało. Jedyną drobną szparą w panczerze chińsko-irańskiego przymierza było odkrycie przez porucznika z NSA powiązania Pekinu z „Brzytwa-gębny”. Gdyby jednak Jimmy zebrał całą swą wiedzę na ten temat i chciał ją przedstawić graficznie, z trudem wychyłyby ponad osiem odciętych.

W czwartkowy rano około piątej trzydziestego pierwszego stycznia 2008 roku Barracuda II rzuciła cumy i ruszyła ostro zatoką ku otwartym wodom Morza Barentsa. Kapitan Mohtadz położył okręt na kurs północny i osiągnąwszy głębsze wody, dał rozkaz zanurzenia, mając pod stępką dwieście pięćdziesiąt metrów. Załoga nie miała odtąd ujrzeć światła dziennego przez sześć tygodni, żeglując w ślimaczym tempie na drugi koniec świata, starając się uniknąć wykrycia i zidentyfikowania. Pierwszy etap rejsu był bez wątpienia najtrudniejszy. Na głębokości stu dwudziestu metrów okręt sunął powoli w stronę jednego z najczujniej strzeżonych akwenów wszystkich oceanów Ziemi – przejścia GIUK, najwęższego miejsca północnego Atlantyku. Wyznacza je prosta linia na mapie, poprowadzona od pozycji 69°N, 035°20'W na skalistym i skutym lodem brzegu Grenlandii, o dziewięćdziesiąt mil na południe od Scoresbysundu, w kierunku południowo-południowo-wschodnim przez Cieśninę Duńską. Po dwustu pięćdziesięciu milach i przecięciu kręgu polarnego linia natrafia na północne wybrzeże Islandii w okolicach Husaviku, biegnie przez wyspę i ciągnie się dalej przez następne czterysta pięćdziesiąt mil aż do Szkocji. Ten ostatni odcinek to właściwy GIUK – skrót od Grenlandia, Islandia, United Kingdom, czyli Wielka Brytania – droga morska, którą musiał przejść każdy rosyjski okręt podwodny w czasach zimnej wojny i obecnie, aby wydostać się na otwarty ocean. Nawigatorzy unikają przechodzenia przez Cieśninę Duńską z powodu panujących tam warunków pogodowych, zalodzenia, krótko mówiąc – jej fatalnej opinii. Jeśli szukasz okrętów podwodnych, steruj na wschodnią część GIUK, pomiędzy Islandią a Szkocją, i bądź czujny w okolicach Progu

Islandzkiego, gdzie ocean jest znacznie płytszy. Cały ten akwen to królestwo złowrogich, czarnych podwodnych zabójców, patrolujących te wody wolno i bezszelestnie. Tam właśnie świeżo upieczony irański dowódca kierował Barracudę II, starając się niezauważenie przemknąć między patrolującymi okrętami podwodnymi Royal Navy i US Navy, a przede wszystkim nie dać się wykryć przez supertajny amerykański system nasłuchu akustycznego SOSUS (Sound Surveillance System). Jest to sieć hydrofonów, niezwykle czułych podwodnych mikrofonów rozmieszczonych na dnie oceanu i połączonych z placówkami brzegowymi, które zbierają, analizują i przekazują do centrów operacyjnych i zwiadowczych dane akustyczne. Takie sieci istnieją we wszystkich kluczowych rejonach Atlantyku i Pacyfiku, a już najgęstsza i najbardziej monitorowana jest ta w GIUK. Jak się mawia w US Navy, „jeżeli w GIUK choćby pierdnie wieloryb, siedemnastu techników na brzegu umiera z czystego podniecenia”. Można więc sobie wyobrazić, co się dzieje, kiedy hydrofony uchwycą odgłos maszyn niezidentyfikowanego i przypuszczalnie wrogiego okrętu podwodnego. Kapitan Mohtadz stapał po wyjątkowo kruchym lodzie...

Barracuda sunęła z niewielką prędkością wzdłuż brzegów Norwegii, której terytorium zajmuje cały północno-zachodni skraj Europy, otaczając od północy Szwecję i Finlandię, i u nasady Półwyspu Kolskiego dotykając granicy rosyjskiej. Potomkowie dawnych Normanów są do dzisiaj panami tych arktycznych wód: linia norweskiego wybrzeża liczy niemal tysiąc osiemset kilometrów, a razem z płataniną wdzierających się w ląd fiordów – blisko dwadzieścia tysięcy kilometrów. W porze letniej strome, skaliste brzegi zachodniej Norwegii i leżących dalej na oceanie wysp stanowią jedno z najbardziej widowiskowych obszarów chętnie odwiedzanych przez turystów. Wabią ich tam rozświetlone nigdy nie zachodzącym słońcem, zapierające dech w piersiach krajobrazy, błękitne morze i przyjaźni mieszkańcy. Nawet w styczniu okoliczne akweny nie zamarzają dzięki Prądowi Północnoatlantyckiemu, niosącemu ciepłe wody aż od Zatoki Meksykańskiej.

Minąwszy Lofoty, chłostany wichrami stumilowej długości-

ci przybrzeżny archipelag wystający ukośnie w morze, kapitan Mohtadz kontynuował żeglugę kursem południowo-zachodnim i po dziesięciu godzinach przeciął krąg polarny. Sonarzysta zameldował przelotny kontakt z innym okrętem, ale odgłosy były zbyt słabe i odległe, żeby można go było zidentyfikować. I całe szczęście, albowiem patrolujący ten akwen USS Cheyenne, okręt klasy Los Angeles o wyporności ośmiu tysięcy ton na pewno byłby zafascynowany pojawieniem się niezapowiedzianego rosyjskiego okrętu atomowego, przekradającego się na Atlantyk. Amerykanie mogliby Barracudę zatopić, a w każdym razie wszcząć alarm na cały głos, wzywając jednostki Royal Navy i być może także patroly lotnicze dla zbadania sprawy. Jednakże oba okręty były za daleko od siebie, aby rozpoznać przeciwnika. Sonarzyści z obu stron ocenili ten przelotny odgłos jako nieistotny, być może pochodzący od jakiegoś trawlera rybackiego. Cheyenne kontynuował patrol, płynąc na północ. Kapitan Mohtadz zwolnił do siedmiu węzłów i również nie zmienił kursu, pozostając na głębokości stu dwudziestu metrów, daleko poniżej sztormowego rozkołysu, jaki panował na powierzchni. Pokonanie następnych czterystu mil zajęło mu dwa i pół dnia. Szósteo lutego o szesnastej trzydzieści Barracuda przecięła niewidoczną linię wejścia do GIUK na pozycji 61°20'N, 10°W, na zachód od Wysp Owczych, sunąc z prędkością pięciu węzłów. Trzymała się daleko na zachód od Ławic Billa Bayleya, dwóch podmorskich gór, gdzie do powierzchni jest tylko siedemdziesiąt pięć metrów. Przez kolejne sto pięćdziesiąt mil dowódca utrzymywał prawie nie zmienioną prędkość, dopóki nie dotarli do przepastnych głębi Basenu Islandzkiego, gdzie dno Atlantyku raptownie opada poniżej trzech kilometrów. Kapitan Mohtadz wiedział, że teraz musi zachować szczególną ostrożność, ponieważ właśnie na głębokich wodach czuwa SOSUS. Paradoksalnie czuł się tu bardziej odsłonięty i zagrożony niż na płyciznach, ale zaryzykował nieco większą prędkość.

–Wolno naprzód, trzymać dziewięć węzłów. Kurs sto osiemdziesiąt.

Barracuda szła tak przez cztery godziny, po czym zrobiła zwrot na SSW ku Rynnie Rockall, aby przejść tym głębszym

kanalem o sto mil morskich od brzegów Irlandii... i ponad czułymi amerykańskimi hydrofonami. SOSUS wykrył ją bez pudła. Dwóch operatorów systemu, pełniących służbę w ściśle tajnej stacji nasłuchowej na granitowych klifach Pem-brokeshire w południowej Walii, usłyszało Barracudę jednocześnie. Kontakt trwał dwadzieścia minut.

–Okręt podwodny, sir! – zameldował jeden z nich dowódcy zmiany. – To Rusek. Sprawdzam jeszcze, ale mam już wstępne rozpoznanie: rosyjski nuklearny. Obszar prawdopodobieństwa duży.

–Na ile to pewne?

–Trzydzieści procent, sir. Sprawdzam.

Na irańskim okręcie starszy mechanik dostawał właśnie palpitanie serca, wykrywszy skrzynkę narzędziową niedbale opartą o korpus jednego z turboalternatorów, która musiała tam spoczywać od dobrych paru godzin. Grzechotała w najlepsze, powodując na wyciszonym okręcie sporą emisję hałasu na zewnątrz.

–Allahu! Toż to, cholera jasna, niewiarygodne!

Starszy mechanik złapał ją natychmiast i jednym szarpnięciem odsunął od wibrującego urządzenia, a teraz krążył po siłowni jak rozjuszony byk, usiłując odnaleźć sprawcę. Grzechot urwał się jak nożem uciął, ale było za późno. Czujny jak Cerber SOSUS już podniósł łeb i nadstawił uszu. Operator w Pembrokeshire stwierdził nagle ustanie kontaktu, choć nie domyślał się przyczyny.

–Kontakt zniknął, sir. Wciąż sprawdzam. Wyglądało to na rosyjskiej produkcji turboalternator o częstotliwości pięćdziesiąt herców, nie sześćdziesiąt, jak u nas.

–Obszar prawdopodobieństwa?

–Kwadrat dziesięć na dziesięć mil.

–Najbliższa nasza jednostka?

–USS Cheyenne. Ostatnia znana pozycja... osiemdziesiąt mil na wschód od Islandii, sześćset pięćdziesiąt od punktu odniesienia*. To prawie dwadzieścia cztery godziny drogi.

* W operacjach morskich (jak np. akcja poszukiwawcza) punkt odniesienia to prawdopodobna pozycja (znana lub obliczona) obiektu, od której zaczyna się poszukiwania, stopniowo rozszerzając ich obszar różnymi metodami manewrowania.

–Czy kontakt pojawił się ponownie?

–Nie, sir. Ani słychu. Chyba musieli go wyłączyć.

I szef zmiany, i operator wiedzieli, że to znacznie gorsze niż gdyby hydrofony znów uchwyciły odgłosy z okrętu. Oznaczało to bowiem, że Rosjanin celowo stara się iść cicho, unika wykrycia. Nie było zaś do tego powodów – zimna wojna dawno się skończyła i dla Amerykanów Rosja przestała być groźna. Ten okręt miał takie samo prawo do patrolowania Atlantyku jak NATO. Mógł być w rejsie szkoleniowym albo testować systemy na długich przelotach. Kto wie zresztą, czy nie zawrócił do domu? Być może SOSUS usłyszał właśnie przyspieszenie podczas zwrotu. Ale gdyby tak było, to dlaczego Rosjanin nie rozwinął odpowiedniej prędkości? A w ogóle jak to się stało, że wcześniej nie wykryły go sonary USS Cheyenne?

Pojawienie się atomowego okrętu podwodnego zawsze pociąga za sobą masę podobnych pytań. Jednak komandorowi porucznikowi US Navy ze stacji nasłuchowej w Pembroke-shire wyraźnie nie podobało się to zdarzenie, wysłał więc pilny sygnał do Fort Meade:

Stacja Pembroke odnotowała dwudziestominutowy kontakt z bardzo cichym okrętem, 080235LUT08*. Dane niewystarczające do sklasyfikowania: linia pięćdziesięciu herców, co wskazuje na rosyjski turboalternator. Kontakt raptownie urwany. Prawdopodobnie okręt podwodny. Brak korelacji z nasłuchem elektronicznym na kanałach rosyjskich. Obszar prawdopodobieństwa 100 mil kwadratowych, punkt odniesienia: długość 01500W, płd. kraniec Rynny Rockall przy wybrzeżu Irlandii.

Dział Atlantyku wywiadu marynarki wojennej wystosował notę do Moskwy z prośbą o wyjaśnienia, jednak po dwóch dniach wciąż nie było odpowiedzi, nikt też nie usłyszał więcej choćby jednego piśnięcia Barracudy, pełzającej z wolna i ost-

*** Zapis daty i czasu wg wzoru „Dzień/godzina/miesiąc/rok”, stosowany w morskiej korespondencji radiowej; czyt. 8 lutego 2008 r, godz. 2.35. W zasadzie powinna się tu jeszcze znaleźć na końcu litera Z lub L, oznaczająca odpowiednio czas GMT lub lokalny, choć najczęściej stosuje się ten pierwszy.**

roźnie nad siecią podwodnych instalacji SOSUS. W niedzielne popołudnie dziesiątego lutego porucznik Ramshawe oderwał się na godzinkę od bieżących zajęć, by poszperać w systemie internetowym NSA. Przeglądał stronę po stronie bez większego zaangażowania przez trzy kwadranse, kiedy jego uwagę przykuły dwa słowa w jednej z nadanych wiadomości. Jeżeli jego krótka znajomość z George'em Morrisem i Arnoldem Morganem nauczyła go czegokolwiek, to na pewno tego jednego: „Jak widzisz słowa: «okręt podwodny», rzucasz wszystko i sprawdzasz, o co, u diabła, chodzi”, by zacytować admirała Arniego, jak Jimmy czasami nazywał w myślach Wielkiego Człowieka z Białego Domu. „To zdradzieckie

[i niebezpieczne sukinsyny. Jeżeli kiedykolwiek i gdziekolwiek trafisz na ślad takiego drania czającego się w oceanie bez uzasadnienia solidnego jak Góry Skaliste, pilnujesz go,

1 sprawdzasz i jeszcze raz sprawdzasz”. Jimmy wziął się więc do sprawdzania. Przeczytany sygnał był jasny. Parę dni temu, w piątek nad ranem, stacja SOSUS po drugiej stronie oceanu namierzyła rosyjskiego podwodniaka płynącego cichaczem na zachód od Irlandii. Jimmy natychmiast ściągnął ten plik na swój twardy dysk, po czym załogował się na swój tajny CD-ROM i wybrał sekcję rosyjską. W wyszukiwarce wpisał hasło „Linia 50 Hz”, na co komputer odpowiedział wyświetleniem listy okrętów podwodnych klasy Sierra I. Wynikało z niej, że te stare radzieckie jednostki zostały już wycofane ze służby wraz z klasą Alfa, ale była tam też wzmianka o dwóch okrętach Sierra II, oznaczonych jako klasa Kondor, typ 945A, które bazują w Aragubie. Jimmy wrócił do wyszukiwarki i zażądał wiadomości o wszelkich Sierrach, które jeszcze pływają. Otrzymał tylko jeden wynik: okręt Tuła, numer taktyczny K-239, zmodernizowana Sierra I, klasa Barracuda, typ 945.

–Jaaaasna cholera, to mój pieprzony „Brzytwogębny"! – krzyknął na całe gardło, ale zaraz zmarszczył brwi. – Nie, chwileczkę. To niemożliwe. Przecież on jest w Pietro-pawłowski. Sam widziałem, jak wchodzi do krytego doku. Początek września. Poszukajmy... Zaraz, zaraz... jest. Od tamtej pory widziany osiem razy, jak na krótko wychodził w morze, przypuszczalnie na próby. Zawsze wracał wiecz-

rem i widzieliśmy go o tej samej porze. Ostatnie zdjęcie z... trzeciego lutego.

Porucznik Ramshawe wiedział teraz z całą pewnością, że cokolwiek słyszeli faceci z Pembrookeshire, nie mogła to być Barracuda K-239. Nie było sposobu, aby ten okręt w pięć dni znalazł się choćby w pół drogi od Irlandii, nie mówiąc o pa-ruset milach.

–Oczywiście oni nie twierdzą, że to ona. Mowa tylko o uchwyceniu paru linii od turboalternatora. Może Ruski wyciągnęli z szafy drugą Barracudę, jeżeli ona rzeczywiście istnieje... Ale... Jezuu, zachodnie wybrzeże Irlandii to strasznie daleko od domciu dla okrętu, który od kilku lat nie był w czynnej służbie. Niech mnie szlag, jeśli coś z tego rozumiem.

Jimmy Ramshawe miał więc zagadkę do rozwiązania, a także inny problem: gdyby admirał Arnie się dowiedział, że na Atlantyku grasuje rosyjski nuklearny okręt podwodny, o którym nikt nie wie, rozpętałoby się piekło. Poszukał kopii ostatniej noty do Rosjan z prośbą o wyjaśnienia i stwierdził, że do tej pory nie nadeszła odpowiedź. Pomyślawszy chwilę, napisał e-maila do admirała Morrisa, sugerując, aby ponowiono prośbę, tym razem zwracając się bezpośrednio do dowódcy marynarki wojennej, admirała floty Witalija Rankowa.

George Morris wiedział, że ów były dowódca radzieckiego krążownika pełnił też służbę w wywiadzie i jest na przyjacielskiej stopie z Arnoldem Morganem. Wiedział też, że jeśli Ranków nie odpowie na sygnał z Waszyngtonu, czeka go rozmowa telefoniczna z Arnoldem, co na pewno nie jest dla Rosjanina miłą perspektywą, dlatego najprawdopodobniej szybko odpisze. Poleciał więc Ramshawe'owi ponownie wysłać to zapytanie sprzed dwóch dni.

Ranków, olbrzymiej postury były reprezentant olimpijski Związku Radzieckiego w wioślarstwie, zwlekał jednak z odpowiedzią przez kolejne dwa dni. Nadeszła zaadresowana osobiście do admirała Morrisa, który wyczuł wyraźnie, że jest sformułowana nadzwyczaj ostrożnie i starannie.

121200LUT08. Marynarka wojenna Rosji aktualnie nie prowadzi żadnego patrolu w tej części Atlantyku. Dwa Kondory stoją w bazie Floty Północnej. Barracuda na próbach morskich w Pietropawłowsku. Wasi operatorzy mogli się mylić. Podobno nowy francuski SSN, który zastępuje starą klasę Rubis, wykazuje podobieństwa do naszych okrętów. Nie ma jeszcze nazwy, ale wychodzi już w morze z Tulonu na próby. Francuzi nazwali to Projektem Barracuda. Przykro mi, ale w niczym więcej nie mogę pomóc.

Ranków (dowódca MW)

Admirał Morris wezwał do swojego gabinetu porucznika Ramshawe'a, aby wspólnie z nim przeanalizować tę depeszę. Obydwaj doszli do takiego samego wniosku. Ranków nie stwierdził

wyraźnie, że w tamtym rejonie nie ma okrętu podwodnego rosyjskiej budowy, powiedział tylko, że żaden nie jest tam na patrolu, a to subtelna różnica. Całość była jednak utrzymana w dostatecznie przyjaznym tonie; dalsze zapytania byłyby nieuzasadnione, niedyplomatyczne, a nawet po prostu nieuprzejme. Morris był zmuszony na tym poprzestać, o czym rosyjski dowódca dobrze wiedział, sam mając sześćset milionów powodów, aby zachowywać daleko idącą dyskrecję w kwestii chińskich przedsięwzięć związanych z Barracu-dami. Jimmy Ramshawe opuścił gabinet dyrektora, mrużąc pod nosem:

–Jak z tego wynika, wszędzie jest od cholery Barracud. Francuzi przynajmniej mają trochę ciepłych mórz.

Wrócił do swego biura zatroskany brakiem bardziej konkretnych informacji, które mogliby przedstawić doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, a przede wszystkim brakiem jakichkolwiek danych na temat tożsamości tego znikającego okrętu podwodnego. Wciąż miał zmarszczone czoło, kiedy zapisywał notę od admirała Ran-kowa w swoim folderze zagadek obok chińskiego sygnału o „Brzytwogębny”.

A następnego wieczoru, trzynastego lutego, o dwa i pół tysiąca mil morskich na wschód, tuż przy Azorach kapitan Mohtadż polecił zwiększyć prędkość, nie obawiając się już pułapek SOSUS. Zmierzał teraz na puste wody wzdłuż Afryki, do których US Navy praktycznie nie przywiązuje

wagi. Aż do samego Przylądka Dobrej Nadziei, odległego o cztery tysiące siedemset mil, jego trasa prowadziła przez akweny o głębokości co najmniej trzech kilometrów. Barra-cuda wpływała na bezludny ocean, ale mimo to jej turbina GT3A o mocy czterdziestu siedmiu tysięcy koni mechanicznych tylko nieznacznie zwiększyła obroty, na co reaktor zareagował drobnym zwiększeniem wydajności.

–Prędkość osiem węzłów. Zanurzenie sto pięćdziesiąt metrów. Trzymać kurs sto osiemdziesiąt.

„Brzytwogębny” zmierzał do celu, pokonując w równym rytmie dwieście mil na dobę. Nikt na Zachodzie nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje ani nawet że istnieje. A już na pewno nikt nie znał celu jego podróży.

ROZDZIAŁ 8

Dwudziestosiedmioletnia Szakira Sabah poślubiła byłego majora Raymonda Kermana w ich damasceńskim domu przy Szaria Bab Tuma na początku listopada 2007 roku. Ślubu udzielił im miejscowy urzędnik magistracki, a ponieważ pan młody nie miał żadnej rodziny, trzeba było zrezygnować z większej części tradycyjnego muzułmańskiego wesela, które powinno trwać pięć dni. W ceremonii uczestniczyło tylko sześć osób, nowożeńcy otrzymali jednak osobiste błogosławieństwo od imama pobliskiego pięknego meczetu Szejka Farraga. Szakira była ubrana w prostą, długą białą suknię z tradycyjnym kapeluszem i welonem, w której wyglądała jeszcze bardziej bosko niż zazwyczaj. Pan młody w zachodnim ciemnopopielatym garniturze przysięgł opiekować się małżonką do końca życia, a już wcześniej wpłacił na jej prywatne konto sto tysięcy dolarów jako tradycyjny muzułmański mehmet, dar ślubny.

Ta przysięga aż po grób poniekąd była odzwierciedleniem prastarego islamskiego obyczaju, wyznaczającego kobietom -w każdym razie poza domowymi pieleszami – rolę podrzędną wobec mężczyzn. Generał Raszud był zdania, że to niegłupi pomysł, zwłaszcza że jego świeżo poślubiona żona wykazywała pociąg do modnej na Zachodzie asertywności, żeby już nie wspomnieć o smykałce do wysadzania w powietrzeczołgów, których, właściciele mieli nieszczęście jej podpaść.

Chłodny i wilgotny styczeń miał się ku końcowi, kiedy młodzi małżonkowie po raz pierwszy stanęli w obliczu poważnej kłótni. Szakira Raszud chciała wziąć udział w misji Barracudy na wschodnim wybrzeżu Pacyfiku, i nie miała na myśli planowania, logistyki, zbierania informacji ani żadnej innej roli lądowej, jak sądził Rawi, ale ważne stanowisko na pokładzie. W ten piątkowy, deszczowy wieczór, gdy na dworze

już się ściemniało, wrócili do tego tematu po raz trzeci w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

–Zamknięta pod wodą z sześćdziesięcioma mężczyznami, jedyna kobieta w załodze? To niemożliwe. – Rawi się uśmiechał, ale nie oczyma.

–Owszem, możliwe! – Szakira się nie uśmiechała w ogóle.

–Pozwolę sobie przypomnieć, że nigdy jeszcze żadna kobieta nie służyła na okręcie podwodnym. W żadnej marynarce świata. Tam jest zbyt ciasno, klaustrofobicznie... to absolutnie nie miejsce dla kobiety.

–Przeciwnie – upierała się dziewczyna. – Kiedy pracuję, niczym się nie różnię od ciebie. Och, tak, rozumiem, że świat arabski ma cię za coś w rodzaju boga wojny... a mnie daleko do tej ligi... ale musisz przyznać, że jestem równie dobra jak większość twoich żołnierzy.

Patrzyła mu w oczy, ani na chwilę nie odwracając wzroku. Rawi znał to spojrzenie aż za dobrze. Jego żona nie miała zamiaru ustąpić, musiał więc spróbować odwołać się do jej rozsądku.

–Posłuchaj. I w Anglii, i w USA był poważny trend do przyjmowania kobiet do marynarki wojennej. Pozwalano im służyć na okrętach. I co z tego wynikło? Same kłopoty. Faceci się w nich zakochiwali, usiłowali dobierać się do nich gdzie popadło i Bóg wie co jeszcze. A mówię tu o dużych jednostkach nawodnych. Nikt się nigdy nie odważył dopuścić baby do służby na podwodniakach.

–Jestem przekonana, że przypadki komplikacji natury seksualnej zdarzały się raz na tysiąc. To tylko media nie interesowały się pozostałymi dziewięciuset dziewięćdziesięcioma przypadkami. Założę się, że o wiele częściej dochodzi wśród załóg do kradzieży. Zresztą to mnie nie dotyczy. Nikt nie będzie się dobierał do żony dowódcy, nie?

–Mam, cholera, nadzieję, że nie – odparł Rawi z udawaną urazą. – Ale, Szakiro, atomowy okręt podwodny w misji bojowej to takie zamknięte środowisko... Naprawdę nie dla ciebie. Nikt dotąd nie brał kobiet na pokład i ja też nie mogę łamać tej zasady, zwłaszcza że sam jestem początkującym podwodniakiem. Możemy już iść? W brzuchu mi burczy

Wk głodu, no i za pięć minut mamy się spotkać z Ahmedem w „Elissarze”...

–Wyjdziemy, kiedy mi powiesz, że mogę płynąć Barra-cudą na akcję u wybrzeży USA. – Ton Szakiry był pozbawiony wyrazu. – Musiałam już sobie poradzić z utratą jednej rodziny i nie mam zamiaru stracić ciebie gdzieś o tysiące mil stąd, nawet nie wiedząc, co się tam dzieje. Jadę z tobą

li koniec.

–Na Boga, Szakiro! Ludzie giną podczas takich misji!

–Nie boję się śmierci i wiem, że ty też nie. Jeśli jednak mamy ginąć, to razem. Nie zostanę tutaj, żeby czekać, aż ktoś mi powie, że nie wrócisz do domu. Albo jedziemy oboje, albo nie jedzie nikt.

Rawi nie przywykł do sprzeciwu na taką skalę. No, ale też: nigdy dotąd nie był żonaty...

–Żądasz niemożliwego – odrzekł.

–Wcale nie. To jest jak najbardziej możliwe. Wiesz dlaczego? Dlatego, że możesz robić, co tylko zechcesz. Nikt nie będzie się sprzeczał z wielkim generałem Raszudem, wyzwolicielem męczenników Palestyny.

–Ja nie mówię tu o stosowaniu się do czyichkolwiek zasad – odparł Rawi. – To moja własna zasada. Ani mi się śni pozwalać kobiecie... jakiegokolwiek kobiecie... przez kilka tygodni pływać na okręcie podwodnym.

–Tak? Może mi wobec tego wyjaśnisz dlaczego? Proszę o prawdziwe powody, a nie gadaninę o ciasnocie, klaustrofobii i kłopotach z mężczyznami. Krótko i zwięźle, bez krasomówstwa. Dlaczego nie mogę płynąć Barracudą jak wszyscy inni?

–Przede wszystkim nie jesteś podwodniakiem. Nie masz pojęcia o reaktorach, turbinach, systemach napędowych, hydrologii, elektronice, mechanice, rakietach, nawigacji, sonarach, torpedach i wielu innych rzeczach.

To nieco przyhamowało panią Raszud. Odpowiedziała tyl-to niezbyt elokwentnym „Hmm...”

–Poza tym zabrałybyś tylko cenne miejsce. Byłabyś pasażerką, która nie wnosi żadnego udziału do operacji specjalnej.

–Hmm...

Rawi osądził, że z Szakiry uszła już większość pary. Zdawało mu się, że jej upór ginie w oczach. Powinien wiedzieć lepiej...

–Zapomniałeś o czymś. – Tak?

–O mapach.

–Jakich mapach?

–Właśnie mówię, zapomniałeś. Nie sądzisz chyba, że wdawałabym się w tę dyskusję, nie wymyśliwszy z góry zajęcia dla siebie?

–No, nie... Dobrze zdążyłem poznać twój upór.

–A więc co z mapami?

–O co ci chodzi?

–O mapy nawigacyjne, które kazałeś mi zamówić w Anglii poprzez ambasadę syryjską z dostawą do tego przedsiębiorstwa armatorskiego z Damaszku.

–Ach, te. Mówisz o mapach amerykańskich.

–Tak. Kazałeś mi je zamówić i odebrać. Przystudiowałam je uważnie, zanim ci je przekazałam. Pamiętasz? Zrobiłam nawet kopie i zaznaczyłam je według twoich notatek. We wrześniu, zanim się pobraliśmy.

–Zgadza się. Pamiętam.

–Pamiętasz też zapewne, że naniosałam na nie pewne kursy dla pewnych rakiet... Wybrałam punkty kontrolne i sporządziłam zapisy dotyczące topografii terenu.

–No, tak, i jestem ci za to wdzięczny. Zrobiłaś to cholernie dobrze.

–Mogę ci jeszcze przypomnieć inną rzecz.

–Dobrze, ale nie teraz. Ahmed czeka.

–Ahmed może sobie czekać, dopóki nie skończę.

–Ale ja padam z głodu! Musimy już iść...

–Nigdzie w tej chwili nie wychodzimy. Pamiętasz, jak jest finansowana nasza organizacja?

–Jasne. Z forsy, którą gwizdnęliśmy w bankach w Tel Awiwie i Jerozolimie.

–A kto zrobił plany tych banków, kto się zaprzyjaźnił z głównym kasjerem, kto narysował diagramy całego systemu alarmowego? Kto potem przeniknął do Schwartza i skopiował schematy najlepszych zamków w Izraelu, stosowa-

nych w obu bankach, że o więzieniu Nimrod już nie wspomnę? No, kto?

–Okay, ty to zrobiłaś. Nie mówię, że nie. Ale co to ma wspólnego z okrętem podwodnym?

–Wszystko. Cała wasza banda by się pogubiła, zginęła albo została aresztowana, gdyby nie moja praca w dziale planowania.

–Trudno zaprzeczyć... – Rawi skinął głową, patrząc czujnie na żonę.

–I jeszcze jedno. Przez ostatnie parę tygodni przyglądałam się w wolnych chwilach amerykańskim brzegowym systemom radarowym. Głównie cywilnym, przy ważniejszych portach kontenerowych i naftowych, ale w paru wypadkach także wojskowym, wokół baz US Navy. Tak się składa, że mam do wprowadzenia kilka istotnych zmian w pewnych trajektoriach. I będę je wprowadzać przy niewielkim biurku w centrali dowodzenia Barracudy, po sąsiedzku z szefem działu rakiet...

–Ale...

–Żadnych ale. Jesteś gotowy zabrać twojego nowego oficera precyzyjnego naprowadzania na kolację? Komandor porucznik Szakira Raszud melduje się na pokładzie...

Rawi tłumił śmiech, ale sprawa nie była wcale wesoła.

–Nie jestem władny mianować komandorów marynarki wojennej Iranu – powiedział.

! – Zapewniani cię, że nie będziemy w niej służyć – odparła Szakira. – Oni wolą trzymać się jak najdalej od tej operacji. Barracuda wypłynie pod egidą fundamentalistów z Hamasu. A ty jesteś wojskowym dowódcą tej organizacji. Możesz mianować, kogo tylko zechcesz. Nikomu nie przyjdzie do głowy tego kwestionować. Po prostu zaokrętuje jak wszyscy inni.

–A gdzie niby będziesz mieszkać? W wyrzutni torped?

–Zamierzam dzielić z tobą kabinę jako żona i pierwszy asystent w dziale naprowadzania i planowania trajektorii rakiet. Wiem, że jako dowódca będziesz miał własne pomieszczenie, i to z prysznicem, umywalką i toaletą. Wyczytałam to w dokumentacji.

–Kabina jest maleńka, zaledwie starcza dla jednej osoby. Ot, koja, krzesło i biurko.

–No, to będziemy musieli pełnić wachty na zmianę... czasami. Jakoś sobie poradzimy. Zabiorę duży śpiwór i będę spać na podłodze, jeśli wolisz.

–To nie podłoga, tylko pokład – sprostował Rawi. – I nie wolę. Położymy ten duży śpiwór na koi. Będzie nam przytulniej i nie powypadamy przy kołysaniu...

Szakira podeszła do męża i objęła go mocno, składając na jego ustach długi, miękki pocałunek. Przytuliła się potem policzkiem do jego policzka i szepnęła:

–Nie dam ci umrzeć beze mnie i koniec.

–Wiem i zamierzam poważnie się nad tym zastanowić. Teraz jednak byłbym ci wdzięczny, gdybyś się pospieszyła, bo inaczej zjem kolację bez ciebie.

To rzekłszy, Rawi podszedł do okna i zapatrzył się na lśniącą od deszczu jezdnię, usiłując się pogodzić ze skądinąd przyjemną perspektywą zabrania żony na pokład okrętu podwodnego. Musiał przyznać, że jej argumenty były dobrze przemyślane, ale zaskoczyło go to, że Szakira tak go wyprzedziła, poświęcając czas i siły na przekształcenie swojego planu i rozumowania w zwięzłą, precyzyjną argumentację. Normalnie była to jego silna strona, jak zresztą każdego oficera SAS: dobrze przemyślane plany, żadnych niespodzianek... No cóż, upłynęło już trzy i pół roku, odkąd uciekli z Szakira ze zrujnowanego domu w Hebronie, a ona wciąż potrafiła go zaskoczyć. Nie ustąpił jej z miłości ani dlatego, że ma nad nim władzę; musiał się ugiąć przed jej logiką, talentem i wkładem, jaki wносиła w operacje Hamasu. Jej argumenty były słuszne: we wszystkich trzech akcjach odegrała pierwszoplanową rolę. Rawi przypomniał sobie, jak bardzo była mu zawsze pomocna, jak jej giętki i bezpośredni umysł potrafił naprawdę brać się za bary z problemami. Dobrze pamiętał, co powiedziała, gdy po raz pierwszy wspomniał o ewentualności napadu na bank: „Będą potrzebne plany miasta, rozkład pomieszczeń, schematy systemów alarmowych... Mam się tym zająć?”

Szakira weszła do pokoju uczesana, ze szkarłatną szminką na ustach i równie smukła i piękna jak pierwszego dnia ich znajomości.

–Gotów?

–Komandorze poruczniku Raszud, jesteście niezrównani.

Wyszli z domu, chroniąc się przed deszczem pod dużym parasolem. Oboje wiedzieli, że pani Raszud stała się członkiem załogi Barracudy i za dwa tygodnie wypłynie na jej pokładzie z Pietropawłowska w morze.

Czwarek, 7 lutego 2008 r., godzina 9.00. Lotnisko międzynarodowe w Pekinie

Szakira wiedziała, że jej mąż jest ważną osobą, ale nie miała pojęcia jak bardzo. Gdy tylko samolot linii Iran Air z Teheranu wylądował po ośmiu godzinach lotu w Pekinie, na pokład weszło aż trzech chińskich urzędników, aby zabrać ich bagaże, które jakimś cudem znalazły się w podręcznym magazynku stewardów kabiny pierwszej klasy. Przez całą podróż mieli dla siebie aż cztery rzędy siedzeń; nikt nie siedział obok nich, z przodu ani z tyłu. Podano im też wyśmienity kawior, normalnie przysługujący tylko uprzywilejowanym pasażerom na linii japońskiej.

W Pekinie panował mróz i padał śnieg. Rawi i Szakira wysiedli z samolotu przed innymi pasażerami prosto na płytę lotniska, skąd czarny mercedes przewiózł ich do stojącego pięćset metrów dalej nowego rosyjskiego samolotu zwiadowczego dalekiego zasięgu ze znakami marynarki wojennej Tu-204P. Maszyna grzała już silniki od chwili, kiedy boeing Iran Air wszedł w zasięg pekińskiej stacji kontroli lotów. Dwoje pasażerów posadzono w części osobowej samolotu tuż za kokpitem. Bagaże wkrótce też się znalazły na pokładzie, drzwi zatrzaśnięto i tupolew pokołował na koniec pasa startowego, aby po chwili z hałasem wzbić się w szare niebo.

Do Pietropawłowska jest z Pekinu ponad tysiąc dziewięćset kilometrów, a trasa lotu wiedzie ponad chińskimi północnymi prowincjami Liaoning i Jilin, zanim przetnie granicę Rosji i wypadnie nad stalowoszare wody Morza Ochockiego. Bywają latem dni, kiedy gigantyczny łańcuch górski, stanowiący kręgosłup tych zimnych i niedostępnych ziem, mógłby rywalizować z Alpami lub Górami Skalistymi pod względem czystej wspaniałości krajobrazu. Zimą jednak

cała okolica wygląda raczej na kiepską, czarno-białą reklamę turystycznych walorów wschodniej Syberii, do której z całą pewnością pasuje. Ponaddziesięćki Tu-204P mknął jednak jak concorde przez rozświetlone słońcem niebo, wysoko nad zwartą pokrywą ołowianych od dołu, ale tu oślepiając białych chmur, na pułapie dwudziestu jeden tysięcy metrów i z prędkością bliską 1,8 macha, obojętny na szalejące nad górami gwałtowne wichury znad tundry, siekające lodowatymi, ostrymi śnieżycami.

Na lotnisku nad Zatoką Awaczyńską pogoda nie była lepsza, choć tam przynajmniej nie padał śnieg. Kapitan tupole-wa posadził maszynę na pasie twardo i niezbyt elegancko. To było trudne

lądownie, ale doświadczony lotnik miał już gorsze – przede wszystkim za sterami myśliwców bombardujących Su-25, którymi dziesiątki razy wracał z patroli na rozkołysane sztormem pokłady starych lotniskowców klasy Kijów na zimnym Morzu Barentsa w gorących wczesnych latach osiemdziesiątych. Podkołował teraz do terminalu, gdzie na jego pasażerów czekał już samochód sztabowy. Rawi i Szakira natychmiast odjechali do bazy w Pietropawłowsku. Tam u drzwi kompleksu sztabu Floty Pacyfiku powitał ich Ben Badr. Nie okazał najmniejszego zdziwienia niespodziewanym przybyciem dziewczyny, ale uścisnął jej rękę z ciepłym uśmiechem, po czym złapał Rawiego w niedźwiedzim uścisku.

–Nie wiedziałem, że przyjedzie nas pani pożegnać -rzekł. – Ale cieszę się, że panią widzę, i żałuję, że nie może pani płynąć z nami.

–Nie ma problemu. Mogę to życzenie spełnić z łatwością. Komandor porucznik Szakira Raszud jest na liście załogi -powiedział rzeczowo i bez uśmiechu Rawi, tonem odpowiednim dla dowódcy operacji.

Ben Badr, który właśnie otrzymał awans na kapitana, nawet okiem nie mrugnął.

–Oczywiście, panie generale. Rozumiem, że będzie podlegać służbowo raczej panu niż mnie.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem, ale kiedy weszli do dobrze ogrzanego budynku, bezpieczni od kłującego arktycz-nego wiatru, Ben wykorzystał tę chwilę wesołości, aby na

nowo przywołać kwestię delikatnej równowagi władzy, jaką trzeba będzie zachowywać na Barracudzie.

–Generale, ten okręt popłynie pod moim dowództwem tak, jak gdyby miał na pokładzie admirała floty. To znaczy pana. Ja będę odpowiadał wyłącznie za bezpieczną nawigację z punktu A do punktu B, bez narażania życia załogi. Wszystkie pozostałe decyzje odnoszące się do naszego zadania, jak to, gdzie będzie ten punkt B, co zaatakujemy, kiedy i w jaki sposób, należą do pana. Może pan zmienić moje rozkazy, ja pańskich nie.

–Tak jak od początku było to między nami ustalone -zauważył Rawi.

–Tak jest. Także przez mojego ojca. Obaj musimy to jasno powiedzieć. To nie jest misja bojowa marynarki wojennej Iranu ani Chin, ani tym bardziej Rosji. To jest operacja Islamskiego Ruchu Oporu, Hamasu, oddanego sprawie pełnego wyzwolenia Palestyny i utworzenia wielkiego państwa muzułmańskiego. Rawi, ty jesteś najwyższym stopniem wojskowym przywódcą, jakiego kiedykolwiek miał Hamas. Jednym słowem, to twoja operacja.

–Dziękuję, Ben. Mam tylko nadzieję, że nie myślisz, iż wykorzystuję swoją wysoką rangę, aby zabrać żonę w podróż

. poślubną.

t- – To mi nawet nie postało w głowie – zaprzeczył Ben. – Wielu ludzi wie o ważnym wkładzie Szakiry w działania Hamasu. Jestem pewien, że dobrze przemyślałeś tę decyzję.

–Zdecydowałem tak, biorąc pod uwagę jej długą pracę nad precyzyjnym naprowadzaniem – odrzekł Rawi. – Szakira przeprowadziła gruntowne studia nad naszymi celami i cały plan ataku jest bardziej jej dziełem niż moim, jeśli mam być szczerzy. Brakowałoby mi jej w tej misji w ściśle zawodowym sensie.

–Wygląda na to, że nam wszystkim by jej brakowało -powiedział Ben i podchodząc do Szakiry, muzułmańskim zwyczajem pocałował ją delikatnie w oba policzki. – Witani Qa pokładzie, pani komandor.

–Pozostaje więc tylko kwestia miejsca jej pracy – rzekł Rawi. – Ponieważ będzie związana z mapami, planami i kom-

puterami, myślę, że trzeba ją umieścić gdzieś niedaleko oficera nawigacyjnego.

–Nie ma problemu. Mamy w nawigacyjnej dość miejsca. Oczywiście Szakira będzie go przewyższać rangą... on jest tylko porucznikiem. Ale chyba wszyscy musimy się z tym

pogodzić... wobec żony generała Raszuda większość z nas będzie w takiej samej sytuacji!

Zjedli we troje obiad w osobnym pokoju, wykorzystując ten czas na przedyskutowanie najbardziej newralgicznej części operacji – to znaczy, dokąd się udać po jej zakończeniu. Dysponowali wprawdzie najdoskonalszym pojazdem do ucieczki z miejsca przestępstwa, jaki można sobie wyobrazić: szybkim i cichym atomowym okrętem podwodnym, który nie wymaga tankowania i w odpowiednich rękach jest nie do wykrycia; Rawiemu jednak od początku się nie podobało, że ten ostatni etap nie jest odpowiednio zaplanowany. Teraz jednak poczuł ulgę, usłyszawszy, co miał na ten temat do powiedzenia komandor.

–Rozmawiałem z chińskim komisarzem politycznym. Podkreślił wyraźnie, że kto jak kto, ale Chiny absolutnie nie mogą być kojarzone z działalnością Barracudy, bo mają za dużo do stracenia. Nie mogą sobie pozwolić, aby ktokolwiek wykrył ich powiązania z okrętem.

–Mogliby nas po prostu wyeliminować – rzekł Rawi. – A potem twierdzić, że robiąc to, pomogli Amerykanom. W Anglii takie manewry nazywa się rozgrywaniem obu końców przeciwko środkowi.

–Amerykanie nie będą nas mogli wykryć, a Chińczycy tym bardziej.

–Tak. To prawda. Wszystko to stawia nas jednak w raczej nieprzyjemnej sytuacji – odparł Rawi. – Nie możemy wracać do Bandar, nie możemy się nawet zbliżyć do Chin, a o Rosji nie ma nawet co myśleć. To cholerny kawał wybrzeża, które będzie przed nami zamknięte. Pół świata i masa ludzi, których wprawilibyśmy w zakłopotanie.

–Posłuchaj, czego się dowiedziałem od Chińczyków. Mają swój plan, ponoć niezawodny. Wynaleźli dla nas miejsce schronienia, gdzie będzie się można pozbyć okrętu i skąd wszyscy bez problemu zwiejemy do Iranu i Syrii. Mówią, że

drogą lotniczą. Okrętu zaś według nich nikt już nigdy nie znajdzie.

–To do nich podobne – burknął Rawi. – Przebiegli Azjaci. Ale czy mamy na to jakiegokolwiek gwarancje?

–Nie za wiele. Powtarzają tylko, że pomagają nam od samego początku i że to jest tak samo w ich interesie, jak i w naszym, aby nikogo nie schwytano. Będą więc nam dalej pomagać, dopóki wszyscy się nie znajdziemy w bezpiecznym miejscu. Szanują nas i nam ufają, więc powinniśmy im się odwzajemnić tym samym.

–Jeśli ktokolwiek wpadnie na ślad Barracudy, Chiny znajdą się w poważnych tarapatach – zauważył Rawi. – Nie da się zaprzeczyć. Wyszłoby na jaw, że to oni kupili ją od Rusków, i byłiby zmuszeni wziąć na siebie odpowiedzialność za wszelkie jej zbrodnie przeciwko Zachodowi. Znalezliby się w jeszcze gorszym położeniu, gdyby się przyznali, że kupili okręt dla znanej opoki terroryzmu. Tak, jedno jest pewne: wykrycie naszej misji miałyby gorsze konsekwencje dla Chin niż dla kogokolwiek innego.

–Problem w tym, że oni są maniakami na punkcie bezpieczeństwa. Nie zamierzają wyjawić, na czym polega ich plan umożliwienia nam ucieczki. Wyobraź sobie, że złożyli go na okręcie w sejfie z zamkiem czasowym, który otworzy się sam po upływie dziesięciu dni od naszego wyjścia w morze. W ten sposób nikt z nas nie będzie miał szansy zdradzić komukolwiek ostatecznego celu naszej podróży.

–Myślałem, że mają do nas szacunek i zaufanie?

–Do pewnych granic – odrzekł Ben. – Dopóki nie włączy się chiński instynkt samozachowawczy...

–A my im zaufamy?

–Nie mamy wyboru. A poza tym nie ma sensu się o to martwić. Podejmujemy tę akcję w imię islamu. Jeżeli Allah zechce naszej śmierci męczeńskiej, to zostaniemy męczennikami. Ja się nie boję umierać.

–My też nie – odezwała się Szakira. – Ale jeśli jest szansa troszeczkę to odsunąć w czasie, to chyba powinniśmy się postarać.

–Myślę, że sam Allah by się z tym zgodził. – Ben skinął poważnie głową. – Jesteśmy tu po to, aby pracować dla

Niego, a nie po to, by rozrzutnie marnować dane nam przez Niego możliwości. Allah jest

wielki!

–W porządku, Ben, wiemy zatem, na czym stoimy. Mamy już ETD*?

–Sobota, dziewiątego lutego, bladym świtem. A teraz przeprowadzamy się na okręt. Zleciłem Rosjanom budowę dodatkowego prywatnego gabinetu, większego niż normalna kabina dowódcy. Będzie twoja, Rawi, jako dowódcy operacji. Jest tam składana koja, dość duży stół i krzesło. Zamówię w takim razie jeszcze jedno. Koja jest tylko jednoosobowa, ale starczy tam miejsca na dodatkową sofę. Zdobędę jakąś.

–Dzięki, kapitanie – powiedział Rawi. – To co, idziemy?

Rosyjski kierowca zawiózł ich na pirs, gdzie zacumowana była Barracuda. Grupa irańskich marynarzy z oficerem służbowym czekała już pod trape, aby przenieść bagaże generała do jego kabiny. Ben Badr przedstawił im komandor porucznik Szakirę, wyjaśniając, że obejmuje ona stanowisko oficera naprowadzania rakiet i będzie pracować w specjalnie dla niej przygotowanym boksie obok kabiny nawigacyjnej. Wszystko to zostało przekazane w sposób raczej powściągliwy i rzeczowy, z delikatnym odcieniem wdzięczności dla losu, że fachowiec takiej klasy jak Szakira zechciał przyłączyć się do ich skromnej akcji u zachodnich wybrzeży Wielkiego Szatana. Ben oczywiście zdawał sobie sprawę, że wiadomość o zaokrętowaniu oficera płci żeńskiej obiegnie Barracudę lotem błyskawicy. Usłyszawszy, że chodzi o Szakirę Raszud, żonę boga wojny Hamasu, załoga chyba zaniemówi z wrażenia, pomyślał. Miał tylko nadzieję, że ten stan im nie minie zbyt szybko.

Sama zainteresowana nie tylko nie okazywała obawy ani zakłopotania; fakt, że właśnie wdziera się na jeden z ostatnich męskich bastionów, jakie pozostały na świecie, najwyraźniej nie robił na niej żadnego wrażenia. Pewna siebie weszła po trapie, owinięta w granatowy płaszcz mundurowy

* Estimated Time of Departure, spodziewany czas wyjścia (skrót stosowany w lotnictwie i żegludze).

irańskiej marynarki bez dystynkcji, w podbitych futrem wysokich butach i czarnej futrzanej czapce, pierwsza kobieta na świecie, która stanęła na pokładzie okrętu podwodnego jako członek załogi.

Okręt pobierał energię elektryczną z sieci lądowej. Rawi miał nadzieję, że nie będzie przerw w dostawie z powodu niezapłaconych rachunków... Rosjanie robili jednak wszystko, żeby to przedsięwzięcie przebiegało bezproblemowo. Chińczycy terminowo wywiązywali się z płatności i chociaż w rejsie nie miał wziąć udziału żaden rosyjski marynarz, na pokładzie wciąż jeszcze przebywała grupa specjalistów z Murmańska, między innymi torpedyści, obsługa rakiet cruise i sonarzyści.

Komandor porucznik Abbas Szafii od ponad tygodnia pracował już w przedziale reaktora, mając ze sobą bosmanów Alego Zahediego i Ardeszira Tikku, pełniących funkcję operatorów paneli kontrolnych systemu napędowego i pomocniczego. Cała trójka spędziła dziewięć miesięcy w Aragubie, a potem wzięła udział w rejsie do Pietropawłowska. Z tamtej załogi było na pokładzie jeszcze ośmiu oficerów. Tym razem jednak szykowali się do samodzielnego wyjścia w morze, bez swoich rosyjskich i chińskich nauczycieli. Mogli polegać wyłącznie na własnej wiedzy. Resztę załogi stanowiło czterdziestu marynarzy z irańskich Kilo, którym Barracuda nie była jeszcze znana, a także sześciu ludzi bez żadnego doświadczenia podwodniackiego. Byli to żołnierze z liczącego dwadzieścia tysięcy osób Korpusu Strażników Islamskiej Rewolucji, czyli irańskich sił specjalnych, wzorowanych na amerykańskich SEALs i brytyjskiej SAS. Całą szóstkę, która swój krwawy chrzest bojowy przeszła podczas wojny z Irakiem, stanowili pletwonurkowie, wysokiej klasy specjaliści. Oprócz wyszkolenia mieli jeszcze jeden atut: wiarę, że walczą w imię Allaha, który ich zawsze ochroni, a gdy będzie trzeba, zawiedzie do wiecznego szczęścia w raju. Ich dowódca, porucznik Arasz Azhari, świetny żołnierz, mógłby zostać przyjęty z otwartymi ramionami do SEALs, gdyby miał nieco inne poglądy polityczne, nie mówiąc o religijnych.

Wszyscy członkowie załogi, którzy mieli zajmować główne stanowiska, zwłaszcza w przedziale reaktora, byli odpowied-

nio przeszkoleni i doświadczeni. Najlepszy był oczywiście kapitan Badr, którego ojciec, admirał Mohammed Badr, ściśle nadzorował operację i miał duży wkład w dopracowanie jej szczegółów. Poleciał na przykład wyeliminować wszelkie umundurowanie, aby ułatwić zachowanie anonimowości na wypadek wpadnięcia okrętu w ręce nieprzyjaciela. Dwaj dowódcy (a teraz i Szakira) mieli w zamian nosić granatowe swetry, inni oficerowie niebieskie, podoficerowie bordowe, a szeregowi marynarze szare. Wszyscy poza tym mieli chodzić w dżinsach, białych skarpetkach i adidasach, wszystko made in USA.

General Raszud poprosił kapitana o umożliwienie mu inspekcji przedziału torpedowego i sekcji kierowania ogniem w centrali dowodzenia. Zatwierdził załadunek tylko dwunastu torped, gdyż tyle wystarczyło do samoobrony, nie widział bowiem uzasadnienia dla pobrania pełnej czterdziestki. Sprawdził, że w przedziale raketowym znalazły się dwadzieścia cztery radugi, zgodnie z jego specyfikacją. Programowaniem ich elektronicznych mózgów miała się zająć Szakira; komputer służący do tego celu znajdował się tuż obok jej stanowiska w kabine nawigacyjnej. Rawi znał już okręt bardzo dobrze, wraz z żoną obchodził teraz kolejno wszystkie trzy pokłady, poznając ludzi, z którymi miał wkrótce wyruszyć w morze, i przedstawiając wszystkim Szakirę jako oficera naprowadzania rakiet, twórczynię planu operacji i osobę odpowiedzialną za jego bieżącą adiustację i ewentualne zmiany.

Pani Raszud była wzorem uprzejmości. Zapisywała sobie w notesie nazwiska wszystkich marynarzy wraz ze stopniem i rodzajem zajęcia. Każdemu poznanemu powtarzała, jak się cieszy, że będzie z nim współpracować. Nie starała się udawać wilka morskiego, ale mówiła szczerze i rzeczowo. Cała załoga była oczarowana jej urodą; zresztą właśnie z takiego powodu unikano kierowania kobiet na tak wymagające jednostki jak okręty podwodne. Sytuacja Szakiry była jednak szczególna: jej mężem był wysokiej rangi oficer dowodzący rejssem od strony operacyjnej, co w zasadzie wykluczało jakiekolwiek niewłaściwe zachowanie ze strony załogi. Może nie byłoby to takie oczywiste w marynarce wojennej innego

kraju, ale Barracuda* formalnie nie należała do żadnej, ów mąż-dowódca był wyspecjalizowanym zabójcą z sił specjalnych, działającym z ramienia organizacji terrorystycznej; wspierał go przy tym kapitan, którego ojciec trzymał w ręku karierę, żeby nie powiedzieć życie, każdego człowieka na pokładzie. Szakira nie musiała się obawiać nawet najmniejszych oznak braku szacunku.

Generał Raszud z żoną wprowadzili się do kabiny „admiralskiej”, która urządzona była jednak wyjątkowo po spar-tańsku. Musieli się podzielić półkami w ciasnej szafie, do której załadowali zapasy koszul, swetrów, dżinsów, bielizny i skarpet. Poddali szybkiemu testowi koję i stwierdzili, że jest dostatecznie szeroka, by pomieścić ich oboje, choć duży śpiwór, jaki ze sobą przywieźli, na pewno będzie w tym pomocny. Jeżeli rosyjska sofa zamówiona przez Bena będzie miała tę samą wysokość, to problem w ogóle przestanie istnieć. Kiedy ją w końcu przywieziono, okazała się jednym z najgorszych mebli, jakie kiedykolwiek wykonano, cała z plastyku i niewiele wygodniejsza od podłogi, ale wysokość rzeczywiście miała odpowiednią. Przysunięta do koi tworzyła wraz z nią miejsce do spania dość szerokie dla dwóch osób, a jej oparcie mogło stanowić zabezpieczenie przed wypadnięciem podczas kołysania.

Resztę dnia spędzili pracowicie. Szakira zabrała się do studiowania map, Rawi zaś kontynuował obchód okrętu w towarzystwie Bena. O osiemnastej trzydzieści starszy mechanik zaczął stopniowo wysuwać pręty spowalniające z reaktora, pobudzając go tym samym do życia. Za kilka godzin, gdy słońce zacznie się wspinać ku ginącemu teraz za zasłoną padającego śniegu wschodniemu horyzontowi, Barracuda wyruszy w drogę.

Tym razem nikt ich nie żegnał. Rosjanie wycofali swoich ostatnich marynarzy nad ranem i od tamtej pory trzymali się

* Ponieważ okręt w służbie irańsko-palestyńskiej, bez przynależności do irańskiej marynarki, nie nosił formalnie żadnej nazwy własnej, od tej chwili dla jasności tam, gdzie mowa o samym K-239, pozwolimy sobie nadać mu nazwę Barracuda, wyróżniając to kursywą, natomiast gdy chodzi o klasę, pozostaniemy przy prostej czcionce. To samo będzie dotyczyć drugiego okrętu, K-240, czyli Barracudy II.

I

od okrętu z daleka. Wszyscy Chińczycy już poprzedniego wieczoru odlecieli do Szanghaju. Rawi i Ben byli teraz zdani na własne siły. Barracuda stała się w pełni irańską jednostką. Była piąta czterdzieści osiem w sobotę, kiedy rzucono ostatnią cumę i z pilotem na mostku odeszli od pirsu, kierując się do wyjścia z zatoki i dalej, przez pole minowe, na otwarty Pacyfik. Po przejściu za linię ostatnich min pilot zszedł na motorówkę portową. Operacja była rozpoczęta. Kapitan Badr pozostał na mostku jeszcze przez pół godziny, prowadząc okręt kursem wschodnim przez pokryte krótkimi, stromymi falami morze, po czym nakazał zwrot na południe. Chciał się dać jak najwcześniej zauważyć amerykańskiemu satelicie na tym kursie. Tuż przed siódmą trzydzieści minęli izobatę pięćsetmetrową i Badr dał sygnał do zanurzenia. Kiedy już zniknęli pod wodą, nastąpił kolejny zwrot, tym razem na północny wschód.

–Kapitan do centrali... stery głębokość dziesięć stopni na dziób. Zanurzenie sto dwadzieścia. Prędkość piętnaście węzłów. Sternik, połóż się na zero czterdzieści pięć.

Sto metrów pod powierzchnią Barracuda zawróciła o sto trzydzieści pięć stopni w lewo, kierując się w poprzek szerokiej Zatoki Kronockiej, gdzie pacyficzny szelf kontynentalny opada stromo do głębokości rzędu tysiąca ośmuset metrów. Pogoda na górze się pogorszyła, sonarzysta był więc nieco zaskoczony, gdy nagle zobaczył na ekranie linie od silnika jednostki nawodnej, znajdującej o pięć do dziesięciu mil na lewo od dziobu. Padał deszcz i warunki akustyczne przy powierzchni nie były najlepsze, ale odgłos wyraźnie się zbliżał. Ponieważ z całą pewnością nie był to rosyjski ani amerykański okręt wojenny, kapitan polecił podejść na peryskopową, by się przekonać naocznie, z kim się będzie mijał. Daleko przed sobą zobaczył masywną sylwetkę rybackiego trawlera z wydaną siecią, o czym świadczyły opuszczone po obu burtach żółte borny i biegnące z nich pod wodę grube stalowe liny. Ben nie zauważył na jego nadbudówce nadmiernej liczby anten, nasłuch elektroniczny też nie meldował o wykryciu jakichkolwiek emisji typu militarnego; trawler był jednak spory, musiał mieć wyporność w granicach tysiąca pięćuset ton. Po pewnym czasie dało się już zidentyfi-

kować go jako „japończyka”, a nawet odczytać nazwę: Ma-jadžima. Nawigator określił jego kurs na dwieście pięćdziesiąt stopni; trawler zapewne zmierzał na zasobne w ryby wody Zatoki Kronockiej. Ponieważ Barracuda płynęła kursem północno-wschodnim, a rybak szedł na WSW, ich drogi były rozbieżne. Odległość w tej chwili wynosiła dwie mile i widać było wyraźnie, że obie jednostki miną się bezpiecznie. Ben Badr polecił sternikom trzymać kurs i ponownie zejść na większą głębokość.

–Sto dwadzieścia metrów, prędkość piętnaście węzłów.

Dowódca nie mógł wiedzieć, że szyper Majadžimy, kapitan Kusei Kuno, akurat został powiadomiony przez swojego operatora echosondy o wykryciu wielkiej ławicy ryb na dużej głębokości, być może aż na sześćset metrach. Zdziwił się nieco, jak na tę porę roku bowiem były za daleko na północy, ale polecił opuścić sieć niżej, na czterysta pięćdziesiąt metrów. Nawet na tak dużym trawlerze wyraźnie się czuło, jak wielkie deski sterujące po obu stronach sieci silniej wpierają się w wodę, rozchylając jej wlot na kształt rozwartej wielorybiej paszczy.

Operator podał odczytaną głębokość i odległość w poziomie do ławicy. Szyper maksymalnie zwiększył obroty silnika i wyłożył ster lewo na burtę, kładąc się na kurs wschodni w pościgu za rybami... prosto przed dziób nadpływającego atomowego okrętu podwodnego. Po czterech minutach zwolnił do „bardzo wolno naprzód”, telepiąc się na falach z prędkością zaledwie trzech węzłów, i zawrócił na zachód. Był teraz dokładnie nad ławicą. Tony ryb wpadały do sieci, wtłaczane w jej stożkowaty kształt.

W tej samej chwili Barracuda przepłynęła pod rufą Majadžimy i wbiła się z impetem w sam środek sieci. Liny napięły się silnie i przez chwilę usiłowały zatrzymać intruza, ale wtem jedna z nich pękła, a umieszczona na niej deska sterująca opadła z łoskotem na tytanowy kadłub okrętu, wywołując w jego wnętrzu ogłuszający hałas.

–Co to jest, u diabła? – spytał Rawi, który stał tuż obok kapitana.

–Bóg jeden wie – padła odpowiedź. – Brzmi to, jakby coś nam nagle odpadło.

Ben nie mógł wiedzieć, że jedna z lin trałowych trzyma mocno, podczas gdy ta pęknięta owinęła się na kiosku, tłukąc rytmicznie przymocowaną do niej deską sterującą o kadłub, a jego okręt zaczyna wciągać japońskiego rybaka pod wodę rufą naprzód.

–Czy bierzemy wodę?! – krzyknął dowódca.

–Nie, panie kapitanie.

–Spadek prędkości?

–Okolo czterech węzłów.

Na Majadżimie rozpętało się pandemonium. Kapitan Kumo zdawał sobie sprawę, że są wciągani w głębinę. Woda już się przelewała przez rufę i wpadała kaskadą do otwartej ładowni, a nawet zaczynała już chlupotać na pokładzie nawigacyjnym. Choć silnik obracał się bardzo wolno, log wskazywał prędkość czternaście węzłów... ale wstecz! Naprężenie sprawnej liny było niesamowite. Szyper pchnął dźwignię awaryjnego zwalniania sieci. Majadżima od razu się wyprostowała, wracając na równą stępkę, szczęśliwie nie odniósłszy poważniejszych uszkodzeń. Trawler stał teraz w dryfie, kołysząc się na krótkiej fali. Stracił najważniejszy element ekwipunku wraz ze złowionymi przed chwilą rybami, a wdzierająca się na rufę woda spowodowała trochę szkód. Pompy pracowały pełną mocą, aby osuszyć częściowo zalaną ładownię. Nie było sensu pozostawać na morzu ani chwili dłużej. Tego typu statki rybackie nie wożą zapasowego kompletu sieci, przede wszystkim z powodu kosztów. Utrata ich podstawowego narzędzia pracy jest równoznaczna z końcem rejsu i zmusza do pozostawania w porcie dopóty, dopóki ubezpieczyciel albo ktokolwiek inny nie wypłaci odszkodowania. Kapitan Kumo zawrócił więc na południe i ruszył w drogę powrotną do Ishinomaki na wschodnim wybrzeżu Honsiu. Straty oszacował później na dwieście tysięcy dolarów.

Na okręcie podwodnym hałas wywołany uderzeniem deski sterującej sieci o poszycie raptownie ustał. Po zwolnieniu napiętej dotąd liny trałowej sieć wraz z całym osprzętem i skazanymi na śmierć dorszami gładko zsunęła się z krągłego kadłuba Barracudy i opadła ku odległemu o setki metrów dnu. Uwolniony okręt przyspieszył znowu i płynął dalej na północny wschód, jak gdyby nic się nie stało.

–Czy są przecieki? – zapytał znowu Ben Badr.

–Nie ma, panie kapitanie.

Dowódca odwrócił się do Rawiego i rzekł:

–Prawdopodobnie wpadliśmy w sieć rybacką. Ten łomot musiały robić jej deski sterujące. Nigdy jeszcze tego nie przeżyłem, ale znam podwodniaków, którym się to przydarzyło. Dla nas to nie jest niebezpieczne, ponieważ tak naprawdę nie trafiamy do sieci, tylko ją przed sobą wlecemy. Natomiast dla rybaków to śmiertelne zagrożenie. Muszą błyskawicznie przeciąć liny, zanim pociągniemy ich pod wodę.

–Wynurzymy się, żeby sprawdzić, czy nie ma uszkodzeń?

–Nie wynurzymy się, Rawi. Dopiero ostatniego dnia, kiedy porzucimy okręt.

–Rybacy mogą przecież tonąć.

–Mogą, ale nie zrobimy nic, aby im pomóc.

Miesiąc później kapitan Kumo miał twierdzić, że widział ich peryskop wystający z wody. Tymczasem Barracuda płynęła dalej. Od zachodniego krańca archipelagu Aleutów dzieliło ją trzysta pięćdziesiąt mil otwartego oceanu. Aleuty ciągną się od południowo-zachodniego cypla Alaski długim na tysiąc mil łukiem, odgradzając Morze Beringa od reszty Pacyfiku. Zaludnione od blisko dziewięciu tysięcy lat pomimo wystawienia na jedne z najokrutniej szych zim na świecie, mają obecnie przede wszystkim znaczenie strategiczne jako wysunięta placówka amerykańskich sił zbrojnych, chroniąca zachodnie podejścia do Alaski i Kanady. W ostatnich latach militarny dozór nad tym rejonem z baz aleuckich nasilił się wielokrotnie wraz ze wzrostem znaczenia alaskańskich złóż ropy naftowej. Ogromny terminal przeładunkowy i skład ropy w Valdez w Zatoce Księcia Williama, punkt startu „mostu naftowego” złożonego z nieprzerwanie wypływających na południe zbiornikowców VLCC, a także nowy podmorski rurociąg biegnący na Zachodnie Wybrzeże stały się jednym z głównych trybów w mechanizmie amerykańskiej gospodarki. To zaś wymaga odpowiednio silnej ochrony.

W polityce Białego Domu, pragnącego zmniejszyć stopień uzależnienia od ropy arabskiej, rezerwy tego surowca na północnym brzegu Alaski, szacowane na szesnaście miliardów baryłek, mają podstawowe znaczenie. Stany Zjednoczone

dysponują na pokrytych wieczną zmarzliną wybrzeżach arktycznego Morza Beauforta złożami wystarczającymi do zastąpienia wszystkich dostaw z Bliskiego Wschodu przez trzydzieści lat.

Drobną przeszkodą w rozwoju wydobywania na Alasce było to, że część złóż znajduje się terenach Arktycznego Rezerwatu Przyrody. Protestowało też mieszkające tam plemię Indian, którzy obawiali się, iż nowe wiercenia mogą odstraszyć migrujące stada karibu, mimo że sami polują dziś na nie z paliwożernych skuterów śnieżnych, używając nowoczesnych sztuczerów. Nie powstrzymało to jednak całego gigantycznego procesu. Rząd republikański z początku dwudziestego pierwszego wieku, nie zważając na najprzeróżniejszej maści miłośników ekologii, twierdził, że dla większości Amerykanów wolność jest równoznaczna z niedrogą i obficie dostępną energią i aby ją mieć, pogodzi się ze szkodami ekologicznymi na pustkowiach Arktyki.

Jeżeli nawet w głębi serc polityków kołatały się jeszcze jakieś wątpliwości w tej materii, wydarzenia z jedenastego września 2001 roku rozwiały je w przyspieszonym tempie. Perspektywa dalszego napędzania motoru gospodarki narodowej niemal wyłącznie paliwem od Abdula, Ahmeda i Mustafy stała się po prostu nie do przyjęcia. Prezydent, wspierany przez grono zaufanych doradców (wśród których byli wytrawni nacierze), wezwał do natychmiastowego zwiększenia wydobywania. Demokratom to się nie bardzo podobało, Eskimosom i Indianom również, niezbyt zadowolone były zapewne i karibu, ale odzew był natychmiastowy: gorączkowe poszukiwania, nowe odwierty i instalacje, w większości na ziemiach rządowych, gdzie koncentruje się 86% całej działalności wydobywczej na Alasce.

Pod koniec 2006 roku kończono budowę nowego trans-alaskańskiego rurociągu, biegnącego przez większość tysiąc-trzystukilometrowej trasy równoległej do starego TAPS, Trans-Alaskan Pipeline System, którym od dziesięcioleci transportowano ropę z rozległego pola naftowego wokół Prudhoe Bay na północy do terminalu Valdez, położonego o niespełna dwieście kilometrów w linii prostej na wschód od Anchorage. Nowy rurociąg, nazwany ABET (Alaska Bi-Coas-

tal Energy Transfer), skonstruowany jest według tych samych zasad, w zygzakowatej, napowietrznej formie pozwalającej wytrzymać ogromne naprężenia termiczne, jakim podlega w rytmie pór roku, gdy tundra na przemian zamarza i taje. Oba rurociągi pokonują po drodze trzy grzbiety górskie i trzydzieści cztery rzeki, rzeczki i strumienie, w tym Jukon. Ułożone na wysokich filarach są z daleka widoczne na tych pustkowiach. Każdy odcinek rurociągu o średnicy stu dwudziestu centymetrów zawiera ponad trzy miliony litrów ropy. TAPS i ABET rozchodzą się tuż przed Valdez; nowa linia skręca w lewo, po czym przez południowe stoki gór Chugach dociera do nowego terminalu przeładunkowego w zatoce Yakutat. Ropa jest tam wtłaczana do rurociągu podmorskiego, który od zimy 2007 roku biegnie od południowego wybrzeża Alaski do Wysp Królowej Charlotty, leżących o sześćset mil morskich na południe na względnie płytkich wodach na wysokości Kolumbii Brytyjskiej. A jest to dopiero połowa drogi, jaką musi przebyć ten strategiczny surowiec, zanim dotrze do odbiorców na Zachodnim Wybrzeżu. Dalsza część rurociągu ułożona jest wzdłuż brzegu, mija wyspę Vancouver i wchodzi na wody amerykańskie na wysokości stanu Waszyngton, a konkretnie jego jedyne głębokowodnego naturalnego portu (jeśli nie liczyć położonego dość daleko w głębi lądu Seattle), dziesięciomilowej zatoki Grays Harbor. Ten coraz ruchliwszy ośrodek transportowy, leżący o sto sześćdziesiąt kilometrów od granicy z Kanadą, znany jest obecnie pod nazwą superkorytarza przybrzeżnego i jest najnowszym centrum biznesu i handlu międzynarodowego. W Grays Harbor występuje szczególny zbieg arterii drogowych, kolejowych i szlaków morskich: na północny wschód do pobliskiego Seattle, na południe do Portlandu i dalej, do Kalifornii. Ten nowy charakter okolicy skłonił republikańskiego prezydenta do przeforsowania w Kongresie ustawy, która pozwoliła na budowę w tym miejscu wielkiej rafinerii do przerobu surowej ropy tłoczony rurociągiem ABET z zatoki Yakutat. Zakłady, zbudowane z zastosowaniem najnowocześniejszej technologii, usytuowano na południowym brzegu Grays Harbor, o trzy kilometry od siedemnasto-tysięcznego portowego miasta Aberdeen, obecnie połączonego

w jeden urbanistyczny organizm z sąsiednimi Cosmopolis i Hoquiam.

Rafineria naftowa wzbogaciła wielu ludzi, a do portu zaczęły zawijać jeden po drugim wielkie VLCC, ładujące przetworzoną ropę i wywożące ją na południe wzdłuż wybrzeża do Kanału Panamskiego i dalej, do terminali gigantycznego amerykańskiego systemu dystrybucji paliw nad Zatoką Meksykańską. Dla rosnących jak grzyby po deszczu miasteczek wokół Grays Harbor równie ważna, jeżeli nie ważniejsza, jest kolej – Canadian Pacific Railroad – podstawiająca ogromny tabor cystern pod załadunek w tej samej rafinerii, a potem transportująca jej produkty półtora tysiąca kilometrów na południe, do innego najnowszego dziecka rządowej inicjatywy energetycznej, największej elektrowni kraju w Lompoc w Kalifornii. Ta ogromna konstrukcja zyskała miano „Superpower West”, zachodniej superpotęgi. Zbudowano ją na wyraźne polecenie prezydenta, który chciał w ten sposób skończyć z ciągłym niedoborem energii i wynikającymi z niego przerwami w dostawie, jakie nękały dotąd różne regiony Kalifornii. Superpower West, całkowicie zależna od dostaw ropy z Alaski, powstała po to, aby odciążać pozostałe pięćdziesiąt kalifornijskich elektrowni. Cała jej produkcja była przeznaczona na zaspokajanie potrzeb dwóch miast: San Francisco i Los Angeles. Właśnie ku tej gigantycznej, wartej miliardy dolarów sieci energetycznej, rozciągniętej od zaśnieżonych brzegów Alaski aż po gorącą i pustynną granicę meksykańską, zmierzali Rawi Raszud i Ben Badr. Barracuda znajdowała się na otwartych wodach, płynąc na głębokości stu pięćdziesięciu metrów z prędkością piętnastu węzłów. Jej kurs prowadził ku zachodniej części Morza Beringa, Basenowi Kamczackiemu, gdzie dno opada poniżej trzech kilometrów. Dowódca prowadził okręt tak, jak gdyby był trybikiem w maszynie jakiejś marynarki wojennej, ale w rzeczywistości było inaczej. Teraz na przykład stali w obliczu ważnej, wręcz przełomowej decyzji nawigacyjnej: czy wybrać krótszą drogę na południe od archipelagu Aleutów, czy wejść na Morze Beringa, by potem próbować się przemknąć przez cieśninę Unimak na Zatokę Alaskańską. Żaden sztab marynarki wojennej nie pozwoliłby sobie na pozosta-

wienie takiej kwestii otwartej dla dyskusji podczas zadania bojowego. Wszystkie cele i trasy byłyby wypisane czarno na białym, podpisane, przypieczętowane i dostarczone na okręt wraz z rozkazem na długo przed wypłynięciem, nawet gdyby chodziło o operację specjalną. Barracuda praktycznie nie należała jednak do niczyjej floty. Obsadzona była załogą złożoną z zawodowców i ekspertów, ale jej zadanie było wielce nietypowe i musiało być na bieżąco dopracowywane podczas długiego rejsu do celu.

Sygnal alarmowy dała komandor porucznik Szakira, po akademicku kwestionując mądrość wyboru trasy południowej. Nie podchodziła do sprawy pryncypialnie ani nawet nie lalegała; powiedziała tylko dowódcy, oficerowi nawigacyjnie-ju i swemu mężowi:

–Na miejscu Amerykanów trzymałabym okręt podwodny la patrolu wzdłuż Rowu Aleuckiego... o, tu... gdzie głębokość spada poniżej pięciu tysięcy metrów.

Dla Bena Badra była to bardzo trudna rozmowa. Nie przywykł, by ktokolwiek kwestionował jego zdanie na jego własnym okręcie, a zwłaszcza kobieta, gatunek nigdy dotąd nie widziany wśród podwodniaków. Szakira jednak nie darmo spędziła długie miesiące na studiowaniu map i układaniu w całość wycinków informacji ściągniętych przez Internet z prasy fachowej i samego Pentagonu. Ben wiedział, że nie zabierałaby głosu, nie dysponując solidną wiedzą na ten temat. Przelknął więc to jakoś, uśmiechnął się i powiedział Rawiemu, że ma bardzo wykształconą żonę. Rozładowało to sytuację i pozwoliło mu uniknąć bezpośredniej konfrontacji z damą.

Rawi też studiował mapy z Szakira, ale nie był zdecydowany co do wyboru trasy. Ani on, ani dowódca i oficer nawigacyjny nie mieli jednak tylu informacji co jego żona, której główną troską był amerykański nasłuch i patrole.

–Nie wiem, ile to warte... – zaczęła. – Ale widzę tu pewien trend. US Navy stosuje coraz poważniejsze środki ostrożności. Na przykład zaraz po jedenastym wrześniu wzmocnili straż wokół terminalu Valdez i do dzisiaj prowadzą patrole u wejścia do Zatoki Księcia Williama. Nie wiem, czy także podwodne, ale w mojej opinii Amerykanie zatopiliby każdego

intruza wykrytego na tych wodach. Sami sobie wyobraźcie... obcy okręt podwodny zakradający się do samego serca gospodarki Zachodniego Wybrzeża. Wierzcie mi, oni nie zawahają się otworzyć ognia w takiej sytuacji.

General Raszud przyjrzał się uważnie mapie, po czym rzekł krótko:

–Dobrze, komandorze. Dlaczego lepsza jest trasa północna?

–Weźmy wyspę Attu, pierwszy kawałek Aleutów, do którego podejziemy. Na mapie mamy zaznaczoną placówkę rozpoznania powietrznego na jej wschodnim brzegu. To sam koniuszek archipelagu. Byłabym zdumiona, gdyby nie było tam stacji Loranu i innej placówki marynarki wojennej. Może zwykły radar, ale kto wie, czy nie stacja nasłuchowa SOSUS, zamaskowana jako szopa czy obora. Tak czy owak, mogliby nas usłyszeć. Na południe od wyspy ocean jest płytki i hałaśliwy, ale tamtędy płynąć nie powinniśmy.

Ben skinął głową.

–To prawda, że od północy jest znacznie głębiej. Zaraz za linią wysp dno opada do trzech kilometrów i trzyma się tak przez paręset mil.

Wszyscy pochylili się nad mapą, patrząc na wyraźne i gęste linie izobat na południe od Aleutów, wzdłuż których ciągnie się tam stromy i głęboki Rów Aleucki.

–Wątpię, aby tam był SOSUS – podjął Ben. – Nie w samym rowie. Ale zgadzam się z Szakirą, że wszystko wskazuje na istnienie amerykańskiej stacji nasłuchowej gdzieś w okolicach 53°N, 173°E. Patrol podwodny na południu też jest bardzo prawdopodobny. Rawi, chodź tu... i Szakiro... pokażę wam coś.

Wyjął z szuflady nieco dokładniejszą mapę, pokazującą ocean na południe od Aleutów, rozległy podmorski płaskowyż zwany Basenem Północnopacyficznym.

–Ten akwen jest naładowany SOSUS-em, a więc nie możemy się tam zbliżyć. Jakoś jednak trzeba się przedostać na drugi koniec Aleutów. Popatrzcie teraz na te głębokości. Przez cały basen mamy pięć tysięcy metrów. To jedna wielka pułapka. Podczas zimnej wojny Amerykanie mieli fioła na punkcie rosyjskich okrętów podwodnych, które mogły tędy

wpływać na ich wody. A wszyscy dobrze znamy Jankesów. Kiedy czegoś chcą, zawsze w końcu dopną swego. Stworzyli więc tu barierę nie do pokonania, przez którą nikt nie może się przedrzeć. Wiecie, czego jednak nie mogli zrobić? Zbudować takiego samego systemu na północy, blisko wysp. Spójrzcie. Idąc od basenu w górę natrafiamy na Rów Aleucki. Jak to w

praktyce wygląda? Gwałtowne obniżenie dna, rodzaj urwiska, otwiera się przepaść sięgająca siedmiu tysięcy metrów, szeroka na kilka mil. Dalej dno znów się raptownie podnosi. Izobaty leżą jedna na drugiej: sześć tysięcy, pięć, trzy, tysiąc metrów... i już się robi płytko. Dalej mamy setki, nie tysiące metrów. Przy wyspie Attu nawet mniej. Dlatego właśnie US Navy nie może polegać tam na SOSUS-ie. Rów jest za głęboki i za stromy. Hydrofony z basenu nie mogą usłyszeć nic, co się dzieje po jego drugiej stronie.

–Dlaczego? – spytała Szakira.

–Właśnie mówię: jest zbyt stromy. SOSUS nie lubi zadzierać głowy. I dlatego też niemal na pewno Amerykanie mają tam stały patrol. Gdybyś wydała miliardy dolarów na sprzęt chroniący przedpole, chyba nie poskapiłabyś na nuklearny okręt podwodny, żeby uszczelnić nim szparę w systemie?

–Pewnie nie.

–I jak to wpływa na naszą sytuację? – zapytał Rawi.

–Tak, jak to powiedziała twoja małżonka. Byłoby głupotą próbować płynąć wzdłuż archipelagu od południa, bo niemal Ha pewno wykryłby nas amerykański okręt pilnujący tego akwenu. Mogą nas nie złapać, ale na pewno podniosą taki Wrzask, że aż w Pentagonie będzie słyhać. A to nie bardzo by mi odpowiadało.

–Mogą tam być nawet dwa okręty – mruknął Rawi.

–I z tym się zgadzam. Gdyby nawet mieli tam SOSUS, to Znaczy między wyspami a rowem, nasłuch jest tam bardzo Utrudniony...

–Dlaczego?

–W tym rejonie występuje silna martwa fala, nadpływająca z daleka i wypiętrzająca się na płytszym akwenu. Pogoda często bywa podła, wieje ósemka czy dziewiątka i fale Uderzają w podwodne klify; masa turbulencji, hałas, wystę-

pują silne prądy przy zalewaniu i cofaniu się wody z różnych szczelin i dziur... jednym słowem, dla służby ZOP fatalne warunki. Z północy sączy się między wyspami zimna woda, z południa pcha się ciepła, tworzą się wyraźne warstwy termiczne. Dla SOSUS to tragedia. O wiele łatwiej jest postawić tu jeden czy dwa atomowe okręty myśliwskie na dozorze. Gdybym to ja rządził tą działką w US Navy, trzymałbym stały patrol w tym miejscu, pod wyspą Amczitka, mniej więcej na 51°N, 179°E. Miałbym też pewnie w pogotowiu patrol lotniczy ZOP na wypadek, gdyby ktoś się tam szwen-dał i trzeba by go zmusić do wynurzenia.

–Czyli definitywnie spodziewasz się tam jednego, a może i dwóch okrętów podwodnych? – upewniła się Szakira.

–Tak jest. Wszystko mi mówi, że powinniśmy rzeczywiście trzymać się z dala od południowej strony Aleutów.

–Mnie też, a ja mam tylko setną część twojej wiedzy. – Szakira się uśmiechnęła.

–A ty, Rawi? Zgadzasz się?

–Absolutnie. Wybieramy trasę północną.

–A tymczasem... czy ktoś może mi podać najświeższe informacje na temat amerykańskich stacji Loran, żebym mógł uzupełnić swoją mapę?

–Nie mam ich za wiele – odrzekła Szakira. – Ale naniosłam na swoją wszystko, co mi się udało zdobyć. Oczywiście wyspa Attu, zaznaczyłam też Amczitkę. To około dwustu czterdziestu mil na wschód od Attu, przy tym szerokim przejściu...

–Mam. Będziemy znacznie dalej na północy, na akwenie

0 głębokościach ponad półtora tysiąca metrów. Przejdziemy powyżej tej trzydziestometrowej płycizny... Ławicy Petrela.

–Jasne. Mam też innego pewniaka, stację na wyspie At-ka. 52°30'N, 174°E. Inna prawdopodobnie na wyspie Chugi-nadak, następne paręset mil na wschód. Pewności nie mam.

1 dalsze potwierdzone, na Umnaku i Unalascie.

–Widzę tam cztery latarnie błyskowe – zauważył Ben. – Jeżeli je zobaczymy przez peryskop, to będzie znaczyło, że jesteśmy za blisko.

–Wiem, że to zabrmi naiwnie... – zaczęła Szakira. – Ale gdzieś musimy znów przejść przez archipelag i wydostać się

na południe, zgadza się? Czy ktoś pomyślał, gdzie i jak to zrobić?

–Owszem – odparł Rawi. – Nie jestem tak kompetentnym nawigatorem, żeby decydować o trasach, ale też mi to przyszło do głowy. Główny i dość uczęszczany szlak dla dużych frachtowców wiedzie przez cieśninę Unimak. Postarałem się o bardzo dokładną mapę tego rejonu, znacznie lepszą od wszystkich, które dotychczas oglądaliśmy...

–To dobrze, Rawi – wtrącił Ben. – Ja mam dobre mapy, ale nie doskonałe. Przy przechodzeniu przez Aleuty musimy być bardzo ostrożni. Jeżeli gdziekolwiek mogą nas wykryć, to właśnie tam. Cieśnina musi być naszpikowana radarami, sonarami i z pewnością są tam też hydrofony SOSUS.

–To i tak lepsze od uzbrojonego po zęby okrętu atomowego klasy Los Angeles – odrzekł Rawi. – Taki sukinsyn zacząłby do nas strzelać bez ostrzeżenia.

Poniedziałek, 11 lutego 2008 r.

Wczesnym popołudniem Ben podszedł na peryskopową, aby sprawdzić pozycję z GPS. Byli dokładnie tam, gdzie powinni: na $53^{\circ}45'N$ i $170^{\circ}30'E$, dziewięćdziesiąt mil morskich na WNW od przybrzeżnych płycizn po północnej stronie wyspy Attu. Prędkość została zredukowana, ponieważ dowódca obawiał się wykrycia przez amerykański nasłuch. Wyznawał zasadę, że lepiej zachować przesadną ostrożność niż niedostateczną. Morze ma tam głębokość niecałych trzech tysięcy metrów. Ben polecił zwiększyć zanurzenie do dwustu czterdziestu i płynąć z prędkością pięciu węzłów kursem sto dziesięć stopni. Szansa na ich wykrycie w takich warunkach jest praktycznie zerowa, ale za to pokonanie stu mil zajmuje prawie dobę. Ben Badr nie chciał jednak iść ani trochę szybciej. Do cieśniny Unimak pozostawało zatem osiem dni żeglugi, a właściwie ukradkowego pełnienia z zachowaniem ciągłej czujności. To leżało w charakterze generała Raszuda, który czuł się w takiej sytuacji pewnie.

Barracuda płynęła więc w ślimaczym tempie trasą równoległą do sierpowatej linii archipelagu w odległości około

pięciu mil od brzegów, trzymając się płytszych wód. Pogoda na powierzchni była sztormowa, ale oni tego nie odczuwali. Oczywiście ani razu się nie wynurzyli, a i na głębokość peryskopową Ben podchodził tylko sporadycznie i na krótko, by sprawdzić pozycję. Płynęli wolniutko naprzód bez żadnych problemów. Reaktor pracował idealnie, zapewniając załodze ciepło, słodką wodę, tlen, światło i energię. Można powiedzieć, że terroryści z Hamasu tym razem zmierzali do celu i przedzierali się przez zewnętrzne pierścienie obrony USA w ściśle komfortowych warunkach.

Nigdy się o tym nie dowiedzieli, ale raz podczas całego przejścia byli o włos od wykrycia przez Amerykanów. Było to około trzydziestu mil na północ od wschodniego cypla Unalaski. Duży kuter rybacki z pobliskiego Dutch Harbor trochę zdenerwował sonarzystów z Barracudy, kiedy nagle i hałaśliwie zaczął pełną mocą wind wybierać sieć w pobliżu okrętu. Być może spieszył się, by zdążyć do portu przed pogorszeniem się pogody. Tak się złożyło, że oficer wachtowy podszedł nieco za blisko brzegu i miał ograniczone pole manewru, nie chciał zaś znowu się zaplątać w sieci. Korciło go, aby wykonać szybki zwrot, to jednak dla podwodniaka nie zawsze jest takie proste. Wychylenie steru na burtę wzmaga emisję hałasu na tyle, by czułe instalacje nasłuchowe złapały przelotny, kilkusekundowy kontakt. Co prawda operator SOSUS prawdopodobnie skojarzyłby ten nowy odgłos z owym kutrem i przypisał go nagłemu przyspieszeniu, ale Irańczyk dobrze wiedział, że należy za wszelką cenę unikać wszelkiego zwracania na siebie uwagi. W zdenerwowaniu polecił sternikom podejść na mniejszą głębokość i wyjrzał na powierzchnię, aby się naocznie upewnić, że nie grozi mu kolizja z rybakim. Duży błąd! Peryskop Barracudy wysunął się ponad lodowatą wodę zaledwie na kilka sekund, to jednak wystarczyło, by natychmiast wykrył go radar brzegowy z wyspy Akutan. Kontakt był przelotny, echo pojawiło się tylko w trzech kolejnych cyklach pracy radaru i operator zbagatelizował je, uznawszy za pochodzące z trawlera śmieci. Jednak pięć minut później kapitan Badr sam chciał zerknąć przez peryskop... Tym razem echo zostało dostrzeżone, skojarzone z poprzednim i zapisane jako „Przelotny kontakt,

dane niewystarczające do klasyfikacji", co jednak wystarczyło, by Amerykanie potraktowali je jako sygnał o możliwej obecności intruza. Czekali ze zdwojoną czujnością na jego ponowne ukazanie się na ekranach, ale się nie doczekali. Barracuda płynęła dalej w stronę cieśniny Unimak, już nie wychylając się z głębiny. USS Toledo, groźny okręt podwodny klasy Los Angeles krążący w okolicy Rowu Aleuckiego, był za daleko, by ją wykryć.

W środę 20 lutego byli już zaledwie o kilka mil od wejścia w cieśninę. Ben postawił okręt w dryfie w odległości dziesięciu mil od latarni morskiej na północnym przylądku Akutan. Światła oczywiście nie widzieli, pozycję znali tylko ze wskazań GPS. Przed nimi zaczynał się wyznaczony przez Amerykanów i zalecany przez locję „bezpieczny tor wodny" dla wszystkich statków korzystających z tej trasy na Morze Beringa. Mapa na Barracudzie, wydana przez admiralicję brytyjską, informowała, że w cieśninie nie ma przeszkód nawigacyjnych, ani naturalnych, ani sztucznych. Podawała też, że korzystanie z „bezpiecznego toru" nie jest obowiązkowe, ale zalecane.

–Dzięki, stary – mruknął do nieznanego angielskiego kartografa Rawi, na mgnienie oka ogarnięty tęsknotą za przybraną i potem odrzuconą ojczyzną. – Zgadzam się z tobą absolutnie.

Pośrodku tego toru wodnego widniała jednak jaśniejsza plama długiej na dwie mile płycizny, gdzie najmniejsza głębokość wynosi zaledwie dwadzieścia cztery metry. W sam raz dla jednostek nawodnych, ale nie dla podwodniaka, który chce przepłynąć tamtędy niepostrzeżenie. Jest to możliwe, ale wielce ryzykowne. Bez wysuniętego masztu Barracuda mierzy niemal siedemnaście metrów, a kapitan Badr na pewno zechce zachować co najmniej pięć metrów zapasu pod stępką, ponieważ uderzenie o dno byłoby równoznaczne z sytuacją krytyczną o diabolicznych proporcjach. Powolne przejście przy minimalnym zanurzeniu, z masztem wystającym z wody „na oczach" potężnego amerykańskiego radaru brzegowego, zakrawało na szukanie guza. Benowi się to wcale nie podobało i zaczynał poważnie rozważać alternatywę w postaci błyskawicznego skoku z pełną prędkością na

powierzchni, w środku nocy, a potem równie szybkiego zanurzenia po drugiej stronie cieśniny.

General Raszud widział w tym jednak nutkę hysterii i był zdania, że każdy superostrożny dowódca z SAS dostałby zawału na samą propozycję takiego działania.

–W armii brytyjskiej nauczono mnie jednego, Ben -powiedział cicho. – Kiedy stajesz w obliczu ryzyka mogącego zagrozić powodzeniu operacji, zawsze się cofnij i zastanów.

–Ta zasada i mnie nie jest obca – odparł Badr. – Ale na tym bezludziu musimy mieć co najmniej dziewięćdziesiąt procent szans, że idąc z pełną prędkością, przemkniemy się bez problemu. To kwestia najwyżej pięciu minut. Tamci pewnie wzięliby nas za rybaka albo jakiś frachtowiec.

–Dziesięć procent ryzyka to dla mnie i tak za dużo. Zapomnij o tym. Mam zresztą lepszy plan.

–I tak być powinno. – Ben się uśmiechnął. – W końcu ty tu dowodzisz.

–Kiedy byłem z wami w Aragubie, jeden z rosyjskich oficerów, który pewnie za dużo wypił, opowiedział mi o jednym z ich okrętów... chyba chodziło o klasę Kilo... który przeszedł w zanurzeniu przez Bosfor i żaden z licznych tureckich radarów go nie wykrył.

–Naprawdę? To nie do wiary! – zdziwił się dowódca. – Każdy podwodniak wie, że Bosfor jest nie do przebycia w zanurzeniu, przy całym tym ruchu statków, silnych prądach, meliznach i Bóg wie czym jeszcze.

–Wiem. Ale ten Rusek twierdził, że to się dało zrobić. Mało tego... powiedział mi nawet, jak to zrobiono.

–Poważnie? – Oczy Bena zrobiły się okrągłe.

–Tak. Okazało się to całkiem proste. Okręt przeszedł w kilwatterze dużego frachtowca, niemal włączając mu w tyłek. Zawierowania wody na tyle zmyliły tureckich radarzystów, że nie zauważyli peryskopu.

–Co ty powiesz? No dobrze, ale co by było, gdyby ten statek nagle zatrzymał maszynę?

–Zabawne... O to samo go spytałem. Rusek się tylko uśmiechnął i powiedział, że dobry dowódca byłby na to przygotowany i że nie ma problemu.

–I według ciebie tak właśnie powinniśmy zrobić?

–Dlaczego nie? Poczekamy w dryfie, aż się napatoczy jakiś większy statek, i popłyniemy za nim. Będzie to o wiele mniej niebezpieczne. Cieśnina jest szeroka i praktycznie pusta. Jeśli ten Rusek mógł płynąć za czyjąś rufą w tak ciasnym i trudnym przejściu jak Bosfor, to chyba i my damy sobie radę na torze o szerokości dziesięciu mil?

–Tak. Pewnie masz rację. Nie wiem tylko, jak długo przyjdzie nam czekać. Trzeba by podchodzić na peryskopową co jakieś pół godziny i sprawdzać, co się dzieje. Trzymalibyśmy minimalną prędkość, a potem podsunęli się blisko i jazda.

Obawy Bena co do czasu wyczekiwania były poniekąd uzasadnione. Przez cały dzień przez cieśninę przeszło tylko kilka małych statków, nieodpowiednich dla planu Rawiego. Dopiero późnym popołudniem, kiedy już dobrze się zmierzchało, starszy bosman Ali Amiri, szef okrętu i doświadczony podwodniak z Kilo, zawołał od peryskopu:

–Panie kapitanie, mam tu coś ciekawego... namiar trzysta trzydzieści, jedenaście tysięcy metrów. Jesteśmy trzydzieści stopni na prawo od jego dziobu. Łapię jego impulsy radarowe... pasmo cywilne.

–Uwaga, centrala! Podchodzimy bliżej. – Ben Badr przejął komendę od oficera wachtowego. – Chcę mu się przyjrzeć, póki jeszcze jest trochę światła dziennego. Peryskop w górę. – Błyskawicznie okręcił się wraz z okularem peryskopu o trzysta sześćdziesiąt stopni i w parę sekund później wydał rozkaz jego opuszczenia. Barracuda szła kursem niemal przeciwnym do frachtowca i obie jednostki zbliżały się szybko do siebie. – Sonar, tu kapitan. Namiar na cel?

–Trzysta trzydzieści pięć. Odległość... sześć tysięcy osiemset metrów... aspekt dwadzieścia pięć stopni z prawej. Kurs obiektu... sto dwadzieścia. Jesteśmy o trzy tysiące dwieście metrów od jego trasy.

–Sternik, tu kapitan. Położyć się na zero sześćdziesiąt. Prędkość pięć węzłów.

Barracuda skręciła ostro w prawo, kierując się na przecięcie kursu nadpływającego frachtowca. Po pewnym czasie Ben znów wysunął peryskop i stwierdził, że to statek japoński o pojemności brutto około sześciu tysięcy ton, płynący

prosto do cieśniny Unimak. Namiar względny się nie zmieniał, co oznaczało, że obie jednostki idą kursem na spotkanie. Przez następne dziesięć minut peryskop wysuwał się i chował niemal co chwilę, aż wreszcie kapitan Badr polecił wykonać kolejny zwrot w prawo, ustawiając okręt wprost za rufą frachtowca. Obroty turbiny dostosowano do jego prędkości. Dalmierz został ustawiony na światło rufowe statku dla kontroli odległości; zaledwie dziewięćdziesiąt metrów dzieliło teraz dziób Barracudy od wirującej śruby japończyka, na którym nikt się nawet nie domyślał, że śledzi ich okręt podwodny, i to nieprzyjacielski.

Wachtowi w centrali utrzymywali dystans do statku z dokładnością do paru metrów, zdając sobie dobrze sprawę z tego, że podejście zbyt blisko jego rufy grozi kolizją, zwiększenie odległości zaś równa się wyjściu z kotłującej się wody w kilwaterze, która osłania ich peryskop przed amerykańskimi radarami. Na szczęście japoński nawigator trzymał się niewzruszenie swego kursu i prędkości, nie tak jak poszukująca ryb Majadżima. Zanurzenie frachtowca zapewne nie przekraczało kilku metrów, nie musiał więc się przejmować głębokościami na torze i sunął gładko w kierunku odległego lądu na przeciwległym krańcu Zatoki Alaskańskiej.

–Pewnie ma ładownie pełne komputerów – zauważył Rawi. – Chociaż nie mam pojęcia, skąd miałyby je wziąć tam, w Arktyce. Może z Prudhoe Bay? Tam w końcu mają masę elektroniki*...

Do najpłytszego miejsca w cieśninie było dwadzieścia pięć mil. Znaleźli się tam po dwóch i pół godziny. Operator echosondy zaczął co kilkanaście sekund głośno odczytywać głębokość pod stępką. Tylko raz spadła ona poniżej sześciu

* Jak na wysokiej klasy fachowca z SAS Ray Kerman wykazał się tu zadziwiającą stereotypowością myślenia (japoński statek musi wieźć typowo japoński produkt) oraz nieznajomością nawigacji (przez M. Beringa od wyspy Attu do cieśniny Unimak prowadzi dogodna, zbliżona do ortodromy i osłonięta przed pacyficznym rozkołysem trasa z Japonii do Seattle i Vancouver, napotkany tam statek wcale nie musi więc płynąć gdzieś spod bieguna). A już zupełnie groteskowo brzmi sugestia, że owe komputery miałyby być załadowane... na polach naftowych za kręgiem polarnym.

metrów – na ekranie zapaliły się cyferki „4,30”, co kapitana Badra przyprawiło o przyspieszone bicie serca; jednak w kwadrans później dno zaczęło znów opadać.

–Trzydzieści metrów!... Trzydzieści pięć!...

Odbiornik GPS wskazywał współrzędne $54^{\circ}15'N$, $133^{\circ}07'W$. Barracuda już nie potrzebowała swojego japońskiego „przewodnika”. Na południowy wschód od wysp Sanak zmieniła kurs na dziewięćdziesiąt stopni i popłynęła wzdłuż pięćdziesiątego czwartego równoleżnika, zostawiając za sobą wielki łuk wulkanicznych wysp aleuckich i kierując się w głąb Zatoki Alaskańskiej.

ROZDZIAŁ 9

Przez pięć dni i nocy Barracuda sunęła głęboko pod chłostanymi zimowym sztormem wodami Zatoki. Kapitan Badr ani przez chwilę nie pozwolił sobie na przyspieszenie powyżej sześciu węzłów ani na wynurzenie się ponad sto pięćdziesiąt metrów, chcąc niejako „przejsć na palcach” przez czujne sieci SOSUS. Jednocześnie starał się tak dobierać trasę, by przy takim zanurzeniu płynąć po jak najpłytszych wodach. Wysoko nad ich głowami przepływało coraz więcej wielkich zbiornikowców, zmierzających do lub z Zatoki Księcia Williama i terminalu w Valdez. Nikt jednak nie słyszał niemal bezgłośnych przy tej prędkości turbin atomowego okrętu podwodnego, wiozącego drapieżców z Bliskiego Wschodu ku pięknym fiordom i wyspom południowo-wschodniego wybrzeża Alaski.

Po południu w czwartek 28 lutego Barracuda znalazła się na pozycji $54^{\circ}47'N$, $133^{\circ}45'W$, na zachód od malutkiej wysepki Forester i o trzydzieści mil od Wyspy Księcia Walii, trzeciej pod względem wielkości w obu Amerykach wraz z Hawajami. Dowódca polecił oficerowi wachtowemu powolne krążenie kursem nawrotnym z prędkością trzech węzłów na głębokości dziewięćdziesięciu metrów. Na powierzchni zapadał zmierzch, kiedy w przedziale raketowym zapanował ożywiony ruch: załoga przemieszczała na pozycje startowe osiem rakiet typu „Raduga”. Dwa pokłady wyżej w kabinie nawigacyjnej Szakira Raszud ślęczała nad swoimi mapami. Wolą pracować na tradycyjnych szerokich papierowych płachtach admiralicji brytyjskiej niż na ich nowoczesnej wersji elektronicznej. Posługiwała się przenośnikiem, metrową linijką, protraktem* i kalkulatorem z wprawą nawigatora.

* Jeden z przyborów nawigacyjnych, kątomierz o trzech ramionach; służy do wyznaczania pozycji statku, np. z dwóch kątów poziomych między trzema obiektami lądowymi.

Rawi stał przy niej, lekko ubawiony talentem małżonki do przekształcania jego nakreślonych w ogólnym zarysie pomysłów w starannie i szczegółowo dopracowane plany. Ona jest urodzonym urzędnikiem, pomyślał. Rzadko spotykana cecha u terrorysty. Od chwili, kiedy przedstawił jej swoje zamierzenia i cele, jakie chce osiągnąć, Szakira zabrała się do pracy. Przystudiowała statystyki efektywności radug, wyszukiwała informacje na temat środków obrony, znanych i potwierdzonych, jak i tych domniemanych, wybranych celów w USA, opracowywała trasy i trajektorie rakiet, poprawiała je, sugerowała pozycje strzału, aż w końcu przedstawiła wyniki w postaci starannie wykonanych diagramów i linii na mapach. Rawi stwierdził, że i strategia Szakiry, i jej przełożenie na warunki geograficzne są bez zarzutu. Całymi tygodniami wysłuchiwał jej głośno wypowiedzanych myśli: „Jaka to odległość?... A co z tym?... Za daleko... Zbyt bezpośrednio... To nie wyjdzie... Nie, absolutnie nie... Tu jest stacja nasłuchowa... Tam się nie da podplłynąć pod wodą... Usłyszeliby nas... Jest za płytko, za duży ruch i za blisko brzegu... Stąd za daleko... Tędy pływa większość zbiornikowców... Tu patroluje Coastguard...” Szakira była niezmordowana, dokładna, inteligentna i ostrożna. Wielka strategia nie była grą dla niej. Pochłaniały ją drobne szczegóły, a już dawno temu Rawi uznał, że właśnie one mogą ochronić ich przed wykryciem i atakiem. Dziewczynie nie zależało na uznaniu, nie miała ambicji być postrzegana jako geniusz. Przeciwnie, na każdym kroku konsultowała się z ukochanym Rawim. Satysfakcję dawało jej przygotowanie doskonale opracowanej operacji, eliminowanie pomyłek, wylapywanie błędów w obliczeniach, przewidywanie potencjalnych problemów, potknięć i zagrożeń. Rawi nie spotkał jeszcze równie dobrego oficera, tak dobrze się czującego w świecie map i rakiet. Przez ten długi czwartkowy wieczór obserwował żonę pracującą razem z oficerem raketowym; patrzył, jak oboje jeszcze raz sprawdzają odległości, kursy i trajektorie lotu, i w duchu dziękował Bogu za długie tygodnie spędzone przez jego załogę w Pietropawłowsku na zapoznawaniu się z radugami, które już wkrótce w imię Allaha ugodzą Wielkiego Szatana w samo serce. Gdyby nawet wszystko zostało

stracone, gdyby US Navy ich namierzyła, odnalazła i zatopiła, nic już nie mogło powstrzymać ich akcji. Sieć energetyczna Zachodniego Wybrzeża USA była zdana na ich łaskę.

O dwudziestej drugiej Rawi polecił wykonać zwrot na ESE, w stronę odległej o tysiące mil, dwa kontynenty i ocean Mekki. Włączył okrętową rozgłośnię i poprosił, aby każdy poświęcił teraz kilka chwil na modlitwę. Przypomniwał załodze, że ich działanie może przynieść im poważne kłopoty, że wkrótce mogą usłyszeć trzykrotny głos trąb anielskich, ale wtedy każdy prawy człowiek przejdzie przez most do raju i do Pana, a wśród prawych na pewno znajdą się wszystkie Jego dzieci, które tu, na tym wspaniałym okręcie, pracują na Jego chwałę.

–Staję przed Najwyższą Istotą, która stworzyła niebo i ziemię, pokorny i niegodny. Tobie niech będzie chwała, Twoje imię jest najwspanialsze i nie ma innego Boga prócz Ciebie...

Rawi modlił się o boskie przewodnictwo w ich działaniach, a zakończył wersetami z Koranu:

...Od Ciebie jednego błagamy pomocy.

Prowadź nas prostą drogą,

Drogą tych, których darzysz łaską.

Światłość nad światłością,

Bóg wiedzie wybrańców ku swej światłości.

Skończywszy modlitwę, polecił znów położyć się na kurs zachodni i wezwał oficera raketowego do centrali w celu ostatniego sprawdzenia procedur strzału i ustawień rakiet. Byli gotowi. Teraz mogła ich powstrzymać tylko awaria wyrzutni lub niespodziewana akcja nieprzyjaciela. Wielkie radu-gi, odpowiednio zaprogramowane, za chwilę pomkną wyznaczonymi przez Szakirę trasami.

Była punktualnie dwudziesta trzecia, gdy generał Raszud dał rozkaz.

–Uwaga na wyrzutniach od pierwszej do ósmej!

–Numer jeden... ognia!

Pierwsza salwa czterech rakiet została wystrzelona. Bli-

sko trzymetrowe cielska radug kolejno opuściły wyrzutnie, aby po chwili wyprysnąć z oceanu pionowo w górę z rykiem silnika, znacząc ognistym ogonem swą drogę na czarnym niebie.

Osiągnąwszy pułap dwustu metrów, każda z nich wyrównywała lot, kładąc się na kurs dwieście dziewięćdziesiąt stopni, i przyspieszała do przelotowej prędkości sześciuset węzłów (tysiąc sto jedenaście kilometrów na godzinę). W tym momencie włączały się ich turbiny gazowe, eliminując zdradliwy płomień wylotowy. Radugi były w drodze do celu. Każda z nich miała zaprogramowaną nieco inną trasę do Valdez, ale wszystkie miały tam dotrzeć w odstępach dwudziestosekundowych. Teraz rozbiegły się w różnych kierunkach, mknąc nad czarnymi wodami Zatoki Alaskańskiej zadziwiająco cicho jak na tę prędkość i moc. Pierwsze tysiąc sześćset kilometrów pokonały w półtorej godziny, przelatując aż o trzysta kilometrów południk 146°20'W, gdzie powinny zrobić zwrot w prawo, gdyby chciały dotrzeć nad Valdez naturalną, najkrótszą trasą. W ten sposób z daleka ominęły też radar amerykańskiej marynarki wojennej, który dzień i noc nadzoruje podejścia do Zatoki Księcia Williama. Zmierzały ku wyspie St. Augustine położonej u wejścia do Zatoki Cooka, nad którą leży Anchorage, główne miasto Alaski. Dotarwszy tam, ostro skręciły w prawo, na północno-wschodni kurs trzydzieści pięć stopni, kierując się wzdłuż osi zatoki, a potem przekroczyły linię brzegu, by pomknąć w głąb lądu na kolejne sześćset kilometrów. Szakira zaprogramowała tam kolejny ostry zwrot o sto pięćdziesiąt stopni w prawo, każąc rakietom nadlecieć nad cel od północy, z kierunku, z którego nikt się nie mógł ich spodziewać.

Piątek, 29 lutego 2008 Highway, środkowa Alaska

r., godzina 1.15. Glenn

Harry Roberts nie powinien tego wieczoru prowadzić samochodu. Noc była smolście czarna, reflektory jego starego furgonu pamiętały lepsze czasy, a sam kierowca wraz z kumplem od polowań, Calem Fosterem, wypili po dziewięć kufli alaska Amblera. Obydwaj mieli wprawdzie po dwa-

dzieńca jeden lat, przekroczyli już więc granicę wieku, od którego można legalnie spożywać trunki w tym stanie o największym w USA poziomie alkoholizmu, a szosa była

0 tej porze zupełnie pusta, dzięki czemu Harry mógł spokojnie jechać dość swobodną trajektorią, nikogo po drodze nie zabijając.

Znajdowali się sześć kilometrów od miasteczka Glenallen, kiedy przysypiający na siedzeniu pasażera Cal ocknął się

1 obwieścił nagłą potrzebę pozbycia się z pół galonu płynu, żądając natychmiastowego zatrzymania pojazdu. Harry dobrze rozumiał jego uczucia, więc od razu zjechał na pobocze, ledwie uniknąwszy wpakowania się w rów. Obaj młodzieńcy wyszli na świeże powietrze i przystąpili do najważniejszej w tej chwili czynności życiowej. Cal odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Odbiło mu się tak donośnie, że mógłby przerazić niejednego łosia. Kiedy znów podniósł powieki, zobaczył to przed sobą. Nadlatywało wprost nad niego, wysoko nad drzewami. W pierwszej chwili pomyślał, że to przywidzenie, ale zaraz się zorientował, że widzi jakiś rodzaj samolotu. W następnej chwili obiekt śmignął mu nad głową z głuchym rykiem silnika i wizgiem rozcinanego powietrza.

–Hej, Harry! – zawołał do kumpla. – Widziałeś? Pieprzone UFO właśnie przeleciało mi nad Wackiem!

–O czym ty mówisz? – spytał Harry, chwiejąc się na nogach.

–O UFO. Prosto nad nami. Przeleciało. Widziałem je i słyszałem, jak Boga Kocham. Zupełnie jak w tym filmie... jak to było? Bliskie spotkania pieprzonego stopnia...

–Nie słyszałem o takim.

–Harry, mówię ci, że przed chwilą przeleciał nad nami prawdziwy statek kosmiczny.

–Masz zwidy, pijaku jeden.

–Nie! Hej, stary, patrz! Leci następny! Patrz tam, na prawo! – Cal wskazał ręką w lewo.

Harry zagapił się w niebo po niewłaściwej stronie, a Cal krzyczał:

–Patrz, patrz, patrz! Ten cień na niebie! Kurde, ale zasuwa!

Harry odwrócił się i zobaczył to, o czym mówił kolega.

–Jezu! Co to jest?

–UFO, a co ty myślałeś?

–Co to jest UOF? – Harry'emu plątały się dźwięki.

–Niezidentyfikowany Pieprzony Kosmita, dupku.

–Nie umiesz tego porządnie powiedzieć – odparł Harry. – Poza tym to zwykły samolot. Może trochę się gdzieś spieszył.

–Widziałeś kiedyś, żeby zwykły samolot latał tak szybko i tak nisko? Jezu, ciągle mam w uszach ten szum. Nie, koleś, w życiu nie słyszałem czegoś takiego.

Terminal naftowy w Valdez leży na końcu długiego na dwadzieścia cztery mile morskie i głębokiego fiordu w północ-no-wschodnim zaułku Zatoki Księcia Williama. Jest to doskonale osłonięty naturalny port u stóp wznoszącej się na tysiąc pięćset metrów góry Hogan. Na południowy wschód od jej zboczy leży wielkie zgrupowanie zbiorników na ropę. Trzydzieści tych masywnych konstrukcji o wysokości dziewięciu i średnicy osiemnastu metrów, matowo połyskujących w tę bezchmurną i mroźną lutową noc, stoi w rzędach po cztery i sześć na całym terenie terminalu. Oplatający je system rur jest z jednej strony podłączony do głównej nitki rurociągu z Prudhoe Bay, z drugiej zaś kończy się przyłączami załadunkowymi na nabrzeżach, gdzie bezustannie, jeden za drugim, przybijają największe zbiornikowce świata, aby napełnić ładownie i ruszyć na południe. Valdez jest najbardziej wysuniętym na północ nie zamierzającym portem na półkuli zachodniej. Terminal nigdy nie zasypia; ropa naftowa płynie nieprzerwanym strumieniem, świętek czy piątek, zima czy lato, siedem okrągłych dób w tygodniu. Osłonięte ze wszystkich stron miasto, świetnie wkomponowane w topografię okolicy, powstało jako spójna całość całkiem niedawno: jego poprzednik został doszczętnie zniszczony przez silne trzęsienie ziemi w Wielki Piątek 1964 roku, zginęło wówczas też wielu jego mieszkańców.

Sam port został zbudowany w 1977 roku kosztem dziewięciu miliardów dolarów i szybko uczynił Valdez bogatym miastem dzięki wysokim podatkom płaconym przez koncerny

naftowe. Połowa miejscowej ludności pracuje „przy ropie”, a wszyscy dobrze znają wartość tego czarnego złota.

Od tragedii z jedenastego września 2001 roku zdążyły upłynąć zaledwie godziny, kiedy ojcowie miasta zaczęli się domagać dodatkowych stacji radarowych, a nawet sonarowych, dla ich cennego portu. Dostali je bardzo szybko i teraz cała Zatoka Księcia Williama pokryta była nad i pod wodą wzajemnie się nakładającymi sektorami obserwacji i nasłuchu. Wszystkie te systemy skierowane były jednak na południe, ku potencjalnemu zagrożeniu od strony morza. Na północ, gdzie rozciągały się puste, zmarznięte i pokryte śniegiem góry, gdzie zimą praktycznie nie da się żyć, nie patrzył nikt.

Tymczasem właśnie stamtąd nadlatywały rakiety Rawie-go i Szakiry, mknąc cicho przez noc, przeraziwszy po drodze jednego Alaskńczyka, który choć zalany w pestkę, zakona-tował sobie jednak, że pieprzone UFO przeleciało mu nad wackiem. Pierwsza raduga śmignęła nad zachodnią częścią grzbietu Mount Hogan około pierwszej trzydzieści. Wyrównała lot, utrzymując stałą wysokość nad opadającym ku morzu terenem, po czym pochyliła dziób, nurkując pod kątem niemal czterdziestu pięciu stopni. Uderzyła w zbiornik numer 18. Potężna eksplozja pociągnęła za sobą wybuch sąsiedniego zbiornika numer 17, co z kolei unicestwiło następne dwa. Eksplozje podgrzały ponad trzy miliony litrów surowej ropy naftowej do punktu samozapłonu w niespełna dwie sekundy. Szkarłatno-czarny grzyb ognia i dymu wzbił się w powietrze na kilkadziesiąt metrów.

W tym samym momencie nadleciała druga raduga, kierując się odrobinę na prawo od szalejącego pożaru. Trafiała w niewielką rafinerię, niszcząc ją doszczętnie wraz z przyległym do niej centrum dyspozytorskim całej sekcji terminalu.

Trzecia rakietka przebiła się przez dym i ogień do "zbiornika numer 14, rozszerzając pożogę na całą grupę pięciu jego sąsiadów. Ogień był tu mniej intensywny, ale jakby gorętszy; eksplodowała od niego główna nitka rurociągu załadunkowego prowadząca na nabrzeże numer 4, gdzie wielki cztery-stutysięcznik Exxon Prince pobierał ładunek do swych dzio-

bowych zbiorników z szybkością piętnastu tysięcy ton na godzinę. Ogień pobiegł wzdłuż rury ku statkowi jak iskra po gigantycznym lonicie. Po chwili na oczach stojącego na mostku osłupiałego kapitana cały dziobowy odcinek kadłuba wyleciał w powietrze.

Dziewiętnaście sekund później czwarta raduga wpadła pomiędzy zbiorniki od pierwszego do szóstego, które były wypełnione tylko w połowie, ale za to nad ropą pełno było w nich łatwopalnych oparów. Cała szóstka eksplodowała z siłą małej bomby atomowej. Ognisty grzyb był widoczny na ponad dwadzieścia kilometrów, a śpiące uliczki Valdez rozjaśnił jak w dzień.

Jakimś cudem nikt z załogi zbiornikowca nie został ranny, głównie dzięki jego rozmiarom. Wszyscy marynarze przebywali w nadbudówce na rufie, gdzie mieściły się kabiny mieszkalne, pomieszczenie sterowania załadunkiem i siłownia. Od wybuchu na dziobie dzieliło ich prawie trzysta sześćdziesiąt metrów. Kapitan zarządził szybką ewakuację na ląd, ale nawet kiedy już uszkodzony zbiornikowiec osiadł na dnie, jego nadbudówka wciąż wystawała z wody na wysokość kilku pięter.

Tymczasem z Barracudy wystartowała już druga salwa radug. Rakiety leciały w trzykilometrowych odstępach tą samą trasą co pierwsza czwórka: z daleka okrążając Zatokę Księcia Williama, zapuszczając się głęboko nad pustkowia Alaski, by spaść na terminal Valdez od północy. Osiem minut po eksplozji na Exxon Prince cztery kolejne wybuchy wstrząsnęły położonym za miastem wielkim składem ropy, mogącym pomieścić dziewięć milionów baryłek tego surowca napływającego w poprzek Alaski z północnego wybrzeża.

Skład był akurat wypełniony po brzegi. Zbiorniki pękały jeden za drugim, uwalniając istne rzeki płonącej ropy. Aby się zapalić, surowa ropa wymaga podgrzania do wysokiej temperatury; cztery rakiety generała Raszuda dostarczyły do tego aż nadto energii cieplnej, a potem nastąpiła reakcja łańcuchowa. Mieszkańcy miasta, obudzeni przez ogłuszające wybuchy na terminalu przeładunkowym, opisywali później to, co działo się w składzie, jako następujące po sobie „coś jakby ciche eksplozje”. Nie przypominały im odgłosów bomb,

ale raczej syk płomieni raptownie ogarniających polany benzyną stos drew, kiedy rzuci się nań pierwszą zapalkę. Pożar w składzie ropy na stokach powyżej miasta przeraził wszystkich, ponieważ mogło dojść do wypływu płonącej ropy i podpalenia całego miasta. Ropa płonęła jednak tak gwałtownie, że nie zdążyła się przemieścić na niższe partie góry. Sytuacja szybko się ustaliła: na dwudziestoakrowym obszarze wokół zbiorników szalało piekło: niesamowity żar, czerwony blask i huczący ogień, pochłaniający do ostatniego litra cały zapas ropy nad Zatoką Księcia Williama.

Nikt przy tym nie miał zielonego pojęcia, co się właściwie stało, nie mówiąc już o tym dłażczego. Cztery tysiące mieszkańców Valdez wiedziało tylko, że cały port, skład i instalacje idą z dymem. Katastrofa była olbrzymia.

W dyspozytorni było o tej porze tylko trzech pracowników, z których dwóch – na swoje szczęście – zrobiło sobie przerwę na kawę i w chwili wybuchu siedziało w odległej o trzysta metrów kafeterii. Oczywiście cała łączność z terminalem i składem została przerwana, ale przy tak wielkim pożarze telefon alarmowy nie był nikomu potrzebny. Nawet zabłąkany husky wiedziałby, że cały port płonie. Dick Saunders, reporter „Anchorage Daily News”, był pierwszym dziennikarzem na miejscu katastrofy. Zjawił się już kwadrans po tym, jak ostatnia raduga wbiła się w skład ropy. Czas zamknięcia ostatniego wydania gazety oczywiście dawno minął, ale Dick i tak zadzwonił od razu do redakcji i zameldował znużonemu i zmęczonemu redaktorowi nocnemu, że właśnie płonie cały port w Valdez i że Alaska stanęła w obliczu krachu gospodarczego. Redaktor dyżurny natychmiast przestał się nudzić i sam złapał za telefon, alarmując swojego brata, odbębniającego nocną zmianę w KBBI, miejscowej publicznej stacji radiowej z siedzibą w malutkim por-ciku Homer nad Zatoką Cooka. Osiem minut później wiadomość o pożarze była już na antenie i wkrótce wszystkie redakcje nocnych programów na Alasce dzwoniły jedna przez drugą do Valdez, chcąc zweryfikować informacje o skali katastrofy. O drugiej trzydzieści nad ranem w eterze huczało już od nowin, a pół godziny później CNN podała wiadomość na cały kraj.

I

O czwartej rano (na Wschodnim Wybrzeżu była już siódma) Agencja Bezpieczeństwa Narodowego wezwała najważniejszych pracowników do kwatery głównej w Fort Meade. FBI wysłało zespół z Zachodniego Wybrzeża specjalnym samolotem wojskowym z San Diego do Anchorage. Biały Dom był już powiadomiony, prezydent zmierzał do Gabinetu Owального. Kierowca Arnolda Morgana gnał obwodnicą Beltway prosto do Fort Meade, a admirał George Morris robił co mógł, by się tam zjawić przed Wielkim Człowiekiem. Sztab marynarki wojennej w Pentagonie zdążył już skierować dwie fregaty z San Diego do Zatoki Księcia Williama, a USS Toledo przerwał patrol przy Rowie Aleuckim i pełną prędkością płynął w tym samym kierunku, by zająć pozycję w głębokowodnym torze wewnątrz zatoki.

Tymczasem kapitan Ben Badr odpłynął już z pozycji strzału i cichaczem kierował się na wschód, ku Cieśninie Dixona; na jej wysokości kończy się terytorium amerykańskiej Alaski, a zaczynają wody kanadyjskie. Cieśnina prowadzi na osłonięte wody między kontynentem a kanadyjskimi przybrzeżnymi wyspami; jej odgałęzieniem jest cieśnina Hecate, którą można wpłynąć od północy do Zatoki Królowej Charlotty za dwiema wyspami o tej samej nazwie, i kierując się dalej na południe, dotrzeć w okolice Vancouver. Jest to uczęszczana, dogodna trasa dla zbiornikowców płynących z Alaski do pacyficznych portów Kanady i Stanów Zjednoczonych. Tamtędy też biegnie najnowszy przybrzeżny rurociąg podmorski, łączący terminal transferowy w zatoce Ja-kutat, na wschód od Valdez, z ogromną rafinerią w dalekim Grays Harbor w stanie Waszyngton.

General Raszud i Szakira stali obok Bena, gdy osobiście prowadził okręt w stu pięćdziesięciometrowym zanurzeniu na południe od rozległej mielizny Learmonth Bank. Przy ich ograniczonej do pięciu węzłów prędkości pokonanie dystansu stu trzydziestu mil morskich do rejonu następnej operacji zajmie im ponad dobę. Nie mieli nawet sobie wiele do powiedzenia; nikt na pokładzie Barracudy nie miał najmniejszego pojęcia, co się działo po tym, jak ich osiem rakiet trafiło w wyznaczone cele.

Szakira była pewna siebie. Przeczytała raporty ze wszyst-

kich prób rakiet typu „Raduga”, jakie się odbyły od początku ich istnienia, i nie miała wątpliwości, że ich pociski dotarły tam, gdzie je wysłała. Wyrafinowany system naprowadzania, wykradziony Amerykanom pod koniec lat dziewięćdziesiątych przez Chińczyków, którzy podzielili się nim z moskiewskimi kolegami, był niezawodny, ani razu nie trafiło się też, by któraś z radug nie eksplodowała po uderzeniu w cel.

–Jestem przekonana, że w porcie Valdez płonie teraz wielki ogień – powiedziała, ściskając męża za ramię. – Prawie tak wielki jak w moim sercu.

Szakira Raszud była terrorystką z pasją. Amerykanów nienawidziła z całej duszy za to, że zbroją i finansują Izraelczyków, wspierając ich w najokropniejszych zbrodniach przeciwko jej narodowi.

Barracuda płynęła na wybraną pozycję 54°15'N, 131°39'W, o milę na północ od izobaty stusążniowej (183 m) i niecałe dwie od płycizny Overfall, rozciągającej się na sześć mil od Rose Point, północno-wschodniego cypla Wyspy Grahama. Nowy rurociąg przebiega wzdłuż krawędzi tej piaszczystej ławicy, w jednym miejscu zbliżając się na zaledwie dziesięć metrów do powierzchni oceanu. Ten niebezpieczny punkt jest dobrze oznakowany i leży z dala od głównych szlaków morskich na wschodzie. Co więcej, akwen wokół mielizny jest dogodny dla okrętu podwodnego; dwie mile od niej głębokość przekracza sto osiemdziesiąt metrów, a w odległości dwóch kabli wciąż wynosi sześćdziesiąt metrów. Desantowanie porucznika Arasza Azhariego i jego zespołu płetwonurków z Korpusu Strażników Islamskiej Rewolucji nie powinno sprawić trudności.

Podczas gdy Barracuda pełzła powoli przez ciemne głębie na południe od Alaski, samochód Arnolda Morgana zajeżdżał właśnie przed główne wejście do OPS-2B, wielkiego, szklanego gmachu, na którego ósmym piętrze znajduje się gabinet dyrektora NSA. Podążający za nim samochód ochrony z trzema uzbrojonymi agentami z trudem dotrzymywał mu kroku przez całą drogę z Chevy Chase; Wielki Człowiek był już w głębi budynku, zanim Secret Service dotarła na miejsce. Morgan, na którego już czekał miejscowy personel ochrony, wjechał prywatną windą wprost do gabinetu dyrektora na

cztery minuty przed jego przybyciem. George Morris zastał go rozpartego za swoim biurkiem i usłyszał:

–Gdzie, do jasnej cholery, się podziewaliście, marynarzu? Co to, urlop?

Dyrektor NSA nie od dziś przywykł, że na czas wizyty Arnolda traci swój fotel i najwyższe stanowisko. Nie zwracając uwagi na treść powitania, parsknął śmiechem i po krótkim, oficjalnym „Witam, sir” przeszedł do formy bardziej odpowiedniej dla wieloletnich przyjaciół:

–Arnie, czy ktokolwiek już nam powiedział, co się, u diabła, dzieje na Alasce?

–Nie bardzo – odrzekł doradca prezydenta. – Widziałem tylko to, co pokazała CNN. Cholernie dużo ognia i dymu. Może ty słyszałeś, czy są jakieś podejrzenia?

–Nie. Żaden z dziennikarzy się nawet nie pokusił o próbę wyjaśnienia tej katastrofy, ale zauważyłem, że zniszczenia koncentrują się w dwóch dość od siebie odległych miejscach. Nie znam się na budowie takich wielkich składów. Być może są tam takie połączenia, którymi ogień mógł się przenieść na odległość, ale jeśli ich nie ma, to sprawa zaczyna wyglądać mocno podejrzanie. Dwa tak groźne pożary o kilometr od siebie, wybuchające w odstępie zaledwie kilku minut...

–Mamy już jakieś raporty z punktów obserwacyjnych? Wiesz, ruch statków, samolotów, echa radarowe i tak dalej.

–Jeżeli mamy, to nasz świeżo awansowany komandor podporucznik Ramshawe analizuje te dane w swoim biurze. Nie mogłem go tu z tym wpuścić. Ten chłopak robi więcej bałaganu niż pięciu innych ludzi. Jezus, on potrafi zapełnić papierami cały pokój, i to dzień w dzień.

–Może go tu ściągniemy, skoro jest teraz twoim przybocznym?

–Arnie, muszę teraz iść do kapitana Wade'a, mojego szefa wydziału wywiadu wojskowego. Chcę coś sprawdzić, a on jest bardzo zajęty. Dzwoniłem do niego dwa razy w drodze z domu.

–Dobra, George. W takim razie ja sam złożę panu Ramshawe'owi niezapowiedzianą wizytę i sprawdzę, czy pracuje nad tą sprawą.

Tabliczka na drzwiach biura głośiła: „Kmdr ppor. James

Ramshawe, asystent dyrektora". Arnold Morgan nacisnął klamkę bez pukania. Wchodził w ten sposób nawet do Gabinetu Ovalnego, a ci, co go znają, twierdzą, że nie inaczej potraktuje bramy niebios. Zastał Jimmy'ego pochylonego nad stołem, jak jedną ręką układa zadrukowane

arkusze na różne stopy na biurku, a drugą stuka w klawisze komputera.

–Zaczekaj tam chwilę, kimkolwiek jesteś – rzucił za siebie, nie odwracając się od ekranu. – Ktoś tu narobił obciachu i muszę to natychmiast poprawić.

–Co to znaczy „narobić obciachu”? – spytał admirał.

–Dać plamę, po australijsku – odrzekł Ramshawe, wciąż odwrócony do gościa plecami. – Niech mnie szlag, jeśli wiem, jak niektórzy ludzie dochodzą do swoich wniosków.

–Znam to uczucie.

Do młodego komandora dotarło, że zna ten szorstki głos. Zdążył jeszcze mruknąć pod nosem „Chryste Panie!”, zanim zerwał się z krzesła i zaczął przeproszać za swoje nieodpowiednie zachowanie. Morgan zaśmiał się i wyciągnął rękę na powitanie. Nie widział się z Jimmym od kilku miesięcy, od czasu pewnej niezwykle trudnej operacji w cieśninie Ormuz, po której doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego dosłownie polecił admirałowi Morrisowi awansować Ramshawe'a na obecne stanowisko.

–No, komandorze, katastrofa na Alasce ma już za sobą cztery godziny życia... Liczę na to, że ma pan już jakąś teorię... przyczyna i skutek, wina lub niewinność, fakt lub fikcja?

Jimmy uwielbiał admirała Morgana i był jednym z nielicznych, których nie zbijał z tropu jego ostry ton i sposób bycia.

–Sir, na razie wiem niewiele więcej od innych. Znalazłem jednak niezbite dowody wskazujące na to, że wybuchy i pożary zdarzyły się w dwóch oddzielnych rejonach portu, odległych od siebie o prawie kilometr. Nie potrafię ich ze sobą połączyć, przede wszystkim dlatego że wszystkie linie telefoniczne do terminalu są przerwane. Dodzwoniłem się na komisariat policji, a przez Internet odbieram tamtejszą stację radiową, która nadaje mnóstwo wywiadów z ludźmi z Amoco. Skład ropy i terminal przeładunkowy zapaliły się

w odstępie dziesięciu minut. Co do tego nie ma wątpliwości. Prawie wszyscy ważniejsi pracownicy byli na szczęście w domach, kiedy to się zdarzyło, bo inaczej już by nie żyli. Kilku z nich było na antenie i jak jeden mąż są absolutnie zdumieni faktem, że dwa tak wielkie pożary wybuchły naraz. Trzech dyrektorów kolejno powtórzyło, że samozapłon jest niemożliwy. W Valdez jest tylko surowa ropa, która najczęściej się w ogóle nie pali, chyba że z jakiegoś powodu podgrzeje się do bardzo wysokiej temperatury. Na przykład w wyniku eksplozji bomby czy czegoś w tym rodzaju.

–Widziałeś raporty Coastguardu?

–Tylko wstępny. Nie mają żadnych zapisów o ruchu jakichkolwiek statków w całej Zatoce Księcia Williama po godzinie dwudziestej trzeciej wczoraj wieczorem. A mówimy o sporym kawałku morza. Zatoka ma sto mil długości, licząc od izobaty stumetrowej.

–A samoloty?

–Od dwudziestej pierwszej nie przeleciała tamtędy nawet prywatna awionetka.

–Niemniej faceci z Amoco są pewnie zdania, że ktoś musiał wysadzić zbiorniki składowe w powietrze?

–Nikt tego nie powiedział, sir. Przynajmniej do tej pory. Muszą jednak tak myśleć. Powiedzmy sobie szczerze, ropa naftowa nie zapala się ot, tak sobie, prawda? A wokół tego cholernego składu nie ma absolutnie nic, co mogłoby wywołać choćby iskrę, a cóż dopiero dwadzieścia akrów piekła.

–Hmm... – Admirał się zamyślił. – Żadnych statków, żadnych samolotów, żadnych podejrzanych ani motywów... Kiepski punkt wyjścia dla śledztwa, co, Jimmy?

–Tak, sir. Całkiem kiepski.

–Kto powiedział, że jeśli się wyeliminowało wszystko, co niemożliwe, zostaje tylko prawda?

–Sherlock Holmes, sir. Wszelkie prawa zastrzeżone. Morgan się roześmiał.

–Da się tu skombinować jakąś kawę?

–O Jezu, przepraszam, panie admirale! Zaraz załatwię. Jak zwykle, czarna ze śrutem?

Nikt nigdy nie zapominał wymagań Arnolda Morgana w kwestii kawy, wypracowanych w ciągu lat jego służby na

okrętach podwodnych. Bez mleka i tylko dwie lub trzy drobne pigułki słodzika, które zwał śrutem.

–Tak jest. Pomyśl od razu o szefie, będzie tu lada chwila. Najpierw jednak chcę z tobą porozmawiać, więc się pośpiesz.

Ramshawe podniósł słuchawkę i zamówił trzy kawy i ciepłe angielskie drożdżówki, jako że minęła już ósma, a obaj admirałowie nie spali co najmniej pół nocy. Odwrócił się potem do Morgana i rzekł:

–Niech pan strzela, sir. Czego panu potrzeba?

–Jimmy, z braku innych dowodów musimy raczej przyjąć, że jakiś sukinsyn właśnie wysadził w powietrze największy terminal naftowy w całych Stanach Zjednoczonych.

–Tak, sir.

–Absolutna niemożliwość ataku z morza lub z powietrza oznacza, że ktokolwiek to zrobił, musiał przybyć i uciec lądem, czyli przez grzbiet górski na północ od Valdez, zgadza się?

–Absolutnie, sir. Coastguard zacznie przeczesywać teren trzema śmigłowcami, gdy tylko się tam rozjaśni, czyli mniej więcej za godzinę. Już z nimi rozmawiałem.

–Uważasz za możliwe, że jakaś banda zwariowanych terrorystów zakradła się przez lody i śniegi na Mount Hogan i podłożyła bomby pod zbiorniki?

–Nie, sir. A jeśli nawet tak było, to zostaną dzisiaj złapani. Helikoptery będą się tam uwijać jak wkurzone szerszenie, a każdy, kto by uciekał lądem, musi zostawiać wyraźne ślady na śniegu, prawda?

–Prawda. Prawdopodobnie jednak ich tam nie ma. Co więc nam pozostaje?

–Sabotaż – odrzekł Jimmy. – Robota miejscowych. Albo też nieprzyjacielski atak przynajmniej dwiema raketami, których nikt nie widział.

–Raketami wystrzelonymi skąd, Jimmy?

–No, nie z lądu. Nie z powietrza. I nie z morza.

–Dlaczego nie z lądu?

–Widział pan, jak potężne są te zbiorniki? I ile ich płonie? Czegoś takiego nie da się zrobić za pomocą ręcznych wyrzutni jak stingery. Jeżeli pożar powstał w wyniku uderzenia rakiety, to musiała być duża, niewiarygodnie dokładnie napro-

wadzana broń. Wyrafinowana technika wojskowa. Takich rakiet nie trzyma się w jakiejś cholernej jaskini.

–I nie z jaskini można ją wystrzelić – przytaknął admirał Morgan. – Jest tylko jedno miejsce, z którego można to zrobić. Nazywa się okręt.

–Żadnego jednak nie było w promieniu setek mil, sir.

–Żadnego, który można zobaczyć, Jimmy. Ramshawe błysnął zębami w zawadiackim uśmiechu.

–Tak myślałem, sir, że może pan o tym wspomnieć.

–No, właśnie. I to jest moje zasadnicze pytanie. Kiedy tu wszedłem, byłeś zbyt zaaferowany, by cię obchodziło, czy to ja, prezydent czy sam Syn Boży. Pracowałeś nad czymś nadzwyczaj ważnym. Co to było?

–Sir, nie chciałbym być posądzony o zajmowanie się duperelami. Nie w taki dzień.

–Jimmy... – Morgan podszedł do okna i wyjrzał na ogromny parking. – Co to było, chłopcze?

–Siedzę tu właściwie całą noc, sir. Od wieczora pracowałem nad drobnym problemem, który nie daje mi spokoju. Wydrukowałem sobie ten plik i przeczytałem uważnie kilka razy. Kiedy wybuchły pożary i ci faceci powtarzali w radiu jak najęci, że to się nie mogło wydarzyć, zacząłem dodawać dwa do dwóch i ciągle wychodziło mi trzysta dziewięćdziesiąt pięć...

–Znam to uczucie. Powiedz mi, co to za drobny problem. – Okay... Niech tylko uporządkuję te papiery... A więc,

dwudziestego pierwszego lutego nasz attache morski w Tokio otrzymał formalne zapytanie od rządu japońskiego na temat amerykańskich patroli podwodnych w okolicy Kamczatki. Konkretnie chodziło im o Zatokę Awaczyńską. Wie pan, to zakazane miejsce przed Pietropawłowskiem...

–Wiem. Wal dalej.

–Nasz człowiek w Tokio popytał tu i ówdzie i się dowiedział, że US Navy nie miała tam żadnego okrętu od co najmniej trzech miesięcy. Najbliższy geograficznie patrol był na południe od Aleutów. Jednak jako ostrożny i przebiegły dyplomata nie powiedział o tym Japończykom, ale postanowił najpierw od nich wyciągnąć, dlaczego się tym interesują.

–Dobrze zrobił – stwierdził Morgan. – Kontradmiral Whitehouse, jeśli się nie mylę?

–Ten sam, sir. – Jimmy nie od dziś znał encyklopedyczną pamięć swego gościa. – Powiedział im, że mogą liczyć na pełną współpracę, ale muszą wyjaśnić, dlaczego chcą tych, w końcu ściśle tajnych, informacji. Nie kłapiemy o tym na ogół dziobami, prawda? No i dostał, czego chciał. Ministerstwo odpowiedziało, że kapitan dużego trawlera z Ishi-nomaki na Honsiu żąda wysokiego odszkodowania. Przekazali nawet Whitehouse'owi jego pełne oświadczenie, potwierdzone przez oficerów. Kapitan Kuisei Kuno twierdzi, że jego statek o mały włos nie został wciągnięty pod wodę przez okręt podwodny, który wpakował mu się prosto w sieć.

–A co kazało im uznać nas za głównych podejrzanych?

–W tym sęk, sir. Oni najpierw zwrócili się do Rosjan i otrzymali zaskakująco szybką i pełną odpowiedź. Dowódca Floty Pacyfiku oświadczył, że owszem, tego ranka, to jest dziewiątego lutego, wyszedł z Pietropawłowska atomowy okręt klasy Sierra, typ Barracuda, w drodze na Morze Południowochińskie. Podkreślił jednak, że natychmiast po opuszczeniu ich akwenu zastrzeżonego okręt skierował się na południe i w żaden sposób nie mogło dojść do jego kolizji z jakimkolwiek trawlerem o kilkanaście mil na północ od bazy. Tak się składa, że śledziłem ten okręt od kilku miesięcy, przez całą drogę z Murmańska. Tutaj mam odpowiednią fotografię... – Wręczył admirałowi czarno-białe zdjęcie w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. – On rzeczywiście opuścił tego dnia Pietropawłowsk... Nasz satelita przelatuje nad tym rejonem około wpół do ósmej rano czasu lokalnego. Barracuda skręciła na południe... Proszę spojrzeć na nadruk z pozycją z GPS, sir... Była naprawdę w miejscu i czasie podanym przez Rusków.

–I co na to Japończycy?

–Sprawdzili u Chińczyków, którzy twierdzą, że nie wysyłali tam żadnej jednostki przez ostatnie pół roku. W ogóle nie wychodzą na północ od Morza Żółtego.

–Cóż więc cię niepokoi, Jimmy? Jakbym nie wiedział...

–No właśnie, sir. Dowiadywałem się w sztabie naszej floty pacyficznej, kazałem chłopakom z wywiadu marynarki sprawdzić każdy cholerny okręt podwodny na świecie... I sprawdzili. Wszystkie są na swoich miejscach, co do sztuki.

Albo ten japoński rybak kłamie, bo chce, żeby mu ktoś zapłacił za zgubiony sprzęt, albo dzieje się coś naprawdę dziwnego.

–I tak sobie tu siedziałeś, głowiąc się nad przyczyną katastrofy na Alasce, i nie mogłeś oderwać myśli od tego nie istniejącego okrętu, co?

–Tak jest, sir.

Do drzwi zapukał steward z kawą i ciastkami, a zaraz za nim wszedł admirał George Morris z pękiem arkuszy z oświadczeniami dyrektorów z Valdez, którzy nie mogli w żaden sposób ustalić przyczyny pożarów. Morgan krótko zreferował mu przebieg dotychczasowej rozmowy, co dyrektor NSA skwitował skinieniem głowy.

–Gdyby pożar był jeden, można by mówić o wypadku -powiedział. – Ale dwa naraz? To się nie trzyma kupy. Jeżeli nie mamy do czynienia z sabotażem, to ktoś nas po prostu zaatakował.

–Myślę, że nie można wykluczyć sabotażu – odparł Morgan w zamyśleniu. – Na przykład ktoś mógł być opłacony przez terrorystów.

–Kiedy ten parszywy ogień dogaśnie, sir, dochodzeniowcy na pewno znajdą ślady po urządzeniu, które spowodowało zapłon – powiedział Ramshawe. – Jeśli to były bomby, powinni zidentyfikować ich części. Jeśli zaś rakiety, sprawa będzie trudniejsza, z reguły bowiem rozpadają się na znacznie mniejsze części, poza tym wszystko tam będzie zniekształcone przez żar. Jakies dowody powinni jednak znaleźć.

–Jeśli o mnie chodzi, panowie, jestem zdania, że jako czołowi przedstawiciele wywiadu wojskowego tego kraju powinniśmy od razu nadać najwyższy priorytet hipotezie o wrogiej akcji militarnej – oświadczył Arnold Morgan. – Musimy też przyjąć, że jeśli tak było, to rakiety zostały wystrzelone z czyjegoś okrętu podwodnego. Jestem przekonany, że stanie się to tym bardziej oczywiste w ciągu najbliższych paru dni, kiedy dowiemy się dokładnie, gdzie była jakakolwiek najbliższa jednostka nawodna.

–To z kolei nadaje słowom kapitana Majadżimy nowe znaczenie – wtrącił Jimmy. – Przeczytałem tłumaczenie jego oświadczenia. Jest bardzo przekonujące. Pokazał koniec

i^AłSjp Anchorage /

^^^H^^_ • Glennallen "N.: - { . 2łValdez

Alaskanska Zatoka / Księcia Williama / zatoka)

Cieśnina Dbtona y* t i

łmjr ^ W-y Królowej Charlotty U KANADA

PACYFIK ł9k Zat. Królowej łL/ Charlotty

Grays^ łarburiŹŁ • Seattle /~-- . ł^ Aberdeen /

300 n,il

ALASKA I TERYTORIA POŁNOCNO-ZACHODNIE – REJON GŁÓWNYCH CELÓW BARRACUDY

urwanej liny trałowej... piętnaście metrów od rufy, czyli głęboko pod wodą... To pięciocentymetrowej średnicy poli-propylenówka, wzmocniona drutem stalowym. Trudno byłoby ją przepiłować, a cóż dopiero urwać.

–Co jeszcze mówi nasz szyper? – spytał Morgan.

–Można powiedzieć, że usta mu się nie zamykają, sir. Chce dwieście tysięcy dolarów odszkodowania. Mówi, że stracił sieć i kilka ton ryb, ponieważ musiał odciąć drugą linę. Twierdzi, że okręt podwodny wciągał ich pod wodę z prędkością ponad dwunastu węzłów. Woda wlewała się na rufę i zalewała przedziały pod pokładem. Załączył zdjęcia polaroidowe, które zrobił natychmiast po wyprostowaniu się trawlera.

–Załoga, powiadasz, potwierdza to wszystko? – spytał Morris.

–Oczywiście, sir. Trudno im nie wierzyć. Ja sam nie mam żadnych wątpliwości. Pytanie tylko, czyj to był okręt?

–Zgadza się z tobą – dodał Morgan. – To wygląda na typową kolizję podwodniaka z siecią. Nie jest to częste zdarzenie, ale kiedy już do niego dojdzie, właśnie tak to wygląda.

–Jednak Rosjanie twierdzą, że jedynym okrętem w promieniu setek mil była ich własna Barracuda, która znajdowała się o dobre dwadzieścia mil od Majadżimy i w dodatku szła zupełnie innym kursem.

–Musisz pamiętać o jednym, młody człowieku... o tym, co powiedział mój stary przyjaciel, admirał „Sandy” Woodward, dowódca z Royal Navy, który wygrał wojnę o Falklandy w 1982 roku. Zeznawał w sprawie zatopienia Generała Belgrano i musiał odpowiadać na pytania

jakiegoś niewyda-rzonego polityka, który wmawiał mu, że argentyński krążownik był o sto osiemdziesiąt mil od floty brytyjskiej i oddalał się od niej. Sandy odparł po prostu: „Prędkość i kurs nieprzyjacielskiego okrętu nie ma żadnego znaczenia, może się bowiem zmienić w parę sekund”.

–To przecież święta racja! – zakrzyknął Jimmy. – Sądzi pan, że Barracuda mogła po zanurzeniu się zawrócić na północny wschód?

–Owszem. Przecież to najzupełniej możliwe. Nie było też

w okolicy żadnego innego okrętu, który mógłby wpaść w tę cholerną sieć. Nie ma i nie może być innego wyjaśnienia. Jeżeli Valdez zniszczyły rakiety, to zostały one wystrzelone z tej Barracudy. Pewnie się przekonamy, że to bardzo chytry sukinsyn...

Niedziela, 2 marca 2008 r., godzina 1.00. Pozycja 53°15'N, 131°39'W. Cieśnina Dixona, na północ od wyspy Grahama

Porucznik Arasz Azhari i jego wyszkoleni płetwonurkowie opuszczali okręt na głębokości dziesięciu metrów. Kolejno wchodzili do śluzы wyjściowej, którą zalewano i otwierano włącz zewnątrz, by mogli wypłynąć w czarną toń, na pokład nieruchomej Barracudy. Każdy z nich miał na sobie czarny kombinezon, francuski akwalung i długie płetwy oraz roboczą latarkę na głowie. Poza nożami nie mieli żadnej broni, ale czterech z nich niosło w specjalnej uprzęży na plecach miny magnetyczne z dwudziestoczerogodzinnym zapalnikiem czasowym. O pierwszej piętnaście cała szóstka komandosów z KSIR była na zewnątrz, gotowa do akcji. Unosili się w lodowatej wodzie cztery metry pod powierzchnią, tuż nad podwodnym urwiskiem mielizny Overfall, zaledwie trzysta metrów na wschód od rurociągu z Jakutat, który według dokładnych wyliczeń Szakiry Raszud musiał tędy przebiegać.

Porucznik Azhari płynął na czele zespołu, co trzy minuty na naręcznej busoli sprawdzając kurs. Posuwali się z niewielką prędkością, krótkimi, ale silnymi pojedynczymi kopnięciami dużych płetw dla oszczędzania sił i powietrza w butlach, kierując się ku najpłytszej części mielizny. O wpół do drugiej w promieniu latarki Azhariego zamajaczył ciemny kształt na dnie, mniej więcej tam, gdzie się go spodziewali. Widoczność w tej czystej, nieskażonej wodzie była dobra. Dno było tu nachylone i rurociąg wspinał się jeszcze ku powierzchni. Nurkowie znajdowali się około sześciu metrów ponad nim. Dowódca dał sygnał i dwóch ludzi z minami, ekspertów od dywersji podwodnej, zanurkowało w ślad za

nim niemal pionowo w dół. Znalazłszy się u celu, odpięli miny z uprzęży i ustawili zapalniki na dwadzieścia dwie godziny. W tych zimnych wodach stalowy korpus rury nie obrastał muszlami i pierwsza mina przywarła doń silnie z głuchym stuknięciem. Następna została umieszczona po przeciwnej stronie, a jej zapalnik cofnięto o trzy minuty i dwadzieścia jeden sekund – czas odmierzony stoperem przez porucznika od ustawienia pierwszej. Miny miały wybuchnąć równocześnie, krótko przed północą następnego dnia. Po chwili cała trójka wróciła do czekających w górze kolegów. Azhari przekazał dowódcy drugiego zespołu stoper, mierzący czas od początku dwudziestodwugodzinnego cyklu, i wyprawił ich w drogę. Trzech komandosów popłynęło wzdłuż rurociągu na północ, gdzie schodził on na głębszą wodę. Przebywszy tysiąc metrów, umieścili dwie ostatnie miny, odpowiednio ustawiając zapalniki, aby wszystkie cztery wybuchy nastąpiły równocześnie. Drogę powrotną na okręt ułatwiał im sygnał akustyczny z pokładu, przeciągłe „biiiiip” emitowane co dwadzieścia sekund. Czekał tam już na nich

porucznik Azhari; jego dwaj towarzysze zdążyli już wejść przez służę. Dziesięć minut później wszyscy byli już wewnątrz kadłuba. Los rurociągu z Jakutat do Zachodniego Wybrzeża był przesądzony. Kapitan Badr szerokim, powolnym łukiem położył okręt na kurs zachodni, kierując się do wyjścia z cieśniny Dixona i na czterokilometrowe głębie Zatoki Alaskańskiej, gdzie mógł płynąć w trzystumetrowym zanurzeniu, praktycznie niewykrywalny dla nikogo. Następny odcinek trasy prowadził na południe.

Niedziela, 2 marca w południe. Pokój operacyjny, komisariat policji w Valdez

Telefon na biurku posterunkowego Kipa Callaghana nie przestawał dzwonić ani na chwilę. Miejscowi jakby się ustawili w kolejce, by przekazywać informacje lub się ich domagać, albo choćby pogadać o wciąż szalejącym z niezmienną siłą żywiole. Dwadzieścia godzin zajęło zatrzymanie wylewającego się z uszkodzonej głównej nitki transalaskańskiego

rurociągu ropy, która rozgrzewała się i płonęła wraz z resztą zapasów zgromadzonych w porcie. Centrala sterowania elektronicznego była doszczętnie zniszczona, ale personelowi terminalu udało się ręcznie zakręcić wielki zawór umiejscowiony trzy kilometry na północ od miasta.

Zmęczony policjant niechętnie po raz kolejny podniósł słuchawkę.

–Policja, pokój operacyjny, słucham.

–Sir, ja dzwonię z Glenallen z taką jedną informacją, która się wam może przydać...

–Rozumiem. Proszę podać swoje personalia, adres i wiek. I numer, z jakiego pan dzwoni.

–Nazywam się Cal Foster, skrytka pocztowa pięćdziesiąt osiem, Glenallen. Dwadzieścia jeden lat. Dzwonię z domu, 907-822-3677...

–Dziękuję. Jaka to informacja?

–No, chodzi o UFO, które widziałem na niebie w piątek około wpół do drugiej w nocy...

–O UFO? To znaczy, o coś w rodzaju latającego talerza?

–No, mniej więcej... tak.

–Panie Foster, tu jest centrum kryzysowe i mamy w mieście katastrofę. Proszę się zgłosić z informacjami o UFO gdzie indziej. Ja tu się zajmuję pożarem, sir!

–Ja wiem, dokąd dzwonię. To, o czym mówię, może mieć związek właśnie z pożarem.

–No, dobrze. Proszę mówić.

–Więc tak... Ja i mój kumpel, Harry Roberts, stanęliśmy na Glenn Highway w drodze do domu, żeby się odlać, kiedy nagle zobaczyłem tę raketę. Przeleciała dokładnie nad nami, piorunsko szybko. Widziałem ogień w jej tyłku i słyszałem szum silnika, taki dziwny, basowy... Leciała prosto na południe, w stronę gór i Valdez. Potem, może z pół minuty później, zobaczyłem następną. Była może z milę na wschód od nas, ale gnała w tym samym kierunku co pierwsza. Identyczna. Pomyślałem sobie, że to mogły być jakieś pociski... no, wie pan... wycelowane w terminal... i może to one spowodowały ten pożar.

–Czy pana kumpel też je widział?

–Pierwszej nie zdążył, ale krzyknąłem, kiedy nadleciała druga, i ją zobaczył. Chociaż nie bardzo wierzył, że to rakieta. Myślał, że to jakiś samolot i może miał rację. Ale coś mi mówi że... Nigdy jeszcze nie widziałem tak szybkiego na tak niskim pułapie... Nie, to nie mógł być samolot.

–W takim razie coś długo pan zwlekał z tą informacją. Dlaczego?

–No, dopiero w piątek w południe się dowiedziałem o katastrofie... i o raketach jakoś mi się zapomniało... Ale potem sobie przypomniałem i wczoraj wieczorem nagle do mnie dotarło, że mogą mieć związek z pożarem.

–Chciałbym porozmawiać z tym kumplem, Harrym.

–Znajdzie go pan teraz w „Karibu Cafe”.

–Mają tam telefon?

–Jasne. Numer 822-3656. Niech pan nie wierzy, jak powie, że to był jumbo jet albo coś takiego.

–W porządku, Cal. Postaram się to zweryfikować. Zadzwoń jeszcze do ciebie.

Posterunkowy Callaghan wykręcił podany numer i poprosił do telefonu gościa o nazwisku Roberts. Pół minuty później niechętny rozmówca był na linii.

–Tak, sir, widziałem to. Absolutnie. I Cal miał rację. To leciało cholernie szybko. Trochę za późno to zauważyłem, już się od nas oddalało...

–Pierwszego obiektu nie widziałeś?

–Nie. Calowi przypadkiem wpadł w oko, kiedy śmignął nam nad głowami. Ale drugi widziałem wyraźnie. Leciał prosto ku górom.

–Twój koleś Cal uważa, że te rakiety mogły lecieć do terminalu i że to one są przyczyną pożaru.

–Mogło tak być.

–Nie wydawały się wam tajemnicze? Przypominały samolot czy raczej pocisk?

–No, nad tym się nie zastanawiałem... Ale fakt, że były dziwne. Co się rzucało w oczy, to szybkość, z jaką sukinsyn leciał. Cal może mieć rację. To było za szybkie jak na zwykły samolot.

–I jeszcze jedno pytanie: o której je widzieliście?

-No, do chałupy dotarłem równo o wpół do drugiej. Cal

''''''
| |

musiał więc zobaczyć pierwszą gdzieś o pierwszej dwadzieścia... droga stamtąd zajęła nam z dziesięć minut.

–Okay, Harry. To wszystko. Dzięki za rozmowę.

Kip Callaghan wiedział, że czas pierwszych wybuchów ustalono na pierwszą trzydzieści. Od szosy Glenn Highway, gdzie Cal i Harry spostrzegli rakiety, jest do Valdez sto czterdzieści pięć kilometrów. Jeśli mogły lecieć z prędkością piętnastu kilometrów na minutę, pokonałyby tę drogę w niecałe dziesięć minut. Dla posterunkowego ten zbieg okoliczności był za duży. Zadzwoił do szefa i przekazał mu wszystkie zebrane informacje. Superintendent Ratzberg natychmiast powiadomił nowo przybyłego inspektora FBI, który z kolei skontaktował się z Coastguardem. W krótkim czasie rewelacje Cala Fostera dotarły do dowództwa floty w San Diego. Po dziesięciu minutach o rzekomych rakietach wiedział Pentagon, po dalszych czterech informacja ukazała się na monitorze komputera komandora podporucznika Jamesa Ramshawe'a, asystenta dyrektora NSA. Pełniący akurat służbę Jimmy zaalarmował admirała Morrisa, ten zaś od razu zadzwonił bezpieczną linią do domu Arnolda Morgana w Chevy Chase. Było już późne popołudnie, mróz szczypał ostro i zaczynało się ściemniać. Morgan siedział przy kominku, ze złością czytając „New York Timesa”, którego liberalno-lewicowe poglądy nieodmiennie przyprawiały go o podwyższone ciśnienie. Czekał na parzoną właśnie przez Kathy chińską herbatę, którą zaliczał do swych niedzielnych przyjemności. Telefon od George'a Morrisa całkowicie go zaskoczył, powitał więc starego przyjaciela szorstko:

–Co jest, George? Misja specjalna z zadaniem zepsucia mi tej marnej resztki weekendu?

–Proszę nie żartować, sir. Dzwonię z wiadomością najwyższej wagi – odparł Morris. – Policja w Valdez przesłuchała dwóch miejscowych, którzy podobno widzieli dwie bardzo szybkie rakiety lecące na południe w kierunku miasta około pierwszej dwadzieścia w nocy w piątek. Dziesięć minut przed eksplozjami w terminalu.

–Kim są ci dwaj? Zdrowi na umyśle i tak dalej?

–Tak... Zdaje się, że tak. Obaj mają po dwadzieścia jeden lat, dobry wzrok i wzajemnie potwierdzają swoje obserwacje.

Jeden z nich widział dwie rakiety, drugi tylko jedną. Mówią, że leciały za szybko jak na cywilny samolot. Widzieli krótki płomień wydechowy i obu uderzyła ta niezwykła prędkość.

–Chcieli czegoś w zamian za te rewelacje?

–Nie. Ten, który pierwszy się zgłosił na policję, chciał z początku zgłosić to jako UFO i dopiero gdy się dowiedział

o pożarach, połączył fakty.

–Aha. Czy możemy przyjąć, że o pierwszej w nocy ci dwaj młodzieńcy żeglowali, powiedzmy, lekko pod wiatr?

–Myślę, że tak, Arnie. Policja twierdzi jednak, że to proste chłopaki i nie ma z nimi problemów. Ich zeznania są zgodne, a podany czas pasuje niemal co do sekund do dalszych wydarzeń. Oni oczywiście nie mogli o tym wiedzieć przed telefonem na policję.

–Rzekłbym, że można im wierzyć – oświadczył Morgan. – Przyjmuję zatem, że zostaliśmy trafieni przez co najmniej dwie rakiety wystrzelone przez nieznanego wroga, niemal na pewno z okrętu podwodnego, niewykluczone że rosyjskiego. Mamy sporo do wyszperania, George. Tymczasem lepiej trzymajmy to pod szczelnym przykryciem. Nie możemy powiedzieć narodowi, że ktoś stara się nas zrównać z ziemią. Dopilnuj, aby nikt nie pisnął słówka, a ja powiem prezydentowi, żeby wieczorem wystąpił z krótkim oświadczeniem... zwykle wyrazy żalu z powodu strasznej katastrofy na Alasce. W ten sposób usuniemy zawczasu żądło z tej wiadomości. Prasa tego nie wywęszy, dopóki ktoś jej nie podpowie...

1 niech go ręka boska broni. Na razie. George, bądź u mnie w biurze jutro o szóstej rano. Zabierz Ramshawe'a. Czy on wie o tych rakietach?

–Jasne. To on mi powiedział.

–Farciarz. Powiedz mu, żeby się nie spóźnił.

Reszta wieczoru upłynęła doradcy prezydenta w miłej atmosferze i pod znakiem kulinarnej doskonałości. Starannie opracował tekst wystąpienia dla swego szefa, po czym zadzwonił do Białego Domu i poinstruował rzecznika prasowego, co ma z nim zrobić i co powiedzieć prezydentowi.

Gdyby autorem tekstu był ktokolwiek inny, trzeba by kilku kolejnych wersji i komitetu złożonego z Bóg wie ilu ludzi, aby je napisać, poprawić, przepisać, skrytykować i po-

lemizować. To, że żaden z tych tak zwanych ekspertów nie potrafiłby napisać niczego choćby w dziesięciu procentach dorównującego oryginałowi, w ogóle się nie liczy. Nawet Ronald Reagan nie ustrzegł się plagii tych trzeciorzędnych pismaków, silących się na intelektualną aurę, na ogół bez powodzenia. Świetna pisarka polityczna Peggy Noonan, talent pierwszej wody, nazwała ich w swej książce Kiedy królował charakter „Trzema ślepymi myszami” i pokazała w całej historycznej krasie, jak napisaliby przemówienie Lincolna pod Gettysburgiem. Całe szczęście, że nie było ich w Białym Domu za rządów Arnolda Morgana, który był tak samo zapalczywy, konserwatywny i idealistyczny jak Reagan, miał takie samo wyczucie, co jest dobre dla kraju, ale potrafił być o wiele bardziej arogancki i niegrzeczny, kiedy tylko miał na to ochotę. Trzy ślepe myszy przetrwałyby u niego może z dziesięć minut. Zdarzyło się kiedyś, że dyżurny z działu prasowego pozwolił sobie wprowadzić poprawki do przemówienia, które Morgan napisał dla prezydenta. Admirał wezwał go do siebie, zmiął wydrukowany tekst, wyrzucił do kosza i warknął:

–Kiedy ja piszę o czymś, co się wiąże z bezpieczeństwem kraju, wara ci od tego i żebyś mi więcej nie śmiał zmienić choćby słoweczka. Piszę to, co ma być napisane. Jak ci się to nie podoba, poszukaj innej roboty albo zapisz się do pieprzonego kółka poetyckiego. Pamiętaj, że wokoło są tysiące cholernych pismaków, ale ani jeden z nich... słyszysz mnie? Ani jeden!... nie ma pojęcia, co trzeba robić, a ja wiem. To wszystko.

Ów nieszczęśnik opuścił biuro doradcy prezydenta w szoku, a jego przygoda w jaskini lwa stała się legendą działu prasowego. Nikt już potem nie próbował zadzierać z Arnoldem Morganem. Tego wieczoru, kiedy powiedział dyżurnemu, czego od niego wymaga, usłyszał tylko:

–Tak jest, sir. Sala konferencyjna Białego Domu, dwudziesta pierwsza, bez pytań po wystąpieniu.

–Zgadza się – rzekł admirał i odłożył z trzaskiem słuchawkę bez słowa pożegnania.

Załatwiwszy tę sprawę, od razu złagodniał. Każdej niedzieli jadali z Kathy kolację w domu. Zaczynali od paru

kieliszków szampana, a do głównego dania wypijali najlepsze wino, jakie udawało się Arnoldowi zdobyć. Kathy przyrządziła dzisiaj pieczeń jagnięcą, a przy kominku oddychała otwarta butelka świetnego burgunda, Corton Rouge z 1997 roku, grand cru z Bonneau du Martray, jednej z historycznych francuskich winnic. Morgan zakupił go z polecenia sekretarza stanu Harcourta Trávisa, konesera i znawcy. Nalał teraz do kieliszków, spróbował sam i podał Kathy, całując ją i pytając, jak każdej niedzieli, czy w tym tygodniu wyjdzie za niego za mąż. Jej odpowiedź nieodmiennie brzmiała: „Tak, pod warunkiem że złożysz rezygnację i pozwolisz nam spędzić ze sobą beztroskie lata, nie próbując rządzić światem”.

–To znaczy, że przyjdzie mi poczekać do następnego tygodnia – westchnął Arnold. – Inaczej w tym kraju pogasną wszystkie światła... ropa przestanie płynąć z Alaski, a cholerni Chińczycy zwięją z całym wydobywaniem Bliskiego Wschodu.

Kathy sposepniała.

–Naprawdę myślisz, że ktoś zaatakował port w Valdez?

–Kochanie, ja to wiem na pewno. Przygrzmocił tam celnie i solidnie, wysadził w powietrze Bóg wie ile ropy za pomocą rakiet kierowanych, widzianych przez dwóch świadków, wystrzelonych z okrętu podwodnego, który jakimś cudem prze-smyknął się przez najwęższe miejsce na całym Pacyfiku albo na Zatokę Alaskańską, albo na Morze Beringa.

–Jak to? Nie wiesz nawet, skąd je wystrzelił?

–Taka jest natura tych rakiet. Same się pilotują, sterują i odnajdują cel. Wszystko jest zaprogramowane. To jedna z najchytrzejszych broni na świecie, ponieważ wystrzelwane są z nienacka spod wody, z wyrzutni, która, zdawałoby się, w ogóle nie istnieje.

–Przecież mogą ją wykryć radary. Wtedy chyba można określić, skąd lecą?

–W tym cały problem. Wśród wielu tajemnic, na jakich nasz ostatni demokratyczny rząd pozwolił Chińczykom położyć łapę, był genialny system programowania lotu, dzięki któremu można kierować rakiety cruise, jak i gdzie ci się żywnie podoba. Powiedzmy, że chcesz trafić w obiekt położony o tysiąc mil na północny wschód. Możesz kazać po-

ciskowi lecieć okrężną drogą, skręcić na północ o sto mil za wcześnie, potem zrobić zwrot na wschód i wreszcie skierować się na cel kursem południowym, czyli od północy. Wtedy nikt nie będzie miał pojęcia, skąd się tam, u diabła, wziął. Ostatni odcinek trasy jest bez znaczenia. Rakieta nadlatuje jakby znikąd. W tym wypadku możesz więc wbić nóżkę cyrkla w Valdez i zakreślić na mapie okrąg o promieniu około tysiąca dwustu mil morskich. Z każdego punktu wewnątrz okręgu, gdzie tylko morze ma powyżej stu metrów głębokości, okręt podwodny mógł wystrzelić rakiety, które zniszczyły terminal. Mowa o milionach mil kwadratowych, Kathy – zakończył, podnosząc do ust kieliszek burgunda.

–Widzę, że niespieszno ci wysłać za nim pościg -zauważyła.

–Nie miałyby to sensu. Nie da się przeszukać tak wielkiego obszaru. Możemy tylko postawić nasz system obrony w stan najwyższej gotowości i czekać, aż ten sukinsyn popełni błąd. Bo go kiedyś popełni, nie ma dwóch zdań.

–A co z tankowaniem? Przecież ktoś musi mu dostarczać paliwo?

–To właśnie moje największe zmartwienie, pani O'Brien. Być może wcale nie musi.

–Och, czyżby okręty podwodne zadowolaly się samym powietrzem?

–Nie. Wodą.

Następne dziesięć minut Arnold poświęcił na wyjaśnianie zasady działania napędu jądrowego i możliwości pozostawiania okrętu w zanurzeniu przez całe lata, krótko mówiąc, „jakie to cholerne najbardziej zdradliwe sukinsyny wynalezione przez człowieka”.

–Za każdym razem, kiedy mamy jakieś poważne kłopoty, rozglądam się za nieprzyjacielskim okrętem podwodnym.

–I teraz też uważasz, że u naszych wybrzeży może się czaić ktoś taki?

–Obawiam się, że tak. Tylko że ten sukinsyn może już płynię z powrotem przez Pacyfik.

–Ale dokąd?

–Gdybym to wiedział, życie byłoby o wiele łatwiejsze -burknął Morgan.

Życie jednak nie miało zamiaru stać się choćby odrobinę łatwiejsze. Arnold i Kathy położyli się do łóżka około dziesiątej, ponieważ on o wpół do szóstej musiał już jechać do biura. Kiedy spali, nad Zatoką Alaskańską zdarzyła się

!• straszna katastrofa. Dokładnie o dwudziestej trzeciej trzydzieści pięć dwie eksplozje rozerwały największy rurociąg naftowy Ameryki Północnej u wejścia do cieśniny Hecate. W absolutnych ciemnościach miliony litrów ropy zaczęły się

| wylewać do oceanu i nikt tego nie zauważył. Dopiero po siedmiu godzinach, o pierwszym brzasku trzeciego marca, alarm podniósł kanadyjski rybak.

Każde pęknięcie rurociągu to poważny wypadek. W 2001 roku pewien rozczarowany i mocno pijany Alaskańczyk

[strzelił z dubeltówki do linii z Prudhoe Bay, przedziurawił ją jedną kulą i spowodował skażenie dwóch akrów ziemi przez milion litrów ropy. Na mieliźnie Overfall, kilkanaście metrów pod powierzchnią oceanu, sytuacja była stokroć gorsza. Zniszczenie terminalu w Valdez zmusiło Amerykanów do skierowania dodatkowych tysięcy baryłek do nowego rurociągu, co w efekcie dało wydatny wzrost ciśnienia. Przez całą noc potężne pompy w Jakutat pchały w rurę tysiące ton ropy, która o pięćset mil na południe wypływała prosto do oceanu, powodując ekologiczną katastrofę o iście diabelskich rozmiarach. Oznaczała ona przy tym początek poważnego niedoboru surowca w nowej rafinerii w Grays Harbor.

Do wschodu słońca Coastguard zaalarmował wszystkich. Plama ropy miała dziesięć mil morskich długości i dotykała już skalistych brzegów Wyspy Grahama. Rząd kanadyjski, zawsze sceptyczny wobec amerykańskich projektów i nerwowo reagujący na najmniejsze zagrożenia ekologiczne, nie posiadał się z oburzenia. O dziesiątej rano czasu waszyngtońskiego CNN podawała już wiadomość o nowej katastrofie, ale dzienniki radiowe były szybsze. Tymczasem flotylla holowników, statków pomocniczych, dźwigów pływających, zespoły awaryjne i płetwonurków kierowały się na gwałt w stronę płycizny Overfall, gdzie zlokalizowano źródło wycieku. Grupy specjalistów z Teksasu szykowały się do odlotu na północ. Wielu z nich pracowało na polach naftowych Kuwejtu w 1991 roku, kiedy Saddam Husajn rozkazał wyco-

fującej się armii podpalić szyby. Teraz mieli zrobić wszystko, by zatrzymać wypływ ropy u brzegów Kanady. Do dyspozycji mieli najnowocześniejszą technikę awaryjną na świecie. Oczywiście zawory odcinające zostały zamknięte, ale na rurociągu podmorskim są one rozmieszczone daleko od siebie i ropa z odcinka o długości kilku kilometrów może dalej wydobywać się na powierzchnię.

Zanim admirałowie Morgan i Morris (a z nimi i komandor podporucznik Ramshawe) zostali powiadomieni o skali katastrofy, stacje radiowe i telewizyjne nadawały już wywiady z ekspertami, którzy wyjaśniali, co się stało. Najbardziej elokwentny okazał się profesor Jethro Flint, specjalista od górnictwa i energetyki z Uniwersytetu w Kolorado. W odpowiedzi na pytanie reportera CNN rzekł:

–Pożary w porcie Valdez spowodowały zamknięcie całego transalaskańskiego rurociągu. Z Prudhoe Bay nic nie płynie na południe, ale ropa ze złoża wciąż jest pompowana z aktywnych szybów w tamtym rejonie, a jest ich tam wiele. Co więc robić z jej nadmiarem? Nie można jej transportować po staremu, ale gdzieś trzeba ją skierować.

–Gdzie, panie profesorze? – podchwycił skwapliwie dziennikarz.

–Nie ma innego wyjścia, jak wykorzystać nowy rurociąg do zatoki Jakutat. Tam zostaje ona wtłoczona w linię podmorską i teraz płynie nią znacznie więcej ropy niż dotychczas.

–Czy to ma jakieś znaczenie?

–Ma, ponieważ ten rurociąg nigdy nie był testowany w warunkach tak wielkich ciśnień. A kiedy coś jest poddawane większemu obciążeniu niż kiedykolwiek przedtem, może tego nie wytrzymać. Według mnie tak się właśnie stało. Rurociąg został przeciążony, rzecz można, bezmyślnie i mamy tego skutki.

To wystarczyło, aby redaktorzy popołudniówek i reporterzy telewizyjni zaczęli zbiorowy, medialny taniec śmierci, szykując nagłówki w stylu: „Baronowie naftowi winni katastrofy... Rurociąg z Alaski – tragedia zaprojektowana... Bla-maż przy testach – wypadek był kwestią czasu... Pęknięcie rurociągu wynikiem przeciążenia...”

Morgan, Morris i Ramshawe obserwowali dramat rozwijający się przed ich oczami. Zjedli razem lunch w Białym Domu, ślęczeli nad mapami, sprawdzając odległości, próbując się domyślić, skąd nieznany okręt podwodny mógł wystrzelić raketową salwę na Valdez, a potem wysadzić rurociąg na

mieliźnie Overfall.

–Powiem wam jedno – burknął Morgan. – Po raz pierwszy w swym nędznym żywocie prasa jest nam pomocna. Powtarzają w kółko „wypadek, wypadek”... a tego właśnie chcemy. Nie tylko dlatego, żeby uniknąć ogólnokrajowej paniki, ale też by nikt tam na zewnątrz się nie połapał, że coś podejrzewamy. Gdy tylko ten ktoś się o tym dowie, nasze szansę na zorientowanie się, o co w tym wszystkim chodzi, spadną o połowę.

–Nie chcesz jeszcze wszcząć poszukiwań na morzu, Ar-nie? – spytał George Morris.

–Nie. Bez żadnych dowodów, że mamy do czynienia z okrętem podwodnym, nie ma to sensu. Na razie gonimy za własnym ogonem, ale mam nadzieję, że to się niedługo zmieni.

–Według ciebie nie jest możliwe, że to wszystko po prostu fatalny zbieg okoliczności?

–Absolutnie nie – warknął admirał Morgan. – A co ty o tym sądzisz, Jimmy?

–Absolutnie nie, sir.

ROZDZIAŁ 10

Admirał George Morris opuścił Biały Dom wkrótce potem, ale bez swojego asystenta. Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego potrzebował go do burzy mózgów, a właściwie do przeprowadzenia gry wojennej. Na dużym komputerowym ekranie po lewej stronie gabinetu wyświetlona była dokładna mapa Aleutów, południowej Alaski z zatokami Cooka, Księcia Williama i Jakutat oraz wybrzeża kontynentu aż po Wyspy Królowej Charlotty. Trasa rurociągu ABET zaznaczona była na niej grubą czarną linią, odcinającą się wyraźnie od bladoniebieskiego tła morskiego akwenu. Admirał Morgan nie zamierzał się jednak zagłębiać w główny nurt dochodzenia. Wypytywał Jimmy'ego o wszelkie informacje o obcych okrętach podwodnych, na jakie natrafił w ciągu ostatnich dwóch lat.

Jimmy opowiedział mu historię „Brzytwogębnego” i wyjaśnił, jak skojarzył to słowo z rosyjską Barracudą. Wspomniał o przechwyconej depeszy „Brzytwogębny 600 potwierdzone”, o wykryciu siódmego lutego przez stację SOSUS z południowej Walii linii akustycznych od maszyny, odpowiadających starej klasie Sierra I, na zachód od Irlandii. Powiedział, że admirał Morris zwrócił się w tej sprawie o wyjaśnienia do Moskwy, a ich odpowiedź obydwaj ocenili jako uprzejmą, lecz wymijającą.

–Ranków? – spytał Morgan.

–Tak jest.

–Kłamliwy ruski sukinsyn!

–Poszperałem potem, szukając danych o programie „Barracudą”, i okazało się, że nie ma żadnych zapisów świadczących o tym, iż drugi okręt tej klasy kiedykolwiek został oddany do użytku. Pierwszy, K-239 o nazwie Tuła, od początku był we Flocie Północnej. Potem, minionego lata, śledziliśmy

304

ją w drodze na wschód trasą arktyczną. Oczywisty transfer do Floty Pacyfiku. Admirał Ranków sam to potwierdził. W końcu zobaczyliśmy ją, jak wychodzi w morze z Pietropawłowska i kieruje się na południe...

–Czy wiemy cokolwiek konkretnego o tym drugim kadłubie?

–Nie, sir. Właściwie to nic. Jest jakiś mglisty raport o wodowaniu, ale nie ma żadnych śladów, że kiedykolwiek wyszedł w morze. Na początku lat dziewięćdziesiątych meldowano, że stoi w odstawce w Aragubie, wycofany ze służby, a raczej nigdy do niej nie wcielony. Potem już nic o nim nie słyszeliśmy.

–Musiały być dla nich za drogie w eksploatacji.

–Co do tego nigdy nie było wątpliwości, sir. Rosjanie skasowali cały program, drugi zbudowany kadłub zostawili rdzy na pożarcie i nie robili z tego tajemnicy. Wszystko było jasne.

–Ale nadal nie wiemy, jaki okręt usłyszeli chłopcy z SO-SUS u wybrzeży Irlandii?

–Nie, sir. Nie dało się ustalić.

–Podobnie jak tego, kto wpadł w japońskie sieci nieopodal Pietropawłowska?

–To musiała być Barracuda. Ale potwierdzenia brak.

–No, no... Kto więc zaczął z nami tę grę, Jimmy? Poważną grę o wysokie stawki?

–Nie wiem, sir. Ale mam dziwne przeczucie, że nasz „Brzytwogębny” jest w jakiś sposób mocno w to zamieszany.

–Nie zaprzeczę, Jimmy. Nie zaprzeczę...

Admirał wstał i podszedł do mapy elektronicznej, po-stukał w klawisze i zakreślił na morzu duży, tysięczny łuk ze środkiem w Valdez, zaczynający się na zachód od Alaski i ciągnący się aż po Wyspę Grahama.

–Jeśli on istnieje, Jimmy, to musi być gdzieś w tym polu – powiedział. – Przynajmniej był tam wczoraj nad ranem. Bóg wie, gdzie może być w tej chwili.

–Dlaczego wczoraj, sir? Rurociąg pękł dzisiaj.

–Jim, gdybyśmy mieli wysadzić w powietrze cokolwiek, statek, rurociąg, jakąkolwiek podwodną konstrukcję za pomocą nowoczesnych materiałów wybuchowych, nie chcielibyśmy być w pobliżu w momencie eksplozji. Przeciwnie, wolelibyśmy znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Gdybyśmy

akurat działali z pokładu podwodniaka, na pewno dalibyśmy sobie maksymalnie dużo czasu na wycofanie się. A większość tych min magnetycznych można ustawić z wyprzedzeniem dwudziestoczwierogodzinnym. Podłożylibyśmy więc ładunki tak, aby mieć dobę na zmycie się z miejsca akcji. Gdzie w takim razie byśmy się znaleźli w chwili wybuchu? Przy dziesięciu węzłach o dwieście czterdzieści mil dalej, przy pięciu o sto dwadzieścia... A ponieważ nikt by nie wiedział, jakim kursem odpłynęliśmy, musiano by nas szukać na cholernie dużym akwencie, co najmniej siedemdziesiąt tysięcy mil kwadratowych.

–Myśli pan zatem, że on może być w drodze do domu, może już od półtorej doby?

–Absolutnie. Tylko że wcale nie jestem pewien, czy jemu się spieszy do domu, Jimmy. Nie wiem, czy już skończył robotę. Ale podejdź do mapy i popatrz...

Młody komandor z australijskim akcentem wstał i z wolna przeszedł przez pokój, pogrążony w myślach.

–Niech mnie szlag, ten facet ma jaja jak z mosiądzu, co? – Jedną z tych myśli wypowiedział na głos. – Czasami podczas tych rozmów, sir, mam wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. To znaczy... Jakiś gość rzuca wyzwanie US Navy i grasuje u naszych wybrzeży jak jakiś pieprzony pirat, gwałcąc i rabując, a my nie mamy pojęcia, kto to jest, skąd się wziął ani dokąd, u diabła, zmierza. W parę dni zniszczył całe największe przedsięwzięcie naftowe w Stanach Zjednoczonych... Sir, jeżeli naprawdę ktoś taki istnieje, to lepiej złapmy go naprawdę szybko... Niech mnie! Bin Laden to fanatyk na czele bandy fanatyków, którzy wiedzieli, że atakując nas, sami zginą. Ale ten sukinsyn jest gorszy, bo sprytniejszy, dysponuje takim samym sprzętem jak my i nie chce umierać. Na razie idzie mu całkiem nieźle.

Tym razem to admirał się zamyślił. Po chwili odwrócił się do mapy.

–Spójrz tutaj, Jimmy. W tym miejscu nastąpiło uszkodzenie rurociągu. Myślę, że on był bardzo blisko tego miejsca, kiedy odpalał rakiety na Valdez.

–Ja sądziłem, że był raczej gdzieś pośrodku zatoki, a potem podpłynął do mielizny Overfall, żeby podłożyć miny.

–Chyba nie. Ten facet jest sprytny i ja na jego miejscu bym tak nie zrobił. Stanąłbym gdzieś niedaleko na północ od Wyspy Grahama i zaprogramował rakiety tak, aby okrążyły Valdez od zachodu, a potem nad lądem zawróciły i nadleciały nad cel z północy. Potem podpłynąłbym cichaczem do rurociągu, załatwił sprawę i ruszył w swoją drogę, wiedząc, że będę o setki mil stąd, kiedy miny wybuchną. A więc, gdzie on teraz jest, Jimmy? Jeśli był w tym miejscu, powiedzmy... w sobotę o północy, to dokąd popłynął?

–No cóż... Ja bym się skierował na płytsze wody, być może z powrotem na północ wzdłuż wybrzeża, pomalutku i po cichutku. Nie prosto na środek, gdzie morze jest głębokie i SO-SUS działa efektywnie.

–Taak... a dalej?

–Z powrotem na drugą stronę Pacyfiku. Albo na dół, dookoła Basenu Północnopacyficznego, albo tuż na południe od Aleutów.

–On tamtędy nie przyplynał.

–Dlaczego pan tak uważa?

–Przy Rowie Aleuckim mamy stały patrol podwodny. Nasz okręt by go usłyszał i prawdopodobnie zatopił, gdyby go zidentyfikował jako jednostkę rosyjską.

–A przez Basen?

–Wątpię. Tam jest jedna z najgęstszych i najczujniejszych sieci SOSUS na świecie. Szansę na przemknięcie się tamtędy jakiegokolwiek okrętu podwodnego bez wiedzy US Navy oceniam na bliskie zera.

–No, to jak on się tutaj dostał?

–Ty mi to powiedz, Jimmy. Ja nie wiem.

–Czy on mógł przejść na północ od Aleutów? Tam chyba nie mamy stałego dozoru?

–Nie mamy. Owszem, mógłby próbować tamtędy. Jednak żeby znaleźć się na pozycji strzału, musiałby jakoś przemknąć z powrotem na południe między wyspami. Nie ma innej drogi na Zatokę Alaskańską. Mógłby to zrobić w jednym z trzech miejsc... ale tam wszędzie jest płytko, a powierzchni pilnują nasze radary. Jeśli to mu się udało, to nie wiem jak.

–Musiał coś wymyślić, sir. Inaczej albo byłby wciąż na zewnątrz zatoki, albo zostałyby zatopiony.

–Tak jest, Jimmy. Nie ma wątpliwości, że znalazł się w zatoce i to aż pod brzegiem, przy Wyspie Grahama. On tu ciągle jeszcze gdzieś jest, sukinsyn. I my musimy go znaleźć.

–Jak pan sądzi, sir, czy mamy do czynienia z konkretnym człowiekiem, kimś, kto dotąd umiał nas przechytrzyć? Czy też to coś bezosobowego, po prostu przeciwnik wojskowy?

–Czuję, że to robota jednego człowieka. Przeżywałem już coś podobnego. Zupełnie jak gdyby ktoś rzucał mi wyzwania...

–To znaczy ktoś taki jak admirał Ranków?

–Jezu, nie! Ktoś znacznie od niego sprytniejszy.

Wtorek, 4 marca 2008 r., godz. 1.00. Zatoka Alaskańska, 48°00'N, 128°00'W

Barracuda płynęła jak zwykle z prędkością pięciu węzłów, na głębokości trzystu metrów. Pod stępką miała jeszcze prawie dwa i pół kilometra wody. Kurs się nie zmienił przez ostatnie trzy doby, odkąd kapitan Badr po oddaleniu się od lądu w kierunku zachodnim polecił wykonać zwrot na południe. Nikt na pokładzie nie wiedział, czy plan się powiódł i podłożone miny wybuchły. Tym bardziej nikt nie mógł wiedzieć, że właśnie w tej chwili, o dziewiątej rano czasu Greenwich, na IPE, londyńskiej międzynarodowej giełdzie ropy naftowej, rozpętało się istne pandemonium. Od czasu operacji „Pustynna burza” tylko raz giełdę opanował podobny szal gorączkowych zakupów. Jak zwykle ich przedmiotem były opcje na przyszłe wydobycie Brent crude. Na IPE po raz pierwszy dowiedziano się o zniszczeniu rurociągu z Alaski poprzedniego dnia, około piętnastej czasu londyńskiego. Wzbudziło to pewien niepokój, zwłaszcza że w Valdez ogień wciąż płonął, i przed samym zamknięciem cena za baryłkę surowej ropy skoczyła o sześć dolarów w górę, do trzydziestu pięciu. Z powodu pięciogodzinnej różnicy czasu nowojorska giełda NYMEX pracowała dłużej. Po południu za baryłkę West Texas Intermediate płacono tam już trzydzieści dziewięć dolarów i rynek naftowy zaczynał balansować na krawędzi poważnego kryzysu. Na Zachodnim Wybrzeżu

całonocne stacje benzynowe podniosły cenę benzyny do pięciu dolarów za galon.

We wtorek było już zupełnie inaczej. IPE otwierała podwoje pierwsza z poważnych zachodnich giełd. W ciągu godziny od rozpoczęcia pracy Brent crude sięgnęła poziomu pięćdziesięciu dolarów za baryłkę. Handlowcy spędzili minioną noc na rozmyślaniach i obliczeniach, a kiedy dotarło do nich, że podmorski rurociąg z Alaski jest definitywnie wyłączony z użytku, o mało nie eksplodowali. Nawet najbardziej tępy z nich pojął, że alaskańskiej ropy nie będzie, dopóki nie zgasną pożary, nie powstaną nowe składy i nie zostanie naprawione uszkodzenie podwodnej rury. Nie trzeba było wykształcenia technicznego, by zdać sobie sprawę, że potrwa to co najmniej miesiąc, a być może o wiele dłużej. Parkiet w IPE przypominał dom wariatów. Dilerzy wrzeszczeli jeden przez drugiego, gdy ze Stanów Zjednoczonych płynęła lawina zamówień na opcje naftowe. Zaczynało to wyglądać na rynek sprzedających, jakiego jeszcze nigdy nie było. Wielkim koncernom niewiele minut zajęło zorientowanie się, że mogą dostać za swój towar tyle, ile im się zamarzy.

Główny dostawca ropy dla całego Zachodniego Wybrzeża USA i okolic był praktycznie wyłączony z gry. Przed resztą producentów, przetwórców, sprzedawców, dystrybutorów i hurtowników otwierały się złote wrota finansowego rajy, podczas gdy prezesi zakładów energetycznych i petrochemicznych, linii lotniczych i przedsiębiorstw transportowych siwieli ze zmartwienia.

O dziewiątej czternaście nastąpiło wyraźne zwiększenie napięcia. Makler pracujący dla Morgana Stanleya krzyknął nagle: „Plus pięć, plus pięć za trzysta tysięcy!” I cena Brent crude podskoczyła do pięćdziesięciu pięciu dolarów. Przez parkiet przemknęła fala plotek, że wkrótce trzeba będzie płacić nawet osiemdziesiąt. Tłum wyczuwał już w powietrzu nieuchronne wyłączenia prądu w Kalifornii i podobne problemy. W ogólnym zgiełku nie dało się słyszeć nic poza urywanymi „Plus dwa!... Plus pięć!... Plus trzy!...” Nie było żadnych minusów, najmniejszego spadku ceny. Transakcje nie schodziły poniżej pół miliona baryłek.

Londyńska giełda finansowa była zdeorientowana. Nie-

które akcje koncernów naftowych spadały, inne rosły o kilka punktów na godzinę, gdy maklerzy zdali sobie sprawę, kto straci, a kto zyska na katastrofach z Zachodniego Wybrzeża USA. Kiedy jednak zaczęły napływać wieści o gwałtownym wzroście cen ropy, całe pakiety akcji uległy załamaniu, zwłaszcza tych firm naftowych, których podstawą działania były złoża alaskańskie. Wielcy konsumenci paliw, a przede wszystkim linie lotnicze, ponieśli największe straty od 2001 roku.

Ceny energii elektrycznej w zachodnich stanach zawisły w niepewności; inwestorzy nie wiedzieli, czy najwięksi dostawcy w jakiś sposób zyskają na tym krachu, czy przeciwnie, zbankrutują. W ciągu jednej, nerwowej godziny wartość akcji British Petroleum podskoczyła o dziesięć procent, potem wróciła do poziomu wyjściowego, by wkrótce... spaść o kolejne dziesięć procent. Jeden z maklerów, który kupił je po otwarciu, a potem pospiesznie sprzedał, zanim znowu zdrożały, stał osłupiały i mówił o samobójstwie, straciwszy dwanaście milionów dolarów swojego klienta, co oznaczało dlań koniec kariery.

W budynku Lloyda rynek ubezpieczeniowy przeżywał własną zapaść, kiedy przed oczyma maklerów stało jak żywe widmo krachu z 1990 roku. Straty w Valdez były ogromne, ale rozerwany wybuchem podmorski rurociąg i związane z tym niebotyczne szkody ekologiczne groziły erupcją roszczeń na miarę pokłosa katastrofy zbiornikowca Exxon Valdez w Zatoce Księcia Williama w 1992 roku.

Zamknięty w kokonie centrali dowodzenia Barracudy generał Raszud nie miał ani cienia świadomości, jaki chaos wywołał swoimi działaniami. Razem z Szakirą czuli się bezpieczni przy ostrożnie nawigującym Benie Badrze, okręt był w doskonałej kondycji, turbiny pracowały spokojnie przy minimalnym obciążeniu, reaktor działał bez zarzutu, pilnowany czujnie przez świeżo upieczonych, ale dobrze wyszkolonych irańskich specjalistów. Oficer nawigacyjny utrzymywał kurs południowy, posuwając się dokładnie wzdłuż południka 128°W. Cieśnina Dixona znajduje się na szerokości geograficznej nieco powyżej 54°N, a ich następna pozycja docelowa na 42°N. Mieli więc do pokonania dwanaście stop-

ni, czyli około siedmiuset dwudziestu mil morskich. Przy obecnej prędkości kapitan Badr spodziewał się dotrzeć na miejsce nad ranem w piątek 7 marca. Będą wówczas o sto osiemdziesiąt mil od brzegów stanu Oregon, ale aż trzysta mil na południe od celu ataku.

Tymczasem komandor podporucznik Ramshawe mało co spał, siedząc w swym biurze po osiemnaście godzin na dobę w oczekiwaniu na sygnał z SOSUS, z marynarki lub choćby na jakąkolwiek wiadomość, że ktoś gdzieś słyszał o niezidentyfikowanym rosyjskim okręcie podwodnym na Pacyfiku. Nie nadchodziło jednak nic na temat Barracudy. W oceanie i na lądzie panowała w tej mierze głucha cisza. Jedyne głośnie i znaczące dźwięki wydawał tylko Arnold Morgan, osobiście nagabując sztab floty rosyjskiej i domagając się rozmowy z dowódcą, admirałem Witalijem Rankowem.

Ranków, doświadczony i przebiegły gracz, znalazł się w trudnej sytuacji. Odgadł już, że Barracuda wykonała swoją robótkę po drugiej stronie Pacyfiku, ale miał wiele do stracenia. W końcu to okręt zbudowany i eksploatowany przez Rosję, oficjalnie bazujący w Pietropawłowsku, odpowiadał za te nieusprawiedliwione ataki na najważniejsze amerykańskie zakłady i instalacje przemysłowe o strategicznym znaczeniu. Witalij miał jednak dopracowaną historyjkę. Ujawni, że Barracuda została sprzedana Chińczykom i powinna być w drodze do bazy ich Floty Południowej w Zhanjiang, na północnym krańcu wielkiej tropikalnej wyspy Hainan, a według jego informacji na pokładzie nie ma ani jednego Rosjanina. Stosował sprawdzoną politykę uników i zwodów, chowając się przed zmasowanym ostrzałem telefonów od groźnego Arnolda Morgana, choć zdawał sobie sprawę, że to ma krótkie nogi. Udawało mu się to przez półtorej doby, aż do południa w czwartek 6 marca. Morgan zdążył nawrzeszczyć na sześciu kolejnych adiutantów Rankowa, a w końcu wymógł na prezydencie, by ten zadzwonił do prezydenta Rosji i zażądał, aby dowódca marynarki wojennej natychmiast porozumiał się z Białym Domem. Instrukcje Wielkiego Białego Ojca wszystkich Rosjan były zwięzłe: „Admirale Ranków, zostałem poproszony przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki o dopilnowanie, aby zadzwono-

nił pan do jego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego w pilnej sprawie. Proszę to zrobić". I tak z ciężkim sercem Wi-talij Ranków o piętnastej czasu moskiewskiego polecił adiutantowi połączyć go ze swoim najstarszym i najniebezpieczniejszym, najbardziej upartym, wybuchowym i denerwująco wpływowym przeciwnikiem na świecie.

–Arnoldzie, co za miła niespodzianka! Cieszę się, że mogę z tobą porozmawiać. Nie robiliśmy tego już zbyt długo.

–Dokładnie o trzydzieści sześć godzin za długo, ty nieszczerzy sowiecki matrosie. – Morgan lubował się w kwiecistych, nietypowych inwektywach. – Przebiegły z siebie sukinsyn. Celowo nie odbierałeś moich telefonów i nie odpowiadałeś na pozostawione twoim ludziom wiadomości. Zaczynałem już myśleć, że może mnie unikasz.

Ranków nie mógł powstrzymać śmiechu. Mimo pewnej nerwowości, z jaką zawsze podchodził do rozmów z Morganem, lubił i jego, i typ humoru, jaki wprowadzał do tych konwersacji. Spotykali się wcześniej kilkakrotnie i nawet jedli razem kolacje, w tym raz w Moskwie.

–Wiem, wiem... – odrzekł. – Rzeczywiście robiłem uniki. Przede wszystkim dlatego, że czułem, jak mnie chcesz wymagłować w kwestiach, nad którymi nie mam żadnej kontroli.

–Zdaje się, że wciąż jesteś szefem tej waszej pordzewiałej marynarki wojennej?

Tym razem roześmieli się obydwaj z niepoprawnego grubiaństwa Amerykanina, ale też zadowoleni, że rozmowa zaczęła się toczyć swobodniej.

–Mówię poważnie, Arnoldzie. Wiem, co chcesz powiedzieć. Ty zaś wiesz, że dokonaliśmy transferu, posłaliśmy tę starą Barracudę do Pietropawłowska. Wiadomo ci też, że wyszła w morze i skierowała się na południe. Obaj zaś wiemy o tym wysokim roszczeniu japońskiego rybaka, który złapał w sieci okręt podwodny zaledwie o kilka mil na północ od bazy, tego samego dnia, o zbliżonym czasie. Zgadza się?

–Zgadza się.

–I teraz mnie zapytasz, dlaczego nasz okręt po zwrocie na południe zanurzył się i zawrócił na północ, prawda?

–Prawda. Nie było żadnego innego podwodniaka działa-

jącego w promieniu tysiąca mil od tego miejsca. Ten cholerny poławiacz sushi spotkał się z waszą Barracudą.

–Czego jednak nie wiesz, Arnoldzie... bo i skąd miałbyś wiedzieć... to, że sprzedaliśmy ją Chińczykom. Dla nas była po prostu za droga w utrzymaniu.

–No, no... To wielce interesujące, Witalij. Czy na pokładzie jest ktoś z waszych?

–Nikogo.

–Dokąd zatem popłynęli?

–Powiedzieli mi, że do bazy w Zhanjiang. Ale kto to wie? Okręt nie jest już naszą własnością.

–Witalij, moje drugie pytanie jest jeszcze ważniejsze i proszę cię o szczerą odpowiedź.

–Jeżeli będę mógł...

–Czy dokończyliście budowę drugiej Barracudy, K-240?

–Byłem w Aragubie zaledwie pół roku temu i widziałem ją w krytym doku, ze zdemontowanymi kilkoma płytami poszycia. Wychodzi na to, że stanowiła dla nas źródło części zamiennych dla Tuly, którą właśnie sprzedaliśmy. O ile mi wiadomo, K-240 nigdy nawet nie wyszedł w morze. Dlaczego pytasz?

–I on dalej jest w Aragubie?

–Głowy za to nie dam. Ale nikt mi nie meldował, że został wyłomowany czy sprzedany. Chcesz, żebym dał ci znać, jak się czegoś dowiem?

–To byłoby miłe z twojej strony... I pamiętaj, chcę tylko wiedzieć, czy sprzedaliście jedną czy dwie Barracudy tym jeszcze chytrzejszym od was Chińczykom.

–Rozumiem, Arnoldzie. Zdaj się na mnie.

Admirał Morgan pożegnał rozmówcę i odłożył słuchawkę. W głosie rosyjskiego dowódcy floty wyczuł nerwową sztywność. Miał aktorski dar zapamiętywania reakcji ludzi i rytmu ich mowy. Spodziewał się usłyszeć od Rankowa coś innego. Coś w rodzaju... „Się robi, Arnie. Zaraz sprawdzę. Chcesz wiedzieć, gdzie jest K-240? Nie ma problemu. Oddzwonię za dziesięć minut”. Tymczasem usłyszał to, co usłyszał.

–Sam naczelny wódz rosyjskiej marynarki wojennej! – warknął do czterech ścian swojego gabinetu. – Dać ci znać, gdy się dowiem, czy jeszcze mamy atomowy okręt podwodny za pół

we oczy. Dobrze wiesz, czy druga Barracuda jest, czy nie jest w swojej bazie i czy do was należy czy już nie. Masz jednak jakiś powód, by mi tego nie powiedzieć.

Morgan miał jednak w tej sytuacji związane ręce. Nie przychodził mu do głowy żaden inny sposób, w jaki ktokolwiek mógłby zadać taki cios Stanom Zjednoczonym, jak tylko za pomocą atomowego okrętu podwodnego. Jednostka konwencjonalna musiałaby do tej pory zostać odnaleziona z powodu konieczności wysuwania chrap i doładowywania akumulatorów, a w końcu i uzupełnienia paliwa. Na tym elektronicznym polu minowym, w jakie Amerykanie zamienili Zatokę Alaskańską i północny Pacyfik, nie mogłaby uniknąć wykrycia. Z okrętem o napędzie nuklearnym sprawa przedstawia się jednak zupełnie inaczej. Jeśli istotnie mieli z takim do czynienia, o czym admirał był przekonany, mógł on być dosłownie wszędzie, zagubiony w tysiącach mil kwadratowych oceanu. Mógł płynąć z powrotem na zachód, do Chin czy do Rosji, mógł płynąć na południe... albo też kręcić się wciąż przy amerykańskich wybrzeżach w poszukiwaniu nowego celu. Co gorsza, usłyszałyby z daleka każdą nawodną jednostkę US Navy, która zostałaby wysłana na jego poszukiwania, i znieruchomieć gdzieś na dużej głębokości, nigdy nie dając się wykryć.

W swoich najgorszych koszmarach Arnold Morgan wyobrażał sobie beznadziejność poszukiwania atomowego okrętu podwodnego czającego się na amerykańskich wodach. To, co wtedy czuł, było podobne do rozpacz, jaką wielu ludzi odczuwa, gdy śni się im, że biegają gdzieś najszybciej jak mogą, a nie ruszają się wcale z miejsca. W tej chwili przeżywał taki koszmar na jawie.

Postawienie całej floty w stan alarmu i wysłanie na ogromną akcję poszukiwawczą po pierwsze miało się z celem, a po drugie mogłoby wywołać panikę w społeczeństwie, wieść o niej i jej przyczynie bowiem prędzej czy później wydostałaby się poza kręgi wojskowe. Arnold Morgan nie mógł się jednak oprzeć myśli, że Ameryce zagraża nowy jedenasty września, choć nie wiedział jak, dlaczego, kto za tym stoi i co w tej sytuacji robić. Krążył po swoim gabinecie z opuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami, znowu samotny na pierwszej linii

obrony. Bał się następnego posunięcia nieprzyjaciela, ale nie mógł go powstrzymać. Wiedział, że jedyną ich szansą jest poczekać, aż wykona ruch, zdradzi swoją pozycję albo chociaż to, czy jest po tej czy po drugiej stronie oceanu. Czekał więc, choć dla człowieka o temperamencie Morgana graniczyło to z torturami.

W Valdez zaś płomienie dogasały. Strażakom udawało się nie dopuścić do rozprzestrzenienia się pożaru poza rejon przeładunkowy. Terminal był spisany na straty, podobnie jak zbiornikowiec stojący przy nabrzeżu w chwili, gdy nadleciały rakiety. Ogień po drugiej stronie miasta, w składzie ropy, zgasł dzień wcześniej, ponieważ zniszczenie centrali dyspozytorskiej spowodowało odcięcie dopływu z rurociągu. To, co znajdowało się w zbiornikach, spłonęło, ale potem nie miało się już co palić. Okolice miasta wyglądały jednak jak Berlin w 1945 roku. W powietrzu wisiała chmura czarnego dymu, śmigłowce krążyły w poszukiwaniu śladów wrogiego działania, dróg ucieczki, wszystkiego, co mogło rzucić światło na przyczynę katastrofy. Wszędzie było pełno agentów FBI, którzy wraz z policją przesłuchiwali kogo się tylko dało. Na kategoryczne polecenie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego ani jedno słowo na temat tego, co widzieli Cal Foster i Harry Roberts, nie zostało ujawnione.

Pokrywający wszystko śnieg z jednej strony utrudniał poszukiwania, ale z drugiej dostarczył niepodważalnego dowodu, że żadne siły nieprzyjacielskie czy terrorystyczne nie mogły podejść do miasta od północy, ze zbocza góry. Śmigłowce przeszukały milę za milą dziewiczej, nie naruszonej śnieżnej pokrywy w okolicznych dolinach, na wzgórzach i polach. Piloci widzieli tropy łosi i niedźwiedzi, ale nigdzie nie było śladów jakiegokolwiek pojazdu, z którego mogłaby zostać wystrzelona rakietą dość duża, by spowodować takie zniszczenia. Nie było też widać śladów przynajmniej kilkusobowego oddziału, niezbędnego do przeprowadzenia takiego ataku. W czwartek wieczorem nikt z prowadzących dochodzenie nie miał już wątpliwości: jeśli cokolwiek uderzyło w port Valdez, musiało przybyć z morza. Sęk w tym, że ani Coastguard, ani US Navy nie zanotowały choćby najmniejszego echa radarowego, sygnału akustycznego ani

żadnej innej przesłanki, która by to potwierdzała. W tym rejonie i o tej porze nie przebywała żadna jednostka pływająca.

Piątek, 7 marca 42°26'N, 128°12'W

2008 r., godzina 1.00. Pozycja

Barracuda krążyła z minimalną prędkością na głębokości trzystu metrów, niecałe dwadzieścia mil na południowy zachód od podmorskiej Góry Jacksona, wznoszącej się na ponadtrzykilometrowej głębi na kształt wielkiego bumerangu. Ben Badr doprowadził okręt na pozycję strzału, sto siedemdziesiąt pięć mil od wybrzeża Oregonu, nieco na północ od granicy z Kalifornią. Dokładnie na wschód od nich leżało ujście Rogue, szerokiej i rwącej rzeki płynącej ze stoków pasma Gór Nadbrzeżnych. Generał Raszud nie podał konkretnego czasu następnego ataku, zapowiedział tylko, że ma nastąpić w środku nocy.

–1 co, Rawi, strzelamy czy czekamy? – spytał Badr, spokojny, ale zatroskany.

Jego załoga zaczynała odczuwać zmęczenie napięciem długiej podróży i dwóch akcji bojowych. Gdyby to od niego zależało, nakazałby całonocny odpoczynek dla wszystkich. Zgadywał jednak, że Rawi będzie wolał działać natychmiast, zamiast czekać do następnej nocy. Rozumiał jego pośpiech, albowiem wiedział, że czwarty i ostatni atak musi być przeprowadzony w precyzyjnie odmierzonym momencie. Lepiej zostawić sobie odpowiedni zapas czasu i odłożyć wypoczynek na godziny bezpośrednio poprzedzające tę akcję.

–Zamierzam zaatakować niezwłocznie – poinformował go Raszud. – Proszę wezwać załogę do modlitwy, a potem postawić obsadę wyrzutni w pogotowie bojowe. Szakira melduje zakończenie programowania rakiet. Nie ma żadnych zmian. Dwie salwy po trzy rakiety, kurs początkowy pięćdziesiąt pięć stopni.

–Tak jest. – Kapitan włączył rozgłoszenie pokładową. – Oficer raketowy zgłosi się do centrali. Uwaga na wyrzutniach numer dziewięć do piętnaście!

Następnie Ben zaczął modlitwę za nich wszystkich, walczących, jak wierzył, w imię Allaha. Wspomniał o wrogich ciemnicach, którzy sprowadzili na ich naród tyle zła, szczególnie zaś na Palestyńczyków, którym brutalnie odebrano wszystko poza ich wiarą, odwagą i godnością. Prosił Boga, by kierował ich raketami, wymierzonymi w najgorszego wroga, którego poparcie dawało siłę złym rękóm Izraela i który przez cały czas, nawet w tej chwili, dostarcza syjonistom broń, aby mogli mordować wiernych muzułmanów, uciskanych na ich własnej ziemi.

–Chwała Allahowi, który jest wielki... Daj nam siłę, abyśmy mogli zranić Wielkiego Szatana...

–Wyrzutnia dziewiąta, ognia!

Pierwsza z potężnych radug z wolna się uniosła, nabierając prędkości; ruszyła przez czarną głębię ku powierzchni, by po chwili wyprysnąć dwieście metrów nad wodę. Po osiągnięciu pułapu wyrównała lot, a jej elektroniczny mózg skierował ją na kurs 055°. Włączyły się turbiny gazowe i śmierny pocisk śmignął przed siebie, szybko rozpędzając się do przelotowej prędkości sześciuset węzłów i mknąc przez mrok na stałej wysokości. Od brzegu dzieliło ją dwadzieścia minut lotu. Za nią z wody wyłaniała się już następna rakietka, a trzecia startowała z wyrzutni. Do celu miały lecieć osobnymi, choć równoległymi trasami, przekraczając linię wybrzeża nieopodal Yacquina Head, wysokiego skalistego przylądka leżącego sto dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od Grays Harbor. Nie zmieniając kursu, miały dolecieć na trzysta pięćdziesiąt kilometrów w głąb lądu, w okolice miasta Yakima.

Nad morzem nie wykrył ich żaden radar, a teraz ich trasa wiodła nad pustkowiami południowego Oregonu. Minęły od zachodu Salem i wkrótce potem znalazły się nad terytorium stanu Waszyngton, przecinając potężną rzekę Columbia na wysokości zapory imienia Johna Daya. Leciały nad pięknymi, ale pustymi terenami. Nie obudziły żadnego z mieszkańców nadrzecznego miasteczka Wapato, nad którym położyły się szerokim łukiem na nowy kurs, okrążając otoczoną gęstymi lasami Yakimę.

Od startu upłynęło do tej chwili czterdzieści minut. Sza-

kira wybrała na punkt zwrotu okolicę dziką i bezludną. Wszystkie mapy, które przestudiowała, mówiły jej, że na tych lesistych pustkowiach istnienie czujnego i bystrego systemu obserwacyjnego jest równie prawdopodobne jak na środku pustyni Gobi. Nowy kurs prowadził teraz niemal prosto na zachód, ku Góróm Kaskadowym, pomiędzy wysokim na prawie cztery i pół tysiąca metrów szczytem Mount Rainier a o połowę niższym Mount St. Helens. Zmiana warunków terenowych nie sprawiała radugom najmniejszego kłopotu. Pędziły naprzód, automatycznie podnosząc pułap przed każdą kolejną skałą, jaka przed nimi wyrastała, trzymając się zaprogramowanego kursu. Minawszy grzbiet górski, znów się pochyliły i poleciały w dół, utrzymując stałą wysokość dwustu metrów nad ziemią, posłuszne elektronicznym rozkazom płynącym z ich prymitywnego, ale wystarczająco sprawnego mózgdzku w głowicy. Znowu zmierzały do celu z niewłaściwego kierunku, jak gdyby zostały wystrzelone gdzieś w Idaho, a nie na Pacyfiku.

Szakira zaprojektowała trasę doskonale. Salwa Rawiego leciała przez niebo w imię Allaha i na rozkaz ruchu islamskich fundamentalistów, kierując się w stronę wielkiej rafinerii na końcu zatoki Grays Harbor, dwieście siedemdziesiąt kilometrów i siedemnaście minut lotu od Yakimy. Niecałą godzinę od startu pierwsza raduga była już nad miasteczkiem Alder Grove i niedaleko od celu: jednej z trzech ogromnych kolumn krakingowych, w których następowała destylacja frakcyjna ropy naftowej. Proces ten w skrócie polega na podgrzewaniu i tak już gorącej ropy do temperatury prawie czterystu stopni Celsjusza, w jakiej ulega ona rozpadowi na frakcje o zróżnicowanym ciężarze właściwym i lotności. Na dole gromadzą się paliwa ciężkie, pośrodku różne typy benzyn, a u szczytu najlotniejsze frakcje gazowe i opary. Wszystko to jest niesamowicie łatwopalne. W technicznym świecie paliw płynnych te wysokie stalowe wieże stanowią odpowiednik głodnego tygrysa na uwięzi. Kiedy o drugiej dziewiętnaście siódmego marca pierwsza rakieta z Barra-cudy trafiła w jedną z nich, huk i błysk eksplozji był widoczny w odległym o dziewięć kilometrów zaspanym Aber-deen, a w pobliskim Hoąuiam po drugiej stronie zatoki obu-

dzili się wszyscy mieszkańcy. Potworny grzmot, jaki przetoczył się nad okolicą, w niczym nie przypominał odgłosów pożaru w Valdez. Zanim dotarł do Hoquiam, całe miasteczko rozświetlił jaskrawobiały blask, zauważony nawet przez wachtowych na zbliżającym się do wejścia na zatokę super-zbiornikowcu, znajdującym się o całe dwadzieścia kilometrów na zachód.

Personel ochrony rafinerii, zgromadzony na przerwę w jednym budynku, wybiegł na zewnątrz w samą porę, by ujrzeć, jak druga kolumna wybucha jak wulkan niespełna sześćset metrów przed nimi. Stali jak wryci, zapatrzeni ze zgrozą na zniszczenie, ogień, dym i strzelające w górę spirale iskier. Nikt nie ucierpiał podczas wybuchów, ale scena dziwnie przypominała wczesne chwile ataku na World Trade Center, pokazywane przez telewizję grupki świadków pierwszego uderzenia samolotu w budynek. Zanim jednak ktokolwiek zdążył choćby zakląć, nie mówiąc już o skomentowaniu wydarzeń, raduga numer trzy dotarła do celu, o włos mijając ostatnią kolumnę krakingową, ale trafiając w zbiornik wypełniony jeszcze gorącym, świeżo wyprodukowanym paliwem dla elektrowni. Przebiła go na wylot i eksplodowała dopiero na następnym, ale w płomieniach stanęły obydwa. Co gorsza, połączone były one rurociągami w jeden system składowy z dwudziestoma innymi, zaopatrującymi przeładunkowy terminal kolejowy. Ogień szybko się przeniósł na resztę zbiorników, ogarnął złożony z czterdziestu cystern pociąg i w krótkim czasie cała stacja przestała istnieć.

Jakimś cudownym zrządzeniem losu nie było dotąd żadnych ofiar, przede wszystkim dlatego, że o wpół do trzeciej nad ranem nikt nie pracował. Pociąg miał zacząć załadunek dopiero o szóstej, a ochrona składu paliwa była razem z innymi na przerwie. Cała ósemka stała teraz oszołomiona ogromem eksplozji. Nikt nie wiedział, co robić, poza tym że trzeba łapać za telefony komórkowe i alarmować, kogo się da, a potem zasuwać do jeszcze nie zagrożonej dyspozytorni i zacząć zamykać wszystko, skąd mogła się wydobywać ropa w którejkolwiek z jej postaci.

Na szczęście te decyzje zostały podjęte o kilka sekund za późno. Druga salwa generała Raszuda zbliżała się szybko do

celu. Pierwsza rakietka zmiotła z powierzchni ziemi budynek dyspozytorni, zabijając dyżurnego operatora i jedyne go pracownika ochrony, który nie przyłączył się do kolegów na przerwie i oglądał w swoim pomieszczeniu telewizję. Frontowa ściana przygniotła wszystkie cztery jeepy ochroniarzy.

Pozostałe dwie radugi uderzyły w grupę czterdziestu wielkich zbiorników surowej ropy, napływającej do niedawna podmorskim rurociągiem z zatoki Jakutat. Tym razem efekt był identyczny jak w Valdez; miliony litrów surowca zapaliły się bez potwornej eksplozji, jaka towarzyszy zapłonowi lotnych benzyn i lżejszych frakcji oleju napędowego.

Na tym się jednak nie skończyło. Po chwili miała nastąpić jeszcze jedna, niezapomniana eksplozja. Żar płomieni zaczął w końcu nadtapiać stalową obudowę ocalałej dotąd trzeciej kolumny krakingowej. Siedem minut po uderzeniu pierwszej rakietki eksplodowała ona jak potężna bomba, zupełnie inaczej niż dwie poprzednie, które uszkodzone przez rakietki wybuchły niejako w kierunku poziomym. Tym razem eksplozja była samoistna, struktura kolumny prawie nienaruszona i większość energii wybuchu skierowana była w górę. W niebo poleciały kawały stali i betonu, urwane rury, schody, zawory, wraz z rosnącym grzybem dymu i ognia niesione potworną siłą eksplodujących gorących gazów na setki metrów.

Najdziwniejsze było jednak to, że żaden z tych wybuchów nie świadczył wyraźnie o ataku raketowym. Nikt z ośmiu ochroniarzy nie mógł spostrzec złowrogich kształtów pocisków cruise na niebie, które już gorzało, gdy wypadali z kafeterii, zaalarmowani pierwszą eksplozją. Każda następna rakietka przebywała ostatnie kilkaset metrów w trzy sekundy, skryta w chmurze czarnego dymu i od strony wschodniej, podczas gdy cała grupa stała na drugim końcu zakładu. Mogliby dostrzec krótki płomień wylotowy pierwszej radugi tylko wtedy, gdyby byli uprzedzeni o ataku i wypatrywali jej na bezgwiezdnym niebie przez lornetki. Oczywiście nikt tego nie robił. Wszystkim się zdawało, że nadchodzi koniec świata i wszystko wylatuje w powietrze. Następną decyzję podjęli znacznie szybciej; żar panował wokół coraz większy, pot zalewał im już oczy i jak jeden mąż się odwrócili, by w następnej sekundzie wystartować jak do sprintu olimpijskiego na sto

metrów i uciekać przed żywiołem wzdłuż drogi do South Arbor, byle dalej od szalejącego piekła pożaru.

Tymczasem po drugiej stronie zatoki w Hoquiam mobilizowali się miejscowi strażacy, choć większość z nich, patrząc na płonącą rafinerię poprzez lśniącą srebrno i pomarańczowo wodę, nie miała pojęcia, jak mają sobie poradzić z takim zadaniem. Dowódca pokrzykiwał tylko, by natychmiast przygotowali cały dostępny sprzęt i szykowali się do obrony zabudowań Aberdeen przed przerzuceniem się ognia. Można było zrobić tylko jedno: zlewać przestrzeń między zakładem i miastem wodą, zwłaszcza zaś podwórka drewnianych domów, gdzie rosną drzewa i krzewy, zarządzić ewakuację i dopilnować, by mieszkańcy najbliższej położonych ulic wyprowadzili w bezpieczniejsze miejsce wszystkie samochody. Dość już benzyny płonęło tej nocy... Problem był tym większy, że wszystkie trzy miasteczka położone na końcu zatoki Grays Harbor łączyły się w jeden zespół urbanistyczny, a najbardziej wysunięte domy Aberdeen leżały już dość blisko rafinerii. Dowódca straży McFadden wiedział, że nie można dopuścić, by ogień ogarnął ten rejon, zwłaszcza że pogoda była niesprzyjająca: znad Pacyfiku wiał dość silny, porywisty wiatr. Jeśli tylko żar na to pozwoli, obrona tej części Aberdeen musi zyskać absolutny priorytet.

Strażacy od razu skontaktowali się z miejscowym posterunkiem policji, który z kolei powiadomił o katastrofie komendę policji stanowej w Seattle. O trzeciej nad ranem o pożarze nad Grays Harbor mówiły już wszystkie miejscowe nocne stacje radiowe, a wiadomość o tym była już w drodze na anteny sieci ogólnokrajowych. Wkrótce wiedziano o wszystkim w Waszyngtonie, gdzie od razu zajęło się sprawą FBI.

Każdy rozumiał już teraz, co się dzieje. W ciągu jednego tygodnia wybuchły dwa wielkie pożary w najważniejszych zakładach przerobu ropy naftowej na Zachodnim Wybrzeżu, a do tego zniszczeniu uległ rurociąg transportujący ropę z Alaski. Wszystkie trzy zdarzenia nastąpiły w środku nocy. To już nie mógł być zbieg okoliczności. Stany Zjednoczone stanęły w obliczu poważnego kryzysu. Nie ulegało wątpliwości, że kraj został zaatakowany przez nieznaną spraw-

ców, sabotażystów, terrorystów, faszystów, komunistów, fundamentalistów czy Bóg wie jakiej jeszcze maści psychopatów. Ktoś się zawziął na Wuję Sama.

O trzeciej dziesiątej obudzono prezydenta, który w dwie minuty znalazł się w Gabinetcie Ovalnym, nie tracąc czasu na ubieranie się. Pierwsze zdanie, jakie wypowiedział, zapoznawszy się z sytuacją, brzmiało: „Tego kogoś trzeba piorunem znaleźć i powstrzymać, zanim wszystkie światła pogasną na dobre!”

Admirał Morgan był już w samochodzie, gnając z największą możliwą prędkością w stronę Pennsylvania Avenue, tak że kierowca wozu ochrony ledwo nadązał za szefem na śliskich od lekkiej mżawki ulicach. Jimmy Ramshawe wgniał pedał gazu w podłogę swojego jedenastoletniego czarnego jaguara, spiesząc autostradą Waszyngton-Baltimore do Fort Meade. Jego przełożony był już u siebie, czekając na połączenie z zajęтым od kilku minut telefonem admirała Alana Dicksona, byłego dowódcy Floty Atlantyku, który obecnie zajmował stanowisko szefa operacji morskich.

Dickson też był w swoim biurze, rozmawiając z admirałem Dickiem Greeningiem, dowódcą Floty Pacyfiku wizytującym właśnie wielką bazę marynarki w San Diego. W kolejce na połączenie czekali już kontradmirał Freddie Curran, dowodzący flotą podwodną na Pacyfiku, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów generał Tim Scannell, a na jej końcu znalazł się Arnold Morgan. Dowiedziawszy się

o tym, admirał Dickson dał mu absolutne pierwszeństwo, rozłączając się z Greeningiem.

Morgan przecinał właśnie plac DuPonta jak meteor, ku zdumieniu dwóch policjantów parkujących po północnej stronie, którzy jednak rozpoznali służbowy samochód z Białego Domu i uznali za stosowne pilnować własnego nosa.

–Alan! – wrzasnął w słuchawkę. – Zadzwoń natychmiast do George'a Morrisa albo do jego asystenta i niech cię wprowadzą w sytuację. Potem nie ruszaj się z miejsca, zadzwonię za pół godziny!

Dickson, który był już nieźle wprowadzony w sytuację, polecił młodemu adiutantowi zatelefonować do Greeninga

1 powiedzieć, żeby nie ruszał się z miejsca, po czym sam

wybrał numer dyrektora NSA, który i tak czekał już w kolejce na połączenie. Morrisa, który czasami sprawiał wrażenie powolnego w myśleniu i formułowaniu opinii, tej nocy nikt by o to nie posądził.

–Alan, zostaliśmy zaatakowani... – zaczął bez wstępu.

–Wiem – przerwał mu dowódca US Navy. – Tylko nie mam zielonego pojęcia, co w związku z tym robić...

Obaj wiedzieli, że są w samym środku współczesnego koszmaru militarnego: nieznanego wróg, czający się nie wiadomo gdzie, planujący Bóg wie co i odpowiadający przed Bóg wie kim, potocznie zwany terroryzmem. Zanim zdążyli zamienić kilka zdań, na ich telefonach zapaliły się czerwone lampki osobnych gorących linii z Białego Domu. Obaj usłyszeli głos admirała Morgana, który trzymał przy uszach dwie słuchawki naraz, uważając to z niejaką dumą za dowód fizycznej i umysłowej sprawności.

–Pokój sytuacyjny, zachodnie skrzydło, siódma zero zero. Nie spóźnijcie się.

Klik. Nie czas na pogawędki. Admirał Morris pospieszył do biura swojego asystenta, chcąc się zaopatrzyć w informacje o możliwych obserwacjach okrętów podwodnych, tras podejścia na wody amerykańskie i wszelkie inne dane, jakie Jimmy mógł dotychczas zdobyć. Obydwaj pracowali gorączkowo, zaniepokojeni w najwyższym stopniu rozwojem wydarzeń, tym bardziej że zajmowali się tą sprawą od ponad tygodnia, a tej nocy wszystkie ich najgorsze sny stały się rzeczywistością. Ten sukinsyn znowu uderzył, i to z porażającym skutkiem. Morris zebrał wszystkie dokumenty wręczone mu przez asystenta, spisane starannie i szczegółowo opisy wydarzeń od tajemniczego zniknięcia Barracudy (albo raczej Barracud), poprzez atak rakietowy na Valdez, oczywistą akcję sił specjalnych przeciwko rurociągowi ABET, aż po nagle, wstrząsające zniszczenie całych zapasów paliwa na Zachodnim Wybrzeżu. Ktoś stara się usilnie zgasić światła w USA. Prezydent będzie bliski paniki. Admirał wiedział, że będą musieli go ostrożnie przeprowadzić przez ten skomplikowany i złowrogi scenariusz wydarzeń. Był jednak przekonany, że marynarka wojenna będzie na bieżąco z wyjaśnieniem przyczyn, oceną skutków i propozycjami środków za-

radczych. Poza tym, pomyślał, prezydent rzadko sobie pozwala na nieprzewidziane kroki, mając naprzeciw siebie ogorzałą twarz i zimne niebieskie oczy swojego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego... Co prawda dzisiaj może być śmielszy, Ameryka znalazła się bowiem w stanie wojny. Z kimś.

Krótko przed siódmą zebrali się w starym pokoju sytuacyjnym urządzonym jeszcze przez prezydenta Reagana w zachodnim skrzydle Białego Domu. Prezydent, już ubrany, choć nie ogolony, pojawił się pierwszy w towarzystwie sekretarza stanu Tralisa Harcourta i sekretarza obrony Boba MacPhersona. Generał Scannell przyszedł razem z dowódcą marynarki wojennej Dicksonem, ostatni zaś weszli przez masywne, dźwiękoszczelne drzwi admirałowie Morgan i Morris. Wartę na zewnątrz trzymało czterech marines, działały też wszystkie systemy bezpieczeństwa Białego Domu. Wśród częstych tu ściśle tajnych spotkań dzisiejsze miało najwyższą rangę. Oddział antyterrorystyczny, podczas bytności prezydenta normalnie zajmujący pozycje na dachu, dodatkowo obsadził czterema ludźmi windę do podziemia, w którym znajdował się pokój sytuacyjny.

Tematem obrad były oczywiście wydarzenia, których nikt nie śmiał nazwać poza tymi czterema dźwiękoszczelnymi ścianami, gdzie siedzieli teraz ludzie obdarzeni największą władzą w USA. Arnold Morgan włączył duży komputerowy ekran, na którym pojawiła się mapa północnego Pacyfiku od Azji po Kanadę i Stany Zjednoczone.

–Witam panów – zagaił prezydent. – Ponieważ zanoszę się na naradę wojenną, na przewodniczącego wyznaczam mojego doradcę do spraw bezpieczeństwa. Arnie, zechciej zająć honorowe miejsce... Ja zasiądę tu z moimi kolegami politykami, naprzeciw generała Scannella i admirała Dicksona. Zdaje się, że mam pewne zaległości informacyjne, więc może Arnie je uzupełni.

Morgan, który wciąż był pochłonięty lekturą notatek Jim-my'ego Ramshawe'a, mruknął w odpowiedzi:

–Zaraz się tym zajmę, sir... a zrobię to znacznie lepiej, jeśli ktoś załatwi małą kawę.

Obecni się zaśmiali, a MacPherson podszedł do telefonu

i zamówił kawę i drożdżówki dla wszystkich, każdy bowiem zdążył zgłodnieć, będąc na nogach przez pół nocy,

–W porządku, sir – zaczął Morgan. – Chciałbym rozpocząć od pierwszego uderzenia na terminal przeładunkowy w Valdez, jakie nastąpiło tydzień temu w piątek, dwudziestego dziewiątego lutego w nocy. Wszystkie raporty, jakie mamy, mówią o dwóch seriach eksplozji, jednej na samym terminalu, drugiej kilka minut później w składzie ropy za miastem. Nie ma żadnych dowodów, że mógł to być atak z lądu, w powietrzu nie było ani jednego samolotu cywilnego czy wojskowego, a na morzu w promieniu tysiąca mil nie zanotowano obecności żadnego obcego okrętu. Intensywne poszukiwanie śladów i poszlak nie dało rezultatu. Wiemy tylko, że terminal nie wyleciał w powietrze samoistnie. Mamy też zeznania pary młodych komedianów, którzy twierdzą, że widzieli rakiety lecące z północy nad środkową Alaską w kierunku Valdez. Nie ma powodu, by im nie wierzyć, ponieważ to, co mówią, pod względem czasowym dokładnie pasuje do wydarzeń, a tego nie mogli wiedzieć z góry. – Admirał przerwał i potoczył wzrokiem po zebranych. – Czterdzieści osiem godzin później mamy poważne uszkodzenie nowego rurociągu naftowego z Alaski do Grays Harbor. Brak dowodów na czyjekolwiek celowe działanie, ale dla mnie wystarczająco podejrzane jest to, że do awarii doszło akurat w najbardziej newralgicznym punkcie, gdzie rura wznosi się z dużych głębokości, by przekroczyć mieliznę.

–Dlaczego to ma być podejrzane? – spytał prezydent.

–Jak ktoś chce wyrąbać dziurę w rurociągu, to musi tam posłać płetwonurków. Zabawne, że to się stało akurat w najlepszym miejscu dla takiej akcji na całej jego pięciusetmi-łowej trasie.

–Jasne. Mów dalej.

–Sir, w tym momencie zaczęliśmy już się zastanawiać nad prawdopodobieństwem, że terminal w Valdez mógł zostać trafiony co najmniej sześcioma rakietami typu cruise. Dlaczego? Tylko dlatego, że nie ma żadnego innego wytłumaczenia. Tam walnęło coś naprawdę dużego, a nie mogło przylecieć z lądu ani z powietrza. Na morzu zaś, przypominam, nie było żadnego okrętu nawodnego. Pozostaje więc tylko

jedna możliwość: rakiety wystrzelono z zanurzonego okrętu podwodnego.

–Jezu! – wykrzyknął prezydent. – Ale czyjego?

–Cóż, tu się zaczynają komplikacje – przyznał Morgan. – Jeśli można, chciałbym na razie przejść do następnego wypadku, do którego doszło, jak wszyscy wiemy, przed paroma godzinami. Nagle mamy do czynienia z takim samym scenariuszem. Bum! I w powietrze leci następny ważny zakład naftowy, tym razem największa cholerna rafineria w kraju, Grays Harbor. Z jakiej przyczyny? Nie wiadomo. Ślady? Żadnych. Tylko że znowu słyszę o dwóch seriach eksplozji. Najpierw coś rozpieprzyło dwie kolumny krakingowe, potem szlag trafił cały skład surowca. I znów żadnych okrętów w pobliżu, żadnych samolotów, atak z lądu niemożliwy... Panie prezydencie, to, co zniszczyło tę rafinerię, było duże i miało niemałą siłę rażenia. Musiało też zostać wystrzelone z okrętu. Nie ma bowiem na świecie rakiety cruise z odpowiednio dużym zasięgiem, by dolecieć do Alaski lub Kalifornii z jakiegokolwiek lądu. Musiałaby to być rakiet balistyczna, a w takim razie od razu byśmy ją wykryli i zestrzelili. I tutaj dochodzę do sedna. Mówimy, panowie, o pieprzonej Marie Celeste*. Nie było bowiem żadnego okrętu. Znów muszę wrócić do hipotezy o wystrzeleniu rakiet spod wody.

–Arnie, czy zostało ustalone z wszystkimi tu obecnymi, że szkody powstałe w Valdez, Grays Harbor i zniszczenie rurociągu muszą mieć przyczynę militarną?

–Cóż, nie miałem czasu pytać wszystkich o zdanie, sir. Ale nie mam co do tego wątpliwości. Zostaliśmy trafieni z niewiarygodną siłą, a czegoś takiego i w taki sposób nie mógłby dokonać żaden cywil.

Wszyscy pokiwali głowami.

–To znów przenosi nas do następnego punktu, jakim jest czas – ciągnął Morgan. – Jak w każdym przestępstwie, gra on tutaj istotną rolę. Rakiety zostały wystrzelone na Valdez po północy w piątek. Rurociąg wyleciał w powietrze prawdopodobnie około północy w niedzielę. Daje nam to różnicę mniej

*** Słynny statek odnaleziony w dryfie na Atlantyku bez załogi, której zniknięcie z pokładu do dzisiaj pozostaje niewyjaśnione; współczesny synonim statku-widma.**

więcej siedemdziesięciu dwóch godzin. Cały piątek, cała sobota i prawie cała niedziela. Musimy przyjąć, że rurociąg został uszkodzony za pomocą min magnetycznych albo czegoś w tym rodzaju. Jest oczywiste, że zostały one ustawione z maksymalnym, zapewne dwudziestoczerogodzinnym opóźnieniem. Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, w chwili eksplozji chciałby się znaleźć jak najdalej od miejsca, w którym posłał do akcji pętwonurków. Mamy więc około trzydziestu ośmiu godzin między odpaleniem rakiet a położeniem min. Zgadzą się? – Obecni potwierdzili skinieniem głów. – A więc ten, kto załatwił Valdez, strzelał z miejsca odległego od Cieśniny Dixona o najwyżej paręset mil, bo okręty podwodne w takich sytuacjach poruszają się bardzo wolno, możecie mi wierzyć. Musiał też dobrze się przygotować do desantu pętwonurków. Mamy zatem, panowie, pieprzonego intruza u brzegów Kanady. Przynajmniej wiemy dokładnie, gdzie był w sobotę o północy: tuż przy mieliznie Overfall. Następny jego ślad to dzisiejszy nocny atak na Grays Harbor. To nieco ponad siedem stopni różnicy szerokości, około czterystu trzydziestu mil morskich na południe, do tego z osiemdziesiąt na odejście z Dixona na pełne morze... razem pięćset dziesięć mil. – Morgan podszedł do komputerowej mapy. – Mówię o tym miejscu... – wskazał mieliznę Overfall – o tym... – dotknął Grays Harbor. – Od rozerwania rurociągu do ataku na rafinerię upłynęło pięć dni. Przy prędkości pięciu węzłów okręt robi sto dwadzieścia mil na dobę, więc na pokonanie tej odległości potrzebuje czterech dni z kawałkiem. Ale przecież on się nie zatrzymał na równoleżniku 47°N, prawda?

–Dlaczego nie? – wtrącił prezydent. – Chyba chciałby być jak najbliżej celu, nie?

–Sir, te rakiety można wystrzelić i precyzyjnie naprowadzić na cel z odległości tysiąca mil. On niemal na pewno popłynąłby dalej na południe niż potrzeba... właśnie dlatego, żeby się znaleźć dalej od celu. Nikomu nie zależy na tym, żeby się trzymać strefy zamieszania. Stał zapewne ze sto mil dalej na południe, co zajęłoby mu pięć dni prawie co do minuty... O, gdzieś tutaj. – Arnold wskazał na mapie punkt poniżej szerokości Grays Harbor i dodał: – Ja na jego miejscu chciałbym być daleko od brzegu, ze sto pięćdziesiąt albo

i dwieście mil, więc według mnie on był w chwili strzału mniej więcej tutaj... – Zakreślił dłonią niewielkie kółko na mapie, po czym odszedł o dwa kroki i rozłożywszy ręce, rzekł po krótkiej pauzie: – Bóg wie, gdzie on jest teraz. Moja pozycja była może aktualna pięć godzin temu. Myślę, że on wciąż płynie bardzo wolno... ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie go mamy szukać.

–Mówisz, że on mógł wystrzelić te rakiety nawet ze środka Pacyfiku? – spytał prezydent.

–Pewnie, że mógł. Ale nie sądzę, by tak zrobił. Podpłynął do brzegu, aby zaatakować Alaskę, i przeniósł się na południe pod rafinerię. Zaryzykowałbym twierdzenie, że teraz znowu kieruje się ku wybrzeżu na hałaśliwe wody, trzymając się możliwie najgłębiej i płynąc z minimalną prędkością.

–Co to, u diabła, są hałaśliwe wody? – przerwał mu sekretarz stanu.

–Och, ta część Pacyfiku jest bardzo niedogodna, Har-court – odrzekł Morgan. – Zimny prąd z północy, ciepły z południa... to daje dziwne efekty termiczne, warstwy, które zakrzywiają fale dźwiękowe. Poza tym przy brzegu zawsze jest więcej szumów. Powstaje coś w rodzaju mgły akustycznej i trudno cokolwiek usłyszeć. On pewnie będzie się skradał wzdłuż brzegu, mając ze trzydzieści metrów wody pod stępką, i jeśli nie przyspieszy, to nikt go nie wykryje... Krótko mówiąc, panowie, jesteśmy w tej chwili w pozycji wyczekiwania, to znaczy, że nie możemy nic zrobić, żeby znaleźć tego sukinsyna, dopóki nie wykona następnego ruchu. A te jego cholerne rakiety pozwalają mu odejść na bezpieczną odległość i rąbać w nas z daleka. Oto koszmar wojny podwodnej... a nie zapominajmy, że nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia z terrorystą na okręcie nuklearnym. Teraz mamy. Jestem o tym absolutnie przekonany.

–Jezu Chryste... – Prezydent złapał się za głowę. – Chcesz powiedzieć, że jesteśmy bezsilni?

–Na dobrą sprawę tak, sir.

–Do diabła, w końcu mamy potężną marynarkę wojenną, która bez przerwy domaga się więcej pieniędzy! Czemu nie może zorganizować porządných poszukiwań albo czegoś w tym rodzaju?

–Zapewne nieraz słyszał pan powiedzenie o igle i stogu siana? – odparł Arnold. – W tym wypadku musielibyśmy mieć cholerne szczęście, żeby znaleźć stóg, a co dopiero igłę. Chodzi o obszar o wymiarach może trzysta na czterysta mil morskich, a on może być w każdym jego punkcie. Nie wiemy, czy skierował się na północ, południe, wschód czy zachód. To jest sto dwadzieścia tysięcy mil kwadratowych do przeszukania, a my go nie możemy ani zobaczyć, ani usłyszeć. Facet może wybrać sobie jakieś miejsce na głębszej wodzie, zaparkować czterysta metrów pod powierzchnią i nie ruszać się stamtąd choćby i cały pieprzony rok... a potem spokojnie odpłynąć do domu, gdziekolwiek to jest.

–Panie prezydencie... – wtrącił admirał Dickson. – W imieniu naszej bardzo kosztownej marynarki muszę powiedzieć, że tego rodzaju szeroko zakrojone poszukiwania są zupełnie bezcelowe. Absolutna strata czasu, pieniędzy i sił. Gdybyśmy posłali tam nawet całą Flotę Pacyfiku, szansa dopadnięcia kryjącego się atomowego okrętu podwodnego byłaby jedna na milion. Właśnie dlatego sami mamy ich tak dużo. To bezsprzecznie najgroźniejsza broń na świecie... jak się dopiero co o tym przekonali mieszkańcy okolic Grays Harbor.

–Dobra, dobra, już chwytam. – Prezydent stawał się w widoczny sposób poirytowany. – Arnie, przecież zawsze twierdziłeś, że mamy oko na każdy okręt podwodny na świecie... A kiedy raz wreszcie potrzebujemy prawdziwych informacji... Do diabła, tam jest pieprzony wielki atomowy okręt podwodny, rozwała nam kraj... i nikt nie wie, gdzie on jest, skąd się wziął i do kogo należy... No, dajcie spokój! Utrzymanie marynarki kosztuje miliard na godzinę, a wy mi tu mówicie, że musimy siedzieć cicho jak zastęp zuchów i czekać, aż ten pieprzony maniak zatłucze nas na śmierć?

–Sir, w ostatecznym rachunku będziemy musieli złapać łucznika, a nie strzałę – powiedział spokojnie Arnold Morgan.

–A co to za jakaś cholerna zagadka?

–Bardzo prosta. Przeżywamy teraz atak terrorystyczny na skalę jedenastego września, choć prawie bez ofiar, ale z identycznymi implikacjami. I jest to atak sponsorowany

przez państwo, a to nam zawęża krąg podejrzanych. Wątpię, czy nawet Al-Kaida dałaby sobie radę z nuklearnym okrętem podwodnym. Ludzie ubierający się w pieprzone prześcieradła na ogół się tym nie zajmują. Ale gdzieś tam daleko na tyłach stoi za tym jakieś państwo, a może dwa. I to one są dla nas ważne.

–Może dla ciebie, Arnie. – Prezydent był już wyraźnie rozgniewany. – Dla mnie jest ważny ten cholerny wariat, który rozwała nam rafinerie!

–Nie jesteśmy tu zupełnie bez danych, sir – wszedł mu w słowo Arnold. – Byłoby lepiej, gdyby się dało uniknąć wojny światowej, ale podejrzewamy, że ten okręt jest zbudowany w Rosji, nosi zaś banderę innego państwa, niewykluczone, że Chin.

–Chin! – wrzasnął prezydent. – To właśnie oznacza wojnę światową! Jezu Chryste!

–O ile nam wiadomo, jest na świecie tylko jeden okręt podwodny, który mógłby się jakimś sposobem prześliznąć przez Pacyfik i zaatakować Alaskę. To dwudziestoletnia rosyjska klasa Barracuda, typ 945. Wszystkie inne kiedykolwiek zbudowane jednostki mamy sprawdzone i wiemy, gdzie są.

Prezydent nie cierpiał tych zabaw w kotka i myszkę z admirałem Morganem, zwłaszcza w obecności swoich najważniejszych współpracowników, nieodmiennie bowiem wychodził w nich na chłoptasia. Język go świerbił, żeby warknąć: „No to idź i go szukaj, cwaniaczku, i nie zawracaj mi głowy szczegółami!” Wiedział jednak, że nie tędy droga.

–Proszę kontynuować, admirale.

–Rosjanie ostatnio przetrzucili ten okręt z Floty Północnej na Pacyfik i zaparkowali go w Pietropawłowsku...

–Gdzie to jest, do diabła?

–Na południowym krańcu półwyspu Kamczatka, sir. To największa rosyjska baza morska we wschodniej Syberii, zadupie świata. Śledziliśmy tę Barracudę krok w krok przez całą drogę spod Murmańska, a teraz się dowiedzieliśmy, że została sprzedana Chińczykom, ponieważ Rusków nie było już stać na jej utrzymanie...

–No i gdzie ona teraz jest? – przerwał niecierpliwie prezydent.

–Widzieliśmy, jak wychodzi w morze z Pietropawłowska w sobotę dziewiątego lutego z rana. Położyła się na kurs południowy i dała nurka. Rosjanie twierdzą, że miała się udać do bazy chińskiej Floty Południowej w Zhanjiang. My mamy jednak powody podejrzewać, że pod wodą

zawróciła na północ.

–Dlaczego?

–Naprawdę chce pan poznać ten szczegół?

–Nie. Wierzę na słowo. Zawróciła na północ. I co dalej?

–Dwadzieścia dni później wielkie rakiety cruise spadają na Valdez.

–1 cały bezcenny system nasłuchowy naszej kosztownej marynarki wojennej niczego nie usłyszał?

–Zgadza się. Ani piśnięcia.

–Dlaczego, do cholery?

–Dlatego, że ten sukinsyn skradał się jak myszka, sir. Kiedy okręty nuklearne płyną bardzo, bardzo powoli, nie da się ich usłyszeć. Zwłaszcza wtedy, gdy wybierają trasę z dala od obszarów, gdzie na mur-beton można się spodziewać naszych patroli.

–Czy ktokolwiek widział coś, co mogłoby o tym świadczyć?

–Nie po tej stronie Pacyfiku. Ale wiemy, że on tu jest. Jak powiedziałem, jestem o tym przekonany, i sądzę, że moi koledzy się ze mną zgadzają.

–Nie ma co do tego wątpliwości – poparł Morgana szef operacji morskich, a generał Scannell, admirał Morris i Bob MacPherson mu przytaknęli.

–I nie mamy innego wyjścia, jak czekać – rzekł Morgan. – Czuwać i czekać na jego następny ruch.

Prezydent wyglądał i czuł się, jakby dotarł do kresu cierpliwości.

–Ile tych rakiet on mógł mieć na pokładzie? – zapytał.

–Myślę, że dwadzieścia cztery – odrzekł Arnold.

–A ile do tej pory wystrzelił?

–Nie wiadomo. To znaczy, nie wiemy dokładnie, dochodzenie na Alasce nie jest bowiem jeszcze zakończone. Uważamy jednak, że mógł łącznie wystrzelić czternaście, osiem w Valdez i prawie na pewno sześć w Grays Harbor.

–Czyli możemy się spodziewać co najmniej jeszcze jednego ataku?

–Na to wygląda.

Kawa i ciastka pojawiły się w najbardziej odpowiednim momencie, odbierając prezydentowi szansę na kolejną zjadliwą ripostę. Dyskusję przerwano, czekając, aż wszyscy zostaną obsłużeni. Głowa państwa wytrzymała jednak tylko do chwili, kiedy z ust białego odzianego stewarda padło w stronę admirała Morgana tradycyjne: „Ze śrutem, sir?”

–A co z marynar ką? – Ton prezydenta był coraz bardziej napastliwy, ale zakończył zdanie niemal płaczącą nutą. – Chyba można postawić jakąś straż, wysłać patrole, stworzyć jakąś barierę ochronną?

–Strata czasu, sir – odparł admirał Dickson. – Zanim wyruszymy w morze poważniejszymi siłami, on może być wszędzie.

–Naprawdę nie widzę innej rady, jak czekać, sir – powtórzył Morgan. – Ale martwię się o marynar ką...

–Jak to? – Dickson był lekko zaskoczony.

–Widzisz, wygląda na to, że on systematycznie posuwa się na południe. A w San Diego jest cholernie dużo okrętów. Byłoby straszne, gdyby rąbnął rakieta, czy choćby torpedą, w jeden z lotniskowców...

–Cholera, chyba sobie żartujesz? – Prezydent otworzył szeroko oczy.

–On już zrównał z ziemią rafinerię, która była o wiele większa niż wszystkie nasze lotniskowce razem wzięte, i nie sprawiło mu to specjalnych kłopotów...

–Ale przecież macie tam jakiś system obronny...

–Nadlatująca z prędkością prawie naddźwiękową na pułapie kilkudziesięciu metrów rakietą cruise, wystrzelona gdzieś z morza niespodziewanie, w środku nocy... – Admirał Dickson pokręcił głową. – Atakujący ma istotną przewagę.

–Jedyną obroną jest ciągle przemieszczanie okrętów -podjął Morgan. – Obce państwa mają codziennie świeże zdjęcia satelitarne naszych baz, a ten nasz żartowniś może z łatwością odbierać te dane. Wystarczy, że wysunie maszt pół metra nad wodę na osiem sekund, kiedy się upewni, że ocean jest pusty. Potem programuje układ sterowania rakiety, wpro-

wadzą trasę, współrzędne geograficzne punktów zwrotu, kolejne kursy i strzela, a ona leci jak po sznurku, korzystając z wbudowanego odbiornika GPS. Nie może nie trafić, a on wtedy będzie już daleko...

–A ciągle przemieszczanie okrętów byłoby cholernie uciążliwe – powiedział Dickson. – One cumują w bazie z różnych powodów, najczęściej po to, aby dać ludziom trochę urlopu po miesiącach spędzonych na morzu, ale też są remontowane, przeglądane i tak dalej. Żeby lotniskowiec mógł wyjść w morze, potrzeba tysiąca ludzi. Gdybyśmy mieli je przerzucać z portu do portu co parę dni, zapanowałby chaos.

–Na to wygląda – zgodził się prezydent. – Ale chciałbym zapytać jeszcze o jedno w związku z tymi raketami. Czy one mogą same zmieniać kierunek lotu?

–Jasne. Wystarczy przed startem wprowadzić parę cyfr. Kiedy już jednak zostaną wystrzelone, nie da się zmienić zaprogramowanej trasy. Jak powiedziałem, kierują się według systemu nawigacji satelitarnej GPS. Na podstawie odbieranych z kosmosu sygnałów obliczają swoją aktualną pozycję... co kilkanaście sekund... z dokładnością do trzech metrów.

–Cwane stalowe skurczybyki... – skomentował prezydent.

–Tak naprawdę to wyjątkowo tępe skurczybyki, sir. Cała ich mądrość zależy w stu procentach od GPS, który, jak panu wiadomo, pracuje w oparciu o nasze własne satelity wojskowe i pozwala każdemu na całym cholernym świecie uzyskiwać pozycję tak dokładną, że większy błąd wynika z grubości grafitu ołówka, którym nanosi się ją na mapę.

–No to dlaczego, u diabła, każdy na całym cholernym świecie może korzystać z naszych satelitów? – Teraz już prezydent zaczął krzyczeć.

–Dlatego, że pański szanowny dupowaty, lewicujący poprzednik swoim pokrętnym, nieuczciwym, ignoranckim zwyczajem uznał za stosowne udostępnić je wszem i wobec.

Nawet w takich paraliżujących chwilach napięcia Arnold Morgan potrafił do rozpuku rozśmieszyć swoje audytorium. Generał Scannell i admirał Morris jednocześnie zakrzusili się kawą, a Bob MacPherson wybuchnął gromkim śmiechem. Prezydent też zachichotał, ale zaraz spoważniał i rzekł:

–Pytam poważnie. Jak to jest, że byle kto, nawet ten wariat obrzucający nas raketami, ma dostęp do naszych satelitów?

–Na początku system GPS był zastrzeżony wyłącznie do naszych celów militarnych. Potem uznano, że to taka doskonała pomoc w nawigacji, że dzięki niej wiele dziedzin ludzkiej działalności na tym zyskało. Żeglarstwo, turystyka, alpinizm, sporty samochodowe, słowem wszystko. No więc otworzyliśmy drzwiczki... Ale nasi wojskowi uparli się, żeby pozostawić dla nas na wyłączność kanał umożliwiający uzyskiwanie trzymetrowej dokładności, a cała reszta może się zadowolić stu pięćdziesięciometrową.

–To znaczy, że jeśli taki z ciebie nawigator, że nie dasz sobie rady z takim błędem pozycji, zasługujesz, żeby wpakować się swoim nowiutkim jachtem na plażę?

–Właśnie. Jak sto pięćdziesiąt metrów to dla ciebie za dużo, to droga wolna, kup sobie sekstant i nawiguj według gwiazd.

–No i co dalej?

–Zdaje się, że było wiele nacisków ze strony producentów jachtów, odbiorników i innej klienteli – wyjaśnił Arnold. – No i pański poprzednik ustąpił, mówiąc, że nie widzi nic złego w tym, by każdemu udostępnić dokładne dane nawigacyjne.

–Pentagon chyba się temu sprzeciwiał?

–Pentagon rozpętał całe piekło, z powodów dzisiaj aż nadto oczywistych.

–I co? "

–Protesty zostały zignorowane, jak wszystko, co wojskowi mówili, chyba że byli mu akurat do czegoś potrzebni.

–Chcesz powiedzieć, że gdybyśmy wyłączyli system GPS, to nie dałoby się już w nas strzelać cruise'ami?

–Właśnie.

–No, to wyłączyć go w jasną cholerę! – krzyknął prezydent.

–Zrobione, sir. – Arnold kiwnął głową.

–Nie tak szybko! – wtrącił sekretarz stanu. – Tego nie możemy zrobić ot, tak po prostu. Już pierwszego dnia mielibyśmy dwadzieścia katastrof na morzu i w powietrzu. Jachts-meni, piloci sportowi, a nawet dzisiejsi młodzi nawigatorzy

na frachtowcach nie mają zielonego pojęcia, jak nawigować bez GPS.

–To ich problem.

–Tak... Tylko do kogo mara skierować pozwy sądowe na miliardy dolarów odszkodowań przeciwko temu, kto pozbawił świat najważniejszego systemu nawigacyjnego?

–Niech to szlag... – mruknął prezydent. – Tu mnie masz.

–Panie prezydencie – wtrącił Morgan. – Wiem, że nie możemy wyłączyć GPS na całym świecie z powodu, jaki Har-court nam tu zwięźle a soczyście wyłożył. Nie możemy nawet wrócić do ograniczonej dokładności wskazań bez uprzedzenia, bo kosztować by to mogło sporo ofiar. Jest to jednak problem, który wymaga rozwiązania, bo właśnie dzięki GPS w obecnej postaci ten sukinsyn na Barracudzie trafia w cele z tak cholerną dokładnością.

–Gdyby miał do dyspozycji tylko stu pięćdziesięciometrową dokładność, spudłowałby w tej rafinerii?

–Pewnie tak – odrzekł Arnold. – Wątpię, czy udałoby mu się trafić w te kolumny krakingowe, a to zredukowałoby zniszczenia o jakieś dziewięćdziesiąt procent.

–Zdaje się, że to kolejna rzecz, za którą możemy podziękować mojemu poprzednikowi...

–Absolutnie.

–Liberalny dupek – zakończył prezydent.

ROZDZIAŁ 11

Do północy tego piątku admirał Witalij Ranków nie odpowiedział na kolejny telefon od Arnolda Morgana. Było oczywiste, że nikt nie zamierza powiedzieć Amerykanom, czy druga Barracuda jest zdolna do wyjścia w morze ani gdzie jest, ani nawet czy jeszcze należy do rosyjskiej marynarki wojennej. Admirał Morgan był niezadowolony. Nad ranem w sobotę zadzwonił szyfrowaną linią do zaspanego szefa wydziału Rosji w CIA.

–Cześć, Tommy, tu Morgan. Mamy jeszcze tego dobrego człowieka w Murmańsku?

Tom Rayburn, stary przyjaciel admirała, szybko wszedł na właściwe tory.

–Cześć, Arnie. Jeszcze mamy. Ale wkrótce idzie na emeryturę... prawdopodobnie przeniesie się tutaj.

–Myślisz, że znajdziesz czas na jeszcze jedno zadanko? Nic niebezpiecznego, po prostu parę pytań.

–Pewnie. Stary Nikołaj był zawsze drogi, ale chętny do współpracy.

–Dobra. Szukam atomowego okrętu podwodnego. To zmodyfikowana Sierra I, klasa Barracuda, typ 945. Numer taktyczny K-240. Według naszych danych nie został ukończony, ani razu nie wyszedł w morze i w końcu postawili go na sznurku w krytym doku w Aragubie, na północ od Siewie-romorska. Muszę wiedzieć, czy on tam jeszcze jest. Podobno rozbierali go na części dla jedynej innej Barracudy, która była w służbie, K-239.

Rayburn notował wszystko dokładnie.

–A gdzie jest ta inna? Żebyśmy ich nie pomylili.

–Tego nie jestem pewien – odrzekł Morgan. – Ale możesz przyjąć, że jest cholernie daleko od Murmańska.

Człowiek z CIA parsknął w słuchawkę. Od dwudziestu

336

lat sposób bycia Arnolda Morgana nic a nic się nie zmienił.

–Okay, szefie – powiedział. – Zajmę się tym. Chcesz wiedzieć, czy Barracuda jet ciągle w Aragubie, a jak jej tam nie ma, to gdzie się podziała.

–Tak, a zwłaszcza, czy ją komuś sprzedali.

W tym samym czasie, o pierwszej w nocy, Jimmy Ramshawe siedział w Fort Meade nad

raportem z departamentu energii, opisującym szczegółowo postępy w naprawianiu podmorskiego rurociągu przy Wyspie Grahama. Zawory odcinające uszkodzony odcinek zostały zamknięte i choć ogromna ilość ropy wydostała się do oceanu, zespołowi naprawczemu udało się załatać wyrwę. Było to trudne zadanie, ale ułatwiała je niewielka głębokość morza w tym miejscu. Trzeba było podnieść z dna dwa odcinki rury (uszkodzenie nastąpiło na ich połączeniu kołnierzowym) i pospawać je na pokładzie specjalistycznego statku, a potem ponownie opuścić na miejsce i połączyć. Następnym krokiem musiało oczywiście być otwarcie zaworów, by sprawdzić szczelność spoin. Ropa popłynęła znowu. Płetwonurkowie czuwali na miejscu, sprawdzając, czy nie ma wycieku. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku, ale po trzech godzinach stwierdzono, ku zgrozie wszystkich zainteresowanych, że o pół mili na północ na powierzchnię wypływa duża ilość ropy. Tym razem z naprawą nie poszło tak łatwo, ponieważ to drugie uszkodzenie, wcześniej po prostu nie zauważone, oba wycieki bowiem zmieszały się w jedną wielką plamę, znajdowało się na znacznie większej głębokości. Zawory natychmiast zamknięto, ale do oględzin rury trzeba było użyć miniaturowej, bezzałogowej łodzi podwodnej. Kamery telewizyjne przekazały na powierzchnię obraz, od którego zadrżały serca inżynierów. Pośrodku jednego z odcinków rurociągu, daleko od obu połączeń, widniała wielka dziura o poszarpanych brzegach. Znowu trzeba było podnosić uszkodzony odcinek na powierzchnię, używając dwóch dźwigów pływających. Operacja zanosila się na kosztowną i niezwykle trudną. Cieśnina Dixona leży na akwenie znanym z zimowych sztormów i morze często bywa tam bardzo wzbu-

rzona. Naprawa mogła potrwać od sześciu do ośmiu tygodni i tak długo ropa nie będzie mogła popłynąć na południe z zatoki Jakutat. Nie miało to co prawda większego znaczenia, i tak bowiem nie było jej gdzie przyjąć; rafineria i skład w Grays Harbor były przecież zniszczone. Z Zatoki Księcia Williama nie wypłynie też żaden zbiornikowiec; w tej chwili nie miałby czego tam ładować ani nawet dokąd przycumować. Gdyby ta walka między fundamentalistami generała Raszuda i amerykańskim przemysłem naftowym była rozgrywana według zasad markiza Queensberry'ego, sędzia dawno by ją już przerwał.

Jimmy Ramshawe wpatrywał się w leżące przed nim arkusze, zaszokowany rozmiarem zniszczeń. Odszukał też w komputerze plik z jadowitym komentarzem profesora Jethro Flinta z Uniwersytetu w Kolorado. „...Ten rurociąg nigdy nie był testowany w warunkach tak wielkich ciśnień. A kiedy coś jest poddawane większemu obciążeniu niż kiedykolwiek przedtem, może tego nie wytrzymać... Rurociąg został przeciążony... i mamy tego skutki”.

–Nieprawda, profesorze – mruknął Jimmy. – Nieprawda. Gdybyś miał rację, rura pękłaby na połączeniu, w najslabszym miejscu, a to by natychmiast zmniejszyło ciśnienie. Nie byłoby drugiego pęknięcia, zwłaszcza zaś w środkowej części rury, pomiędzy kołnierzami. Obawiam się, stary, że twoja akademicka teoria właśnie poszła na śmietnik. Rurę rozerwało nie ciśnienie, ale parę ładunków wybuchowych, podłożonych przez terrorystów z okrętu podwodnego.

Ramshawe spisał swoje uwagi w krótkiej notatce dla admirała Morrisa, podkreślając oczywisty i fatalny błąd w rozumowaniu profesora Flinta. Zakończył zaś pytaniem: „Te nowiny jak amen w pacierzu trafiły i zatopily okręcik Freda Flintstone'a. Czy chce pan, abym rozesłał to e-mailem do FBI, Pentagonu, Boba MacPhersona i admirała Morgana?”, na co George Morris odpowiedział twierdząco.

Był weekend i giełdy nie pracowały. Prasa za to szalała na całym świecie, układając fakty w jedną niezaprzeczną prawdę. W przemyśle naftowym Zachodniego Wybrzeża USA nastąpiły trzy „wypadki” na wielką skalę. Gazety prześcigały się w efektownych tytułach: „Czy to naprawdę wypadki?... Co

łączy katastrofy nad Pacyfikiem?... Czy mamy do czynienia z wielkim sabotażem?... Kto to robi Ameryce?" Były to katastroficzne artykuły o wysokich miejscach na skali Richtera. Podobne wstrząsy dotyczyły już samego codziennego życia. W Kalifornii, Oregonie i Waszyngtonie benzyna na niektórych stacjach skoczyła już do sześciu dolarów za galon, a wszystkie stacje radiowe i telewizyjne od San Diego po Alaskę trąbiły na alarm, tym głośniej, im dalej na północ, przewidując nieuchronne i duże niedobory paliw płynnych, a w ślad za nimi lawinowe negatywne skutki dla całej gospodarki. „Elektrownie staną... Szpitalne oddziały intensywnej terapii pozbawione prądu... Ludzie mogą umierać... Zabraknie benzyny... Starcy zginą z głodu i chłodu... Zamknięte szkoły i urzędy... nieczynne komputery... nie będzie zasiłków socjalnych, rent i emerytur... nie będzie meczów bejsbolo-wych... świateł ulicznych... dyskotek... neonów...” Lista prorokowanych nieszczęść nie miała końca. Artykuły były historyczne i... prawdziwe. Nad Ameryką wisiał kryzys, jakiego nikt sobie dotąd nie wyobrażał. Największa rafineria w kraju była nie tylko pozbawiona surowca, ale i sama zniszczona. Paliwo przestało płynąć do największej kalifornijskiej elektrowni w Lompoc, zaprojektowanej i zbudowanej specjalnie i wyłącznie dla zaspokajania potrzeb energetycznych gigantycznych organizmów miejskich Los Angeles i San Francisco. Po raz pierwszy w życiu dziennikarze mieli absolutną rację. Dodali dwa do dwóch i wyszło im czyste, idealne cztery, a nie jak zazwyczaj pięć czy osiemdziesiąt osiem. Nie wiedzieli jednak, że prawda jest jeszcze bardziej przerażająca, niż się śniło nawet najbardziej niezrównoważonemu, przesyconemu kofeiną i nikotyną redaktorowi: gdzieś na wschodnim Pacyfiku krąży doskonale sprawny atomowy okręt podwodny, prowadzony przez załogę islamskich fanatyków pod dowództwem doświadczonego i inteligentnego oficera elitarnych sił specjalnych, który już trzykrotnie dowiódł, że potrafi bezkarnie i skutecznie zaatakować USA, gdzie chce i kiedy chce. I prawdopodobnie jeszcze swego dzieła zniszczenia nie zakończył.

O dziewiątej rano admirał Morgan czytał notatkę Jim-my'ego Ramshawe'a na temat napraw rurociągu ABET z cał-

kowitym spokojem. Każde słowo potwierdzało to, co już właściwie wiedział. Mają wroga, który potrafi zadać silny cios i ma jeszcze w zapasie potężną broń, natomiast ani on, Arnold Morgan, ani nikt z najwyższych kręgów wojskowych USA nie ma zielonego pojęcia, jak mu przeciwdziałać ani nawet co robić dalej. Admirał był w kropce, podobnie jak wszyscy inni. Nigdy jeszcze nie czuł się taki bezbronny i zagrożony. Miał świadomość, że nieprzyjaciel jest praktycznie nie do wykrycia i może robić, co mu się żywnie podoba. Wszystkie poprzednie problemy z terrorystami zostały przyćmione przez ostatnie wydarzenia. Nawet kiedy maniakalna Al-Kaida trąbiła na cały świat o swojej gotowości do walki do ostatniego człowieka, przynajmniej stanowiła jakiś wymierny cel, ukryty gdzieś na górskich bezdrożach Afganistanu. Walka z nimi była trudna, ale możliwa i armia amerykańska była do niej w pełni gotowa.

–Ale to... – burczał pod nosem Morgan. – To jest, cholera jasna, niebywałe. Nie wiem, czy naszym wrogiem jest Rosja, Chiny czy któreś z państw turbaniarskich. Wiem tylko, że to jest nowoczesny terroryzm i nie ma przed nim obrony. Nie wiadomo, kto nas atakuje i skąd...

Admirał naturalnie zupełnie zapomniał, że takie działanie jest również jego ulubioną metodą prowadzenia wojny. Powalić przeciwnika na ziemię, skopać na śmierć, jeżeli trzeba, a potem zachowywać się tak, jakby Ameryka nie miała z tym nic wspólnego. Kto, my? Nieee... Przepraszam, stary, ale nic nam o tym nie wiadomo. Żałuję, ale tym razem nie mogę ci pomóc. Będziemy w kontakcie...

Alan Dickson postawił Flotę Pacyfiku w stan pełnej gotowości bojowej. Dwa okręty podwodne wracające akurat z patrolu otrzymały rozkaz wzmożonej czujności i prowadzenia starannego nasłuchu w poszukiwaniu jakichkolwiek obcych jednostek. Arnold Morgan nie miał jednak wielkiej nadziei.

–Jeżeli on tam się czai i jest tak cwany, jak się wydaje, to Zachodnie Wybrzeże potrzebuje kasku ochronnego i dużo szczęścia...

Dobrze wiedział, że wszelkie próby uzyskania informacji o ruchach chińskich okrętów będą daremne. Pekiniści wojsko-

wi nie byli wrogo nastawieni do Stanów Zjednoczonych, ale też trudno mówić o przyjaznych stosunkach. Ponadto zdawali się działać niezależnie od własnego rządu. W ciągu ostatnich kilku lat dwa razy dochodziło do poważnych zadrażeń związanych z zatrzymaniem personelu amerykańskich sił zbrojnych przez chińską armię po incydentach na Morzu Południowochińskim, a ostatnia burza w sprawie Tajwanu też nie przyczyniła się do ocieplenia stosunków między obu krajami. Rosja również milczała jak zaklęta, a już żadnej współpracy nie można było oczekiwać od państw islamskich. Na tym froncie panowała tradycyjna niechęć i nieufność.

Admirał krążył po swoim gabinecie jak tygrys po klatce. Najnowszy komunikat z Agencji Ochrony Środowiska stanu Waszyngton głosił, że dopływ ropy do uszkodzonego odcinka rurociągu został odcięty, ale najbliższy zawór znajdował się aż o trzy mile powyżej miejsca awarii. Warunki na morzu były na tyle złe, że spodziewano się co najmniej kilkudniowej zwłoki, zanim można będzie podjąć próbę podniesienia rury i rozpoczęcia napraw.

Gubernator Kalifornii przewodniczył w tym czasie w Sa-cramento całonocnemu, otoczonemu ścisłą tajemnicą zebraniu z udziałem tylko tych urzędników, którzy wiedzieli, na jak cienkim włosku zawisł teraz ich bilans energetyczny. Z Waszyngtonu przyleciał też sekretarz do spraw energii, który uważnie przysłuchiwał się sprawozdaniu dyrektorów elektrowni w Lompoc. Zbudowana dla odciążenia pozostałych tysiąca dwudziestu trzech większych (powyżej 0,1 MW) stanowych zakładów energetycznych, pracowała ona wyłącznie na niedrogim, subwencjonowanym przez rząd paliwie z rafinerii w Grays Harbor. Było ono transportowane do Lompoc wyłącznie koleją, główną magistralą Union Pacific ze stanu Waszyngton do San Francisco i dalej doliną rzeki Salina do malowniczego półwyspu, gdzie tory już biegną na południe wzdłuż samego wybrzeża. Lompoc leży właśnie na tym półwyspie, dziewięć kilometrów od oceanu i dwieście kilometrów od Los Angeles. W tym miejscu zaczyna się kanał Santa Barbara. Linia Union Pacific biegnie dalej aż do samego Miasta Aniołów, ale jest tam odnoga do miasteczka Lompoc, którą w 2007 roku przedłużono do nowej elektrowni

i która od tamtej pory tworzy życiodajną arterię, zapewniającą nieprzerwane dostawy energii dla obu wielkich aglomeracji.

Według aktualnych obliczeń w zbiornikach składowych Lompoc znajdowało się dość paliwa, by produkować energię jeszcze przez trzy, może cztery tygodnie. Problem polegał na tym, że elektrownia nie miała pirsu przeładunkowego, do którego mogłyby przybijać zbiornikowce z awaryjnymi dostawami, choćby z Zatoki Meksykańskiej. Nie była też przygotowana do współpracy z transportem drogowym. Lompoc było w pełni uzależnione od kolei, a w tej chwili w jego kierunku toczyły się dwa ostatnie pociągi, jeden dojeżdżał do Monterey, drugi mijał odległe o kilkadziesiąt kilometrów San Luis Obispo. Dzięki generałowi Raszudowi dalszych dostaw w dającej się przewidzieć przyszłości nie będzie. W dodatku obecnie nie było nawet możliwości podłączenia linii wyjściowych z elektrowni do stanowej sieci energetycznej i wyglądało na to, że odpowiednia modyfikacja całego systemu potrwa co najmniej cztery miesiące. Elektrownia w Lompoc została zaprojektowana jako odrębny układ, funkcjonujący samodzielnie w celu zapewnienia nieprzerwanych dostaw energii dla dwóch urbanistycznych gigantów, niezależnie od nękających resztę Kalifornii niedoborów, wyłączeń i przerw. Oczywiście jej powstanie w znacznym stopniu odciążyło pozostałe zakłady i te okresowe deficyty energetyczne nie zdarzały się już tak często, a w ostatnich kilku tygodniach wcale.

W sytuacji odcięcia Lompoc od paliwa z Alaski jedynym rozwiązaniem było zaopatrzenie drogowe. Kalifornia nie mogła zapewnić żadnych własnych dostaw, chyba że kosztem wyłączenia prądu w kilku mniejszych miastach. Paliwo musiało więc być przywożone statkami z Zatoki Meksykańskiej przez Kanał Panamski do wielkiego portu w Los Angeles. Trasa ta liczy około czterech i pół tysiąca mil morskich i przeciętnemu zbiornikowcowi zajmuje około dwóch tygodni, jeśli nie trafi się kongestia* w Kanale.

*** Nagromadzenie statków na redzie portu w oczekiwaniu na wolne miejsce lub, jak tutaj, na swoją kolej tranzytu przez kanał.**

Stanowa „rada starszych” pod przewodnictwem gubernatora usilnie szukała rozwiązania kryzysu. Rozwiązań jednak nie było. Mogli jedynie próbować łączyć dziury, zaklejać pęknięcia i jakoś utrzymywać zasilanie, choćby z przerwami, dopóki nie zostaną usunięte skutki katastrof na Alasce i w Grays Harbor. Gdyby elektrownia w Lompoc stanęła i dwa największe miasta, LA i San Frań, jak je nazywają Amerykanie, pogrążyły się w ciemnościach, byłoby to klęską na skalę całego kraju. Z całą pewnością kosztowałyby to stanowisko gubernatora i mogłoby zagrozić samemu republikańskiemu prezydentowi, którego gabinet prawdopodobnie oskarżono by o forsowanie gigantycznych, wielomiliardowych programów korzystnych głównie dla koncernów naftowych oraz o całkowite ignorowanie alternatywnych rozwiązań na wypadek poważniejszych problemów. Już zresztą sama budowa elektrowni nie obyła się bez politycznej burzy. Wielu tamtejszych mieszkańców od samego początku żywiołowo sprzeciwiało się tej inwestycji. Piękna okolica Lompoc zwana jest Doliną Kwiatów; nazwa ta się wzięła z mającej stuletnią tradycję produkcji nasion. Sam pomysł umiejscowienia tam potężnego zakładu przemysłowego stał się zarzewiem bitwy na słowa i paragrafy, która toczyła się przez ponad rok. Projekt został w końcu preforsowany tylko dzięki interwencji wojskowych. Chodziło o pobliską bazę lotniczą Van-derberg, dla której niezależne źródło zasilania było sprawą pierwszorzędnej wagi. Vanderberg był pierwszą bazą rakietową US Air Force; z niej właśnie w 1986 roku wystartował do tragicznie zakończonego lotu prom kosmiczny Challenger. Raptowne zamknięcie Zachodniego Programu Kosmicznego spowodowało poważną recesję w Lompoc, ale teraz, w 2008 roku, baza przygotowywała się do otwarcia tak zwanego Portu Kosmicznego Kalifornia, stąd zainteresowanie Pentagonu budową elektrowni. Nie bez znaczenia była tu także możliwość wspólnego korzystania z wybudowanego dla niej terminalu paliwowego Union Pacific. Lobby ekologiczne nie ustępowało jednak i protestowało przeciw wszystkim tym projektom, nie szczędząc inwektyw „chciwym przemysłowcom i politykom”, żądnych zysków za wszelką cenę, dla których taki drobiazg jak zniszczenie Doliny Kwiatów

jest bez znaczenia. Ich obiekcje pobrzmiwały nieco płaczącą prawdą, ale większość z nich była pozbawiona podstaw. Cały prezydencki program energetyczny, stworzony przez Jacka Smitha, był wprost genialnym projektem, jednym pociągnięciem kończącym uzależnienie Ameryki od ropy arabskiej.

Prawdą nie do przełknięcia jest jednak smutny fakt, że duże, uprzemysłowione państwo zachodnie jak Stany Zjednoczone narażone jest na ataki terrorystyczne na dużą skalę, popierane przez wrogie rządy. Senatorowie z Waszyngtonu jeszcze tego nie wiedzieli, ale mogli być wdzięczni generałowi Raszudowi za to, że nie uznawał masowego zabijania. Na Kapitolu nie wiadano jednak o istnieniu generała Raszuda ani o żelaznej determinacji, z jaką ten militarny przywódca Hamasu zmierzał do wyparcia Stanów Zjednoczonych, a z nimi Izraela, na zawsze z Bliskiego Wschodu.

W czwartkowy rano trzynastego marca ów wilk, o którym mowa, wraz z kapitanem Badrem i całą załogą płynął przez krystalicznie czyste wody wzdłuż dalekich, niemal dziewiczo pustych plaż północnej Kalifornii. Właśnie wchodzili na głębszy akwen około stu trzydziestu mil na zachód od Los Angeles, ustalonym już od dawna zwyczajem utrzymując prędkość pięciu węzłów, przy której Barracuda płynęła praktycznie bezszelestnie. Od wyjścia z Pietropawłowska upłynął już miesiąc. Okrętowym maszynom nic nie można było zarzucić, reaktor robił swoje przy niskim ciśnieniu, turbiny obracały się bez wysiłku. Jedynym zgrzytem w idealnie pracującym mechanizmie okrętu mogła się wydawać podszyta irytacją rozmowa generała Raszuda z komandor porucznik Sza-kirą Raszud.

Pierwsza w świecie kobieta oficer na okręcie podwodnym była przekonana, że powinni kontynuować politykę wysyłania rakiet do celu okrężną drogą, za wszelką cenę maskując ich prawdziwy punkt startu i kurs początkowy. Rozumowała prosto: skoro do tej pory szło dobrze, nikt nas nie ściga i nikt nie wie, gdzie jesteśmy, to trzeba trzymać się wypróbowanej metody. Generał Raszud nie miał takich złudzeń i starał się to jak najłagodniej uzmysłowić żonie.

–Posłuchaj, Szakiro. Amerykanie przez chwilę byli zaskoczeni naszym atakiem na Valdez. Ktoś jednak musiał coś

zobaczyć i w tej chwili Pentagon na pewno wie, że port został trafiony rakietami. Wiedzą też, że musieliśmy być bardzo blisko miejsca, gdzie nastąpiła awaria rurociągu. Kiedy zniszczyliśmy rafinerię w Grays Harbor... jeśli nasze rakiety naprawdę trafiły w cel... potwierdziłyśmy nasze istnienie. Toż nie tylko najtęższe głowy sztabowe, ale ostatni głupiec musiałby już wpaść na to, że rakiety mogły być wystrzelone tylko z okrętu podwodnego, ponieważ żadnego innego wytłumaczenia być nie może. Zdziwiłbym się, gdyby do tej pory nie wiedzieli, że Barracuda zniknęła z rosyjskiej bazy. Na pewno usłyszeli o naszym spotkaniu z japońskim trawlerem i doskonale wiedzą, że nie mógł to być żaden inny okręt.

–Tak, ale przecież Chińczycy mają odwrócić ich uwagę...

–Zapomnij o tym. Nic nie zrobią aż do jutra. Poza tym to nieistotne. Ważne, że Amerykanie wiedzą z całą pewnością, że rafineria w Grays Harbor została zniszczona przez terrorystę miotającego na nich rakiety z atomowego okrętu podwodnego.

–Ale skąd niby mieliby się o tym dowiedzieć? – Szakira nie dawała za wygraną.

–Wierz mi, kochanie, gramy w kotka i myszkę z naj-bystrzejszymi umysłami na świecie. Mówię zwłaszcza o doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Oni wiedzą, co się dzieje. Nie robi najmniejszej różnicy, czy radugi spadną na Lompoc znad gór San Rafael, czy wzdłuż autostrady z Santa Maria. Cokolwiek wymyślimy, oni będą wiedzieli.

–Ale chyba lepiej, żeby leciały od wschodu, z nieoczekiwanego kierunku... jak tamte?

–Nie. Każdy kierunek jest nieoczekiwany. Naszą jedyną przewagą, ale za to dużą, jest to, że oni nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy... To znaczy, z dokładnością do jakichś pięciuset mil. Moje rozkazy są takie: wystrzelić salwę czterech radug prosto na elektrownię w Lompoc. Celujemy w kocioł i turbiny. Pozycja strzału mniej więcej dwieście mil od brzegu, czyli dwadzieścia minut lotu, a potem zwiewamy na południe. Jeszcze zanim rakiety dotrą do celu.

–To znaczy, dodajemy gazu?

–O, nie. Żadnego gazu, odpłyniemy jak zwykle powolut-

ku, po cichutku, zagubieni dla Amerykanów gdzieś na milionie mil kwadratowych oceanu, trzysta metrów pod powierzchnią. Kiedy pierwsza rakietka eksploduje, każdy w Pentagonie będzie wiedział, że to nasza robota. Mam tylko nadzieję, że spowodujemy wystarczająco duże zamieszanie, żeby móc spokojnie uciec.

–Chcesz przez to powiedzieć, że mój program mylenia przeciwnika jest od tej chwili unieważniony?

–Absolutnie. To nasz ostatni rzut, Szakiro. Ten cios będzie zwykłym prawym prostym, mocny i celny, wymierzony w dwa najwrażliwsze miejsca każdego mocarstwa. Kompetencje i dumę. A Stany Zjednoczone jednego i drugiego mają na tony.

–Zupełnie jak ja. I czuję, że właśnie zostałam zwolniona z pracy. Chcesz, abym odeszła?

–Nie. Ale mógłbym cię poprosić, żebyś zdjęła ten mundur... – Rawi zachichotał. – Gdy tylko znajdziemy jakieś ustronne miejsce.

Szakira wymierzyła prawy prosty w ramię swego dowódcy.

–Oto mój cios – powiedziała ze śmiechem. – Mocny i celny. Czy zdążyłam ci już powiedzieć, jak nieodpowiednio się czasami zachowujesz?

–Chyba tak. Teraz jednak chciałbym, abyś była bardziej moją żoną niż oficerem naprowadzania rakiet. Skocz na dół i zorganizuj parę grzanek i herbatę, dobrze? Siedzę tu od drugiej w nocy.

–Ostatnia kropla w pucharze goryczy. Z komandora porucznika do stewarda. Degradacja na środku oceanu. Co za upokorzenie dla wielkiego umysłu, który w końcu pierwszy zaproponował Lompoc jako cel!

General Raszud się uśmiechnął, patrząc, jak żona odwraca się i wychodzi z centrali.

–Jeszcze tylko dwa dni! – zawołał za nią. – A potem wracamy do domu.

Barracuda skręciła na zachód, oddalając się od brzegów amerykańskich ku głębszym wodom. Tymczasem Kalifornia zajmowała się swoimi codziennymi sprawami. Jeśli nie liczyć nieustannego napięcia w urzędzie gubernatora i paniki

z wolna ogarniającej energetyków, życie toczyło się zwykłym torem. Jedynym newralgicznym punktem, gdzie panowało poruszenie, było skrzyżowanie Hollywood Boulevard i High-land Avenue w północno-zachodnim Los Angeles, błuzby miejskie zamykały ulice i ustawiały

przenośne bariery, przygotowując wszystko na doroczną galę, jaka miała się odbyć w niedzielę wieczorem: osiemdziesiątą już ceremonię rozdania nagród Akademii, którą na całym świecie oglądać będzie – bagatela – około miliarda widzów. Szakira Kaszub dałaby wszystko, żeby tam być, w zabójczej kreacji, pod ramię ze swym przystojnym człowiekiem z żelaza. Choć w pewnym sensie miała być tam obecna, podobnie jak jej mąż.

Spektakularny Kodak Theater, zbudowane kosztem stu milionów dolarów w samym środku jednego z najelegantszych centrów handlowych największe studio telewizyjne świata, od tygodni szykowano do uroczystości. W tej części Hollywood, miejscu stałego zamieszkania Oscarów, było teraz więcej elektryków na metr kwadratowy niż potencjalnych aktorów. Ruchliwy Hollywood Boulevard był zamknięty już od pięciu dni, a tego wieczoru ruch uliczny zostanie wyproszony z Highland Avenue, Orange Drive, Franklm Avenue i kilkunastu innych ulic.

Bajeczny, pięciopiętrowy kompleks handlowy Hollywood Highland Mall mieści siedemdziesiąt markowych sklepów, restauracje, kluby nocne i nowy hotel Hollywood Renaissance na sześćset czterdzieści miejsc. Tego czwartkowego popołudnia wszystko, co było otwarte, pękało w szwach od klientów i zwykłych zwiedzających, wysypujących się z przystanku czerwonej linii metra po piętnastu minutach jazdy z dworca Union w śródmieściu LA.

Sam Kodak Theater, dumnie rozparty na szczycie czterdziestu szerokich marmurowych stopni, znajduje się obok bogato zdobionego, sześćoekranowego kina GraumansChinese Theater. Prowadzi do niego aleja zwana Pasażem Oscarów, Award Walk, wzdłuż której na filarach stoją rzędy postumentów z eleganckimi plakietkami upamiętniającymi osiemdziesiąt lat aktorskiego geniuszu, jakby aleja zasłużonych X muzy, nieśmiertelnych postaci dużego ekranu: Gregory'ego Pecka, Henry'ego Fondy, Gene'a Hackmana, Johna

Wayne'a, Newmana, Pacino, Nicholsona i Hanksa, Susan Hayward, Katherine Hepburn, Jane Fonda, Meryl Streep i wielu innych. Ich wielkie osiągnięcia znów będą nadawać temu miejscu podniosłą atmosferę, kiedy w niedzielny wieczór tegoroczni nominowani będą kroczyć po czerwonym chodniku szerokim jak pięciopasmowa jezdnia do elektronicznego świata cudów, Kodak Theater. Trzy tysiące trzystu gości zasiądzie pod srebrzystym wyniosłym sufitem, wzorowanym na zaprojektowanym przez Michała Anioła rzymskim Placu Kapitołińskim. Ponadto kamer telewizyjnych rozmieszczonych wewnątrz i na zewnątrz, na poziomie studia i powyżej niego, na wysięgnikach i pomostach, w niszach i na podiach będzie omiatało scenę i widownię w poszukiwaniu najlepszych ujęć. W całym studio wszędzie biegną kilometry przewodów elektrycznych, schowanych w specjalnych kanałach w filarach, balkonach, dźwigarach stropu i gdzie tylko się dało, gotowych dostarczać megawaty energii łączącym jej jupiterom, światłom, systemom nagłaśniającym, wentylatorom, klimatyzacji i dziesiątkom innych urządzeń w ten specjalny, jedyny w roku wieczór. Sam system dźwiękowy studia potrzebuje tyle prądu co kosmodrom na Cape Canaveral przy starcie promu kosmicznego. Wszędzie błyszczą miriady różnobarwnych świateł i reflektorów, nawet pomieszczenie orkiestry jest wielką, elektronicznie sterowaną windą. Kodak Theater oświetla nadzieje i marzenia każdego aktora, reżysera, producenta, operatora i scenarzysty na ogromnej widowni. Kiedy to wszystko zostanie włączone, elektrownia w Lompoc zadrży w osadach.

Piątek, 14 marca 2008 r., godzina 19.00. Morze Południowochińskie na wschód od Hainan

Barracuda II pod dowództwem kapitana Alego Akbara Mohtadza zbliżała się do końca długiej podróży z drugiego końca świata. Odkąd opuściła Aragubę trzydziestego pierwszego stycznia, nikt jej nie widział ani nie słyszał, z wyjątkiem tego przelotnego kontaktu odebranego przez operatorów SOSUS w walijskiej bazie Pembrokehire pod wieczór

348

siódmego lutego. Przez cały czas płynęła w zanurzeniu, z dużą prędkością, na Atlantyku wzdłuż brzegów Afryki, wolniej przez Indyjski, okrążyła od południa archipelag Indonezji, po czym skręciła na północ i ominęła od wschodu Filipiny. W tej chwili miała już za sobą cieśninę Luzon, dzielącą wyspę o tej samej nazwie od Tajwanu. Kapitan Mohtadz się nie spieszył, czekając na odpowiedni moment, to znaczy wczesny ranek następnego dnia. Dopiero wtedy okręt miał się wynurzyć na powierzchnię na południku 111°E i z wolna, majestatycznie pożeglować przez roziskrzone słońcem Morze Południowochińskie, prostym kursem do bazy chińskiej Floty Południowej w Zhanjiang. W pełnym świetle i doskonale widoczny w obiektywie kamery Wielkiego Ptaka, amerykańskiego satelity zwiadowczego, przelatującego nad tą okolicą na wysokości trzydziestu pięciu kilometrów dwa razy dziennie.

Barracuda II była w podróży przez sześć tygodni, spędzonych co do sekundy pod wodą. Od wyjścia z Araguby nikt z załogi nie oglądał świtu ni zachodu. Rozkazy, jakie otrzymał dowódca,

były kategoriyczne: nie dać się spostrzec, nie dać się usłyszeć nikomu. Mohtadż wykonał je dokładnie, jeśli nie liczyć tego nieszczęsnego incydentu z nieostrożnie odłożoną skrzynką z narzędziami; zresztą nawet wtedy Amerykanie nie mieli czasu na zidentyfikowanie usłyszanego hałasu. Podobnie jak jego współpiskowiec, kapitan Ben Badr, Ali Mohtadż nie nawiązywał żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Nikt na pokładzie nie znał biegu wydarzeń, nie wiedział, czy i w jakim stopniu irańska misja na Alasce i na Zachodnim Wybrzeżu USA się powiodła.

O szóstej rano w sobotę Barracuda II wyrzuciła balast i wychynęła z błękitnych wód Morza Południowochińskiego. Do Zhanjiang pozostało jeszcze pięćdziesiąt mil morskich. Stojący po raz pierwszy od sześciu tygodni na mostku kapitan Ali Mohtadż miał nadzieję, że został dokładnie sfotografowany.

Sobota, 15 marca 2008 r., godzina 9.00. Fort Meade

Admirał Morris oczekiwał przybycia Wielkiego Człowieka. Zwolnił już nawet swoje miejsce za biurkiem. Punktualnie o zapowiedzianej porze drzwi gabinetu otworzyły się jak pchnięte uderzeniem cyklonu i Arnold Morgan, nie zatrzymując się i nie zwalniając, ruszył w stronę gospodarza. Wisząca na ścianie amerykańska flaga załopotała lekko, poruszona powietrznym wirem.

–George, te sukinsyny coś szykują.

–Słucham, sir?

–Daj sobie i mi spokój z formalnościami, do diabła. Dość mam kłopotów na głowie i nie potrzeba mi do kompletu pieprzonych wyrazów unizoności od starego kumpla!

Admirał Morris zrozumiał, że to spotkanie potoczy się nieprzewidzianym torem.

–Masz to u mnie, Arnie. Jestem gotów. Co nowego?

–Nowego? Nowego? Nic nowego. Wciąż ta sama banda maniaków czai się w oceanie i stara się wysadzić ten kraj w powietrze. Szykuje się kolejny nokaut dla Wuja Sama i zanim będziemy starsi o kilka dni, mogą nam pogasnąć światła.

–Chcesz kawy?

–Jasne, że chcę kawy. Nie wiem, jak, u diabła, mam to wszystko ciągnąć, podczas gdy siedzisz tu na tyłku i guzik cię obchodzi, czy zdechnę z pragnienia czy nie.

Krótki podwójny wybuch śmiechu, Morris zadzwonił po stewarda, a Morgan przeszedł do poważniejszych spraw.

–Dostałem wiadomość od człowieka CIA w Murmańsku. Ta druga Barracuda, K-240, której Ruski nigdy nie wysłali w morze, zniknęła. O ile wiemy, od lat nie opuszczała doku w Aragubie, ale jeden z naszych głównych obserwatorów w tej części świata twierdzi, że już jej tam nie ma. Niezbyt mu się jednak podobały odpowiedzi, jakich mu udzielał indagowany kontakt. Wyczuwał, że jest w tej sprawie coś większego, ale co, tego się już nie mógł dowiedzieć.

–Są jakieś dowody, że oni dokończyli budowę? Nasz ostatni raport twierdził, że nie ma mowy, aby dało się ją oddać do służby, a nawet, że mogli z niej zabierać części dla drugiej Barracudy.

–Według mojego doświadczenia, George, jeżeli okręt podwodny dokądkolwiek się wybiera,

robi to o własnych siłach. Jeśli to cholerstwo byłoby wciąż w kawałkach, to tkwiłoby do dzisiaj w Aragubie, nie? A ponieważ nawet Ruski ze swoimi dziwnymi pomysłami nie przewożą okrętów ciężarówkami, stawiałbym na wariant A: ten sukinsyn pływa. A skoro go nie ma w porcie, to znaczy, że dokądś zmierza. Idźmy dalej. Jeżeli ani my nie możemy go zlokalizować, ani nikt inny, to znaczy, że robi to bardzo ukradkowo. Ja zaś chcę wiedzieć, gdzie on jest, przede wszystkim dlatego, że może to właśnie on bombarduje nasze rafinerie.

–Co mówi Ranków?

–Obiecał mi, że jak się czegoś dowie, da mi znać. Ale jakoś nie daje.

–I myślisz, że to dowód, iż okręt jest na morzu?

–To na pewno dowód na to, że Ranków jest kłamliwym, szczwanym ruskim kutasem. Ale owszem, dla mnie to prawie potwierdzenie. Barracuda numer dwa, gdziekolwiek się podziewa, coś knuje.

W tej chwili wszedł steward z kawą, a jednocześnie na biurku George'a Morrisa zadzwonił telefon. Admirał podniósł słuchawkę i usłyszał głos swojego asystenta, proszącego o natychmiastowe posłuchanie. Poleciał mu przyjść, rozłączył się i powiedział:

–Ramshawe będzie tu za chwilę. Mówi, że ma dwie wiadomości, a jedna z nich jest gorąca.

–Czego nie można powiedzieć o tej kawie – burknął Arnold. – Dawaj tu tego stewarda i każ mu zrobić porządną, wrzącą, parującą, atomową, taką jak lubię.

Dyrektor NSA, najważniejsza osoba w wywiadzie wojskowym USA, najwyraźniej nie miał nic przeciwko traktowaniu go jak bufetowego w McDonalddie, zadanie zlecił jednak swojej sekretarce. Ledwo zdążył przekazać jej dane techniczne napoju dla gościa, wszedł Jimmy Ramshawe.

–Hello, sir... och, dzień dobry, panie admirale... nie wiedziałem, że pan jest... Ale dobrze się składa, bo mam tu bardzo interesujące zdjęcie satelitarne.

Położył na biurku powiększoną odbitkę fotografii zrobionej tego dnia rankiem czasu pekińskiego na redzie chińskiej

bazy w Zhanjiang. Na środku widniała jak żywa Barracuda, po trzech i pół tysiąca mil i trzydziestu pięciu dniach podróży z Pietropawłowska. Była dokładnie tam, gdzie powinna być... według informacji otrzymanych od Rosjan.

–Czy marynarka potwierdziła, że to na pewno Barracuda 945? – spytał Morgan.

–Tak jest, sir. Bez żadnych wątpliwości.

–Taak... Podejrzewamy, że wystrzeliła salwę rakietową na Grays Harbor w piątek siódmego marca wczesnym rankiem. To było osiem dni temu. Na drugą stronę Pacyfiku, od naszego wybrzeża do Chin, jest prawie siedem tysięcy mil. On by musiał gnać z prędkością czterdziestu węzłów przez całą drogę, co jest niemożliwe, a poza tym wtedy alarm podniosłaby połowa hydrofonów SOSUS. Wniosek? Ten okręt, który w całej okazałości widzimy tutaj, u wrót Zhanjiang, nie jest naszym prześladowcą. To oczywiste. Mamy tu solidną lukę w tym równaniu.

–Cholernie wielką, sir. – Jimmy kiwnął głową. – Co dalej robimy?

–Co robimy? Hmm... Jak panu wiadomo, komandorze, Rosjanie zbudowali dwie Barracudy, z których ta druga spędziła całe życie w suchym doku w Aragubie. Przybyłem dziś do admirała Morgana, aby mu oznajmić, że właśnie zniknęła bez śladu.

–Zniknęła, sir?

–Tak jest. Rozpłynęła się. Nie ma jej.

–Jezu... To rzuca całkiem nowe światło na całą sprawę, nie uważa pan? Przecież ten okręt na zdjęciu może być właśnie tą drugą Barracuda. A pierwsza, ta, która wpadła w sieci japończyka, może być tam, gdzie myślimy, czyli tu, przy naszych wybrzeżach!

–I to właśnie, Jimmy, bardzo mnie martwi. Im więcej o tym myślę, tym mniej mi się to wszystko podoba. Wiesz dlaczego?

–Dlaczego, sir?

–Dlatego, że Chińczycy najwyraźniej nie chcą, abyśmy wiedzieli, że kupili obie Barracudy za trzysta milionów każda, czy tam po ile. W takim razie powinni podpełznąć do Zhanjiang o wiele ostrożniej, wynurzyć się w ostatniej chwili-

li i przemknąć się do portu pod osłoną nocy, kiedy nie będzie nad nimi naszego satelity.

Jimmy Ramshawe stał w milczeniu, głęboko zamyślony, zapatrzony gdzieś w przestrzeń.

–Jimmy? – Admirał Morris zaczął się obawiać, że jego asystent doznał jakiegoś szoku albo wpadł w trans.

Młody oficer nie zwracał jednak na niego uwagi. Pokręcił tylko głową i zakrzyknął:

–O, cholera!

Obaj admirałowie patrzyli nań pytająco. Po chwili Ramshawe machnął pięścią w powietrzu, jakby chciał kogoś uderzyć.

–Powiedział pan, po trzysta milionów? Za tyle Chińczycy mogli kupić te okręty podwodne? I to jest to, sir! Jak cholera! Brzytwogębny sześćset potwierdzone. Taką depezę zdjeliśmy z chińskiego satelity. Miała komuś powiedzieć, że Rosja zaakceptowała ofertę sześciuset milionów dolarów za obie Barracudy! Jeśli wolno mi powiedzieć, sir, jest pan, cholera, genialny.

Arnold Morgan, uśmiechając się szczerze po raz pierwszy od ponad tygodnia, odrzekł:

–A jeśli mi wolno powiedzieć, sam nie jesteś żaden tuman, Jimmy.

–Jeszcze jedno, panie admirale. Co z tym kontaktem namierzonym przez SOSUS jakiś miesiąc temu pod Irlandią? Oni myśleli, że to może być rosyjski okręt atomowy, przekradający się na południe. Czy to by tu pasowało?

–Jeżeli to była ta druga Barracuda i jeżeli kupili ją Chińczycy, to tak – rzekł Morgan. – Układanka zaczyna się trzymać kupy. Włącznie z możliwością, że Pekin używa jednego z okrętów do okaleczenia naszej gospodarki. Nawiasem mówiąc, ten tajemniczy kontakt irlandzki zdarzył się siódmego lutego o dziewiętnastej trzydzieści pięć. Mam te cyfry wyryte w pamięci. Myślę o tym przynajmniej raz dziennie. Chytry sukinsyn...

–Nie rozumiem tylko, Arnie, dlaczego Chiny miałyby się poważyc na taką zwariowaną awanturę? – spytał George Morris. – Muszą wiedzieć, że coś takiego spowodowałyby nasz potężny odwet.

–Tak, ale my nie wiemy, czy Chiny mają w tym jakikol-

WASZYNGTON /" -GraysHarbor L^Aberdeen J

I- / 5) «(/ ZACHODNIE

WYBRZEŻE USA

Q i • Sacramento 5 r) ffl^an Francisc° § JM S u. 01 S \

4j-ompoc

^~n • Los Angeles \

PACYFIK 400 mil \ a San Diego Tjbaza US Navy)› *

ZACHODNIE WYBRZEŻE USA- REJON OPERACYJNY BARRACUDY

wiek udział – odparł Morgan. – Wiemy tylko, że kupili jedną Barracudę 945, ponieważ powiedzieli nam to oficjalnie Rosjanie. Mamy też hipotezę Jimmy'ego, że przechwycona depesza oznacza potwierdzenie zakupu obu okrętów. Widzieliśmy też jeden z nich zbliżający się do Zhanjiang, a choć nie da się określić, który to był, nasuwa to przypuszczenie o celowym myleniu przeciwnika, to bydlę bowiem paradowało po morzu tak, jakby chcieli, żebyśmy je zobaczyli.

–Okay, panowie, co więc zrobimy? Zrzucimy żółtków bombami? – spytał Ramshawe, nie całkiem żartując.

Śmiech admirała Morgana zabrzmiał trochę nerwowo.

–Obawiam się, że sprawa nie jest taka prosta, chłopcze. Pamiętajmy o jednym: Rosja nigdy się nie przyzna do sprzedaży drugiej Barracudy. Chiny nigdy nie potwierdzą niczego. Mogą nawet nam wmawiać, że okręt wpłynął do Zhanjiang z wizytą pod banderą innego państwa. I jak amen w pacierzu powiedzą, że to nie ma nic wspólnego z USA. W odpowiedzi na nasze podejrzenia, że ktoś ostrzeliwuje nasze zakłady naftowe rakietami cruise, zacisną usta i wycedzą, że sugestia, jakoby Chiny były za to odpowiedzialne, jest oburzająca, po czym dla podkreślenia swojej dobrej woli zaproszą czcigodnego prezydenta do Pekinu, gdzie go serdecznie powita cały chiński naród.

Admirał Morris dodał:

–Nie zapominajmy też, że zdjęcie przyniesione przez Jimmy'ego to jedyny dowód na to, że któryś z tych okrętów znalazł się w pobliżu chińskiego portu.

–Masz rację – przytaknął Arnold. – I to mnie skłania do jedynego możliwego wniosku. Ta

tajemnica znajdzie rozwiązanie tylko wtedy, gdy złapiemy tego drania, który buszuje w oceanie u brzegów Kalifornii. Ale nie mam pojęcia, jak tego dokonać. Na razie.

Ramshawe nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał okazji do podsumowania dyskusji po australijsku.

–No to lepiej bierzmy się ostro, zanim ten sukin-kundel-syn rąbnie w nas znowu.

–Jeszcze coś, Jimmy – przypomniał Morgan. – Poinformowano mnie, że masz dwie ciekawe wiadomości. Jaka jest ta druga?

–Melduję, że przez ostatnie parę tygodni przeglądałem w naszej sieci raporty SOSUS i stacji radarowych. Naturalnie na Morzu Beringa nie dzieje się wiele ciekawego, ale coś znalazłem. Dziewiętnastego lutego stacja radarowa na wyspie Akutan złapała przelotne echo około trzydziestu mil od brzegu na pozycji pięćdziesiąt cztery czterdzieści pięć nord, sto sześćdziesiąt sześć dwadzieścia osiem west. Bez identyfikacji, ale powtórzyło się w trzech cyklach. Uznali, że to mógł być peryskop obcego okrętu, ale już go więcej nie zobaczyli.

–Mogło to być cokolwiek – zauważył Morgan.

–Niby mogło, sir. Ale tamte chłopaki są przyzwyczajone do śledzenia statków w cieśninie Unimak, a to echo zwróciło ich uwagę. Tylko że zaraz zniknęło.

–Trochę za późno się tym martwić – odrzekł Arnold. – Ale jest tylko jeden typ okrętu, który może po prostu zniknąć, prawda, George?

–Tylko jeden, Arnie.

Niedziela, 16 marca 2008 r., godzina 18.00. Pacyfik

Barracuda krążyła kursem nawrotnym na głębokości stu pięćdziesięciu metrów, dwieście siedemdziesiąt mil morskich na południowy zachód od Lompoc i Doliny Kwiatów, trzysta czterdzieści mil na zachód od Tijuany, meksykańskiego miasta przygranicznego. Szakira przyjęła koncepcję szybkiego ataku wprost z morza. Wprowadziła do pokładowych komputerów rakiet koordynaty celu: 34°39'N, 120°27'W. Do startu pozostały dwie godziny.

W studiu Kodak Theater najważniejsza impreza w przemyśle rozrywkowym toczyła się w najlepsze. Członkowie Akademii Sztuki Filmowej zasiadali w pierwszych rzędach wraz z paroma tuzinami finalistów, pełnych nadziei na tę małą, złotą statuetkę. Została już wręczona nagroda za efekty specjalne, którą otrzymali zespołowo Bob Ferrer, Ray Ricken i Sydney Limberg za film Terminator XII. Cała trójka wylewnie dziękowała wszystkim, których kiedykolwiek spotkała, z wyjątkiem może studyjnego kota. Ceremonia

„Oscar 2008” miała już dziesięciominutowy poślizg. W tej chwili na ekranie pokazywano urywki filmów nominowanych do nagrody za najlepsze zdjęcia. Faworytem był tu sfilmowany przez Hiram Rothmana widowiskowy epos o bitwie pod Gettysburgiem, Nadzieja, nie chwała. Miał on też nominację w kategoriach najlepszego reżysera (którym był Milt Brabazon) i najlepszego aktora (za rolę Flinta Carbury'ego). Niespodzianki nie było. Cały rząd aktorów kreujących postaci z wojny secesyjnej na stojąco oklaskiwał zwycięstwo Hiram, którego magiczny obiektyw sprawił, że wszyscy tak dobrze wypadli.

–Uwaga na sterach! Prędkość pięć węzłów, podejść na dziewięćdziesiąt metrów. Oficer raketowy zgłosi się do centrali...

Rothman, który już dwukrotnie w swojej długiej i błyskotliwej karierze był laureatem Oscara, z właściwym sobie obyciem i godnością podziękował tylko wszystkim za pomoc i szybko pozdrowił dwudziestu kilku krewnych i znajomych. Dzięki tej powściągliwości impreza nadrobiła trochę opóźnienia, ale i tak nie było mowy, aby się zakończyła zgodnie z planem o wpół do dziewiątej. Już w tej chwili zanosilo się na finisz o dziewiątej, jak to przewidziała pani Raszud.

Po wręczeniu dwóch pomniejszych nagród, a potem, tuż przed siódmą, nastąpił jeden z ważniejszych punktów programu. Edna Casey, irlandzka poetessa, została wyróżniona za film Timeshare w kategorii najlepszego scenariusza. Było to interesujące nie tyle z powodu samej nagrody, ile wskutek niespodziewanej decyzji gwiazdora filmu, Troya Ramforda, by porzucić żonę i troje dzieci na rzecz smukłej rudowłosej Edny rodem z Galway. Dokonał tego manewru w samym środku pracy nad Timeshare, a odkąd został nominowany do Oscara dla najlepszego aktora, wszystkie bulwarówki świata żyły pytaniem, czy Troy i Edna pojawią się na ceremonii razem. I oto pół gigawata mocy telewizyjnego ekwipunku przekazywało wszem i wobec tę najważniejszą tajemnicę. Troy trzymał rozradowaną Irlandkę w ramionach, a Hollywood, zawsze gotowe powitać i przyjąć nowe, wybuchło aplau-

zem. Utalentowana pisarka wstydlawie ruszyła na scenę i obwieściła zebrany:

–To znaczy dla mnie więcej, niż potrafię wyrazić słowami. Jestem przekonana, że Troy i ja będziemy mieć tę chwilę w pamięci na zawsze.

Takiego potwierdzenia prasa wyczekiwała od pięciu miesięcy. W Lompoc musiały drgnąć wskazówki przyrządów na głównym panelu kontrolnym, kiedy obraz ze sceny pomknął ku satelitom licznych sieci telewizyjnych. W studiu widownia oszalała, kiedy Edna pomachała nad głową swoim Osca-rem.

–Oficer wachtowy, podejść na peryskopową. Sprawdzić wizualnie powierzchnię. Pięćdziesiąt pięć minut do startu.

Ceremonia przebiegała dalej w blasku świateł i pełnej harmonii. Najlepszym musicalem okazał się Włom eks-londyń-czyka Bobby'ego Beethovena (prawdziwe nazwisko Schwartz), rubaszny, ale niegłupi dramat z życia podrzędnych gangsterów, który był też nominowany do Oscara za najlepszy scenariusz, dzieło autorskiego duetu Anny i Freda Zimmerów z Liverpoolu.

Przepięknie nakręcony film Maria z Modeny, historia siedemnastowiecznej włoskiej księżniczki, która została królową Anglii, zgodnie z przewidywaniami nagrodzono za najlepsze kostiumy (stworzone przez Inę Shinford), stanął też w szranki w kategoriach najlepszej aktorki i najlepszego aktora drugoplanowego, odpowiednio dla Carrie Martin i Charlesa Le Pena. Ina Shinford przeboleła już utratę swej głównej asystentki, piersiastej dziewiętnastolatki Tiggy Mo-rovej, która uciekła z żonatym reżyserem filmu, osiem-dziesięciodwuletnim Craigiem Barstowem. W swojej mowie pani Shinford wspomniała o dwudziestoczterogodzinnych dniach pracy i wyraziła wdzięczność dla Barstowa za okazywane jej głębokie zrozumienie. Przekroczyła swój limit czasu o osiem minut.

Billy Cohn, odbierając swoją czwartą statuetkę za najlepszą adaptację, dzielnie starał się mówić zwięźle, wychwalając całą plejadę aktorów i personel techniczny ubiegłorocznego

nudziarstwa Wolny agent, satyry na światek sportu, zbyt bliskiej jednak prawdy, aby kogokolwiek ubawić. W swoich podziękowaniach pominął rodzinę i dał się ponieść emocjom, dedykując Oscara swojemu nieżyjącemu partnerowi, stewardowi z linii lotniczych, który niedawno przegrał walkę z AIDS. Zalanego łzami Billy'ego musieli sprowadzić ze sceny pogrążeni w smutku oficjele z Provincetown International Airlines.

–Sprawdzić wszystkie systemy. Dziewięćnaście minut do startu. Komandor porucznik Abbas Szafii do centrali!

W Kodak Theater wrzała bitwa o tytuł najlepszej aktorki drugoplanowej. Ekran rozbłyskiwał wideoklipami, trzymano się za ręce, zaciskano pięści, zasłaniano otwarte w napięciu usta. Ziemia wstrzymała bieg... „A nagrodę otrzymuje... Maggee Donald, za rolę w Wolnym agenciel”

Reflektory wyszukały i osrebrzyły piękną, wysmukłą byłą kelnerkę z Teksasu i jej nie ogolonego męża, piosenkarza country, Slacka Brandirona. Orkiestra zagrała tusz i cały świat patrzył, jak odtwórczyni roli kochanki bohatera sunie samotnie ku zalanej światłem scenie. Była to jej druga rola w życiu. Przyjęła statuetkę z rąk speszonego czarnoskórego obrońcy z drużyny Oakland Raiders, który wyznał jej, że jego ambicją jest zagranie Otella, kiedy już pożegna się ze sportem. Maggee w tym momencie rozplynęła się w śmiechu i łzach, powtarzając w kółko: „Szkoda tylko, że mama nie może mnie teraz zobaczyć”. O dziewiętnastej pięćdziesiąt osiem oczarowane audytorium słuchało, jak zaczyna przemowę:

–To jest mój, no, najszcześniejszy moment...

–Przygotować wyrzutnie numer szesnaście do dziewiętnaście. Ostatnie sprawdzenie systemów. Komandor podporucznik Raszud do pomieszczenia kierowania raketami!

–I chcę podziękować mojej kochanej mamie, która zmarła pół roku temu... I wiem, że tatuś mnie teraz ogląda w domu w Amarillo... i jest tak ze mnie dumny...

–Wyrzutnia szesnasta, ognia!... Siedemnasta, ognia!... Osiemnasta, ognia!... Dziewiętnasta, ognia!

Maggee uniosła Oscara nad głowę, mówiąc:

–Podnoszę go tak wysoko, bo inaczej nikt z mojej szkoły nawet nie uwierzy, dopóki nie zobaczą na własne oczy, nie? Dziękuję, panie i panowie, dziękuję z całego serca...

–Kurs sto trzydzieści pięć. Prędkość osiem węzłów. Stery głębokości dziesięć stopni w dół. Zanurzenie dwieście czterdzieści. Panowie, wracamy do domu!

Akademia Filmowa, nie chcąc odkładać złotych jajek na sam koniec programu, ustaliła moment wręczenia Oscara za najlepszą rolę męską na godzinę przed spodziewanym zakończeniem ceremonii. I znów wszyscy wstrzymali oddech, prowadzący ogłosił nazwiska czterech kandydatów, na ekranie wyświetlano dwuminutowe fragmenty nominowanych filmów, dowody najwyższego aktorskiego kunsztu minionego roku.

–A zwycięzcą jest... Orkiestra, tusz!... Troy Ramford za Tlmesharel

Stożki jaskrawego światła z kilkunastu reflektorów znów omiotły widownię, w poszukiwaniu wysokiego aktora z Ne-braski, który w tej chwili całował Ednę, machając ręką do oklaskujących go sąsiadów i usiłując wstać z miejsca. Wśród wiwatów, okrzyków, poklepywany po plecach dumny Ramford wyszedł na przejście między fotelami, domagając się, by pani Casey poszła razem z nim po odbiór Oscara. Wywołało to pewien niepokój wśród szacownych członków Akademii. Lekkie zamieszanie trwało może dwie minuty, aż wreszcie zrozumieli, że albo Edna Casey będzie towarzyszyć laureatowi na scenie, albo mogą sobie sami wręczyć statuetkę.

Kiedy para gwiazd kroczyła ku scenie, niejaki Jake Milburn i jego kolega Skip Farr, obserwujący ekran radaru w pomieszczeniu ochrony na zachodnim skraju terenu elektrowni w Lompoc, zauważyli nagle cztery echa w jednej linii, błyskawicznie nadlatujące od strony morza nad linię brzegu. Zanim Troy i Edna dotarli do celu, pierwsza z rakiet

śmignęła tuż nad głowami obu dyżurnych ochroniarzy i na ich oczach z prędkością sześciuset węzłów zanurkowała i wbiła się w ogromny budynek generatorów, w którym wirowały dwadzieścia cztery długie na sześćdziesiąt i wysokie na trzy metry turbiny, ustawione piętrowo w trzech rzędach po osiem. Cały zespół wyleciał w powietrze. Najwyższą ósemkę turbin, z których każda waży po sto ton, siła eksplozji wyrzuciła w górę na prawie sto metrów. Jeszcze nie zdążyły spaść z powrotem na ziemię, kiedy druga rakietka uderzyła w kotłownię, rozbiła wielkie palniki olejowe pod kotłami i eksplodowała w pomarańczowo-czarnej kuli ognia i dymu

wraz z pięciuset tysiącami galonów oleju opałowego, niedawno wyladowanego z cystern Union Pacific. Kolejna raduga unicestwiła pomieszczenie centrali kontrolnej, ostatnia zaś trafiła w skład paliwa, niszcząc wszystkie zbiorniki, rurociąg i kolejowy terminal przeładunkowy. Płomienie pożaru, jaki ogarnął okolicę składu, buchały w niebo na dziesiątki metrów. Zachodni wiatr poniosł chmury czarnego, ciężkiego dymu przez całą Dolinę Kwiatów i spowił ulice miasteczka Lompoc. Na szosie prowadzącej do Vanderberg widoczność nie przekraczała czterech metrów. Dowódca bazy natychmiast ogłosił czerwony alarm dla wszystkich samolotów. Od wybuchu pierwszej rakiety upłynęły dwie minuty.

W tym samym momencie zgasły światła w Kodak Theater. Nie było żadnego przygaśnięcia ani migotania żarówek, po prostu nagle zapadła ciemność. Troy i Edna stali na scenie niewidoczni dla siebie nawzajem, gwiazdy filmowe krzyczały, blond pięknotki u ramion tuzów i tuzików rozrywki piszczaly, aktorzy wrzeszczeli, ochroniarze klęli, a przedstawiciele studia wzywali do zachowania spokoju przez mikrofony, które już nie działały. Na całym świecie setki milionów kinomanów patrzyły na nagle poczerniałe ekrany telewizorów. Szybko pojęto, że to nie jest zwyczajna awaria zasilania. Nic nie wychodziło w eter ani ze studia Kodak, ani z całego Los Angeles. Żadna z sieci telewizyjnych nie miała pojęcia, dlaczego ich stacje z Zachodniego Wybrzeża przestały nagle nadawać.

W kilka chwil w Kodak Theater zapanował chaos. Prądnice awaryjne włączyły się w pięć minut po zgaśnięciu świa-

teł, ale ich moc była znikoma w porównaniu z zapotrzebowaniem. Energii wystarczyło tylko na dostateczne oświetlenie drogi wyjścia dla normalnej liczby widzów. Problem w tym, że choć liczba była normalna, trudno to samo powiedzieć o gościach. Ci ludzie nie nawykli do jakichkolwiek niewygód. Wielu z nich nikt się nie sprzeciwił przez ostatnie parę lat (może z wyjątkiem żon). Wielu nie pamiętało, kiedy po raz ostatni coś zakłóciło im rozrywkę. A tu taka historia! Widownia nie posiadała się z oburzenia i urażonej godności. Powietrze rozdzierały krzyki, władcze głosy domagały się wyjaśnień. Obsługa robiła, co mogła, żeby nie dopuścić do wybuchu paniki, gdy trzy tysiące ludzi ruszyło naraz do wyjścia, a każdy domagał się pierwszeństwa. Gdyby ktokolwiek z nich zastanowił się przez chwilę nad sytuacją, mógłby dojść do wniosku, że znajduje się w najbezpieczniejszym miejscu, jako tako oświetlonym i dysponującym wystarczającą ilością energii elektrycznej, aby zapewnić spokojne dotarcie do przyległego hotelu, także posiadającego słaby, ale użyteczny generator awaryjny.

Na zewnątrz było niebezpiecznie. Całe miasto, od Santa Ana na południu po San Bernardino na wschodzie, pozbawione było oświetlenia. Nie działały światła na skrzyżowaniach, kamery policyjne i firm ochroniarskich, miliony telefonów i telewizorów. Malibu Canyon miało zasilanie, ponieważ podłączone jest do Południowej Sieci Gór San Gabriel, ale Los Angeles było ciemne, przestawało działać. Na głównych arteriach już tworzyły się korki, na każdym skrzyżowaniu dochodziło do kolizji i przejazd przez miasto stawał się niemożliwy.

Odległe o sześćset pięćdziesiąt kilometrów na północ San Francisco dotknęła ta sama klęska w osiem minut później. Światła mostu Golden Gate, łączącego dwa brzegi cieśniny prowadzącej z zatoki San Francisco na ocean, najpierw przygasły, a potem zniknęły. W dwie minuty później ciemność ogarnęła już cały półwysep. Czarno było na Nob Hill, na Fisherma's Wharf, słynne tramwaje stały nieruchome. Wspaniałe nocny widok na miasto z otaczających je czterdziestu trzech wzgórz, tak opiewany w przewodnikach turystycznych, był teraz tylko jedną mroczną otchłanią, rozjaśnianą

gdzieniegdzie jedynie przez reflektory samochodów i światła pozycyjne nielicznych statków na zatoce. Takie same wrażenia miałby ktoś, kto spoglądałby teraz z gór San Gabriel na Miasto Aniołów.

Nikt spoza wybrzeża Kalifornii nie miał pojęcia, co się dzieje. Jake Milburn i Skip Farr, wciąż bezpieczni na swoim posterunku na nawietrznej stronie elektrowni, byli jedynymi ludźmi na świecie, którzy dokładnie znali przyczynę katastrofy. Teraz brali nogi za pas, przerażeni myślą, że może leć ku nim następne rakiety. Dopadli samochodu Jake'a i ruszyli z piskiem opon ku morzu, chwytając za telefony komórkowe, by zaalarmować policję i straż pożarną w miasteczku. Nie było sensu próbować dzwonić do własnych służb awaryjnych elektrowni; nic tam już nie zostało. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności na terenie zakładu była tylko garstka ludzi na dyżurze, cztery czy pięć osób, w tym ich kolega na patrolu, którego jeep został wyrzucony na kilkadziesiąt metrów w powietrze. Jake słusznie uznał, że nikt poza ich dwójką już nie żyje. Zadzwoił do żony, by powiedzieć, że jest cały i zdrowy, poprosił też, by przekazała wiadomość pani Farr. Annie Milburn wiedziała tylko, że nie zobaczyła, jak Troy Ramford odbiera swojego Oscara, bo w Hollywood nastąpiła jakaś awaria.

Posterunek policji w Lompoc bombardowały już telefony od dziennikarzy, którzy błyskawicznie się dowiedzieli o wypadku od naocznych świadków, zaalarmowanych łuną nad elektrownią. Miejscowi strażacy, jak wcześniej ich koledzy z Valdez i Grays Harbor, myśleli tylko o tym, by nie dopuścić do przeniesienia się ognia na zabudowania miasta.

Komendant policji, gdy tylko wysłuchał raportu Jake'a Milburna, powiadomił FBI w San Diego. Nakazywała mu to stała instrukcja na wypadek najdrobniejszego nawet podejrzenia, że Stany Zjednoczone mogły zostać przez kogoś zaatakowane. Relacja Jake'a nie pozostawiała żadnych wątpliwości: i on, i jego kolega Skip, wyszkoleni ochroniarze i byli funkcjonariusze policji z Sacramento, wyraźnie widzieli rakiety nadlatujące znad oceanu, z południowego zachodu, i byli świadkami ich uderzenia w obiekty na terenie elektrowni.

To zmieniało postać rzeczy. Teraz była to już sprawa bezpieczeństwa kraju. NSA w Fort Meade została zawiadomiona w ciągu paru minut. W Maryland była już dwudziesta trzecia trzydzieści, ale oficer dyżurny natychmiast zadzwonił do dyrektora; okazało się, że admirał Morris właśnie wyjechał do domu, ale na miejscu był jeszcze jego asystent, Jimmy Ramshawe, który ze zgrozą wysłuchał meldunku o wydarzeniach w Kalifornii. W następnej sekundzie telefonował już gorącą linią do Białego Domu i polecił operatorowi natychmiast połączyć go z admirałem Morganem, gdziekolwiek by był i bez względu na porę. Zostawił potem wiadomość dla swojego szefa, by oddzwonił do niego jak najszybciej. Wiedział, że admirał Morris dostanie ją w ciągu kwadransa.

Po chwili zadzwonił telefon. Na linii był Arnold Morgan, którego dyżurny telefonista Białego Domu oderwał od lektury i oglądanej jednym okiem transmisji z ceremonii rozdawania Oscarów.

–Sir, on właśnie zniszczył elektrownię w Lompoc – rzucił Ramshawe bez żadnych wstępów. – San Francisco i Los Angeles są bez prądu. Dwóch ochroniarzy widziało rakiety nadlatujące znad morza i uderzające w główne obiekty. Ogień sięga teraz ponad sto metrów. Elektrownia pracowała na oleju napędowym, jak pan wie.

–Chryste Panie! – krzyknął Morgan. – No, to koniec z tajemnicami. Jutro cały kraj się dowie, że jesteśmy atakowani. To będzie następny jedenasty września! Muszę zorganizować szerokie poszukiwania na morzu... Gdzie Morris?

–Dopiero co wyszedł, sir. Około piętnastu minut temu. Wcześniej, co?

–Leniwy kutas.

–Co mam robić, panie admirale?

–Powiedz George'owi, żeby wracał i się nie ruszał od biurka. Teraz zasuway do Pentagonu. Spotkamy się za pół godziny u admirała Dicksona. Zabierz wszystko, co ważne.

–Tak jest!

Jimmy zebrał mapy, wydruki e-maili i swoje notatki, po czym ruszył na parking. Po chwili mijął już główną bramę. Włączył radio i skierował się ku autostradzie Waszyngton-Baltimore. Nie skręcił z niej jak zwykle na Beltway, ale pruł

aż do autostrady Anacostia, a potem drogą numer 395 prosto do Pentagonu. Jechał z dużą prędkością, przygotowany na to, by w razie zatrzymania przez nieświadomy jeszcze zagrożenia patrol policyjny zażądać eskorty radiowozu. Legitymacja NSA i stopień komandorski powinny przekonać „ra-darowca”. Na razie cały świat wiedział tylko, że Troy Ram-ford nie zdążył odebrać Oscara i wygłosić swojej wiekopomnej mowy (i zapewne obwieścić zamiaru ożenku z piękną Irlandką), bo przeszkodziło mu w tym wyłączenie prądu. Trąbiły o tym wszystkie stacje radiowe. Dla Jimmy'ego Ram-shawe'a brzmiało to jak informacja, że na Titanicu ktoś zapomniał wyjąć z pralki pranie.

Przy wjeździe na teren Pentagonu zgłosił wartownikowi, że udaje się bezpośrednio do prywatnej windy szefa operacji morskich na podziemnym parkingu. Kiedy tam dotarł, admirał Morgan właśnie wysiadał z samochodu. Strzegący wejścia dwaj marines chcieli już wylegitymować Ramshawe'a, kiedy admirał warknął do nich:

–Zaparkować mi te dwa wozy natychmiast!

–Ta-jest, sir! – odkrzyknął żołnierz, odruchowo przyjmując postawę zasadniczą. Dobrze wiedział, kto wydaje to polecenie.

–I nie zawracać nam głowy! – dodał Morgan.

–Ta-jest! – Tym razem wartownik musiał walczyć z cisnącym mu się na usta uśmiechem.

Odprowadzani na miejsce przez jednego z marines, dojechali na czwarte piętro i znaleźli się na korytarzu siódmym, tuż przy „Obwodnicy E”, szerokim holu biegnącym dookoła całego pięciokątnego budynku dowództwa amerykańskich sił zbrojnych. Czekał tam na nich młody porucznik marynarki, który uprzedził, że admirał Dickson zjawi się za trzy minuty. Wprowadził obu gości do gabinetu i zapewnił, że zaraz przyśle stewarda z kawą. Było kilka minut po północy.

–Tylko gorącą, poruczniku – przypomniał Arnold.

–Aye, sir. Ze śrutem.

Po trzech minutach wszedł Alan Dickson. Nie mówiąc ani słowa, podszedł do wielkiego ekranu na ścianie i włączył go, wystukując na klawiaturze kod elektronicznej mapy akwenu wokół bazy morskiej w San Diego.

–Witam, panowie – dopiero teraz przywitał gości. – Sprawa wygląda źle. Jesteśmy zaatakowani, a szansę na znalezienie wroga są wciąż znikome. Zrobiliśmy jednak pewne postępy... Nie wiemy oczywiście, gdzie on jest... Za to mamy pewność, gdzie go nie ma.

–No, jeśli wasze informacje są wiarygodne, to już coś -skwitował Morgan. – Jedyne, czego ja jestem pewien, to że po oddaniu tej ostatniej salwy on się nie skierował na wschód, wylądowałby wówczas na plaży. Według mnie wszystkie inne opcje są możliwe.

–Myślę, że US Navy poradziła sobie trochę lepiej, sir.

–No, to strzelaj, Alan.

–Pamięta pan pewnie, że wspominałem o dwóch okrętach podwodnych wracających z patrolu? To Santa Fe i Tucson, oba klasy Los Angeles. Przez ostatni tydzień patrolowały ocean czterysta mil od San Diego z zadaniem pilnego wypatrywania wszelkich obcych jednostek, a zwłaszcza rosyjskiej klasy Barracuda. Zajmowały pozycje w odstępie dwustu mil, a to oczywiście spory kawał drogi. Między nimi były jednak dwie fregaty rakietowe klasy Arleigh Burkes, Decatur i Porter. Cała czwórka tworzyła półksiężyc otwarty na wschód. Za nimi, może ze trzysta mil, mieliśmy krążownik idący z Pearl Harbor. Wszyscy byli uprzedzeni i wypatrywali rakiet. Sprawdziłem już i wiem, że żaden cruise nie przeleciał nad masztami moich okrętów. To zaś oznacza, że nasz przeciwnik znajduje się bliżej brzegu niż one.

–Zgadza się – rzekł Morgan. – Jest prawdopodobieństwo, że mógł się już między nimi prześliznąć, choć niewielkie. Widzę tu też w notatce Jimmy'ego informację, że według ochroniarzy z Lompoc rakiety nadleciały z południowego zachodu. Gdyby Barrakuda była dalej, musiałyby zostać dostrzeżone przez któryś z okrętów.

–Właśnie do tego zmierzam – odrzekł Dickson. – Jeśli zaznaczę mój półksiężyc na mapie tutaj... i narysuję linię prostą w kierunku południowo-zachodnim od Lompoc... wychodzi na to, że Barracuda jest gdzieś tutaj, mniej niż trzysta mil od wybrzeża.

–Trudno się z tym nie zgodzić. – Morgan pokiwał głową. – Jest tylko jedna niejasność. I w Valdez, i w Grays

Harbor rakiety zostały wysłane okrężną drogą, dlaczego więc sądzisz, że tym razem strzelał prosto do celu?

–Przede wszystkim dlatego, że nie miałoby wielkiego sensu kazać im nadkładać drogi, kiedy się wie niemal na pewno, że US Navy depcze ci po piętach.

–To prawda. Ci dwaj z elektrowni widzieli, skąd lecą rakiety... Tak, nie ma wątpliwości, że ten sukinsyn jest gdzieś tam, gdzie mówisz.

–Przed chwilą rozmawiałem z CINCPAC*. Kierują w ten rejon samoloty poszukiwawcze i parę niszczycieli. Fregaty też mają dość uzbrojenia ZOP**.

–I sporo torped, mam nadzieję! – Morgan aż zgrzytnął zębami. – Jakie mają rozkazy?

–Strzelać tak, żeby zabić. I żadnych pytań.

–To po mojemu, Alan. Znajdziemy ich i wykończymy.

–Oczywiście jest tu pewien problem, sir. Nie wiemy, dokąd płyną.

–Nie. I moim największym zmartwieniem jest to, że mogą się kierować powolutku na północny zachód, w paruset-metrowym zanurzeniu. W ten sposób wymknęliby się nam na pewno, chyba że nadepnęliby na któryś z hydrofonów SOSUS.

–Wiem, sir. Gdyby ruszył na zachód, złapalibyśmy go. Myślę, że dla niego najlepiej byłoby płynąć na południe, południowy zachód lub południowy wschód, wzdłuż brzegu. Miałby zamkniętą drogę w lewo, ale przy niewielkiej prędkości wciąż będzie miał duże szanse.

–Hmm... Oceany mają jedną zasadniczą wadę – mruknął Arnold. – Są o wiele za duże.

–A co pan by zrobił na jego miejscu? – zapytał Dickson. – Jaki wariant by pan wybrał?

–Na pewno nie próbowałbym płynąć na zachód, bo tam właśnie spodziewałbym się kłopotów. Już raczej na południe. Z jego obecnej pozycji taki kurs zaprowadziłby go na bardzo głębokie wody daleko od brzegów Ameryki Środkowej. Myślę jednak, że od ataku na Grays Harbor Barracuda trzymała

* Commander-in-Chief, Pacific – dowódca floty Pacyfiku. ** Zwalczanie okrętów podwodnych.

się wybrzeża i hałaśliwej wody może ze cztery dni, a potem odbiła na pełne morze do pozycji strzału.

–I sądzi pan, że teraz zastosuje tę samą sztuczkę?

–Nie wiem, ale ja bym tak zrobił. Poszedłbym wzdłuż Meksyku, nie przekraczając siedmiu węzłów przez jakieś dwa, trzy tysiące mil, powiedzmy z siedem dni. Dopiero potem skręciłbym na zachód, dał nogę na południowy Pacyfik i wtedy szukaj wiatru w polu.

–Czyli jeśli mamy go dopaść, to teraz.

–To właśnie chcę powiedzieć, admirale.

–Eh, gdyby tylko się musiał wynurzyć, wystawić chrapy albo uzupełnić paliwo... Życie byłoby o wiele łatwiejsze.

–To było naszą zmorą od samego początku, Alan. Ten okręt nie potrzebuje żadnej z tych rzeczy i niewykluczone, że właśnie dlatego możemy go nigdy nie znaleźć.

–Co pan doradzi prezydentowi? Co powinien powiedzieć?

–Będzie musiał przyznać, że podejrzewamy działanie terrorystów. Że wszystkie trzy zakłady zostały zaatakowane przez nieznaną sprawców. Na razie trzeba jednak unikać szczegółów. Podsunę mu, aby napomknął o przenośnych rakietach albo nawet o podłożonych bombach... W żadnym wypadku nie wolno nam jednak straszyć społeczeństwa wiadomością, że u naszych brzegów grasuje obcy okręt podwodny i rozpieprza wszystko, co mu się żywnie podoba. To by wywołało masową panikę. Co gorsza, zaalarmowałyby mocodawców naszego terrorysty, a on stałby się jeszcze ostrożniej szy.

Komandor podporucznik Ramshawe podszedł do ekranu i zapatrzył się na mapę. Po chwili odwrócił się do Morgana i spytał:

–Mogę coś powiedzieć, sir?

–Jasne, Jimmy, strzelaj. My z Alanem już wyczerpaliśmy pomysły.

–Okay. Przypuśćmy, że nasze teorie są słuszne. Chiny z jakiegoś powodu zgodziły się kupić od Rosjan nie jedną, ale dwie Barracudy. Posłały jedną górą do Pietropawłowska, z zamiarem dokonania wypadu na nasze wody... to stosunkowo krótka droga, pod Aleutami i na Zatokę Alaskańską-Mniej więcej w tym samym czasie szykują zmyłkę: druga

Barracuda okrążyła świat i zmierza do Chin, tylko nikt ani słowem nie przyznaje, że ona w ogóle jest zdolna do wyjścia w morze. I kiedy nasz „Brzytwogębny” zaczął rozstrzeliwać jeden zakład po drugim, jego bliźniak celowo pcha się nam w oczy w Zhanjiang, udowadniając ponad wszelką wątpliwość, że zniszczenia nie mogą być dziełem Barracudy... bo przecież istnieje niby tylko jedna, nie? Przytrafiły się im jednak dwa drobne potknięcia. Jedna z Barracud wpadła w japońskie sieci tuż przy Pietropawłowsku, co jasno pokazało, że nie znajduje się tam, gdzie powinna, a drugą usłyszeli operatorzy SOSUS pod Irlandią. Mamy więc pierwszy sygnał o możliwości istnienia dwóch okrętów, choć nie dało się tego udowodnić.

–Na razie wszystko się zgadza – podsumował Arnold Morgan.

–No więc, sir, chyba się wszyscy zgodzimy, że ktokolwiek wpadł na ten pomysł, musi mieć cholernie dobrze poukładane w głowie. Jak się temu przyjrzeć z bliska, to każdy miał z tego jakiś zysk. Ruscy na gwałt potrzebowali forsy i dostali ją. Całe sześćset milionów. Według mnie Chiny nie grają tu pierwszych skrzypiec, ale mogły kupić te okręty dla kogoś innego. Dają głowę, że gdybyśmy złapali Barracudę, nie byłoby na niej ani jednego Chińczyka. Ale chroniczny deficyt ropy w USA byłby dla żółtków cholernie na rękę. Podpisali pęk kontraktów z Arabami, do nich należy główny rurociąg z Kazachstanu na południe, kończący się w ich własnym terminalu przeładunkowym nad cieśniną Ormuz... a tu cena za baryłkę podskoczyła do siedemdziesięciu pięciu dolarów. Nieźle, co?

–No, ale skoro tak, to dla kogo kupili te okręty? – zapytał Morgan. – Kogo stać na taki wydatek? Czy to musiał być rząd jakiegoś państwa?

–W pewnym sensie tak – odparł Jimmy. – Z drugiej jednak strony... nie, bo gdy mowa o międzynarodowym terroryzmie, zamieszana jest w to cała zgraja różnych psycholi. Dżihad, walczący z nami i z Izraelem, działa ponad granicami. Ten wariat bin Laden zdobył poparcie najróżniejszych krajów: Saudyjczyków, Afganistanu, możliwe, że Pakistanu, Iranu, Iraku, Syrii, a nawet Jordanii. Jestem zdania, że

mamy do czynienia właśnie z czymś podobnym. Och, pewnie, możemy zasypywać Chińczyków formalnymi zapytaniami, co zrobili ze swoimi nowymi okrętami, ale na żadne by nie odpowiedzieli, w końcu zaś stwierdziliby, że jeśli jakaś Barra-cuda krąży pod Kalifornią i rozrabia, to z całą pewnością nigdy nie było jej na chińskich wodach terytorialnych i oni nie mają z tym nic wspólnego, a z takimi pytaniami powinniśmy zwrócić się raczej do Rosji. Admirał Ranków każe się nam odczepić, bo przecież Barracuda już do nich nie należy, i popytać Chińczyków. I co? I nic. Możemy wtedy już tylko zrzucić bombę na Moskwę lub Pekin, a tego oczywiście nie zrobimy, bo własny naród nam na to nie pozwoli. Żeby Amerykanie naprawdę się rozzłoszcili, musi paść wiele ofiar, a w tym wypadku prawie ich nie było. Opinia publiczna wytknie tylko Waszyngtonowi, że nie wykazał się większą czujnością i przez to ten dupek Ramford nie mógł odebrać swojej pieprzonej figurki.

Admirałowie parsknęli śmiechem.

–Celna puenta, James – rzekł Dickson. – Ale jaki z tego wypływa wniosek?

–Tylko jeden, sir. Ktokolwiek zaplanował i wykonał tę akcję, jest autentycznym geniuszem, sprytniejszym od wszystkich terrorystów, którzy kiedykolwiek żyli na tej planecie. – Widząc zamyslenie Arnolda Morgana, dodał: – Zdaje się, że wie pan, o czym myślę, sir.

–Pewnie o tym samym co ja.

–Gdzie jest ten cholerny major Ray Kerman?

–Właśnie, Jimmy. Gdzie?

ROZDZIAŁ 12

Środa, 19 marca 2008 r., godz. 23.15. Pacyfik

Największy generator prądu w promieniu paruset kilometrów od Los Angeles oddalał się ruchem jednostajnym na południowy wschód, na głębokości dziewięćdziesięciu metrów pod powierzchnią oceanu. Przy pięciu węzłach reaktor i turbiny Barracudy nie miały za wiele do roboty. Światła na okręcie płonęły jasno jak zawsze, lodówki działały bez zarzutu, powietrze było czyste i świeże, temperatura w sam raz. Rawi, Ben Badr i cała załoga nie zdawali sobie sprawy z ironii tej sytuacji; przepłynęli pół świata, żeby pozbawić energii elektrycznej dwa największe miasta na Zachodnim Wybrzeżu USA, sami mając do dyspozycji jej źródło o mocy aż z nawiązką wystarczającej na oświetlenie całego Hollywood i znacznej części północno-zachodniego LA. Nie mogli tego, oczywiście, wiedzieć, ale zostawili za sobą oba miasta pogrążone w chaosie i niebezpiecznych ciemnościach. Szkoły i sklepy były zamknięte, szpitale w rozpaczliwej sytuacji, tysiące ton żywności psuło się w nieczynnych lodówkach i zamrażarkach.

Oficer nawigacyjny nakreślił na mapie najświeższą pozycję, 28°15'N, 117°W, osiemdziesiąt mil na południowy wschód od wyspy Gwadelupa i sto trzydzieści od brzegów należącego w całości do Meksyku Półwyspu Kalifornijskiego. Jak dotąd nie musieli robić żadnych uników przed poszukującymi ich amerykańskimi okrętami i samolotami. Ben Badr ani razu nie przekroczył prędkości pięciu węzłów, dzięki czemu Barracuda nie pozostawiała żadnych śladów, ani akustycznych, ani zdradzieckich zaburzeń na powierzchni morza. Na północy, w okolicach San Diego, czatowało na nich

kilka fregat i trzy okręty podwodne US Navy, nasłuchując z wyężeniem odgłosów pracy mechanizmów obcej jednostki. Parę z nich zapuściło się dalej na południe, na wody międzynarodowe, ale ocean jest zbyt wielki, a Barracuda zbyt powolna, by dało się ją wykryć. Wiedzieli o tym i Amerykanie, i jej załoga.

Kapitan Badr nie zamierzał zmieniać planów, jak również kursu i prędkości, przez następne trzy tygodnie. Obaj z Ra-wim siedzieli teraz w centrali, raz jeszcze przeglądając plan ucieczki opracowany dla nich przez Chińczyków. Raszud wyjął go z zaopatrzonego w zamek czasowy sejfu jeszcze na Zatoce Alaskańskiej; szczegółowo przygotowane przez Centralę Wywiadowczą w Szanghaju instrukcje okazały się nietrudne do wykonania:

Pozostać w zanurzeniu i płynąć kursem 135° z prędkością 5 w. Wejść na głębokości peryskopowej do Zatoki Panamskiej. Wynurzyć się na pozycji 0820N/07830W i podążać z maksymalną prędkością na zewnętrzną redę Balboa, kursem 000° do pozycji 0851N/07830W (głębokość 10 sążni*), gdzie nastąpi spotkanie z patrolowcem MLW. Czas spotkania: 1330 czasu lokalnego, 11 kwietnia 2008.

Czekała ich zatem długa droga. Od Panamy dzieliło Barracudę trzy tysiące mil morskich. Przy tak niskiej prędkości dotrą tam dopiero za dwadzieścia pięć dni, ale przynajmniej znają już cel podróży. Chińczykom bardziej niż komukolwiek innemu zależało na zachowaniu jak najściślejszej tajemnicy... Rosjanie zawsze mogą wzruszyć ramionami i powiedzieć, że okręt sprzedali i nie obchodzi ich, co z nim zrobił nabywca. Islamskim terrorystom było w gruncie rzeczy wszystko jedno, kto się dowie o ich działaniach, byle tylko zdążyli bezpiecznie wrócić do domu. Ale Chiny... Gdyby ktokolwiek choć podejrzewał, jaka była ich rola w tych niesłychanych atakach na USA, mogłoby to doprowadzić do wy-

* 1 sążeń (fathom) – 6 stóp = 1,83 m. Jednostka głębokości morza stosowana na niektórych morskich mapach brytyjskich (od kilku lat sukcesywnie zastępowanych wydaniem metrycznymi) i amerykańskich.

buchu trzeciej wojny światowej. Milczenie w tym wypadku było znacznie cenniejsze od złota.

Kapitan Badr i generał Raszud z zadowoleniem przyjęli zaproponowaną im drogę ucieczki. Dobrze wiedzieli, że cała operacja jest możliwa tylko dlatego, iż Chiny przejęły kontrolę nad Kanałem Panamskim, ku zgrozie amerykańskiej generalicji i zakłopotaniu co bystrzejszych członków Partii Demokratycznej, która jakimś zrzędzeniem losu dopuściła, by w Białym Domu zasiadł były gubernator stanu Arkansas. Kiedy w 1999 roku Stany Zjednoczone ostatecznie przekazały kontrolę nad Strefą Kanału władzom Panamy, straciły więcej, niż się ktokolwiek spodziewał. Przebiegli lewicowi politycy tego gorącego tropikalnego kraju na wąskim przesmyku łączącym Amerykę Środkową z Południową niemal natychmiast podjęli negocjacje z

równie przebiegłymi władcami komunistycznych Chin. Przy nieustannym deficycie finansowym Panamy była to dla nich prawdziwa kura znosząca złote jajka.

Na obu końcach kanału rozpościerały się duże amerykańskie porty wojenne i wyrosłe przy nich miasta; po stronie Atlantyku Cristobal, graniczący z prymitywnym i niebezpiecznym panamskim Colon, nad Pacyfikiem zaś Balboa, sąsiadująca ze stolicą republiki, Panamą. Te dwie bazy strzegły dostępu do kanału przez prawie sto lat. Oprócz nich na jego północnym brzegu, naprzeciwko Balboa, położony był jeszcze jeden port wojenny, Rodman. Amerykanie trzymali Strefę Kanału żelazną ręką. Od 1914 roku statki mogły korzystać z tej drogi tylko wtedy, gdy uzyskały od nich zezwolenie; było to zresztą najzupełniej usprawiedliwione, ponieważ nie kto inny, tylko Stany Zjednoczone zbudowały tę ogromną konstrukcję, dostarczyły na nią materiały i zapewniły siłę roboczą. Bez jankeskiej myśli technicznej Kanał Panamski nigdy by nie powstał. Do dziś jest uważany za jedno z największych osiągnięć inżynierskich w historii: droga wodna długości czterdziestu czterech mil morskich, ołożona dwadzieścia sześć metrów nad poziomem morza, na którą statki muszą się wspiąć za pomocą zestawu trzech ogromnych śluz, a po drugiej stronie w ten sam sposób ją opuścić. Proces napełniania i opróżniania komór śluz odbywa

się wyłącznie grawitacyjnie; miliony ton wody przelewają się na niższe poziomy systemem tuneli o średnicy blisko pięciu metrów. Kanał jest dostępny dla statków o długości do 294 metrów i szerokości do 32 metrów. Skraca drogę o prawie osiem tysięcy mil w porównaniu z trasą wokół przylądka Horn. Budowę rozpoczęli Francuzi. Słynny budowniczy Kanału Sueskiego, Ferdinand de Lesseps próbował powtórzyć swój wyczyn w Panamie w 1881 roku, ale po ośmiu latach przedsięwzięcie zbankrutowało, pochłonawszy życie dwudziestu dwóch tysięcy robotników, dziesiątkowanych przede wszystkim przez choroby tropikalne, zwłaszcza malarię. Kilkanaście lat później inicjatywę przejęli Amerykanie i uwieńczyli dzieło sukcesem w 1914 roku. Skala prac była niespotykana; gdyby załadować cały wykopany piach, błoto i skalny gruz na wagony kolejowe, otrzymany w ten sposób pociąg opasałby Ziemię aż czterokrotnie.

I oto w grudniu 1999 roku ten cud inżynierii wraz ze śluzami, portami, systemem sterowania i obszernymi połączeniami miejskiej zabudowy został przekazany Panamie na mocy podpisanego w 1977 roku przez prezydenta Cartera traktatu, bezterminowo gwarantującego okrętom US Navy szybki i sprawny tranzyt przez kanał. Już jednak w pierwszych tygodniach nowego tysiąclecia stało się jasne, jaki skutek miało to posunięcie: kontrolę nad kanałem – wraz z dawnymi obiektami amerykańskich sił zbrojnych – przejęły... komunistyczne Chiny.

Panamczycy sprzedali prawa do eksploatacji i zarządzania spółce żeglugowej z Hongkongu, Hutchison Whampoa Ltd, silnie powiązanej z chińskim armatorem COSCO (China Ocean Shipping Company), który z kolei w pełni podlega chińskim władzom wojskowym. Mowa o tej samej firmie, która w 1999 roku o mały włos nie przejęła stoczni wojennej w Long Beach, co oddałoby kontrolę nad tym strategicznym skrawkiem Kalifornii chińskiej Armii Czerwonej.

Kontrakt opiewał na pięćdziesiąt lat i oprócz Kanału Pa-namskiego przekazywał Hutchison Whampoa we władanie także bazę morską Rodman, część lotniska wojskowego Al-brook, porty Balboa, Diablo i Cristobal oraz wysepkę Telfers. Chińska spółka otrzymała prawo do świadczenia usług pilo-

tażowych i holowniczych, a także do odmowy dostępu każdej jednostce, którą uznałaby za szkodliwą dla swoich interesów. Ta ostatnia klauzula, potajemnie dopisana do panamskiej „Ustawy nr 5”, w oczywisty sposób naruszała postanowienia traktatu prezydenta Cartera i pozwalała Hutchison Wham-poa decydować, kto może korzystać z kanału. Jedną z najważniejszych dróg morskich świata wpadła w ręce Chińskiej Republiki Ludowej.

Panamski kontrakt z Chińczykami powinien napotkać zdecydowany sprzeciw ze strony amerykańskiej, w razie konieczności wsparty równie zdecydowanym działaniem, ale do tego w Białym Domu potrzeba by właściwego człowieka z Partii Republikańskiej, a nie samolubnego liberała, który na zawsze zostanie zapamiętany jako najlepszy prezydent... dla Chin. Bili Clinton był otwarty na ich próby przekupstwa, tolerował przekazywanie chińskiej broni na obszary, gdzie trafiać nie powinna, pomagał im modernizować armię, nie zwracając uwagi na osłabienie własnej, obciążonej na dodatek wysiłkiem utrzymywania preforsowanych przez niego misji pokojowych w najróżniejszych zakątkach globu. Kwestia Panamy unaoczniała jeszcze jedną cechę tego prezydenta; okazał się słabym i chwiejnym negocjatorem, krańcowo niechętnym stosowaniu nacisków i gróźb, a już zwłaszcza ich spełnianiu, chyba że wobec niezdolnych do oporu. Skandal z kanałem był akurat takim rodzajem międzynarodowej porażki, do jakich nieuchronnie dochodzi wtedy, gdy światowym mocarstwem zaczyna rządzić przywódca wrogo nastawiony wobec wojska, jakim z całą pewnością był Clinton.

General Ravi Raszud dzięki swej przeszłości wyższego oficera SAS dobrze się orientował w sytuacji w Panamie i mógł teraz wyjaśnić Benowi Badrowi, dlaczego będą bezpieczni w byłej Strefie Kanału.

–Chińczycy mogą zamykać i otwierać oba wejścia według własnej woli. Moim zdaniem, kiedy już się znajdziemy w kanale, natychmiast pod jakimś pretekstem wstrzymają w nim wszelki ruch statków. Nie ulega wątpliwości, że odlecimy do domu z jakiegoś panamskiego lotniska. Amerykanie pewnie nas spostrzegą, ale wtedy będzie już dla nich za późno. Chińczycy zatrzasną wrota... a to nie byle jaka zaporą, każde

z nich waży po osiemset ton... Tyle zapamiętałem z danych na temat kanału.

–Ale co z moim okrętem, Rawi? – spytał Badr.

–Nie wiem, ale na pewno dostaniemy dokładne instrukcje od chińskiego pilota w Balboa.

–Podsunałeś Chińczykom jakieś wyjście? W końcu cała ta operacja to twój projekt.

–Owszem. Powiedziałem im, że okręt trzeba będzie porzucić gdzieś, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie i nie będzie żadnych więc dowodów.

–Co? Ten piękny okręt, z którego możemy atakować Wielkiego Szatana, kiedy tylko zechcemy?

–Ben, Barracuda jest skażona. Już samo jej istnienie stanowi zagrożenie nie tylko dla nas, ale i dla Rosji, Chin i całego porządku świata. Na pewno nie leży w naszym interesie wywołanie wojny między Chinami i Stanami Zjednoczonymi, bo odłamki poleciałyby na wszystkich. Nie, najlepiej dla nas będzie, jeśli ten okręt po prostu zniknie, Amerykanie pozostaną w niepewności, Chińczycy ze spuszczoneymi głowami, a Rosjanie będą wszystkiemu zaprzeczać. W ten sposób zrobimy wielki krok na drodze ku ostatecznemu wyparciu Amerykanów z Bliskiego Wschodu, a przy okazji zapewnimy państwu wokół Zatoki Perskiej bardzo duże zyski z handlu ropą. Część z nich zaś trafi na konto Hamasu.

–No dobrze, rozumiem. Powiedz mi jednak, jak mamy porzucić atomowy okręt podwodny bez promieniotwórczego skażenia całej okolicy? Przecież wszyscy od razu się zorientują, gdzie on jest.

–Nie jest to łatwe, zgadzam się. Nie można go wysadzić w powietrze ani nawet po prostu otworzyć zaworów i zatopić go, właśnie z powodu reaktora i wrzawy, jaka zawsze towarzyszy wszelkim wypadkom z materiałami radioaktywnymi. Zachód natychmiast ruszyłby na każde państwo winne takiego aktu, a może nawet zmiotłby je z powierzchni ziemi. To nie jest dobre rozwiązanie.

–Też tak uważam.

–Zasugerowałem jednak Chińczykom, że wyłączymy reaktor i pozwolimy Barracudzie zanurzyć się w mule w jakimś absolutnie niedostępnym, niezamieszkanym miejscu pod osło-

ną gęstej dżungli. Zamkniemy ją na cztery spusty i zostawimy. Chińczycy mogą zamaskować kiosk, gdyby wystawał z wody, a po kilku miesiącach nie pozostanie po niej śladu.

–Ktoś się na nią w końcu natknie – zauważył Ben.

–Tak, ale do tego czasu może upłynąć z pięćdziesiąt lat. I kogo to będzie obchodziło?

–Nie mnie. Żałuję tylko, że tak świetny okręt posłużył nam tylko do jednego zadania.

–Ja też. Nie zapominaj jednak, że mamy drugi...

Mimo marcowych chłódów na zewnątrz atmosfera w zachodnim skrzydle Białego Domu była nader gorąca. Prezydent był bliski wściekłości, nie mogąc pojąć, dlaczego US Navy nie potrafi odnaleźć wrogiego okrętu. Żadne tłumaczenia szefa operacji morskich, żadne logiczne wyjaśnienia kolejnych admirałów nie mogły go przekonać o niemożliwości zlokalizowania cichego atomowego okrętu podwodnego poruszającego się ze ślimaczą prędkością w nieznanym kierunku po bezkresie milionów kilometrów kwadratowych oceanu. Admirał Morgan, zmęczony ciągłym gniewnym wyrzekaniem swego pryncypała, wziął go w końcu na stronę i w cztery oczy powiedział mu, żeby „przestał być takim pieprzonym głupkiem i wziął się, psia krewo, w garść”.

–Najlepsze mózgi w całej marynarce wojennej siedzą tu, w Białym Domu, i przez całą dobę borykają się z tym problemem – warknął. – Gdyby to się dało zrobić, już byśmy to zrobili, więc proszę się opanować i zacząć wreszcie słuchać, co się do pana mówi.

Do prezydenta nikt nigdy nie mówił choćby w połowie tak ostro... poza Arnoldem Morganem, człowiekiem nie do ruszenia, nie do pokonania. Nie bardzo mu się to podobało, ale gdyby doprowadził do rezygnacji swojego doradcy w takiej chwili i w takiej sytuacji, byłby to koniec jego kariery politycznej, zwłaszcza że mogłaby ona pociągnąć za sobą lawinę dymisji najwyższych dowódców wszystkich rodzajów broni. Kto zresztą wie, czy nie doszłoby do czegoś tak niesłychanego jak pucz wojskowy. Generalicja mogłaby uznać go za niezdolnego do kierowania krajem w czasie kryzysu i bez-

pośredniego zagrożenia. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Według konstytucji prezydent jest naczelnym zwierzchnikiem sił zbrojnych, ale warunkiem koniecznym jest dobra wola i współpraca dowództwa. Pentagon nigdy jej nie odmawiał, nawet za czasów Clintona, ale też nigdy przedtem Ameryka nie miała do czynienia z poważnym niebezpieczeństwem militarnym na własnym terytorium i ze strony obcego agresora. Teraz jednak tak było i głowa państwa musiała stąpać ostrożnie.

–Przepraszam cię, Arnie. Po prostu taki laik jak ja nie może uwierzyć w te wszystkie tłumaczenia o doskonałym, cichym okręcie nie do odszukania...

–Proszę jednak mi wierzyć. Do tej pory żaden terrorysta nie posługiwał się taką bronią. Musimy się dowiedzieć, kto w tym maczał palce. Prędzej czy później on popełni błąd, a wtedy my będziemy gotowi. Na razie jednak mamy więcej problemów na głowie.

Admirał miał zupełną rację. Cena ropy naftowej uległa potrojeniu od chwili pierwszego ataku i zatrzymała się na poziomie siedemdziesięciu sześciu dolarów za baryłkę. Światowe rynki paliw płynnych były rozchwiane jak mało kiedy, podobnie jak najważniejsze wskaźniki giełdowe: Dow-Jonesa, CAC-40, Footsie {Financial Times Stock Exchange 100}, Nikkei, DAX i cała reszta. Kursy akcji spadały na skalę światową. Udziały wszelkich spółek, które uzależnione są od ropy lub jej pochodnych, a przede wszystkim towarzystw transportowych, były niesprzedawalne. Dwa największe miasta Kalifornii, odcięte od krajowej sieci, pozbawione były energii elektrycznej. Wciąż płonęły ruiny elektrowni w Lompoc. Masowy exodus milionów ich mieszkańców do dalej położonych okręgów powodował gigantyczne korki na autostradach. Wszystkie hotele i motele zatłoczone były przez całe rodziny uciekające ze strefy ciemności; tysiące ludzi biwakowało u krewnych i znajomych w Concord, Livermore i Modesto, w Ventura, Santa Clarita, Moreno Valley i Palm Springs. Bilety lotnicze drożały w szybkim tempie, linie lotnicze utrzymywały sieci komputerowe w ruchu dzięki niewielkim prądnicom awaryjnym, sprzedając miejsca pasażerom szturmującym lotniska międzynarodowe. Kto chciał wyjechać, musiał

się spieszyć, dopóki nie wyczerpały się jeszcze zapasy benzyny.

Nie było mowy o dojeżdżaniu wyższych urzędników do pracy w centrach San Francisco i Los Angeles. Współczesny biznes musi się posługiwać komputerami, a wielkie biurowce nie mogą funkcjonować bez elektryczności. Nie było światła, nie działały windy, wentylacja i systemy zabezpieczające. Metropoliom groziło załamanie się prawa i porządku publicznego. Od zachodu do wschodu słońca ulice opanowywały gangi młodocianych przestępców, codziennością stały się napady i grabieże. Policja, sama zależna od dostaw energii, nie dawała sobie rady z tą sytuacją. Paliwo do radiowozów trzeba było dowozić cysternami do komisariatów. Do pomocy wezwano wojsko, które zorganizowało patrole uliczne i wystawiło warty przy głównych budynkach. Szwankowało także zaopatrzenie obu miast w wodę. Jej uzdatnianie i pompowanie wymaga dużych ilości prądu elektrycznego. Zużycie co prawda spadło znacznie dzięki opuszczeniu aglomeracji przez dwie trzecie mieszkańców, ale w samym Los Angeles wciąż pozostawało trzy miliony ludzi.

Gubernator był bezpieczny w swoim Sacramento Mansion, ale potężny przemysł filmowy stanął w miejscu. Zamknięto studia, zaprzestano nadawania programów telewizyjnych, zresztą i tak nie miałby ich kto odbierać. Jeśli Troy Ramford miał odebrać swojego Oscara w najbliższej przyszłości, musiałoby to nastąpić gdzieś poza San Bernardino, gdzie jeszcze była elektryczność. Jego willa w Malibu stała ciemna i głucha, podobnie jak wszystkie nadmorskie posiadłości filmowych i telewizyjnych gwiazd. Prezydent wspomagany przez sekretarza ds. energii Jacka Smitha pospiesznie wprowadzał tymczasowe środki zaradcze. Sieci miejskie Los Angeles i San Francisco na gwałt podłączano do stanowej. Musiano w tym celu budować nowe stacje przekąźnikowe w dolinie Simmi na północ od LA i w okolicach San Jose pod San Frań. Smith przewidywał zakończenie prac w dwanaście dni, ale dla prezydenta było to stanowczo za długo.

Zniszczenie rafinerii w Grays Harbor oznaczało, że jakiegokolwiek dostawy ropy z północy nie wchodzi w rachubę, ale flota amerykańskich zbiornikowców gotowa była zacząć

przywozić ją z Zatoki Meksykańskiej przez Kanał Panamski do Los Angeles. Rząd musiał subsydiować dostawy koszmarnie drogiego paliwa tą drogą, same statki też potrzebowały go sporo na przebycie tej dalekiej trasy. Mazut dla ich silników zbliżał się ceną do szkockiej whisky. Cysterny samochodowe ze Środkowego Zachodu toczyły się już szosami, pełne benzyny z wielkich rafinerii Chicago i Teksasu, której Kalifornia potrzebowała jeszcze bardziej niż ropy.

I przez cały ten czas prasa Wschodniego Wybrzeża domagała się odpowiedzi na zadawane w rozlicznych wersjach pytanie, co, u diabła, prezydent robi w sprawie tego „kryzysu bez precedensu w historii kraju”. Jak zamierza go rozwiązać, znaleźć jego sprawców i odbudować prestiż i godność Stanów Zjednoczonych? Oczywiście znacznie łatwiejsze się to wydawało z perspektywy redakcji „Washington Post” niż Gabinetu Ovalnego.

Marynarka wojenna pracowała w najwyższym napięciu, nasłuchując choćby jednego dźwięku z głębin oceanu, mogącego zdradzić miejsce pobytu śmiertelnie groźnego okrętu klasy Barracuda, typ 945, który według Arnolda Morgana musiał tam być. Sam prezydent trzykrotnie wygłaszał telewizyjne orędzie do tej części narodu, która miała działające odbiorniki, podkreślając, z jaką szybkością służby awaryjne pracowały dzień i noc przy podłączaniu dotkniętych paraliżem metropolii do sieci krajowej. Przyznawał, że mogło dojść do sabotażu, a nawet ataku terrorystycznego, i przyrzekał srogą zemstę na sprawcach tych „zbrodni przeciwko naszemu narodowi”. Ani słowem nie napomknął oczywiście, że owi sprawcy mogą wygodnie siedzieć w zbudowanym w Rosji atomowym okręcie podwodnym i ostrzeliwać najważniejsze zakłady przemysłowe kraju rosyjskimi rakietami cruise.

0 tym mowy być nie mogło, dopóki US Navy nie wykryje

1 albo pochwyti, albo zatopi nieprzyjaciela, kimkolwiek on jest.

Amerykańskie służby dyplomatyczne działały z bezprecedensową szybkością, żądając współpracy od wszystkich swoich partnerów na świecie. Groziły otwarcie Rosji i Chinom, bombardowały Teheran, Kair, Amman i Damaszek pytaniami o jakiegokolwiek powiązania wydarzeń na Zachodnim

Wybrzeżu z arabskimi ugrupowaniami fundamentalistycznymi. CIA przekupywała, szantażowała i nagabywała na wszelkie inne sposoby swoich agentów na całym świecie, ale nikt o niczym nie wiedział i nie słyszał. Rosjanie z uporem powtarzali, że sprzedali swoją Tulę Chińczykom i o niczym więcej nie mają pojęcia. Chińczycy potwierdzali tylko, że okręt tej klasy przebywa obecnie w ich bazie w Zhanjiang, do której przybył jeszcze przed atakiem na Lompoc, i od tamtej pory nie opuszczał krytego doku, natomiast żadna inna Barracuda nigdy nie zawięła do któregoś z chińskich portów, co oczywiście było zgodne z prawdą.

Tymczasem amerykańskie satelity zwiadowcze wlepiły swoje elektroniczne oczy w całą linię wybrzeża od długości siedemset osiemdziesiąt mil meksykańskiego Półwyspu Kalifornijskiego aż po Alaskę, na wypadek gdyby szukany okręt wbrew przewidywaniom skierował się jednak na północ. Aktywowane zostały najbardziej czułe układy fotograficzne, przystosowane do obserwacji zaburzeń na powierzchni oceanu, jakie powoduje płynący w zanurzeniu podwodniak, chyba że porusza się z prędkością morskiego żółwia na wakacjach... CINCPAC domyślał się, że tak właśnie musi być, bo inaczej Barracuda usłyszałby albo któryś z patrolujących okrętów US Navy, albo superczuły SOSUS. Jednak choć przy prędkości pięciu węzłów nieprzyjaciel potrzebował ponad ośmiu dni na pokonanie tysiąca mil, to nie znając jego kursu, Flota Pacyfiku miała po takim czasie do przeszukania obszar równy powierzchni Australii. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że zadanie jest niewykonalne, ale trzeba było próbować, po pierwsze na wypadek popełnienia błędu przez obcego dowódcę, a po drugie, aby uniknąć jeszcze większego dyshonoru dla Stanów Zjednoczonych i ich prezydenta.

Arnold Morgan był wciąż przekonany, że Barracuda musi posuwać się na południe, co jednak zmniejszało rejon poszukiwań tylko do rozmiarów Morza Śródziemnego wraz z Czarnym... Do czwartku dwudziestego siódmego marca, cztery dni po Wielkiejnocy, marynarka wciąż nie miała nic do zameldowania. Barracuda była tymczasem już o tysiąc trzysta mil na południe od granicy z Meksykiem, daleko poza wyznaczonym rejonem operacji amerykańskich okrętów i samo-

lotów, ale wciąż w zasięgu satelitów. Od Zatoki Panamskiej dzieliło ją jeszcze ponad tysiąc osiemset mil, ale każdy obrót jej masywnej, odlanej z brązu śruby oddalał ją od niebezpieczeństwa. Biały Dom drżał w posadach od prezydenckiej frustracji i gniewu. John Clarke nie przestawał wypominać US Navy miliardowych kwot, które co roku zatwierdzał na potrzeby badań i rozwoju, w zamian otrzymując tylko informację, że rosyjski okręt podwodny może bezkarnie ostrzeliwać Amerykę raketami i nikt nie może go znaleźć, nie mówiąc już o zatopieniu tego sukinsyna.

Sytuacja trochę się poprawiła, gdy w Los Angeles znów zapłonęły światła. W sobotę dwudziestego dziewiątego marca przywrócono trzy czwarte poprzedniego stanu zasilania i choć dla mieszkańców innych części Kalifornii oznaczało to codzienne dwugodzinne ograniczenia w dostawie energii, metropolia mogła wreszcie odetchnąć z ulgą. Podłączenie San Francisco zajęło jeszcze jeden dzień, ale w poniedziałek oba miasta funkcjonowały już w miarę normalnie, pomimo ciągłych niedoborów paliw i długich kolejek przed stacjami benzynowymi.

Prezydent znów pokazał się w telewizji, aby wyjaśnić, że Ameryka jest na razie uzależniona od dostaw importowanej ropy naftowej i że upłynie kilka miesięcy, zanim surowiec z Alaski znów popłynie na południe. Poinformował, że podjęto już prace przy odbudowie rafinerii w Grays Harbor, a dwa pęknięcia podmorskiego rurociągu ABET zostały już naprawione. Departament Energii koncentruje teraz wysiłki na zwiększaniu mocy przerobowych istniejących rafinerii, do których miało napływać coraz więcej ropy ze światowego rynku.

–Powinniśmy poradzić sobie z tą sytuacją w ciągu dwóch tygodni – oznajmił. – Nasze zbiornikowce będą miały trudne zadanie, ale macie moje słowo, że już za kilka dni ujrzymy, jak cena ropy zdecydowanie spada. Zwróciłem się z prośbą do amerykańskich armatorów z całego świata, by skierowali swoje statki do przywozu ropy do rafinerii teksańskich. Nieważne, jakie będą koszty, nieważne, jak to wpłynie na zyski przedsiębiorstw! Nadeszła chwila, by nasz naród zjednoczył wysiłki w celu zapewnienia dostaw paliwa wszędzie tam, gdzie go zabrakło!

W przemówieniu znów nie pojawiła się najmniejsza wzmianka o wrogim okręcie podwodnym. Tymczasem w podziemiach Białego Domu, w pokoju sytuacyjnym odbywało się zebranie po zebraniu, na którym pod przewodnictwem admirała Morgana szefowie służb bezpieczeństwa i dowódcy wojskowi przesiewali nadchodzące dane w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji mogących rzucić światło na tę zagadkę.

Kolejne dwa okręty klasy Los Angeles, Boise i Montpelier, podążały przez Morze Karaibskie ku Kanałowi Panamskiemu. Po jego przejściu miały się skierować do bazy w San Diego, najpierw wzdłuż brzegu w odległości dwustu mil, a potem jako część zespołu przeczesującego raz po raz ocean na wysokości granicy meksykańskiej. Zagadka pozostawała jednak nie rozwiązana, na czym wydatnie cierpiało morale wszystkich, a najbardziej ludzi w Pentagonie. Całymi dniami i nocami oficerowie wywiadu odczytywali dane z satelitów, sprawdzając, czy druga Barracuda nie wyszła z Zhanjiang, szukając wszelkich informacji o ruchach okrętów podwodnych na całym świecie, przeglądając fotografie akwenów od Bandar Abbas po Pekin i całego wschodniego Pacyfiku. Świat wydawał się jednak pogrążony w bezruchu i żadnych nowin nie było. Dopiero jedenastego kwietnia, kiedy USS Boise wyszedł już z Balboa i zanurzył się na peryskopową, kierując się na zewnątrz Zatoki Panamskiej, tuż przed południem jego sonarzysta uchwycił odgłosy siłowni rosyjskiego okrętu nuklearnego idącego z naprzeciwka z prędkością dwunastu węzłów, osiem mil od wejścia do kanału.

Dowódca Boise nie otrzymał żadnych nowych rozkazów, które by zmieniały normalne procedury COMSUBPAC, dopuszczające otwieranie ognia tylko w obronie własnej. Wiedział też, jakie mogą być konsekwencje storpedowania rosyjskiej jednostki na wodach terytorialnych Republiki Panamy: drastyczne, zwłaszcza jeśli byłaby to niewłaściwa jednostka... Poza tym okręt najwyraźniej zmierzał do Kanału Panamskiego, gdzie i tak wszyscy go zobaczą.

Zgodnie z instrukcjami natychmiast nadał depezę do sztabu Floty Pacyfiku w Pearl Harbor i do komendanta bazy San Diego. Informacja o pojawieniu się niezidentyfikowanego rosyjskiego okrętu została niezwłocznie przekazana na nisz-

czyciel rakietowy klasy Arleigh Burke, USS Rooseuelt, jeden z najgroźniejszych współczesnych okrętów wojennych na świecie, z silnym uzbrojeniem artyleryjskim, rakietowym i torpedowym, wyposażony w dwa śmigłowce szturmowe Lamp-III z wyrzutniami rakiet hellfire i penguin. Rooseuelt płynął akurat na północ z prędkością trzydziestu węzłów, wracając z patrolu u wybrzeży Kolumbii, gdzie miał napędzić stracha miejscowym baronom narkotykowym. W chwili otrzymania sygnału znajdował się o trzy godziny drogi od redy Balboa. Rozkazy dla dowódcy niszczyciela były wyraźne:

Zlokalizować rosyjski nuklearny okręt podwodny klasy Barra-cuda, typ 945, wykryty przez USS Boise. Najprawdopodobniej zmierza on do Kanału Panamskiego. Śledzić go w drodze na drugą stronę. Na redzie Cristobal dołączyć do dwóch okrętów klasy LA, USS San Juan i Key West, aktualnie na patrolu o sześć mil na północny zachód od falochronu.

Rooseuelt zmienił kurs na NNW, skręcając ku Balboa. Dowódca niszczyciela, kapitan Butch Howarth, polecił mechanikom wydusić maksymalne obroty. Tymczasem Barracuda podążała spokojnie na spotkanie z chińskim patrolowcem. Był to dwudziestoczworometrowy kuter artyleryjski Gong Bian 4405, noszący banderę morskiego oddziału straży granicznej. O trzynastej, kiedy kapitan Badr polecił wynurzyć okręt, pędzący z pełną prędkością Rooseuelt był jeszcze sześćdziesiąt mil na południowy wschód od redy. Z mostku Barracudy widać już było boję numer jeden, wyznaczającą początek sześciomilowego toru wodnego prowadzącego do portu Balboa i dalej do wejścia w kanał. Tysiąc metrów na północny wschód od boi znajduje się jedno z trzech oznakowanych kotwicowisk, na których zawsze kilka lub kilkanaście statków oczekuje na swoją kolejną przebieżką z Pacyfiku na Atlantyk. Tego dnia nie było tam jednak żadnej jednostki poza Gong Bianem, choć na zachodnim kotwicowisku Ben Badr zobaczył trzy nieruchome zbiornikowce. Kuter czekał w pogotowiu i gdy Barracuda zbliżyła się do boi, podpłynął do jej burty, chiński dowódca zasalutował i przez ręczny megafon wypowiedział parę słów powitania, po czym polecił

ATLANTYK

PANAMA

60 mil

KANAL PANAMSKI

płynąć jego śladem, trzymając się na lewo od czerwonych boi. Zapowiedział też, że w Balboa na pokład wejdzie chiński pilot kanałowy, który przeprowadzi ich do celu.

Kapitan Badr, do którego dołączyli na mostku Rawi i Szakira, wydał odpowiednie rozkazy sternikom i oficerowi wachtowemu. Troje najbardziej poszukiwanych terrorystów chłonęło rześkie morskie powietrze i grzało się w promieniach słońca po raz pierwszy od wyjścia w morze z mroźnego Pietropawłowska. Od tamtej chwili upłynęły sześćdziesiąt dwa dni. Barracuda przebyła pod wodą ponad siedem tysięcy mil morskich, a jej dowódcy dotąd nie popełnili ani jednego błędu. Czarny jak noc okręt sunął po gładkiej wodzie pod lekki wiatr, płynąc za rufą Gong Biana kursem trzysta dwadzieścia dwa stopnie, mijając prawą burtą zdradziecką skałę San Jose. Czteryście metrów dalej widniała Flamenco, pierwsza z czterech wysp połączonych z brzegiem kilkukilo-metrową groblą równoległą do toru podejściowego. Do ostatniej z nich, Culebry, dociera Panama Railroad, zbudowana w połowie XIX wieku pierwsza w świecie transkontynental-na linia kolejowa biegnąca przez dżunglę aż z Colon na wybrzeżu atlantyckim. Ona również jest dziełem amerykańskich inżynierów, podobnie jak owa grobla, która powstała znacznie później, w 1912 roku, kiedy US Army zamieniła wszystkie cztery wyspy w jeden potężny zespół fortyfikacji, znany pod nazwą Fort Grant, który odtąd strzegł wejścia na Kanał Panamski. Znajdowały się tam między innymi dwa ciężkie działa kalibru 355 mm o zasięgu trzydziestu mil morskich, które w razie konieczności mogły zostać błyskawicznie przerzucone na platformach kolejowych na drugą stronę przesmyku.

Dzisiaj wszystkie te historyczne instalacje militarne znalazły się pod panowaniem chińskim, a Panama Railroad łączy teraz dwie bazy Marynarki Ludowo-Wyzwoleńczej na krańcach kanału.

Dwie mile za Culebrą widnieje imponująca sylwetka mostu Thatcher Ferry, po którym biegnie nad Kanałem Pa-namskim Carretera Panamericana, szosa łącząca kraje Ameryki Południowej i Środkowej, od Argentyny aż po Meksyk. Przeplływając pod nim, Barracuda zmniejszyła prędkość,

przygotowując się do wzięcia pilota, członka elitarnego korpusu nawigatorów spółki Hutchison Whampoa, który miał przejąć prowadzenie okrętu. Kanał Panamski od początku był jedynym miejscem na świecie, gdzie kapitan statku, a nawet dowódca okrętu wojennego nie tylko powierza manewrowanie miejscowemu pilotowi (co jest powszechną praktyką w znakomitej większości portów), ale zostaje też zwolniony z odpowiedzialności za ewentualne wypadki czy kolizje*.

Chiński pilot wszedł na pokład i Barracuda oficjalnie rozpoczęła tranzyt przez kanał. Po przebyciu dalszych trzech i pół mili znaleźli się pod śluzą Miraflores, pierwszą z trzech po stronie Pacyfiku. Jak wszystkie pozostałe, ma ona podwójne komory, umożliwiające równoczesne przejście statków w dwóch kierunkach; często widzi się, jak dwa „panamaksy” o nośności do osiemdziesięciu tysięcy ton, niemal całkowicie wypełniające sobą wielkie, trzystupięciometrowej długości śluzy, oddzielone tylko kilkumetrową betonową wyspą, mijają się... w pionie – jeden windowany jest w górę, drugi opuszcza się do poziomu morza, a za każdym razem z jeziora Gatun spływa bezpowrotnie do oceanu sto pięćdziesiąt milionów litrów wody.

Miraflores jest właściwie układem dwóch śluz ustawionych jedna za drugą, o łącznej różnicy poziomów wynoszącej szesnaście i pół metra. Zanim Barracuda zbliżyła się do jej wrót, na pokład weszła brygada cumowników, którzy później zamocowali na polerach stalowe liny podane z lokomotyw po obu stronach śluzy. Te mocarne maszyny marki Mitsubishi, warte dwa miliony dolarów każda, przeciągają statki do następnej komory, pomagając spółce Hutchison Whampoa zarabiać grube miliony dolarów rocznie.

Przejście przez śluzy zajęło około pół godziny. Barracuda

* Pod warunkiem, że statek spełnia wszystkie surowe wymagania przepisów kanałowych, o co nie tak łatwo, zwłaszcza po przejęciu kontroli przez Panamę; inspektorzy starają się znaleźć choćby najdrobniejsze uchybienia, a gdy im się to uda, kapitan, choć nadal nie bardzo może ingerować w poczynania pilota, ponosi odpowiedzialność jak wszędzie indziej.

znalazła się teraz na niewielkim jeziorze Miraflores, na którego przeciwległym brzegu widać już było ostatnią służę od strony Pacyfiku, Pedro Miguel. W tej właśnie chwili na redę Balboa wpadł rozpędzony USS Roosewelt. Kapitan Howarth nawiązał łączność ze stacją pilotową i otrzymał polecenie rzucenia kotwicy obok trzech zbiornikowców. Amerykański niszczyciel miał czekać na swoją kolej jak zwykły statek. Howarth natychmiast powołał się na traktat z 1977 roku i zażądał pierwszeństwa. Chiński operator uznał za stosowne nie zrozumieć, o co Amerykaninowi chodzi. Na Rooseuelcie, jak na wszystkich jednostkach US Navy operujących w pobliżu Kanału Panamskiego, tekst traktatu można było otworzyć na ekranie komputera jednym kliknięciem myszy.

–Szybki i sprawny tranzyt! – warknął do mikrofonu kapitan Howarth. – Według mojego słownika oznacza to „raz-dwa!”, „natychmiast”, „bez zwłoki”. Ten traktat podpisali prezydenci Stanów Zjednoczonych i Panamy, więc ruszcie no się tam!

Chińczyk nie wiedział, co to znaczy „raz-dwa”, „traktat” ani „ruszyć się”.

–Kanał teraz pod zarządem Hutchison Whampoa. Nie prezydenta. Panama dała nam prawo. A teraz kanał zamknięty dla remontu. Może zająć cały dzień i całą noc. Przykro mi. Macie czekać.

–Jak to zamknięty! – krzyknął Amerykanin. – Co to, u diabła, znaczy?

–Znaczy, że zamknięty. Nie ma wejścia dla ciebie. Słuzzy nieczynne.

–Ale przed chwilą wpuściliście rosyjski okręt podwodny! – W głosie kapitana Howartha zabrzmiała groźniejsza nuta.

–Wtedy kanał nie zamknięty. Teraz zamknięty.

–Posłuchaj mnie... Jeśli będę musiał, powiadomię prezydenta Stanów Zjednoczonych, a on zadzwoni do prezydenta Panamy... Najpierw jednak muszę znać twoje nazwisko, stopień i numer służbowy. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że możesz wywołać międzynarodowy konflikt...

–Nie musisz znać mojego nazwiska – odparł beznamiętnie-

nie Chińczyk. – Jestem cywilem i nie mam stopnia ani numeru. Nie prezydenci rządzą tym kanałem, tylko Hutchison Whampoa. To my decydujemy, kto przepłynie, a kto nie. Teraz kanał zamknięty, a ty czekaj, aż będzie otwarty.

Butch Howarth wiedział, że nie wygra. Przejście przez kanał wymaga otwarcia i zamknięcia

sześciu kolejnych wrót. Jeżeli te chińskie sukinsyny nie chcą tego zrobić, nie ma na to rady. Trzasnął słuchawką radiotelefonu i podyktował marynarzowi depezę do natychmiastowego wysłania do San Diego.

Chińczycy zamknęli Kanał Panamski około 1435 czasu lokalnego z powodu „remontu”. Barracuda weszła o 1345. Tranzyt zajmie co najmniej osiem godzin. Uwaga na wyjściu z Cristobal około 112230KWI08. Rooseuelt zostaje na dozorze przed Balboa na wypadek, gdyby Barracuda zawróciła. Oczekuję rozkazów. Howarth.

Rawi i Ben stali wraz z pilotem na mostku, patrząc na rosnące przed nimi betonowe ściany i ośmiusettonowe wrota śluzy Pedro Miguel, które właśnie zaczynały się otwierać. Wkrótce podano cumy z lokomotyw i Barracuda została wciągnięta do dolnej komory śluzy. Turbiny stanęły i Ben Badr polecił wyłączyć reaktor. Pręty spowalniające opadły w głąb rdzenia i po raz pierwszy od ponad dwóch miesięcy serce okrętu powoli przestało pracować. Reaktor z wolna zaczynał stygnąć.

Po dziesięciu minutach znaleźli się na górnym poziomie kanału. Przednie wrota śluzy otworzyły się, z czekającego na zewnątrz holownika podano hol i Barracuda ruszyła w dalszą drogę już nie o własnych siłach, wpływając na dziewięć-ciomilowy odcinek zwany Gaillard Cut, wycięty w poprzek górzystego kręgosłupa Przesmyku Panamskiego. Brzegi wznoszą się tu niemal pionowo, a liczne zakręty kanału dobitnie świadczą o tym, jak trudno było się przekopać przez pokryte dżunglą wzgórza.

Widok chińskiego pilota na mostku okrętu płynącego tą w gruncie rzeczy amerykańską drogą wodną zakrawał na jedną z największych zagadek współczesnej polityki; a już

zupełnie surrealistyczne było to, że były major SAS, obecnie terrorysta islamski, korzysta z chińskiej pomocy w ucieczce rosyjskim okrętem podwodnym przed zemstą Ameryki, podczas gdy ścigający go niszczyciel bezsilnie czeka na redzie, Pentagon drży z wściekłości, a bliski szалу admirał Morgan krąży po swoim gabinecie w Białym Domu.

–Kathy! – krzyknął w pewnej chwili. – Sprowadź mi chińskiego ambasadora. Chcę go tu widzieć w ciągu pół godziny. I zamów ambulans, niech czeka na wypadek, gdybym zamordował tego kutasa na miejscu.

Kathy O'Brien przewróciła oczami, ale wiedziała, że jej szef i narzeczony wcale nie przesadza. Nieczęsto czuła w tym budynku równie silne napięcie, jak przez ostatnie kilkadziesiąt minut, odkąd nadeszła wieść o zamknięciu Kanału Panamskiego przed nosem US Navy.

Sekretarz stanu Travis telefonował do panamskiego prezydenta, który w duchu panicznie się bał Stanów Zjednoczonych. Ten lęk trapił go od 20 grudnia 1989 roku, kiedy dwadzieścia sześć tysięcy amerykańskich żołnierzy ze śmigłowcami, czołgami i samolotami wylądowało w Panamie w ramach operacji „Słuszna sprawa”, z zadaniem schwytania skorumpowanego prezydenta i narkotykowego barona, generała Manuela Noriega, który pięć dni wcześniej nieco pochopnie wypowiedział wojnę USA. Obecny prezydent chętnie przyjął chińskie pieniądze i w sprawach kanału był gotów spełniać życzenia Pekinu, dopóki do kasy republiki wpływała odpowiednia część ogromnych zysków z jego eksploatacji. Nie zazdrościł jednak generałowi Noriedze obecnego statusu pensjonariusza więzienia na Florydzie i już sama myśl o gniewie Ameryki odbierała mu poważną część latynoskiego machis-mo. Owszem, bezlitosne metody działania Chińczyków też czasami szarpały mu nerwy, ale Amerykanów bał się jak ognia, zwłaszcza wtedy, kiedy rządził nimi republikanin otaczający się twardymi ludźmi, którego nie obchodziła ani lewicowa retoryka, ani najróżniejsze żądania Trzeciego Świata, ani tym bardziej pobrzękiwanie szabelką i buńczuczne deklaracje typu „Będziemy walczyć z USA na śmierć i życie!” w wykonaniu różnej maści przywódców i watażków. Trudno się nie zgodzić z niezaprzeczalnym faktem, że bardzo niewie-

le państw pod względem siły militarnej choć w kilku procentach dorównuje Stanom Zjednoczonym.

El Presidente rozmawiał właśnie z eleganckim, ale twardym jak dąb byłym profesorem prawa z Harvardu, który wyjaśniał mu, że byłoby godne pożałowania, gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych bardzo się zdenerwował na Panamę, ponieważ mogłoby się to okazać wielce nieopłacalne dla tego „nieszczęsnego, spoconego, dotkniętego ubóstwem kraiku”.

Angielszczyzna Panamczyka pozostawiała co nieco do życzenia, za to lodowaty ton Harcourta Trvisa nie pozostawiał mu najmniejszych złudzeń: Chińczycy igrają z ogniem, ale pierwszy poczuje amerykańskiego kopniaka jego własny tyłek.

–Ależ, mister Travis! – Prezydent próbował protestować. – Dobrze pan wie, że przekazaliśmy zarządzanie kanałem chińskiej firmie Hutchison Whampoa, która ma teraz wolną rękę. Niewiele mogę zdziałać, dopóki ten kontrakt obowiązuje.

Amerykański sekretarz stanu westchnął i rzekł łagodniej:

–To, że pański poprzednik popełnił żaloszny błąd i wystawił do wiatru naszego cokolwiek nierozumnego byłego prezydenta, podpisując nielegalną umowę z komunistycznymi Chinami, nie będzie dla obecnego rządu okolicznością łagodzącą. Może wyrażę się jaśniej... Panie prezydencie, kanał ma być otwarty w ciągu dwóch godzin albo...

–Albo co? – spytał Panamczyk, zupełnie niepotrzebnie, bo połączenie zostało już przerwane.

El Presidente miał teraz przed oczyma tylko jedną wizję: tysiące marines lądują w stolicy, na ulicach strzelanina, suną czołgi, nadlatują śmigłowce... Widział to już raz w życiu, w 1989 roku, i uciekał przed śmiercią z rąk Jankesów.

–Carrambal

Polecił wezwać do pałacu najważniejszych ministrów, po czym zadzwonił bezpośrednią linią do ambasady Chińskiej Republiki Ludowej, położonej w luksusowej dzielnicy Punta Paitilla. Ambasador podszedł do telefonu już po trzech minutach i okazał się tak pomocny, jak się prezydent spodziewał.

–Mówiono mi, że są jakieś kłopoty techniczne w służbie Miraflores... Tak, tak, rozumiem, że Amerykanom może się to nie podobać... obawiam się, że nie mogę nic w tej sprawie zrobić... Hutchison Whampoa Company działa niezależnie od

rządu Chin... Mają kontrakt z wami, nie z nami... Naszą polityką jest niewtrącanie się do spraw prywatnych przedsiębiorstw... Po prostu nie mam upoważnienia do takiego wykorzystywania mojej pozycji... Przykro mi, panie prezydencie, ale nie mogę panu pomóc...

Prezydenta zaczynało to już drażnić. Jak wszyscy w Panamie, wiedział, że Hutchison Whampoa jest w istocie przykrywką dla chińskiego rządu, i domyślał się, że Chińczycy zdecydowali się zamknąć kanał z jakiegoś ważnego powodu, będą zatem zbywać go dopóty, dopóki nie uznają za stosowne znowu przywrócić ruch statków. Złościło go jednak, że nikt się nie pofatygował, żeby mu o tym powiedzieć, ostrzec, nie mówiąc już o konsultowaniu tej decyzji. Tymczasem wydzwania do niego ten sukinsyn Travis i grozi Bóg wie czym...

Prezydent nie wiedział, że amerykański sekretarz stanu jest jednym z najłagodniejszych, choć najsprawniejszych dyplomatów w obecnym rządzie. Zgroza, jaką odczuwał po rozmowie z Travisem, była niczym w porównaniu ze słowną chłostą, jaką przeżywał inny chiński ambasador, siedzący w tej chwili naprzeciwko Arnolda Morgana.

–Jak śmiesz mnie tak okłamywać! Nie obchodzi mnie, jakie masz upoważnienia, i kicham na to, co sobie myśli twój ograniczony rząd! Macie otworzyć ten pieprzony kanał!... Dwa dni? Powiedziałem, dwie godziny!... Teraz już tylko godzina i czterdzieści dwie minuty. Czas może stoi w miejscu w twoim pieprzonym Pekinie, czy gdzie tam mieszkasz na co dzień, ale tu, w Stanach Zjednoczonych, kroczy równo naprzód, słyszysz mnie?

Kathy O'Brien nigdy jeszcze nie słyszała, by szef był tak rozgniewany. Była nawet zdziwiona, że chiński dyplomata już dawno nie wyszedł. Zrozumiała to jednak w następnej sekundzie.

–Jeżeli spróbujesz wyjść z tego biura, zanim powiem „od-maszerować”, jeszcze dziś znajdziesz się w samolocie do Szanghaju z biletem w jedną stronę. Deportowany! Jasne? Jak to się nie ośmielę? Wstań z miejsca, to się przekonasz!

Panna O'Brien nie wiedziała jednak, że Arnold tylko gra

zamierzoną rolę, bez wątpienia terroryzując ambasadora, ale w gruncie rzeczy wszystko to było tylko wstępem do finału, który miał poderwać go na równe nogi. Urabianie przeciwnika zajęło admirałowi dwadzieścia minut, po czym jedwabistym tonem powiedział:

–Ekscelencjo, jeżeli Kanał Panamski pozostanie zamknięty przez cały dzisiejszy dzień, Stany Zjednoczone Ameryki odbiorą go wam siłą. Zbombardujemy wasze wiekowe bazy w Cristobal i Balboa, zajmiemy oba miasta, a ktokolwiek wszedłby nam w drogę, zwłaszcza Chińczyk, zostanie po prostu zabity. Gdyby urządzenia kanałowe uległy uszkodzeniom w wyniku naszych działań, naprawimy je, ponieważ wtedy będziemy już ich właścicielami. Zechce pan uprzejmie

przekazać tę dobrą nowinę waszemu podstępemu rządowi. A teraz odmaszerować!

Wątpliwe, aby którykolwiek z dyplomatów akredytowanych w Waszyngtonie został kiedykolwiek potraktowany w podobny sposób. Kathy musiała podać Chińczykowi szklankę wody, zanim doszedł do siebie na tyle, by móc opuścić zachodnie skrzydło Białego Domu. Zniosła potem szefowi filiżankę gorącej kawy z supersrutom, jak zaczął nazywać nowy rodzaj słodzika, smakującego teraz jak cukier.

–Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego nie wybrałaś kariery w korpusie dyplomatycznym – rzekła ze słodyczą w głosie. – Taki subtelny sposób wypowiedzenia myśli... Taki dar przekonywania...

–Kathy, wiesz coś o historii Kanału Panamskiego? Wiesz, dlaczego dziś panuje tam taki bajzel, jaki przewidziałem już dziewięć lat temu?

–Nie wiem.

–A ja nie mam teraz czasu cię oświecać. Powiem ci tylko tyle: Carter nigdy nie powinien był dopuścić do tego kontraktu. Trzeba było trochę poprężyć mięśnie i trzymać pazurami kontrolę nad kanałem. A następny po nim demokratyczny prezydent powinien zatrzymać tych sukinsynów w pół drogi, kiedy oddawali kanał Chinolom.

–Jak miałyby to zrobić, skoro oficjalnie podlega on panam-skiej jurysdykcji? – Kathy, jak większość kobiet, zawsze miała słabość do Billa Clintona.

–Proste! Cały ten interes był nielegalny. Wstępne warunki kontraktu były podane, przetarg na zarządzanie kanałem odbywał się na zasadach międzynarodowych. Stany Zjednoczone zaoferowały o wiele więcej niż reszta kandydatów, ale Chińczycy dali komuś łapówkę wielkości Zakazanego Miasta i dostali drugą szansę. Wyjawiono im wysokość naszej oferty. Kilka dni później rząd panamski oddał wszystko tej fałszywej korporacji z Hongkongu, czyli po prostu Pekinowi.

–Ło!

–Zaiste, ło. Wolałbym jednak, żebyś poniechała posługiwania się bezmyślną i ograniczoną nowomową właściwą młodości chmurnej i durnej.

Mimo że ta uwaga została wygłoszona tonem bardziej szorstkim niż żartobliwym, Kathy się tylko roześmiała, jak zawsze, gdy jej przyszyły mąż dawał upust swym ponurym nastrojom. Już dawno się zorientowała, że Arnold ma zwyczaj rozmawiać w ten sposób ze wszystkimi. Poza tym ta drobna uszczypliwość była niczym w porównaniu z ciągami, jakie właśnie sprawił ambasadorowi państwa, którego obywatele stanowią dwadzieścia procent ludności świata.

–No, dobrze. Co zatem powinien uczynić Biały Dom?

–Należało oznajmić Panamczykom, że kanałem będą zarządzać Stany Zjednoczone, a gdyby ktokolwiek kiwnął palcem, żeby nam przeszkodzić, zostanie to uznane za akt wojny, na który odpowiednio zareagujemy. Przypomniałbym im potem, że ta droga wodna powstała tylko i wyłącznie dzięki amerykańskiej technologii, pieniądзом, fachowości i sile roboczej. Nigdy w jej historii nie odmówiliśmy żadnemu statkowi prawa przejścia, w każdym razie w czasie pokoju. Jeżeli zaś oni sądzą, że mogą nadużyć naszej dobrej woli i oddać to cholerne koryto totalitarnemu reżimowi komunistycznemu, przy którym Idi Amin wygląda jak dobra wróżka... i który będzie miał prawo wpuścić lub nie wpuścić statków według własnego widzimisie... to mogą sobie tak sądzić, ale Ameryka do tego nie dopuści, choćby przyszło jej użyć siły. Tak powinien zareagować Biały Dom, kochanie.

–A gdyby Panamczycy uznali, że blefujemy?

–Oni? Ta zgraja przygłupich gauczów? Kathy, ja tu mówię o sile, tej samej, która zbudowała ten kanał. Kiedy Stany

Zjednoczone chcą czegoś, co jest w oczywisty sposób dobre dla całego świata, powinny po prostu wziąć to sobie, a Panam-czykom kazać się zająć karmieniem ich zapchlonych mułów.

–Ładnie powiedziane, panie Whitman* – skomentowała Kathy. – A gwoli ścisłości, gauczowie żyją w Ameryce Południowej, a nie w Panamie.

–Okay, no to pomyliłem się o jakieś dwa rzuty bolas**. Z Panamy akurat tyle jest do Ameryki Południowej, czyli do odurzonej koką Kolumbii, nie?

–Arnoldzie Morgan – odparła Kathy ze śmiechem. – Jesteś po prostu okropny.

–Okropny to ja będę za dwie godziny, jeśli Chinole nie otworzą kanału.

Tymczasem Barracuda posuwała się z wolna między zapierającymi dech w piersi urwistymi brzegami Gaillard Cut, mijając w tej chwili odcinek zwany Culebra Reach, gdzie przy tropikalnych deszczach osuwają się często lawiny błota, wieczne utrapienie służb technicznych Kanału Panamskie-go. Wkrótce holownik skręcił o piętnaście stopni w prawo, w ostatnią prostą przekopu przed wejściem na Cascades Reach, wąską odnogę jeziora Gatun, słodkowodnego sztucznego zbiornika o powierzchni czterystu dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych, którego środkiem zygzakuje pogłębiony tor wodny, najdłuższa część Kanału Panamskiego. Jego poszarpane licznymi zatoczkami i odnogami brzegi porasta gęsta, niedostępna dżungla. Jezioro zostało stworzone przez budowniczych kanału, którzy przegrodzili tamą dużą rzekę Chagres, uzyskując w ten sposób odpowiedni poziom wody. Z zatopionego terenu musiano przesiedlić mieszkańców dwudziestu dziewięciu wiosek.

Zamykająca kanał od strony Morza Karaibskiego ogromna, trójkomorowa śluza Gatun jest jednym z technicznych cudów współczesnego świata, uznawanym przez niektórych znawców za szczytowe osiągnięcie budowlane ludzkości. Ge-

* Słynny poeta amerykański był piewcą cywilizacyjnej misji Ameryki.

** Trzy ciężarki połączone linką: argentyńscy gauczowie rzucają nimi w nogi uciekającego zwierzęcia i w ten sposób pętają je „zdalnie”.

nerał Raszud opowiedział o niej żonie szczegółowo, ponieważ nie miała jej ujrzeć. Tuż przed dwudziestą pierwszą, kiedy od wrót śluzy dzieliły ich jeszcze dwie mile, chiński pilot polecił wyłożyć ster lewo na burtę i Barracuda skręciła z oznakowanego toru wodnego na puste wody zachodniej części jeziora, od dwóch dni celowo zamknięte dla turystów i rybaków. Wraz ze schyłkiem dnia znacznie się ochłodziło i temperatura wynosiła teraz około dwudziestu pięciu stopni. Zaczynała się wilgotna tropikalna noc; w powietrzu wisiały już pierwsze ulewy pory

deszczowej. Z oddali dobiegały pokrzykiwania małp, z rzadka wrzasnęła jakaś ara, a w tle rozbrzmiewało nieustanne granie cykad. Holownik i okręt pełzły wolno przez wciąż jeszcze głębokie wody. Pilot włączył reflektor i kolejno podawał nowe kursy. Płynęli najpierw na zachód, potem skręcili na południe. W niemal całkowitej ciszy minęli wyspę Trynidad i weszli na zatokę o tej samej nazwie, szeroki na dwie mile ślepy zaułek jeziora. Woda miała tam jeszcze głębokość dwunastu metrów, a cały wschodni brzeg był zupełnie niezamieszany. Przebyli jeszcze sześć mil środkiem zatoki; Chińczyk sprawnie i precyzyjnie kierował zespołem holowniczym, aż wreszcie na kompasach obu jednostek pojawił się kurs wschodni. Pół mili dalej minęli wystający cypel Wysepki Pelikaniej i pilot poprowadził Barracuda pogłębianym torem wprost ku brzegowi, ku zarośniętej plaży, pod osłonę gęstego listowia tropikalnej dżungli.

Wpatrzony we wskaźnik echosondy kapitan Badr wykrzyknął ostrzeżenie, ale było już za późno. Dziób okrętu zarył się w miękki muł tuż przy żółtej boi, postawionej tam przed tygodniem przez pogłębiarkę pracowicie przygotowującą ten ostatni port dla Barracudy. Kadłub i kiosk zniknęły pod zwieszającymi się nisko gałęziami drzew rosnących na odległym zaledwie o pięć metrów brzegu. Hol został rzucony i holownik podszedł do burty okrętu, popychając go na wyznaczoną pozycję, po czym odpłynął w swoją stronę. Jak za dotknięciem różdżki pojawił się za to chiński patrolowiec. Marynarze przerzucili na Barracuda przenośny trap, po którym na pokład weszło sześciu mechaników z bazy pod-wodniackiej w Huludao na Morzu Żółtym, a generał Raszud rozkazał pierwszej dwudziestce z własnej załogi zabrać swoje

rzeczy i przejść na kuter. Reszta miała zostać ewakuowana za dwie godziny, tyle bowiem zajmowało przejście tam i z powrotem przez jezioro na jego północno-wschodni kraniec, w pobliże lotniska w Colon. Rawi, Szakira i Ben Badr zamierzali zejść z okrętu ostatni.

Patrowiec powrócił krótko przed północą i pozostali członkowie załogi zaczęli przechodzić na jego pokład. Ben Badr nakazał już otwarcie zaworów głównych zbiorników balastowych i okręt z wolna się zanurzał, coraz bardziej pogrążając się w mule i osiadając na twardszym dnie. Woda zalewała już pokład. Ben rozkazał otworzyć włazy wejściowe na dziobie i rufie. Większość urządzeń była już wyłączona, ale pracowały jeszcze dieslowski generator awaryjny oraz pompy napełniające zbiorniki kompensacyjne, by usunąć najmniejsze resztki dodatkowej pływalności. Otwarte były też wszystkie kingstony*. Zamiana wspaniałego okrętu wojennego w martwą tytanową skorupę potrwa jeszcze kilka dni. Chińscy mechanicy mieli kontynuować pracę w mokrym, bardzo nieprzyjemnym środowisku, ale ich rozkazy były wyraźne: „Zatopić Barracudę w mule bez śladu, aby nikt nie wiedział o jej istnieniu”.

O północy z wody wystawała już tylko górna część kiosku, a kiedy Ben zalał przedział reaktora, okręt zaczął jeszcze bardziej ginać z widoku. Reszta była tylko kwestią czasu. Nowoczesny kamuflaż wojskowy i kilka groźnie wyglądających znaków z napisem „Niebezpieczeństwo!” oraz piktogramem eksplozji powinny zabezpieczyć Barracudę i jej tajemnice na długie lata. Na razie plan ewakuacji był realizowany bez potknięć, ale nagle Szakira dostrzegła w ciemności światła pozycyjne jakiejś łodzi motorowej. Płynęła wprost ku nim, zwabiona zapewne błyskami ich własnych latarek.

–Jasny szlag! – zaklął Rawi. – Kto to może być?

Instynktownie, długoletnim nawykiem oficera SAS przejął inicjatywę. Krzyknął do dowódcy chińskiego kutra, by odbił i zniknął w ciemnościach.

–Spokojnie, wolno naprzód, bez paniki. Wróćcie za pół godziny.

Zawory denne.

Patrowiec odpłynął, a na jego miejsce przybyła motorówka, znacząc na wodzie lekko fosforyzujący ślad. Kiedy złożyła się do burty, Rawi rozpoznał dziesięciometrowego boston whalera. Zaraz potem usłyszał głos z amerykańskim akcentem.

–Hej, koledzy! Jestem Joe Morris z Delaware. Możecie nam pomóc? Zgubiliśmy naszą cholerną mapę. Obozowaliśmy tu w zatoce od paru dni. Świetne łowiska, mówię wam! Czy dobrze się kierujemy do śluzy? Wszystko to wygląda tak samo...

General Raszud odpowiedział najlepszym brytyjskim akcentem.

–Och, dobry wieczór, Joe. Jesteśmy Brytyjczykami. Organizujemy tu za tydzień mityng World Wildlife. Płyniecie dobrze. Musicie tylko okrążyć wysepkę i skręcić na północ. Traficie prosto do śluzy, będzie po waszej lewej burcie.

Zdawał sobie sprawę, że obaj z Benem muszą wyglądać groteskowo na ledwo wystającym z wody mostku zanurzonego okrętu podwodnego, ale miał nadzieję, że w słabym świetle swoich lamp pozycyjnych Amerykanin się nie zorientuje w sytuacji.

Zorientował się jednak.

–Hej, na czym wy, u diabła, stoicie? Wygląda to jak pieprzony podwodniak... Jesteście przemytnikami czy kimś takim?

–Z całą pewnością nie. – Rawi przybrał lekko urażony ton. – To podwodna łódź badawcza fundacji World Wildlife. Pływamy po całej Ameryce Środkowej, studiujemy rzadkie gatunki ryb i tak dalej... Bardzo pożyteczna zabawka.

–Wygląda mi to na podwodniaka – upierał się Joe. – Byłem w US Navy, w Norfolkku. Widziałem je masę razy, możesz mi wierzyć, stary.

–Ale na pewno nie takie. Mamy szklane dno... Zdziwiające rzeczy można przez nie zobaczyć.

–Kurczę, brzmi świetnie! Hej, chwileczkę, zrobię wam zdjęcie. Niech tylko znajdę flesz... Pokażę to w domu koleśiom z marwoju, to ich zainteresuje...

Po chwili jaskrawy błysk flesza rozdarł na ułamek sekundy ciemność pochmurnej nocy.

–Chcielibyście wejść na pokład? – spytał zachęcająco Rawi. – Pokażę wam nasze podwodne reflektory. Te wielkie krokodyle podpływają zupełnie blisko, kiedy je włączamy. Zabierz swój aparat...

–Byłoby świetnie... Mogę zabrać kumpli? Skipa i Ronnie-go? Jesteśmy wszyscy z Wilmington...

–Jasne... Podpłyńcie z drugiej strony, mamy tam wyrzucony sztormtrap. A uważajcie, bo te gady są naprawdę wredne. Możecie zostać żywcem pożarci...

Rawi szybko szepnął coś do ucha Szakirze, która natychmiast zeszła pod pokład. Pięć minut później cała trójka ciekawskich stała już na mostku i Rawi poprowadził ich przez właz do wnętrza okrętu. Zauważył, że Joe Morris ma zatknięty za pasek pistolet. Skip i Ronnie byli nieuzbrojeni. Pomieszczenie pod włazem było jeszcze na szczęście suche. Kiedy wszyscy zebrali się u stóp drabiny, Rawi się przedstawił:

–Witam na pokładzie, panowie. Jestem kapitan Mark Smyley, z pułku Gwardii Irlandzkiej. Pracuję w fundacji World Wildlife jako osobisty emisariusz księcia Edynburga...

–Hej, i co wy na to, koledzy? Trzymajcie się starego Joe Morrisa! Nigdy nie wiadomo, na kogo się natkniecie...

Uśmiechał się jeszcze radośnie, kiedy Rawi uderzył go między oczy ręką między trzydziestocentymetrowego śrubokrętu, a potem nasadą dłoni w nos. Joe zginął, nie wydawszy nawet jednego dźwięku.

Jego towarzysze nie zdążyli zareagować. Stali jak osłupiali jeszcze przez trzy ostatnie sekundy życia. Stojąca za kolumną peryskopu Szakira Raszud z zimną k

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/